

ECHO WOLNOŚCI



Saga dynastii Rathore Rian

sezon 2

Jest jesień 2024 roku. Pierwszy sezon reality show Liberty Fade Life odniósł sukces, którego nikt się nie spodziewał. Decyzja może być tylko jedna – kamery ruszają ponownie.

Przed nimi kolejne miesiące koncertów, podróży i życia pod nieustanną obserwacją.

A w samym centrum tego świata stoi Ville Rian, zwany Libertynem – jeden z najpopularniejszych i najbardziej pożądaných muzyków swojego pokolenia.

I ona. Rose Mayer. Studentka z Bristolu. Z pozoru zwyczajna dziewczyna.

Romans? Nie tak prędko.

Miało być łatwo: szybkie spojrzenie, uśmiech, odrobina flirtu, Ferrari i kolejna historia bez znaczenia.

Tylko że tym razem coś nie gra. Bo poza ładną buzią i zgrabnymi nogami Ville bardzo szybko odkrywa coś jeszcze – licencjat z informatyki.

I nagle chce jej... ale nie w sposób, do którego jest przyzwyczajony.

Wystarczy jedna decyzja, by Rose znalazła się w świecie sławy, wielkich pieniędzy, kamer i ludzi, którzy od lat grają według własnych zasad.

To miała być tylko przygoda. Bardzo szybko przestaje nią być. Bo znajomość z Libertynem to jazda bez trzymanki – fascynująca, nieprzewidywalna i zdecydowanie bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać.

Echo wolności. Część II

Świat i rodziny

Dynastia Rathore – arystokracja z Udajpuru (Indie, Radżastan), „stare pieniądze” i wpływy.

Ród Mannerheim–Rian – fińska rodzina przemysłowców i milionerów.

Dynastia Rathore–Rian – współczesna linia łącząca wpływy indyjskie i fińskie; biznes, media, kapitał.

Postacie pierwszoplanowe:

Ville Vivaan Rathore Rian (ur. 2003), ps. *Libertyn*, *Kurdupel* – frontman Liberty Fade, syn Mii i Ramiego, ojciec Amidali, partner Rose.

Rose Milagros Mayer (ur. 2002) – informatyk, Brytyjka hiszpańskiego pochodzenia, córka Johna i Mariny, partnerka Villego.

Emma Mannerheim Rian (ur. VII 2000) – gitarzystka Liberty Fade, córka Ramiego, partnerka Roberta.

Thomas Kleinert (ur. 1999) – DJ Liberty Fade, przyjaciel Villego.

Paul Lewin (ur. 1995) – basista Liberty Fade, Brytyjczyk polskiego pochodzenia, partner Wendy.

Robert „Rob” Walker (ur. 1997) – perkusista Liberty Fade, Brytyjczyk włoskiego pochodzenia, partner Emmy.

Postacie drugoplanowe

Miraaya „Mia” Rathore (ur. 1980) – indyjska księżniczka, właścicielka Indivar Group, żona Ramiego, matka Villego.

Antero Rami Mannerheim Rian (ur. 1977) – fińska legenda rocka, właściciel RRstudio, mąż Miraayi, ojciec Villego i Emmy; artystycznie używa nazwiska Rian po matce.

Wakanae „Wendy” Tanaka (ur. 1994) – specjalistka ds. marketingu, japonka, partnerka Paula.

John Mayer (ur. 1970) – brytyjski przedsiębiorca, ojciec Rose.

Marina Mayer (ur. 1973) – Hiszpanka, matka Rose.

Eryk Steven (ur. 1999) – student medycyny, były partner Rose.

Echo of Liberty „Echo” (ur. 2022) — suczka rasy staffordshire bull terrier, pies Miraayi.

Postacie poboczne lub we wspomnieniach:

Veer Pratap Rathore (zm. 2013) – maharadża Udajpuru, twórca imperium Indivar, mąż Isobel, dziadek Miraayi. Postać pojawiająca się we wspomnieniach.

Isobel Rathore (zm. 2015) – Szkotka, maharani Udajpuru, pianistka, żona Veer Pratapa, babcia Miraayi. Postać pojawiająca się we wspomnieniach.

Lauri Mannerheim (ur. 1953) – fiński przedsiębiorca, ojciec Ramiego, dziadek Emmy i Villego.

Firmy, zespoły i miejsca

Indivar Group – międzynarodowa korporacja działająca w wielu gałęziach gospodarki: energetyce jądrowej, górnictwie, medycynie oraz szeregu mniejszych przedsięwzięć.

RRStudio – wytwórnia muzyczna i zaplecze produkcyjno-koncertowe.

Liberty Fade (2021–) – zespół alternatywnego rocka łączący brzmienia rockowe, elektroniczne i popowe.

Kanał Liberty Fade – oficjalny kanał zespołu na popularnej platformie wideo, zrzeszający miliony widzów w Europie i Ameryce.

Liberty Fade Life (LFL) – jedna z odsłon Kanału Liberty Fade; pełnometrażowe odcinki ukazujące prywatne życie zespołu.

The R. Requiem (1997–2024) – zespół rockowy Ramiego o międzynarodowej renomie.

Rathorehouse – pałac w Virginia Water w hrabstwie Surrey (Wielka Brytania); rezydencja należąca do Miraayi.

Rianhouse – rezydencja nad Zatoką Fińską w prestiżowej dzielnicy Helsinek, Westend; posiadłość należąca do Ramiego.

Kwaterna kawalerska — miejski dom Ramiego w Helsinkach, zapasowa baza noclegowa.

Rozdział 1

Podryw na Toyotę.

Październikowe popołudnie pachnie deszczem; powietrze jest miękkie, rześkie, otulone miejskim zgiełkiem. W oddali szumią ulice, przejeżdża autobus, ktoś woła dziecko. Na placu zabaw, gdzieś w Richmond, otoczonym niskim, metalowym ogrodzeniem, panuje jednak zaskakujący spokój. Tylko szeleszczące liście i delikatne skrzypienie huśtawek zakłócają ciszę. Ville siedzi na jednej z nich, lekko się bujając. Długie nogi nonszalancko dotykają ziemi, ramiona ma oparte o łańcuchy. Jego spojrzenie nieustannie podąża za małą Amidalą, która właśnie wspina się na kolorową konstrukcję przypominającą zamek. To nagroda za dzielne zniesienie porannej wizyty u stomatologa. Dziewczynka śmieje się, obracając w dłoni niewielką, błyszczącą zabawkę – zapewne z automatu w poczekalni.

Ami nie bywa często w takich miejscach. W ich prywatnym pałacowym ogrodzie czeka na nią własny park rozrywki: trampoliny, zjeżdżalnie i tor przeszkód. Ale Ville czasem woli zabrać ją gdzieś, gdzie ludzie są zwyczajni. Wśród niań i mam bywa wtedy jedynym ojcem, co często przyciąga spojrzenia. Zazwyczaj takie sytuacje kończą się szybciej, niż powinny. Dziś również miał taki zamiar, ale plac świeci pustkami.

Libertyn przeciąga się na huśtawce, zerkając leniwie w bok – i wtedy ją zauważa. Młoda dziewczyna prowadzi za rękę kilkuletniego chłopca. Jej ruchy są spokojne, naturalne. Gdy siada na ławce po drugiej stronie, Ville nie czeka długo i woła Amidalę do siebie, a ta natychmiast zjawia się obok niego.

– Wygląda na to, że będziesz miała towarzystwo. Spróbuj się zakolegować.

Klepie córkę lekko po plecach. Ami od razu podbiega, radośnie machając rękami z wiatrem szeleszczącym w kurtce. Chłopiec właśnie wspina się na zjeżdżalnię i nim Ville się obejrzy, dzieci już bawią się w najlepsze, śmieją się, rozmawiają, piszczą z radości.

– No dobrze – mruczy do siebie. – Czas na Libertyna.

Znowu zatrzymuje wzrok na dziewczynie. Jest po prostu śliczna – ciemne włosy w miękkich falach opadają jej na ramiona, prawie czarne oczy, delikatne rysy, prosty nosek. Wstaje, podchodzi do dziecka i przez dłuższą chwilę coś mu tłumaczy o odpowiednim zachowaniu; gdy spogląda w stronę Villego, lekko się uśmiecha. Libertyn dostrzega, że jest zgrabna, ale nieprzesadnie chuda, i że ma świetne nogi. Coś jeszcze przykuwa jego uwagę – sposób, w jaki się porusza, jakby unosiła się nad ziemią. Jego zamyślenie nad urodą dziewczyny zostaje przerwane bieganiem dzieci wokół karuzeli.

Ville podchodzi do Ami, prosząc, żeby była ostrożna. Córka kiwa głową i pędzi dalej, gubiąc po drodze swój ulubiony czerwony berecik.

– Ach, te dzieci... – wzdycha, posyłając dziewczynie uśmiech.

Ona odwzajemnia gest, choć jej twarz pozostaje spokojna, bez szczególnych emocji.

Ville zamyśla się. Chyba nie jest aż tak sławny, jak mu się wydawało. Najwyraźniej nie jest jedną z milionów fanek śledzących jego social media. Może to i lepiej. Niech tak zostanie.

– Młody to twój syn?

– Nie, Greg jest synem koleżanki. Czasem się nim zajmuję. A to twoja siostra? – pyta, wskazując na Amidalę.

– Cóрка. Wcześniej zacząłem.

Wyciąga rękę, unosząc lekko brwi, i obdarza dziewczynę nieśmiałym uśmiechem.

– Vivaan.

– Rose – odpowiada miękko, ujmując pewnie jego dłoń. Po krótkiej chwili dodaje, z lekkim przekrzywieniem głowy: – Vivaan... nietypowo.

Chłopak prostuje się odrobinę bardziej, jakby chciał potwierdzić wagę własnych słów, bo akurat imię, które podał, jest jego drugim imieniem.

– Mama ma indyjskie korzenie.

Przez chwilę stoją w ciszy obserwując bawiące się dzieci. Ami z zacięciem wspina się na dach drewnianego domku, podciągając się za krawędź.

– Amidala, złaż stamtąd natychmiast! – woła, unosząc rękę w stronę córki.

Ta zsuwa się prędko na ziemię, otrzepuje spódniczkę i biegnie dalej, w stronę piaskownicy.

– Śliczne imię – mówi Rose, przyglądając się jej z ciepłym uśmiechem. – Idealne dla ślicznej córeczki. Też jesteś fanem Gwiezdných Wojen?

– Tak. Chciałem nazwać ją Darth Vader, ale moja mama stanowczo zaprotestowała.

Rose wybuchła śmiechem, głośno i szczerze. On również chichocze pod nosem.

– Jesteś wolna? – pyta lekko mrużąc oczy

Dziewczyna nawet nie kryje zaskoczenia. Jest przekonana, że chłopak jest gejem – delikatna uroda, subtelny makijaż, idealnie uczesane włosy, dłonie ozdobione bransoletkami i pierścionkami. Nie pozostawia to wielu wątpliwości. Uznaje to pytanie za żart.

– No wiesz, po mieście jeździmy pięćdziesiątką.

– To było dobre – przyznaje z aprobatą.

W głowie Rose pojawia się myśl: *Jaki on jest piękny i te przeszywające zielone oczy...* Po chwili karcni się: *Mam chłopaka. To nielojalne wobec Eryka.*

– Jesteś samotnym ojcem?

– Tak. Ami jest ze mną – odpowiada cicho, ważąc słowa. – Moi rodzice bardzo mi pomogli... i nadal pomagają. Nie mam dziewczyny ani żony.

Przełyka ślinę, próbując zebrać myśli.

– Mam chłopaka, ale emocjonalnego. W sensie... ach, to skomplikowane – macha ręką. – Miałem kiedyś narzeczonego, ale nie wyszło...

– Rozumiem. Przykro mi – mówi cicho lekko zagryzając wargi..

– Mea culpa. Nie byłem zbyt wierny. Adi przyłapał mnie z dziewczyną... ną – poprawia się szybko. – To była raczej próba poszukiwania siebie.

– *Znaczy...* z dziewczynami – dodaje już w myślach, a na jego twarzy pojawia się rozmarzony uśmiech.

– No, no – stwierdza z uznaniem. – Prawdziwy z ciebie oryginał.

Nie mówi tego na głos. Wystarczy, że pomyśli: *A nie jak nudziarz Eryk.*

– Studiujesz, pracujesz? – pyta Ville próbując zgubić wątek.

– Studiuję informatykę. Dorabiam na zleceniach. A ty?

– Zacząłem matematykę. Na co dzień pracuję w branży rozrywkowej.

– A dokładniej?

– Robię przy koncertach.

Nie rozwija dalej. Nie lubi od razu przyznawać się, że jest wokalistą Liberty Fade. Jeśli nie musi, nie mówi.

Ale dziewczyna nie daje za wygraną; lustruje go z góry na dół, próbując odgadnąć, o co chodzi.

– Organizujesz je czy nosisz sprzęt za zespołem?

– I to, i to – szczerzy się w uśmiechu, bo właśnie uniknął tematu sławy.

– Nie jesteś przypadkiem fotomodelem?

Pytanie Rose nie jest rzucone od niechcenia. Jego metroseksualny wygląd – gładka cera, starannie dobrane ubrania, teatralne ruchy zdradza zainteresowanie modą. Wzrost raczej wyklucza karierę modela wybiegowego, ale fotomodeling? To już brzmi prawdopodobnie.

– Nie. To mnie nie interesuje. Teraz moja kolej: trenujesz balet albo gimnastykę?

Dziewczyna jest zaskoczona pytaniem. On od razu to zauważa. Trafił.

– Taniec towarzyski od lat. Skąd wiedziałeś? Też tańczysz?

– Domyśliłem się po tym, jak się poruszasz. Pracuję w rozrywce, więc mam oko. A jeśli chodzi o taniec... jestem wirtuozem parkietu. Może kiedyś pójdziemy na jakąś imprezę?

– Czemu nie? – śmieje się Rose, a w głowie ma jedno: *Gej czy nie – ten chłopak mnie fascynuje.*

I postanawia to wykorzystać; obraca się dookoła, analizując otoczenie.

– Czasem fotografuję i obrabiam zdjęcia na zlecenie. Mogę ci zrobić parę fotek?

– Jeśli przysięgniesz, że nie wrzucisz ich do sieci i mi je wyślesz.

– Oczywiście. Nie mam aparatu, ale telefonem też dam radę. Światło jest dobre.

Libertyn rozgląda się wokół siebie. Złota godzina. Blask słońca rozlewa się na trawie i drabinkach.

– Mów, co mam robić.

– Usiądź tam i bądź sobą – wskazuje gestem dłoni na ławkę naprzeciwko.

Ville zajmuje miejsce. Ona ustawia kadr, pochylając się lekko, robi kilka ujęć. Libertyn patrzy na nią z uznaniem. Rose wie, co robi, nawet telefonem. Widać to po sposobie, w jaki kadruje i ustawia światło.

Brał udział w dziesiątkach profesjonalnych sesji z zespołem, zna się na tym.

– Zobacz – oznajmia, pokazując ekran.

– Wyglądam super. Wyślij mi je, proszę – stwierdza i podaje jej kontakt do prywatnego profilu: V. V. WOW.

– Ale dziwny nick. Choć... pasujący – mówi z uśmiechem, ale jej spojrzenie nagle ucieka w bok. – Poczekaj chwilę. Przyjechała mama młodego.

Bierze Grega za rękę i prowadzi do niebieskiego kombi, zamienia kilka słów z kierowcą i wraca do Villego, który już na kolanach trzyma Amidalę i przegląda zdjęcia na ekranie.

– Dzięki, są naprawdę ładne.

– Nie ma sprawy. Ale muszę już iść. Mam dużo pracy.

– Może cię podrzucić? – proponuje, poprawiając kaptur córce.

Chce przewieźć dziewczynę Ferrari – to zawsze działa, przynajmniej w jego przypadku.

– Nie trzeba, jestem mobilna.

Liberty nie ukrywa ciekawości; spogląda na nią uważnie, próbując przypasować do niej odpowiednią markę samochodu.

– Czym jeździsz?

Dziewczyna wskazuje na czarnego Chevroleta Camaro z V8 i z zarysowanym błotnikiem.

– Biedny samochód – krzywi się. – Przez tę rysę wygląda na smutny. Twój czy tatusia?

– Mój... od tatusia. Kocha amerykańską motoryzację.

– A mój tata jeździ Ferrari! – wtrąca wesoło dziewczynka, podskakując do przodu.

Ville przytula córkę mocno do nogi, że ta aż się próbuje wyrwać nie mogąc złapać powietrza. Następnie wyciąga wafelek i podaje jej pospiesznie, co ewidentnie poprawia jej humor.

– Na co dzień użytkuję nudnego czerwonego SUV-a Toyoty. Żartujemy, że to Ferrari – mówi, dziwiąc się samemu sobie, że powiedział to na głos. – W weekend spotykamy się w Virginia Water w Surrey. Jeździmy na deskach, będzie dużo śmiechu. Może dołączysz?

– Nie mam jak dojechać – odpowiada patrząc w telefon na mapę. – Oddaję samochód do lakiernika. Poza tym nie jeżdżę na deskorolce.

– Większość ludzi, którzy tam przychodzą, tego nie potrafi. To bardziej spotkanie przyjaciół. Chętnie po ciebie przyjadę. Dziewiętnasta?

– Dobrze, dzięki za zaproszenie. Może zrobisz nam kilka fotek?

– Byłoby świetnie.

– Ale teraz naprawdę muszę iść – informuje Rose kucając przed Ami. – Dzięki za wspólną zabawę. Greg rzadko chce biegać z dziewczynami. Piątka?

– Piątka! – potwierdza dziewczynka.

– Do zobaczenia – żegna się, podchodząc do Villego, a on całuje ją w policzek.

Dziewczyna zastyga na chwilę. W brzuchu pojawiają się motyle. Piękny. I jeszcze tak pachnie. Gdy wsiada i zamyka drzwi swojego auta, odruchowo dotyka miejsca pocałunku i stwierdza, że nawet jeśli chłopak jest gejem, to warto go mieć w swoim życiu.

Ville i Amidala zostają jeszcze chwilę. Patrzą w milczeniu, jak czarny Camaro znika za zakrętem. Silnik warczy nisko, głęboko, zostawiając za sobą ślad spalin i czegoś trudnego do uchwycenia – może zapachu perfum Rose, może napięcia chwili.

– Bardzo ładna i miła – oznajmia Ami, biorąc ostatniego gryza batonika.

– Tak, zgadzam się – odpowiada i zerka na zegarek. – Czas wracać. Nasze auto czeka przy klinice.

W drodze do Surrey Ami zasypia. Ville jedzie powoli przez obrzeża miasta, kontrolując ruch uliczny oraz własne myśli. Z radia cicho sączy się delikatny house. Chłopak lekko uchyla szyberdach. Jesienne powietrze pachnie mokrym asfaltem, zmieszonym z resztkami spalin i dymu z kominków. Rose zrobiła na nim ogromne wrażenie. Nie chodzi tylko o urodę. Widział tysiące ładnych twarzy, dotykał setek ciał. Ale tutaj... coś było inaczej. Coś w sposobie, w jaki patrzyła. W braku reakcji. W tym, że była obecna – prawdziwa. Nie szukała w nim sławy. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Kiedy zwalnia na zakręcie, zaczyna rozważać, czy nie zaproponować dziewczynie pracy. Rose zna się na komputerach, kocha fotografię, a jego program *Liberty Fade Life* cierpi na brak kadry.

Następnie uśmiecha się bezczelnie, poprawia lusterko i dodaje bezgłośnie: *A wtedy, prędzej czy później ja i piękna i tak wylądujemy w łóżku. Choć pewnie prędzej.*

W międzyczasie Rose wraca do swojego mieszkania, niewielkiego, ale przytulnego. Lokum kupione przez ojca, z dobrym dojazdem na uczelnię. Kładzie torbę na fotelu, zdejmuje buty, poprawia włosy i siada przy komputerze. Próbuje zabrać się za projekt. Ale co chwilę zerka na telefon. Na ekranie wciąż wyświetla się nowy kontakt – profil Vivaana. Nie może się oprzeć. Włącza galerię i przegląda zdjęcia. Na jednym jej nowy znajomy w promieniach słońca: przymrużone oczy, lekki uśmiech, jakby się zamyslił.

Dziewczyna siedzi bez ruchu i w końcu nie wytrzymuje, drukuje jedno z ujęć, przypina je pinezką nad biurkiem i patrzy. Po chwili wzdycha ciężko: jest w związku, a przynajmniej próbuje układać sobie prywatne życie. Z chłopakiem mało co ją łączy, chciała nawet niedawno z nim zerwać, ale Eryk ma „gadane” i jakoś przekonał ją, by tego nie robiła.

Tymczasem Libertyn wrócił już do domu. Teraz siada z laptopem w salonie kominkowym, ale nie otwiera żadnego z arkuszy, które czekają na uzupełnienie. Wzrok błądzi, myśli krążą: *Cholera, jaka ona jest... inna*. Sięga po telefon i pisze, choć nie do końca wie, co chce napisać.

V: Jak tam projekt?

R: Idzie ciężko, jeszcze mi zejdzie.

V: Pewnie dlatego, że o mnie myślisz.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Rose dostrzega wiadomość i zamiera na moment.

– Skąd on wie?! – mówi do siebie.

Gwałtownie odkłada telefon, wstaje, chodzi po pokoju. Przeczesuje włosy palcami, ale wreszcie odpisuje.

R: Myślę, ale o projekcie. Wybacz, muszę kończyć. Mam mnóstwo pracy. Dobranoc.

V: Dobranoc, Rose.

Ville ciężko opiera głowę o oparcie sofy i patrzy w sufit.

– Jak to o mnie nie myśli? – rzuca do siebie, tak jakby odpowiedź dziewczyny była przynajmniej nie na miejscu. Po czym krzywi się nieco.

– Co ja jej naopowiadałem? Teraz laska uważa, że noszę gitary, jeżdżę Toyotą i że jestem gejem.

Przymyka oczy, uśmiecha się lekko i w końcu kwituje:

– Oj, niedobrze.

W tym samym momencie, gdy Libertyn rozmyśla o Rose, ona znowu spogląda na jego zdjęcie. Ostrożnie zdejmuje je ze ściany, przez chwilę trzyma w dłoni, chcąc zapamiętać każdy szczegół, a potem chowa do szuflady. Siada do projektu, włącza cichą kubańską muzykę i próbuje się skupić. Pracuje do późna, kończy dopiero po pierwszej w nocy. Zmęczona, ale zadowolona, chowa notatki i szkice.

Wtedy jej wzrok zatrzymuje się na uchylonej szufladzie i na fotografii Villego.

– Może jest jakimś początkującym muzykiem? Albo aktorem? Tak zdawkowo opowiadał o pracy... jakby coś ukrywał. Szkoda, że nie podał nazwiska.

Po chwili zastanowienia marszczy czoło i sięga po laptopa.

– Ale przecież mam jego zdjęcia – szepcze do siebie.

Wrzuca fotografię do wyszukiwarki obrazów. Mija sekunda, potem druga, aż na ekranie pojawia się rząd wyników. Setki zdjęć, okładki albumów, nagłówki artykułów.

„Ville Vivaan Rathore Rian – symbol seksu, idol nastolatków” – czyta na głos, przecierając oczy ze zdumienia.

Przewijając kolejne strony, aż trafia na oficjalny kanał Liberty Fade. Kliknięcie w link otwiera świat światła, koncertów, życia prywatnego członków zespołu i lajków od milionów fanów. I wtedy Rose uświadamia sobie jedną rzecz – tej nocy na pewno nie pójdzie spać.

Ville zatrzymuje czerwone Ferrari przy jednej ze spokojnych uliczek Richmond, parkuje tuż pod blokiem Rose, między rzędami innych aut. Zbliży się dziesiętnasta, a on, zgodnie z planem przyjechał, by zabrać dziewczynę na imprezę do pałacu w Surrey. Sięga po telefon, odblokowuje ekran, szybko wystukuje wiadomość:

V: Czekam...

Powiadomienie z odpowiedzią przychodzi niemal natychmiast:

R: Dobrze, za trzy minuty jestem.

Chłopak wzrusza ramionami i sprawdza godzinę. W oddali pulsują światła: samochody mijają go wolno, ktoś trąbi zniecierpliwiony, przetacza się autobus, a z któregoś okna dobiega cicha muzyka. Ville wysiada i opiera się o drzwi auta, czeka spokojnie. Ruch na ulicy nie ustaje – przechodnie, rowerzysta z plecakiem, śmieciarka skręcająca w boczną ulicę z cichym jękiem hydrauliki.

Gdy Rose pojawia się w zasięgu wzroku, Libertyn spogląda na zegarek, kiwając głową z aprobatą.

– Faktycznie trzy minuty – mruczy i uśmiecha się do siebie. – Śliczna, zgrabna, bystra, do tego komputerowiec, fotograf, a teraz jeszcze punktualna... robi się coraz ciekawiej.

Patrzy na nią uważnie. Jej płaszcz łagodnie faluje przy każdym ruchu, a stukot obcasów odbija się od chodnika. Mijają ją dwie kobiety z torbami zakupów; w tle ktoś podnosi głos, kłócąc się przez telefon.

Dziewczyna podchodzi do niego, wesoło poprawiając szalik. Gdy jest już blisko, rzuca zadziornie:

– Faktycznie jeździsz czerwonym SUV-em. Ale czy naprawdę musi być taki nudny?

Ville tylko lekko się uśmiecha. Przez ułamek sekundy rozważa odpowiedź, ale milczy. Otwiera jej drzwi; jego ruchy są spokojne, kontrolowane. Rose siada w środku i już od pierwszych chwil czuje luksus: ciepłe, skórzane fotele, przytłumione światło konsoli, delikatny zapach jego perfum – znajomy, ten sam co wczoraj, gdy pocałował ją na pożegnanie. W tle syczy się cicha, nastrojowa muzyka. Libertyn siada za kierownicą, odpala silnik i płynnie ruszają. Jadą przez chwilę w milczeniu; za oknami migają kolejne witryny, mijają skrzyżowania i przystanki. W środku panuje miętka cisza, przerwana dopiero przez Rose:

– Silnik ładnie mruczy. A jak gra sprzęt audio?

Ville zerka na nią kątem oka i czuje lekki niepokój. Czy ona go rozgryzła? Może wiedziała od początku? A może to tylko intuicja? Odpowiada więc ostrożnie, spokojnym tonem:

– System gra bardzo dobrze. Czego lubisz słuchać?

Rose przesuwa palcami po boczku tapicerki, powoli, jakby badała fakturę materiału.

– Lubię rytmy latino. Ogólnie rzadko słucham muzyki. Ale nie przepadam za... – zawiesza głos i spogląda na jego profil. – Za rockiem.

Ville czuje, że robi mu się gorąco. Ona wie. Albo i nie wie. Do tego wygląda szalenie seksownie. Spogląda na jej uda – czarna, koronkowa sukienka odsłania je częściowo przy skrzyżowanych nogach, co nie przechodzi przez niego niezauważone. Stwierdza, że Rose ma klasę. Liczy w myślach do trzech;

przecież żadna dziewczyna nie będzie z nim grać w kotka i myszkę. Musi wiedzieć. Gdy zatrzymują się na czerwonym świetle, odwraca głowę i patrzy jej w oczy z wyraźną intencją.

– Podobasz mi się. Nie mam zamiaru tego ukrywać. Chcę się z tobą przespać, jeśli się zgodzisz. A tam, dokąd jedziemy, będzie taka... możliwość.

Rose oburza się nie na żarty. Bogaty, sławny dupek. Nie jest przecież jakąś przypadkową laską. A Libertyn – w tej granatowej marynarce wygląda zbyt dobrze. Szczypie się w dłoń sprawdzając, czy to w ogóle dzieje się naprawdę.

– Wiesz co? Szkoda twojego czasu. Mam chłopaka od lat, nie interesują mnie przelotne romanse. Zatrzymaj się, proszę. Wsiądę tutaj.

Ville zaciska lekko dłonie na kierownicy, ale nie zjeżdża na bok. Przez chwilę patrzy przed siebie, po czym mówi spokojnie, głosem nieco niższym:

– Dobrze. Ale powiem ci coś. Masz chłopaka i wsiadasz z obcym facetem do jego samochodu? Trochę to dziwne, nie sądzisz?

Zmienność światła maluje jej twarz w czerwieni i zieleni, gdy przejeżdżają przez kolejne skrzyżowanie.

– Uważam, że jesteś znudzoną, grzeczną studentką informatyki, która szuka rozrywki. Albo po prostu nie jesteś szczęśliwa z tym swoim chłopakiem. Obie wersje sugerują, że chcesz przygody. A ja mogę nią być.

Silnik pomrukuje głębiej, auto przyspiesza. Rose zamyka oczy, potem patrzy prosto przed siebie, udając obojętność. *Skąd on to wszystko wie?*

– To nie chodzi o przygodę. A może właśnie chodzi... sama już nie wiem. Włącz coś. Przecież znasz się na muzyce.

Ville sięga do konsoli i włącza klasyczny rockowy kawałek. Gitarowy riff wypełnia wnętrze auta. Napięcie unosi się w powietrzu jak dym.

W głowie Libertyna pojawiają się pytania: *Wiedziała. Nie wysiadła. Nie przestraszyła się. Ale też nie chce się przespać. Czego ona właściwie chce?*

– Od kiedy wiesz, Rose? – pyta w końcu.

Jej odpowiedź przychodzi z ulgą. Zmiana tematu jest niczym powiew chłodniejszego powietrza.

– Od początku wydałeś mi się inny. Intrygujący. Nie mogłam spać, więc sprawdziłam cię w sieci, obejrzałam fragmenty programu. Wybacz, nie słucham takiej muzyki, nie znałam twojego kanału.

Ville zerka bezwstydnie na jej szyję i dekolt, częściowo ukryty pod cienkim płaszczem.

– To nic. Nie każdy musi mnie znać. Widziałaś odcinek z piątkowych spotkań w Surrey?

– Tak. Ciekawa impreza. Libertyn przychodzi, próbuje zrobić triki na desce, kończy się upadkami, dziewczyny się litują i zabierają go do „jaskini rozpusty i wszelkiego zła”.

– Jedno mnie zastanawia. Oburzyłaś się na moją propozycję, choć wiedziałaś, dokąd jedziemy. Skoro oglądałaś program, powinnaś się domyślić, że... no, nie jestem grzecznym chłopcem. Więc o co chodzi? Rose opiera głowę o okno. Szyba jest chłodna i twarda, jak zderzenie z rzeczywistością.

– Tam, na placu zabaw, wydawałeś się fajnym facetem. Czułym ojcem. Trochę szalonym, ale sympatycznym.

Zatrzymuje się na moment, ważąc każde słowo, żeby nie zabrzmieć jak desperatka. Przetyka ślinę.

– Jestem w Londynie od prawie czterech lat. Mam tu kilku znajomych, ale i tak czuję się sama. Z chłopakiem rzadko się widzimy. Ucieszyłam się, że mnie zaprosiłeś. Poza tym... uznałam cię za geja. Po tym, jak dowiedziałam się, kim jesteś, powinnam odpuścić, ale... – zawieszając głos i odwracając się w jego stronę. – Chciałam się przejechać Ferrari. Niby SUV, ale znaczek ma – rzuca z ironią, zerkając na logo na kierownicy.

Ville unosi brew i lekko klepie ją po dłoni. To ciepły gest, bez presji, jakby mówił: w porządku, nie oceniam.

– Nie, nie prześpij się z tobą. Odwieź mnie do domu.

Chłopak milczy przez chwilę i kręci głową, dostrzegając kątem oka jej ledwie zauważalny uśmiech.

– Jedziemy do Surrey. Obiecałaś zrobić nam zdjęcia. Nie martw się – jeśli zechcesz, nasz szofer, cię odwiezie. Albo ja. Albo zostaniesz do jutra. Ty decydujesz.

Zjeżdżają z głównej ulicy. Mija ich czarne Volvo, potem białe Audi. Światła miasta powoli rzedną, ustępując miejsca zacienionym willom i szerokim podjazdom.

Rose wpatruje się przed siebie, zamyślona. W końcu zadaje pytanie, nad którym zastanawia się od jakiegoś czasu:

– Dlaczego przedstawiłeś się jako Vivaan?

– Lubię to imię. Oznacza „pełen życia”. Oddaje mnie całkiem trafnie. Ale na co dzień go nie używam... A ty? Masz drugie imię?

– Milagros.

Ville lekko otwiera usta. Jego dłoń, oparta swobodnie na podłokietniku, powoli osuwa się w dół, a spojrzenie zatrzymuje się na jej talii. Potem unosi wzrok i wbija go w jej oczy zapominając o całym świecie wokół.

– Milagros... czyli cuda – powtarza półgłosem, smakując każde słowo.

– Znasz hiszpański?

– Nie. Moja siostra była kiedyś fanką jakiejś telenoweli. Milagros była tam główną bohaterką... – drapie się lekko po skroni – czy coś takiego. Ale tytułu nie pamiętam.

– Mama tak sobie wymyśliła. Jest Hiszpanką. Ojciec – Anglikiem.

– Opowiedz coś jeszcze o sobie. Bo o mnie chyba już sporo wiesz.

Rose przyjmuje tę prośbę spokojnie, odchrząkuje, zakłada nogę na nogę i zaczyna opowiadać.

– No dobrze. Pochodzę z Bristolu, jestem jedynaczką... – zatrzymuje się na chwilę, jakby chciała się upewnić, czy to, co mówi, nie jest zbyt osobiste.

Libertyn słucha uważnie. Nie przerywa. Droga mija szybko. Wkrótce dojeżdżają pod wysoką, imponującą bramę posiadłości Rathorehouse. Ville zwalnia, przegląda telefon i wysyła wiadomość.

– Właśnie dostałaś kod QR. To twoja wejściówka. Pokaż go ochroniarzowi, sprawdzi tylko, czy nie masz w torebce siekiery albo AK-47.

Rose przez chwilę się waha, prosi, aby Ville jeszcze raz powtórzył. Gdy chłopak robi to z uśmiechem, ona już nie protestuje, uświadomiwszy sobie, że to nie jest zwykły dom. Bez słowa więcej wychodzi i wykonuje polecenie. Po chwili wraca, zapięta pod szyję.

– Okej... to było dziwne.

Brama powoli się otwiera, a Ville rusza naprzód.

– Wybacz. Taka procedura. Przynajmniej przy pierwszej wizycie. Gdybyś przyjechała własnym autem, sprawdziliby ci zawieszenie pod kątem ładunków wybuchowych.

Wjeżdżają głębiej w teren. Jest już zupełnie ciemno. Wiatr szarpie nagimi gałęziami drzew, a suche liście wirują pod kołami. Pałac lśni światłami, duże okna błyszczą jak ekrany, rzucając refleksy na ścieżkę. Z każdym metrem Rose coraz wyraźniej czuje skalę luksusu. Pokażny dom jej rodziców w angielskim stylu, choć elegancki, mógłby tu co najwyżej służyć za kwaterę dla służby. Ville skręca w prawo i podjeżdża pod spory budynek z jasną elewacją – dawną stajnię, dziś przerobioną na garaż.

– Koniec wycieczki. Idziemy – mówi gasząc silnik.

Rose wysiada i rozgląda się. Zna już ten widok z odcinka, w którym rodzeństwo Rian i mała Ami oprowadzali widzów po pałacu. Jednak na żywo wszystko robi znacznie lepsze wrażenie. Ville chwyta ją za rękę i prowadzi podziemnym przejściem do oranżerii, która pełni teraz funkcję domowego skateparku. Wnętrze pachnie metalem, lakierem i czymś lekko słodkim, a przy wielkim telewizorze stoi reszta zespołu, dywagując o czymś zawzięcie. Libertyn puszcza jej dłoń i staje swobodnie obok.

– Poznajcie Rose Mayer – przedstawia nową znajomą.

Dziewczyna unosi rękę w lekkim geście powitania. Przez moment czuje się jak w programie telewizyjnym – w zasadzie to plan zdjęciowy – jeden z wielu *Liberty Fade Life*, tylko dziś kamery są wyłączone.

Ville wskazuje kolejno:

– Emma Rian, moja siostra i gitarzystka – zaczyna spokojnie, gestem podbródka wskazując w stronę Emmy, a następnie przesuwając wzrok na chłopaka obok. – Thomas Kleinert – DJ i wokalista wspierający.

Rzuca koledze znaczące spojrzenie. – Thomas to mój chłopak.

DJ posyła mu teatralnego całusa, jakby to było coś zupełnie oczywistego.

– Robert Walker – perkusista i podobno chłopak dziewczyny z gitarą, oraz Paul Lewin – basista.

Zatrzymuje się, budując napięcie, po czym z emfazą rozkłada ramiona:

– I ja – Ville Rian, cud nad cudami, obdarzony pięknym głosem.

Rose uśmiecha się, a Emma odwzajemnia spojrzenie z błyskiem sympatii. Dziewczyna wygląda tak samo, a może nawet lepiej niż na zdjęciach czy w programie. Na pewno nie przypomina żadnej korporacyjnej nudziary. Ekstrawagancka fryzura, cekinowa, jaskrawoczerwona marynarka, czarny koronkowy top odsłaniający brzuch. Artystka pełną gębą.

– Może się czegoś napijesz? – pyta podchodząc do Rose.

– Dziękuję, nie teraz.

Emma wskazuje w bok brodą na barek. Są tam napoje, przekąski i coś mocniejszego.

– Częstuj się, póki spragniona hołota jeszcze nie dotarła i nie dobrała się do trunków. Libertyn mówił, że zrobisz nam kilka fotek. Potrzebujemy czegoś świeżego na social media.

– Jasne – odpowiada niepewnie. – Nie ma problemu. Choć jestem amatorką. I trochę się denerwuję.

Paul odzywa się z kanapy z uśmiechem:

– Nasz zespół nie znosi sesji. Całe to: „stań tak, uśmiechnij się, nie ruszaj się”... Jeśli dasz nam luz, będzie super. I nie stresuj się.

Ville w tym czasie podchodzi do lustra w rogu oranżerii, poprawia makijaż, sięga po błyszczący. Z teatralną pewnością siebie obraca się na pięcie i ogłasza:

– Ja jestem gotowy. Zaczynamy.

Podchodzi do Rose z powagą, lekko marszcząc brwi:

– To co mamy robić?

Reszta wybucha śmiechem. Dziewczyna automatycznie naciska spust migawki. Pierwsze zdjęcie – naturalne, w ruchu. Idealne. Obchodzi ich z aparatem, przygląda się uważnie. Ville – o porcelanowej cerze, dopracowany w każdym calu. Emma – kolorowa, z energią, która aż iskrzy. Paul – niebrzydki blondyn w kraciastej flaneli, z wyczuwalnym luzem. Robert – przystojny, włoski amant, lekki zarost, rockowy styl. Thomas – po prostu ładny chłopak, skater w obszernej bluzie, z czapką zsuniętą na oczy. Tak różni. I to ma być spójny zespół?

– Stańcie na rampie – rzuca. – Można też usiąść. Ma być wygodnie.

Słuchają. Wchodzą na rampę, jakby robili to setki razy. Paul przeciąga się, Thomas poprawia bluzę. Rose czeka cierpliwie i pyta:

– Ktoś zna jakiś fajny kawał?

Zapada cisza i lekka konsternacja. Zespół patrzy po sobie, a dziewczyna zaczyna robić zdjęcia – i o to właśnie chodzi.

– Mam jeden, ale nie wiem, czy wypada... bo jest z podtekstem – odpowiada Robert podnosząc rękę. Mówi go i kończy z pokerową miną. Wszyscy wybuchają śmiechem. Rose wykorzystuje moment – migawka pracuje w szybkim rytmie.

– Ville, podobno lubisz się przytulać z DJ-em Thomasem. Dawajcie.

Thomas patrzy groźnie, teatralnie mruży oczy. Libertyn nie czeka ani sekundy i rzuca się do przytulenia z nadmiarem entuzjazmu. DJ próbuje się wyrwać, ale szybko się poddaje. Dziewczyna wykorzystuje chwilę i chwytą kolejne ujęcie.

– Ile chcecie zdjęć?

– Kilka – odpowiada Emma. – Tak, żeby wrzucić coś fajnego.

Rose zerka na ekran aparatu, po czym podchodzi do konsoli pod dużym ekranem gdzie lecą najnowsze teledyski. Podłącza sprzęt i już po kilku sekundach zdjęcia pojawiają się na ekranie, jedno po drugim. Emma, stojąc przy Robertcie, obejmuje go w pasie i mruży oczy, studiując fotografię.

– Hmm... interesujące. O, to – wskazuje na jedno ze zdjęć – jest najlepsze. Na poprzednim wyglądam fatalnie.

– Bardzo fajne – dorzuca Thomas. – Jesteśmy tacy...

– Naturalni – kończy Ville, rozkładając ręce.

Robert kiwa głową, zsuwając dłoń na pośladek Emmy.

– I to jest to. Zawsze chcemy pokazać luz i przyjaźń. Rzadko komu udaje się to uchwycić.

– Najszybsza sesja w historii. Takie lubię – kwituje Paul z ulgą w głosie.

Emma od razu wrzuca kilka zdjęć na media społecznościowe. Lajki i komentarze zaczynają sypać niemal natychmiast.

Tymczasem pod pałac podjeżdżają sportowe samochody. Silniki warczą, światła odbijają się w mokrych płytach podjazdu. Z oranżerii dobiega już głośna muzyka, a otwarte drzwi migają kolorami reflektorów. Wysiada z nich nienagannie wyglądające towarzystwo – jakby wycięci z teledysku albo przeniesieni prosto z luksusowego eventu. Przystojniaki z idealnymi fryzurami i dziewczyny w szpilkach,

mini spódniczkach, lateksie i cekinach. Śmieją się, robią selfie, poprawiają włosy w odbiciu szyb. Wchodzą z impetem.

Thomas zapuszcza nowe elektroniczne hity, bas pulsuje w podłodze, stroboskopy tną przestrzeń. Kto potrafi, wskakuje na deskorolkę i pokazuje triki. Kto nie potrafi to udaje, że potrafi, ku uciesze reszty. W tle słychać śmiech, pisk obcasów, trzask otwieranych puszek i szum rozmów w różnych językach.

Impreza rozkręca się, a Rose – ku własnemu zaskoczeniu czuje się tu dobrze. Atmosfera jest koleżeńska, ciepła, odrobinę szalona, ale pozbawiona presji. Rozmawia z Emmą i Wendy, dziewczyną Paula. Powoli się rozluźnia, śmieje. Ma wrażenie, że nie musi tu nikogo udawać. Na stole ktoś ustawia piramidę z kieliszków, gdzieś z boku ktoś ćwiczy salto w powietrzu.

Zbliża się dwudziesta druga. Ville chwyta deskorolkę, robi dwa kroki rozbiegu i spektakularnie wywraca się już przy pierwszym triku. Ląduje na tyłku i teatralnie jęczy, jakby właśnie zakończył bolesny dramat sceniczny. Dwie blondynki rzucają mu współczujące spojrzenia. Trudno ocenić, czy patrzą na jego uraz, czy na wyrzeźbione mięśnie odsłonięte przez podwiniętą koszulkę. On jednak ich nie zauważa. Patrzy tylko na Rose, która zdążyła uchwycić moment upadku i teraz robi mu zdjęcie, nie kryjąc rozbawienia.

– Ja tu cierpię, a ty się bawisz aparatem. Może chociaż pomożesz mi wstać?

Dziewczyna podchodzi i podaje mu rękę. Ville chwyta ją za dłoń, wstaje z przesadzonym jękiem i nachyla się, szepcząc jej do ucha:

– Mam wygodne łóżko. Może chcesz się przekonać, zanim zbałamucę dwie blondynki?

– Na szczęście nie przyjechałam tu na casting do haremu, monsieur Rian.

– Oj, piękna... ty chyba nie wiesz, ile dziewczyn naprawdę przyjeżdża tu właśnie na casting.

Patrzy na nią spod długich rzęs, przez chwilę nie mruga.

– Ale spokojnie. Ty już jesteś moją ulubienicą.

Potem dodaje po francusku:

– *J'aimerais te goûter.* (Chciałbym sprawdzić, jak smakujesz.)

Rose zapiera dech. Libertyn szepczący jej do ucha po francusku? Nie musi znać języka, żeby zrozumieć sens. Nawet gdyby mówił „kaczka zapiekana w cieście”, efekt byłby ten sam. Jego francuski działa jak afrodyzjak. Komentarze fanek spod paryskiej rolki dźwięczą jej w głowie.

– Masz dwie opcje – mówi nagle poważnie. – Mogę poprosić szofera, żeby cię odwiózł do domu. Albo... możesz wykorzystać fakt, że jesteś moją faworytką i zostać na noc. Pokój gościnny jest gotowy.

Wyciąga klucz. Na wisiorku wygrawerowano napis: Pokój Bacha.

Rose chce odmówić. Już otwiera usta, ale w ostatniej chwili przypomina sobie odcinek z pierwszej serii *Liberty Fade Life*, w którym pokazano właśnie tę sypialnię – gościnną, elegancką, według Emmy najładniejszą. Prostuje się, jakby coś w niej pękło. On to dostrzega. Pochyla się lekko, a jego głos staje się niższy, niemal konspiracyjny.

– Mam nadzieję, że skorzystasz z oferty. A ja... cóż, muszę zająć się koleżankami.

Odchodzi, nonszalancko kładąc dłonie na pośladkach obu dziewczyn.

Emma stojąca w drugim końcu sali przez chwilę obserwuje, jak Ville znika z dwiema blondynkami, po czym odwraca się do Roberta z rozbawieniem w oczach.

– Interesujące. Libertyn przyprawia do pałacu śliczną dziewczynę i... nie idzie z nią do łóżka. Myślisz, że jest lesbijką?

– A może po prostu jest porządna?

– Porządne dziewczyny nie przychodzą z moim bratem do pałacu. Rose musi woleć płeć piękną. Chcesz się przekonać?

– Nie mów, że staniesz w szranki ze swoim bratem.

– Czas start – odpowiada i już rusza w stronę Rose.

Staje przed dziewczyną pewnie, z ręką na biodrze.

– Hej. Co powiesz na miłe spotkanie ze mną i Robem w naszej sypialni? A jeśli będziesz miała ochotę, możemy się go pozbyć. W sumie nie będzie nam potrzebny.

Rose otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. W głowie słyszy tylko wrzask: *Emma Rian, siostra Libertyna, próbuje się ze mną przespać. Co tu się, do cholery, dzieje?* Po chwili przypomina sobie nocny maraton z ich programem. Widzowie wiedzą, jak intensywne życie prowadzą członkowie Liberty Fade. To nie kreacja. To styl.

– Nie, wybacz – mówi w końcu spokojnie, ale stanowczo. – Nie interesują mnie takie przygody. Przyjechałam tylko porobić wam zdjęcia. Zaraz się zbieram.

– Dobrze. Trochę szkoda. Braciszek dał ci klucz do pokoju gościnnego, więc mam nadzieję, że jednak zostaniesz. Chętnie pokażę ci drogę.

Milczy przez chwilę, rozglądając się po sali z typową dla siebie pewnością. Jej wzrok zatrzymuje się na zgrabnej brunetce w bordowej sukience. Muska policzek Rose koniuszkami palców.

– Poczekaj chwilę. Zawołam Roba i weźmiemy sobie jakąś przytulankę – mówi półgłosem, jakby proponowała herbatę.

Już po chwil daje znak swojemu chłopakowi, który łapie wybraną dziewczynę za talię i prowadzi w stronę wyjścia. Emma bierze Rose za rękę i ruszają za nimi. Cała czwórka wchodzi do pałacu. Przechodzą przez drzwi i stają w głównym holu. Marmurowe schody rozchodzą się łukiem w górę, balustrady lśnią niczym biżuteria, a nad nimi wznosi się wysoka kopuła z freskami. Rose zatrzymuje się odruchowo. Ten widok zna z programu, ale na żywo wygląda niemal nierealnie. Luksus nie jest tu tylko tłem – pulsuje w powietrzu, odbija się echem od kamienia, pachnie świeżością kwiatów i pasty do marmuru.

Emma rzuca jej spojrzenie przez ramię, zauważając zachwyt.

– Jeśli będziesz głodna, na końcu korytarza po prawej jest kuchnia. Kucharka dawno ma wolne, ale lodówka dla gości zawsze jest otwarta. Bierz, co chcesz.

Wskazuje główne schody.

– Tędy najłatwiej dojdiesz do Pokoju Bacha. Są jeszcze dwie boczne klatki, ale tu jest najprościej.

Wchodzą po stopniach. Robert obejmuje brunetkę i całuje ją w półmroku; Emma nie zwraca na to najmniejszej uwagi.

– My idziemy tędy – mówi już swobodniej, pokazując na korytarz. – To część rodzinna. Ty skręć w prawo, tam są pokoje gościnne.

W tej samej chwili zza rogu wyłania się pokojówka. Emma mówi do niej kilka cichych słów, po czym macha Rose na odchodne. Kieruje się na lewo razem z chłopakiem i brunetką.

– Faktycznie jest porządna – szepcze do Roberta zanim znikną w ciemnym korytarzu.

Rose zostaje sama przy schodach z sercem bijącym odrobinę szybciej i przestrzenią, która mimo całego splendoru nagle cichnie. Jakby pałac wstrzymał oddech, czekając na jej decyzję.

Idzie powoli. Pokojówka kroczy za nią niemal bezszelestnie. Korytarz chłonie noc. Drzwi otwierają się bez najmniejszego skrzypnięcia. To Pokój Bacha – dokładnie taki jak w programie: elegancki, pachnący lawendą, ze świeżo pościelonym łóżkiem i wielkimi oknami wychodzącymi na ogród. Rose zatrzymuje się w progu, niepewna.

Pokojówka mówi łagodnie:

– Panienko, w szafie są ręczniki, szlafrok i akcesoria kąpielowe. Jeśli będzie taka potrzeba, mogę odświeżyć ubrania. Rano będą gotowe.

Rose dziękuje skinieniem głowy. W łazience przebiera się w miękki szlafrok i z wahaniem podaje sukienkę, rajstopy i bieliznę. Kobieta uśmiecha się dyskretnie i wychodzi bez słowa. Zostaje sama – naga, symbolicznie rozbrojona, w pałacowej łazience.

Bierze gorący prysznic. Woda nie pomaga. Ville, Emma, zespół. Te zdjęcia. Ten wieczór. Wszystko przypomina narkotyczny sen – taki, z którego nie wiadomo, czy chce się obudzić. A przecież Rose zna luksus. Dorastała w pięknym domu, bywała w muzeach, spała w butikowych hotelach. Nie jest dziewczynką z zapawkami. A jednak... coś w niej drży.

Otulona białym szlafrokiem kładzie się do łóżka. Zatrzymuje się na moment, wzdycha ciężko. Wie, że nie powinna o nich myśleć. Ani o Libertynie, ani o jego siostrze. A jednak żałuje. Nie tego, że odmówiła. Żałuje, że teraz ich przy niej nie ma.

– Czy jeśli powiedziałam nie, to jestem już skreślona? – pyta samą siebie.

Nie wie, co przeraża ją bardziej: że rano wyjdzie stąd, jakby nic się nie wydarzyło, czy że została i jutro znów spotka Villego i Emmę. Jeszcze chwilę patrzy w sufit. Potem decyduje – nie będzie tego teraz analizować. Jeśli to ma być koniec, niech przynajmniej będzie królewski.

Rozdział 2

Rose postanawia zmienić swoje nudne życie.

Rose budzi się gwałtownie – może przez dźwięk, może przez koszmar, a może to po prostu ten dom: zbyt cichy, zbyt duży, by naprawdę spać w nim spokojnie. Przez chwilę leży bez ruchu, nasłuchując. Z zewnątrz dobiega szuranie; może ktoś już krąży po korytarzu, może to pokojówka. Przeciera oczy, wzdycha ostrożnie wstając z łóżka. Podchodzi do drzwi i przykłada ucho. Słyszy tylko stłumione kroki w oddali. Sięga po klamkę i uchyla je powoli, jakby otwierała sejf.

Na wieszaku wisi jej czarna sukienka, obok torebka. Sprawdza jej zawartość: rajstopy i bielizna. Oddycha z ulgą, zgarnia wszystko jednym ruchem i znika w łazience. Kilka minut później nakłada makijaż – szybki, delikatny, ale robiący różnicę. Zna te kosmetyki na pamięć: wyćwiczone ruchy palców, odrobina tuszu, trochę korektora. Ubiera się i spogląda na siebie w lustrze z cichym uznaniem. Wygląda jak dziewczyna, która ma wszystko pod kontrolą.

Tylko że w brzuchu burczy. I to konkretnie. Poprawia dekolcję, gdy telefon zaczyna wibrować.

V: Jak noc – udana czy samotna?

Uśmiech pojawia się sam, bez zapowiedzi.

R: I samotna, i udana.

Nie zdąża odłożyć telefonu – znów ten dźwięk, zapowiedź kolejnej wiadomości. Jakby Ville specjalnie czekał.

V: Hmm... interesujące. A kiedy robiłaś to, co robiłaś, żeby noc była udana... myślałaś o mnie?

Rose wstrzymuje oddech. Przez moment nie łapie sensu, ale po chwili dociera do niej, co chłopak ma na myśli. Twarz robi jej się ciepła.

V: Jesteś tam? Trafiłem?

Jej palce zawisają nad ekranem. Zawahanie trwa może sekundę, zaraz jednak odpisuje.

R: Tak, jestem. I trafiłeś jak kulą w płot.

Chwilę po wysłaniu wiadomości rozlega się pukanie do drzwi. Krótkie, szybkie, zdecydowane. Rose podskakuje, patrząc na klamkę, jakby miała zaraz eksplodować, ale otwiera – z lekkim wahaniem.

Za progiem stoi Ville. Oczy niczym z plakatu, ubranie jak z sesji zdjęciowej, makijaż idealny. Uśmiech mówi wszystko: *wiem, co robię. I wiem, że ci się to podoba.*

– Oj, niegrzeczna Rose – rzuca miękko i posyła jej oczko.

– Zaczynasz mnie irytować. Gdzie zgubiłeś blondynki?

– Zazdrosna? – dotyka czubkiem języka górnej wargi. – Blondynki wyszły nad ranem. Moja noc była... intensywna. Jestem głodny i mam bardzo niebezpieczne pomysły.

Słowa trafiają prosto między żebra. Rose mimowolnie przygryza usta. Przed oczami pojawia się obraz Eryka – spokojnego, bezpiecznego, przewidywalnego. Ale nie dziś. Dziś nie ma na niego miejsca.

Opiera się o framugę, krzyżuje ręce na piersi. Chce wyglądać pewnie.

– Nie boisz się śmierci głodowej?

– Spokojnie. Najpierw zjem śniadanie, a ciebie spróbuję kiedy indziej – mówi miękko i teatralnie wyciąga do niej ramię. – Idziemy?

Rose nie odpowiada. Opiera się o niego i ruszają razem korytarzem, mijając obrazy, które zdają się ich obserwować. Na schodach czeka Echo. Merda ogonem i szczeka raz, krótko, jakby komentowała sytuację. Ville głaszcze ją po łbie, a ona rusza obok nich, niczym królewski pies eskortujący dwór.

W jadalni panuje gwar. Przez okna wpada ostre, jesienne słońce, odbijając się od kubków, talerzy i rozczochranych głów. Ktoś chichocze, ktoś ziewa. Pachnie kawą, pieczywem i czymś maślanym. Na tle białych ścian zdobionych sztukaterią i lustrami siedzi zespół w całej okazałości – rozparty, niedbały, autentyczny. Wendy zanosi się śmiechem, gdy Robert kończy opowieść o podartych spodniach. Paul miesza łyżeczką w kubku. Emma siedzi między chłopakami jak królowa chaosu.

– Cześć wszystkim – mówi Rose cicho.

Kilka głów się odwraca, ktoś macha, ktoś się uśmiecha.

Emma nie czeka. Zakłada nogę na nogę, przygląda się Rose uważnie i od razu uderza w punkt.

– Kochana, piękna koleżanka. Porządna dziewczyna, która jako jedyna spędziła noc sama. Jak było? Myślałaś o mnie?

– Zmówiliście się z Ville, czy co?

– Oj, kochanie, nie bierz tego tak do siebie.

Paul wtrąca się z rozbawieniem:

– Jesteś świeżą krwią. Rodzeństwo Rian to wampiry gotowe się pozabijać o tę krew.

Ville przewraca oczami teatralnie.

– Sis, znowu?

– W tym roku mamy trzy do dwóch dla mnie – odpowiada szturchając go w ramię. – I ten sezon mam zamiar wygrać. To nasze ostatnie starcie.

Potem patrzy na dziewczynę z takim uśmiechem, że ta niemal traci równowagę przy krześle.

– Czy ja jestem jakimś punktem? Jakimś celem? – pyta Rose, a głos niebezpiecznie zbliża się do pisku.

– Zdecydowanie jesteś – odpowiadają niemal jednocześnie.

Rose siada obok Roberta. Ville zajmuje miejsce naprzeciwko. Echo kładzie się pod stołem, głową na łapie, jednym uchem do góry. Ktoś nalewa sok, ktoś prosi o masło, ktoś przewraca oczami, ktoś chichocze. Rozmowa schodzi na trasę, koncerty, stroje, setlisty. Atmosfera z minuty na minutę gęstnieje – nie ciężka, tylko pełna. Ciepło, żarty, lekkie szturchnięcia łokciem.

Po pół godzinie śniadanie dobiega końca. Rozmowy cichną, krzesła odsuwają się z miękkim szelestem. Członkowie zespołu rozchodzą się po pałacu, jeszcze dziś mają próbę. Paul z Robertem stoją przy ekspresie, dyskutując półgłosem. Thomas wychodzi jako pierwszy; słuchawki na uszach, kaptur naciągnięty na głowę, wzrok wbity w ekran. Mija ich bez słowa, całkowicie w swoim świecie.

Emma i Ville zostają jeszcze chwilę, dopijają kawę i wymieniają krótkie spojrzenia – jakby oboje wiedzieli, że coś za moment się wydarzy. Obserwują Rose, która zostaje z nimi przy stole.

Patrzy w pusty talerz, potem na prawie nietkniętą filiżankę. Gdzieś w tle tyka zegar – niewidoczny, ale głośny. W końcu wstaje. Przez moment waha się przy krześle, palce zaciskają się na oparciu. Potem spogląda w stronę drzwi.

– Wracam do domu – mówi cicho. – Dzięki za miło spędzony czas. Fajnie było was poznać.

– Nie mów, że uciekasz – rzuca Emma z lekką rezygnacją.

– Bajka skończona. Wracam do swojego nudnego życia, w którym dla nikogo nie będę trofeum.

– Jeśli czujesz się jak nagroda, to słaby pretekst, żeby się wycofać. Uznałam cię za bardziej... waleczną.
– Nie będziecie mieć igrzysk z moim udziałem. Jak mam wrócić do domu?

Emma chce jeszcze coś dodać, ale Ville unosi dłoń. Gest prosty, cichy a jednak działa.

– Posłuchaj, piękna – mówi łagodnie. – Zostawmy to na razie. Zanim wyjdiesz stąd i później będziesz tego żałować... może zechcesz zobaczyć próbę zespołu? A potem będę mieć do ciebie sprawę. Ważną. Rose patrzy na niego długo. Milczenie między nimi gęstnieje z każdą sekundą. W końcu przytakuje.

– Obiecuję: jeśli po tym dniu dalej będziesz chciała – osobiście odwiozę cię. Wrócisz do swojego nudnego życia pani informatyk. I więcej się nie zobaczymy.

Ona kiwa głową niemal niezauważalnie.

Ville i Emma odchodzą w stronę gabinetu, a Rose zostaje sama w rozległym holu. Przez chwilę stoi nieruchomo, jakby nie była pewna, czy wolno jej zrobić krok. Przestrzeń jest zbyt duża, zbyt otwarta – przygniata ją ciszą i echem własnych myśli. Podnosi wzrok, lecz szybko go opuszcza. To wszystko jest za bardzo. Za wysokie. Za piękne. Za nie jej. Ma wrażenie, że pałac oddycha własnym rytmem, zupełnie obojętnym na jej obecność.

Po chwili do środka wpada biegiem Amidala, zarumieniona od chłodu. Na widok znajomej od razu się uśmiecha i przybija z nią żółwika. Nie mija chwila, a dziewczyny zaczynają rozmawiać, wracając do tamtego dnia na placu zabaw. Ich głosy odbijają się echem w holu, lekkie, swobodne, zupełnie naturalne.

Na prośbę Amidali przechodzą do pokoju kominkowego, gdzie stoi fortepian z uniesioną pokrywą. Dziewczynka siada przy nim i z uśmiechem zaprasza Rose, wskazując miejsce obok siebie.

Tymczasem za zamkniętymi drzwiami gabinetu Ville i Emma krążą po pokoju, każde pogrążone we własnej zadumie. Panuje cisza.

– Ta laska może być potrzebna – odzywa się w końcu Emma, opierając się o poręcz fotela. – Informatyk. Jakikolwiek. Ktoś, kto ogarnie ten cały syf, choć trochę. Tu i teraz.

– Wiem – odpowiada cicho. – Ale jeśli zaczniemy ją traktować jak trofeum, to sobie pójdzie. Jest zbyt ambitna i zbyt porządna. Jeśli zgodzi się na współpracę, odpuść jej.

– A ty jej odpuścisz?

– Teraz tak. A później... zobaczymy. Pałac ma swoje sposoby.

– To i ja jej na chwilę odpuśćę – przyznaje Emma. – Jest zbyt intrygująca, żeby o nią nie powalczyć. Ale najpierw niech zobaczy próbę, a potem jej to pokażesz.

Siostra wychodzi pierwsza. Libertyn zwleka jeszcze chwilę, po czym wraca do holu. Zatrzymuje się za jednym z filarów, gdy słyszy śmiech – dziecięcy, szczery, ciepły.

Amidala pokazuje Rose, jak zagrać kilka prostych dźwięków na fortepianie. Dziewczyna uderza niepewnie w klawisze. Melodia się nie składa, ale mała klaszcze w dłonie i zachęca ją do kolejnej próby. Gdy znów się myli, obie wybuchają śmiechem.

– Mam fajnego tatę, co? – pyta Ami z dumą.

– Tak. Jest fajny. I na pewno bardzo cię kocha.

Amidala przytula się do niej z ufnością. Tak po prostu – bez lęku, bez wyczekiwania. Z dziecięcą lekkością, która rozbraja największy mur.

– Przyjdiesz na święto Diwali? Będą kuzyni, przyjaciele i moi dziadkowie... znaczy Mia i Rami.

Dziewczyna zamiera. Po pierwsze – nie ma pojęcia o tym święcie. Jest katoliczką, ale domyśla się, że Diwali to coś rodzinnego, intymnego. Święto dla bliskich. A ona... nie jest ani rodziną, ani przyjaciółką. I tak już wtedy jej tu nie będzie. Bajka się skończy. Siedzi więc bez ruchu, z dłońią wciąż na klawiszu, nie wiedząc, co powiedzieć, by nie zrazić dziecka i niczego nie obiecać.

Ville, obserwujący scenę z oddali, dostrzega jej konsternację. Wychodzi z cienia i podchodzi spokojnie.

– Nasza koleżanka przyjedzie, jeśli będzie mogła. Dorośli mają dużo obowiązków.

Patrzy na Rose, zatrzymując na niej wzrok.

– Masz jakieś plany... za trzy tygodnie?

– Nie mam planów.

Amidala klaszcze w dłonie, całuje Rose w policzek, rzuca się ojcu na szyję i zaraz potem biegnie do niani.

– Skoro zostałam – mówi Ville, podchodząc do fortepianu, przy którym siedzi Rose. – To zobaczysz próbę.

Następnie kładzie dłonie na klawiszach. Pierwsze nuty *Moonlight Sonaty* rozlewają się po pomieszczeniu miękko, czysto. Dźwięk jest równy, spokojny, niespieszny.

Rose odwraca się w jego stronę i patrzy na jego twarz — wyciszoną, niemal nieruchomą, wygładzoną światłem wpadającym z boku. Przez moment śledzi każdy jego ruch, potem przymyka oczy, poddając się dźwiękom fortepianu, które wypełniają przestrzeń i zostają w niej jeszcze chwilę po każdym wybrzmieniu.

– Już czas – mówi, kończąc utwór. – Chodź, ślicznotko.

Dołączają do reszty. Emma, Thomas, Paul i Robert właśnie schodzą na dół. Podziemia przypominają labirynt. Kamienne korytarze, ciężkie drzwi, ciepłe światło lamp ukrytych w ścianach. Kroki odbijają się wyraźnie od podłogi, a w powietrzu unosi się delikatny zapach drewna i cytrusowej świeżości.

Libertyn nie przepuszcza okazji do żartu, szturcha Rose w ramię:

– Za tymi drzwiami trzymam dziewice, a za tamtymi porządne dziewczyny. Każda kiedyś pęka. Wszyscy kończymy w jaskini...

– ...rozpusty i wszelkiego zła – kończy dziewczyna z ironicznym tonem.

Ekipa wybuchają śmiechem. Thomas rzuca spojrzenie przez ramię, Paul parska cicho pod nosem.

Ville zatrzymuje się przy jednych z drzwi, uchyla je płynnym ruchem i przepuszcza wszystkich przodem. Ich oczom ukazuje się sala prób – przestronna, z wysokim sklepieniem przypominającym katedrę, pełna sprzętu, kabli i resztek energii z ostatniego koncertu.

Rose siada na skraju fotela, ustawia torbę obok, klika coś w aparacie. Próba zaczyna się chaotycznie. Gitary nie mogą się zgrać, Robert gubi rytm, Emma rzuca mu coś po fińsku. Libertyn odlicza, potem przerywa i poprawia mikrofon.

Rose, choć nikt jej o to nie prosił, robi zdjęcia. Działa automatycznie, jakby nie była gościem, lecz częścią tego świata. W pewnym momencie wszyscy zaczynają pozować – nieświadomie, mimochodem. Paul robi głupią minę, Thomas pokazuje język, Emma celuje gryfem gitary w obiektyw.

Ville śpiewa. Bezbłędnie, bez wysiłku, całym ciałem i jedną nutą. Jego głos wypełnia przestrzeń równomiernie.

Po skończonej próbie zbierają się wokół aparatu. Przeglądają zdjęcia. Są zachwyceni. Emma klaszcze w dłonie, Robert śmieje się, że ma nową fotkę na plakat. Paul komentuje jedno ze zdjęć z krzywo zawieszoną gitarą.

Dziewczyna tylko się uśmiecha. Krótko. Nie musi mówić „dziękuję”.

Paul odstawia bas, Thomas zwija kabel od konsoli. Po chwili obydwaj zbierają się do swoich spraw, żegnając się w biegu. Emma i Robert znikają gdzieś schodami na górę. Ville zostaje z Rose.

– Muszę się przebrać. Chodź. Zabiorę cię do jaskini... – rzuca z uśmiechem, ale zaraz dodaje, gdy widzi, że dziewczyna cofa się o krok:

– Hej, spokojnie – unosi ręce w lekkim geście. – Obiecuję, że będę grzeczny. Chwilowo nie mam interesu, by cię nagabywać. Potrafię odróżnić życie zawodowe od prywatnego. A teraz jestem w pracy. Idą razem przez pałac – mijają główne schody, potem długi korytarz, który kończy się drzwiami z napisem „Libertyn”, wypisany złotymi literami. Ville otwiera je teatralnym ruchem i przepuszcza ją przodem.

Wnętrze przypomina salon królewski z katalogu architektonicznego – luksusowy, pałacowy styl w odcieniach szarości i czerni. Sztukateria, aksamitne zasłony, świeczniki, a pośrodku ogromne łóżko, większe niż jakiegokolwiek, które można kupić w standardzie.

– Idę się ogarnąć. Kładź się, zrelaksuj... i nie panikuj – rzuca i znika w łazience.

Rose siada ostrożnie na brzegu łóżka. Miętkość materaca niemal ją pochłania.

– Faktycznie wygodne – przyznaje półgłosem.

W głośnikach ukrytych w suficie rozbrzmiewa muzyka – coś spokojnego, klasycznego.

Kwadrans później, Ville wychodzi z łazienki w czarnych bokserkach i przechodzi dalej do garderoby. Dziewczyna śledzi każdy jego ruch: poruszające się mięśnie, linię pleców, mokre włosy i ten zawadiacki uśmiezek, który mówi więcej niż słowa.

W głowie pojawia się nieproszony obraz – Eryk. Z lekką nadwagą, nieogolony, w za małej koszulce. Ścisła palcami narzutę. Próbuje odgonić myśli, nie wiedząc, które są gorsze – te o Eryku czy te o łóżku Libertyna.

Ville wraca w dopasowanej koszuli, rozpiętej pod szyją. Delikatny makijaż podkreśla jego rysy. Siada na łóżku i kładzie się obok niej na wznak. Ma zamknięte oczy; twarz spokojną, niemal rzeźbioną.

– Jak chcesz, możesz mnie pocałować. Nie obrażę się – mruczy, nie otwierając oczu.

– Czy możemy już stąd iść? – pyta cicho.

Libertyn łapie ją za dłoń. Uśmiecha się zawadiacko, ale po chwili poważnie, opiera się na łokciu.

– Słuchaj... co wiesz o serwerach i backupach?

– To podstawa. A co konkretnie chcesz wiedzieć?

– W sumie sam nie wiem – zaczyna niepewnie. – Powiedzmy, że mam bałagan w komputerze. Mnóstwo nieobrobionych filmów, nagrań, kopii i kopii kopii... masa danych. Dałabyś radę to ogarnąć? Teoretycznie?

– Wymaga to mnóstwa pracy, ale raczej nic skomplikowanego.

Ville uśmiecha się i szybko coś pisze w telefonie. Chwilę później rozlega się dźwięk połączenia – to Emma na głośnomówiącym.

– Koniec zabawy. Nie traćmy więcej czasu – brzmi jej głos, rzeczowy, zbyt rozkazujący.

Ville patrzy na dziewczynę już bez uśmiechu. Rose czuje, jak w żołądku pojawia się ciężar. W tym ogromnym pałacu na stałe mieszkają tylko on, Emma, Amidala... i służba, której nie widać. Loch z dziewczynami – czy to był tylko żart?

– Chodź, pokażę ci coś – mówi Ville i wyciąga do niej rękę.

Przyciąga ją lekko. Serce dziewczyny podchodzi do gardła. Jeszcze niedawno powtarzała w myślach jak mantrę: *mam chłopaka, Eryk jest dla mnie wszystkim*. A teraz? Teraz pojawia się inny obraz – nie ten z wakacyjnych zdjęć, lecz ten, którego nie chciała widzieć: za krótka koszulka, lekko tłusta skóra, znudzenie, nieobecność. Prawie aseksualność. Zaciska palce mocniej na jego dłoni, jakby potrzebowała oparcia.

Schodzą w dół, do podziemi. Zatrzymują się przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami. Chłopak wyciąga klucz, przekręca go z lekkim oporem i zapala światło.

– Tylko nie zrób wielkich oczu – mruczy, choć sam spodziewa się ataku paniki.

Wchodzą do środka. Pomieszczenie jest zaskakująco jasne. Choć to podziemia, w ścianie znajduje się wąskie, długie okno z widokiem na ogród. Pod nim szerokie biurko, a na nim plątanina kabli, kilka dużych monitorów, serwer, głośniki, ładowarki, kamera na statywie. W rogu regał z dziesiątkami kamerek i mikrofonów. Artystyczny chaos.

Ville podchodzi do komputera i klika w ekran.

– Folder: „Liberty Fade Life 24”. Oto nasz złoty graal.

Otwiera plik. W środku – dziesiątki podfolderów nazwanych pośpiesznie i bez sensu: „v2 nie kasować”, „nie otwierać pls”, „robocze2024 copy”. Wchodzi w „villefinal”. A tam kolejne kopie.

– Kto to wszystko stworzył? – pyta, próbując złapać jakikolwiek logiczny sens.

– Wszyscy. Ja, Emma, montażysta, czasem Ami, jak bawiła się w klikacza – odpowiada z dumą.

Klikają dalej. Otwierają plik wideo. Kilkanaście sekund nagrania – rozmowa Thomasa i Roberta, przerywana śmiechem Emmy. Kolejny klip – Ville sam w pokoju, mówi coś do kamery. Potem coś z koncertu. Nic nie jest opisane.

– To materiał tylko z pięciu miesięcy – mówi cicho. – A za chwilę zaczynamy nowy sezon. Rose... jesteśmy w dupie.

Odwraca się do niej. Twarz ma poważną. To nie flirt. To nie teatr.

– Jaką masz na to radę?

– Najpierw wszystko trzeba przegrać na zewnętrzny dysk. Dobrze opisany. Potem zrobić backup. Zmapować strukturę – co jest czym, z którego dnia, jaka kamera. Wywalić duplikaty, posegregować według kategorii: backstage, trasa, rozmowy, koncerty, nagrania specjalne. Dopiero potem montować. Inaczej się w tym utopicie.

– Ile czasu by to zajęło? Tobie?

– Miesiąc. Może dłużej, jeśli mówimy o kilku godzinach dziennie.

Klika coś na klawiaturze. Ekran miga, otwiera się nowe okno.

– Macie w ogóle wystarczająco dużo miejsca?

Libertyn wzrusza ramionami i opada na fotel. Bierze głęboki oddech.

– Montażysta mówił, że się kończy. Że wszystko już prawie pęka.

– Jakim cudem stworzyliście tyle świetnych, profesjonalnych odcinków, mając taki burdel w systemie?

– Czysta magia. I Harry – nasz montażysta.

Siedzą chwilę w ciszy, wsłuchani w buczenie sprzętów. Ekran rozświetla im twarze. Tysiące plików, dat, folderów – plątanina cyfrowej historii.

Ville wstaje i przeciąga się lekko.

– Chodź do gabinetu. Pewnie już Emma czeka.

Przechodzą przez korytarz pachnący herbatą i drewnem. Libertyn otwiera ciężkie, dwuskrzydłowe drzwi i przepuszcza Rose przodem. Przestrzeń za nimi tonie w przytulnym półmroku. Emma stoi przy regale, trzymając w dłoniach książkę ze złotym grzbietem. Strony szeleszczą cicho, gdy je przerzuca. W kominku trzaska ogień.

Ville podchodzi do dużego, dębowego biurka. Siada w eleganckim, skórzanym fotelu, wyjmując z szuflady teczkę i rozkłada papiery z dbałością, która kontrastuje z jego wcześniejszym chaosem.

– Zespół jest tobą oczarowany, nie mniej niż ja – zaczyna spokojnie. – Chcemy cię zatrudnić. Do obsługi technicznej. Chodzi o... no, o te komputerowe sprawy, to, co widziałaś. A gdy uporasz się z archiwum, byłabyś odpowiedzialna za porządek w nowych nagraniach – nie tylko tutaj, na miejscu, ale też w trasie. Tam, gdzie my, tam też ty.

Dziewczyna siada ostrożnie na miękkim fotelu naprzeciwko. Poprawia rękaw sukienki, a jej palce bezwiednie muskają skórzane poręcze.

– Nie będę owijał w bawełnę, Rose. Potrzebujemy cię. A ja chcę ci dać solidną umowę i pensję.

Emma zapisuje coś na małej kartce, składa ją na pół i podaje dziewczynie przez blat. Rose rozwija ją i przez chwilę tylko patrzy, jakby nie dowierzała.

– To duża kwota. Jestem amatorką – mówi cicho.

Ville wzrusza ramionami, obraca długopis w palcach.

– Tak, w tej branży to naprawdę sporo. Ale oczekujemy pełnego zaangażowania. Czas nas goni. Kiedy nagrywamy tutaj, na miejscu, powinnaś mieszkać w pałacu – podobnie jak reszta ekipy. To po prostu wygodniejsze, bo pracujemy praktycznie całą dobę. Zresztą... w pierwszych tygodniach też będziesz miała co robić

Zza okna dobiega szelest liści niesionych wiatrem, ale Rose zdaje się go nie słyszeć. Nie odwraca wzroku. Patrzy mu prosto w oczy.

– Jest jakieś „ale”?

– Dwa – odpowiada spokojnie.

Wstaje, podchodzi do regału i przez chwilę szuka czegoś między książkami. Ostatecznie nie wyjmując niczego – jakby sam dotyk starych grzbietów pomagał mu uporządkować myśli. Nachyla się nad biurkiem, chcąc coś zanotować, lecz zamiast tego zatrzymuje wzrok na jej dekolcie. Uśmiecha się pod nosem. Potem prostuje się i mówi powoli:

– Pierwsze: umowa o poufności, czyli NDA. To nasza stała praktyka. Mieszkanie w pałacu, przebywanie z rodziną Rianów i zespołem wymaga dyskrecji. To, co pokazujemy w programie, to tylko część prawdy. Będziesz bardzo blisko. I to, co tu zobaczysz, nie zawsze nadaje się do opowiadania.

Emma odkłada książkę na stolik. Jej głos jest cichy, pewny.

– Dziś wrócisz do domu. Przemyśl to. Nie odpowiadaj od razu. Przeczytaj szkic dokumentu i daj znać, kiedy będziesz gotowa.

Rose kiwa głową, ale jeszcze nie wstaje. Przesuwa palcem po złożonej kartce z kwotą, jakby jej dotyk miał potwierdzić rzeczywistość.

– A drugie „ale”?

Ville uśmiecha się kątem ust, prawie jak chłopak z sąsiedztwa – ale to tylko pozór.

– Wejdiesz w środowisko, gdzie granice są płynne. Nie będę udawał, że nie wiesz, o co chodzi.

– Możesz stąd odjechać i nigdy nie wracać – dodaje Emma. – A możesz zmienić swoje nudne życie w przygodę. Jesteś młoda... daj się ponieść. Będzie fajnie.

Szofer odwozi ją do domu. Rose siedzi w milczeniu, z teczką i złożoną kartką na kolanach. Za szybami rozciąga się ciemność jesienno-wieczoru – zamglone światła, mokre liście na asfalcie.

Myśli o Libertynie. Nie o pałacu, pieniądzach czy popularności. O nim. Byстрыm, spostrzegawczym, pewnym siebie. Potrafił zmienić się w mgnieniu oka – z rozkojarzonego artysty w precyzyjnego negocjatora. A przy tym był niewzruszony, zamknięty jak sejf.

Gdy samochód zatrzymuje się pod jej blokiem, Rose wysiada i wciąga zimne powietrze w płuca. Rusza w stronę drzwi, lecz odwraca się jeszcze na moment. Patrzy na oddalającą się limuzynę. Jej światło znika za rogiem, zostawiając tylko chłód i ciemność. I tę wizję – że może właśnie minęła szansa, która już nigdy się nie powtórzy.

Ville resztę dnia spędza z Amidalą. Bawią się na dywanie, czytają książeczki o księżniczkach i smokach, grają w teatrzyk lalkowy, śpiewają dla zabawek półgłosem, jakby naprawdę śniły. Zwykły, miękki dzień ojca z córką – utkany z dotyku, śmiechu i szeptów.

Gdy Ami zasypia, wtulona w ulubionego pluszaka, Ville cicho zamyka drzwi jej pokoju. Wraca do swojej sypialni, zrzuca bluzę na fotel i kładzie się na środku łóżka. Przez chwilę leży nieruchomo, wpatrzony w sufit. Potem wyciąga dłoń i delikatnie dotyka miejsca, w którym leżała Rose. Próbuje odsunąć myśl o dziewczynie, ale ta wciąż wraca. Jej spojrzenie. Zapach włosów. Ciepło ramienia.

Sięga po telefon. Przewija kilka wiadomości, potem przez chwilę patrzy w czarny ekran. Żałuje, że nie ma ani jednego jej zdjęcia. Zaczyna pisać – coś lekkiego, zaczepnego, z typowym dla siebie erotycznym podtekstem. Jak zawsze, gdy jakaś dziewczyna wpada mu w oko.

Ale zanim naciśnie „wyslij”, kasuje wszystko jednym ruchem. Nie chce jej przeszkadzać. Wie, że teraz analizuje umowę. Że potrzebuje ciszy, by wszystko sobie poukładać.

Odkłada telefon na szafkę. Patrzy w ciemność i śmieje się cicho, krótko, sam do siebie. Zrezygnowanie miesza się z rozbawieniem.

– Ona ma chłopaka i naprawdę nie jest mną zainteresowana. Nawet powieka jej nie drgnęła, kiedy próbowałem swoich sztuczek. No cóż... chyba faktycznie jest porządna.

Odwraca się na bok, z głową na poduszce. Nadal się uśmiecha ale w tym uśmiechu jest coś zbyt miękkiego.

Tymczasem Rose zdążyła już przeczytać szkic dokumentu. Obok laptop, kilka otwartych kart z przepisami prawnymi, notatki z forów. Nic podejrzanego. Wszystko jest logiczne, jasne, niespodziewanie uczciwe.

Jest wykończona. Chce już spać, gdy telefon wibruje. To tylko powiadomienie z kalendarza. Żadnej wiadomości – ani tej najbardziej sprośnej, ani zwykłego „dobranoc” od Libertyna. Leży w ciemności i

wpatruje się w sufit. Sama nie wie, czego bardziej jej brakuje – jego słów czy tej irracjonalnej, szalonej atmosfery pałacu, która zdążyła ją zaczarować.

– Eryk... Eryk... – mruczy.

Automatycznie sięga po telefon. Przegląda zdjęcia Eryka, ale czuje tylko niechęć. Krzywi się – jakby nagle dotarło do niej coś oczywistego. Skoro nawet nie ma ochoty na niego patrzeć, to chyba pora przestać się oszukiwać.

Jej palce przesuwają się dalej... aż trafia na to jedno, najładniejsze. Ville na ławce, zamyślony, włosy lekko rozwiane, błysk w oczach. Odkłada telefon. Wlepia wzrok w sufit. Dopiero wtedy, już na granicy snu, spod powieki wymyka się jedna łza.

Późnym wieczorem, gdy pałac już śpi, a z korytarzy dochodzą tylko odległe trzaski drewnianych belek i cichy szum wentylacji, Emma kieruje się do kuchni. Wchodzi bezszelestnie – na bosaka, z luźnym koczkim i kocem przewieszonym przez ramię.

Ville siedzi samotnie przy wyspie. W dłoni trzyma kubek z ciepłym, spienionym mlekiem.

– Jak uważasz... zgodzi się? – szepcze Emma, zbliżając się do niego.

– Nie wiem – wzdycha cicho, nie podnosząc wzroku. – Kiedy ją poznałem, jeszcze przed przyjazdem tutaj, była taka pewna siebie, wyluzowana, ułożona, silna. Porządna. A teraz...

– A teraz jest tylko porządna – mruczy Emma, zaglądając do lodówki.

Długo szuka czegoś dietetycznego, ale w końcu wyjmuje kawałek czekoladowego ciasta. Bierze dwie łyżeczki i siada obok brata, jedną kładąc przed nim.

– Rose jest inna niż te plastikowe księżniczki, które tu przychodzą. Nie szuka sponsora, nie łaknie kamer. Ma klasę i styl. I choćby nie wiem co, trzyma się swojego chłopaka.

Ville uśmiecha się blado. Sięga po łyżeczkę i odkrawa niewielki kawałek ciasta.

– Boję się, że przesadziliśmy. Że ją wystraszyliśmy. Jeśli się wycofa, to może być gwóźdź do trumny całego programu. Przecież dobrze wiesz, że mamy problem z ekipą.

– To zaproponuj jej więcej hajsu.

– Nie sądzę, żeby chodziło o pieniądze – odpowiada Ville bez cienia żartu. – Myślę, że musimy poczekać. Jeśli w poniedziałek podpisze umowę, dam jej premię za gotowość bojową.

Oboje śmieją się cicho, niemal jednocześnie jak za starych czasów.

Emma, z ciastem na łyżeczce, patrzy na brata i mówi z teatralną powagą:

– Błagam cię, wyślij jej jakąś oficjalną deklarację, że trzymamy ręce przy sobie. Ja ze swojej strony się wycofuję. Ta zabawa w rywalizację nie jest tego warta.

– Masz rację. Rose mnie totalnie kręci, ale program jest najważniejszy. To on dał nam fanów, zasięgi i kasę. Trzeba będzie zacisnąć zęby... i założyć przy niej majtki cnoty.

– Będziemy jej przełożonymi – mówi, wskazując na niego łyżeczką z ciastem. – Zgodnie z prawem... no wiesz. Molestowanie, nagabywanie, te sprawy. Nie możemy sobie na to pozwolić, nawet jeśli wszystko wygląda jak komedia romantyczna.

Znowu się śmieją. Tym razem głośniejszymi, dłużej. Potem pochylają się nad telefonem i razem układają treść wiadomości. Emma wystukuje tekst, a gdy kończy, czyta go z udawaną powagą, jakby składała przysięgę w sądzie:

– „My, niżej podpisani Emma i Ville Rian, niniejszym oświadczamy, że nasze działania wobec Rose Mayer są podyktowane dobrymi intencjami oraz że zobowiązujemy się trzymać łapy przy sobie.”

– Może być – uśmiecha się Ville. – Wysyłaj.

Niebo jest jednolicie szare, jak ekran czekający na pierwszy piksel. Nie pada, nie wieje, nic się nie dzieje. A jednak w powietrzu wisi coś ciężkiego, lepkiego, napiętego jak struna, jakby świat wstrzymał oddech i patrzył tylko na Rose.

Nie śpi już od dawna. Leży nieruchomo w pościeli, otulona kołdrą po szyję. Ma podciągnięte kolana, palce zaciśnięte na materiale. Drży, a łzy płyną cicho, powoli, niemal niezauważalnie. Nie z rozpaczy ani z żalu – z przeciążenia. Bo wszystkiego było za dużo, za szybko, zbyt prawdziwie.

Jej myśli huczą jak rozpędzony pociąg, ale żadnej nie potrafi złapać. Sięga po telefon i bezwiednie przewija, bez celu i sensu, aż nagle zatrzymuje się – między alertem z banku a memem z grupy studenckiej dostrzega wiadomość od Villego, wysłaną w nocy. Treść jest krótka, kilka zdań, zwykła deklaracja, a jednak ma wrażenie, jakby ktoś zdjął jej z ramion niewidzialny ciężar. Obiecują, że nie będą jej nagabywać, że dadzą jej przestrzeń i wybór.

I wtedy coś w niej pęka. Siada prosto. Oczy wciąż ma mokre, ale w spojrzeniu pojawia się coś nowego – jeszcze nie spokój, raczej pierwszy krok w jego stronę. Przeciera twarz rękawem bluzy.

– O rany... – szepcze. – Faktycznie mają problem.

Wstaje i idzie do łazienki. W lustrze widzi opuchniętą twarz, blade usta, ale w oczach coś się tli – życie, wola, może nawet nadzieja. Obmywa policzki lodowatą wodą, wkłada pierwsze lepsze ubrania, przegryza w biegu suchy tost i wraca do biurka. Na blacie leży wzór umowy NDA, przeczytany już milion razy, a jednak Rose znów się nad nim pochyla.

Każdy wers, każdy kruczek. Od wczoraj wszystko jest jasne. Zero wycieków, zero aluzji, zero informacji. Ani słowa o programie, o ekipie, o Rianach. Nawet najdrobniejsza plotka mogłaby zamienić się w burzę medialną. Dokument mówi wprost: żadnych kontaktów z prasą, żadnych opowieści, żadnych zwierzeń. Nie wolno jej nawet powiedzieć, gdzie pracuje.

To nie jest zwykła oferta pracy. To inicjacja – przekroczenie progu do świata, który z zewnątrz wygląda bajkowo, a w środku działa na zasadach ciszy, tajemnicy i lojalności.

Rose chodzi po pokoju z dokumentem w dłoni szukając rozwiązania. W końcu siada przy biurku, bierze notes i długopis, rysuje tabelkę i zaczyna zapisywać minusy oraz plusy. Minusy: dyskrecja aż po grób, prawdopodobne zerwanie kontaktów ze znajomymi, może nawet koniec plotek z mamą. No i Ville – Libertyn. Chodząca pułapka. Dotyk, którego trzeba unikać. Plusy świecą jak Wembley w blasku reflektorów: wysoka pensja, przepustka do zamkniętego świata, trasa z zespołem i Rianowie – nazwisko, które otwiera drzwi, których nikt inny nie sforsuje. Jest też coś jeszcze, szansa na coś więcej, czego jeszcze nie potrafi nazwać.

– Miliony ludzi marzą, by spędzić choć godzinę z Liberty Fade... a ja byłam z nimi aż do bólu. I dostałam propozycję pracy. Nie mogę tego zaprzepaścić.

Słowa same nabierają pewnego tonu, jakby wygłaszała deklarację przed niewidzialną publicznością.

– Choć Eryk to przeszłość... na razie z nim nie zerwę – mówi półgłosem, testując własne szaleństwo. – Będzie moją przyzwoitką duchową. Wystarczy, że pomyślę o nim raz... i od razu przejdzie mi ochota na Libertyna.

Wzdycha teatralnie, rozkłada ramiona jak aktorka na scenie.

– Plan idealny. Wręcz genialny.

Po chwili milknie. Patrzy w sufit z miną, która mówi jedno: *to się nie może udać*. A jednak próbuje w to wierzyć, choćby przez moment.

Siada do komputera. Przegląda stronę zespołu, media, aż w końcu wchodzi na kanał Liberty Fade. Analizuje materiały, widząc perfekcyjny montaż i dopracowaną realizację.

– Jakim cudem robią to tak dobrze, mając taki pieprznik na serwerze? – mruczy, kręcąc głową.

Klika dalej. Otwiera kolejny film. Jeszcze jeden. I wszystko zaczyna układać się w logiczną całość.

Liberty Fade Music od pierwszego singla skupia się na muzyce: teledyskach, wywiadach, koncertach, występach i kulisach. Regularność buduje wierną bazę fanów, którzy chcą być blisko zespołu i branży. *Liberty Fade Notes* to krótkie formy – zdania rzucone w biegu, monologi, suchary, przekleństwa, westchnienia Emmy. To był tester. Sprawdzenie, czy widzowie chcą więcej. Chcieli, więc powstało *Liberty Fade Life* – pełnometrażowe odcinki pokazujące prywatne życie zespołu.

Rose odchyła się w fotelu, dopija herbatę, patrzy w okno i uśmiecha się szeroko.

Rozdział 3

Rose zyskuje pracę marzeń.

Poniedziałkowe śniadanie w jadalni pałacu Rathorehouse w Surrey przebiega w posępnej atmosferze. Emma skubie tost, Amidala miesza w płatkach, a Ville przegląda telefon. Gdy nie dostrzega tam powiadomienia, którego oczekiwał, wybuchają:

– Cholera jasna, żadnej wiadomości. Ta dziewczyna doprowadza mnie do szału!

Amidala, jak przystało na rezolutnego przedszkolaka, marszczy brwi i patrzy na niego z wyrzutem.

– Nie wolno przeklinać. I nie wolno mówić z pełną buzią – rzuca surowo, stukając łyżką w blat.

– Spokojnie, będzie dobrze – mówi Emma z nutką niepewności. – Tata jest trochę zdenerwowany. W pracy mu się nie układa.

– A co, Paul i Thomas znowu się pobili o brzmienie? – pyta dziewczynka poważnym tonem, opierając brodę o dłoń.

– Nie, kochanie – odpowiada Ville. – Chodzi o program. Nie przejmuj się. Może po zajęciach skoczmy na ciacho do kawiarni?

– Weźmy ze sobą Rose. Przecież ją lubisz – sugeruje Ami z niewinnym uśmiechem.

Ville krztusi się natychmiast. Kaszle tak długo, że Emma musi klepnąć go w plecy. Gdy odzyskuje oddech, patrzy na córkę i, próbując brzmieć poważnie, odpowiada:

– Rose ma dużo pracy. Dziś pójdziemy sami. Deal?

– Okej... ale mam nadzieję, że jeszcze do nas przyjedzie. Jest beznadziejna w graniu na fortepianie. Obiecałam jej lekcje – oznajmia z powagą przyszłej nauczycielki.

Emma uśmiecha się podstępnie, a Ville unosi brew, zadając sobie w myślach pytanie: *Czyżby córeczka właśnie znalazła sobie... mamusię?*

Po śniadaniu Ville odwozi Amidalę do przedszkola i kieruje się do londyńskiego oddziału RRstudio. Kilka minut przed dziewiątą wpada do biura z posępną miną. Korytarze tętnią życiem, zza szyb dobiega dudnienie bębnow z sali prób.

Ziewa, przeciąga się i siada za biurkiem. Przez chwilę klika bez sensu, przeglądając portale, wiadomości i statystyki wyświetleń. Dopiero po chwili dostrzega świeży plik dokumentów – podłożony bezszelestnie przez kogoś z kadr, pewnie rano. Przerzuca kartki jak automat. Aż się zatrzymuje. Umowa NDA. Umowa o pracę. Podpisana przez prawnika, kadrową. I... przez Rose Mayer.

– Ta dziewczyna wpędzi mnie do grobu – jęczy, podnosząc głos. – Emma! Chodź tu!

Drzwi naprzeciwko uchylają się z cichym skrzypnięciem.

– Czego się drzesz? Jeżeli czegoś chcesz, to rusz tyłek – rzuca siostra, nie odrywając wzroku od laptopa.

Libertyn pakuje dokumenty pod pachę i wchodzi do jej pokoju.

– A jednak podpisała – oznajmia, szczerząc się od ucha do ucha.

– Mogła zadzwonić. Dać jakiś znak, że się zgadza.

– Jest profesjonalna – rzuca Ville. – W końcu wiedziała, że umowy podpisuje się tu, w RRstudio – stuka paznokciem w nagłówek dokumentu.

– Porządna, profesjonalna, lojalna, inteligentna, bystra, piękna... – Emma wylicza.

– Punktualna – dorzuca Libertyn bez zastanowienia.

– I Ami ją lubi – puentuje Emma, uderzając brata z przyzwyczajenia otwartą dłonią w ramię.

Ville krzywi się lekko, odwraca w stronę wyjścia, po czym wraca do swojego gabinetu. W tym samym momencie zbliża się do niego znajoma sylwetka.

– Cześć, Rose – rzuca niby od niechcienia i zaprasza ją do środka.

– Panie Rian – mówi formalnie. – Proszę wybaczyć, rano byłam na uczelni. Chciałam sprawdzić, czy da się przełożyć zajęcia.

Ville podnosi głowę. Siada z gracją niczym aktor w scenie z XVIII wieku. Gestem wskazuje jej fotel naprzeciwko, a sam dopija ostatni łyk herbaty cytrynowej. Odstawia filiżankę na podkładkę, precyzyjnie, jakby każdy ruch miał znaczenie.

– Panienko Mayer, żaden kłopot. I jaki rezultat tej wizyty?

Rose ostrożnie zajmuje miejsce i krzyżuje nogi. Jest lekko spięta, ale z każdą sekundą się rozluźnia – opiera dłoń o podłokietnik, a oddech wraca do normy.

– Może przejdę na nauczanie zdalne albo wezmę urlop. Czekam na decyzję dziekana.

Libertyn kiwa głową i cicho odchrząkuje. Przełyka ślinę, zanim znów się odezwie – głos lekko mu siada.

– Rozumiem. Skoro jest panienka gotowa do pracy, czas na wprowadzenie do obowiązków... Ale zanim... możemy mówić sobie po imieniu? I rozmawiać jak ludzie w naszym wieku?

Kąciki ust Rose unoszą się delikatnie. Opiera się wygodniej.

– Z przyjemnością, panie Rian.

– Wyśmienicie, panienko Mayer.

Oboje wybuchają cichym śmiechem, który przerywa rytmiczne dudnienie basu z sali prób. Chłopak odwraca się w stronę komputera i włącza wygaszony ekran. Mruży oczy, jakby nie dowierzał w to, co widzi. Pulpit długo się ładuje.

– Możesz sprawdzić, czemu ten złom tak wolno działa?

Rose podnosi się i przysiadła przy jego biurku. Kilka kliknięć myszką – ekran startowy ożywa i natychmiast zalewa się chaosem folderów i ich kopii. Dziewczyna klika dalej w zupełnej ciszy, unosząc brwi coraz wyżej.

– Wow. Masz rozmach. Teraz już wiem, kto odpowiada za bałagan w plikach nagraniowych.

Ville zwęża oczy teatralnie, próbując spalić ją wzrokiem, ale ona nie reaguje i klika dalej.

– Do tego bajzel w systemie. Postaram się coś z tym zrobić. Nie macie tu informatyka?

– Mamy... – rzuca szybko, spoglądając gdzieś w bok. – Ale on ma mnie dość.

– Tak, chyba wiem dlaczego.

Ville wstaje i zaczyna krążyć po pokoju z kubkiem w dłoni, szukając sposobu, by rozładować napięcie. Odwraca się przez ramię i zaczyna tłumaczyć:

– Będiesz mogła pracować w dwóch miejscach – w pałacu, gdzie masz wszystko, czego ci potrzeba, ale też tutaj. Niestety wszystkie pokoje są zajęte, ale mam wolne biurko – wskazuje ruchem głowy identyczny blat w rogu gabinetu. – Kończę zwykle około trzynastej, potem próby, inne sprawy. Nie będę ci przeszkadzał.

Podchodzi bliżej, z lekkim uśmiechem.

– Jak uporasz się z bałaganem w Pokoju Strachu... – zawiesz głós i sam się śmieje. – Świetna nazwa. Wpadła mi przed chwilą. Później zajmiesz się archiwizacją bieżącego materiału, tak żeby w Pokoju Strachu już nie straszło. Pojedziesz z nami w trasę jako specjalistka od porządku w nagraniach. Masz paszport?

– Mam – kiwa głową Rose. – Nie jestem też karana.

– Doskonale. Naprzeciwko masz gabinet Emmy. W razie czego jesteśmy pod ręką.

– Brzmi dobrze. To kiedy zaczynam?

– Już... – odpowiada, zerkając na zegarek. – Znaczący, muszę tylko podpisać twoje dokumenty. I wtedy – już.

Libertyn siada na blacie biurka i przeciąga się lekko, jakby chciał zrzucić z siebie ciężar ostatnich minut. Stopy zawisają luźno, dłonie opierają się o krawędź mebla. Z zewnątrz wygląda na rozluźnionego, ale ramiona zdradzają napięcie – ledwie zauważalne drganie mięśni, czytelne tylko dla kogoś, kto obserwuje go z bliska. Wyciąga rękę w stronę stosu papierów, po czym zatrzymuje się w pół ruchu. Przez moment dłoń zawisa w powietrzu, jakby ważył coś znacznie cięższego niż sam podpis.

– Mam jedną prośbę. Po pierwsze nie uciekaj, po drugie... – zawiesz głós, patrząc jej prosto w oczy – po prostu nie uciekaj.

Rose cofa się o nieznaczny krok. Ciało reaguje szybciej niż myśl. Nie zdąża jednak zrobić kolejnego, bo Ville zsuwa się z biurka i powoli, niemal bezszelestnie, podchodzi bliżej. Ujmuje jej dłoń – nie gwałtownie, raczej ostrożnie, z wyczuwalnym napięciem w ramieniu.

– Daj mi trochę satysfakcji. Wiem, że jesteś porządna. I że jesteś w związku. Ale zanim podpiszę... pozwól mi cię pocałować. Tylko raz. Sześćdziesiąt sekund. Obiecuję, że potem dam ci spokój. Emmy też nie musisz się obawiać. Jako twoi przełożeni nie będziemy mogli cię nagabywać.

Dziewczyna milczy. Oddycha przez usta, ma wrażenie, jakby ziemia pod stopami lekko zadrżała. Eryk... rozplywa się gdzieś w tle, jak cień za mgłą. W jego miejsce pojawia się on – Libertyn. Miękki, nieoczywisty. Bliski.

Powoli, niemal niezauważalnie, potakuje. Ville bez słowa włącza stoper. Podchodzi jeszcze bliżej. Ich ciała niemal się stykają, jego palce dotykają jej ramienia. Pochyla się powoli. Ich usta spotykają się w delikatnym, prawie nieśmiałym pocałunku. Muska ją wargami raz, drugi – już pewniej. Potem rozchyła jej usta językiem. Rose drży. Oplata go ramionami za szyję. Libertyn odpowiada, obejmuje ją w talii, przysuwa bliżej. Oddechy splatają się, ciepło miesza z napięciem. Jego palce wędrują na jej plecy. Jej biodra napierają lekko do przodu. Ich ciała rozmawiają, zanim zdążą się wycofać.

Zegarek dzwoni. Ville odrywa się powoli, czując, że każdy centymetr dystansu jest fizycznym bólem. Rose ma jeszcze zamknięte oczy. Przez chwilę ich czoła stykają się, jakby oboje chcieli zapamiętać tę minutę na zawsze. Potem on się prostuje i odwraca wzrok. Sięga po dokumenty, odsuwa fotel z cichym zgrzytem, chwytą pióro. Podpisuje zamasyście.

– Witamy na pokładzie, panienko Mayer – mówi oficjalnym tonem.

Rose parska śmiechem. Jej ramiona opadają z ulgą, mięśnie twarzy miękną. W głowie krąży jedna myśl: *praca z Libertynem na pewno nie będzie nudna.*

Ville patrzy na nią długo. O kilka sekund za długo. Jego spojrzenie sunie po jej szyi, potem po włosach i zatrzymuje się na ustach.

– Wiesz, że pierwsze gorsety i staniki robiono z fiszbin wieloryba...

– Co? – dziewczyna marszczy brwi.

– Co? – mruga, jakby ocknął się z własnych myśli.

Przez chwilę panuje cisza. Ville podchodzi do biurka, szukając pretekstu, by zmienić temat.

– To... jaką podejmujesz decyzję? Wprowadzasz się do pałacu, czy będziesz przyjeżdżać?

– Na tę chwilę, kiedy nie mam samochodu, a w plikach straszy, wolę być na miejscu.

Libertyn uśmiecha się z ulgą. Widać, że dokładnie na to liczył. Potakuje z wdzięcznością, której nie próbuje ukryć.

– W takim razie Pokój Bacha jest twój.

– Spakuję się i postaram przyjechać wieczorem – odpowiada Rose, próbując zachować powagę. W środku jednak aż ją roznosi. Będzie mieszkać w pałacu. Z zespołem. I z nim.

Na moment zapada cisza. I wtedy – jak wybawienie, drzwi otwierają się z hukiem. Do gabinetu wpada Thomas: rozchełstany, z energetykiem w ręce i słuchawkami na głowie.

Ville prostuje się gwałtownie, jakby ktoś puścił prąd wzdłuż kręgosłupa.

– Thomas! Thomas, mój chłopak! – woła teatralnie i rzuca się na niego niczym maskotka na sprężynie.

Zsuwa mu jedną słuchawkę i szepcze: – Graj ze mną. Kochaj mnie!

On, zaskoczony, ale przyzwyczajony do tego cyrku, próbuje objąć Villego jedną ręką, w drugiej wciąż trzymając puszkę.

– Rose, wiesz, Thomas to mój chłopak i mam wobec niego poważne plany – rzuca w jej stronę, wisząc na przyjacielu jak koala.

– Tak, wiem. Jesteście emocjonalną parą.

Thomas zdejmuje słuchawki i szczyrzy zęby.

– Ja też mam wobec niego plany. Szczególnie dziś w nocy, śliczny – obejmuje Villego i szczypie go w tyłek. Ten piszczy i odskakuje jak poparzony.

– Z Thomasem to więcej niż emocje. Ale nie możemy wszystkiego pokazywać widzom. Jesteśmy nierozłączni. Prawda, kochanie? Rose jest nasza. Możemy być przy niej sobą.

Następnie przeciąga dłonią włosy do tyłu i teatralnie nabiera powietrza.

– A teraz będziemy się z moim DJ-em całować – oznajmia z powagą.

– Dla mnie spoko. Uwielbiam to. Libertyn świetnie całuje.

I nim Rose zdąży zareagować, chłopcy są już przy sobie. Zbliżają się i całują. Po francusku. Z pasją i miękkością. Thomas obejmuje Villego w talii, a on wsuwa rękę pod jego bluzę, przesuwając palcami po plecach.

Rose stoi jak wryta. Nie z szoku, lecz z fascynacji. To nie show – to oni. Jedyna myśl, która ją uderza: *Libertyn całuje po mistrzowsku. A zaraz potem, niemal z rozbawieniem: Porównywać Eryka do Villego to jak zestawiać chorągiewkę w ręku dziecka z majestatycznie powiewającą flagą państwową w dniu niepodległości.*

Ville w końcu odsuwa się, oblizując usta z triumfalnym uśmiechem.

– Odwieziemy cię do domu – rzuca lekko. – Czas się pakować, piękna!

Podchodzi do biurka, zgarnia klucze do auta, po czym nachyla się do Thomasa i szepcze mu do ucha:

– Dzięki. Chyba byliśmy wiarygodni. Błagam, nigdy mnie z nią nie zostawiaj sam na sam.

– Nie dziwię ci się. Laska jest gorąca.

Ich spojrzenia spotykają się i w tym samym momencie potakują, zawierając cichy, święty pakt artystów. Po chwili wybuchają śmiechem, trzymając się za ręce jak dzieciaki, które właśnie ukradły lizaka z kiosku. Rose już nic nie mówi. Dochodzi tylko do wniosku, że będzie pracować z artystami – dziwakami i że pora się do tego przyzwyczaić.

Czerwone Ferrari toczy się przez miasto w rytmie śmiechów i rozmów. Ville, Thomas i Rose jadą do mieszkania dziewczyny, dając jej czas na spakowanie się. Kiedy znika w drzwiach swojego bloku, chłopcy przeciągają się, rozprostowując kości. Postanawiają pójść do bistro ulicę dalej.

Chwilę później siedzą przy stoliku pod daszkiem w pobliskiej knajpce, delektując się zapachem przypieczonego ciasta i sosu pomidorowego. Thomas obserwuje, jak Libertyn z zapalem pochłania pizzę hawajską, jakby była najlepszą rzeczą na świecie.

– Coś chcesz mi powiedzieć, przyjacielu? – zagaduje, opierając łokcie o stół. – Czyżby twoje lodowate serduszko zaczęło się topić?

Ville krzywi się teatralnie, wyciera palce w serwetkę, bierze łyk dietetycznej coli i dopiero wtedy, z nonszalanckim spojrzeniem, odpowiada:

– Chodzi ci o panienkę Mayer?

Thomas przewraca oczami, ale nie przerywa gry. Kiwając głową, opiera się wygodnie na krześle. Libertyn wzdycha głęboko, po czym strąca kawałek ananasa z pizzy, jakby usuwał problem do rozwiązania.

– Laska jest gorąca, to wszystko. Gdyby nie fakt, że mamy kryzys i burdel w plikach, dawno bym ją zbałamucił i po sprawie.

Thomas parska śmiechem tak, że musi odstawić puszkę.

– Już piąty dzień nie jesteś w stanie jej zbałamucić. Albo Rose faktycznie jest porządna, albo masz problem. Ewentualnie wypadłeś z formy.

– Chyba żartujesz. Ja? DJ–u kochany, jeśli dziewczyna nie ma problemu z tym, że wyglądam jak emo-elf, to każda jest moja. Najgorsze są samice alfa – tu fakt, miewam problemy. Choć pomaga mi sława. Wiesz, te metody.

– Tak. I kluczyki od Ferrari. Tylko że Rose się na to nie nabrała.

– Po pierwsze: ma chłopaka. Po drugie: jest z dobrej rodziny, zna swoją wartość i jest pewna siebie. Po trzecie: potrzebujemy jej jak powietrza. Niech robi swoje. Dla mnie od dziś jest tylko pracownikiem. Tyle że jest gorąca, więc będzie mi trudno trzymać łąpska przy sobie. Dlatego nie zostawiaj mnie z nią sam na sam. Nie chcę być oskarżony o molestowanie.

Thomas poważnieje. Potakuje i zjada ostatni kęs pizzy. Temat się kończy. Rose jest nietykalna, a skoro Ville tak to ustawił, tak ma być. Chłopak zna go dobrze: wie, że potrafi odciąć emocje, gdy wchodzi w tryb pracy. A Rose... po prostu jest im potrzebna.

Późnym popołudniem cała trójka rusza do Surrey. Samochód sunie przez krajobraz, a w środku trwa próba. Chłopcy podśpiewują fragmenty piosenek, na przemian śmiejąc się i przekomarzając.

Rose siedzi z tyłu, z plecakiem przy nogach – wsłuchana i zamyślona. Uśmiecha się co chwilę: raz z czułością, raz z lekką konsternacją. Czasem jej wzrok ucieka w bok, śledzi mijane domy, światła sklepów, psy na spacerach. Miasto powoli zostaje za nimi.

Gdy samochód ponownie przekracza bramę pałacu, wszystko wygląda inaczej niż za pierwszym razem. Rose nie musi już pokazywać ochroniarzowi torebki ani tłumaczyć, że nie ma przy sobie niczego podejrzanego. Wystarczy skan kodu QR. Tak po prostu. Od teraz jest pełnoprawnym członkiem ekipy *Liberty Fade*.

Auto zatrzymuje się przy głównym wejściu. Lokaj już czeka – elegancki, uprzejmy, gotowy przejąć torby i zanieść je do Pokoju Bacha. Thomas i Ville rozchodzą się w swoje strony. Rose zostaje sama. Może się spokojnie rozpakować; pracę zacznie dopiero jutro.

Wieczorem, przy kolacji, zespół zbiera się jak zawsze w komplecie. Tym razem jest ku temu szczególny powód – mają nową pracownicę i chcą ją naprawdę poznać. Jadalnia rozbrzmiewa śmiechem i stukotem sztućców. Rose siedzi nieco spięta, ale z każdą minutą się rozluźnia. Kroi mięso, bierze łyk herbaty, zerka na Emmę.

– Tak jak wspomniałam na początku – mówi – trzeba będzie trochę rozbudować pamięć w systemie i dokupić kilka rzeczy. Niestety nie są tanie.

Emma unosi głowę znad talerza i uśmiecha się lekko.

– Nie ma sprawy, piękna. Jutro dostaniesz dostęp do konta. Kupuj, co potrzebujesz, byle na fakturę.

Rose natychmiast się wzdryga i kręci głową.

– Nie ma mowy. Nie chcę mieć dostępu do konta. Nie wyobrażam sobie tego. Nie, absolutnie.

– Dobra – dopowiada Ville. – Ty wybierasz i kupujesz, a ja albo Emma autoryzujemy zakupy. Pasuje? Dziewczyna rozluźnia się i przytakuje. Sytuacja zostaje opanowana, a w jadalni robi się jeszcze weselej. Ktoś rzuca żartem, ktoś inny oblewa się herbatą. Echo sapie pod stołem, Amidala przytula się do Villego. Dom tętni życiem.

Rose patrzy na wszystko dookoła, rozmowy, śmiechy i gdzieś w środku wie, że właśnie wkracza w coś zupełnie nowego. Ten dom przestaje być legendą z ekranu. Staje się jej rzeczywistością.

Po kolacji żegna się z zespołem i cicho wychodzi z jadalni. Za plecami zostaje brzęk filiżanek i czyjś śmiech. Kieruje się w stronę Pokoju Bacha, gdy nagle obok niej pojawia się mała postać. To Amidala. Idzie tuż obok, podskakując z nogi na nogę.

– Wiesz, cieszę się, że będziesz z nami mieszkać – mówi wesoło dziewczynka.

Rose uśmiecha się i dla żartu też podskakuje.

– A dlaczego tak się cieszysz?

Ami zatrzymuje się i patrzy na nią z uniesioną brwią – poważna jak dorosła.

– Bo tu mieszkają sami mężczyźni. No, poza cicią Emmą i Wendy. Ale one rzadko bywają w domu i, co gorsza, bardziej zajmują się swoimi chłopakami niż mną.

Rose wybucha śmiechem i przytula dziewczynkę. Razem wchodzi do sypialni. Ami siada na fotelu i huśta nogami, a Rose rozpakowuje kosmetyczkę, ustawiając rzeczy na półce przy lustrze.

Amidala obserwuje ją uważnie, w ciszy, jakby oglądała przedstawienie w teatrze. Jej oczy – zielone, intensywne – ani na moment nie tracą ostrości. Rose od czasu do czasu zerka na nią kątem oka. Ten wzrok... ten uśmiech. Teatralny, znajomy jak u Villego, jak u Emmy.

Wszyscy mają w sobie coś wspólnego. Nie tylko geny. Widać, że są z jednej rodziny. I że zostali ukształtowani przez lata życia w pałacu indyjskiej księżniczki. Miraaya Rathore. Rose zna ją z odcinków – pamięta gesty, pauzy, sposób mówienia. Teraz widzi to samo w Ami. Te ruchy, to siadanie, odchylenie

głowy, przemykanie oczu. Jak język. Kod, który rozumieją tylko oni. Każde słowo coś znaczy. Każde skinienie jest sygnałem. Każda pauza – zaproszeniem albo ostrzeżeniem.

A ona? Rose Mayer, dotąd nikomu nieznana informatyczka z zupełnie zwyczajnym życiem, będzie tu mieszkać. Jeść z nimi kolacje. Spać pod tym samym dachem. Poznawać ich przyjaciół.

Uśmiecha się lekko. Podchodzi do Ami, klęka przy fotelu i patrzy jej w oczy z czułością i powagą.

– Wiesz, zawsze jesteś tu mile widziana. Wpadaj, kiedy chcesz. Poplotkujemy o babskich sprawach.

Amidala uśmiecha się szeroko i przytula ją z pełnym zaufaniem. Potem zerka na zegarek – wyglądający jak eksponat z muzeum designu, zapewne warty więcej niż średnia krajowa.

– Późno już. Czas na mnie. Tatuś musi mi jeszcze poczytać. Poczytasz mi kiedyś?

– Jasne. A co teraz jest u ciebie na topie?

– *Krecik i Tygrys*. Tatuś już ma dosyć. Jak ma to czytać kolejny raz, robi strasznie śmieszne miny. No nic, pora na mnie. Dobranoc!

I już jej nie ma. Wybiega z pokoju w podskokach, w stronę skrzydła, gdzie mieszczą się sypialnie rodziny. Mała sylwetka znika za zakrętem, a korytarz wypełnia się dźwiękiem lekkich kroków.

Rose zamyka drzwi i opiera się o nie plecami. Przez chwilę stoi w ciszy. Potem śmieje się do siebie, do świata z niedowierzaniem. Nie wie, kiedy przestała się bać. Może wtedy, gdy Ami przytuliła się do niej jak do kogoś swojego. Nie jest jeszcze jedną z nich. Ale po raz pierwszy nie czuje się tu obca.

Pierwszy tydzień pracy to dla Rose sprint bez linii mety. Spędza po dziesięć, czasem dwanaście godzin dziennie na konfiguracji serwerów, optymalizacji kodu i analizie przesyłu danych z kamer. W zasadzie nie wychodzi z Pokoju Strachu. Czasem tylko wyskakuje do kuchni, łapie coś na szybko i wraca do swojej twierdzy. Nawet nie siada w jadalni – rzuca krótkie „cześć”, uśmiecha się do Paula albo Roberta, mruczy „co słychać” do Thomasa i znika, zanim ktokolwiek zdąży zaproponować herbatę.

Do serwerowni rzadko ktoś zagląda. Nie ma potrzeby. Ville praktycznie nie bywa w pałacu – całe dnie spędza w RRstudio, a wieczorami szlaja się po mieście z Thomasem albo znajomymi. Emma też funkcjonuje we własnym rytmie: między próbami, spotkaniami z grafikami i ogarnianiem produkcji. Robert krąży między klubem a warsztatem, wiecznie umazany smarem albo z słuchawkami na uszach, przysłuchując perkusyjne podkłady. Paul i Wendy większość czasu spędzają na wsi, do pałacu wracają głównie na próby. A Thomas? Thomas ma swoje życie – studio, deskorolkę, undergroundowe imprezy i spotkania z organizatorami, którzy potrafią zadzwonić o północy z pytaniem, czy poprowadzi set w jakimś hangarze.

Rose się tym nie przejmuje. W pewien sposób jest jej to nawet na rękę. Może się skupić, wejść w rytm pracy. Nie musi niczego udawać.

Ale któregoś dnia... Po kolejnym pytaniu o pozwolenie na zakup sprzętu do serwerowni Emma w końcu nie wytrzymuje.

– Aaaa! – jęczy teatralnie, odchylając głowę do tyłu, kiedy Rose znów pojawia się w jej drzwiach z tabletem w rękach.

Dziewczyna zamiera, jakby ktoś nakrył ją na kradzieży królewskich klejnotów. Oczy robią się wielkie, ręce opadają z tabletem w połowie ruchu. Emma patrzy na nią przez sekundę... po czym parska śmiechem.

– Na bogów, twoja mina! Jakbyś zaraz miała wyciągnąć karteczkę z napisem: „Przepraszam, że żyję”!

Rose, zaskoczona, po chwili dołącza do śmiechu.

– Myślałam, że lubisz mieć wszystko pod kontrolą – mruczy z rozbijającą szczerością.

– Lubię! Ale umawialiśmy się, że ci ufamy. Nie musisz przychodzić do mnie z pytaniem o zakup każdej pierdoły do serwerowni. Ja często nawet nie wiem, o czym ty do mnie mówisz, laska!

Rose krzywi się lekko i wzrusza ramionami. Emma liczy w myślach do trzech, po czym rzuca:

– Siedzisz tam sama jak duch. Chodź ze mną do sauny. Nie lubię się pocić, ale dziś przemarłam w terenie.

– Ale pliki... – próbuje się wykręcić.

– Bez dyskusji. Polecenie służbowe. Za dwadzieścia minut widzę cię w saunie – uśmiecha się zawadiacko. – W samym ręczniku.

Puszczą jej oczko, po czym nagle poważnieje i unosi palec.

– Eee... żart. Bądź w kostiumie.

Niedługo później spotykają się w saunie. Rose ma na sobie czarne bikini – proste, eleganckie, podkreślające szczupłą, ale nie przesadnie chudą sylwetkę. Emma w czerwonym, jednoczęściowym kostiumie wygląda jak modelka z pokazu retro: zmysłowa, pewna siebie, idealna.

Siadają naprzeciwko siebie w ciszy. Para osiada na ich ramionach. Emma bierze głęboki wdech. W głowie układała sobie tę rozmowę jeszcze chwilę temu, ale teraz słyszy tylko własne myśli: *Cholera, po co ja ją tu zaprosiłam. Libertyn ma rację, że przed nią ucieka.*

– Słuchaj, piękna... – zaczyna niepewnie. – Nie możesz nas tak unikać. Wiem, że masz dużo pracy, ale jesteś częścią ekipy, a nie pokojówką. Rodzina, przyjaciele i techniczni programu jedzą razem w jadalni.

– Tak, ale... praca. Dużo pracy – próbuje się bronić Rose.

– Nie zgadzam się. Świat się nie zawali, jeśli nie obrobisz jednego pliku. Jesteśmy drużyną, zaraz ruszamy w trasę. Daj się nam poznać. Dwadzieścia minut śniadania czy obiadu naprawdę cię nie zbawi. Rose potakuje powoli. Wie, że Emma ma rację. I choć z zewnątrz tylko wzrusza ramionami, w środku czuje ulgę.

– Jak ci idzie? – pyta Emma, przechylając głowę.

– Tak sobie – odpowiada poprawiając ramiączko stanika, co nie uchodzi uwadze koleżanki. – W miesiąc mogę nie zdążyć. Teraz obrabiam pliki z Thomasem w roli głównej. Prawie wszystkie nazwy mają przekleństwo. Twierdzi, że jeśli coś ma w nazwie „dupa”, to znaczy, że jest ważne. Czyli jakieś osiemdziesiąt procent materiałów.

Emma wybuchą śmiechem.

– Znam to. „dupa1_final_FINAL”, „ten_z_dupy_mix_piątek_noc”. Klasyka.

Zapada chwila ciszy. Emma przygląda się Rose uważniej. Uśmiech znika, a w jego miejsce pojawia się coś ostrożniejszego.

– Słuchaj... opowiedz coś o tym swoim Eryku.

Rose krzywi się lekko, ale wie, że prędzej czy później i tak będzie musiała coś powiedzieć.

– Eryk Steven. Dwadzieścia cztery lata. Student medycyny. Mieszka w Bristolu.

– Cytujesz akta policyjne czy mówisz o swoim chłopaku?

– Nie układa nam się – przyznaje w końcu czując jak to zabrzmiało. – Od lat widzimy się okazjonalnie. Nie wiem, czy to jeszcze ma sens. Po studiach miałam wrócić do Bristolu, być bliżej niego, ale w tej sytuacji...

– W tej sytuacji masz NDA. Nie możesz mu powiedzieć, że pracujesz dla nas. Dasz radę prowadzić podwójne życie? Teraz to proste. A później?

Rose przełyka ślinę, zagryza wargę.

– Nie wiem, co będzie później. Skończmy ten temat.

Emma unosi ręce w geście poddania. Już wszystko widzi. Rose jest zagubiona, niepewna, emocjonalnie oderwana od chłopaka. A to znaczy jedno: nic jej naprawdę nie trzyma.

W świecie Rianów ludzie dzielą się na trzy grupy. Łączy je jedno: lojalność, dyskrecja i zaufanie. Reszta to kwestia roli.

Pierwsza grupa – pracownicy. Technicy, operatorzy, montażyści, ekipa pałacu. Znają reguły, ale nie wchodzą głębiej. Są niezbędni, lecz funkcjonują na marginesie życia prywatnego domowników.

Druga – ludzie użyteczni. Przyjaciele z zaufania. Wendy – dziewczyna Paula jest jedną z nich. Nie potrzebują zaproszeń, pojawiają się, kiedy chcą. Są częścią dni i nocy, wnoszą do życia Rianów coś realnego.

Trzecia – Cienie. Zapraszani na chwilę. Na przyjęcia, sesje, eventy. Piękni, zawsze „na tak”. Goście od flirtu i przekraczania granic. Są mile widziani – dopóki się nie znudzą albo nie popełnią błędu.

A Rose? Jest pracownikiem. Ale powoli zaczyna być postrzegana jako ktoś bliższy. Może jeszcze nie przyjaciółka, ale ktoś, kogo chce się znać lepiej.

Emma doskonale to widzi. I rozumie, co z tego wynika. Jeśli Rose kiedykolwiek zmieni swój status, będzie musiała podjąć decyzję. Czy wejdzie w świat imprez – i na jakich zasadach? Jako nietykalna? Czy jako ktoś do flirtu i półsłówkowych aluzji? A fakt, że nie mówi o Eryku z czułością? Że nawet nie wie, czy ich związek jeszcze istnieje? To tylko dodaje jej pikanterii. I otwiera wszystkie drzwi.

Odkąd Emma wymusiła na Rose jej obecność przy stole, dziewczyna faktycznie się podporządkowała i zaczęła regularnie pojawiać się w jadalni. Ku zaskoczeniu wszystkich – a może i samej siebie – dość szybko łapie wspólny język z Wendy. Robert i Paul coraz częściej się do niej odzywają, żartują, wciągają ją w rozmowy. Tylko Ville, trzymający kurczowo Thomasa za rękę niczym tarczę wyraźnie utrzymuje dystans. Odpowiada półsłówkami, unika wzroku, przemyka korytarzami jak cień.

W ekipie staje się to już powodem żartów, ale jednocześnie zaczyna wzbudzać lekkie podejrzenia.

Mimo tego napięcia Rose wyraźnie wyluzowała. Raz nawet pojawiła się na próbie zespołu, żeby zrobić kilka zdjęć – oczywiście, jak zwykle, kapela była zachwycona efektem. Przez kilka wieczorów z rządu zostaje też „złapana” przez Amidalę i zmuszana do lekcji fortepianu, co okazuje się prawdziwą katorgą. Ami nie uznaje bylejakości. Ale Rose, dzięki sprytowi i cierpliwości, potrafi zmiękczyć serce dziewczynki. Czytanie *Przygód Krecika i Tygrysa* w pokoju kominkowym skutecznie łagodzi dydaktyczne zapędy małej Rianówny.

Jednak pewnego wieczoru wydarza się coś nowego. Rose schodzi właśnie po głównych schodach, gdy dostrzega Villego. Idzie w jej stronę, sam, zamyślony, bez Thomasa u boku. Zanim zdąży

się zastanowić, jak się przywitać, widzi, że chłopak orientuje się, iż za chwilę ją minie... i nagle skręca, chowając się za filarem.

– Libertynie, czy ty mnie unikasz? – pyta z lekkim rozbawieniem.

On wychodzi z kryjówki teatralnym krokiem, z zadziornym uśmiechem.

– Oj, bawię się z Echo w chowanym. Nie przeszkadzaj!

– Chyba z echem własnych myśli... Twój pies właśnie wyszedł na spacer z opiekunem.

Ville robi przesadnie zdziwioną minę, jakby dopiero teraz coś do niego dotarło.

– Aha... to dlatego stoję tu jak idiota.

Zamyśla się, jego spojrzenie zatrzymuje się na jej talii. Potem lekko przechyla głowę i rzuca znienacka:

– A wiesz, że niektóre psy potrafią liczyć do pięciu? I rozróżniają ludzkie twarze?

Rose wybuchła śmiechem, zaskoczona tym kompletnie oderwanym od kontekstu komentarzem.

– Hmm... to ciekawe.

Libertyn zerka na zegarek – oczywiście Rolex – i mówi pospiesznie:

– O, czas na mnie. Ami czeka na bajkę o... – krzywi się lekko – o *Kreciku*.

– Wyręczyłam cię dziś. Wystarczy, że jej pośpiewasz – rzuca z delikatnym uśmiechem.

– To już kolejny raz. Dzięki, kochana jesteś.

Podchodzi do niej i daje jej zwykłego, przyjacielskiego buziaka w policzek. Po chwili znika w korytarzu, zostawiając ją samą z jedną uporczywą myślą: *Czy on zawsze musi tak pięknie pachnieć?*

Na górze schodów Thomas i Paul obserwują wszystko z ukrycia. Patrzą na siebie z porozumiewawczym uśmiechem – bez słów, ale z jasnym przekazem: coś tu się kroi.

Niedługo po tym niecodziennym spotkaniu w holu głównym Rose znów natyka się na Libertyna. Tym razem o północy, w kuchni. Ville siedzi samotnie przy wyspie kuchennej, popijając ciepłe, spienione mleko. Jest zamyślony. Rose wchodzi, lekko nucąc coś po hiszpańsku.

Chłopak zrywa się z hokera jak oparzony, łapie kubek i już ma wyjść, gdy jej głos go zatrzymuje.

– Hej, spokojnie. To tylko ja. Chcę pogadać, skoro już się spotkaliśmy.

Niechętnie zawraca. Siada powoli, wyraźnie spięty, ale teatralnym machnięciem ręki daje jej znak, by mówiła dalej.

– Mam dwie sprawy. Jutro wreszcie odbieram swój samochód od lakiernika. Od ponad tygodnia właściwie nie opuszczałam pałacu. Muszę dostać się na drugi koniec miasta.

– Jasne, nie ma sprawy. Szofer cię odwiezie, masz to załatwione. Zresztą... jeśli chcesz gdzieś pojechać, możesz spokojnie korzystać z jego usług.

Rose uśmiecha się z wdzięcznością.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

Ville zerka na nią – gdzieś w okolicy obojczyka, potem szyi. Bierze łyk mleka:

– Wiesz, że krowa ma cztery żołądki i potrzebuje ich wszystkich tylko po to, żeby strawić trawę?

Rose przeciera oczy ze zdumienia. Nic nie mówi. Chyba zaczyna się przyzwyczajać do tego, że Ville Rian funkcjonuje według logiki snu.

On prostuje się nagle, jakby sam uświadomił sobie absurd tej chwili.

– To co tam jeszcze do mnie masz?

Dziewczyna sięga do lodówki, wyciąga małą butelkę wody, odwraca się i mówi cicho:

– Nie lubisz mnie. Wiem, że jestem tylko twoją pracownicą, ale z innymi rozmawiam normalnie. A ty mnie unikasz. Coś ci zrobiłam?

Ville patrzy na nią przez dłuższą chwilę w milczeniu. Przemyka oczy. Widać, że chce powiedzieć coś bardziej złożonego, może miękkiego, może szczerego ale zamiast tego przybiera inną twarz. Twardszą. Bezpieczniejszą.

– Masz rację, Rose. Nie lubię cię. Fajnie, że ekipa traktuje cię jak swoją, to ważne do współpracy, i nie mam nic przeciwko tym relacjom. Ale dla mnie jesteś tylko pracownikiem. Nie musimy się lubić ani spędzać ze sobą czasu. Ja mam swoją robotę, ty masz swoją.

Wstaje i dodaje chłodno:

– A teraz wybaczyć. Idę spać. Późno już.

Wychodzi, po prostu ją zostawiając.

Rose przez dłuższą chwilę stoi w miejscu, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. W końcu pochyla się nad zimnym blatem kuchennej wyspy. Z jej oczu bezgłośnie zaczynają płynąć łzy. Ociera je ręką, bierze łyk wody. Milczy. Potem wychodzi – cicho, sama.

Ville idzie szybkim krokiem, niemal biegnie przez ciemny korytarz. Zaciska wargi, palce jednej dłoni wbija w drugą, aż kostki bieleją. Gdy dociera do drzwi swojej sypialni, otwiera je z impetem, niemal trzaskając. Rzuca się na łóżko, nawet nie zdejmując swetra. Wciska twarz w poduszkę, jakby chciał zniknąć. Nie płacze. Ale oczy ma szkliste, a gardło tak zaciśnięte, że nie byłby w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa.

Kolejne dni mijają zaskakująco szybko. Rose nadal spędza czas z zespołem, śmieje się z Wendy, rozmawia z Emmą, żartuje z Robertem i Paulem. Ale w stronę Villego nie patrzy. Ani razu. Nawet przez ułamek sekundy.

A Ville? Już nie trzyma się Thomasa jak koala. Coś w nim puściło – jakby odetchnął i po raz pierwszy od dawna poczuł się naprawdę obecny w tym wielkim, żywym domu. Owszem, nie był dla niej miły, ale przynajmniej nie musi się już bać, że spotka ją na korytarzu i zostanie z nią sam na sam. Teraz to ona trzyma dystans, a on... może znowu oddychać.

Przemyślał wszystko. I choć czuje się z tym paskudnie, jednocześnie jest z siebie zadowolony. Ułożył świat na nowo. Przynajmniej pozornie. I na krótko.

Bo pewnego dnia, w trakcie obiadu, znowu coś się zmienia.

Amidala wpada do jadalni z wypiekami na policzkach.

– Już jutro przyjeżdżają dziadkowie! – woła radośnie. – I będziemy świętować! A Rose obiecała nam ładne zdjęcia!

Dziewczyna uśmiecha się odruchowo, po czym natychmiast blednie. W jednej sekundzie dociera do niej, co to oznacza. Niedługo pozna Ramiego Riana – ikonę muzyki. I jego żonę. Miraayę Rathore. Tę Miraayę. Twarz z książek naukowych, z wykładów, z raportów ONZ. Jedną z najpotężniejszych kobiet na świecie. Głos polityki. Głos nauki. Rose czuje, jak przyspiesza jej tętno, a w głowie zaczyna się kręcić.

Emma natychmiast wstaje od stołu i podbiega.

– Hej, piękna, wszystko w porządku?

Ona nie odpowiada. Jej spojrzenie robi się puste, jakby odpływała bardzo daleko. W tej samej chwili Paul łapie ją pod ramię, Emma ostrożnie układa ją na podłodze. Thomas już podaje butelkę wody, Robert otwiera okno.

Ville... przez moment stoi sparaliżowany. Potem rusza szybko, przykłada przy Rose, dotyka jej czoła.

– Piękna, słyszysz mnie? Oddychaj. Spokojnie.

Dziewczyna mruga, łapie oddech, patrząc na pochyloną nad nią grupę.

– Już... okej. Po prostu mi słabo...

Paul kręci głową z dezaprobatą.

– Zrób sobie wolne. Ciągłe gapisz się w ekran, to niezdrowe.

Emma i Robert pomagają jej wstać i odprowadzają ją do sypialni. Na etażerce zostawiają butelkę wody, tabliczkę czekolady i jasną instrukcję: jeśli czegokolwiek potrzebuje ma tylko zawołać. A właściwie zadzwonić, bo to nie dom jednorodzinny, tylko wielki pałac.

Jakiś czas później słychać ciche pukanie do drzwi. Rose leży na boku, wciąż ubrana, z książką obok. Otwiera jedno oko, przeciąga się i zaprasza do środka.

Ville stoi w progu, oparty o framugę. W świetle nocnej lampki wygląda bardziej jak cień samego siebie niż frontman Liberty Fade. Przez chwilę milczy, jakby sam nie był pewien, po co tu przyszedł.

– Powinnaś trochę zwolnić – mówi w końcu. – Może ogranicz godziny albo rób dłuższe przerwy. Nikt cię nie wyrzuca, ale po jutrzejszej imprezie mogłabyś wziąć kilka dni wolnego.

Podchodzi do portretu Bacha, przygląda mu się uważnie, po czym odwraca się i lustruje Rose spojrzeniem.

– I tak będzie tu pełno rozwrzeszczanych dzieci i przekrzykujących się dorosłych, pracy raczej nie ruszymy. Szczerze mówiąc, sam najchętniej bym wtedy uciekł.

Rose unosi się lekko na łokciu. Patrzy na niego zmrużonymi oczami. Głos ma spokojny, ale chłodny.

– Skąd to nagłe zainteresowanie moją osobą?

– Jestem twoim przełożonym i się martwię. O kadrę...

– Oczywiście. Twój inwentarz czuje się świetnie.

Chłopak krzywi się i przez chwilę milczy – jej reakcja wyraźnie go zaskakuje.

– Eee... inwentarz?

Rose uśmiecha się z politowaniem. W głowie pulsuje jej jedna myśl: *żaden sławny i bogaty dupek nie będzie mną pomiatał i traktował jak zabawkę, którą się znudził, zanim zdążył ją rozpakować z pudełka.*

Prostuje się, dodając w myślach: *Oj, to zabrzmiało... ostro.* Ale nie odpuszcza.

– Hmm... może opowiesz mi jeszcze jakąś ciekawostkę przyrodniczą? – rzuca mimochodem.

Ville wyraźnie traci rezon. Postawa, z którą przyszedł, pewna siebie, konkretna zaczyna się kruszyć.

Ona czuje, że ma przewagę. Z jednej strony została wychowana na uprzejmą, grzeczną dziewczynę. Z drugiej nie zamierza dać się zaszufladkować przez jakiegoś chłopaka w makijażu, nawet jeśli nazywa się Rian.

– No cóż – mówi z niewinnym uśmiechem. – Słyszałam już o krowach, psach, a nawet wielorybach. Może teraz coś o gadach? Albo o roślinach? Co wybierzesz?

Ville stoi jak wryty. Szuka wzrokiem ucieczki, ale Rose patrzy mu prosto w oczy. Z rozbawieniem, ale i z czymś ostrzejszym.

– Chętnie skorzystam z okazji i wrócę do domu na dwa dni. A dziś jeszcze trochę popracuję. Mam dziesięć kopii folderu „Ville_final_1” do przejrzenia.

Libertyn wciąż milczy. W głowie ma pustkę. Jedna myśl odbija się echem: *co tu się właśnie wydarzyło?*

– Okej – rzuca w końcu, trochę za piskliwie. Po chwili dodaje już łagodniej: – Ale nie siedź po nocach. Serio.

Rose posyła mu uśmiech – miły tylko z pozoru, bez grama wdzięczności. Gdy Ville żegna się skinieniem głowy i wychodzi, drzwi zamykają się bezszelestnie. Dziewczyna przez chwilę patrzy w ich stronę, po czym pokazuje język z miną kota, który właśnie stracił wazon ze stołu i nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia.

Po drugiej stronie drzwi Ville stoi jeszcze moment nieruchomo. Bierze głęboki oddech i mruczy pod nosem:

– Straszna baba, ale okej. Zabawimy się.

Nie odchodzi. Ponownie puka do drzwi jej sypialni. Rose znów zaprasza go do środka.

– Zapomniałem ci o czymś powiedzieć – rzuca niby od niechcenia. – Chcemy z zespołem zrobić odcinek o pracy naszej ekipy technicznej. Widzowie się tego domagają – jak to wygląda po drugiej stronie kamery. Chcemy pokazać wszystkich ważnych, po kilka minut. Oświetleniowiec i kamerzysta już się zgodzili, montażysta jeszcze się waha. Czy chciałabyś pojawić się w *programie*?

Ona unosi brwi i już chce odpowiedzieć, ale Ville nie daje jej dojść do słowa.

– Na przykład nagrzasz siebie przy pracy. Co robisz. Możesz rzucić jakimś żartem albo zgryźliwością, której – jak widać – ci nie brakuje...

Rose prychna niezadowolona, odkłada książkę i wstaje z łóżka.

– Mam NDA. Jedno wyklucza drugie.

– Uważam, że to będzie dla ciebie korzystne. Teraz nie możesz mówić, co robisz i dla kogo pracujesz. Ale jeśli pojawisz się w odcinku choćby na chwilę nie będziesz musiała tego dalej ukrywać. Nie będziesz musiała ściemniać znajomym i rodzinie, że jesteś „programistką”. Zastanów się... piękna.

Dziewczyna bierze głęboki oddech i podchodzi do niego bliżej.

– To ciekawe, co mówisz, ale nie mam parcia na szkło. Jestem informatykiem. To mi wystarczy.

– Jesteś ładna, bystra i masz gadane. Fajnie byłoby pokazać widzom, z jakimi ludźmi pracujemy. Że nikt nie jest tu z przypadku. A wiedz, że doceniam moją ekipę.

– Doceniasz, ale ich nie lubisz. Trochę się to gryzie.

Ville przeciąga się lekko, tłumiąc rozbawienie.

– Nie lubię tylko ciebie. Tak czy inaczej – nagraj się. Możesz też powiedzieć coś miłego o mnie, przekląć, zanucić po hiszpańsku... Montażysta coś z tego sklei i puścimy bonus o kulisach programu w nowym sezonie.

Rose przytakuje i na chwilę się zamyśla, już układając w głowie, co mogłaby powiedzieć do kamery. Ville uśmiecha się i wychodzi, zostawiając ją samą – lekko rozkojarzoną, ale też wyraźnie rozbawioną.

Rozdział 4

Rose traci pracę marzeń.

Już od rana mała Amidala przestępuje z nogi na nogę. Dziś jest Diwali. Pałac w Surrey tego wieczoru wygląda inaczej niż zwykle. Na balustradach i framugach połyskują rzędy drobnych światełek, tworząc miękką poświatę odbijającą się w szybach i na lśniącej posadzce holu. Między nimi stoją małe gliniane lampki *dīya*. W powietrzu unosi się zapach kadzidła i słodkich przypraw – kardamonu, wanilii i cynamonu. Delikatna muzyka indyjska sączy się z głośników, łącząc się z odgłosami rozmów i śmiechu, budując atmosferę spokoju i przytulności.

To ich własne, zachodnie Diwali – bez rytuałów, bez modlitw, bez ceremonii. Od kilku lat Rianowie obchodzą je po prostu jako święto światła, rodziny i przyjaciół. Chwilę, by zatrzymać się w biegu i spotkać z tymi, którzy naprawdę coś znaczą.

Dla Amidali to coś więcej. Jej urodziny przypadają w lipcu, kiedy Ville i Emma są zwykle w trasie, a dzieci ze szkoły i sąsiedztwa wyjeżdżają na wakacje. To właśnie Diwali stało się więc jej dniem – małą, listopadową uroczystością, w której wszyscy mogą być razem.

Nie będzie tu ludzi przypadkowych. Każdy, kto się pojawi, coś znaczy. Rose została zaproszona, by robić zdjęcia z tego rodzinnego spotkania. I tylko dlatego – nie liczy nawet na to, że ktoś posadzi ją przy stole. Od rana krąży po holu głównym i pokoju kominkowym, sprawdzając światło, kadry, kąty, z których będzie mogła uchwycić emocje.

Kiedy natrafia na Amidalę, nie waha się ani chwili. Podchodzi, pochyla się lekko i wręcza różową torebkę z kokardką.

– Wszystkiego najlepszego, Ami. Mam coś dla ciebie.

Dziewczynka otwiera ją natychmiast, bez chwili wahania. Wyciąga granatowy francuski berecik i pasujący do niego szalik – miękki, ciepły, z drobną nitką połyskującą w świetle.

– Ooo! – piszczy z zachwytem. – Jest idealny! Pasuje do mojej sukienki!

Ale to nie wszystko. W torebce leży jeszcze małe różowe pudełeczko z eleganckim pendrive i breloczkiem w kształcie klawisza z literką A. Amidala przygląda się urządzeniu z ciekawością.

– Co na nim jest?

Rose uśmiecha się szeroko. Tym razem naprawdę.

– Chodź. Tu mam komputer. Pokażę ci.

Uruchamia nośnik. Na ekranie pojawiają się foldery, a w nich filmiki, które nagrywały razem. Czytają ulubione książki i wierszyki Ami – z podziałem na role, z akcentami, z udawanym francuskim. Wygłupiają się, robią miny, komentują ilustracje. Jeden z plików to kukiełkowe przedstawienie znanego wiersza o kabaczkę.

Ami nie mówi ani słowa. Po prostu rzuca się Rose na szyję – mocno, serdecznie.

– Dziękuję! To najlepszy prezent!

Potem z wielką pieczołowitością odkłada wszystko na mały stolik, który wkrótce będzie ugiął się pod ciężarem drogich i wymyślnych podarunków. Różowe pudełko z pendrivem stoi jednak na samym środku – jak mały skarb.

Rose oddycha z ulgą. Jako studentka na utrzymaniu ojca nie może pozwolić sobie na ekstrawagancję. A że u Villego nie przepracowała jeszcze miesiąca, nie widziała nawet zaliczki. Ale Ami nie zwraca uwagi na cenę. Po prostu się cieszy.

Nagle dźwięk wirników rozcina powietrze nad ogrodem niczym ostrze. Rose unosi głowę znad statywu i w tej samej chwili już wie. To oni.

Nie może być pierwsza. Nie wypada. I nie chce. Z aparatem w ręku chowa się w saloniku kominkowym. Stąd ma widok na hol, ale sama pozostaje niewidoczna. To jej wystarcza.

Amidala już czeka pod drzwiami, podskakując z ekscytacją tak silną, że nie potrafi ustać w miejscu. Ville i Emma schodzą razem – on z rękami w kieszeniach, nonszalancki jak zawsze, ona elegancka i skupiona. Oboje wyglądają na spokojnych, ale w powietrzu czuć napięcie.

Drzwi się otwierają. Kamejdyner staje z boku. Wchodzą Mia i Rami.

Amidala rzuca się do przodu z piskiem radości.

– Babciu! Dziadku!

Mia, mimo powściągliwego wyrazu twarzy, klęka, otwiera ramiona i całuje wnuczkę w policzek i w czoło. Rami podnosi Amidalę z łątwością, śmiejąc się nisko, miękko. Kamejdyner odbiera ich płaszcze.

Ville obejmuje ojca krótko, mocno, bez słów. Z matką wita się inaczej – przytula ją z szacunkiem i całuje w dłoń, teatralnie, z wyraźną nutą czułości. Mia tylko kiwa głową, jakby nie potrzebowała słów, by wszystko wiedzieć.

Emma całuje mamę w policzek, potem ojca. Ich ruchy są płynne, oswojone. Nie ma między nimi lodu – tylko subtelna granica i świadomość, że każde z nich żyje już własnym, dorosłym życiem, choć rodzina wciąż trzyma się razem.

Powoli zaczynają schodzić się pozostali: Wendy, Robert, Paul, Thomas. Wszyscy witają się serdecznie, z uśmiechami – jak z bliskimi przyjaciółmi domu. Mia odpowiada uprzejmością dystygowanej, lecz obecnej gospodyni. Rami rzuca żartem, przybijają żółwika z Thomasem. Luz rozlewa się po pałacu niczym zapach świątecznego ciasta.

Wtedy Ville odwraca się i wskazuje dłonią Rose, która właśnie wychodzi z pokoju kominkowego.

– Poznajcie Rose Mayer. Naszą panią informatyk. Dzisiaj fotografuje imprezę.

Cisza trwa zaledwie ułamek sekundy, ale Rose czuje ją do szpiku kości. To jej moment – nieprzygotowany, niechciany. Idzie prosto, w czarnej, dopasowanej sukience i pantoflach na niskim obcasie, z aparatem na pasku.

– Dzień dobry. Bardzo mi miło państwa poznać.

Mia patrzy na nią, potem na Villego, który uśmiecha się, ale nie do końca szczerze jakby próbował coś ukryć. Następnie podchodzi do dziewczyny, kładzie dłonie na jej ramionach i mówi z nutą teatralnej powagi:

– Niech ci się przyjrzę.

Rose na moment zawiesza wzrok na jej zielonych oczach. Dokładnie tym samym kolorze co oczy Villego. Mia bez ostrzeżenia pochyla się i całuje ją w policzek, potem przyjacielsko klepie po ramieniu.

– Mam nadzieję, że masz jeszcze cierpliwość do tej bandy i ich bałaganiarstwa.

– Tak, pani Rathore. Daję sobie radę – odpowiada, nieco bardziej rozluźniona.

Mia jeszcze raz zerka na syna. Tym razem Ville teatralnie przewraca oczami.

– Mów mi Mia. Błagam, żadna pani – mówi ciepło. – Wystarczy, że jestem babcią.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Ville wznosi oczy do nieba z miną męczennika.

Wtedy podchodzi Rami. Spogląda to na Rose, to na syna, zachowując pełną powagę.

– A do mnie zwracaj się „pan Rian”... – zawiesza głos, obserwując jej reakcję. – Żartuję. Rami jestem.

Niedługo potem zaczynają schodzić się goście. Najpierw pojedynczo, potem coraz śmielej, aż w końcu drzwi niemal się nie zamykają. Nie ma tu nikogo przypadkowego. To bliscy przyjaciele rodziny, partnerzy sceniczni, kilku sąsiadów.

Dzieci – roześmiane, odświętnie ubrane – biegną korytarzami z Amidalą na czele. Znają ten dom, wiedzą, gdzie można się schować, a gdzie wolno krzyczeć. Oficjalna impreza dla dzieci zaplanowana jest dopiero na jutro. Wtedy będą klauni, animatorzy, wata cukrowa, brokatowa fontanna i dmuchany labirynt.

W salonie kominkowym, wśród dyskretnych rozmów i kieliszków szampana, łatwo dostrzec twarze znane z okładek magazynów muzycznych. Jest para aktorów – znajomi Emmy z uczelni, którzy pojawiają się na każdym większym przyjęciu, choć sami nie mają dzieci. Nie brakuje też starszych członków rodziny, zwłaszcza ciotki-babci Juliett z mężem oraz dziadka Lauriego ze swoją przyjaciółką. Rose nie próżnuje. Przez obiektyw wychwytuje gesty, uśmiechy, światło na policzkach i detale misternie wykonanych dekoracji. Pracuje cicho, sprawnie, niemal niezauważalnie – chyba że ktoś ją zagada. A zdarza się to częściej, niż się spodziewa. Goście są ciekawi, kim jest nowa dziewczyna z aparatem. Pytają z uśmiechem, a Juliett nie potrafi powstrzymać się, by choć na chwilę nie zamienić z nią słowa. Rose odpowiada spokojnie, rzeczowo. Wie, że jest tu gościem tylko warunkowo. Ale jej opanowanie i naturalny sposób bycia szybko zaskarbiają jej dyskretne sympatie. Nikt nie patrzy na nią z góry – przynajmniej nie dziś.

Za obiektywu widzi, jak Ami, w nowym bereciku, biega między stołem a sofą, trzymając za rękę starszą koleżankę. Jak Ville, z wymuszonym uśmiechem, rozmawia z producentem z Berlina. Jak Rami, gestykulując, opowiada nową anegdotę, kończąc ją pytaniem filozoficznym. Emma podaje ciasto. A Mia stoi przy oknie, z kieliszkiem w dłoni, obserwując wszystko z dystansu. Na jej twarzy pojawia się coś, co mogłoby być uśmiechem. Ale niekoniecznie musi.

Od momentu przyjazdu rodziców Ville ani razu nie spojrział na Rose – poza krótką chwilą, gdy pozował z Amidalą. Nawet wtedy, mimo rozjaśnionego uśmiechu, w jego spojrzeniu było coś nieobecnego. Jakby był tu wyłącznie dla córki. I dla nikogo więcej.

Impreza przenosi się do holu głównego. Stół, nakryty kremowym obrusem z delikatnym haftem, ozdobiono rzędami małych lampek *diya*, misami z płatkami róż i świecami unoszącymi się na wodzie. Między półmiskami z potrawami błyszczą złote sztucce, a na porcelanie odbija się ciepłe światło.

Ku zaskoczeniu Rose Emma sadza ją tuż obok siebie i Roberta – w samym centrum gwaru. Po kolacji każdy znów zajmuje się sobą. Dzieci biegają, dorośli wdają się w rozmowy, a z różnych stron sali co chwilę słychać głośny, szczery śmiech. Rose stoi z Emmą i Paulem w pobliżu stołu, lekko pochylona w ich stronę. Rozmowa toczy się swobodnie, prawdopodobnie o programie.

Wtedy podchodzi Mia. Zatrzymuje się obok nich, krzyżuje ręce i przez moment tylko słucha, unosząc lekko brew. Na jej twarzy błąka się delikatny, rozbawiony uśmiech.

– To czarne cacko na podjeździe to twoje? – pyta tonem pozornie lekkim, ale z tym charakterystycznym błyskiem, który zdradza, że zna temat.

Rose prostuje się i przytakuje.

– Tak. Uwielbiam je.

– Wcale się nie dziwię – mówi miękko przechylając głowę jakby widziała samochód oczami wyobraźni.

– Małe, zwinne, V8, sześć i pół litra... przypomnij mi, ile koni?

– Podobno czterysta pięćdziesiąt pięć – odpowiada z lekkim uśmiechem. – Choć po Londynie i tak wystarczyłaby jedna czwarta tej mocy. Ale czasem lubię wyskoczyć na autostradę.

Mia kiwa głową ze zrozumieniem. Zapada chwila ciszy, którą postanawia wykorzystać Rose:

– Emma wspomniała, że ścigałaś się w rallycrossie. Sprawdziłam w internecie. Pełen szacunek. Tyle sukcesów w męskiej dyscyplinie.

– Dawno i nieprawda. Ale dzięki.

– Słyszałam też – ciągnie Rose. – Że ekipa *Liberty Fade Life* czasem ściga się na torze i że kiedy przyjeżdżasz, psujesz zabawę.

Emma i Paul wybuchają śmiechem. Od strony salonu podchodzą Rami i Ville – ten drugi już z miną człowieka, który spodziewa się kąśliwego komentarza. Mia odgarnia synowi grzywkę i przyciąga go do siebie.

– Oni się nie ścigają, tylko popisują przed znajomymi – przewraca oczami. – A ten co chwilę się obraca... talent po tatusiu.

Rami i Ville unoszą podbródki w przesadnym geście urażonej dumy, po czym obaj wybuchają śmiechem. Reszta dołącza, atmosfera robi się lekka, ciepła.

Rose wykorzystuje moment i robi im kilka rodzinnych zdjęć.

– Może warto zrobić materiał o twojej karierze sportowej – rzuca w stronę Mii.

– To genialne – reaguje Emma, aż prostując się z ekscytacji. – Historia sportowa Mii, pokażemy twoją wyścigówkę...

– ...i pojedziemy na tor – dopowiada Ville.

– A może też żeglarstwo – wtrąca Rami.

– Regaty, Liberty Fade kontra reszta – Ville klepie go po plecach. – Nie macie szans.

– Ile razy wywaliłeś łódkę? Talent po mamusi – Rami puszcza żonie oczko.

Tym razem Mia i Ville w tej samej chwili pokazują mu język, a Rose nie ma pojęcia jak zareagować na tą dziwną wymianę zdań i gestów między Rianami. Gdy reszta ostatecznie parska śmiechem, Rose robi to samo.

– Regaty też mogą być świetnym tematem na odcinek – wtrąca Paul – Widzowie prosili właśnie o więcej takich rzeczy.

– Dawno nie żeglowałam – przyznaje Rose z nutką tęsknoty. – Jestem totalną amatorką, ale lubię. Tata jest pasjonatem, wysyłał mnie na obozy żeglarskie.

Reszta kiwa głowami z aprobatą. Mia patrzy na Villego i uśmiecha się w taki sposób jak by mówiła: *ta dziewczyna mi się podoba*.

– Kiedy dzieciaki były młodsze – wspomina Rami – często szliśmy się pobawić na wodzie, żagielki, motorówki, fajnie było.

Do rozmowy dołączają Thomas, Robert i Wendy, a dyskusja płynnie przechodzi w luźne ustalanie scenariusza kolejnych odcinków, które rodzą się mimochodem, wśród żartów i półszeptów. Jednak entuzjazm wobec sportowych epizodów stopniowo przygasa. Powód jest prosty: brak czasu. Przed zespołem wyjątkowo napięty rok – intensywna trasa koncertowa, prace nad trzecim albumem, a do tego jeszcze egzaminy Villego. Realizacja sportowych materiałów wymagałaby większej ekipy i dodatkowych przygotowań, na które zwyczajnie nie ma przestrzeni. Rozmowy cichną dopiero wtedy, gdy obsługa wnosi tort w kształcie konika morskiego. Ville siada do fortepianu i zaczyna akompaniować do *Happy Birthday*, co po chwili podchwytną pozostali.

Amidala zdmuchuje świece. Ktoś gwizdże, ktoś klaszcze, dzieciaki wykrzykują życzenia. Rose wykorzystuje ostatnie dobre światło: płomień świeczki odbity w oczach dziewczynki, dłonie Villego na jej ramionach, konfetti unoszące się w powietrzu. Potem odkłada aparat. Wyłącza go. Prostuje plecy. To koniec.

– Czas już na mnie – mówi podchodząc do Mii i Ramiego. – Dziś wracam do domu. Postaram się jak najszybciej obrobić zdjęcia.

– Rose, może jednak zostaniesz? – Mia próbuje zaprotestować, miękko, bez nacisku.

– Bardzo dziękuję za propozycję, ale Ville dał mi wolne. Chcę to wykorzystać. Dawno nie byłam u siebie, a jeszcze dziś mam wizytę u lekarza. Wrócę za kilka dni.

Rianowie potakują ze zrozumieniem. Oboje przytulają ją na pożegnanie.

– Miło było cię poznać. Pewnie niedługo znowu się zobaczymy – rzuca Rami wesoło.

Goście jeszcze długo bawią się w pałacu. Słychać śmiech dzieci, brzęk szklanek, cichą muzykę sączącą się spod sufitu. W kominku wciąż pali się drewno, rzucając ciepłe światło na twarze zebranych. Ville siedzi sam, z kieliszkiem soku w dłoni, zapatrzony w płomień. Ma posępną minę, jakby ten dzień był cięższy niż wszystkie koncerty razem wzięte. Rami, obserwujący go z drugiego końca holu, zbliża się powoli.

– Chodź do gabinetu – mówi cicho, nie czekając na opór.

Ville podnosi się niechętnie, ale nie protestuje. Idzie za ojcem pustym korytarzem, milcząco, z rękami w kieszeniach. W gabinecie Rami otwiera małą lodówkę, grzebie w niej przez chwilę i wyciąga dwie butelki: colę dietetyczną dla syna, klasyczną dla siebie.

– To co, opowiadaj – rzuca od niechcenia.

Ville wzrusza ramionami, odkręca butelkę i od razu upija niemal połowę, unikając spojrzenia i odpowiedzi.

– Rose. Mądre i ładne dziewczę – Rami nie daje za wygraną. – Słyszeliśmy z mamą, że jest wyjątkowo odporna na twój urok osobisty, ale za to mało odporna na uśmiech Amidali.

Ville siada w fotelu naprzeciwko, zakłada nogę na nogę. Przyjmuje pozę nonszalanckiego dystansu.

– Cóż... – mówi chłodno. – Tu wszyscy wszystko wiedzą.

– Chowasz się za filarem, opowiadasz coś o zwierzętach, trzymasz się kurczowo Thomasa, jakby od tego zależało twoje życie. Martwię się.

– Nie masz o co – odpowiada bez emocji. – Miałem na nią fazę. Nie chciała mnie. Zatrudniłem ją z jasną deklaracją, że będzie mogła czuć się tu swobodnie. Unikam jej, bo jestem jej szefem. Poza tym... opatrzyła mi się. Jeszcze tydzień i będzie mi obojętna. Jak każda inna.

– Rose to nie jest dziewczyna na raz. Więc dobrze, że trzymasz się od niej z daleka. Mądra decyzja. Ville wzdycha, przyznając ojcu rację, choć z wyraźną niechęcią.

– Tylko że... – ciągnie Rami, przyglądając się synowi spod uniesionych brwi – gdyby po tygodniu... albo po dwóch... dalej nie była ci obojętna – zawiesza głos. – To może się z nią zaprzyjaźnij. Może wtedy zobaczy Villego, a nie tylko Libertyna.

– Nic z tych rzeczy. Trzymam formę. Zaraz trasa, odbiję sobie – mówi, krzywiąc się i rozkładając teatralnie ręce. Po chwili wskazuje palcem ojca i dodaje: – A stary, dobry Libertyn wróci na właściwe tory.

Rami bierze głęboki oddech. W jego oczach widać więcej zrozumienia, niż Ville chciałby przyjąć. Klepie syna po plecach i bez słowa wychodzi z gabinetu, zostawiając go samego – z butelką coli, z ogniem w kominku i z myślami, które same nie wiedzą, o czym mają myśleć.

Po powrocie do pałacu Rose rzuca się w wir pracy, jakby tylko ona mogła ochronić ją przed wszystkim, co niewypowiedziane. Spędza długie godziny w serwerowni, zamknięta między ścianami z metalu i kabli, w towarzystwie nieustannego buczenia maszyn i chłodnego powietrza z klimatyzatora, którego nigdy nie daje się całkiem wyłączyć. Oświetlenie co jakiś czas przygasa, kontrolki mrugają, ekrany się zawieszają, dźwięk przycina, a ona trwa. Wciągnięta w niekończący się proces archiwizacji, czyszczenia, selekcjonowania plików, aktualizacji, kodowania, analizy surowych danych.

Tylko czasem na moment przymyka oczy i pozwala sobie na krótkie „pustki” – jak je nazywa – bezmyślne trwanie, zanim znów wróci do działania.

Ville nie unika już Rose tak jak wcześniej, ale wyraźnie trzyma dystans. Nie znika, nie ucieka z pomieszczeń i nie chowa się za Thomasem przy każdej okazji, jednak między nimi wciąż istnieje cienka, świadomie pilnowana granica. Czasem wymieniają drobne złośliwości — ona z przekąsem nazywa go „celebrytą”, on odpowiada jej „mądralińska”. Bywa, że rzucają sobie uszczypliwości mimochodem, przy innych ludziach, jakby był to już ich własny sposób prowadzenia rozmowy. Co gorsza, niemal wszystkie te słowne przepychanki przypadkiem rejestrują kamery *LFL*.

Próby zespołu odbywają się regularnie. Libertyn tonie w papierach, terminarzach i analizach, a koniec roku oznacza dla niego spiętrzenie projektów w fundacji. Emma bywa w RRStudio albo znika z Robertem. Czasem nocują w pałacu, czasem zatrzymują się w apartamencie Emmy w Londynie. Rose dawno przestała śledzić, kto, gdzie i z kim dziś śpi.

Sama, zmęczona pracą i wyraźnie osłabiona fizycznie wieczorami zasypia niemal natychmiast. Czasem nawet w ubraniu, z laptopem na kolanach. Codziennosc przypomina puste tory tramwajowe: coś się przesuwają, coś cicho dzwoni, ale nic nie przyjeżdża.

Rozmowy z zespołem, jeśli ktoś z nich się pojawi, są krótkie i uprzejme, ale stanowią miłą odmianę od rutyny. Jediną osobą, z którą Rose spędza więcej czasu, jest Amidała. Dziewczynka przychodzi wieczorami z książką albo z pytaniem: „Zagramy coś?” – i wtedy czytają albo brzdąkają razem na fortepianie. Ten rytuał jest prosty, cichy, powtarzalny i może właśnie dlatego bezcenny. Daje jej poczucie ciągłości i logiki.

Gdy zespół siedzi w pałacu, czasem pojawia się Viktoria. Rose nie ma wątpliwości, że to „znajoma modelka”, choć do końca nie wie, co to właściwie znaczy. Viktoria kręci się wokół Liberty Fade od kilku miesięcy – zbyt często, by była tylko przechodniem.

Dla niej jest osobą bez treści. Skupioną na własnym wyglądzie, na ujęciach, na świetle padającym pod odpowiednim kątem. Jej profil w social mediach eksplodował po tym, jak pojawiła się w pierwszym sezonie *Liberty Fade Life* i całowała się z Libertynem. To wystarczyło, by powstał fanowski #teamViki. Internet już wie: Ville i Viktoria to para. Tyle że „w tajemnicy”.

Rose tego nie komentuje. Nie rozmawia o tej dziewczynie. Nie obgaduje, nie zadaje pytań. Nie wie, jaka jest jej rola. Może ozdoba. Może układ. Może stary nawyk z czasów, gdy wszystko wokół było jeszcze tymczasowe. Na pewno nie przyjaciel. Nie ktoś użyteczny. Nie osoba, która wnosiłaby cokolwiek poza zasięgami.

Pewnego popołudnia, podczas obiadu, tego samego, w trakcie którego Viktoria celebrowała swoje pół pomidora i z pełnym przekonaniem oznajmia, że jest już najedzona, Rose czuje, że dłużej tego nie wytrzyma. Modelka śmieje się z żartów Roberta, przeciąga głoski i robi miny jak z reklamy błyszczyka. Dlatego, gdy tylko kończy jeść, odkłada sztućce i wychodzi z jadalni szybciej niż zwykle.

W Pokoju Strachu panuje półmrok. Serwerownia buczy jak zawsze: stabilnie, rytmicznie, kojąco. Rose siada przy biurku i otwiera materiał dźwiękowy z prób, które jeszcze wczoraj porządkowała. Palce same trafiają w skróty klawiszowe, a dźwięk kliknięć miesza się z cichym tłem elektronicznych tonów.

Nie mija wiele czasu. W drzwiach pojawia się Viktoria. Bez pukania. Bez słowa. Siada na fotelu obok, zakłada nogę na nogę i przygląda się Rose jak egzotycznemu zjawisku.

– Ty to zawsze tak na czarno, nie? – mówi w końcu. – Chcesz się przypodobać Rianom czy wracasz z pogrzebu?

Rose prychnęła, nawet nie odwraca głowy. Głos ma chłodny, wyważony.

– Nie mam potrzeby ubierania się w modne ciuszki. Nie jestem gwiazdą social mediów.

Viktoria uśmiecha się, jakby właśnie dostała prezent.

– Nawet profilu nie masz – przeciąga samogłoski. – Jedno marne zdjęcie i same komputerowe sprawy. Siedzisz tu ciągle, zamknięta, otoczona kablami. Zaprosili cię chociaż na jakąś imprezę? Ville niedługo ma urodziny. To impreza zamknięta. Nie dla ekipy technicznej. Tylko dla wybranych.

To jedno słowo *wybranych* osiada w Rose jak grudka lodu. Wie, co oznacza. W tym domu „wybrani” to ci, których widać w kadrze. Którzy mają wejściówkę. Którzy są częścią narracji. A ona, choć mieszka w pałacu i pracuje jak maszyna najwyraźniej do nich nie należy.

– Jestem informatykiem, nie laską do imprezowania – odpowiada spokojnie, nie patrząc na rozmówczynię. – Jestem tu, żeby zarobić. Nic więcej mnie nie interesuje.

Vika przygląda się swoim paznokciom z miną „dzióbka”.

– Jesteś ładna. Pasowałabyś do imprez.

– Byłam na deskorolkach – rzuca beznamiętnie. – Wystarczy. Nie bawi mnie to i nie interesuje. A teraz – jeśli nie masz nic ciekawego do powiedzenia, idź sobie. Przeszkadzasz mi.

Viktoria przeciąga palcami po włosach i pochyla się ku niej.

– Jesteś nadęta. Nie wiem, jak ten twój chłopak z tobą wytrzyma. Ale wiesz co, nie podskakuj tak. Znam zespół dłużej niż ty. Coś tu znaczą. A ty jesteś człowiekiem od porządków – zwykłą sprzątaczką – akcentuje ostatnie słowo.

Rose nie reaguje. Przez chwilę. Potem odchyła się powoli na krześle, odwraca do Viktorii i mówi cicho. Bez emocji:

– Spierdalaj.

Viktoria zastyga. Marszczy brwi.

– Coś ty powiedziała?

Dziewczyna dalej mierzy ją wzrokiem, jakby przeświała jej wnętrze.

– To, co słyszałaś. A jeśli masz problemy z uszami to idź do lekarza.

Modelka wstaje. Trzaska drzwiami. Rose nie porusza się ani o centymetr, ale w środku już wie: właśnie przekroczyła cienką granicę, po której nie ma powrotu. I nie żałuje. W duchu ma tylko jedną nadzieję – że Viktoria nic nie powie. Że choć raz zachowa się z godnością.

Nie mijają jednak kwadransy, gdy drzwi otwierają się ponownie. To Ville. Jego spojrzenie nie pozostawia złudzeń.

– Słyszałem... no wiesz. Wszystko ma swoje granice.

– Zgadzasz się – odpowiada nie odrywając wzroku od monitora.

Ville prostuje się, rozkłada ręce z niedowierzaniem.

– Słucham? Zgadzasz się? Czyli potwierdzasz, że ją obraziłaś, zwyzywałaś od najgorszych i kazałaś spierdalać?

– A co, poskarżyła się?

– Była smutna. Przygnębiona. Jest częścią naszego programu i nie pozwolę, żeby ktokolwiek ją tak traktował.

W tym momencie wszystko staje się jasne. Viktoria musiała pójść na skargę i to nie z suchym raportem, tylko z dramatyczną opowieścią pełną wyolbrzymień. Pewnie dorzuciła łzy, kilka efektownych westchnień i własną wersję wydarzeń, w której Rose zwyzywała ją od najgorszych. A to już kłamstwo. Rose nie zamierza się tłumaczyć. Zbyt długo pracowała na swoją godność. Zbyt dobrze zna takie zagrywki. Wie, jak to działa: kobieta bez mediów społecznościowych zawsze przegra z kobietą, która potrafi rozkleić się we właściwym momencie.

– Posłuchaj, sułtanie – mówi spokojnie. – Ja nie jestem w żadnym pieprzonym haremie. Nie będę walczyć o wpływy jak jakaś kotka w reality show. Albo robię tu robotę, którą mi dałeś, albo pakuję manatki i znikam. Ale nie liczę, że kiedykolwiek będę się płaszczyc przed twoją dekoracją.

– To ja prowadzę ten projekt, nie ty – odpowiada twardo. – Możesz być mistrzynią klawiatury, ale tu obowiązuje szacunek. Dla wszystkich. Nawet dla maskotek. Nie chcesz się podporządkować to drzwi są tam – dodaje oschle, wskazując podbródkiem wyjście.

– Oczywiście, panie Rian. Jeszcze dziś zniknę z twojego życia. Ale zapłać mi za moją pracę. Nawet sprzątaczką zasługuje na godne wynagrodzenie.

Wyłącza system i wychodzi, zostawiając Villego samego z urządzeniami, których nazw nawet nie zna. Pakuje się w pośpiechu. Nie płacze. Nie może pokazać słabości. Na szczęście nie ma zbyt wielu rzeczy, więc zwiniecie wszystkiego zajmuje niewiele czasu. Prosi pokojówkę o pomoc – kobieta bez słowa znosi walizki do samochodu.

Nie ma pożegnania. Emma gdzieś w terenie. Thomas znów w klubie. Robert pewnie grzebie przy motocyklu. Paul i Wendy wrócili do domu na wieś. Nie ma z kim się żegnać. Może to lepiej.

Rose schodzi głównymi schodami powoli, z wysoko uniesioną głową. Po drodze mijają Viktorię. Z twarzy modelki nie schodzi uśmiech. Dziewczyna zerka w górę i zawadiacko posyła Villemu całusa. On stoi

oparty o marmurową barierkę, z założonymi rękami. Viktoria przekazuje torebkę szoferowi, macha kokieteryjnie do Libertyna i wychodzi z domu, jakby właśnie zakończyła sesję dla poczytnego magazynu o urodzie.

Rose zatrzymuje się na dole, w holu głównym. Spogląda w górę, prosto na Villego. Kłania się lekko, z politowaniem. W jej oczach nie ma skruchy ani prośby o powrót.

Ville odchodzi od balustrady... ale w tym momencie do Rose przybiega Amidala z książką w rękach.

– O, Rose! Pogramy czy poczytamy?

Dziewczyna uśmiecha się ciepło. Ville wraca do barierki i znów opiera się o marmurową balustradę.

– Dobrze, poczytamy. Ale niedługo. Muszę już jechać do domu.

– Jak to jechać? Gdzie jechać? Nie rozumiem – Ami wyrzuca słowa jak z karabinu.

– Kochanie, moja praca się skończyła – mówi starając się brzmieć rzeczowo, choć głos lekko jej drży.

– Ale jak to... to już koniec? Ale będziesz nas odwiedzać, prawda?

– Skarbie, muszę wrócić do swojego życia. Do swoich obowiązków. Dorośli mają dużo na głowie. Nie bierz tego do siebie.

Sadza Amidalę obok siebie i zaczyna czytać. Kończy rozdział, przytula dziewczynkę mocno – jakby chciała zapamiętać ją dotykiem.

– To kto mi teraz będzie czytał? – Ami nie potrafi powstrzymać łez.

Rose z trudem przełyka ślinę, bierze głęboki oddech.

– Tatus i ciocia Emma. Kochanie... czas na mnie.

Dziewczynka wtula się w nią najmocniej, jak potrafi. Niania podchodzi i delikatnie bierze ją za rękę.

Rose zostaje sama. Patrzy w górę, na kopułę z freskami, potem na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Ville. Jego już tam nie ma.

Kilka minut później odpala silnik. Miłe buczenie V8 Camaro wypełnia wnętrze samochodu.

Rusza powoli. Gdy dojeżdża do bramy, widzi Villego opierającego się o nią z założonymi rękami.

– Rusz ten swój chudy tyłek! – krzyczy Rose, wysiadając z auta. Z oczu kipi jej złość.

Libertyn otwiera usta ze zdumienia.

– Ale żeś się nakręciła... Myślałem, że jesteś damą, a tu takie słownictwo...

Rose opiera się o maskę. Ville drapie się po głowie, próbując zebrać myśli.

– Słuchaj, bo... montażysta czeka na materiały. Miałaś mu je dziś wysłać. Nic nie dostał.

– Aha – przerywa mu chłodno. – Więc zanim kogoś zwolnisz, upewnij się, że ten ktoś skończył swoją pracę. Albo chociaż miał szansę ją skończyć.

Ville krzywi się, ale milczy. Rose patrzy na niego bez litości.

– Powiedz mi, Libertynie, kogo trudniej znaleźć? Gwiazdkę social mediów cykającą sobie selfiki, czy sprzątaczkę do twojego pieprznika w plikach?

– Czekaj... chcesz mi powiedzieć, że Viktoria nazwała cię sprzątaczką?

– Zawód jak zawód. Każdy jest potrzebny.

Ville wyciąga telefon, klika coś szybko.

– Nikt nie będzie mojej informatyczki wyzywał od sprzątaczek. Ona nie przekroczy już bramy tego pałacu. Co ty na to?

Rose parska śmiechem, gładzi maskę swojego samochodu.

– A ja na to: wypuść mnie, wasza książęca mość. Nasza współpraca właśnie się zakończyła. Ville wzdycha. Wie, że dalsza sprzeczka nie ma sensu. Z Rose nie wygra się emocjonalnego przeciągania liny. Cofnie się albo przegra.

Odsuwa się. Brama otwiera się z cichym sykiem. Camaro rusza. Rose, mijając marmurowe słupy wjazdu, wie jedno: wygrała.

Wraca do domu późnym wieczorem. Po drodze zahacza o sklep. Robi zakupy. Mimo listopadowej zawieruchy zjada pucharek lodów w cukierni. W domu dojada tabliczkę czekolady, a resztę wieczoru spędza na oglądaniu jakiejś głupiej komedii romantycznej. Umiera z przejedzenia. Z przesłodzenia. I tylko tyle może zrobić z tym, co czuje.

Tymczasem w pałacu atmosfera jest ciężka. Cicha, podszyta irytacją i niedowierzaniem. Zespół wraca po próbie. Wiedzą już, że pani informatyk odeszła, a Viktoria została usunięta z Grupy Cieni. Kolacja przebiega w milczeniu. Mimo wszystko Ville wygląda na zadowolonego z siebie i wcina kanapkę z pomidorem.

Emma nie wytrzymuje. Siedzi przy stole z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Twarz ma napiętą, a głos niesie się przez całą jadalnię.

– Masz świetne wyczucie czasu. Montażysta zaraz znika na miesiąc, nie mamy wyselekcjonowanego materiału na kolejny odcinek, zero treści na socjale, żadnych spójnych nagrań z prób i nowych brzmień. Przed premierą drugiego sezonu. Przed trasą. Brawo.

Bije brawo. Najpierw Emma – teatralnie, powoli, z przesadą. Potem reszta dołącza, jak w absurdalnym chórze rozczarowania. Libertyn unika ich wzroku, jakby chciał zapaść się pod ziemię albo teleportować do innego wymiaru.

Thomas stoi oparty o ścianę, ręce trzyma w kieszeniach. Odzywa się spokojnie, ale nie ma w nim ani grama pobłażania.

– Promocja jak się patrzy. Rose siedziała ostatnio nocami, żeby zdążyć przed urlopem montażysty. A ty ją wywaliłeś kilka godzin przed tym, jak miała mu to wysłać.

Znowu brawa. Thomas prowadzi je z godnością, jak dyrygent opery ironii. Reszta wchodzi w rytm.

Robert rzuca cicho, ale z takim ciężarem, że uderza jak cegła:

– Tylko ona wie, gdzie są te cholerne pliki. To ona to poukładała. Bez niej będziemy się w tym babrać co najmniej tydzień.

Robert bije brawo. Thomas gwizdże. Paul, który już wcześniej zrobił chorągiewkę ze słomki i serwetki, macha nią jak na wielkim finale. Emma wiwatuje, jakby właśnie zagrali zwycięski koncert.

Paul bierze głęboki oddech, patrzy po kolei na wszystkich, a potem dorzuca z teatralnym westchnieniem:

– Ale przynajmniej pozbyliśmy się Viktori...

Przez sekundę zapada cisza. A potem wybuchają jednocześnie: brawa, wiwaty, śmiechy. Ville też klaszcze – nieco zbyt entuzjastycznie. Ten moment nosił w sobie od dawna.

– Działała mi na nerwy. Tolerowałam ją, bo... no wiadomo – mówi Emma ze śmiechem, mrugając porozumiewawczo do Roberta.

Ville uśmiecha się zawadiacko, jakby właśnie wygrał zakład. Robert oblizuje usta z miną pozornie niewinną. Paul puszcza oczko do Wendy, a ona tylko kręci głową z rozbawieniem.

Thomas odchyła się do tyłu i parska śmiechem.

– Do niczego więcej się nie nadawała. Z takim pustakiem dawno nie miałem do czynienia.

Zapada krótka konsternacja. Potem wszyscy wracają do jedzenia. Talerze szurają o obrus, ktoś nalewa soku, ktoś poprawia serwetkę, ktoś nuci pod nosem.

– A co z Amidalą? – pyta Wendy, przecinając tę chwilową „sielankę”.

Ville wzdycha. Obraca szklankę z herbatą w dłoniach.

– Córka mnie nienawidzi. Rose nic jej nie powiedziała. Niczego, co by sugerowało, że to moja wina. Zachowała się z klasą. Pełne opanowanie. Nie wiem, czy jest taką aktorką, czy po prostu miała wywalone... Ale Ami twierdzi, że ją okłamałem. Powiedziałem jej przecież, że Rose zostanie z nami na dłużej.

– Rose powinna być traktowana jak ktoś więcej niż tylko pracownik – stwierdza Emma stanowczo. – Nie tylko przez wzgląd na Ami. Po prostu... ją lubię. Zresztą wzbudziła też sympatię rodziców.

Reszta przytakuje. Dla wszystkich to jasny sygnał: Dziewczyna należała już do Grupy ludzi użytecznych – tylko nie było okazji powiedzieć jej tego oficjalnie.

Wszyscy patrzą na Villego. Ten przewraca oczami i unosi ręce w geście kapitulacji.

– Dobrze, już dobrze. Jutro pojedę do niej. Pogadam z nią, poproszę, żeby wróciła do pracy. A na pewno zaproszę do naszej paczki.

Ledwie kończy to mówić, jak telefon Emmy wysłał powiadomienie. Dziewczyna zerka na ekran otwierając szerzej oczy z niedowierzania.

– Rose właśnie udostępniła posegregowane materiały – mówi w końcu. – Harry pisze, że bierze się do roboty.

– Ta laska doprowadzi mnie do szału – stwierdza Ville stanowczo.

Wszyscy niemal równocześnie wypuszczają powietrze, bo właśnie zeszło z nich ciśnienie. Thomas klaszcze w dłonie z teatralnym rozmachem, aż echo odbija się od ścian jadalni. Paul unosi pięść w górę w geście zwycięstwa, jakby wygrał niewidzialny zakład. Emma patrzy w sufit, jakby szukała tam odpowiedzi na pytanie, skąd ta dziewczyna ma tyle klasy i chłodnej precyzji.

Robert mruczy pod nosem, z autentycznym szacunkiem:

– Porządna. Ja bym na jej miejscu zażądał ze sto tysięcy funtów za coś takiego.

Zapada chwila ciszy, po której wszyscy wybuchają śmiechem. Krótkim, nerwowym, ale szczerym.

Robert klepie Libertyna po plecach jak kumpla, który właśnie przeżył bliskie spotkanie z huraganem.

Ville się szczyrzy. Ma ten swój bezczelny uśmiech – tarczę. Ale w środku już wie: jutro nie będzie miał lekko. Bo są sytuacje, kiedy nie wystarczy urok. Trzeba będzie powiedzieć coś prawdziwego. Może nawet przeprosić.

Rozdział 5

Ville zaprzyjaźnia się z Rose.

Poranek jest jasny; jesienne słońce ledwo przebija się przez chmury i odbija w szybach, wciąż mokrych po nocnym deszczu. Ville jedzie przez miasto powoli, niemal ostrożnie, jakby samą jazdą próbował odwlec to, co nieuniknione. Jego czerwone Ferrari przyciąga spojrzenia, ale on jest dziś zbyt spięty, by to zauważać. Parkuje niedaleko bloku Rose, zabiera z siedzenia bukiet kolorowych, łąkowych kwiatów – pachną intensywnie i naturalnie.

– Nawet nie wiem, jakie kwiaty lubi... Wygląda, jakby właśnie takie lubiła. Albo i nie – krzywi się teatralnie poprawiając włosy w bocznym lusterku – dobra, może będzie dobrze.

Serce wali mu szybciej, dłonie lekko się pocą. Zamiast wysiąść od razu, siedzi jeszcze chwilę. Jakiś rowerzysta mija auto z impetem, głośno dzwoniąc. W oddali szczeka pies. Z sąsiedniego okna leci muzyka, coś popowego, totalnie nie w jego klimacie. Ville zamyka oczy na sekundę i bierze głęboki wdech.

Wychodzi z auta. Kwiaty ściska mocno, czując, że to właśnie od nich zależy, czy uda mu się wejść do tego mieszkania, czy nie. Mija bramkę i staje przed domofonem. Palec zawisa nad przyciskiem.

– No to dawaj – mruczy do siebie i wreszcie dzwoni.

Kamera przy domofonie zbliża się do jego twarzy. Patrzy prosto w obiektyw, przewraca oczami, jakby już wiedział, że ktoś zobaczy to nagranie i będzie się śmiał z jego miny. Drzwi otwierają się. Klatka schodowa jest czysta, cicha; pachnie świeżym betonem i środkiem do podłóg. W tle słychać jednostajny szum wind i delikatny szelest wentylacji. Wszystko tu jest nowe, gładkie, sterylne, zbyt uporządkowane jak na jego obecny stan ducha.

Ville stąpa po kamiennej posadzce w drogich butach, czując wewnętrznie, że dziś nie pasują mu do nóg. Mógłby wjechać windą, ale woli iść schodami – musi gdzieś rozładować napięcie. Wchodzi na drugie piętro. Nigdy wcześniej tu nie był. Znał Rose zawodowo i to wystarczało. Nie było potrzeby. Teraz już jest.

Zatrzymuje się przed jej drzwiami: szare, eleganckie, z lekkim połyskiem. Spogląda na kwiaty. Jeszcze przed chwilą wydawały mu się idealne, teraz nagle wyglądają tanio, jakby były wzięte z automatu przy stacji benzynowej. Oddycha głęboko, przestępuje z nogi na nogę. Nie jest gotowy na to, co za chwilę może usłyszeć. Nerwowo poprawia włosy w lustrzanej szybie szafy naprzeciwko i puka cicho.

Drzwi otwierają się niemal natychmiast. Rose patrzy na niego z zaskoczeniem i lekką irytacją.

– Słucham jaśnie pana – mówi kłaniając się nisko.

Ville unosi dłoń z kwiatami i wręcza je dziewczynie niepewnym ruchem.

– Chciałem przeprosić, mogę?

Rose zabiera bukiet, wacha, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Nie.

I bez wahania zatrzaskuje mu drzwi przed nosem.

Zostaje sam na klatce między stukaniem młotka, w rytmie remontowego dramatu toczącego się gdzieś wyżej, a szczekaniem psa z mieszkania obok. Stoi tak chwilę, osłupiały w tym hałasie, po czym mimo wszystko postanawia zapukać jeszcze raz.

– Co za straszna baba! I co ja mam teraz zrobić? – mamrocze do siebie.

Drzwi uchylają się z lekkim opóźnieniem. Rose znowu tam stoi, ze skrzyżowanymi ramionami.

– Słucham? – rzuca sucho.

Ville drapie się w głowę, jakby coś go zaswędziało w mózgu.

– Eee... powiesz mi, co mam teraz zrobić?

Dziewczyna wybucha śmiechem – ciepłym, głośnym, niespodziewanym. Opiera dłoń o framugę, milknie na parę sekund i dopiero wtedy wraca jej spokój. Bez słowa odsuwa się, otwiera szerzej drzwi.

Wpuszcza go do środka, a on wchodzi z przesadną ostrożnością, stąpając wolno niczym po polu minowym. Od progu uderza go miły, słodki zapach – coś między cynamonem a czymś świeżo wyjętym z piekarnika. Zdejmuje płaszcz i rozgląda się nieśmiało. Mieszkanie jest wysokie, jasne, urządzone w stylu glamour: błysk, welur, szkło. Widać, że nikt nie szczędził środków, a jednak jest w tym coś ciepłego, domowego.

Rose wskazuje salon ruchem głowy.

– Siadaj – rzuca tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Ville podchodzi do kanapy i siada ostrożnie, nie będąc pewnym, czy mu wolno. Podwija rękawy, zerkając przy okazji na wnętrze.

– Czegoś się napijesz? Może jesteś głodny, właśnie upiekłam ciasto, teraz stygnie na zewnątrz.

Chłopak unosi brwi. Nie wiedział, że Rose potrafi piec. Nie wiedział też, że w dresach i bez makijażu może wyglądać aż tak dobrze.

– Tak, poproszę. Jestem ciekaw, co tam upiekłaś. Teraz już wiem, dlaczego tak ładnie pachnie – rozgląda się po salonie. – W ogóle ładnie tu.

Dziewczyna przewraca oczami i bierze się za wstawianie kwiatów do szklanego wazonu. Z kuchni dobiega brzęk sztućców i talerzy.

– Nie podlizuj się, celebryto. Herbaty?

Ville potakuje i rozsiada się wygodniej. Z czajnika dobiega cichy gwizd, jakby ktoś przeciągał nutę na skrzypcach. Rose kroi sernik, stawia tacę na stoliku, po czym zerka na kwiaty.

– Nie mam swoich ulubionych, ale te są bardzo ładne. To miłe, dziękuję.

Ville uśmiecha się szeroko i puszcza jej oczko. Już po chwili siedzą razem i rozplývają się nad smakiem wypieku.

– Dobrze, naprawdę super. Powinnaś spróbować kiedyś mojej szarlotki.

– Też pieczesz?

Libertyn kiwa głową, zadowolony z efektu. Widać, że odzyskuje grunt pod nogami, więc postanawia poruszyć pewne skomplikowane kwestie.

– Wysłałaś materiały, mimo że... no, wiesz...

– Nie miałam wyboru. Po pierwsze przyzwoitość mi nakazywała, po drugie, reszta twojego zespołu to super ludzie. Po trzecie, potrzebuję pieniędzy.

Zatrzymuje się na moment, patrząc gdzieś przez okno.

– Rzuciłam studia, więc ojciec nie będzie mnie dłużej utrzymywać. Nie planuję wrócić na magisterkę. Nie ukrywam, że liczę wkrótce na wypłatę, przynajmniej za czas, kiedy dla was pracowałam.

– Jasne, nie ma sprawy – mówi, kiwając głową ze zrozumieniem. – Było powiedzieć. Pieniądze to nie problem. Dam znać kadrowej, co i jak.

Rose upija łyk herbaty, patrząc na niego spod długich rzęs.

– Musicie kogoś sobie poszukać. Na razie Harry ma co robić, ale jeśli dalej tak będziecie bałaganić w plikach, znowu będzie problem.

– Chcielibyśmy, żebyś wróciła. Zrobiłaś cały system archiwizacji, przejrzałaś prawie wszystkie materiały. Miałaś jechać z nami w trasę...

– Ville – przerywa stanowczym gestem dłoni – wybrałam informatykę, żeby być niezależna. Żeby pracować ze sobą, nie w zespole. Jestem indywidualistką. Lubię ludzi prywatnie, ale jeśli chodzi o pracę – chcę pracować sama. A u was tak nie jest. Jedno spięcie z celebrytką i zostałam wywalona. Mam swoją godność i nie pozwolę się poniżyć, choćby samemu papieżowi. Ewentualnie mogę wrócić na parę dni, żeby skończyć sprawy archiwum. Ale to wszystko.

Ville milknie. Przetrawia to, co usłyszał, w ciszy; bierze kęs sernika i delektuje się smakiem bezy. W końcu mówi spokojnie:

– Tak. Mamy materiały na jakiś czas. Będziemy nagrywać też nowe rzeczy. A może jednak zmienisz zdanie?

– Nie, nie zmienię – rzuca pewnie dziewczyna. – Będę szukać nowej pracy. Mam nadzieję, że dasz mi referencje. Wprowadź to tylko miesiąc, ale... – wzdycha z rezygnacją – aha, NDA. To jestem w dupie. Chyba jednak wrócę na te studia.

– Pokój Strachu jest twój. Ale dobrze, spróbuję kogoś znaleźć. Niemniej jednak zastanów się jeszcze. Może przynajmniej skończysz 2024 rok, co? Płacę jak za prezydenta.

Rose waha się, ale ostatecznie przyznaje Libertynowi rację, wprowadzenie nowej osoby do prawie skończonego archiwum to strata czasu i nerwów. Dlatego przystaje na jego propozycję. Nie mówi tego wprost, wystarczy potaknięcie i ledwie widoczny uśmiech, Ville odczytuje to bez problemu.

– Słuchaj, ekipa cię polubiła. Amidała płacze w poduszkę od wczoraj. Piękna, niezależnie od tego, czy wrócisz do pracy, czy nie – chcemy, żebyś wracała do pałacu. Żebyś była częścią życia Rianów. Była w naszej paczce.

Ona otwiera usta ze zdziwienia, lekko unosi brwi, ale on ciągnie myśl, a jego ton poważnieje:

– Niedługo są moje urodziny. W klubie u Roberta. Impreza zamknięta. Serdecznie cię na nie zapraszam.

– Przecież nawet mnie nie lubisz.

Ville wybucha śmiechem, jakby coś w nim pękło.

– Niezły ze mnie aktor, co? Naprawdę uwierzyłaś?

– Nie rozumiem. Sam to powiedziałeś. Unikałeś mnie, byłeś zgryźliwy i wywaliłeś mnie z pracy.

– No wybacz, ale z pracy się sama wywaliłaś... Unikałem cię, żeby... – zawiesza głos na sekundę, patrzy jej w oczy dłużej niż powinien.

– Słuchaj, jesteś gorąca, a ja jestem Libertynem, byłem twoim przełożonym, nie wiem czy bardziej chroniłem ciebie czy siebie. Ale to co zrobiłaś po tym jak Viktoria nazwała cię sprzątaczką, zmusiło mnie do spojrzenia na sprawy z innej perspektywy.

Przesuwa dłonią po oparciu krzesła szukając właściwych słów, po czym pochyła się lekko w jej stronę.

– Rose, naprawdę – znam bardzo mało tak honorowych ludzi, którzy gotowi są poświęcić wiele, aby chronić swoją godność. A ta twoja złość pod bramą, to było wow. Pierwszy raz w życiu poza mamą i Emmą ktoś tak szybko sprowadził mnie na ziemię. Potrzebuję takich ludzi wokół siebie. Chciałbym się z tobą zaprzyjaźnić. Co ty na to?

Dziewczyna śmieje się do siebie, cicho, ale szczerze. Teraz wszystko nabiera sensu. Przyjaźń z Ville Rianem brzmi jak coś nie z tego świata, a jednak siedzi obok niej, cały w emocjach, gotowy na szczerość. Chłopak, który ją fascynował fizycznie, teraz chce się przed nią otworzyć. Muzyk, artysta, matematyk. Libertyn ją interesuje – i to nie tylko jako ciało. Chce go poznać naprawdę, prywatnie, całego.

Rose uśmiecha się szczerze i potakuje, a on wylapuje ten krótki, znaczący gest. Wyciąga do niej dłoń.

– Może zaczniemy od początku. Ville Vivaan Rathore Rian.

– Rose Milagros Mayer – odpowiada, odwzajemniając uścisk.

Przez moment tylko patrzą na siebie. Nikt się nie spieszy, jakby czas na chwilę się zatrzymał.

– To jakie masz plany na dziś, Rose? I kiedy wracasz do Pokoju Strachu?

Ona bierze łyk herbaty, odkłada filiżankę i przeciąga się lekko, próbując rozprostować napięcie całego poranka.

– Miałeś szczęście, że zastałeś mnie w domu. Po południu ruszam do Bristolu na urodziny matki Eryka. Pewnie zostanę na weekend.

Ville zagryza wargi i przytakuje z nieczytelnym wyrazem twarzy.

– No właśnie. I co dalej z tym twoim Erykiem? Bo z tego co wiem, to masz obiekcje.

– Postanowiłam dać nam jeszcze szansę. Kiedy uporam się ze sprawami *LFL*, wrócę do Bristolu. Zamieszkać z rodzicami, poukładam sobie swoje sprawy i zobaczymy. W sumie cieszę się na to spotkanie.

– Dobrze. Rozumiem. Każdy ma prawo do szczęścia – mówi sucho i przygląda się jej uważnie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół.

Rose wskazuje na ciasto i nachyla się w jego stronę.

– Jeszcze kawałek?

Ville robi teatralny gest w akcie poddania i łapie się za brzuch.

– Nie dzięki, ale jak można, to wezmę na wynos. Jest smaczne, pewnie hołota z Liberty Fade mi zje.

Dziewczyna z uśmiechem zawija prawie całe ciasto w srebrną folię, starannie, jak dla kogoś bliskiego. Widać, że robi to z czułością, ale nie mówi nic więcej. Ville przygląda się temu w ciszy. Dopiero gdy widzi, że zapakowała mu prawie całą blachę, unosi brwi i protestuje:

– Ej, to już wygląda jak sabotaż.

– Pozdrowienia dla hołoty od Rose Mayer. Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy – mówi, wskazując na niego nożem. – A ty będziesz mi winny szarlotkę.

– Umowa stoi – potwierdza, szczerząc się od ucha do ucha.

Zakłada płaszcz, bierze ciasto i podchodzi do niej na pożegnanie.

Całuje ją w policzek. Delikatnie, z wyczuciem. Chwilę przytrzymuje twarz tuż przy jej skroni, jakby chciał zapamiętać jej zapach. Rose robi to samo – odruchowo i bez przymusu. Przymyka oczy.

– Dzięki za wszystko, piękna. Serio. I do zobaczenia wkrótce – rzuca wesoło, po czym wychodzi.

Zbliża się wieczór. Rose, w świetnym humorze, dojeżdża właśnie do Bristolu. Na chwilę zatrzymuje się w rodzinnym domu – tylko po to, by poprawić makijaż i rzucić okiem na swój pokój. Kilka przecznic dalej znajduje się posiadłość państwa Steven, rodziców Eryka. Wszyscy goście zdążyli się już zebrać. Rose wchodzi jako ostatnia i choć przyciąga spojrzenia, nikt niczego nie komentuje. Wita się grzecznie, uśmiecha, macha do kilku znajomych twarzy.

Eryk schodzi z góry. Dziewczyna nie widziała go od ponad miesiąca – od chwili, gdy zaczęła pracę dla Liberty Fade. Już z daleka dostrzega, że zapuścił się jeszcze bardziej niż wcześniej. Blond włosy wyglądają na przetłuszczone, a może po prostu przeredzone. Zarost, jak zwykle, jest niedokładnie zgolony. Garnitur, mimo pieniędzy i nieograniczonego dostępu do konta rodziców, sprawia wrażenie wyciągniętego z dna szafy: marynarka zbyt ciasna, koszula zapięta niedbale. Jedno spojrzenie wystarcza. Rose czuje zawód.

Kiedy Eryk pochyla się w jej stronę, dociera do niej ostry zapach perfum zupełnie niepasujący do młodego mężczyzny. Automatycznie zbiera jej się na mdłości. Miała zatęsknić, miała go pragnąć – a w głowie niespodziewanie pojawia się obraz Libertyna: wymuskany, pachnący delikatnymi perfumami, dopracowany w każdym detalu. Nawet jego bielizna zdaje się pasować do stylizacji. Rose patrzy na Eryka i myśl sama układa się w jej głowie: *Pod względem wyglądu i uroku osobistego, Libertyn to nie jest wysoko zawieszona poprzeczka, to po prostu sufit.*

Wybudza się z zamyślenia, gdy Eryk pochyla się, by ją pocałować. Pozwala mu na to, choć lekko się wzdryga. Stara się tego nie okazywać.

Zaraz potem podchodzi do niej Margot – chuda kobieta w okularach, matka chłopaka. Lustruje Rose ubraną w czarną, koronkową sukienkę i pantofle na średnim obcasie z mieszaniną wyższości i ostrożnej aprobaty.

– No, no, Rose... zawsze na czarno. Ale przynajmniej promieniejesz. Eryk się za tobą stęsknił – mówi, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów. – Choć się spóźniłaś – dodaje z wyraźnym zniecierpliwieniem. Dziewczyna oddycha spokojnie. W myślach pojawia się wspomnienie – Ville i ich „pakt przyjaźni”. Jak zaprosił ją do pałacu nie jako pracownicę, lecz jako przyjaciółkę. To wystarcza, by unieść podbródek i uśmiechnąć się lekko.

– Wybacz, jeszcze jeden klient zażądał poprawek w ostatnim momencie – odpowiada z uprzejmą nonszalancją.

Margot nie wygląda na zadowoloną. Do rozmowy dołącza Eryk, kiwając głową.

– Wiesz, ja rozumiem, że masz fajną robotę i te twoje projekty, ale praca to nie wszystko. Jestem jeszcze ja – rzuca niby żartem, z lekkim wyrzutem, po czym dodaje: – A co z sernikiem dla mnie? Przywiozłaś? – Spalił się. Nie nadawał się do jedzenia – odpowiada spokojnie, bez cienia zawahania.

Patrzy na swojego chłopaka i krzywi się lekko. W głowie słyszy jedną, uporczywą sekwencję: *Twój sernik, Eryku, oddałam pięknemu Libertynowi, za którym uganiają się miliony fanek. A ty miałeś schudnąć. Z tą myślą uśmiecha się dłużej, niż powinna. Chłopak marszczy brwi, wyraźnie zdezorientowany.*

Sytuację przerywa Margot. Podchodzi do syna, gładzi go po czole. Rose poważnieje, bo w jej głowie znów pojawia się kontrastujący obraz: Mia, która na pierwszym spotkaniu uściskała ją jak kogoś

bliskiego, i Rami rzucający żartami z artystycznym wdziękiem. Rozmowy przy stole podczas urodzin Amidali – ciepłe, inteligentne, bez wywyższania się. A tutaj? Margot nawet nie podała jej ręki.

Rose nie zdążyła jeszcze podejść do stołu, a już słyszy ojca Eryka chwającego się kolejnymi wakacjami na egzotycznej wyspie. Zawsze to samo. Wchodząc głębiej do salonu, dostrzega swojego ojca gestykulującego żywo w rozmowie z bratem Margot – zapewne znów dyskutują o czymś droгим. Wita się z pozostałymi gośćmi lekkim skinieniem głowy. Zna tu niemal wszystkich.

Podchodzi do rodziców, całując ich w policzek. Jej matka, Marina, wyraźnie znudzona rozmowami o wakacjach, powoli popija białe wino. Nachyla się i szeptem wypytuje córkę o pracę i dalsze plany. Dziewczyna podtrzymuje swoją wersję: realizuje projekty na zlecenie, ma dużo pracy, studia są tymczasowo zawieszane. Marina przyjmuje to bez komentarza. Widzi więcej, niż mówi.

Eryk siada obok Rose, rozkładając szeroko nogi, i obejmuje ją ramieniem. Znowu uderza ją intensywny zapach jego perfum.

– Ładnie ci w tej sukience – stwierdza, lustrując jej dekolt. – Choć czasem mogłabyś założyć coś bardziej kolorowego. I te włosy... dobrze ci w nich. Liczę, że w sylwestra właśnie tak będziesz wyglądać. Tylko załóż szpilki.

Dziewczyna przymyka oczy. Zupełnie zapomniała, że sylwestra ma spędzić ze swoją paczką z Bristolu – miejsce w klubie zostało zarezerwowane już dawno. Zastanawia się teraz, co zrobi gdy Libertyn zaprosi ją na imprezę. Odpędza szybko te myśli. Przyjechała tu, by odbudować relację z Erykiem i odnaleźć siebie. Uśmiecha się lekko na znak, że przyjęła informację do wiadomości.

– Kochanie, jak tam na magisterce? – pyta Eryk, przesuwając się do niej bliżej. Zbyt blisko.

Prostuje się, jakby usłyszała coś obraźliwego, i lekko kręci głową.

– Przecież mówiłam ci, że pracuję. Musiałam zawiesić studia.

– Zapomniałem. Wiesz, ja nie mogę sobie pozwolić na takie wakacje od uczelni, bo akurat wpadła fucha. Pan Richard Steven, ojciec Eryka, nie przepuszcza okazji.

– Co by było, gdyby wszyscy studenci medycyny przerywali naukę w połowie? – parska z politowaniem, odwracając się do gości. – Kto by nas wtedy leczył?

Reszta potakuje, niektórzy uśmiechają się pod nosem. Rose czuje, że zbliża się do granicy wyczerpania. Eryk traktujący ją jak ozdobę. Jego rodzice, dla których jest tylko cieniem ich syna. Ta cała impreza.

W końcu wstaje i podchodzi do okna balkonowego. Z szklanką wody z cytryną w dłoni zaczyna rozmowę z matką o drobiazgach. Kątem oka widzi, jak jej ojciec, John, staje obok Eryka i z dumą klepie go po ramieniu.

– Porządny chłopak. Takich nam trzeba!

John, właściciel firmy budowlanej, przez lata wraz z Mariną umacniał swoją pozycję, dbając o kontakty i zlecenia. To dało im status, dobre życie i stabilność. Uwielbia Eryka – a raczej jego pochodzenie: pokaźny majątek, ojciec lekarz, matka dyrektor w korporacji logistycznej. „Dobrze rokujący chłopak”. Nie dostrzega jednego: jego córka jest w tym związku nieszczęśliwa. Marina to widzi. Dlatego traktuje Eryka chłodno, tak jak Margot traktuje jej córkę.

Dwie godziny później atmosfera staje się luźniejsza. Alkohol płynie szerokim strumieniem. Eryk wykorzystuje moment – łapie Rose za rękę i prowadzi ją na górę. W swoim pokoju zamyka drzwi, popycha ją lekko do ściany, całuje bez pytania. Jego oddech pachnie wódką, ciało – nie najlepiej.

– Hej... nie stęskniłaś się? – mruczy, całując ją w szyję.

Wyślizguje się z jego objęć, próbuje złapać oddech. Czuje wilgoć na skórze. Czuje obrzydzenie.

– Chcę pogadać – rzuca sucho.

Eryk siada na łóżku, rozwała się szeroko, przyciąga ją i sadza na kolanie.

– O co chodzi?

– Niedługo znowu spróbują mi pobrać komórkę jajową. Boję się... – mówi Rose, ledwo powstrzymując łzy.

– Jesteś pod opieką lekarzy – pociesza ją, a jego głos łagodnieje. – Nie ty pierwsza, nie ty ostatnia. Dopóki się leczysz i masz to pod kontrolą, nie ma co się martwić.

– A jeśli się nie uda? Jeśli naprawdę będę bezpłodna?

Obejmuje ją i gładzi po udzie.

– Kochanie, to nie średniowiecze. Są metody. Dzieci? Nie teraz – i tak jesteśmy za młodzi. Może kiedyś. Znajdziemy sposób.

Przez chwilę Rose czuje ciepło. Może naprawdę się troszczy. Może jest tak, jak mówi. Ale zaraz wszystko się psuje.

– We wtorek idę na wizytę. Podobno nie masz zajęć... Może przyjedziesz do Londynu, pójdziesz ze mną?

– Nie mogę. Umówiliśmy się z chłopakami. Mecz – odpowiada, dalej gładząc jej udo.

„Mecz”. Zawsze mecz. Łzy napływają jej do oczu. Gdy zaczyna dotykać jej piersi, podrywa się gwałtownie, sięga po telefon. Udaje, że coś się stało.

– O rany! Pożar w projekcie, muszę jechać! – niemal krzyczy.

– Co? Żartujesz!?

– To ważny klient – rzuca przez ramię, zakładając marynarkę. – Nie mam nawet komputera. Wracam do Londynu. Do zobaczenia!

Zbiega na dół, tłumacząc się awaryjną sytuacją. Goście nie zdążają zareagować. Wsiada do Camaro i z piskiem opon rusza w stronę Londynu. Telefon wibruje – wiadomości od Eryka, pełne pretensji. Że uciekła. Że zawiodła jego rodziców. Chwilę później przychodzi SMS od ojca: „Praca to nie wszystko. Eryk się martwi. Zachowałeś się nie fair”.

Rose już o to nie dba. Przez prawie trzy godziny jazdy krąży myślami wokół jednego pytania: gdzie właściwie jest jej miejsce. Nie znajduje jednoznacznej odpowiedzi – ale jedno wie na pewno. Tam, skąd wyjechała, zawsze musiała się tłumaczyć, dopasowywać, udowodniać swoją wartość. U Rianów jest inaczej. Nikt nie mierzy jej wyglądem ani nie traktuje jak ozdoby do towarzystwa. Liczy się to, kim jest, co potrafi i co ma w głowie. Może jeszcze nie wie, gdzie należy – ale wie, dokąd chce wrócić. Do świata, w którym jest traktowana jak partnerka, a nie dekoracja. I na razie to jej wystarcza.

Gdy dociera do swojego mieszkania, jest już środek nocy. Parkuje w podziemnym garażu, wchodzi po cichu, zdejmuje buty bez pośpiechu. Bierze długi, gorący prysznic, jakby chciała zmyć z siebie nie tylko zapach Eryka, ale cały ten wieczór. Gasi światło. Kładzie się do łóżka.

Ten dzień zapowiadał się lekko, niemal radośnie. Skończył się rozczarowaniem – ludźmi, którzy kiedyś byli ważni, a teraz zostali już tylko tłem.

Ville budzi się wczesnie rano, dziwnie zadowolony z siebie. Rose niebawem znów usiądzie w Pokoju Strachu – przynajmniej na jakiś czas. A to oznacza jedno: wróciła.

Druga sprawa jest jeszcze bardziej zaskakująca. Chyba zyskał koleżankę. Pierwszą, z którą coś go łączy emocjonalnie, ale nie fizycznie. To dla niego nowość. Do tej pory było odwrotnie, każda kobieta była tylko na noc, czasem na kilka. Nigdy nie było między nimi nic głębszego. Z Rose jest inaczej. I to jest... budujące.

Myśli o niej wciąż są trochę kosmate, nie do końca uładzone, ale wyraźnie tracą impet. Albo i nie. W każdym razie Ville wie jedno: jeśli znów zacznie kombinować, wszystko się rozsypie. A przez cztery tygodnie wydarzyło się zaskakująco dużo:

Najpierw podrywał ją na placu zabaw. Potem zaprosił na imprezę deskorolkową i znów próbował flirtu. Do tego dołączyła Emma ze swoimi biseksualnymi zapędami. Później zaproponował Rose pracę. Całował się z nią, a zaraz potem unikał jak ognia albo, w jej obecności, przytulał Thomasa, by odpędzić myśli o jej ponętym ciele. Gdy zaczęła zbyt często pojawiać się w zasięgu jego wzroku, postanowił całkowicie się od niej odciąć, oznajmiając, że jej nie lubi. Ona odplaciła mu ciętym językiem i zgryźliwością. Potem ją zwolnił. I przeprosił. A teraz? Teraz się z nią przyjaźni.

Leżąc w łóżku, Ville wpatruje się w sufit i uświadamia sobie cały ten absurd. Po chwili wybucha śmiechem i zasłania dłońią oczy.

– O kurwa. Libertyn w akcji. Zamiast zarywać, zaprzyjaźniłem się. A jeśli schrzanię, wróci do Bristolu i tyle ją widziałem. No dobra. Przyjaźń. Najwyżej wsadzę sobie kostki lodu w majtki. Dobry pomysł – potakuje z pełną powagą. – Trzeba uzupełnić zamrażarkę.

Uśmiecha się podstępnie, sięga po telefon i otwiera galerię. Przegląda zdjęcia Rose. Tym razem je ma. Pierwsze wystarcza, by poczuł, jak zaczyna się pocić.

– Cholera... – mamrocze do siebie. – Znowu to masakryczne uczucie. Może powinienem wreszcie zrobić badania. Załamię się, jeśli arytmia się pogłębiła. Albo dopadło mnie jakieś inne dziadostwo. Jakby mi było mało...

Wstaje. Idzie pod prysznic. Zaczyna dzień.

Tymczasem Rose odsypia intensywną noc w podróży. Eryk dzwonił kilka razy, ale odpowiedziała tylko zdawkowo – że dotarła bezpiecznie do domu. Cały dzień poświęca swoim sprawom: przegląda oferty, szuka pracy. Jedna z nich wydaje się obiecująca – zlecenia na pisanie prostych aplikacji. Zdalnie, elastyczne godziny, bez sztywnych zobowiązań.

Z tyłu głowy pojawia się jednak inna myśl, taka, która wraca ostatnio coraz częściej. Chciałaby pojechać z zespołem w trasę koncertową. Przynajmniej na jakiś czas. Gdyby udało się znaleźć właśnie taką pracę, zdalną i projektową, mogłaby zarabiać niezależnie, a wolny czas poświęcić na archiwizację materiałów *LFL* – bez dodatkowych obowiązków, bez bycia „podwładną Libertyna” co dawałoby jej kontrolę i niezależność.

Pomysł zaczyna podobać jej się coraz bardziej.

– Czy Liberty Fade się na to zgodzą? – mruczy pod nosem.

Po chwili sama sobie odpowiada:

– W sumie... czemu nie? Chociaż na trasę po Europie. Byłoby fajnie.

Z tą myślą wsiada do samochodu i rusza w stronę pałacu. Nie zwleka – walizka wciąż leży nierozpakowana w bagażniku. Miała przecież spędzić weekend u rodziców z Erykiem. Gdy dojeżdża do Rathorehouse, skanuje kod QR przy bramie. Ochroniarz, który zna ją już dobrze, uśmiecha się szeroko i macha w powitaniu.

Parkuje na swoim miejscu i zerka na zegarek – południe. Raczej nikogo nie zastanie. Kamerdyner pomaga jej zanieść bagaże do Pokoju Bacha i znika równie cicho, jak się pojawił. Rozpakowuje rzeczy, po czym zbiega do kuchni, gdzie czeka na nią ciepły posiłek.

Pół godziny później siedzi już w serwerowni, z lizakiem w ustach i melisą w kubku, klikając ze złością.

– Cholera jasna, dwa dni mnie nie było, a tu kolejne foldery! To się nie dzieje naprawdę... – mruczy, gdy drzwi do serwerowni otwierają się bez pukania.

– Nie, nie wierzę! – woła Emma, stając w progu. – Myślałam, że nasz celebryta ściemnia, że wrócisz! Ślicznotko, tak się cieszę!

Zanim Rose zdąży odpowiedzieć, Emma rzuca się jej na szyję z takim impetem, że aż brakuje jej tchu. Obie wybuchają śmiechem, a radość spotkania rozgrzewa przestrzeń pełną kabli, ekranów i chłodnego powietrza.

– Tak, wróciłam – odpowiada luźno. – Przynajmniej do końca roku. I widzę, że znów... same ważne materiały.

– Cóż mogę powiedzieć, kochana. Kota nie ma, myszy harczą. Szczególnie Ville i jego ukochana córeczka.

Emma nie kryje prawdziwej radości – jeszcze raz przytula Rose, tym razem delikatniej. Przez dłuższą chwilę rozmawiają, przedrzeźniając chłopaków z zespołu, a czasem kamerdynera, który snuje się po pałacu jak cień.

– A, zapomniałam. Twoje ciasto zostało zjedzone do ostatniego okruszka. Wiesz, ślicznotko, gdybym wcześniej wiedziała, że z ciebie taka kucharka, nie darowałabym ci!

– Cieszę się, że smakowało – odpowiada, chichocząc. – To co, dziś próba? Chętnie popatrzę, jak Libertyn się poci.

Ruszają w stronę sali prób, gdzie są już Ville, Paul, Robert i Thomas. Na widok Rose rzucają się ku niej i ściskają tak mocno, że znów brakuje jej tchu.

– Zostawcie moją koleżankę w spokoju! – krzywi się Libertyn, próbując ich od niej odciągnąć.

Śmiech rozbrzmiewa w całej sali, ale po chwili wszyscy łapią za instrumenty i zaczyna się prawdziwa próba. Przez niemal godzinę Rose jest podekscytowana – słucha uważnie, robi kilka zdjęć, kiwa się lekko w rytm muzyki.

Wszystko zmienia się pod koniec, gdy Ville podchodzi do mikrofonu i zaczyna śpiewać *Call Me Later* – utwór z drugiego albumu, bardzo emocjonalny, jak większość jego piosenek. Na dźwięk znajomych słów coś ją ścina.

Kontrast ciał i kontrast dusz,

tak ściska mnie, odbiera tchu.

Paleta barw i słodczy słów

zniknęła gdzieś, zmieniona w kurz.

Przez głowę przelatuje jej wizyta w Bristolu. Kontrast ciał między Erykiem a Libertynem. Kontrast dusz między kulturą i ciepłem Rianów a nowobogackim chłodem rodziców jej chłopaka. Plany na spokojne życie z Erykiem, dawniej oglądane przez różowe okulary, od jakiegoś czasu bledły. Teraz ostatecznie rozsypują się w pył.

Ville śpiewa dalej, nieświadomy. Jego głos niesie emocje, których Eryk nigdy nawet nie próbował zrozumieć. Rose zamyka oczy. Nie chce wychodzić z próby, nie teraz, gdy tak bardzo pragnie być blisko zespołu. Gardło ściska jej się boleśnie. Łzy napływają same. Jedna, potem druga spływa po policzku, a ona wyciera je nieporadnie rękawem sukienki.

To nie jest moment decyzji. To jej pieczęć – ostateczne pożegnanie starego życia i wejście w świat Rianów z czystą kartą.

Smutek Rose nie umyka Villemu. Jako wokalista zawsze ma baczenie na swoją publiczność. Głos zawiesza mu się na ułamek sekundy, ale nie przerywa. Widzi, że z dziewczyną dzieje się coś ważnego. Kiedy kończą, zespół zaczyna zwijać sprzęt. Próba była krótka, chodziło wyłącznie o przećwiczenie nowych brzmień w kilku utworach, nad którymi pracował Thomas. Gdy reszta rozchodzi się do swoich spraw, dziewczyna wciąż siedzi w fotelu, zagryzając wargi.

– Coś się stało? – pyta Ville cicho, podchodząc do niej bliżej.

Ona tylko kręci przecząco głową. Libertyn uśmiecha się z tym swoim zawadiackim błyskiem w oku.

– O piękna, moi fani płaczą z dwóch powodów. Bo mnie kochają i pragną choćby mnie dotknąć... albo dlatego, że moje piosenki trafiają w ich uczucia. Ty możesz mnie dotykać ile chcesz – więc obstawiam: uczucia?

Rose nie może uwierzyć, że on tak łatwo ją rozszyfrował. Jednak nic nie mówi. Ville bierze ją za rękę i razem wychodzą z sali prób. Idą chwilę wzdłuż ciemnego korytarza w podziemiach, potem wchodzą po schodach do holu głównego i kierują się dalej, do części sypialnianej, do Pokoju Libertyna. W połowie drogi ona przystaje na moment. Chłopak tylko się uśmiecha, przekrzywia głowę i rzuca:

– Oj, przestań. Mam lód w majtkach – mówi wesoło, po czym natychmiast otwiera szeroko oczy, jakby sam nie wierzył, że właśnie to powiedział.

Rose unosi brew i tylko lekko kiwa głową. Już zdążyła przywyknąć do dziwnych tekstów Libertyna. Wchodzą razem do jego sypialni. Zna to miejsce, była tu na samym początku, zanim dostała propozycję pracy. To łóżko... wygodne, miękkie, znajome.

– Siadaj albo kładź się, jak chcesz – mówi Ville przez ramię, rozbierając się. Rzuca swoją koszulę w dziewczynę i znika w łazience.

Rose nie może się powstrzymać, przyciąga materiał do twarzy i wacha. Jest lekko przepecona po próbie, a mimo to pachnie lepiej niż Eryk w swoim najdroższym garniturze. Niedługo potem Ville wychodzi, tak jak wcześniej w samych czarnych bokserkach. Dziewczyna patrzy na niego z lekkim rozmarzeniem w oczach. On tylko parska śmiechem, przechodzi do garderoby i chwilę później wraca już ubrany, oczywiście z klasą.

– No dobra, laska – rzuca, siadając obok niej – opowiadaj, co tak szybko wróciłaś? I dlaczego wzruszyłaś się moim aksamitnym wokalem?

Dziewczyna siedzi zgarbiona na łóżku, bawi się rogiem poszewki od poduszki i wzdycha ciężko.

– Atmosfera była beznadziejna. Nie miałam ochoty z nimi być. Wróciłam w nocy.

– Ulala... Nie widziałaś się z ukochanym miesiąc, jechałaś do Bristolu ze dwie godziny i jeszcze tej samej nocy wróciłaś do Londynu? No, powiem ci, grubo!

– Eryk mnie dobił i tyle – odpowiada, czując narastającą gulę w gardle.

Ville patrzy na nią z politowaniem i parska śmiechem. Rose kładzie się na wznak na jego łóżku. Przez chwilę spogląda w sufit, śledząc wzrokiem misternie wykonaną, czarną sztukaterię. Wreszcie się odzywa:

– Niedługo mam wizytę u lekarza. Poprosiłam Eryka, żeby ze mną poszedł. To bardzo ważne... ale on nie może.

– Nie może czy nie chce? – chłopak nie odpuszcza, przekrzywiając lekko głowę. Po chwili dodaje z wyczuwalną nutą kpiny: – Obstawiam, że nie chce, skoro... wróciłaś w nocy.

Rose przełyka ślinę, czując, jak w oczach zbierają się łzy, tym razem bardziej z powodu narastającego strachu o własne zdrowie niż samej rozmowy o Eryku.

– Boję się, a on mnie olał. Woli... kolegów.

– Kiedy masz tego lekarza?

– We wtorek, rano – mówi z zaciśniętym gardłem.

– Okej. Zawiozę cię i potrzymam za rękę.

– To wizyta u ginekologa – wtrąca Rose, akcentując ostatnie słowo.

Libertyn wzdycha teatralnie i spogląda w sufit, rozważając powagę wyzwania.

– To poczekam przed gabinetem. Tak, tak będzie nawet lepiej.

Obydwoje wybuchają śmiechem. Śmiechem, który na moment rozprasza cię wiszący nad rozmową. Potem zapada cisza, a słowa same układają się w wyznania. Rose w końcu decyduje się opowiedzieć mu o swoim zdrowiu: o tym, że lekarze nie wykluczają operacji usunięcia jajników i jej bezpłodności. Ville przyciąga ją mocniej, pozwala jej schować twarz w jego ramieniu, ociera łzy i delikatnie całuje w czoło. Następnie obydwójka kładą się na plecach, wsłuchując się w ciszę przerywaną buczeniem ogrzewania i odgłosem wiatru uderzającego o okna.

– Mam problemy z tarczycą, ciągle odnawia się anemia – mówi, przewracając się na bok – gdy miała się urodzić Amidala, załamane się psychicznie, wpadłem w bulimię. Dwa lata temu wykryli u mnie arytmie – biorę leki. Niestety, ostatnio nie czuję się najlepiej.

– A co ci jest? – pyta Rose, poważnym tonem.

– Nie wiem. Nie mogę zebrać myśli, czasem mi gorąco i serce wali jak głupie, wierci mnie w żołądku. Byłem z tym u lekarza, kazali zrobić mnóstwo badań. Czekam na wyniki, ale zwlekam z pobraniem krwi. Strasznie boję się strzykawek. Zazwyczaj mdleję.

– Okej, dla mnie to wygląda na objaw zakochania, ale biorąc pod uwagę, że jesteś rozpustnikiem i masz problemy kardiologiczne, to skreślam tę diagnozę.

Libertyn odwraca głowę w stronę okna, wytrzeszcza oczy i otwiera usta. W głowie ma plątaninę myśli. Uśmiecha się sam do siebie, po czym natychmiast się karci: *O nie, żadnego zakochania. Ja się nie zakochuję. To na pewno jakaś choroba. Jestem ciężko chory.* Odwraca się do dziewczyny, patrzy jej w oczy... i czuje, że znowu robi mu się gorąco. Rose, jakby nic się nie stało, przeciąga się i ziewa.

– To może we wtorek pójdziemy za ciosem i po mojej wizycie uśmiechniesz się do pani pielęgniarki, która wbije ci w żyłę taaaką – tu pokazuje półmetrową odległość – igłę i pobierze ci krew.

Ville myślami wraca na właściwe tory bo właśnie odepchnął od siebie niebezpieczne myśli o zakochaniu. Teraz patrzy na nią groźnie, z miną urwisa. Na moment oboje milkną, próbując zachować powagę, ale po kilku sekundach wybuchają śmiechem odbijającym się echem od ścian pokoju.

Rose przerywa ciszę lekkim chrząknięciem, jakby zbierała się do czegoś ważnego. Wreszcie, z pozornym spokojem, zadaje pytanie, które od kilku dni nie dawało jej spokoju.

– Libertynie, dlaczego ty nie masz dziewczyny? Tak naprawdę?

Unosi wzrok i przygląda mu się uważnie, chcąc uchwycić każdą reakcję. Głos ma opanowany, ale wewnętrzne napięcie zdradza delikatny ruch palców, którymi nerwowo poprawia rąbek sukienki.

– Ja wiem, że tłumaczyłeś to widzom w pierwszym sezonie, że masz dużo na głowie – zespół, dziecko, praca – że nie masz czasu na fochy... Ale ja nie przyjmuję tej narracji. To można połączyć. Po pierwsze: nie każda dziewczyna dramatyzuje. Po drugie: ty i tak znajdujesz czas na imprezy mimo obowiązków.

Ville porusza się niespiesznie, jakby każdy gest był częścią jakiegoś wewnętrznego spektaklu. Opiera się wygodniej, odgarnia włosy z czoła i z wyraźną manierą przeciąga spojrzeniem po jej sylwetce. Przez moment wydaje się rozbawiony, ale w jego oczach błyska coś, czego nie da się do końca odczytać.

– Widzisz, ślicznotko – zaczyna wolno, teatralnie niemal. – To wszystko prawda. I zgadzam się z tobą...

Tyle że... ja po prostu lubię być libertynem. Lubię sypiać z kim popadnie. Taki jestem.

– Ile lat jeszcze chcesz tak żyć? – rzuca ostrożnie, a na jej twarzy pojawia się wyraz szczerego niedowierzania. – Naprawdę nie chcesz się ustatkować?

– Skarbie... może i bym się ustatkował. W pewnym sensie.

– W pewnym sensie? Czyli?

– Po prostu... nie można mieć mnie tylko dla siebie – mówi cicho.

Rose prostuje się gwałtownie, ponieważ jego słowa ugodziły ją bardziej, niż się spodziewała. Spina ramiona, a usta zaciskają się w cienką linię.

– Czy ja dobrze rozumiem, że dziewczyna miała by się tobą dzielić?

Ville wzrusza ramionami z nonszalancją, jakby to było najbardziej naturalne na świecie.

– W sensie... związek otwarty? Jak Emma i Robert? – dopytuje, tonem, który próbuje zachować rzeczowość, choć głos lekko jej drży.

– Tak, dokładnie o to mniej więcej chodzi – odpowiada bez emocji. – I co? Uważasz, że to takie złe? Przecież są szczęśliwi, dogadują się. Oficjalnie są razem od kilku miesięcy, ale wcześniej byli w luźnej relacji. Ślicznotko... nie bądź naiwna. Jesteś tu już jakiś czas. Wiesz, jak to wygląda. Mury tego pałacu widziały niejedno...

– No tak – rzuca cicho Rose, a potem nagle zaciąga powietrze zupełnie wbrew sobie. – Ale jak ty sobie to wyobrażasz? Jesteś z jedną, spędzacie razem czas z Amidalą, wspólne wakacje, mieszkanie razem, obiadki u teściowej, a potem przychodzi jakaś noc i...

Opuszcza głos i teatralnie naśladuje Villego:

– „Sorry, kochanie, ale dziś bzyknę lksińską, także widzimy się na śniadaniu.”

– Nie rozumiesz. Nie o taką otwartość mi chodzi. Jest impreza, jest miło, może nawet jakiś kieliszek winka, bierzemy sobie przytulankę i... w trójkącie albo w innym wielokącie spędzamy nockę.

Rose krzywi się, a jej ciało napina się niczym struna, dłonie zaciskają się na udach próbując się powstrzymać przed czymś ostrzejszym.

– Aha. Czyli... trójkąci z dziewczynami?

Libertyn pochyla się ku niej z zaskakującą powagą, patrząc jej prosto w oczy.

– No, nie będę ukrywał, że wolałbym, żeby moja dziewczyna miała ciągoty biseksualne. Wtedy byłoby lepiej. Ale gramy fair play – więc nie miałbym nic przeciwko, gdyby ona chciała przespać się z innym facetem. Chętnie sam bym się... pomacał z jakimś przystojniakiem.

Robi krótką pauzę. Jego ton nie jest prowokujący – przeciwnie, mówi to, jakby właśnie rozmawiali o podatkach.

– Niemniej jednak to miałyby być nasza wspólna decyzja. Wspólna zabawa.

Ona otwiera usta ale natychmiast je zamyka. Jej twarz na moment traci wyraz – jakby ktoś właśnie podciął jej grunt pod nogami. Głos, który wydobywa się z niej chwilę później, brzmi cicho, niemal niepewnie:

– A ile razy... nie wiem... w ciągu miesiąca chciałbyś mieć takie relacje?

Ville uśmiecha się kątem ust – ten jego typowy uśmieszek, nieco zadziorny, nieco zuchwały, jego pewność siebie rośnie.

– Kilka razy w roku. Oczywiście pod warunkiem, że relacje z moją dziewczyną byłby bardzo zadawalające.

Mówi to spokojnie, z lekkim namysłem, patrząc na nią uważnie, badając jej reakcję i sprawdzając czy przekroczył granicę, czy może jeszcze nie.

– Wiesz... mam wymagania. I duży apetyt.

Milczenie, które zapada, nie jest już przyjemne. Nie przypomina ciszy między dwojgiem bliskich ludzi – to coś gęstszego, jakby powietrze w pokoju nagle stało się zbyt ciężkie, zbyt nasycone znaczeniami.

Rose przełyka ślinę, niemal bezwiednie. W gardle czuje gulę. Zaczyna żałować, że w ogóle zainicjowała ten temat. Zanim jednak zdąży znaleźć słowa, które wyrwałyby ją z tej pułapki rozmowy, telefon Villego zaczyna wibrować. Dźwięk staje się wybawieniem.

– Thomas – mruczy, zerkając na ekran. Jego głos brzmi obojętnie, prawie nieobecnie, ale palce poruszają się szybko, sprawnie odbierając połączenie.

Po drugiej stronie słychać przytłumione, energiczne głosy i szybki potok słów – zaproszenie na nieplanowaną, nielegalną imprezę techno, gdzieś w starym hangarze na obrzeżach miasta. Ville słucha z lekkim uśmiechem, raz czy dwa kiwa głową, choć rozmówca nie może tego widzieć, po czym się rozłącza.

W międzyczasie Rose wstaje z łóżka nie mogąc dłużej usiedzieć. Podchodzi do fortepianu. Jej palce muskają wypolerowaną czarną taflę instrumentu, delikatnie, niemal nieobecnie, jakby szukała w tej powierzchni ukojenia albo jakiegoś pretekstu, żeby się odsunąć. Libertyn odkłada telefon, nie odrywając od niej wzroku. W jego oczach znów pojawia się ten błysk – psotny, zapraszający, z odrobiną wyzwania.

– To co, koleżanko, idziesz z nami?

Ona pragnie wyrwać się z tego pokoju, potrzebuje chwili zabawy, zapomnienia więc potakuje i, zamiast odpowiedzieć słowami, naciska po kolei kilka klawiszy fortepianu. Chłopak zaciska zęby i krzywi się teatralnie, po czym kręci przecząco głową, jakby właśnie ktoś zbeczczył świętość.

Rozdział 6

Nic nie znaczące pocałunki

Czerwone Ferrari Purosangue sunie przez opustoszałe, oblodzone ulice przemysłowej dzielnicy. Silnik mruczy nisko, tłumiąc ciszę mroźnej nocy. Latarnie są tu rzadkie, a ich żółte światło ledwo odcina zarysy zardzewiałych bram i betonowych ścian z graffiti. Przy jednym z murów stoi kilku ludzi w czapkach i kapturach, opartych o starego vana, patrzą na przejeżdżające Ferrari z mieszaniną ciekawości i uznania. Auto skręca w wąską, dziurawą drogę między dwoma halami. Opony chrzęszczą po zmarzniętym żwirze. Z przodu majaczy masywna, opuszczona brama wjazdowa z wytartym jakimś napisem, ledwo widocznym spod warstwy rdzy i plakatów po starych wydarzeniach. Za bramą widać ciemny plac, a dalej — hangar. Z jego wnętrza przebija się czerwono-fioletowa poświata i pulsujący bas, który czuć w klatce piersiowej jeszcze zanim wysiądą z auta. Przed wejściem do hangaru tworzy się krótka kolejka. Zimne grudniowe powietrze wgrzyza się w policzki, a stroboskop z wnętrza co chwilę rozświetla sylwetki czekających. Większość trzyma ręce w kieszeniach, niektórzy palą papierosy, inni wpatrują się w telefony. Przy samych drzwiach stoi dwóch ochroniarzy, jeden z nich zbiera opłaty.

– Pięćdziesiąt funtów, wejście na całą noc – mówi do pary przed nimi.

Ville i Thomas nawet się nie zatrzymują. Jeden z ochroniarzy uśmiecha się porozumiewawczo i odsuwa barierkę. Mężczyzna od opłat skinieniem głowy daje znać, że mogą przejść. Rose, idąc za nimi, kątem oka widzi, jak chłopak w kolejce obok wręcza banknot i dostaje krótki uścisk dłoni, jakby był to rodzaj biletu wstępu.

– Razem z moim Dj-em na takich imprezach jesteśmy VIP – mówi Ville biorąc ją za rękę.

Kiedy wchodzi do wąskiego, ciemnego korytarza, uderza ich fala ciepła, dymu i kolorowego światła. Przez chwilę mrużą oczy, bo po zimnej, cichej nocy nagle trafiają w sam środek chaosu, setki ludzi poruszających się w rytmie muzyki, czerwone i fioletowe błyski stroboskopów, projekcje wirujących kształtów na ścianach hangaru.

Znajomy DJ stoi na podwyższeniu zrobionym z europalet, pochylony nad mikserem i laptopem, jego ręce poruszają się szybko, jakby od tego zależało całe istnienie tego miejsca. Rose chłonie każdy szczegół: pstrokaty tatuaż na karku dziewczyny tańczącej przed nią, błysk srebrnych łańcuchów w świetle lampy, nagle wybuchy śmiechu wśród ludzi wyglądających na takich co znają się od lat. Czuje się, jakby wpadła do innego świata, odciętego od rzeczywistości. Obok niej Libertyn i Thomas patrzą przed siebie spokojnie, bez śladu zdziwienia. Ich twarze zdradzają, że to dla nich dobrze znany krajobraz, znajome dźwięki, znajome twarze, znajome zapachy. Nagle do chłopców podbiega kilka dziewczyn, Rose kojarzy dwie z nich z imprezy deskorolkowej. Ville nie puszczać jej ręki wita się z nimi pocałunkiem, ale nie w policzek, każdą całuje w usta, a jedną po francusku, Thomas zachowuje się podobnie. Dwie dziewczyny uśmiechają się do Rose, ale gdy widzą, że Ville trzyma ją za rękę ich uśmiechy zamieniają się raczej w grymas, bo najwyraźniej Libertyn już wybrał partnerkę z którą spędzi noc.

Thomas też nie próżnuje, szepcze coś do ucha dziewczynie obok, obejmuje ją w tali i rusza z nią na parkiet. Ville i Rose zostają jeszcze chwilę.

– Trzymamy się razem, wiele tu ponętnych dziewczyn ale... dziś jestem twój. Po czym szybko się prostuje – oczywiście w sensie przyjacielskim, muszę cię pilnować, jesteś „świeżakiem”. No wiesz, jestem ojcem i jestem odpowiedzialny.

Rose przytakuje próbując zachować powagę i już po chwili idą razem na parkiet. Z głośników płynie wolniejszy sample w rytmie house, gładki, ale wciąż pulsujący energią. Ville porusza się swobodnie, pewnie; od najmłodszych lat jest związany z tańcem i choć nie akceptuje sztywnej, wyuczonej choreografii, na parkiecie czuje się jak w domu. Jego biodra poruszają się w płynnych, naturalnych ruchach, ramiona prowadzą Rose lekko, jakby taniec był przedłużeniem rozmowy. Ona jako zawodowa tancerka latino, wciąż ma w ciele pamięć setek godzin spędzonych na sali. Jej ruchy są precyzyjne, ale miękkie, pełne pewności i swobody. W jednej chwili dopasowuje się do tempa Villego, w drugiej przejmuje inicjatywę, prowokując go krótkimi, obrotowymi figurami testując jego refleks. Ludzie obok tańczą w swoim rytmie, ale ta dwójka wyróżnia się od pierwszych taktów — nie tylko techniką, ale tym, jak patrzą na siebie i prowadzą niewidzialny dialog. On naciska lekko dłoń na jej plecach, ona odpowiada subtelnym przesunięciem ciężaru ciała. Rytm staje się ich wspólnym językiem, a parkiet na chwilę kurczy się tylko do nich dwójga. Po kilku utworach Ville pociąga Rose za rękę i prowadzi do prowizorycznego baru. Człowiek stojący za ladą tylko się uśmiecha i bez słowa podaje Libertynowi cytrynową lemoniadę. Następnie zerka na jego towarzyszkę.

– Czego się napijesz? – pyta z lekkim uśmiechem, przenosząc wzrok to na nią, to na Villego.

– To samo, proszę – rzuca bez namysłu.

Oboje z lemoniadą w rękach siadają przy blacie z europalet.

– No, no, panienko Rose, powiem tak: dawno mi się tak dobrze z nikim nie tańcowało. Albo mnie depczą, albo chcą się od razu całować. Przecież nie jestem jakimś robotem, prawda?

Ona wybucha śmiechem, o mało co nie krztusząc się napojem. Teatralność i mimika Libertyna, gdy krytykuje samego siebie lub opowiada o czymś mniej poważnym, są tak przesadne i barwne, że trudno się nie roześmiać. Zdziwiona mina, podniesiona brew, wzrok błędzący po otoczeniu — wszystko to widziała już wcześniej, mieszkając w pałacu.

– Też świetnie się ruszasz. Faktycznie, jesteś wirtuozem parkietu – mówi wesoło.

Chłopak uśmiecha się zawadiacko po czym nachyla się lekko, patrząc jej w oczy.

– Czy uważasz, że przyjaciele mogą się całować? Lubię to i całuję się z każdym, kto też tego chce.

Rose teatralnie zaciska usta. Tak, zna „całusnego” Villego; dla niego nie ma znaczenia, czy to dziewczyna, chłopak, a czasem nawet dwie osoby naraz. Widziała już to i owo. I choć bardzo tego pragnie, ma jeszcze pewne wątpliwości.

– Mieliśmy być przyjaciółmi, to trochę dziwne...

– Thomas jest moim emocjonalnym chłopakiem i przyjacielem, no i całujemy się. No wiesz, bardzo sobie to chwaleb.

Rose uśmiecha się i, nie czekając na to, co powie dalej Libertyn, sama pochyła się do pocałunku. Gdy ich usta stykają się, on przejmuje kontrolę. Robi to tak naturalnie, jakby pocałunek był czymś, co od zawsze im się należało, jego wargi miękkie, ruchy pewne, tempo idealne. Rose bez wahania podąża za nim, starając się odwzajemnić ten taniec gestów i oddechu. Ville całuje jak wtedy, w jego biurze, zanim podpisał jej umowę o pracę. Tamten pocałunek trwał dokładnie sześćdziesiąt sekund, liczonych z

zegarkiem w rękę. Teraz nie chce odliczać czasu. Teraz chce dłużej. I dostaje to, czego pragnie. Bas dudni niczym echo serca, światło stroboskopów rozcina mrok, rozświetlając ich twarze na ułamek sekundy. Są w tłumie, a jednak w swoim własnym, zamkniętym świecie. Ville co chwilę zmienia rytm pocałunku, raz głęboki, powolny, z długimi zatrzymaniami, raz szybki, prawie zachłanny, jakby testował jej reakcje. Czas przestaje istnieć. Minuty zlewają się w ciąg pulsującej muzyki, fal ciepła z tłumy i krótkich wdechów między kolejnymi dotknięciami ust. Rose wie, że wokół nich są dziesiątki dziewczyn, które chętnie zajęłyby jej miejsce, ale w tym momencie to nie ma znaczenia. On całuje ją — długo, intensywnie i precyzyjnie, aż nagle ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu. Odruchowo odrywają się od siebie i spoglądają w bok. Przed nimi stoją Emma i Robert. Rob szczyrzy się od ucha do ucha, a Emma, z uniesionymi brwiami, rozkłada ręce w teatralnym geście niedowierzania.

– Koleżanko, rozkręcasz się, zaczynam być... zazdrosna.

Dziewczyna bierze głębszy oddech, bo czuje, że po tym całym całowaniu lekko kręci jej się w głowie — i nic dziwnego, to nie była minuta czy dwie i Rose zaraz się o tym dowie. Kiedy odzyskuje równowagę, uśmiecha się do niej, wzrusza ramionami i rzuca od niechcenia:

– To był przyjacielski pocałunek, jeden z setek twojego braciszka.

Emma wybuchła śmiechem.

– Dziesięć minut non stop? Nieźle. Ale okej, my, Rianowie, jesteście „całuśni”, to fakt. Nie wnikiem.

Robert z uśmiechem na twarzy wciąż stoi obok, patrząc na przyjaciela z miną, jakby zobaczył rekord Guinnessa. Emma chwyta Rose za rękę i bez słowa ciągnie ją w stronę parkietu.

Mina Libertyna mówi jasno – nie jest tym faktem zachwycony. Mimo to wykonuje gest dłonią, co oznacza: „Idź”, choć w oczach ma niemal teatralną dezaprobatę. Zostaje wciąż szczerzącym się Robem. Libertyn patrzy na niego przez chwilę, po czym kręci głową z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy przyjaciel się czegoś naćpał, czy po prostu ma jakiś problem.

Emma, która też świetnie tańczy, nie ma żadnych oporów przed Rose. Dziewczyny szybko łapią wspólny rytm, a Emma przyciąga ją od tyłu do siebie, delikatnie muskając dłonią jej szyję, ona nie oponuje i ręką dotyka jej włosów. Ville patrzy na to z wyraźną niechęcią próbując powstrzymać się od komentarza. Robert zerka na niego z rozbawieniem.

– Nie bądź taki zazdrosny, to tylko twoja przyjaciółka.

Ville jedynie potakuje, w myślach przyznając rację koleżdze, bo sam pocałunek sprzed chwili był już lekkim przegięciem. Postanawia więc zająć się czymś innym. Gdy dostrzega znajomą dziewczynę, uśmiecha się do niej, chwyta ją za rękę i prowadzi na parkiet. Kilka chwil później również ją całuje — z wprawą i pewnością — choć w głowie kołacze mu myśl: *to już nie jest to samo, ale może być*.

Robert w międzyczasie łapie spojrzenie innej dziewczyny. Ona podchodzi bez wahania, a on obejmuje ją w talii i obydwójce zaczynają tańczyć. Tuż obok Emmy i Rose pojawia się Thomas ze znajomą z początku imprezy. Zatrzymuje się na moment, przyglądając się przytulonym w tańcu dziewczynom z lekkim niedowierzaniem. Potem spogląda na Libertyna, obściskującego się z jakąś laską, który co chwila zerka w stronę Rose. Gdy Thomas łapie kontakt wzrokowy z przyjacielem, posyła mu całusa, co w ich języku znaczy, jedno. Ville odrywa się od swojej partnerki, przemieszcza w stronę DJ-a i coś mu tłumaczy, już po chwili muzyka zmienia się nie do poznania. Zamiast czegoś lekkiego zaczyna dudnić

głęboki bas, linia rytmu przechodzi przez ciała niczym fala uderzeniowa. Światło stroboskopów przygasa, a na parkiecie robi się gęściej, bardziej intymnie.

Emma nachyla się do ucha Rose.

– Teraz zobaczysz ich mały rytuał. My nazywamy to próbą basu.

Rose marszczy brwi, ale nic nie mówi. Patrzy, jak Ville i Thomas niemal jednocześnie podchodzą do wybranej dziewczyny w złotej sukience. Najpierw Libertyn — teatralny, prowokujący, z ręką wyciągniętą jak do tańca salonowego. Thomas sekundę później — swobodniejszy, zadziorny.

Dziewczyna waha się tylko moment, po czym daje się wciągnąć w ich orbitę. Ville kładzie dłonie na jej ramionach, twarz przybliża do ucha. Thomas staje przed nią — oczy w oczy, z uśmiechem pół drapieżnym, pół zachęcającym.

Bas pulsuje tak mocno, że ruchy wydają się niemal narzucone przez muzykę. Najpierw to po prostu taniec, powolny, zmysłowy, pełen drobnych dotknięć. Dziewczyna poddaje się układowi, nie oponuje. Ville jest tuż za nią; jego tors dotyka jej pleców. Dłonie powoli zsuwają się z ramion w dół, aż do nadgarstków, jakby badał, dokąd pozwoli mu sięgnąć. Thomas z przodu przesuwając kciukiem po linii jej zuchwy. Teraz taniec przechodzi w odważniejsze gesty. Libertyn pochyla się: usta ma tuż przy uchu dziewczyny, potem niżej, muska jej szyję, ale nie całuje. Thomas w tym samym czasie dotyka wargami jej ramienia; powoli, cierpliwie. Ona odchyła głowę i zamyka oczy. Oddycha szybciej, ciężiej.

Emma komentuje półgłosem, bawiąc się w przewodniczkę po tym spektaklu:

– Widzisz? To test. Albo zostaje przy tańcu, albo daje się ponieść dalej. Oni robią to od lat. Bas prowadzi, a oni sprawdzają, czy wybrana ślicznotka pozwoli im przekroczyć granicę. Tu nic więcej się nie stanie, za dużo obcych, za dużo telefonów. W zamkniętym gronie by ją całowali.

Rose patrzy zahipnotyzowana. Cała trójka wygląda, jakby świat zniknął, a został tylko rytm, ciało i dotyk.

– I tak właśnie wygląda ich próba basu – kwituje Emma uśmiechając się krzywo.

Dziewczyna odwraca wzrok, choć obraz pali ją pod powiekami. W głowie kołocze jej myśl: *ja też tak chce*, gdy zaraz po tym Emma śmieje się cicho jakby to właśnie usłyszała, nachyla i mówi jej do ucha:

– To oni decydują która ze ślicznotek to przejdzie.

– Aha. – przytakuje, stojąc dalej z oczami wciąż wlepionymi w parkiet.

Zaraz po tym spektaklu muzyka nagle milknie, organizator robi przerwę techniczną. Ville podchodzi do Rose jak gdyby nigdy nic. Nie przejmując się zupełnie, zarówno tym, że przed chwilą dotykał obcą dziewczynę po szyi i dłoniach i tym, że tańczył z nią w parze z Thomasem sceny rodem z filmu dla dorosłych, tylko w ubraniu. Zero wstydu, zero napięcia. Ręce w kieszeniach, fryzura wciąż idealna, twarz spokojna, niemal znudzona.

– Ja mam dość na dziś – mówi cicho, ale wyraźnie, z nutą znużenia i tej swojej teatralnej przesady. – Wracasz ze mną, czy z nimi? – wskazuje gestem resztę zespołu, jakby decyzja miała być logistyczna, a nie emocjonalna.

Dziewczyna ziewa, zasłania dłonią usta i przeciąga się lekko. Robi to spokojnie, próbując ukryć fakt, że jeszcze kilka sekund temu jej serce biło w rytmie cudzych ust.

– Jadę z tobą, to był intensywny dzień.

– Tak intensywny, że naszej koleżance zabrakło tchu – stwierdza Emma z ironią w głosie.

Ville posyła siostrze groźne spojrzenie. Robert dalej się szczerzy, trzymając Emmę za talię, a Thomas kręci lekko głową, z rozbawieniem obserwując całą scenę. Libertyn chwyta rękę Rose i rzuca na odchodne:

– Do zobaczenia, paskudy. Jutro widzimy się na próbie i radzę się wyspać!

Ville i Rose wracają do domu. Na zewnątrz noc jest gęsta i lepka od wilgoci, latarnie oświetlają drogę przerywanymi plamami światła. Radio w samochodzie pozostaje wyłączone, a w ich uszach wciąż dudni echo basu z ostatniego utworu – szybki, pulsujący rytm.

– Dzięki, było super. Dawno nie byłam na takiej imprezie – mówi, rozsiadając się wygodniej w fotelu i pozwalając, by mięśnie w końcu się rozluźniły.

– Nie ma za co. Jesteś idealną partnerką na parkiecie, tego mi było trzeba. Fajnie, że ci się podobało. Dobra rozgrzewka do piątkowej imprezy.

– No tak, urodziny... A propos, chciałbyś coś konkretnego dostać?

Ville uśmiecha się zawadiacko. W jego głowie, błyskawicznie i bez cenzury, pojawia się myśl: *tak, ciebie nagą*. Nie wypowiada jej jednak na głos. Zamiast tego zawiesza wzrok na jej szyi, gdzie srebrne kolczyki kołyszą się lekko przy każdym ruchu samochodu. Jak to już nieraz bywało, odpowiada jej nietypowo:

– Wiesz, że w starożytnym Egipcie przekuwanie uszu było oznaką statusu? I że faraonowie nosili kolczyki, zanim to było modne?

Ona wybucha szczerym, głośnym śmiechem, odchylając głowę w tył.

– Uwielbiam te twoje ciekawostki. No proszę, kolczyki, faraonowie, status. Mam to zanotować?

Ville też parska, przeciera dłonią twarz i z uśmiechem dodaje:

– Nie musisz mi dawać prezentu. Wystarczy, że będziesz... i dasz się zaprosić do tańca.

Rose kiwa głową, a w samochodzie na moment zapada miękka, komfortowa cisza. Libertyn włącza w końcu radio. Z głośników sączy się wolna rockowa ballada, której gitarowe akordy delikatnie przecinają noc. Pogłębiona i zaczyna śpiewać cicho, pół żartem, pół serio.

Dziewczyna uśmiecha się delikatnie, opiera głowę o zagłówek i gdy tylko zamyka oczy, natychmiast zasypia. Ville zerka na nią kątem oka. Zmienia playlistę na wolniejsze utwory. Droga mija powoli, z latarniami przemykającymi rytmicznie jak metronom.

Kiedy w końcu dojeżdżają do pałacu, parkuje ostrożnie i budzi Rose łagodnym dotknięciem ramienia. Dziewczyna przeciąga się, ziewa, a on z rozbawieniem mruczy:

– No, księżniczko... zęby, paciorek i spać.

Wchodzą do chłodnego, cichego holu, ich kroki odbijają się echem od marmurowej posadzki. Kierują się na górę, a tuż przed rozstaniem Ville składa na jej policzku krótki, ciepły pocałunek na dobranoc. Potem każde znika w swojej sypialni.

Poranek w jadalni jest cichy, przerywany jedynie delikatnym stukaniem filiżanki o spodek i szelestem kruszącego się pieczywa. Ville siedzi oparty o oparcie krzesła, jedną dłoń nonszalancko kładzie na stole, drugą co pewien czas przesuwając po włosach. Amidała obok niego co chwilę kiwa nogą w rytm jakiejś piosenki, którą sobie nuci.

Z góry słychać miękkie kroki, a zaraz potem Rose wchodzi do jadalni. Jej „cześć” jest wesole, niemal śpiewne, jakby sama była w świetnym nastroju i miała ochotę rozlać go po całym pomieszczeniu. Bez ceremonii siada przy stole, zgarnia z półmiska kromkę chleba, smaruje masłem, kładzie plaster sera.

Ville rzuca na nią krótkie spojrzenie, po czym odwraca głowę w stronę córki. Przewraca oczami powoli, teatralnie chcąc powiedzieć jej coś w sekrecie. Ami odpowiada zmarszczeniem brwi i miną w stylu „nie wiem, o co ci chodzi”. On, nie zrażony, wykonuje krótki gest dłonią – taki, który w ich domowym kodzie musi oznaczać coś bardzo konkretnego. Amidala reaguje półuśmiechem, krzywi się lekko i aż prosi się o przewrócenie oczami, ale ostatecznie rezygnuje.

Rose, z widelcem w ręku, obserwuje tę wymianę z rosnącą ciekawością. Żadnych słów, a wygląda to jak miniaturowa pantomima, której znaczenia nie rozumie.

Ville wzdycha, unosi brwi, a Ami nagle prostuje się, jak ktoś, komu właśnie przypomniało się coś ważnego.

– Hej – zaczyna, uśmiechając się szeroko, aż białe zęby błyszczą w porannym świetle – dziś idziemy z tatusiem do akwarium oglądać rekiny. Może pójdziesz z nami?

Rose odwzajemnia uśmiech, zerkając jednak podejrzliwie na Villego, jakby w jej głowie zapaliła się lampka „co on znowu knuje?”.

– Miałam popracować – mówi, odgryzając kawałek chleba – ale skoro panienka Amidala mnie zaprasza, to czemu nie.

Dziewczynka szczyrzy się jeszcze szerzej, chwytą szklankę z lemoniadą i pociąga długi łyk przez słomkę.

– Piękna – zaczyna Ville. – Jeśli musisz, to popracujesz później. Teraz pojedziemy na wycieczkę, a po południu idę z Adim na spotkanie do jego znajomych. Podobno to ważne, a prosił, żebym mu towarzyszył. Zupełnie o tym zapomniałem – mówi i od razu przenosi spojrzenie na córkę, ta odpowiada krótkim skinieniem. – Dziś wrócę późno.

Rose unosi kącik ust w rozbawieniu. Słynny Adi – poznała go zaledwie tydzień temu. Przyjaciół i były narzeczony Libertyna, otwarcie mówiący o swojej orientacji. W tej rodzinie naprawdę nigdy nie brakuje barwnych postaci.

– Nie ma sprawy. Jak coś, to wieczorem poczytam małej. A jeżeli trzeba – zaśpiewam – dodaje z lekkim żartem.

Ami zamiera z kanapką w dłoni. Jej oczy rozszerzają się teatralnie, a uśmiech robi się wymuszony jak w kiepskiej scenie szkolnego przedstawienia.

– Rose, wystarczy, że poczytasz. Tę włączę z playlisty, będzie dobrze.

Śmiech wybucha równocześnie po obu stronach stołu. Ville i Rose parskają w tym samym momencie, jakby ktoś nacisnął ten sam przycisk.

Godzinę później cała trójka zbiera się w holu gotowa do wyjścia. Ponieważ Libertyn jest postacią medialną, a jego obecność zwykle wywołuje poruszenie, zmienia swój wizerunek – tak jak zawsze, gdy chce pozostać nierozpoznany. Zakłada czarną bluzę kangurkę, okulary zerówki i czarno-niebieską czapkę z daszkiem – prezent od Thomasa. Jedynie podkreśla oczy cienką kreską i nakłada na usta bezbarwną pomadkę.

Kiedy stają przy drzwiach, Rose nie może oderwać od niego wzroku.

– Już widziałam cię w trybie incognito, ale nie mogę się przyzwycząić. Ładnie ci w okularach.

– No cóż, wyglądam na mądrzejszego – szczyrzy się, po czym z lekką irytacją dodaje: – Mimo przebrania i tak mnie często rozpoznają.

Amidala poprawia czerwony berecik i klaszcze w dłonie.

– Taka jest cena sławy. Mnie też czasem rozpoznają. Mi sława nie przeszkadza.

Ville bierze głęboki oddech, ale zostawia to bez komentarza.

Wysokie, przeszklone drzwi zamykają się za nimi z cichym sykiem. Wewnątrz jest przyjemnie ciepło, a powietrze ma lekki, słonawy zapach. Przez półmrok rozlewa się niebieska poświata ogromnych zbiorników – światło faluje, jakby ktoś malował nim ściany. W tle słychać jednostajny szum filtrów i odległy plusk wody, a co jakiś czas cichy pisk dzieci, które właśnie zobaczyły coś niezwykłego.

Ami przykleja dłonie do szyby pierwszego dużego akwarium. Jej twarz odbija się w szkłe obok ogromnej, majestatycznej płaszczki.

– Ale ta płaszczka ładnie się uśmiecha! – woła, odwracając się do ojca z ekscytacją w oczach.

– No nie wiem, przypomina raczej coś, co ma ochotę odgryźć palec – odpowiada z kamienną twarzą.

Ami natychmiast odskakuje pół kroku, po czym parska śmiechem. Rose stoi nieco dalej, obserwując ich wymianę z zadowoleniem. W jej spojrzeniu widać, że dobrze czuje się w tej roli – nie jako gość, ale ktoś, kto naturalnie wpisuje się w ten mały rodzinny kadr.

Idą powoli wzdłuż kolejnych basenów. Mijają tropikalne ryby mknące wśród raf, żółwie sunące majestatycznie jak w zwolnionym tempie. Wreszcie docierają do głównej atrakcji – ogromnego zbiornika z rekinami. Szeroka szyba od podłogi po sufit oddziela ich od potężnych, hipnotyzujących sylwetek drapieżników.

Rekiny krążą leniwie, znikają w sinym mroku i pojawiają się znów z drugiej strony. Amidala zatrzymuje się jak zaczarowana. Jej oczy błyszczą w świetle akwarium, czoło niemal dotyka szyby.

Ville podchodzi do Rose, posyłając jej prowokacyjny uśmiech.

– Czy wiesz, że rekiny potrafią wyczuć jedną kroplę krwi w basenie olimpijskim?

– Tak, wiem. A ty wiesz, że rekiny potrafią spać podczas pływania? No, w sensie – pół mózgu śpi, a druga połowa pilnuje drogi.

– Tak wiem, a wiesz, że rekin grenlandzki może żyć ponad czterysta lat?

– Tak wiem – odpowiada, przewracając teatralnie oczami.

Amidala odwraca się do nich z miną pełną politowania.

– Rekiny wymieniają zęby przez całe życie, a niektóre gatunki potrafią zużyć kilka tysięcy w ciągu roku.

– Skąd wiesz? – pytają niemal jednocześnie.

Dziewczynka wzrusza ramionami i wskazuje tablicę informacyjną.

Z głośników rozlega się nagranie o karmieniu rekinów. Po tafli przesuwa się cień płetwy. Przechodzi grupa dzieci w kolorowych pelerynach, tupiąc kaloszami po mokrej posadzce. W powietrzu unosi się zapach chloru i waty cukrowej.

Dwie młode mamy zaczynają szeptać, co chwilę zerkając w stronę Villego i Ami.

– Idziemy – mówi Ville ciszej. – Te kobiety dziwnie na mnie patrzą. O, teraz pokazują na młodą.

Cała trójka wychodzi, a za nimi zostaje gwar rozmów, plusk wody i echo dziecięcych okrzyków. Na twarzach dwóch matek zawisa jedno pytanie: *Czy to był Libertyn ze swoją córką?*

Po powrocie Amidala trafia prosto w ramiona niani. Rose bez słowa wraca do pracy w Pokoju Strachu, natomiast Ville kieruje się do garderoby – czeka go popołudniowe strojenie przed spotkaniem w agencji. Adi zaprosił go na kameralną imprezę, gdzie mają się pojawić najważniejsze postacie ze świata

brytyjskiego biznesu modowego. Adi jako wzięty model musi bywać na takich wydarzeniach, dbać o kontakty, pokazywać się w odpowiednich miejscach. A że Ville, jego przyjaciel jest nie tylko sławny, ale i zawsze świetnie ubrany, nie raz już pełnił rolę jego efektownego towarzysza.

Nad ranem pałac pustoszeje jak zwykle. Korytarze cichną, a jedynie służba przemyka miękko między pokojami, niosąc pościel, tace i świeże kwiaty do wazonów. Ville wyrusza do pracy, po drodze odwożąc córkę do przedszkola.

Około dziesiątej Rose robi sobie krótką przerwę od archiwizacji. Siedzi w kuchni, dłonie grzeje na kubku z owocową herbatą, kiedy nagle do jej uszu dociera hałas. Nie zwykle poruszenie, raczej coś, co brzmi jak awantura. Zna te głosy. Odkłada kubek i natychmiast rusza w stronę głównego holu.

Tam Ville stoi na środku pomieszczenia, purpurowy ze złości. Krzyczy, gestykuluje, a echo jego głosu odbija się od wysokiego sklepienia. Rose, która od niemal miesiąca pracuje w pałacu, nigdy nie widziała go w takim stanie. Nawet wtedy, gdy ją zwolnił.

– Cholera jasna, nienawidzę was. Koniec! Rozwiązuję zespół. Zwalniam was wszystkich – punktuje palcem po kolei Emmę, Roberta, Paula i Thomasa.

Oni jednak... zamiast zareagować powagą, zataczają się ze śmiechu. Ville przeklina po fińsku, unosi ręce ku górze w teatralnym geście, jakby błagał niebiosa o interwencję. Zdejmuje marynarkę z impetem, znów przeklina, a jego ekipa chichocze coraz głośniejsze. Emma śmieje się tak, że łzy spływają jej po policzkach. W końcu traci równowagę i opada na szeslong, obejmując się za brzuch.

Rose podchodzi bliżej, zerka pytająco na Emmę, ale nie dostaje odpowiedzi. W końcu zbiera się na odwagę.

– Coś się stało?

Thomas, z uśmiechem, w którym czai się coś diabelskiego, zatrzymuje się w pół kroku i wyciąga do niej rękę. W palcach trzyma niebieski pendrive.

– Tu jest wszystko, zobacz sobie – mówi, przekazując jej nośnik.

Ville oddycha ciężko jak byk na arenie. Oczy ma rozszerzone, twarz wciąż purpurową.

– Nigdy nie zgodzę się, żeby to weszło do odcinka. Koniec z wami! I ostrzegam, premii świątecznej nie będzie!

Nikt jednak nie traktuje jego słów poważnie. Emma, wciąż parskając śmiechem, macha ręką i chwytając Roberta pod ramię, prowadząc go w stronę swojej sypialni. Paul i Thomas ruszają do kuchni „coś wszamać”, jak sami to określają.

Rose, z tajemniczym pendrivem w dłoni, siada obok Libertyna. Chłopak wciąż próbuje złapać oddech. Przez dłuższą chwilę siedzą w milczeniu.

– Co się stało? – pyta cicho, gładząc go po włosach.

On powoli się uspokaja i opiera głowę na jej ramieniu.

– Wkręcili mnie. I to ostro. Wczoraj, a dziś rano była powtórka z rozrywki. Myślałem, że zawału dostanę.

– Rozumiem, że na tym pendrivie jest wszystko, co powinnam przejrzeć?

Ville tylko kiwa głową. Odwraca się do niej i pyta z irytacją w głosie:

– Wiedziałaś o tym ich „dowcipie”?

Zanim Rose zdąży odpowiedzieć, Thomas pojawia się ponownie. Tym razem bezszelestnie, z puszką energetyka w ręce.

– Nie martw się, kochanie, ślicznotka nie wiedziała. Ostatnio zbyt dużo czasu spędzacie razem.

Podchodzi bliżej, odgarnia jej włosy i szepcze do ucha:

– Gdybyśmy cię, piękna, wtajemniczyli, pewnie byś mu wszystko wygadała.

Ville patrzy na Thomasa spode łba, ale w jego spojrzeniu zaczyna migotać rozbawienie, choć usilnie próbuje zachować powagę.

– To było genialne – mówi Paul. – Od kilku tygodni szykowaliśmy się do tego niewinnego żartu. Adi i jego przyjaciel Gerard... – tu Ville aż się wzdryga na samo imię – ...odegrali swoje role jak zawodowcy. To się nadaje do nominacji na galę Oscarów.

Ville wstaje, obraca się na pięcie i mierzy Paula i Thomasa ostrym spojrzeniem. Bez słowa kieruje się w stronę schodów. Jego kroki odbijają się echem w korytarzu, aż sylwetka znika na piętrze.

Rose ściska pendrive w dłoni i rusza do serwerowni. Już po chwili na jednym z monitorów odtwarza pierwszy filmik... potem drugi... trzeci. W końcu musi przerwać, bo mięśnie brzucha odmawiają posłuszeństwa, a oczy zachodzą jej łzami śmiechu. Opiera się o biurko, próbując złapać oddech. Każdy kolejny fragment jest równie zabawny, więc między nagraniami robi krótkie pauzy, by rozmasować policzki.

Gdyby Ville widział jej zachowanie, pewnie bez wahania wyrzuciłby ją po raz kolejny z pracy – a potem, oczywiście, tego żałował.

Libertyn pogniwał się na cały świat. Do końca dnia odzywa się wyłącznie do Amidali, chodzi z wysoko podniesioną głową i uparcie unika spojrzeń, jakby samym gestem mógł odgrodzić się od reszty domowników. Mimo to Rose przydybuje go w bibliotece. Staje w uchylonych drzwiach i przez chwilę tylko patrzy, jak przechadza się wzdłuż regału, przesuwając palcami po grzbietach książek. Nie zauważa jej od razu, jest pochłonięty poszukiwaniem kolejnej części *Czary mary*. Rose opiera się ramieniem o framugę, krzyżuje nogi, czeka chwilę i w końcu postanawia się odezwać.

– Rozmawiałam z Emmą. Twierdzi, że montażysta Harry czeka na materiały z... – Rose podnosi ręce i palcami robi cudzysłów – „żartu”. Zgodnie z jej życzeniem posegregowałam wszystko.

– Świetnie, tylko że ja nie zgadzam się na emisję odcinka. Takie są zasady, a hołota dobrze o tym wie. Rose uśmiecha się lekko, jakby chciała rozproszyć gęstą atmosferę, i podchodzi bliżej. Jej dłoń muska jego ramię, zatrzymuje się na moment.

– Czy mam wysłać mu te materiały? Wszystko mam gotowe...

– Nie ma takiej potrzeby – mówi chłodno. – To nigdy nie wyjdzie, szkoda jego czasu. Harry ma co robić.

– Poczekaj, Ville – mówi łagodniej, robiąc krok w bok, by złapać jego spojrzenie. – Wiem, że to świeża sprawa i jesteś zdenerwowany, ale ja bym to widziała nieco inaczej.

Chłopak wreszcie podnosi wzrok znad książki, którą udaje, że przegląda. Jego spojrzenie jest uważne, choć wciąż podszyte dystansem. W końcu powolnym gestem dłoni zachęca ją, by mówiła.

– Kiedy poznałam Adiego, trochę mi poopowiadał o pracy w agencji. To, co ci się przytrafiło w formie żartu hołoty z Liberty Fade, wcale nie jest niczym nowym w świecie modelingu... i to jest bardzo smutne. Siada w fotelu, zakłada nogę na nogę i opiera się wygodnie, po czym kontynuuje:

– Popatrz, z tego wyszedłby świetny odcinek. Widzowie zobaczą, że Libertyn też jest człowiekiem, a nie tylko teatralnym aktorem, jak często ci zarzucają. Przekonaliby się, że ty też czasem się czegoś boisz.

A na sam koniec można dodać krótki wywiad z byłymi modelkami albo modelami, bo takich „Gerardów” jest więcej.

Chłopak zastanawia się chwilę bo właśnie zdał sobie sprawę, że choć *Liberty Fade Life* powstało dla rozrywki, to przy takich zasięgach to program, który może nieść jakieś dodatkowe przesłanie.

– Mówiliśmy już o używkach – decyduje się pociągnąć myśl. – Rozpętała się niemała dyskusja na ten temat. A teraz mamy pokazać mroczną stronę świata modelingu...?

– Czemu nie? Może się nad tym zastanowisz.

– Pod jednym warunkiem. Zabezpieczysz materiały i osobiście zmontujesz z tego odcinek. Jeśli mi się spodoba, to dogramy wywiad z modelkami i modelami. Pogadam z Adim, jest mi to winien.

Rose potakuje z zadowoleniem, odruchowo podnosi się z fotela, lecz w ostatniej chwili zatrzymuje się, przypominając sobie, że chciała jeszcze porozmawiać o pracy.

Libertyn przysiadła naprzeciwko. Opiera się wygodniej i przechyla głowę, dając znak, że słucha.

– Dobrze mi tu, z wami – zaczyna spokojnie. – Ale tak jak rozmawialiśmy, kończę porządkę i chcę poszukać sobie czegoś nowego.

– Tak, pamiętam. Nie chcesz pracować w zespole, choć większość czasu i tak sama siedzisz przy plikach. Naprawdę, piękna, mało kto ci przeszkadza... ale rozumiem, znaczy... – krzywi się lekko – nie rozumiem.

– Zgodnie z naszą umową, w trasie miałam archiwizować i segregować materiały dla montażysty, robić wam zdjęcia i prowadzić profil w mediach społecznościowych. Libertynie, chcę jechać z wami w trasę, bardzo chciałabym zobaczyć, jak to jest, ale... nie chcę powtórki z rozrywki...

– A masz jakiś pomysł? Wiesz, ślicznotko, to musi mi się opłacać. W trasie po Europie nie ma problemu, często bierzemy znajomych czy przytulanki, bo i tak przemierzamy się tourbusem. Ale trasa po Ameryce to co innego – przeloty, hotele, napięty grafik. Nie jestem skąpy, ale z punktu widzenia biznesowego to średni interes. Wiesz przecież, że z nami jedzie jeszcze czterdziestu techników.

Rose jednak się nie poddaje i próbuje przeforsować swój pomysł, podając rozwiązanie, które sobie wcześniej przemyślała, będzie archiwizować nowe materiały, a resztę czasu wykorzysta na własne projekty niezwiązane z *Liberty Fade Life*, tak aby zarabiać i jednocześnie nie być całkowicie zależną od ekipy.

Ville kręci głową i patrzy na nią ze zrezygnowaniem.

– Skarbie, Rianowie mają jedną zasadę: wszystko kosztuje i za pracę należy się wynagrodzenie. To po pierwsze. Po drugie, montażysta musi mieć wyselekcjonowane materiały. Jeśli nie będziesz tego robić, to dla mnie jest to stracony etat i do tego będę musiał zatrudnić kolejną osobę.

Rose niestety musi przyznać mu rację. Kanał Liberty Fade to nie jest byle projekt. To machina, która zrzesza dziesiątki milionów aktywnych subskrybentów, czekających z niecierpliwością na kolejne odcinki zarówno z życia zespołu od strony muzycznej, jak i prywatnej. Każda wrzucona choćby zajawka czy rolka na profil społecznościowy jest odtwarzana miliony razy w pierwszej dobie, co przekłada się na realne zyski i powiększa fandum. Kanał rośnie w siłę i wymaga profesjonalnego podejścia. Rose właśnie sobie to uświadomiła i jej z pozoru genialny pomysł przestał być genialny.

– Mam na oku informatyka, który mógłby przejąć twoje zadania – patrzy na nią z zadziornym uśmiechem. – A jeśli chcesz pojechać z nami w trasę bez obowiązków wobec programu, to mam

propozycję. Pojedziesz z obowiązkami wobec mnie, będziesz moją przytulanką. No wiesz – noce będą nasze.

Po czym zawiesza się na chwilę nie dowierzając, że powiedział to na głos. Dziewczyna przestaje oddychać. Siedzi bez ruchu, a zegar stojący przy ścianie wybija kolejne sekundy. Ville patrzy na nią i również się nie rusza. Trwają tak przez chwilę, aż Libertyn przełamuje ciszę, szczerząc się jak idiota.

– Spokojnie, to był żart. Skarbie, już mnie fizycznie nie kręcisz, znudziłaś mi się.

Rose potakuje, choć sama nie ma pewności, czy to, co mówi chłopak, jest szczerze, czy tylko sprytnie ułożoną ściemą. Jeszcze trudniej określić jej, co właściwie do niego czuje... a czego wcale nie czuje. Wciąga powietrze, przygryza lekko wargę, jakby próbowała złapać w myślach właściwe zdanie.

– Masz rację. To bez sensu. Uwielbiam z wami pracować. Może po prostu następnym razem będę gryźć się w język.

– Nie chodzi o gryzienie się w język, tylko o to, żeby między tobą a resztą z *LFL* była jasność. Piękna, gdybyś powiedziała mi wtedy, co tak naprawdę zaszło między tobą a Viktorią, na pewno bym ci uwierzył. Nie jestem idiotą, wiem, że takie laski jak ona lubią ubarwiać historie. Więc, skarbie, zamiast unosić się honorem, trzeba rozmawiać.

– Dobrze. To jeśli nie masz nikogo na moje miejsce, to... wiesz, mam czas.

Ville odwzajemnia jej uśmiech i wyciąga rękę ponad stolikiem. Jej palce obejmują jego dłoń w krótkim, pewnym uścisku. Ten gest wystarczy, by oboje wiedzieli, że sprawa jest zakończona.

Ale Rose nie zamierza jeszcze odpuścić. Przysiada z powrotem na fotelu, tym razem bokiem, lekko przechylając się na podłokietnik. Powoli, z teatralną przesadą, podwija materiał sukienki, odsłaniając uda.

– Mówisz, kochaniutki, że już ci się znudziłam?

Libertyn momentalnie odwraca wzrok ku dębowym regałom, gdzie w półmroku połyskują grzbiety książek. Nabiera głębszego oddechu i niemal niezauważalnie potakuje.

– Tak. Traktuję cię jak dobrą kumpelę... może nawet przyjaciółkę.

Rose przeciąga spojrzenie po jego twarzy, uśmiechając się zawadiacko. Na palcu powoli kręci pasmo włosów, jakby od niechcenia, a jednak wyraźnie chcąc go podroczyć.

– Czyli gdybym przyszła do ciebie do łóżka, w nocy, nago... to nic z tego?

Ville opiera się mocniej o fotel. Jego powieki opadają, a gardło wykonuje ciężki ruch, gdy przetyka ślinę. W tej samej chwili, gdzieś w głębi pałacu, rozlega się głuchy trzask ciężkich drzwi. Echo niesie się po korytarzu, odbija od paneli i milknie dopiero po kilku sekundach.

– Spokojnie, jestem twardy... znaczy nie w tej chwili... znaczy... rany, chodzi o to... Rose... nie rób tego, hmm...? – mówi z lekko podniesionym tonem.

Dziewczyna śmieje się, kręcąc głową z rezygnacją. Zdejmuje z półki jakieś tanie romansidło i wychodzi bez słowa.

Rozdział 7

Trochę słodczy nie zaszkodzi.

Nad ranem Rose stoi już w holu głównym pałacu, przestępując z nogi na nogę. Nie ukrywa zdenerwowania. Czeką ją wizyta u lekarza – trzecia próba pobrania komórki jajowej. Dziewczyna bierze dwa głębokie oddechy, po czym wychodzi na zewnątrz, gdzie czeka już na nią Ville. Klinika, do której jadą, mieści się w nowoczesnym, prywatnym budynku. Gdy wchodzi do środka, już od drzwi wita ich jasne wnętrze, pachnie świeżo parzoną kawą i lawendą z dyskretnie ustawionych dyfuzorów.

Ville trzyma Rose za rękę, ale nie odzywa się ani słowem. Gdy lekarz wzywa dziewczynę do gabinetu, wstaje, otwiera jej drzwi i przytula. Sam proces jest zwykle krótki, choć dla pacjentki obciążający – lekarz zaczyna od USG, by sprawdzić, czy w jajniku widać dojrzały pęcherzyk. Jeśli tak, próbuje pobrać komórkę cienką igłą pod kontrolą obrazu. Tym razem jednak monitor pozostał pusty – żadnego pęcherzyka, żadnej szansy na pobranie. Kwadrans później Rose wychodzi z gabinetu. Z jej oczu płynie potok łez – jajniki znów nie zareagowały tak, jak powinny. Jedynym pocieszeniem jest to, że będzie mogła podjąć jeszcze jedną próbę, a cysty na razie się nie rozrosły. Ville wie, co to oznacza – spogląda na nią i w tym spojrzeniu jest ulga wymieszana z obawą, której żadne z nich nie musi już wypowiadać na głos. On przytula ją mocno, ociera łzy, a gdy dziewczyna wreszcie się uspokaja, wręcza jej czekoladowego batonika na poprawę humoru – gest tak prosty, że mimo wszystko na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

Jakiś czas później, schodzą na dół do punktu pobrań. Libertyn, zgodnie z zaleceniem lekarza, ma do wykonania całą listę badań. Gdy kierują się w stronę gabinetu, nogi uginają się pod nim, a on zaczyna głęboko oddychać.

– Rose, ja przepraszam, ale nie dam rady, ja idę.

– Villuś, przez dwa tygodnie kułam się codziennie w brzuch, a ty boisz się jednego wkucia w żyłę. Hej, wszystko będzie dobrze, oddychaj – uspokaja go.

Libertyn patrzy na nią i mimo narastającego stresu nie omieszka poflirtować.

– Villuś... jeszcze nikt nigdy tak do mnie nie powiedział.

– Naprawdę?

Chłopak uśmiecha się zawadiacko, ale nim zdąży się odezwać, pielęgniarka podchodzi do nich niemal bezszelestnie.

– Pan Rathore Rian?

Ville przytakuje niepewnie po czym mruczy pod nosem:

– Jestem męski, jestem odważny.

– Jesteś, Villuś, jesteś – pociesza go Rose, głaszcząc po głowie.

Pielęgniarka zaprasza go na kozetkę. Chłopak siada powoli, jakby już samo to miało być próbą odwagi. Kobieta spogląda na długą listę badań i zaczyna układać przed sobą próbówki próżniowe – jedną, drugą... w końcu jest ich sześć, ułożonych w rządki niczym małe, kolorowe naboje. Zakłada gumową opaskę na jego ramię, by uwidocznic żyłę, a on patrzy w przeciwną stronę, zaciskając powieki.

– Proszę się nie ruszać – mówi pielęgniarka spokojnym tonem.

Igła wchodzi za pierwszym razem, a ciemnoczerwona krew zaczyna powoli wypełniać probówkę. Ville odwraca wzrok jeszcze mocniej, ramiona napina jak do obrony przed atakiem. Druga probówka napętnia się szybko, przy trzeciej jego twarz blednie.

– Ja... chyba... – zaczyna, ale nie kończy.

Rose zdążyła tylko złapać go za dłoń, gdy nagle czuje że mięśnie rozluźniają się zupełnie. Libertyn osuwa się w tył, odpływając na moment. Na szczęście leży już na kozetce, więc omdlenie nie kończy się upadkiem. Pielęgniarka, niewzruszona, trzyma igłę pewnie i kończy pobranie, odstawiając kolejną probówkę, a jej twarz nie wyraża żadnych emocji jakby już widziała podobne sceny setki razy.

Po chwili chłopak mruga powiekami, wymusza uśmiech udając, że nic się nie stało.

Zimowe słońce odbija się w oszklonej fasadzie kliniki, a na chodniku drobny szron skrzypi pod butami. Rose i Ville wychodzą powoli, każde z własnymi myślami, ale milczenie jest w tym momencie wygodniejsze niż słowa. Gdy docierają do samochodu, On zatrzymuje się i wyciąga z kieszeni kluczyki do swojego Ferrari. Metal błyszczy w porannym świetle.

– Chyba żartujesz, nie będę jeździła twoim samochodem.

– Piękna, właśnie pobrali mi litr krwi, teraz będę leżał do końca dnia nieprzytomny. Marzę, żeby położyć się do łóżka. No wiesz, możesz mi potowarzyszyć.

Kąciki ust Rose unoszą się w półuśmiechu.

– A może kupimy po drodze sushi, ciasto i resztę dnia spędzimy w twoim wielkim łóżku oglądając...

– *Gwiezdne Wojny!* – kończy za nią z entuzjazmem godnym dziecka w sklepie z zabawkami.

– Dobrze, zgadzam się – mówi odpalając już silnik Ferrari, a w jej głosie pobrzmiwa nuta rozbawienia, której oboje dziś potrzebują.

I faktycznie – kilkanaście minut później wchodzi do pałacu, każdy z siateczką pełną skarbów. Ville niesie ulubione sushi, Rose – pachnącą czekoladą tartą, której aromat przebija się nawet przez papierowe opakowanie. Następnie rozsiadają się w wielkim łóżku Libertyna, otoczeni pudełkami, talerzykami i butelkami. On oparty o poduszki, jednym ruchem włącza odtwarzacz. Charakterystyczny motyw filmu rozbzmiewa w pokoju, a w tle na ekranie zaczynają płynąć żółte napisy. Tak, to będzie dzień spędzony na sushi, czekoladzie i *Gwiezdnym Wojnach* – najlepszej terapii, jaką Ville mógł dziś zaproponować.

Telefon Rose pika kilkakrotnie, przerywając dźwięk blasterów na ekranie. Dziewczyna zerka na wyświetlacz i natychmiast przewraca oczami. Libertyn, wychwyciwszy ten gest, podnosi brew.

– Eryk pyta o pobór komórki jajowej – informuje, nie kryjąc irytacji. Odkłada telefon na bok, po czym głosem łobuzicy dodaje: – Nie udało się, Eryku, i wiesz, towarzyszył mi Ville Rian, ten sławny muzyk z Liberty Fade, który nie chciał, żebym była tam sama. A jak tam twój mecz?

Chłopak wybuchł śmiechem tak głośno, że aż zatrzymuje film i odwraca się do niej całym ciałem.

– Co mu odpiszesz?

– Że się nie udało – odpowiada chłodno spoglądając na ekran telefonu.

– A co dalej, zerwiesz z nim? – podchwytuje, w głosie mając mieszankę ciekawości i satysfakcji.

– Tak, to koniec. Ale że minęło już trzy lata, nie wypada mi robić tego przez SMS. Muszę pojechać do Bristolu.

Libertyn nie ukrywa zadowolenia. Kąciki jego ust jednak drgają, a palcami bezwiednie bębni w koc.

– Jeśli chcesz, to cię zawiozę – rzuca swobodnie, jakby to była propozycja podwiezienia do sklepu po mleko.

Rose parska śmiechem, kręcąc głową. Wie, że tę sprawę musi załatwić sama, bez świadków...

Wieczorem, po długim i intensywnym dniu pracy w RRstudio, Ville wraca do pałacu. Rose chwilę wcześniej skończyła swoje działania w Pokoju Strachu – teraz składa odcinek o tym, jak ekipa Liberty Fade zrobiła mu psikusa. Spotykają się w jadalni na kolacji, do której przysiada się także Amidala. Dziewczynka mówi bez przerwy, opowiadając o swoim dniu w przedszkolu, o koleżankach, o tym, co miała na podwieczorek, a nawet o tym, jakie buty nosiła nauczycielka.

Kiedy niania zabiera Ami na lekcję fortepianu, a pokojówka zbiera resztę naczyń, w jadalni robi się cicho. Ville przenosi spojrzenie na Rose, w jego oczach czai się coś podejrzliwego.

– A może upieczemy szarlotkę? – rzuca niby od niechcenia.

– Szczerze mówiąc, po wczorajszej wyżerce mam dosyć słodkiego, ale... nie omieszkam skorzystać z propozycji.

Chłopak szczerzy się szeroko, wstaje od stołu i otrzepuje dłonie, jakby już szykował się do pracy.

– No dobra, to do roboty. A może to nagramy?

– No nie wiem...- wacha się Rose robiąc pół kroku w tył.

Ville przewraca oczami z przesadnym teatralizmem.

– Piękna, jesteś moją kumpelą. Nagramy, jak pieczemy, i zobaczymy – może wrzucimy to jako rolkę albo zajawkę, albo odcinek bonusowy?

Ona lekko potakuje i nim ruszą do kuchni zabierają ze sobą kilka kamer i mikrofony. Ona ustawia dwa rejestratory na statywach i kolejne dwa na blacie, sprawdzając kadry. Ville poprawia fryzurę, następnie robi jakby rozgrzewkę mięśni twarzy i zaczyna:

– Witajcie kochani na naszym kanale – przeciąga ostatnie słowo do granic absurdu i przewraca oczami.

– Dziś z naszą informatyczką Rose z którą jeszcze do niedawna się nie lubiliśmy ale już się lubimy będziemy piec ciasto – Tu znowu przeciąga ostatnią sylabę i przewraca oczami. Pamiętajcie o subskrypcji naszego kanału, dzwoneczku, zostawieniu łapki w górę i napiszcie w komentarzach czy lubicie szarlotkę.

W między czasie Rose, która przez cały monolog Villego próbowała zachować powagę wreszcie nie daje rady i zaczyna się głośno śmiać, on patrzy na nią groźnie i lekko kręci głową wyrażając swoją dezaprobatę, po czym dziewczyna bierze kilka głębokich oddechów i poważnieje.

– Przepraszam za moje nieprofesjonalne zachowanie, już się poprawiam. To od czego zaczniemy?

Ville otwiera szufladę z książkami kucharskimi, grzebie w niej przez chwilę i wyciąga wymiętoloną kartkę.

– Powinienem wreszcie to przepisać i oprawić w ramkę. To najlepszy przepis babci Juliett – mówi z sentymentem.

Rose, która poznała już Juliett na urodzinach Amidali i od razu ją polubiła, uśmiecha się na to wspomnienie.

– Przepiszę ci to na komputer – mówi robiąc zdjęcie zapisanej kardce.

Libertyn potakuje, ale nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił kąśliwego komentarza. Opierając ręce na biodrach, mówi z lekką ironią:

– Tylko nie zapomnij sformatować tekstu.

– No tak, ty na swojej maszynie do pisania nie musisz się o to martwić. I tak się dziwię, że nie używasz tablic kamiennych i dłuta.

Ville obrusza się teatralnie, robi „dzióbka” i zaczyna przeglądać przepis, stuka paznokciem na jedną z pozycji:

– Będziesz odpowiedzialna za jabłka. Przygotuj tyle, ile trzeba, pokrój w kostkę – rozkazuje z udawaną stanowczością.

– Tak jest, szef! – melduje po czym chwyta za nóż ogłaszając gotowość do pracy.

On w tym czasie waży składniki, od czasu do czasu spoglądając na nią z ukosa. Gdy jabłka są obrane, Ville bierze do ręki pudełko z jajkami, podchodząc do niej bliżej.

– Skarbie... powiedz mi, jak się bada jaja? – rzuca tonem, w którym aż iskrzy od podtekstu.

Dziewczyna przerywa krojenie, przelyka ślinę, ale jej twarz pozostaje kamienna.

– Chodzi ci o to, żeby przez przypadek nie dodać zepsutego jajka do ciasta?

Libertyn staje obok, tak blisko, że niemal ociera się ramieniem o jej ramię.

– Dokładnie tak, moja droga. Wystaw rękę.

Gdy to robi, kładzie w jej dłoni dwa jajka, a potem powoli zamyka jej palce.

– No? – prowokuje, patrząc prosto w oczy.

– To jak mam zbadać te... – odwraca się do niego z całkowitą powagą – ...jaja?

– Nalej wody do szklanki, wrzuc delikatnie. Jeśli leży na dnie, jest dobre. Jeśli pływa – popsute.

Rose nalewa wodę, wrzuca jajko, patrzy, jak opada na dno, i kiwa głową.

– Faktycznie, zapomniałam o tej metodzie.

– No dobrze – rzuca Ville pośpiesznie – Dalej postępujemy zgodnie z przepisem. A niech nam coś zagra... Ty wybierasz piosenkę.

Rose bierze jego telefon, przegląda playlistę i już po chwili z głośników sączy się delikatny house. W kuchni robi się niemal intymnie – rytm muzyki miesza się z zapachem cynamonu i masła, a jabłka powoli duszą się na wolnym ogniu, sycząc cicho w rondlu. Ville, skupiony na odmierzaniu mąki, stoi bokiem do Rose, gdy nagle...

– Kurwa mać! – wybucha, odskakując pół kroku w tył. Spogląda na swoją czarną, idealnie skrojoną koszulę, na której wylądowała solidna porcja białego proszku.

– Villusiu, nie denerwuj się – mówi Rose spokojnie, sięgając po mokrą ściereczkę. Staje przed nim i delikatnie strzepuje mąkę z materiału, jej palce muskają jego tors. On patrzy jej w oczy, ona przesuwając wzrok po jego twarzy.

Nie mija sekunda, a ich usta spotykają się w powolnym, miękkim pocałunku. Gdy odrywają się od siebie, Ona odchrząkuje skupia wzrok na czymś za oknem, a on jedynie oblizuje wargi.

– To było... miłe. Choć przepis nic nie mówi o całowaniu.

Rose nie odpowiada na zaczepkę tylko w milczeniu wraca do pracy, skupiając się na cieście, kącik jej ust lekko drga. Piekarnik wydaje krótki dźwięk, informując, że osiągnął właściwą temperaturę. Ville zaciera ręce.

– No, ślicznotko, sru do pieca... – urywa i krzywi się lekko. – Eee... znaczy, że ciasto do pieca.

Obydwoje wybuchają śmiechem. Ona delikatnie wsuwa blachę z szarlotką do piekarnika i zamyka drzwiczki. Gdy ustawia minutnik, ich spojrzenia znów się spotykają.

– Mamy trochę czasu... – mówi Ville niewinnie patrząc w sufit – może wykorzystamy to jakoś...

Dziewczyna nie odpowiada słowami. Pochyla się, a ich usta znów odnajdują się w kolejnym pocałunku – dłuższym, odrobinę głębszym, jakby wszystko poza nimi przestało istnieć. Powietrze między nimi gęstnieje, a muzyka z głośników rozmywa się w odległe tło. Nagle w drzwiach kuchni staje Emma. Opiera się o framugę, przygląda im się przez moment, po czym z udawanym znużeniem przerywa ciszę: – Zjadów dostaniecie od tego przyjacielskiego pocałunku.

Ville i Rose odrywają się od siebie niechętnie. Dziewczyna zerka na minutnik, otwiera oczy ze zdziwienia – gdy wstawiała ciasto, ustawiła go na czterdzieści pięć minut, a teraz wyświetlacz pokazuje równo trzydzieści. Emma dostrzega zdumioną minę koleżanki, i spoglądając zadziornie to na Rose, to na swojego brata, postanawia powstrzymać się od komentarza czekając spokojnie na ich dalsze ruchy. Podchodzi do piekarnika i przez chwilę w skupieniu obserwuje, jak szarlotka powoli rośnie, pokrywając się złocistą skorupką. W międzyczasie, Libertyn odsuwa się w stronę okna, jakby potrzebował chwili, by ochłonać i zebrać myśli, a Rose w milczeniu zaczyna sprzątać blat, wycierając drobiny mąki i cynamonu. Choć cała trójka uśmiecha się pod nosem, to nikt nic nie mówi. Emma siada przy wyspie kuchennej, na której piętrzy się sarta książek kucharskich wyciągniętych przez Villego. Dziewczyna kartkuje je powoli, podczas gdy Rose ściera ostatnie okruchy, a jej brat z namysłem analizuje konstrukcję skrzydła okiennego.

Emma podnosi wzrok znad strony z przepisem na pulpeciki w sosie śmietanowym.

– Nie umiem gotować, a ty, ślicznotko?

Rose oddycha z ulgą, że temat zbyt długiego pocałunku zszedł na dalszy plan.

– Mam kilka swoich popisowych dań, choć rzadko gotuję. Dla mnie samej mi się nie chce, a nikt specjalnie mnie nie odwiedza – odpowiada, siadając obok.

– Ja mam dwie lewe ręce, ewentualnie sałatki, to mi jeszcze wychodzi.

Ville również siada przy wyspie kuchennej, a rozmowa schodzi na bezpieczny temat gotowania. W piekarniku dopieka się szarlotka, a w kuchni unosi się zapach pieczonych jabłek, który co chwilę przypomina im, że zaraz będzie degustacja.

Gdy minutnik daje sygnał, że ciasto jest gotowe, Rose delikatnie wyjmuje blachę do wystudzenia.

– Emi, mam pytanie – mówi kładąc wypiek na blat.

– Co tam, piękna?

– Na początku nie chciałaś być gitarzystką w Liberty Fade. Dlaczego? I co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

– To trochę długa historia – odpowiada Emma, po czym wstaje, jakby chciała zebrać myśli.

Podchodzi do lodówki, otwiera ją, zagląda do środka i po chwili zamyka, nie wyjmując niczego.

– Wiesz o tym, że Mia nie jest moją biologiczną mamą – zaczyna – ale nigdy nie robiła między mną a bratem różnicy. Przyjęła mnie jak swoją. I choć moja matka nie jest złą osobą, to nigdy nie zaznałam od niej miłości, za to Mia dała mi jej aż w nadmiarze. Czułam się w obowiązku, aby być najlepszą córką. Staralam się ze wszystkich sił mieć wzorowe oceny i zachowanie. – Rzuca spojrzenie na brata, który teraz uśmiecha się niczym mały diabełek. – Mia nigdy tego nie wymagała, a razem z ojcem nie raz

dawali mi do zrozumienia, że nie muszę być prymusem, żeby mnie kochali. Jednak ja wciąż starałam się być najlepsza.

Zawiesza się chwilę, upija łyk wody i kontynuuje:

– Mia mi zawsze imponowała. Chciałam być jak ona – iść w jej ślady. Gdy brat zaproponował mi posadę gitarzystki, odmówiłam, bo... czułam, że Mia by tak nie postąpiła. Jednak kilka dni później mama zaprosiła mnie na rozmowę. Powiedziała wtedy tylko: „Emma, bądź sobą, pragnę twojego szczęścia”. Pogadałyśmy chwilę, bardzo mnie podbudowała i postanowiłam, że spróbuję.

Rose spogląda teraz na Villego siedzącego tuż obok i na Emmę, która gładzi grzbiet książki kucharskiej.

– To dziwne zgranie w czasie: ty odmawiasz bratu, a zaraz potem Mia z tobą rozmawia... – patrzy wymownie na Libertyna, który puszcza jej oczko.

– Tak, braciszek poprosił mamę o interwencję.

– Nie miałem w sumie wyboru. Wszystko było gotowe do nagrania demo, Emma była pod ręką... i no wiesz, biznes jest biznes. – Zawiesza się na moment patrząc wymownie na siostrę. – Zresztą byłem jej to winny. Nie byłem najlepszym bratem, ciągle jej dokuczałem i robiłem psikusy.

Siostra gładzi go po dłoni z czułością.

– Ale teraz jesteś super. I choć pewnie będę żałować tych słów, to wiesz, że dobrze mi się z tobą pracuje.

– A mi z tobą – odpowiada i zwraca się do Rose. – Wiesz, zanim się dograliśmy w zespole, to Emma była takim moim powiernikiem i jako jedyna nie miała skrupułów, aby mnie ochrzanić lub wyrazić swoją opinię. To na początku bardzo mi pomogło. Teraz jest już inaczej, bo jak wiesz, jesteśmy zgraną kapelą i przyjaźnimy się.

W tym momencie do kuchni wpadają Paul, Thomas, Robert i Wendy, od razu kierując się w stronę szarlotki. Ville z niezadowoleniem obserwuje, jak hołota z Liberty Fade bez pytania kroi ciasto i dzieli się nim niczym łupem wojennym. W końcu wstaje, oburzony.

– Cholera, wy macie wbudowany „radar szarlotkowy”?

Grudniowy poranek nie zapowiada się ani ładnie, ani ciekawie, ot kolejny dzień pracy, gdzie Rose walczy z ostatnimi materiałami, które w formie kilkusekundowych rolek będą wrzucane niemal codziennie na social media zespołu aż do pierwszego koncertu nowej trasy. Dziewczyna jak zawsze siedzi w skupieniu, popija melisę, w ustach lizak, jej włosy związane we francuski warkocz, który po raz pierwszy zrobiła jej pokojówka na wyraźne polecenie: „Panienko, Pan Rian Junior przysłał mnie aby panienkę uczesać”. Rose dotyka swojej fryzury i uśmiecha się pod nosem na samo wspomnienie tej niezręcznej propozycji, ale ostatecznie nie było tak źle, a służąca okazała się miłą osobą. Dziewczyna stwierdza, że skoro pokojówka jeszcze dodatkowo pomogła uporać się jej z makijażem to w sumie może włączyć kamery aby nagrać się przy pracy, tak jak kiedyś prosił Ville. Wprawdzie już się raz nagrała, kiedy toczyła wojnę z Libertynem i rozmowa ta nie była zbyt przyjemna, więc może dzisiejszy materiał będzie bardziej odpowiedni do odcinka o kulisach programu. Drzwi serwerowni otwierają się delikatnie, a w szczelinie pojawia się głowa Villego, który szczerzy się od ucha do ucha:

– Hej śliczna – zagaduje wesoło.

Rose uśmiecha się kątem ust i nie odrywając wzroku od monitora podnosi rękę na znak przywitania.

Chłopak podchodzi sprężystym krokiem siada w fotelu obok:

– O lizak, daj spróbować.

– To cytrynowy – odpowiada i już widzi, że Libertyn się krzywi, po czym przekazując mu słój lizaków dodaje – proszę, wybierz sobie.

Ville odbiera słój niczym największy skarb i już po chwili wyciąga swojego ulubionego lizaka truskawkowego, po jego minie widać, że zaraz się obślini. Gdy próbuje go otworzyć, szeleści papierkiem, denerwując się przy tym coraz bardziej. Rose bez słowa podaje mu nożyczki, a on posyła jej buziaczka w powietrze, nacina papierek i po chwili patrząc z pożądaniem na słodycz wsadza go sobie do ust.

– Co robisz – pyta w końcu, gdy widzi jakiś tekst na monitorze.

– Opis odcinków, które zmontował Harry, żebyśmy mieli pogląd co i jak, mam nadzieję, że widziałeś materiały.

Chłopak potakuje bez słowa rozkoszując się smakiem syntetycznej truskawki.

– Ten opis jest potrzebny? Mogę przeczytać? – pyta kręcąc się w kółko na fotelu obrotowym.

Rose jedynie wzdycha ciężko, patrząc na niego z nutą dezaprobaty, i bez słowa włącza monitor stojący tuż przed jego nosem. Już po chwili może przeczytać najważniejsze informacje o kilku zmontowanych odcinkach, które wejdą jako pierwsze do drugiego sezonu. Ostatnie dwa czyta już na głos.

Plik: „2025_EP1_FINAL”. Status: do emisji ; Tytuł: Rozwiązuję zespół; Ogólny opis:

Zamiana ról w zespole. Wszyscy ćwiczą brzmienie „nowych” instrumentów. Następnie mają wykonać *By The Way*. Emma na wokalu wyje więcej niż śpiewa – katorgą dla uszu – według Ami, Robert nieźle radzi sobie na gitarze Emmy, pod warunkiem, że gra sam, Paul nie rozumie działania konsoli, odtwarza przypadkowe beaty, Thomas nie może zgrać rąk i nogi na perkusji, traci rytm niemal natychmiast, Ville gubi więcej akordów niż jest w stanie znaleźć.

Ciekawe wypowiedzi:

Thomas po próbie zagrania *By The Way* – „Moja kondycja to dno. Czuję mięśnie, o których nie wiedziałem, że istnieją.”

Thomas (po solówce na perkusji): – „Można się nieźle wyżyć. Rob, ty to masz dobrze.”

Paul (do konsoli): – „Thomas, dlaczego to ciągle miga. Co jest kurwa?”

Emma (po pierwszej zwrotce): – „Zaczynamy jeszcze raz, mój wokal się rozgrzał.”

Emma (czytając grawer na mikrofonie Libertyna): – „Nie gryź, mikrofon też człowiek – Rami Rian”

Ville (po walce z paskiem gitary): – „Tu mi dynda, tam odstaje, nie wiem jak to działa.”

Ville (po zgubieniu niemal wszystkich akordów): – „Ta gitara waży tonę, ramię mnie boli.”

Ville (po ostatnim pisko – wrzasku Emmy): – „Rozwiązuję zespół!”

Robert (po pierwszym wspólnym brzmieniu): – „Może pociągnę to wszystko sam”.

Robert (czytając grawer na potwornie drogiej gitarze Emmy): „Tylko twoje dłonie wiedzą jak mnie nastroić – Rami Rian”

Amidala (po wysłuchaniu utworu): – „Stracimy subskrybentów. Polecą łapki w dół!”

Plik: „2025_EP2_FINAL”; Status: Do emisji; Tytuł: Wakacje marzeń

Ogólny opis:

Emma i Rob wyjeżdżają na wycieczkę objazdową do Florencji. Każdy dzień zaplanowany co do minuty – galerie sztuki, zabytki, klimatyczne restauracje i nocne spacery wśród marmurów. Rob marzy o drzemce w cieniu jakiegokolwiek kolumny. W tym samym czasie Thomas i Ville lecą do Dubaju – bez planu, bez zegarka, za to z dostępem do apartamentu rodziców Burdż Chalifa. Wstają po południu, popijają drinki na plaży, nocami imprezują na jachcie, a w weekend lecą na wyścig Formuły 1 z biletami VIP.

Ciekawe wypowiedzi:

Thomas (krzycząc z drugiego pokoju): „Która godzina?”

Ville (ziewając): „Jedenasta.”

Thomas (przeciągając się): „Dopiero?”

Ville (poprawiając poduszkę): „To może coś dziś byśmy zwiedzili?”

Thomas (obracając się na drugi bok): „Tak, plaże. Dziś pójdziemy na lewo.”

Robert (po zejściu z jakiejś góry z klasztorem): „Tam jest cień, tam jest cień!”

Emma (przewracając oczami): „Nie mamy na to czasu, idziemy dalej.”

Robert (wstając z łóżka): „Em, a może dziś byśmy coś podziałali bardziej w poziomie?”

Emma (już ubrana) : „Miałeś na to noc.”

Robert (na granicy płaczu): „Spałem.”

Emma (poprawiając włosy): „Ja nie spałam.”

Ville kończy czytać i, nie odrywając wzroku od ekranu, powoli opada na oparcie fotela. Przeciąga dłonią po twarzy i obraca się całym ciałem w stronę Rose, która przez cały czas śledziła go uważnie, podpierając podbródek na dłoni.

– Wiesz... fajnie to ogarniasz. Jak dla mnie: super.

Następnie klaszcze lekko w dłonie, jakby kończył niewidzialne przedstawienie, teatralnie poprawia mankiet bluzki, wstaje z gracją sceniczną i rzuca z nonszalancją:

– Porywam cię na górę. Hołota już czeka, chcemy jeszcze pogadać o harmonogramie.

W jadalni jest już gwarno. Thomas i Paul rozsiadają się wygodnie przy stole, pochłaniając tortille. Robert i Emma właśnie wchodzą z herbatami, każdy automatycznie zajmuje swoją dobrze znaną pozycję jakby ich układ był zakodowany gdzieś głęboko w podświadomości.

– Mamy pięć pełnych odcinków – mówi Emma. – Co z materiałem zza kulis?

– Harry wspomniał, że zrobi po siedem minut na każdego: operatora kamery, montażystę, oświetleniowca i nasze guru archiwum. Najpóźniej jutro prześle resztę. Z naszą panią mądralińską już mamy kontent – odpowiada Robert, smarując chleb masłem po czym rzuca dziewczynie zadziorne spojrzenie spod brwi.

– Jak to „macie”? Ja nic nie dostałam! – Rose prostuje się gwałtownie, wyraźnie zaskoczona.

– Kto widział materiał z naszą ślicznotką? – pyta Emma rozglądając się po reszcie.

Ręce podnoszą się jedna po drugiej. Ich miny mówią jedno: status: do emisji.

– A może ja się nie zgadzam? – próbuje jeszcze protestować, ale ton ma już mniej przekonany.

Thomas przeciąga się, ziewa, sięga po kawę.

– Dobry fragment. Zaraz wspólnie obejrzymy... Spodoba ci się.

Rose przewraca oczami, udając oburzenie, ale w kącikach ust czai się uśmiech. Sięga po pomidora, kroi go w równe plasterki, które natychmiast stają się łupem Roberta i Emmy. Nie protestuje. Za dobrze ich zna.

Emma pochyla się znów nad tabletem i wraca do tematu:

– Uważam, że odcinek z ekipą techniczną powinien pójść na początku. Drugi, ewentualnie trzeci. Gadałam z Harrym, fajnie byłoby dorzucić do tego segment „to się wytnie”. Nasza ukochana pani archiwistka przygotowała cały plik takich rzeczy.

– Mamy świetne nagrania o pieczeniu szarlotki – odpowiada Ville nie kryjąc satysfakcji.

Emma od razu się prostuje, jak nauczycielka, która właśnie przypomniała sobie, że musi wygłosić opinię.

– Widziałam materiał. Jest świetny. Ale mam uwagi. Wasz pocałunek trzeba skrócić do minimum. I nie mam pewności, czy powinien tam w ogóle zostać. Kolejna rzecz to rozmowa we trójkę o moich relacjach z rodzicami. Sama rozmowa jest w porządku, wrzuciłabym to, ale jako segment do odcinka, gdzie będą też Mia i Rami. I ostatnia – ten odcinek może się pojawić tylko, jeśli ludzie polubią Rose i będą chcieli jej więcej. Czyli po kulisach.

Ville potakuje ze skupieniem, notując w głowie wszystkie uwagi.

– Kiedy przedstawimy naszą panią informatyk, fanki Viktorii mogą mieć problem. Może się wylać fala... no, niezbyt przyjemnych komentarzy. Ale moim zdaniem to, co przygotowaliśmy, rozbawi ludzi. I będzie dobrze.

– Trochę się boję hejtu – przyznaje Rose po chwili – Czasem żałuję, że się zgodziłam. Widziałam te wpisy fanek Viktori – zachwyty nad jej urodą, shippy z tobą...

Na te słowa rozlega się ogólna salwa śmiechu. Paul odwraca się do niej z miną rozbawionego starszego brata:

– Co jak co, ale nasi widzowie to wierna banda. Widzieliśmy przecież, że negatywnych komentarzy jest tyle co kot napłakał. A co do Viktori – jasne, że zachwycają się jej urodą, bo poza urodą ta laska nic więcej sobą nie reprezentuje.

Śmiech robi się jeszcze głośniejszy. Ville, spokojniejszym tonem, dodaje:

– A co do relacji rodzinnych w odcinku o szarlotce – moim zdaniem to się spina. Ciasto kojarzy się z domem, a dom z dzieciństwem.

Wszyscy przytakują z uznaniem. Nawet Emma, która przez chwilę się jeszcze waha, w końcu kiwa głową. I wtedy Ville spogląda na Thomasa i dostrzega, że jego wyraz twarzy się zmienia – oczy lekko się zaszklily. Chwilę później reszta łapie klimat. Wiedzą. Doskonale wiedzą. Matka Thomasa nie żyje od lat, a dzieciństwo było... pozbawione rodzinnego ciepła. W takich chwilach zespół nie potrzebuje słów. Emma przesuwając rękę na stół i cicho głaszcze Thomasa po dłoni. Robert, siedzący obok, z czułością podsuwa mu kanapkę z marmoladą. Paul klepie go po plecach, jakby mówił: „jesteśmy z tobą.” Ville wstaje, podchodzi do Thomasa i obejmuje go mocno, bez teatralności, tylko z prawdziwym ciepłem.

– Sorry, stary – mówi cicho.

– Nie ma sprawy. Już jest okej – odpowiada Thomas uśmiechając się przez łzy.

Rose obserwuje to w milczeniu. Nieraz widziała, jak bliscy są sobie ci ludzie. Ale nigdy jeszcze nie była świadkiem takiej sceny. W tej chwili coś się w niej zatrzymuje – przestaje kroić, mówić, myśleć. Po prostu patrzy.

Po jakimś czasie rozmowa wraca na luźniejsze tory. Robert z wycuciem zmienia temat:

– No dobra, a kiedy Gerard? Czy nasza ślicznotka już złożyła ten odcinek?

– Jeszcze nie – odpowiada Rose. – Będzie gotowy w przyszłym tygodniu.

Ville zrywa się z miejsca, jakby właśnie ktoś obraził jego honor.

– Pragnę tylko przypomnieć, że mogę się nie zgodzić na emisję!

Nikt nie reaguje, wszyscy wiedzą, że to poza. Zespół zaczyna coś szeptać między sobą, zerkając co chwilę, a Emma sięga po tablet i zaraz na ekranie pojawia się pierwszy kadr z odcinka, w którym główną rolę gra Rose...

Plik: „2025_RVT_PART7”; status: do akceptacji; Tytuł: Kulisy

Kamera płynie wolno przez półmrok serwerowni. Migoczące diody rozcinają ciemność zielonkawym światłem. Dźwięk wentylatorów i dysków twardej tworzy jednostajny, elektroniczny szum. Widać zarys postaci siedzącej w fotelu przed ogromnymi ekranami – tyłem do kamery. Na ekranie pojawiają się seledynowe litery – jak w starym filmie szpiegowskim: ROSE MILAGROS MAYER; Wiek: 22 lata; Współpraca od: listopad 2024r.; Funkcja podstawowa: Archiwizacja danych; Funkcja dodatkowa: Zdjęcia na zlecenie... i bez zlecenia zresztą też.; Status: Wolna; Ulubione powiedzenie: „Śpiewaj szanty, ciągnij szoty – nie odwrotnie.”

Blask monitorów tańczy na twarzy Rose. Czerwień i błękit ekranów odbijają się w jej ciemnych oczach, gdy, siedzi bez ruchu z kubkiem w dłoni. Lizak w ustach, słuchawki opuszczone na szyję. Delikatny makijaż tylko podkreśla wyraziste rysy twarzy, a fale ciemnych włosów opadają miękko na ramiona, znikając w półcieniu. Dziewczyna pracuje w ciszy. W tym samym czasie DJ Thomas idzie powoli, z gracją kogoś, kto ma cały czas świata. Na głowie czapka z daszkiem przekręcona do tyłu, spod niej wystają brązowe pasma włosów. W ręku trzyma puszkę energetyka. W jego ruchach nie ma pośpiechu – tylko nonszalancja i ten charakterystyczny luz, jakby nic na świecie nie było wystarczająco pilne, by zepsuć mu humor. Zatrzymuje się przy masywnych, drewnianych drzwiach i z konspiracyjną miną odwraca się do kamery:

– Tu Libertyn trzyma dziewice, ale cicho – szepcze z teatralną powagą, przykładając palec do ust.

Następnie przechodzi do kolejnych drzwi i na których widnieje tabliczka: Pokój Strachu. Wchodzi do serwerowni i od razu wesoło rzuca do siedzącej tam dziewczyny.

– Hej, nie spodziewałem się ciebie tu, nie masz dziś wolnego?

Zajmuje miejsce na fotelu obok, ona nie odrywa wzroku od ekranu, tylko jednym ruchem poprawia słuchawki zwisające z szyi.

– Witaj, Thomasie. Miałam mieć wolne, ale... foldery celebryty przygniotły mnie razem z jego ego.

Thomas parska śmiechem i kiwnięciem głowy wskazuje na kubek.

– Znowu melisa? Praca jest aż tak stresująca?

Rose unosi kącik ust, niemal niedostrzegalnie, i klika nerwowo myszką, otwierając folder oznaczony: „Ville_cam_final”. Ekran błyska. Setki plików przelatują jak szaleńcy w metrze.

– Cholera jasna... tu też jest totalny pierdolnik. I te kopie! Co on, do cholery, reaktor jądrowy, że musi mieć potrojony system zabezpieczeń?

Thomas zanosi się śmiechem. Kładzie jej dłoń na ramieniu – ciepły, ludzki gest.

– Spokojnie, to artysta. Do nowego sezonu jeszcze trochę. Dasz radę?

– Miałam skończyć w tym tygodniu, ale... postaram się – mruczy nie przestając klikać.

Chłopak nachyla się bliżej i mruży oczy, pokazując palcem jeden z folderów na ekranie.

– Ty, a co to jest za folder „ville_seksi_boy”?

– Sto identycznych selfików celebryty.

Drzwi skrzypią – ciężko, jakby dramatyczna muzyka właśnie miała wejść. Do środka wkracza Ville – cały na czarno. Bez żadnych skrupułów. Rozgląda się jak król wchodzący do lochów, aż jego wzrok zatrzymuje się na dziewczynie.

– Hejka Rose, myślałem, że masz dziś wolne... Eee... o, mój chłopak Thomas!

Przyjaciel unosi rękę w lekkim geście pozdrowienia.

– Hej, seksy boy.

Ville nie czeka na więcej – rzuca się w jego ramiona niczym koala, oplatając go teatralnie. Thomas sapie z zaskoczenia, próbując nie upuścić puszki. Rose obserwuje ich z kamienną twarzą, aż w końcu wbija wzrok w Libertyna, jakby światło monitorów przygasło tylko po to, by podkreślić zmianę nastroju.

– Po co pan celebryta tu przyszedł? Żeby stworzyć nową kopię folderu „ville_xxx”?

Chłopak odsuwa się od Thomasa z udawaną urażoną miną.

– Co? Nazwa zainspirowała, pani mądralińska? Liczyłaś na coś z pieprzykiem?

Thomas prychnął, krztusząc się śmiechem.

– Raczej z pieprzeniem... znaczy z doprawianiem potraw – dodaje szybko z udawanym zakłopotaniem.

– Liczyłam raczej na filmik, w którym formatujesz tekst jak należy – mówi, rzucając Villemu spojrzenie pełne politywania. – To byłoby dla mnie porno.

Chłopak dramatycznie łapie się za serce.

– Oh, nie mów, że nie masz ochoty skosztować Libertyna!

– Weź przestań – prychnął – jeszcze zgagi dostanę.

Thomas, wciąż rozbawiony, głaszcze przyjaciela po głowie z udawaną troską.

– Spokojnie, skarbie. Przestańcie się kłócić.

Ville marszczy nosek, wydyma usta i robi minę obrażonego dziecka.

– Jeśli dalej będziesz taka, to zostaniesz starą panną.

– A ty starym dziadem – odpowiada dziewczyna nie odrywając wzroku od monitora.

Libertyn pokazuje język jak przedszkolak i teatralnym ruchem odwraca się na pięcie, unosząc głowę wysoko, dramatycznie.

Gdy tylko drzwi za nim się zamykają, Rose przewraca oczami.

– Ale on mnie ... irytuje.

Rose kończy oglądać fragment odcinka, w którym gra główną rolę. Przez chwilę jeszcze trzyma dłoń na ekranie tabletu, jakby potrzebowała sekundy, by ocenić, co właściwie zobaczyła. Reszta ekipy czeka w milczeniu. Nikt się nie odzywa bo to od jej werdyktu zależy czy mają kolejny materiał do wrzucenia na kanał.

– No cóż – mówi w końcu z zadowoleniem, przeciągając słowa z charakterystyczną nonszalancją. – Wyszło fajnie, ale fanki Villego mnie za to zjedzą. Zresztą mało to aktualne, wtedy nasze relacje nie były... no, najlepsze.

Emma parska śmiechem, poprawiając włosy za ucho.

– No tak, teraz się całujecie, gotujecie i w ogóle spędzacie dużo czasu razem.

– Podejrzanie dużo czasu – dorzuca Thomas puszczać Rose oczko.

– Mi tam się podoba – mówi Ville z entuzjazmem. – Uważam, że charyzma naszej pani informatyk raczej przyciągnie widzów. Być może ci, co bardziej są nastawieni na muzyczną stronę naszego kanału, będą częściej odwiedzać też *Liberty Fade Life*..

Głowy kiwają się zgodnie bo trudno nie dostrzec faktu, że dotychczas kobieca reprezentacja w programie była znikoma. Poza Emmą, dziewczyny gościły rzadko. Mia – ikona stylu i chłodnej elegancji pojawiała się gościnnie, a Wendy – dziewczyna Paula, ze swoją japońską wrażliwością i introwertyczną charyzmą, zostawiała po sobie ślad jednak zajęta swoją pracą nie była zainteresowana nagraniami do programu. Rose może to zmienić, jest inna. Nie wpisuje się w żaden schemat. I chociaż nikt nie mówi tego głośno, wszyscy myślą o Viktori – pięknej, ale pustej ozdobie pierwszego sezonu, która bardziej irytowała niż intrygowała. Rose to zupełnie inna liga. Ma cięty język, techniczny umysł i coś nieuchwytnego, co przyciąga uwagę nawet wtedy, gdy nic nie mówi. Ville, Thomas, Emma, Paul i Rob są zgodni – program potrzebuje kobiecej postaci z charakterem. Kogoś, kto nie będzie tylko dodatkiem do męskiego świata, ale jego pełnoprawną częścią. Kogoś, kto może wejść między nich jak równy z równym. Ale zanim zapadnie decyzja, trzeba poczekać na reakcję widzów. Premiera odcinka zza kulis jest już blisko. Liberty Fade wiedzą, że wszystko zależy od tego jednego kliknięcia *play*. Fani ją pokochają... albo znienawidzą. Tu nie ma półśrodków.

Rozdział 8

Legendy o Libertynie

W wieczór przed urodzinami Libertyna, Rose idzie powoli wzdłuż korytarza, który prowadzi do jego pokoju. Już z daleka słyszy muzykę – miękkie, ciepłe dźwięki fortepianu unoszą się w powietrzu jak zaproszenie. To znajoma melodia, jakiś lekki popowy kawałek. Nie pasuje do Villego. A jednak gra go z taką lekkością, jakby to była najpiękniejsza kompozycja świata. Nie tworzy – po prostu się bawi. Dziewczyna marszczy brwi. Przez głowę przelatuje jej myśl o Eryku – on nie słucha niczego poza komercyjną muzyką radiową. Sama też nie dorastała w domu, gdzie muzyka miała jakieś znaczenie. Mayerowie woleli ciszę lub telewizor. Jeśli coś grało, to latino – dźwięki towarzyszące jej dzieciństwu, treningom tańca i rywalizacji. W pałacu Rianów to się zmienia. Od kiedy pracuje z zespołem, nie ma ucieczki – Emma i Robert wcisnęli jej playlistę z największymi klasykami rocka i metalu, Paul dołożył jazz i gitarowe perełki, a Thomas przesłał jej dziesiątki utworów elektronicznych – od lat 80. po współczesność. Ville czasem wpada do serwerowni, losuje piosenkę z listy i oczekuje odpowiedzi – zespół i tytuł. Dla niej to loteria, jazz ją męczy, wszystko się jej miesza, ale się stara. Rose zatrzymuje się teraz pod drzwiami. Na twarzy pojawia się uśmiech – miękki, niewymuszony. Dawno nie czuła się tak dobrze. Tak... swojo. Chwyta za klamkę i wchodzi bez pukania. Libertyn siedzi przy fortepianie, pochylony delikatnie, skupiony. Idealnie uczesane włosy, makijaż ledwie widoczny, ale precyzyjny – podkreślający jego kości policzkowe i oczy. Rose mimowolnie zwalnia krok. Patrzy na niego, jakby oglądała obraz, który zna, a jednak za każdym razem odkrywa w nim coś nowego. Ville nie przestaje grać, ale unosi wzrok i uśmiecha się do niej. Kiwnięciem głowy zaprasza, by usiadła obok.

– Amidala skarży się, że migasz się od nauki gry – rzuca wesoło, wciąż nie odrywając palców od klawiatury.

– Twoja córeczka przesadza – odpowiada patrząc niewinnie na instrument.

– To może spróbujesz. Chcę posłuchać.

– Panie Janie, może być – burczy poprawiając sukienkę.

– No to i tak nieźle. Dawaj – zachęca.

Dziewczyna kładzie jeden palec na klawiszu. Zaczyna nieporadnie odgrywać melodię *Panie Janie*, myląc dźwięki, gubiąc rytm. Ville chichocze pod nosem, ale ona gra do końca, ignorując jego reakcję. Zdeterminowana, żeby nie przerwać.

– Fajnie, że zagrałaś do końca. Brawo. – chwali ją szczerze.

– Zgrywasz się ze mnie?

– Ja? – dziwi się – W życiu. Naprawdę, ślicznotko, podoba mi się, że się nie poddajesz. Że nie odpuszczasz, nawet jeśli, no... wiesz, *Pan Jan* nie specjalnie ci wychodzi. Jesteśmy do siebie podobni. Dziewczyna patrzy na niego podejrzliwie. Próbując zrozumieć, co tak naprawdę ma na myśli. On jednak dostrzega jej konsternację i dorzuca z uśmiechem:

– Bardziej niż ci się wydaje.

Potem wstaje z ławki, przeciąga się leniwie i rozciąga kark.

– Hmm... a teraz idę się umyć. Tylko nie podglądaj.

Zdejmuje koszulę jednym płynnym ruchem. Rzuca ją w stronę Rose, która łapie materiał i patrzy na niego z mieszaniną rozbawienia i fascynacji. Libertyn znika w łazience zostawiając ją samą w pokoju. Rose przykłada koszulę do twarzy i nie może się powstrzymać – wciąga jej zapach głęboko, aż do płuc. Powinna być nieświeża po całym dniu, ale nie jest. Pachnie jak on, miękko, zmysłowo i niewytłumaczalnie podniecająco. Spogląda na koszulę potem na łóżko i na zamknięte drzwi łazienki. Jej dłoń wędruje wzdłuż uda. Dotyka łagodnie skóry – idealnie gładkiej, ogolonej. Czysta, świeża po kąpieli, wszystko gotowe.

– Wystarczy tego celibatu – mruczy do siebie.

Wstaje powoli, zsunąwszy się z ławki przy fortepianie. Cisza nagle staje się gęsta. Kieruje się w stronę łazienki. Za drzwiami słychać szum wody, a ona już wie, że dziś nie wróci do swojego pokoju.

Kąpielowy półmrok i para unosząca się z nad prysznicą tworzą niemal intymną zasłonę, przestrzeń jak z innego świata. Ville stoi pod strumieniem wody, plecami do niej, nieświadomy jej obecności. Rose nie mówi nic. Zrzuca z siebie ubranie jedno po drugim, bez pośpiechu, jakby rytuał był oczywisty. Staje naga, przez chwilę obserwując wodę tańczącą na jego karku, a potem wchodzi pod prysznic. Jej stopy dotykają ciepłych płytek, a kropelki natychmiast osiadają na skórze. Ville odwraca głowę, nieruchomieje. Jego spojrzenie wpada na jej piersi, potem na talię – i staje się jasne, że nie spodziewał się takiego widoku. Jego oczy rozszerzają się z wrażenia, usta lekko się rozchylają.

– Tak sobie właśnie siebie wyobrażałem – mówi nagle, piskliwym głosem.

I w tej samej chwili z absolutną premedytacją odkręca kurek z lodowatą wodą. Zimny strumień uderza go w kark.

– Aaa...! – piszczy odskakując na bok.

I w jednej sekundzie wybiega jakby poraził go prąd. Owija się ręcznikiem tak szybko, że wygląda jak postać z kreskówki. Na twarzy maluje mu się panika, zmieszanie i rozbijająca bezradność.

– Już się umyłem! – wyrzuca z siebie, dysząc ciężko niczym po przebiegniętym maratonie.

Rose zostaje naga pod lodowatym strumieniem. Przez moment nie może się ruszyć, zimna woda spływa jej po plecach, chłodząc dosłownie wszystko, co jeszcze przed chwilą było gotowe na coś zupełnie innego. Po chwili drzwi szafki skrzypią. Ville sięga po czysty ręcznik i, nie zaglądając do środka, przerzuca go przez górę kabiny.

– Jak się wykąpiesz, to możesz się wytrzeć.

Znika z łazienki w pośpiechu, a ona stoi wciąż pod prysznicem. Zakręca wodę bez słowa. Opiera czoło o chłodną ścianę i zaciska powieki. Otula się ręcznikiem – miękkim, ciepłym, ale materiał nie daje jej żadnego pocieszenia. Jej serce bije zbyt szybko. Czy naprawdę się pomyliła? Czy źle odczytała sygnały? Czy Libertyn jej nie chce? Zawstydzenie ścisza gardło. Miała odwagę rozebrać się przed nim, podejść tak blisko. A teraz? Teraz najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Nie wie, czy bardziej boli ją to, że on jej nie pragnie, czy to, że właśnie została... sama.

Wychodzi z łazienki ubrana, owinięta w swoją dumę i resztki godności. Włosy jeszcze wilgotne, policzki rozpalone bardziej ze wstydu niż od pary, a oczy... zgaszone. Nie patrzy na Villego. W jej głowie kłębią się myśli, które nie mają końca. Jej jedynym planem jest wyjść, a najlepiej uciec by najszybciej zostawić to upokorzenie za sobą. Ale Ville siedzi na krześle przy biurku. Spokojny. Skupiony. Śledzi ją wzrokiem, jakby obserwował rzadkie zjawisko astronomiczne.

– A gdzie się tak spieszysz? – rzuca leniwie.

Rose zatrzymuje się, choć nie odwraca głowy. Ręka zawisa w połowie drogi do klamki. Jej ciało napina się w obawie, że za chwilę usłyszy coś, czego nie uniesie. Ale milczy.

Ville wstaje. Podchodzi powoli, z gracją i naturalną nonszalancją.

– No wiesz, śliczna... jestem Libertynem – zaczyna z uśmiechem, stając tuż za nią. – Ale jak trzeba, potrafię zachować zimną krew. No nie powiem, jestem z siebie dumny – wskazuje na siebie z uznaniem po czym uśmiecha się szelmowsko, nie spuszczać z niej wzroku.

Rose w końcu się odwraca. Patrzy na niego z mieszaniną niedowierzania i zmieszania. W jej spojrzeniu czai się pytanie, które musi zadać, nawet jeśli odpowiedź ma ją złamać.

– Mówiłeś, że jestem gorąca... ale to kłamstwo, prawda? To była gra? – pyta z wyrzutem, a głos jej drży.

– O czym ty mówisz? Jaka gra? – Marszczy czoło. – Chodzi ci o to, że nie skorzystałem z okazji? Skarbie, po pierwsze się przyjaźnimy. No dobrze, całowaliśmy się nie raz, ale ja nigdy pocałunków nie traktuję jako czegoś erotycznego. Nie chcę psuć naszej fajnej relacji. To raz. A dwa... – tutaj jego twarz rozświetla łobuzerski błysk – ...nienawidzę robić tego pod prysznicem czy w wannie.

Patrzy jej prosto w oczy, a kąciki jego ust unoszą się coraz wyżej.

– Bo wszędzie jest mokro... tylko nie tam, gdzie trzeba. A poza tym... testowałaś mnie! – kończy z wyrzutem.

Dziewczyna otwiera usta, ale nie wie, co powiedzieć. Dosłownie zapiera jej dech. Spodziewała się wszystkiego: chłodu, odrzucenia, może nawet żalu. Ale nie tego. Nie tej całkowicie nieprzewidywalnej, komicznej odpowiedzi, która sprawia, że chce się śmiać, płakać i ukryć pod kołdrą jednocześnie.

Ville zbliża się jeszcze o krok, a potem, bezceremonialnie, nachyla się do jej ucha.

– Masz piękne piersi, przyjaciółko – szepcze z rozbawieniem. – A teraz powiedz, co chciałaś tym osiągnąć.

Rose wzrusza ramionami, próbując zapanować nad rumieńcem, który już rozlewa się po jej policzkach. Oczywiście, że wiedziała, po co wchodzi. Oczywiście, że chciała go dotknąć, że chciała czegoś więcej. Ale teraz, patrząc na niego z tak małej odległości, czuje, jak zawstydzienie rośnie, gęste, nie do zniesienia. Może powinna ratować sytuację. Potwierdzić jego zarzut o „testowaniu”, że sprawdzała jego deklarację o „przyjacielskiej świętości”. Tak, może powinna rzucić coś ironicznego, lekkiego: „sprawdzam cię, Libertynie”. Uratować twarz. Zagrać na nosie własnemu zażenowaniu. Ale z drugiej strony... ile można jeszcze uciekać?

Odchrząkuje cicho, jakby chciała wypchnąć z siebie strach, który zagnieździł się gdzieś w środku. Jej dłoń porusza się nerwowo, ale głos, gdy wreszcie się odzywa, brzmi zadziwiająco spokojnie.

– Słyszałam o tobie wręcz legendy... o tym, jakim jesteś dobrym kochankiem. A ja chciałabym choć raz... doświadczyć dobrego kochanka. Bo nie wiem, co to znaczy.

Ville patrzy na nią z wyraźnym zaskoczeniem. Na jej twarz – piękną, a jednak w tej chwili nieco zmatowiałą, przesiąkniętą smutkiem, który nie wynikał z odrzucenia, ale z czegoś o wiele głębszego. Z samotności. Z pustki, której nie dało się zappełnić żadnym uśmiechem.

– Nasza przyjaźń może na tym ucierpieć.

– Nie będę za tobą łązić, ani się narzucać. Nie jestem twoją szaloną fanką, Libertynie. Jutro o tym zapomnę.

Ville parska krótkim śmiechem – nie złośliwym, lecz czułym, niemal ciepłym.

– Zobaczmy...

Nie odrywając wzroku od jej oczu zmienia muzykę na coś sensorycznego, na coś ciemnego i miękkiego zarazem – rytm, który nie brzmi, tylko oddycha. Następnie bierze jej rękę i prowadzi do łóżka. Przesuwa się nad nią, opierając ciężar ciała na przedramionach. Jego palce suną po jej ramionach, szyi, obojczyku, zatrzymując się przy dekolcie, potem znów wspinają się ku twarzy. Muska płatki uszu, kontur ust z taką ostrożnością, jakby dotykał szkła, które w każdej chwili może pęknąć. Rose unosi ręce, obejmuje go ramionami, chcąc przyciągnąć do siebie, ale on łagodnie zsuwa jej dłonie, dając jej delikatnie do zrozumienia: „poczekaj”.

Potem całuje ją, tak, jakby jej nie całował. Usta stykają się z jej ustami tak lekko, że ledwie czuje dotyk, a mimo to całe jej ciało reaguje. Przez chwilę ma wrażenie, że traci orientację, bo z każdą sekundą czuje równocześnie chłód i ogień. Chciałaby przyspieszyć, poczuć więcej, ale on nie pozwala, trzyma rytm, kontroluje każdy ruch, każdą sekundę. Jej ciało zaczyna drżeć, piersi napinają się, a oddech staje się płytszy. Ville całuje ją w szyję, tak lekko, że to bardziej wspomnienie dotyku niż sam dotyk. Jego usta suną wolno po jej skórze chcąc nauczyć się jej ciała. Rose leży bez ruchu, oddychając coraz płycej, czując, jak pod jej dłońmi napinają się mięśnie jego brzucha – gładkie, idealnie wyrzeźbione zupełnie stworzone z myślą o tym jednym dotyku. Ich rytm staje się wspólny, choć nikt jeszcze nic nie mówi. On przesuwa dłonią powoli, zataczając ledwie wyczuwalne kręgi wokół jej piersi. Jej ciało drży od napięcia i pragnienia, a mimo to pozwala mu prowadzić, nie spiesząc się ani o chwilę. A potem, wreszcie wchodzi w nią. I wszystko staje się jednym dźwiękiem, jednym światłem, jednym szczytem. Rose nie wie, czy krzyczy, czy oddycha, czy śni. Tylko czuje, całą sobą, głęboko, mocno, a potem lekko. Kiedy wraca do siebie, jego spojrzenie już tam jest – jakby czekał dokładnie na ten moment. Otwiera oczy i pierwsze, co widzi, to twarz Villego. Nie ma na niej drapieżnego uśmiechu, nie ma triumfu, nie ma też tej zawiadackiej nuty, której się spodziewała. Jest za to rozbawienie i szczęśliwa przekora.

– No wiesz, Rose... szybka jesteś.

Dziewczyna próbuje zasłonić twarz dłonią, ale on łapie ją i nie pozwala. Patrzy na nią z rozbawieniem, ale i z tą czułością, której nie da się zignorować.

– W sumie to się nie narobiłem – śmieje się szczerze.

– Ja nie wiem... ja nie miewam takich... – mamrocze.

– Co, w Bristolu tak nie dają?

Rose znowu się czerwieni. Ale uśmiecha się, mimo woli. Jest rozczulona, rozbrojona, zakochana w tej chwili – choć wcale nie zamierza puścić tego płazem.

– Nie psuj zabawy, Libertynie.

– To co, gotowa na dalej? – pyta jakby proponował kolejną piosenkę, nie kolejną rundę.

Dziewczyna tylko uśmiecha się i potakuje. Ville teraz dotyka jej ud, znów tym samym ledwie wyczuwalnym gestem, który doprowadza ją do szaleństwa. Gładzi skórę wnętrzem dłoni, rysując smugi ciepła po wewnętrznej stronie, zatrzymuje się na chwilę przy jej piersiach, nie spieszy się – przeciwnie. Całuje je, pieści, bada znowu, od nowa. Niby już zna ten kształt, ten zapach, ten drżący rytm, a jednak chce wszystkiego jeszcze raz, dokładniej, wolniej, z większym skupieniem. Zaskakuje ją, kiedy nagle, zdecydowanie odwraca ją na brzuch. Jego dłonie przesuwają się pewnie wzdłuż jej pleców, bioder i

znów – ud. Całuje ją w kark, w ramiona, opuszki palców zostawia na jej łopatkach. Kiedy w niej jest, ich ciała splatają się znów. Tym razem to nie fala, to trzęsienie ziemi. Dziewczyna czuje ciepło, czuje prąd, który przepływa przez każdy nerw. A Ville... Ville nie wie, co się z nim dzieje. Wydaje z siebie głuchy, urwany jęk – to nie brzmi jak ktoś, kto ma to pod kontrolą i robił to setki razy z mnóstwem kobiet. To brzmi jak ktoś, kto *pierwszy raz* naprawdę czuje. Kręci mu się w głowie. Wszystko wiruje, pulsuje, traci ostrość. Opada na nią ciężko zupełnie tracąc panowanie nad mięśniami, jakby ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Jeszcze przez chwilę jest w niej, całując cicho jej kark, oddychając szybko, nieregularnie. Dopiero po kilku długich sekundach przekręca się obok i milknie.

– Ale to niemożliwe – mruczy Rose, nie mogąc dość do siebie po tym, co się wydarzyło.

– Co niemożliwe?

– Znowu to samo.

Ville przeciąga się leniwie. Jego włosy opadają na policzek Rose, muskając jej skórę.

– Na kolejny orgazm musisz chwilę poczekać – rzuca beznamyślnie. – Potrzebuję momentu.

Dziewczyna odwraca głowę w jego stronę, otwiera lekko usta i wreszcie pyta:

– Co? To tak można?

– A to w Bristolu nie można? – rzuca bezczelnie patrząc jak dziewczyna chowa głowę w poduszkę.

Nie będzie udawał, że lekkie szczypanie jej słów go nie bawi, więc dodaje z teatralnym przeciągnięciem:

– Uuu... No nie każdy może. Ja akurat mogę dwa, trzy razy. Spokojnie – mówi, jakby podawał statystyki z turnieju szachowego.

Dziewczyna otwiera usta, zdezorientowana, zmieszana... i chyba trochę zachwycona.

On przyciąga ją do siebie, splata nogi z jej nogami i zamyka oczy. W tle sączy się muzyka – cicho, dyskretnie, jakby w idealnej synchronii z ich ciałami. Jeszcze rozgrzanymi. Jeszcze drgającymi. A kiedy Rose znowu kładzie głowę na jego piersi, myśli tylko: *Szkoda, że to tylko jedna noc.*

Po wspólnej nocy z Rose, Ville budzi się pierwszy. Przez moment leży nieruchomo, próbując zrozumieć, czy to już południe, czy dopiero świta. Pokój jest półciemny, za zasłoną widać tylko nikle światło poranka. Chce mu się pić, jak zawsze sięga po butelkę z wodą, która stoi na nocnym stoliku. Zwykła – z kilkoma listkami mięty. Jego codzienny rytuał. Odkręca zakrętkę i pije łąpczywie, niemal połowę, jakby to miało go uratować przed czymś. Oparcie butelki o wargi to pierwsza myśl każdego poranka. Dopiero potem przychodzi reszta. Czuje ciepło obok siebie, to ramię Rose, delikatne, wtulone w poduszkę. Dziewczyna porusza się lekko, otwiera oczy, widzi go i nie mówi nic. Sięga po butelkę, upija kilka łyków. Patrzą na siebie, a ich uśmiechy są miękkie, zmęczone, ale prawdziwe. Jeszcze nie ma napięcia, jeszcze trwa to, co wydarzyło się w nocy. Nagle rozlega się dźwięk, bezwzględny, ostry, wdzierający się między ich ciała – budzik. Jakby rzeczywistość właśnie przypomniała o sobie. Ville się krzywi, Rose mruczy cicho. Zanim któreś wstanie, dziewczyna przytula się do niego mocno. Obejmuje go ramieniem i nogą, wtula twarz w jego szyję.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – szepcze z uśmiechem.

– Dziękuję... Choć najlepszy prezent już dostałem.

Całuje ją w czoło, delikatnie, z wdzięcznością, bez pośpiechu. Jeszcze przez chwilę leżą spleceni, oddech przy oddechu. W końcu Ville podnosi się na łokciu i przez moment patrzy na Rose, która przymknęła oczy, ale wciąż się uśmiecha – doskonale wiedząc, że jest obserwowana.

– Ty to taka dziewica jesteś, co?

– W sumie... to tak. – odpowiada nawet nie próbując się tłumaczyć. – Którym byłam numerem Libertyna? – pyta, pochylając się nad nim lekko.

– Szczęśliwym – odpowiada bez wahania.

Ale Rose przygląda mu się zbyt uważnie, żeby ta odpowiedź ją zadowoliła. Przekrzywia głowę, wciąż czekając.

– Uważasz, że liczę?

– A nie? – rzuca ostro, bez cienia rozbawienia.

– No cóż, liczyłem w liceum. I jeszcze do drugiej trasy koncertowej – odpowiada niechętnie.

Jednak Rose nie odpuszcza, pochyla się nad nim i przygląda się jemu z coraz większą irytacją. Libertyn krzywi się lekko próbując się znowu wymigać, ale jej spojrzenie nie daje mu wyjścia.

– No dobra... przyjmij... trzydzieści w roku. W trasie – jednorazowo. Stacjonarnie – bardziej stacjonarnie. Czasem po dwie, czasem po trzy... sama wiesz, jak ze mną jest.

– Czyli jeśli przyjmę ze sto kobiecych ciał, to niewiele się pomylę?

Gdy widzi, że Ville potakuje próbując ukryć uśmiech, postanawia zapytać śmieiej:

– To opowiedz coś o liceum, skoro już wtedy liczyłeś, ile ich było – pyta z ironią w głosie.

– W liceum to było... eee... kilkanaście.

Rose otwiera szeroko oczy.

– No tak. Przecież każdy nastolatek co miesiąc sypia z inną – mówi rozkładając bezradnie ręce na boki.

– Bez przesady – oburza się – miałem zespół. Byliśmy rozchwytywani na szkolnych potańcówkach i festynach miejskich, a w wakacje zdarzało się jeździć z ojcem w trasie.

Dziewczyna uśmiecha się zawadiacko, bo ewidentnie temat liceum ją zaciekawił. Wie, że Libertyn był w placówce o charakterze wojskowym, a jednak stał się tam gwiazdą podziwianą przez całą szkołę i okolice. Jego legenda krąży do dziś, mimo upływu już ładnych kilku lat.

– Opowiedz mi o swojej szkole w Liverpoolu, jestem ciekawa.

– Trafiłem do tej szkoły na ostatnie lata podstawówki, a później do liceum – zaczyna, zerkając na zegarek i stwierdzając, że ma czas na dłuższe wspomnienia.

Szkoła, do której trafił niespełna czternastoletni Ville, nie była typową akademią wojskową, jaką można by sobie wyobrazić. Nie była instytucją nastawioną na ścisłą musztrę i bezlitosne wymagania, lecz raczej unikalnym połączeniem dyscypliny i swobody. Dyrektor z rozmysłem przyjmował do niej uczniów krnąbrnych, buntowników – takich, którzy w innych placówkach mieliby łatkę „problematycznych”.

Tutaj liczyło się coś innego: czy młody człowiek miał talent, który można było wykorzystać na zewnątrz. Im bardziej ktoś się angażował i reprezentował szkołę, tym więcej otrzymywał przywilejów i swobody. Była to surowa, ale zarazem niezwykle pragmatyczna filozofia.

Mia długo się wahała, zanim podjęła decyzję o przeniesieniu Villego. Dyskutowała z Ramim wiele wieczorów, analizowała wszystkie za i przeciw. Chciała dla swoich dzieci najlepszego wykształcenia, a jednocześnie wiedziała, że jej syn nie jest chłopcem, którego można zamknąć w prostych ramach.

Już od najmłodszych lat Ville wyróżniał się na tle rówieśników. Zawsze błyszczał z matematyki – brał udział w olimpiadach, zdobywał nagrody, a w Helsinkach znalazł się w gronie najlepszych. Do tego dochodził sport: najpierw siatkówka, gdzie pełnił rolę głównego rozgrywającego, później badminton, w którym szybko się odnalazł. Na akademiach grywał na fortepianie; mając słuch absolutny, grał bez nut, ale zawsze w słuchawkach, traktując je jak element wizerunku.

A jednak wszystkie te talenty rozwijał wybiórczo. Interesowało go coś? Potrafił w tydzień przyswoić sporą wiedzę. Nie interesowało? Spał na lekcjach z głową opartą na dłoni. Tak właśnie wyglądała cała jego podstawówka.

Mia często mawiała: „Nie chcę samych celujących. Chcę, żebyś zdawał i miał swoje pasje.” Tego od niego wymagała – nie systematycznej perfekcji, lecz ognia w oczach, kiedy odkrywał coś, co go pochłaniało.

Z czasem jednak zaczęły się pojawiać problemy. Elitarna prywatna szkoła w Helsinkach miała swoje ograniczenia. Wyniki były priorytetem, nie rozwijanie talentów. Do tego Ville – przez spanie na lekcjach czy ignorowanie stroju galowego – łądował w jednej kategorii z uczniami, którzy palili papierosy i wdawali się w bójki. A przecież nie miał z tym nic wspólnego. Jego „nagane zachowanie” sprowadzało się do braku zainteresowania i życia we własnym świecie.

Najbardziej martwiło Mię to, że syn był samotnikiem. Słuchawki na uszach, zamknięty w sobie, nie miał przyjaciół, nikogo nie zapraszał do domu. To nie była nieśmiałość – to była nuda. Bo kiedy po lekcjach wracał do Rianhouse, tam zaczynało się jego prawdziwe życie. Rezydencję wypełniały dźwięki gitar, perkusji, rozmowy muzyków, producentów i techników. Czasem spędzał czas z dziećmi tych ludzi – równie zwariowanymi i nietuzinkowymi jak ich rodzice.

Do tego wszystkiego Mia dbała o to, by Ville i Emma mieli bliski kontakt z ojcem. Gdy tylko nadarzała się okazja, zabierała ich ze sobą i jechali do Ramiego – choćby na trochę, choćby na weekend. Dzięki temu Ville znał backstage, scenę i ludzi z branży. Tam czuł się jak ryba w wodzie, dlatego szkolne życie wydawało mu się blade i niewarte zachodu.

Mia chciała to zmienić. Internat z wojskową dyscypliną miał go oderwać od dorosłego świata muzyki i zmusić, by zaczął budować własny – od zera. Był jeszcze jeden powód, o którym dyskutowała z Ramim: przyszłość. Jeśli kiedykolwiek Ville miał na poważnie zająć się muzyką, lepiej było wystartować z Wielkiej Brytanii – rynku globalnego – niż z małej Finlandii. Tak padła propozycja szkoły w Liverpoolu – St. John's Military Academy.

Początkowo Ville oczywiście się zbuntował. Ale pojechał z Mią na dzień otwarty. Rozmowy z uczniami były dla niego bardziej przekonujące niż wszystkie argumenty rodziców.

– Jeśli jesteś dobry z matmy, masz szansę zabłyszczeć u wice dyrektora. Jak cię polubi, masz z górki, ale facet jest straszny – tłumaczył jeden ze starszych uczniów.

– Warto wejść do jakiejś sekcji sportowej. Jak reprezentujesz szkołę, to oni przymykają oko, gdy ty przymkniesz na chwilę oczy na lekcji – dodała uczennica z klasy wyżej.

– Oni mają świra na punkcie żeglarstwa. Spróbuj się wbić do klubu, będziesz zwolniony z porannej zaprawy – rzucił ktoś obok.

Ville znał żeglarstwo od dziecka. Mieszkając nad Zatoką Helsińską, pływał od szóstego roku życia, a pasję podsycał w nim ojciec.

Uczniowie wspomnieli też, że w szkole są dwa zespoły hip-hopowe, a dyrektor jest fanem rocka. To wystarczyło. Wyjechał do Liverpoolu z konkretnym planem. Bez tracenia czasu na przyjaźnie i wzajemne poznawanie się z klasą od razu postanowił działać. Wiedział, że im szybciej zacznie aktywności, tym szybciej nauczyciele mu odpuszczą.

Już na pierwszej lekcji zaimponował srogiemu matematykowi, który zaproponował mu indywidualny tok nauczania. Po krótkim teście na wodzie dostał się do klubu żeglarskiego, a z nauczycielem muzyki szybko doszedł do porozumienia w sprawie fortepianu i występów na akademiach. Nie dostał się jednak do drużyny siatkówki. Skład był pełny ale założył sekcję badmintonu. Dzięki temu od pierwszych tygodni miał z górki – poza obowiązkowym mundurem niewiele go denerwowało.

Młody Ville szybko odkrył w sobie kolejną pasję – bakterie, wirusy i choroby. Czytał, doskonalił się i wciągał w temat tak bardzo, że odbiło się to echem w całej szkole.

– Rian – zaczął nauczyciel muzyki – oprócz koncertów powinieneś przygotować referat albo prezentację. Muszę mieć podkładkę, żeby wystawić ci ocenę celującą. Napisz mi coś o jednym ze znanych kompozytorów: Bachu, Chopinie, Vivaldim.

I tak powstała prezentacja zatytułowana *Chopin i gruźlica*. Najpierw Ville opowiadał o życiu i twórczości kompozytora. Klasa niemal zasypiała, nauczyciel spoglądał znad biurka z rezygnacją. A potem nastąpił zwrot. Ville przeszedł do drugiej części: dlaczego Chopin zmarł, jakie były metody leczenia gruźlicy, jak wyglądały statystyki choroby, a nawet jak prezentują się zdjęcia płuc. Mówił z pasją, pewnie niczym ekspert. Sala ożyła – niektórzy odwracali wzrok od fotografii, inni szeptali coś do siebie, ale wszyscy słuchali. Nauczyciel westchnął i kiwnął głową. Ocena była wysoka, choć połowa materiału wykraczała poza temat.

O referatach, które zawsze kończyły się opowieściami o chorobach, zrobiło się głośno w całej szkole. Już w pierwszym semestrze dostał przydomek, który miał zostać z nim na długo: Profesor Wirus. Ville był głównym tematem rozmów wśród uczniów i nauczycieli. Matematyk, nauczycielka od biologii oraz opiekunowie sekcji sportowej byli zadowoleni z postępów. Twierdzili też, że oficjalnie mają do czynienia z geniuszem, a nieoficjalnie – z uczniem, którego pasje przyprawiały o ból głowy.

Ville przerywa na chwilę swoją historię, upija kilka łyków wody.

– Kiedy już ogarnąłem, co i jak, poszedłem do dyrektora poprosić o pozwolenie na założenie zespołu szkolnego. Zgodził się, ale muzyków musiałem znaleźć sam.

– Pierwszy zespół... – Rose smakuje każde słowo, patrząc na niego z zaciekawieniem. – To musiało być coś niezwykłego.

Libertyn uśmiecha się podstępnie, wtula się w nią mocniej i kontynuuje opowieść.

Ville zebrał gitarzystę, perkusistę i basistę. Grali covery, czasem coś zmieniali, przyspieszali tempo, bawili się muzyką.

– No to mamy zespół rockowy – cieszył się dyrektor, obserwując ich kolejną próbę. – St. John's Rock Band – dodał z uśmiechem.

– Echo of Liberty. Tak się nazywamy – zaprotestował czternastoletni Ville.

Dyrektor spojrział na niego z politowaniem i wyszedł, ale nazwa została.

Swój sceniczny wizerunek kształtował od pierwszego występu, łącząc nowoczesność – sprane jeansy i czarną koszulę rozpiętą na trzy guziki – z melancholijnym stylem własnego ojca: idealną fryzurą i ciężką srebrną biżuterią, podkradzoną z szuflady Ramiego tuż przed wyjazdem z Helsinek.

Ville i Echo of Liberty szybko stali się najpopularniejsi w internacie, a pierwszy pocałunek przyszedł niedługo później, na koncercie w zaprzyjaźnionej szkole. Po zejściu ze sceny podeszła do niego szesnastoletnia brunetka i jakby nigdy nic dała mu buziaka w policzek. Po chwili oboje stali pod ścianą, całując się długo, a reszta zespołu wymieniała tylko porozumiewawcze spojrzenia.

Plotki wróciły z nimi do internatu szybciej niż autobus szkolny.

– I jak było? – pytali koledzy z klasy, przestępując z nogi na nogę.

– Mokra – odpowiedział, wzruszając ramionami, po czym założył słuchawki i odciął się od świata.

Od tamtej pory dziewczyny patrzyły na niego inaczej – jak na gwiazdę rocka, z którą trzeba się choć raz pocałować. Chętnych koleżanek na obściskiwanie się w krzakach czy pod schodami nie brakowało, zresztą reszta kapeli też na tym korzystała.

Ville, oprócz sukcesów zespołu, dalej rozwijał swoje umiejętności fortepianowe i matematyczne, startował w zawodach badmintona i regatach – czasem wygrywał, czasem plasował się wysoko w stawce. Ale Profesor Wirus miał też swoje pięty achillesowe. I to właśnie one stały się źródłem legend i anegdot krążących po internacie.

Pierwszą słabą stroną była nauka gotowania. Kiedy na zajęciach siedział pochylony nad obieraniem ziemniaków, burcząc coś o losie upadłego arystokraty, zaciął się obieraczką.

– Kurwa mać! – wykrzyknął.

A gdy pojawiła się krew na palcu, po prostu zemdłał. Nauczycielka przeraziła się, gdy osunął się bezwładnie na podłogę. Kilka dziewczyn podbiegło, żeby go ocucić, a reszta parsknęła śmiechem, bo Profesor Wirus – znany z wykładów o chorobach – nie miał problemu z opisywaniem objawów trądu, choroby popromiennej czy cholery, a został pokonany przez własną krew.

Drugim problematycznym przedmiotem okazał się warsztat techniczny.

– Kurwa mać! – rozległo się głośno, gdy przywalił młotkiem w palec zamiast w gwóźdź.

Uczniowie ryknęli śmiechem, nauczyciel westchnął i podał mu okład z lodu, mruczając coś pod nosem. Ale to był dopiero początek, bo na kolejnych zajęciach Ville zgubił wiertło, które potoczyło się prosto w kratkę w podłodze, a chwilę później został znokautowany przez deskę, źle osadzoną w imadle.

– Rian, masz zakaz używania narzędzi. Zrób mi prezentację o wiertłach. Ma być ciekawie – powiedział nauczyciel, próbując ukryć uśmiech.

I Ville zrobił ją oczywiście po swojemu. Dwudziestominutowa prezentacja o wiertłach chirurgicznych, ze zdjęciami czaszek i śrub łączących kości, doprowadziła nauczyciela do łez – tym razem nie z rozpaczy, lecz z mieszanki śmiechu i przerażenia.

Kolejnym niepowodzeniem okazały się zajęcia z musztry, bo zawsze obracał się w złą stronę.

– Lewo zwrot! – padała komenda, a on skręcał w prawo i na odwrót.

Na początku karano go serią pompek, ale po trzecim razie nauczyciel odpuścił, machając ręką z rezygnacją. Niedługo później bieg na orientację pokonał młodego Riana zupełnie – gubił się w lesie, przegapił punkty i wracał na metę dziesięć minut po czasie, zziębnięty i wściekły.

Ostatecznie jednak zajęcia wojskowe nie skończyły się całkowitą tragedią, bo ratowało go strzelanie. Na szkolnej strzelnicy celował pewnie, trafiał niemal zawsze i patrzył na tarcze z satysfakcją, której nie potrafił ukryć.

Libertyn zatrzymuje się w swojej opowieści i wtula mocniej w Rose.

– Strzelanie... To zawsze mi wychodziło. No i sztuki walki.

– No tak, jesteś niski i zwinny, ciężko cię dopaść. A kiedy zainteresowałeś się akrobatyką?

On tylko parska śmiechem i kontynuuje:

To była historia jeszcze dziwniejsza. Z racji sportowych sukcesów Ville miał zwolnienie z wychowania fizycznego, ale obowiązkowo musiał pojawić się na pierwszych zajęciach w semestrze. Traf chciał, że padło na piłkę nożną – której chłopak nienawidził z całego serca.

Trener, wiedząc o tym doskonale, złośliwie nakazał mu wejść na boisko w środku meczu. Kiedy koledzy podali mu piłkę, Ville spojrzął tylko na sześciu biegnących w jego stronę zawodników... i po prostu zostawił piłkę, uciekając jak najdalej.

Trybuny zaniósł się śmiechem, nauczyciel złapał się za głowę, a Ville zszedł z boiska z kamienną miną. Zamiast jednak usiąść na ławce, podszedł do cheerleaderek tańczących układ i jakby nigdy nic dołączył do nich. Najpierw ku rozbawieniu chłopaków, później ku zaskoczeniu samego nauczyciela.

Ostatecznie został w drużynie, a występując ze swoją grupą przed meczami koszykówki i piłki nożnej, stał się na boisku atrakcją samą w sobie.

Rok później młody Rian nie zamierzał zwalniać tempa. Popularność Echo of Liberty rosła, koncertowali już nie tylko na szkolnych imprezach, ale także na festynach w pobliskich miastach. Ville coraz śmieiej budował swój wizerunek: czarne paznokcie, kolczyki w uszach, czasem delikatny makijaż. Do tego rozpięta czarna koszula, przetarte jeansy i obowiązkowe bransoletki – znak rozpoznawczy, który dziewczyny uwielbiały.

Plotki o jego życiu prywatnym rozchodziły się jeszcze szybciej niż muzyka. Już nie tylko całował się w krzakach i pod ścianami sal gimnastycznych – teraz mówiło się, że poszedł już krok dalej. Pogłoski o jego „doświadczeniach” ze starszą dziewczyną dołały oliwy do ognia. Dziewczyny ustawiały się w kolejce, dosłownie. Na szkolnych dyskotekach pod ścianą Ville całował się z jedną, a obok dwie inne czekały, aż skończy. Pokój 105, który dzielił z gitarzystą, stał się legendą internatu. Śmiechy, szepty, chichoty dziewczyn – wieczorami echo niosło się korytarzem. Każdy wiedział, że jeśli ktoś szuka Villego, znajdzie go właśnie tam.

W radzie pedagogicznej wrzało. Jedni nauczyciele chwalili go za wyniki w nauce i sporcie. Inni z uznaniem kiwali głową, gdy grał na akademiach. Ale pojawiały się też głosy niepokoju.

– My się tu męczymy, uczymy, wygrywamy medale i nic, a on pomaluje paznokcie i wszystkie dziewczyny za nim latają – narzekali chłopcy na korytarzach.

– My układamy własne teksty, freestyle, a ci z Echo of Liberty tylko odtwarzają cudze kawałki, a i tak są na topie – warczeli zazdrośnie hip-hopowcy.

Pewnego razu jedna z dziewczyn z pobliskiej szkoły, którą Ville odrzucił, nazwała go Libertynem. Zrobiła to z bólem i zazdrością, ale on tylko uniósł brwi i uśmiechnął się lekko, jakby właśnie otrzymał tytuł honorowy. Był z tego dumny.

Od tamtej pory, ilekroć ktoś próbował użyć tego przezwiska jako przytyku, on tylko chichotał pod nosem. Wiedział, że Libertyn działa na jego korzyść – zamiast go ośmieszać, budował aurę tajemniczości i niedostępności, która przyciągała dziewczyny. Libertyn był dla każdej, a jednocześnie nie należał do żadnej.

Ville zerka na zegarek, znowu bierze łyk wody z cytryną, podaje butelkę Rose.

– Ale to nie wszystko – mówi. – Chciałem nowych doświadczeń, zacząłem kręcić z chłopakami. W szkole była wielka wrzawa – dodaje, bawiąc się pierścionkiem Rose. – Widzieli mnie, jak całowałem się z dwa lata starszym studentem architektury. Oczywiście nie obyło się bez wyzwick, ale miałem to w poważaniu. W końcu byłem Rathore Rian – mogli mnie cmoknąć.

Uśmiecha się z satysfakcją, doskonale świadomy swojego pochodzenia.

– Związek z tym chłopakiem nie trwał długo. Nie jestem przecież homoseksualny – chodziło wtedy o nowe doświadczenia, szukanie swojego „ja”. Jakiś czas później – dodaje Libertyn – wróciłem do luźnych relacji z dziewczynami, ale wcześniej postanowiłem się jeszcze trochę zabawić...

Po jednym z treningów piłki nożnej, kiedy zawodnicy wychodzili z szatni, Ville stanął naprzeciw nich z zawadiackim uśmieszkiem. Najpierw puścił oczko do jednego, potem oblizał wargę, patrząc wyzywająco na drugiego. Wśród chłopaków zapanowała konsternacja. Kilku roześmiało się nerwowo, inni spojrzeli na siebie niepewnie.

Podobne sytuacje powtarzały się jeszcze kilka razy, aż w końcu zawodnicy poskarżyli się trenerowi. Ten jednak tylko wzruszył ramionami i nakazał by byli bardziej asertywni.

Kilka dni później Ville przebił wszystko. Wchodząc pewnym krokiem do garderoby drużyny piłkarskiej, rzucił z uśmiechem:

– No, chłopcy, który pójdzie ze mną na randkę? – zrobił krótką pauzę, jakby dla efektu. – Do kina.

Zapadła cisza, a potem w szatni wybuchły szept, śmiechy i gwizdy.

– On serio? – syknął jeden z zawodników.

– Temu już się kompletnie w głowie pomieszało... – mruknął drugi.

– Zapraszam, popcorn, cola i podwózka limuzyną na mój koszt... – dorzucił Ville, testując ich reakcje.

– Ty jesteś nienormalny, Rian – prychnął piłkarz, zakładając koszulkę.

– Spadaj, geju! – dodał drugi, przewracając oczami.

– Weź się ogarnij, nikt tu z tobą nie pójdzie – rzucił trzeci.

Ville tylko parsknął śmiechem, pokręcił głową i, wychodząc z szatni, rzucił:

– Frajerzy.

Na korytarzu założył słuchawki i ruszył, jak gdyby nigdy nic, zostawiając piłkarzy z otwartymi ustami.

Libertyn patrzy wymownie na Rose, a w jego oczach błyska rozbawienie.

– To był mój najlepszy numer. Bo do tego kina pojechałem limuzyną z sześcioma koleżankami... Nawet nie wiesz, jaka była burza w szkole.

Rose wybuchła śmiechem, a on chichocze razem z nią przez chwilę. Potem nagle kładzie się na plecach, a uśmiech znika z jego twarzy.

– No i... – zaczyna ciszej, z powagą w głosie. – Wszystko zaczęło się kończyć. Nadszedł pierwszy lockdown. Zespół zawiesił działalność, zawody sportowe odwołano. Nagle zrobiło się pusto. Siedziałem w domu, a w głowie zaczęły samoistnie kiełkować pierwsze piosenki. Setki słów, dziesiątki wersów, linie melodyjne, które rodziły się mimowolnie... – głos mu lekko drży, ale mówi dalej. – A tuż przed wakacjami dowiedziałem się, że miała urodzić mi się córka.

Zapada krótka cisza. Rose delikatnie przesuwając dłoń po jego ramieniu, ale on zdaje się tego nie zauważać.

– Rodziców nie było w domu. Mama w Indiach, ojciec w trasie. To Emma pierwsza zauważyła, że dzieje się ze mną coś złego – uśmiecha się smutno. – Miała rację. Poinformowała rodziców, a ja już wtedy borykałem się z psychicznym rozbiem i początkiem bulimii. Nie chcę opowiadać ci szczegółów – ani o zdrowiu, ani o moich początkach z Amidalą. Nie jestem na to gotowy.

Rose kiwa głową, rozumiejąc, że dla szesnastoletniego Villego świadomość, że zostanie ojcem, musiała być doświadczeniem granicznym.

Mia nie czekała ani dnia dłużej. Wróciła natychmiast, gdy dostała od Emmy wiadomość, że syn zamknął się w sobie – a niedługo później dowiedziała się, dlaczego. Dziewczyna, z którą był przelotnie związany, była w ósmym miesiącu ciąży.

Mia nie potrzebowała ani pytań, ani słów. Wystarczyło jedno spojrzenie na syna, by zrozumiała, że wszystko pękło.

Ville trafił do terapeuty i dietetyka, a już w lipcu urodziła się Amidala. Po przebytej terapii i pierwszych tygodniach z córką lekarz uznał, że nie powinien być dłużej odrywany od rówieśników.

Mia umówiła się z dyrektorem. W jego gabinecie mówiła bez dramatów, ale ciężar jej słów wisiał w powietrzu. Powiedziała prawdę: że jej syn leczy się psychiatrycznie, że ma zaburzenia odżywiania, że jest po kryzysie, ale pracuje z terapeutami.

Dyrektor słuchał w milczeniu. To nie był pierwszy raz, gdy miał ucznia „z problemami”, ale wiedział, że tu chodzi o coś więcej – o wrażliwego, kruchego chłopaka i jednocześnie ogromny talent, który już zaczynał błyszczeć. Po chwili namysłu skinął głową. Zgodził się na jego powrót. Zobowiązał się do dyskrecji i uważnej obserwacji.

Rianowie stworzyli własną narrację – nikt poza najbliższymi i przyjaciółmi nie wiedział, że Ville został ojcem.

Kiedy wrócił do szkoły na ostatni rok, Echo of Liberty już nie istniało. Basista i perkusista skończyli edukację i poszli w swoją stronę, a Ville nie widział sensu, by to ciągnąć ani szukać nowych muzyków. Przerzucił się więc na coś innego – fortepian i śpiew. To również budziło entuzjazm. Wieczorami siadał w sali wspólnej i grał dla całego internatu, a nocami pisał własne utwory, własne melodie i własną muzykę.

Ville przeciąga się lekko, układając się wygodniej.

– I znowu przyszedł lockdown. Wróciłem do domu, uczyłem się zdalnie i skończyłem szkołę. Opiekowałem się córką, komponowałem i...

– I powstał Liberty Fade – wtrąca Rose z ciepłym uśmiechem.

– Tak. Tak właśnie było – przytakuje cicho i, całując ją w czoło, podnosi się z łóżka.

Wstaje, zgarnia z podłogi koszulkę i rusza w stronę garderoby, nie oglądając się za siebie. Ona zostaje jeszcze przez chwilę. Leży nieruchomo, patrząc w sufit, układa dane w głowie, jakby tworzyła algorytm – na chłodno, bez emocji. Gdy budzik pika po raz kolejny, podnosi się z łóżka, narzuca na siebie bluzę i wychodzi z pokoju.

Na korytarzu wpada na Emmę, która właśnie otwiera drzwi do swojej sypialni. W jednej ręce trzyma filiżankę espresso, w drugiej telefon. Jej twarz rozjaśnia znajomy uśmiech – nieco ironiczny, nieco złośliwy.

– Czyżby nasza kochana pani informatyk tym razem nie spała sama? – rzuca z rozbawieniem.

Rose nie wierzy. Pałac jest ogromny. Emma i Robert mają apartament w Londynie i spędzają tam większość czasu. A teraz, akurat teraz, kiedy wychodzi z sypialni Villego, musi wpaść na jego siostrę.

– Uczyliśmy się programowania – odpowiada sucho, bez mrugnięcia okiem.

Mija Emmę i kieruje się w stronę części gościnnej pałacu, zostawiając ją z uniesioną brwią i wyraźną konsternacją. Rose już wie, że w ekipie Liberty Fade, gdzie otwarte związki są normą, nikt nie zostawi tego bez komentarza.

Rozdział 9

Wielokąty i inne dziwne propozycje

Po całym dniu spędzonym w RRstudio na spotkaniu z działem finansowym i długich rozmowach z księgową, Ville wraca do pałacu, kieruje się prosto do sypialni, nie zatrzymując się po drodze. Ma ochotę choć na chwilę się położyć.

Ledwie przekracza próg, niemal bezgłośnie wpada za nim Rose. Jej policzki są zaróżowione, włosy w lekkim nieładzie, a oddech odrobinę zbyt szybki. Łapie go za rękę i jednym, zdecydowanym ruchem wpycha do środka.

– Potrzebuję przysługi – rzuca od razu.

Ville opiera się plecami o drzwi, spoglądając na nią z rozbawieniem.

– Spokojnie. W nocy zrobiłem ci trzy.

Rose prychna cicho, uśmiechając się nieszczerze. Jej twarz robi się jeszcze bardziej czerwona.

– Nie o to chodzi. Znaczący... też o to – poprawia się, wplatając dłonie w rękawy bluzy. – Chodzi mi o praktykę.

– Słucham?

– No... chcę zdobyć doświadczenie. Chcę się czegoś nauczyć, zanim znowu wejdę na rynek matrymonialny – mówi, zerkając na niego ukradkiem, jakby sama do końca nie wierzyła, że wypowiada te słowa na głos.

– I co ja mam z tym wspólnego?

– Będziesz moim nauczycielem – rzuca szybko. – Tylko nie odmawiaj. I tak już robię z siebie idiotkę.

– Spokojnie, Rose. Trochę mnie zaskoczyłaś...

– Dobra, to mam już to za sobą. To jak? Nauczysz mnie, żebym znowu nie palnęła: „o, to tak można?”

– Faktycznie, to było zabawne – parska pod nosem.

Podchodzi do fortepianu, jakby próbował poukładać w głowie jej słowa. Przez chwilę błędzi palcami po klawiszach.

– Ale zanim cokolwiek powiem... mam do ciebie pytanie. Interesuje cię monogamia... czy chcesz czegoś więcej?

– Eee... więcej, czyli?

– Trójkąty, kwadraty, wielokąty, czyli ogólnie kąty. Mam potrzeby – dorzuca z lekkim uśmiechem, nie do końca żartem.

– No tak, zapomniałam – przewraca oczami. – Bardziej myślałam o monogamii, ale... hmm... – macha ręką. – A co mi tam. Mogę spróbować tego trójkąta. Ale może nie tak od razu. Ufam ci – dodaje niemal szeptem.

– Okej – ciągnie powoli. – Skoro tak do tego podchodzisz... zobaczymy, czy faktycznie chcesz tych kątów.

– Co masz na myśli?

– Przejdiesz dziś próbę basu – szepcze, przyciągając ją do siebie.

– Okej – odpowiada natychmiast, bez wahania, a jej oczy błyszczą z podekscytowania.

Libertyn, zaskoczony jej entuzjazmem, błądzi wzrokiem po pokoju i drapie się po karku.

– No to co, piękna. Czas się szykować na wicher – a gdy widzi jej zdziwienie, szybko dodaje: – Znaczy na imprezę. No wiesz, mieszkam na prowincji.

– Oczywiście, rozumiem. A teraz zdejmuj koszulę – rzuca jeszcze rozbawiona, dobierając się do pierwszego guzika.

On otwiera szeroko oczy, chwyta za guzik i cofa się o krok.

– No chyba idziesz się kąpać? Zazwyczaj wtedy rzucasz we mnie koszulą. Może... chcesz, żebym poszła z tobą? – proponuje już zupełnie bez cienia skrępowania, patrząc na jego zdziwioną twarz.

– Z największą przyjemnością – odpowiada, podając jej rękę z teatralnym ukłonem.

I wychodzą razem. Bo czas się zacząć uczyć, cokolwiek to znaczy.

Kilka godzin później Ville, Rose i Thomas zbierają się do wyjścia na imprezę. To urodziny, Libertyna, na które ekipa szykowała się od dłuższego czasu. Już niemal wychodzą, gdy Rose zatrzymuje Villego w holu głównym.

– Mój prezent dla ciebie. Daję ci go teraz – mówi, wciskając mu w dłoń prostokątny pakunek.

– Wiesz, że nie musiałaś, nie oczekuję podarunków – odpowiada, a zaraz potem jak dzieciak rozdziera papier.

– WOW, nie wierzę, jest zaje...bista! Rose, mega dzięki! – aż podskakuje, obracając ją w palcach.

To czarna, matowa laska, ciężka, z rzeźbioną srebrzystą czaszką na szczycie. Puste oczodoły błyszczą złowrogo w świetle lampy. Echo, leżąca obok na dywanie, nagle podrywa głowę i zaczyna szczeekać na czaszkę, jakby wyczuła coś niepokojącego.

– Cicho, pies śpi – Ville wydaje komendę, po czym śmieje się, unosząc laskę jak miecz.

– Naprawdę ci się podoba?

– Jest super. Będę miał na występy – mówi i całuje ją szybko w policzek.

– Podobny do Williama z Helsinek – mruczy Thomas podchodząc bliżej.

– Nazwę go William Junior – odpowiada Ville bez wahania, puszczając Rose oczko. Jej mina zdradza kompletne zaskoczenie.

– O Williamie opowiem ci w drodze do klubu. A teraz chodźmy, bo Echo zaraz pogryzie mojego nowego przyjaciela.

The Vinyl Den wypełnia się tłumem – przyjaciele, znajomi, kilka osób z Grupy Cieni. Śmiech i rozmowy zapowiadają długą noc. Na parkiecie atmosfera gęstnieje, światła pulsują, a hip-hop rozlewa się po sali.

Rose wiruje w tłumie dziewczyn, włosy podskakują w rytmie, sukienka odsłania plecy, a błysk w oczach zdradza czystą radość. Wokół niej wrze, ale nagle tempo imprezy zwalnia, jakby świat zatrzymał się na jednym, głębokim uderzeniu basu.

Ville odrywa się od grupy ludzi składających mu życzenia. Toasty, prezenty, przyjaciele – wszystko blednie, gdy jego wzrok zatrzymuje się na Rose. Mała czarna, taniec, jej ciało pulsujące w rytmie przyciąga go bardziej niż cokolwiek innego.

Spogląda na Thomasa stojącego nieopodal. Ich spojrzenia spotykają się na sekundę. Wystarcza lekkie skinienie głową – znak, że czas.

Thomas wślizguje się w tłum i już po chwili jest przy Rose. Jego dłoń opada na jej talię, spojrzenie wbija się w jej oczy. Nie uśmiecha się, między nimi unosi się powaga i skupienie. Ona od razu wie, co się dzieje. Próba. Jeżeli pęknie i zaczną się śmiać, wszystko się rozpadnie. Musi zachować powagę, musi w to wejść.

Thomas przyciąga ją bliżej. To pierwszy raz, gdy tańczą razem, i przez krótką chwilę Rose czuje opór – obraz Villego przesuwa się w jej głowie, ten teatr, ta charyzma. Ale zaraz odpędza te myśli. Libertyn nie jest jej partnerem. Nie ma żadnego „my”. Teraz jest tylko ona i Thomas.

Postanawia się wyluzować i poddać prowadzeniu. Rytm pulsuje niczym echo w piersi – mocny, nieubłagany. Thomas prowadzi pewnie. Jego dłonie muskają talię Rose, przesuwały się wyżej, aż na linię jej szyi. Z początku dziewczyna skupia się tylko na muzyce i własnym oddechu, ale w końcu podnosi wzrok i zatrzymuje się na jego oczach. Ciemne, głębokie, zaskakująco miękkie w kontraście do dudniącego basu. Jakby pierwszy raz naprawdę go widziała – nie tylko jako przyjaciela Villego czy DJ-a zespołu, lecz jako chłopaka. Jego rysy są idealne, lekko śniada cera, pełne usta. Nie da się ukryć, że jest po prostu ładny, a w tej chwili ma w sobie coś, co przyciąga.

Dotychczas patrzyła tylko w stronę Libertyna. To on przykuwał jej uwagę, on dominował przestrzeń. Ale teraz, w świetle reflektorów i w ciężkim rytmie deep house, dostrzega w Thomasie charyzmę, której wcześniej nie widziała.

Ich taniec zwalnia, staje się cięższy, nasycony podtekstami. Rose niemal przymyka oczy, gdy jego dłoń muska jej szyję – miękki dotyk kontrastuje z mocnym beatem, który dudni w piersi.

I wtedy nagle czuje drugie ciało. Ktoś obejmuje ją od tyłu. Ciepło, znajomy zapach, ciężar dłoni na biodrach. Nie ma wątpliwości – Ville.

Trójka porusza się teraz w jednym rytmie, zsynchronizowani, jakby od dawna trenowali ten moment. Bas uderza, światła migają, a oni są w centrum wiru, Rose między nimi, prowadzona przez muzykę, która nie zostawia miejsca na oddech.

Libertyn przesuwa dłońią po jej udach, powoli, delikatnie, ledwie wyczuwalnie. Palce kierują się do wewnętrznej strony, by zaraz potem powędrować wyżej, na pośladki i talię, jakby zaznaczał każdy centymetr jej ciała.

W tym samym czasie Thomas muska palcami jej twarz i szyję. Jego dotyk jest miękki, a spojrzenie skupione wyłącznie na niej.

Ville odsuwa włosy Rose z ramion, odsłaniając kark. Jego wargi dotykają skóry – subtelnie, niemal niewyczuwalnie, zostawiając ciepłe ślady. Thomas zbliża się do jej ust, najpierw niepewnie, a potem coraz śmielej. Ich usta stykają się w długim, namiętym pocałunku, a Rose traci poczucie, że wokół istnieje ktokolwiek inny.

Nagle chłopcy zamieniają się miejscami. Teraz to Libertyn przyciąga jej twarz do swojej i całuje ją, mocno, pewnie i bez żadnego sygnału, odsuwa się od niej, a w tej samej chwili zastępuje go Thomas. Pocałunki przechodzą płynnie, jakby obaj wiedzieli dokładnie, kiedy się zmieniać.

Rose już nie wie, kto przytrzymuje ją za talię, a kto muska jej obojczyk. Dłonie, usta i dotyk spletają się w jeden wir. Zamknięte oczy odcinają ją od rzeczywistości, zostaje tylko bas, światło i ich obecność wokół niej. Wszystko zlewa się w jedną falę, która narasta w środku, mocniejsza z każdym ruchem, każdym oddechem na skórze. I nagle fala uderza. Gwałtowna. Niepowstrzymana. Zupełnie bez kontroli.

Chłopcy czują to natychmiast. Thomas unosi wzrok i patrzy wymownie na Villego. W jego spojrzeniu widać nie tylko zaskoczenie, ale i pytanie. Libertyn odpowiada bez słów – lekki grymas ust, charakterystyczna mina, która jasno oznacza: „chyba tak”.

Thomas uśmiecha się porozumiewawczo do przyjaciela, po czym delikatnie puszcza dziewczynę, zostawiając ich samych. Trwają tak jeszcze przez chwilę, gdy muzyka się zmienia. Rose podnosi wzrok i, tak jak za pierwszym razem, widzi twarz Libertyna, na której nie ma już zawadiackiego uśmiechu ani spojrzenia pełnego sekretów. Jest za to lekkość i czyste rozbawienie.

– Ślicznotko, coraz bardziej mi się to podoba, ale tak przy ludziach? – szepcze dotykając jej włosów.

Chowa twarz w jego ramieniu, a on przytula ją mocno. Gdy docierają do stolika, Rose opada ciężko na kanapę, a on całuje ją w czoło i rusza do baru, by zamówić coś na ochłodę.

Na nieszczęście podchodzą Emma i Wendy, obie z kieliszkami w dłoniach i minami aż nazbyt wymownymi. Emma zatrzymuje się tuż przed Rose, nie ma zamiaru udawać, że nie widziała, co działo się na parkiecie.

– Koleżanko, no wiesz, takie rzeczy publicznie? – rzuca z ironicznym uśmiechem, w którym pobrzmiwa więcej kpiny niż troski.

Wendy wybuchła śmiechem, siada obok i teatralnie wachluje się dłonią, jakby to ona sama potrzebowała ochłonać.

– Gorąco było nie tylko od basu.

Rose podnosi wzrok. Choć wewnętrznie czuje się zawstydzona, nie daje dziewczynom satysfakcji.

– To, koleżanki, nazywa się praca zespołowa.

– Czyli zespołowe programowanie? – parska Emma, a Wendy chichocze pod nosem, niemal opluwając kieliszek ze śmiechu.

W międzyczasie do stolika podchodzą Robert i Paul. Jeden szczyrzy się do Rose porozumiewawczo, drugi puszcza jej oczko – plotka w Liberty Fade rozchodzi się piorunem. Chłopcy przysiadają się po drugiej stronie, a z boku dołącza Thomas, patrząc na nią o wiele dłużej, niż powinien.

Chwilę później wraca Ville. Przewraca oczami, jakby cała ta scena była dla niego aż nazbyt przewidywalna, i wręcza Rose szklankę wody z cytryną i dużą ilością lodu. To wywołuje kolejną falę chichotów i docinków przy stole.

Dziewczyna bierze głęboki oddech, opiera się wygodniej o kanapę, poprawia włosy i mierzy wszystkich spokojnym wzrokiem. Z chłodną ironią rzuca:

– Jeśli chcecie, mogę wam zrobić prezentację z algorytmów. Tytuł: *Jak zsynchronizować systemy w sieci rozproszonej*.

Robert parska śmiechem, Paul kiwa głową z udawaną powagą, Wendy aż się krztusi winem, a Emma wtula się w ramię Roberta, mrużąc mu coś na ucho.

Ville wzdycha teatralnie, opiera się o oparcie kanapy, wiedząc, że od teraz żarty z „programowania zespołowego” będą chodzić za nimi miesiącami. Ale w środku coś go uderza – Rose, zamiast się spieszyć, zamiast uciec czy zamilknąć, postawiła się łożu szyderców bez cienia strachu. Nie tylko wytrzymała ich atak, ale obróciła go na własną korzyść. I to sprawia, że już teraz patrzy na nią z jeszcze większą fascynacją.

Kolejne dni mijają spokojnie, w pałacu w Rathorehouse panuje ciepła, nieco leniwa atmosfera. Emma i Robert wpadają czasem na kawę, innym razem zostają na noc, Thomas pojawia się i znika, jakby śledził własny, niewidzialny rytm. Paul i Wendy wyjechali do Japonii, mają nakręcić jakiś ciekawy materiał do kolejnego sezonu. Nikt już nie komentuje tego, że Ville i Rose spędzają ze sobą noce, ani tego, co stało się podczas próby basu. Temat wypalił się sam, a oni korzystają z tej ciszy – wieczory należą teraz do nich. Libertyn czuje się jak nauczyciel, Rose jak uważna uczennica, a zabawa w tej roli okazuje się dla obojga wciągająca, do tego stopnia, że pewnego wieczora Ville mimochodem rzuca coś o trójkacie.

– Dobrze, ale się denerwuję – przyznaje Rose, bawiąc się długopisem leżącym na jego biurku.

– To koleżanka, no nie będę ukrywał, że nigdy nic mnie z nią nie łączyło. Clara jest biseksualna, ładna i chętna.

Rose kiwa głową. Jej spojrzenie stapia się z jego, a potaknięcie jest spokojne, stanowcze. Wszystko staje się jasne, tak jakby słowa Libertyna ułożyły nowy rozdział w ich grze.

Niedługo po tej propozycji, do pałacu faktycznie przyjeżdża Clara. Libertyn przedstawia dziewczyny sobie nawzajem, a chwilę później cała trójka siedzi już w pokoju kominkowym. Ogień trzaska w palenisku, światło świec rozprasza mrok, a one śmieją się i rozmawiają swobodnie, jakby nikt nie pamiętał, po co właściwie się spotkali.

Gdy zapada późny wieczór, Ville podnosi się z fotela, a w jego ruchu widać pewność i satysfakcję.

– No dziewczyny, idziemy się wykapać. Proponuję szybki prysznic – rzuca z błyskiem w oku zapowiadając atrakcję, która dopiero nada całemu spotkaniu sens.

Clara nie protestuje. Jej spojrzenie jest spokojne, naturalne, widać w nim doświadczenie i brak skrępowania. Obraca głowę w stronę Rose, która odruchowo cofa się o krok. Wtedy Clara podchodzi bliżej, ujmuje jej dłoń i uśmiecha się lekko dodając jej odwagi i nie mija sekunda jak cała trójka idzie już do pokoju Libertyna.

Atmosfera jest gęsta, ale nie ciężka, bardziej elektryzująca, podszyta ciekawością i lekkim napięciem. Ville bez najmniejszego zawahania wskakuje pod prysznic dając w ten sposób sygnał, że nie ma tu miejsca na zbędne ceremonie. Clara rozbiera się swobodnie i po chwili dołącza do niego, a Rose zostaje przez moment nieruchoma. Patrzy na nich uważnie, jej spojrzenie nie zdradza wstydu, raczej podziw – jakby obserwowała obraz, do którego jeszcze się przyzwyczajają.

– Dobra tam, idę – mruczy pod nosem.

Jej ruch jest powolny, ale pewny. Zdejmuje sukienkę, potem bieliznę i wchodzi pod strumień wody, ustawiając się między Villego a Clarę. Krople spływają po jej ramionach, a para unosi się nad kabiną jak mgła. Libertyn, z typową dla siebie przesadną powagą, sięga po słuchawkę prysznicową i zaczyna oblewać dziewczyny wodą.

– No, trzeba was porządnie umyć – rzuca teatralnym tonem.

Clara wybuchła śmiechem i natychmiast wytrąca mu słuchawkę, rozpryskując wodę na wszystkie strony. Rose, nie chcąc pozostać w tyle, podaje jej rękę, a po chwili obie oblewają Villego, który zasłania się dramatycznie i udaje ofiarę ataku. Śmiech miesza się z pluskiem wody, a cała scena przypomina bardziej beztroską zabawę niż poważne przygotowanie do dalszej nocy. Kiedy w końcu uspokajają się, oddechy jeszcze mają szybkie, a uśmiechy nie schodzą im z twarzy. Chłopak odsuwa się lekko w bok,

siada wygodnie w rogu kabiny i obserwuje je spod przymrużonych powiek. Jego szeroki, zadowolony uśmiech zdradza, że dokładnie na taki finał liczył, nie tylko intymny, ale i pełen energii.

Clara zbliża się powoli do Rose i miękkim ruchem odgarnia mokre włosy z jej twarzy. Ona stoi nieruchomo, trochę spięta, ale nie wycofuje się. Widać, że jej serce bije szybciej, nie z zażenowania, a raczej z podziwu i ekscytacji. Clara przejmuje inicjatywę delikatnie: dotyka jej dłoni, później prowadzi ją powoli wzdłuż ramienia, jakby pokazywała kierunek. Jej ruchy są swobodne, doświadczone, a przy tym pełne ciepłości. Rozmawia bez słów, uśmiechem i gestem dając znać, że wszystko dzieje się we właściwym tempie. Rose zaczyna się rozluźniać, przechyla głowę, pozwalając, by bliskość stała się naturalna. Wreszcie obie pochylają się do pocałunku, najpierw nieśmiało, z wycuciem, a później coraz swobodniej, aż w końcu staje się on pewny, naturalny. Zanim jednak zdążą się naprawdę rozgrzać, Ville niespodziewanie wstaje i wychodzi. Strumień zimnego powietrza wpada do kabiny i oblewa dziewczynę, wywołując ich jednoczesny grymas. Wymieniają spojrzenia, a po chwili parszczą krótkim śmiechem, jakby to drobne rozproszenie tylko dodało im lekkości. Z parą unoszącą się jeszcze wokół nich, obie wychodzą z łazienki, otulone ręcznikami. Libertyn idzie pierwszy, nonszalancko poprawiając włosy. W sypialni atmosfera zmienia się od razu – półmrok, ciepłe światło lampki nocnej i rozrzucona pościel nadają wszystkiemu miękkości. Ville, bez większego zastanowienia, wskakuje w swoją piżamę i rozciąga się ziewając.

– Hej, a ty co? – pyta Rose z lekkim niedowierzaniem, kiedy zauważa jego strój.

– Bawcie się dobrze, ja popatrzę – odpowiada z szerokim uśmiechem, siadając swobodnie w fotelu.

Dziewczyny wymieniają spojrzenia. Bez wahania zsuwają się pod kołdrę, czyli tam gdzie powinien skończyć się ten wieczór. Gdy zabawa rozkręca się w najlepsze, Ville w końcu nie wytrzymuje roli obserwatora. Wstaje z fotela, prostuje się teatralnie i oznajmia z przesadną powagą:

– Widzę, że nie jestem wam potrzebny.

– Chodź tu, Libertynie, czekamy na ciebie – wtrąca Rose wesole.

– Tylko zdejmij tę piżamkę – dodaje Clara.

– Ale dzielimy się po równo – rzuca wskazując między nie.

Nad ranem budzik Clary rozdziera ciszę sypialni. Dziewczyna podrywa się z łóżka, ogarnia włosy i sukienkę po czym mówi „do zobaczenia” i wychodzi bez słowa więcej.

Szybkie pożegnanie Clary zostawia po sobie nagłą, specyficzną pustkę, którą natychmiast wypełnia spokój budzącego się świtu. Rose naciąga kołdrę wyżej, wdycha zapach skóry Villego i przez chwilę wpatruje się w jego twarz. On czując na sobie jej wzrok, uśmiecha się lekko i powoli otwiera oczy.

– No i jak? Chciałabyś to powtórzyć? – pyta muskając ustami jej ramię.

– Tak... może nie od razu, ale za jakiś czas. Czemu nie? – odpowiada spokojnie, bez pośpiechu.

Ale w jej głowie nie ma ciszy. Wszystko się miesza. Jeszcze kilka tygodni temu myślała, że zna siebie. Że wie, czego chce. Że zna granice, których nigdy nie przekroczy. Była z Erykiem, jeden chłopak i jedna relacja: wierność, stabilność, przewidywalność. Żadnych pytań. Żadnych pokus. A teraz? Po raz kolejny leży w łóżku z Ville Rianem – najbardziej pożądaną partią wśród milionów fanek. Tym razem po nocy, której żadna wersja dawnej Rose nie byłaby w stanie przewidzieć. Widział ją nagą, dotykał jej przy innej dziewczynie, dzielił z nią łóżko i dzielił ją z kimś jeszcze. Clara... Clara była jak coś z obrazu, zbyt pewna siebie, zbyt zmysłowa, by Rose mogła jej nie ulec. Dotyk innej kobiety był dziwny, obcy, ale nie

nieprzyjemny. Wręcz przeciwnie. Pierwszy trójkąt, pierwsza kobieta, pierwsze wszystko. I dziwne, jak bardzo chce więcej. Bo to nie była igraszka. To było coś... większego, silniejszego, nowego.

A Libertyn? On już dawno zakochał się w Rose. Zanim to wszystko się zaczęło, zanim pozwoliła mu się pocałować, zanim zaczęła mówić mu rzeczy, których nie mówiła nikomu. Ale teraz... teraz to uczucie staje się coraz bardziej realne i namacalne. Noc po nocy coś się w nim utrwala. Jakby każda chwila spędzona z nią dokładała cegłę do czegoś, czego nie da się już zburzyć. I właśnie to go przeraża. Bo przecież to on mówił, niedawno, niemal śmiejąc się do niej, że jego dziewczyna powinna być otwarta, spontaniczna, gotowa na eksperymenty. Że nie zadowala się normą. Że nie chce więzów, tylko ognia. I Rose... Rose to zrobiła. Nie tylko jest piękna, bystra i pewna siebie. Jest też gotowa na rzeczy, które on sam uważał za niemożliwe. Zaintrygowana, odważna, podjęła decyzję sama, nie wbrew sobie, tylko z ciekawości. A on miał plan. Miał teorię. Zbudował sobie obraz ideału, tak wyśrubowany, że miał nigdy nie istnieć. A tu nagle okazuje się, że dziewczyna spełnia każde kryterium. I to go kompletnie rozbraja. Oboje z zamyślenia wyrывa dźwięk powiadomienia, to wiadomość od Emmy.

– Dobra idziemy na dół, chcę mieć to za sobą – mruczy Ville chowając telefon do kieszeni i bierze Rose za rękę.

Ekipa Liberty Fade gromadzi się w pokoju telewizyjnym. Atmosfera jest lekko napięta, ale podszyta ekscytacją bo wszyscy czekali na ten moment. Na stoliku stoją kubki z kawą i kilka talerzyków z przekąskami, lecz nikt po nie nie sięga. Każdy wybiera sobie miejsce: Emma i Robert siadają obok siebie na kanapie, Thomas rozwała się na pufie z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie, Paul opiera się o podłokietnik, a Ville zajmuje miejsce na samym skraju, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Rose siada na dywanie blisko telewizora, a Echo kładzie się obok niej. Kiedy wszyscy milkną, Emma wyciąga rękę i wciska przycisk *play*.

Odcinek zaczyna się jak zawsze – znane logo *Liberty Fade Life* a pod nim tytuł: *Gerard*.

Ville siedzi w samochodzie na miejscu pasażera i trzyma ręczną kamerkę ustawioną na swoją twarz.

– Cześć, kochani – przeciąga samogłoski, jakby chciał podkreślić nastrój chwili. – Dziś jadę na spotkanie z moim przyjacielem Adim, który jest modelem.

Kamera przesuwana się i pokazuje drugą postać – przystojnego bruneta o ciemnych oczach i lekkim zaroście.

– Jedziemy teraz do agencji – kontynuuje – a później razem ruszamy na zamkniętą imprezę branżową, gdzie mój przyjaciel ma jakieś ważne spotkanie. To nie pierwszy raz, kiedy mu towarzyszę na takim przyjęciu.

– Libertyn świetnie wygląda i świetnie się prezentuje – wtrąca chłopak, patrząc prosto w obiektyw.

– Czyli robię za ozdobę.

Adi tylko śmieje się i wzrusza ramionami, jakby chciał przyznać mu rację. Libertyn przewraca oczami i wydaje przeciągłe westchnienie.

– Jeśli chodzi o Adiego – zaczyna znów – to znamy się od dawna. Niecałe dwa lata temu przeżywałem kolejne w życiu załamanie. Nawet nie pamiętam już, o co chodziło. Wpadłem wtedy na genialny pomysł, żeby się upić. Bo przecież to zawsze pomaga, nie?

– Wypiłeś dwie szklaneczki szkockiej, tańczyłeś na stole, a potem umierałeś dwa dni – wtrąca z poważną miną, choć oczy mu się śmieją.

Libertyn wzdycha ciężko i rozkłada ręce.

– No cóż, tak już mam. Ale do rzeczy. Adi był wtedy ze mną i... po pijaku mu się oświadczyłem.

– Nie, najpierw zwymiotowałeś mamie do kwiatków, a dopiero potem się oświadczyłeś.

Ville przewraca oczami jeszcze bardziej teatralnie, jakby chciał zatuszować wstyd.

– Tak właśnie było. Byliśmy razem miesiąc. Dużo wtedy komponowałem, co nieco przyspieszyło premierę drugiego krążka.

– Może powiesz dlaczego...

– Siedziałem przy fortepianie do późna, spałem na podłodze, bo Adi spał w moim łóżku – tłumaczy Ville, krzywiąc się lekko. – Wiecie, ja przeciwko buziaczkom nic nie mam, ale ogólnie mam swoje granice.

Model wybucha śmiechem i potakuje, potwierdzając każde słowo.

– A najlepsze jest to – zaczyna, wciąż ocierając łzy rozbawienia – że cały czas twierdził, że odnalazł siebie i że na pewno jest gejem. Wmawiał to sobie non stop. Wiedziałem, że to gra albo po prostu chwilowe zagubienie. Jest artystą, więc ciągle ma jakieś „odpały”. Ponieważ tak się zarzekał, że zmienił orientację, postanowiłem trochę go przycisnąć.

– Proponował mi to i owo – wtrąca Ville z wyraźnym grymasem.

– Ville to rozpustnik, wszyscy o tym wiedzą. Ma słabość do dziewczyn i żadnej nie przepuści. Postanowiłem tak działać, żeby nie sypiał z kim popadnie.

– Pilnował mnie, nie puszczał na imprezy, zakazał patrzeć na ładne tyłeczki – dodaje Ville, wyciągając dłonie w geście rozpacz.

– Oczywiście znalazł sposób. Przyłapałem go na obściskiwaniu się z dwiema dziewczynami.

– Faj! – Libertyn krzywi się teatralnie, po czym zastyga w dumnym uśmiechu.

Samochód parkuje przed budynkiem agencji. Obaj wysiadają i kierują się w stronę wejścia. Na czarnym tle pojawia się napis: „Dalsza część została nagrana wyłącznie ukrytymi kamerami”.

Chłopcy rozmawiają swobodnie przy recepcji. Adi przy ladzie odbiera dokumenty, a Ville przechadza się powoli po korytarzu, zatrzymuje się przy kilku modelkach, zagaduje je w swoim stylu – z teatralnym uśmiechem i lekkim ukłonem. One chichoczą i odpowiadają krótko.

– Muszę jeszcze iść do szefowej, to coś ważnego i niestety trochę mi zezdnie – mówi Adi lekko przytulając Villego..

– Ok, ale co dalej?

Wtedy w kadrze pojawia się starszy mężczyzna w eleganckim płaszczu, z laską w dłoni i lekko nachmurzonym spojrzeniem. Kiedy dostrzega Adiego, rozjaśnia się, uśmiecha przyjaźnie. Chłopcy witają się z nim, zaraz potem podchodzi młoda kobieta o delikatnych rysach. Cała czwórka rozmawia i ewidentnie ustala jakiś plan.

Adi zerka na zegarek i nerwowo spogląda w stronę drzwi gabinetu, gdzie czeka jego szefowa.

– To co – zwraca się do Libertyna – pojedziesz z Gerardem i jego córką, a spotkamy się na miejscu. Dotrę pewnie za godzinę.

Kamera robi zbliżenie na twarz Villego. Najpierw widać niepewność, potem wymuszony uśmiech. Nerwowo obraca pierścionek na palcu, waha się jeszcze sekundę, aż w końcu kiwa głową. Razem z mężczyzną i kobietą kieruje się w stronę czarnej limuzyny czekającej przed wejściem.

Obraz przenosi się do gabinetu Emmy w RRstudio, gdzie zespół poza swoim frontmanem siedzi na kanapie z szerokimi uśmiechami.

– To jest wkręta – zaczyna Thomas. – Chcemy pokazać Villego, który stanie się ofiarą – zawsze pewny siebie, a tym razem zdominowany.

Paul pochyla się nieco do kamery i dodaje z powagą:

– Libertyn ma zasady. Nigdy, przenigdy nie wsiada do samochodu z obcym. To dla niego święte. Ale my mieliśmy plan. Adi od tygodni podrzucał w rozmowach Gerarda, wspominał, jaki to poważny i godny zaufania starszy pan, biznesmen z branży odzieżowej. Nijaki Gerard to aktor teatralny, a kobieta grająca jego córkę to studentka Akademii Filmowej, której zadaniem było wzbudzić w Kurduplu zaufanie.

Robert trzymając dłoń Emmy dodaje z rozbawieniem:

– Wszystko poszło zgodnie z planem. Wiedzieliśmy, że Libertyn stroni od chwalenia się sukcesami muzycznymi i w relacjach do obcych jest powściągliwy. Byliśmy ciekawi, czy pęknie i wykrzyczy Gerardowi: „Jestem sławny Ville Rian, gwiazda rocka, nie potrzebuję pieniędzy!” czy jednak będzie siedział cicho.

Emma uśmiecha się szeroko i wtrąca:

– Zresztą zobaczcie sami.

Obraz przenosi się do wnętrza limuzyny, w której ukryto kamery i mikrofony. Ville i Gerard siedzą obok siebie na tylnej kanapie, szofer prowadzi spokojnie. Niedługo później, córka mężczyzny żegna się wesoło i wysiada na jednym z przystanków, zostawiając ich samych. W tym momencie zaczyna się prawdziwa akcja. Gerard opiera się wygodnie w miękkim siedzeniu limuzyny, przez chwilę milczy, jakby chciał nacieszyć się ciszą i obecnością swojego towarzysza.

– Muszę przyznać... ten garnitur leży na tobie idealnie. Czerń podkreśla twoją sylwetkę, a ta szara apaszka... hmm, rzadko spotyka się kogoś, kto potrafi ją tak nosić.

Przygląda mu się uważnie, ale ton głosu ma miękki, pozbawiony nachalności.

– Wiesz, masz w sobie coś bardzo rzadkiego. Delikatność, której nie psuje żaden przesyt i twarz stworzoną do obrazów... a przy tym oczy, które trudno zignorować. Nie jestem pewien, czy zdajesz sobie sprawę, jak działa twoja obecność na innych.

Libertyn odchrząkuje, jakby chciał kupić sobie chwilę. Poprawia mankiet marynarki spokojnym ruchem.

– Dziękuję za komplement, panie Gerardzie.

Mężczyzna uśmiecha się szerzej, przekręcając lekko łaskę w dłoniach, bawiąc się jej ciężarem.

– Ach, nie „panie Gerardzie” – mówi z łagodnym śmiechem. – Wystarczy Gerard. Formalności zostawmy tym, którzy nie potrafią prowadzić ciekawych rozmów.

Przez chwilę patrzy na Villego w milczeniu, a potem dodaje ciszej:

– Widać, że dbasz o każdy szczegół. Twój garnitur, biżuteria, nawet to, jak poprawiasz apaszkę... To wyrafinowane. Takiej dbałości nie uczy żadna szkoła. To się ma albo nie. Muszę przyznać, że dawno nie spotkałem kogoś tak... estetycznego.

Libertyn przyciska dłoń do skroni, a potem przesuwając ją wzdłuż linii włosów, poprawiając fryzurę, chociaż ta i tak leży idealnie. Bierze głęboki oddech, przygryza wargę, próbując nadać sobie powagę.

– To bardzo miłe, co mówisz....Ty też świetnie wyglądasz.

Gerard przygląda mu się uważniej, a na jego twarzy pojawia się zadowolony, niemal pobłażliwy uśmiech.

– Wiesz, chłopcze... rzadko zdarza mi się spotkać kogoś, kto łączy w sobie taką klasę i taką świeżość. Masz urok, który nie potrzebuje doświadczenia, żeby działać. Jesteś młody, piękny i nieświadomy własnej siły. A dla mnie to wiele znaczy.

Ville spogląda przez okno, wydając się być pochłoniętym mijającymi światłami ulicy. Jego oddech próbuje złapać równowagę, najpierw staje się płytszy, potem nagle głębszy, przeciągły.

– Aha – wymyka mu się cicho, niemal bezwiednie.

– Widzisz... właśnie o tym mówię – odzywa się mężczyzna niemal szeptem, ale wyraźnie. – Ten gest. Ten oddech. To jest sztuka sama w sobie.

Opiera się nieco bliżej, tak że ich ramiona prawie się stykają.

– Jesteś zbyt subtelny, żeby cię zostawić w świecie, który nie rozumie takiej delikatności. Tacy jak ty powinni być pod opieką... mieć kogoś, kto doceni każdy szczegół i sprawi, że nie będziesz musiał się bronić. Powiedz mi, czy ktoś naprawdę troszczy się o ciebie tak, jak na to zasługujesz?

– Nie do końca rozumiem, o co ci chodzi.

Gerard przygląda się, tym już coraz mniej opanowanym ruchom Villego i uśmiecha się z cieniem triumfu.

– O, rozumiesz doskonale. Tylko boisz się to przyznać. Masz twarz chłopca, którego chce się chronić... i ciało mężczyzny, którego chce się posiadać. To niezwykle połączenie.

Pochyla się bliżej, głos obniża się jeszcze bardziej, staje się intymny.

– Wyobraź sobie, że nie musisz się martwić niczym. Żadnych zobowiązań, żadnych trosk. Tylko ja... i ty. A w zamian wszystko, czego zapragniesz. Powiedz, chłopcze... czy nigdy nie marzyłeś, by ktoś tak cię traktował?

Ville drapie się po czole energicznie próbując zetrzeć z siebie napięcie. Potem gwałtownie zsuwa rękaw koszuli, odsłaniając zegarek i spogląda na niego z desperacją, jakby wskazówki mogły przyspieszyć jego wybawienie. Ale czas płynie powoli, bezlitośnie.

– Wydaje mi się, że raczej się w tej kwestii nie dogadamy – mówi w końcu.

Jego palce wracają do pierścionka, kręcą nim w kółko, a stopy drgają niespokojnie na dywaniku limuzyny. Spojrzenie ucieka znowu w bok – najpierw w ciemność za szybą, potem na własne dłonie, byle tylko nie spotkać wzroku Gerarda.

Kamera przenosi się na Emmę, Thomasa, Paula i Roberta siedzących w gabinecie i komentujących sprawę na bieżąco.

Thomas aż zgina się wpół, łapiąc się za brzuch i śmiejąc się do łez.

– O rany, ale go przycisnął! Kurdupel wygląda, jakby chciał się przez tę szybę teleportować!

Emma kręci głową, ale jej oczy błyszczą od rozbawienia.

– Libertyn nigdy tak nie reaguje. On zawsze prowadzi rozmowę, a tutaj... on się broni.

Robert opiera się wygodniej i mruczy z satysfakcją.

– Gerard robi to perfekcyjnie. Ten jego ton głosu, te pauzy. Genialne.

Tymczasem obraz wraca do limuzyny gdzie Gerard obserwuje każdy ruch chłopaka uśmiecha się tak, jakby go to tylko utwierdzało w przekonaniu.

– Nie dogadamy się? – powtarza cicho, niemal ze śmiechem. – Chłopcze, my jesteśmy już bardzo blisko porozumienia. Powiem ci wprost. Podobasz mi się. Bardzo. Chcę cię mieć w swoim życiu... w swojej opiece. Wiem, jak się tobą zająć, wiem, jak sprawić, żebyś już nigdy nie musiał się martwić pieniędzmi czy pozycją.

Ville podrywa głowę, a jego słowa same wyrwywają się z gardła. Jego głos brzmi wyżej, niemal piskliwie, kompletnie nie w jego stylu:

– Jestem bardzo drogi w utrzymaniu!

– Drogi? Tym lepiej. Lubię, kiedy coś naprawdę wartościowego wymaga wysiłku.

Libertyn odchyła głowę do tyłu, patrząc w sufit limuzyny jakby szukał tam ratunku. W oczach pojawia się szklisty blask, jest na granicy łez.

– Ja kocham Adiego – wydusza z siebie głosem, który drży i łamie się na końcu. – To wielkie uczucie.

Gerard wciąga powietrze powoli, jakby z lekkim zawodem, i przechyla głowę na bok.

– Ach... Adi – powtarza z cieniem ironii w głosie. – Tak, przystojny, ostry w rysach, bardzo męski. Ale ja nie szukam mężczyzn. Ja wolę chłopców takich jak ty. Delikatnych i pięknych.

– To prawdziwa miłość – mówi cicho Ville. – Jedyna w swoim rodzaju... i nie ma ceny.

Gerard wzdycha głęboko, jakby nagle zrobiło mu się duszno, powoli, ostentacyjnie rozpina górny guzik koszuli, odsłaniając fragment szyi.

– Prawdziwa miłość... – powtarza – To brzmi pięknie. Naprawdę pięknie. Ale powiedz mi... czy miłość zapłaci za twoje życie? Za twój styl, twoje zachcianki?

Nachyla się bliżej, a jego głos staje się już zupełnie bezpośredni.

– Możesz mieć wszystko, jeśli tylko zdecydujesz się zostać moim. Nie musiałbyś martwić się o nic. Byłbyś moim utrzymankiem – najpiękniejszym, jakiego można sobie wymarzyć.

– Gerardzie... odmawiam – mówi stanowczo, choć w jego głosie pobrzmiewa drżenie. – Jakoś w życiu sobie poradzę.

Mężczyzna unosi kącik ust w uśmiechu bo odpowiedź Villego wcale go nie zniechęciła, a wręcz przeciwnie, dodała mu energii.

– Poradzisz sobie? – powtarza miękko, prawie szeptem. – Och, nie wątpię. Masz w sobie siłę, chłopcze. Ale wiesz... ja nie szukam kogoś, kto musi sobie radzić. Ja szukam kogoś, komu mogę nadać inny smak życia. Lubię, kiedy tacy chłopcy jak ty są blisko mnie. Kiedy pozwalają mi decydować, prowadzić. Kiedy ich delikatność spotyka się z moją opieką... a czasem z moimi zachciankami.

Ville spogląda w bok, oczy ma rozszerzone, oddech znowu przyspiesza. Wymrukuje pod nosem, jakby mówił bardziej do siebie niż do kogokolwiek:

– O kurwa... Jestem w dupie. Kiedy to się skończy?

Potem odwraca się gwałtownie do Gerarda, prostując plecy chcąc zyskać na powadze, choć głos wciąż drży.

– Moja miłość do Adiego jest zbyt wielka. Jestem mu wierny.

– Wiesz... – zaczyna spokojnie, niemal ojcowskim tonem. – Wierność to piękna idea. Naprawdę. Ale powiedz mi, ilu ludzi tak naprawdę jest wiernych? Ilu nie kusi się choć raz, gdy pojawia się okazja?

Zastanów się nad tym. Nie od razu, nie w tej chwili. Ale pomyśl. Daj sobie szansę poczuć, jak to jest... kiedy ktoś naprawdę potrafi się tobą zająć.

Libertyn kiwa głową szybko, zbyt szybko, jakby chciał zamknąć temat i uciec przed dalszym naciskiem. Jego palce błędzą po apaszcze, splątane, nerwowe, a oddech jest płytki, rwany.

– Dobrze... zastanowię się – mówi cicho, prawie bez tchu.

Gerard przymyka oczy z wyraźną satysfakcją gdyż właśnie usłyszał to, na co czekał. Powoli kiwa głową, a jego głos staje się miękki, niemal kojący.

– To wszystko, o co proszę – mówi spokojnie. – Nie decyzja od razu, tylko chwila refleksji.

Jego spojrzenie zatrzymuje się na twarzy Villego, badając każdy ruch i każdą emocję. W tej chwili obraz nagle się urywa i przenosi na kulisy – do gabinetu, gdzie zespół niemal tarza się ze śmiechu.

– Ville wygląda, jakby miał się zaraz rozplakać i uciec przez drzwi awaryjne – mówi rozbawiona Emma.

– Nigdy w życiu nie widziałam go tak... złamanego.

– To jest czysta psychodrama – dodaje Robert – Gerard gra nim jak instrumentem, a Kurdupel nawet nie próbuje już udawać. Tylko rzuca się od jednej wymówki do drugiej.

Paul marszczy brwi, choć kąciki ust mu drgają.

– To mocne. Naprawdę mocne. Z jednej strony śmieszne, bo Libertyn kompletnie się sypie, a z drugiej

– Gerard momentami brzmi aż za bardzo realistycznie.

Tymczasem samochód zatrzymuje się. Mężczyzna spokojnie poprawia płaszcz, wysiada z limuzyny i znika w tłumie przed wejściem do budynku. W środku samochodu zostaje Ville. Kamera łapie jego twarz: blada, spocona, oczy szeroko otwarte. Opiera głowę o zagłówek, oddycha ciężko, a jego pierś unosi się gwałtownie.

– Zaraz się porzygam – wydusza z siebie, a jego głos drży i łamie się na końcu. – O kurwa... co to było? Kładzie dłoń na czole, potem przesuwa ją nerwowo po karku. Obraca pierścionelek raz za razem, jakby to była jedyna rzecz, która może go uziemić. Kamera rejestruje każdy szczegół: przygryzanie wargi, szybkie mruganie, spojrzenia uciekające w bok. Zostaje jeszcze chwilę w limuzynie próbując zebrać siły, żeby otworzyć drzwi. W końcu wysiada z samochodu. Zaciąga się mroźnym, grudniowym powietrzem, próbując przepłukać płuca z tego, co przed chwilą przeżył. Patrzy na budynek oświetlony żółtymi reflektorami, na elegancko ubranych ludzi zmierzających ku drzwiom, śmiejących się i rozmawiających głośno. On stoi w miejscu, sztywny, jakby zupełnie nie pasował do tej sceny. Potem rusza w bok od wejścia, mijając grupki palących ludzi, którzy nie zwracają na niego większej uwagi. Jego sylwetka szybko znika w ogrodzie.

Niedługo później spotyka Adiego, który właśnie przyjechał na miejsce.

– Co ty tak się trzęsiesz, zimno ci? Dlaczego nie wszedłeś do środka? – pyta zdziwiony przyjaciel.

– Grudniowe powietrze jest orzeźwiające.

Adi patrzy na zegarek i przestępuje z nogi na nogę, wyraźnie się spieszy.

– Idę teraz na to spotkanie, przez szefową mam obsuwę. Chodź do środka, za pół godziny przyjdę.

– Nie zostawiaj mnie samego, idę z tobą – mówi Ville błagalnie, a gdy nie widzi konsternację przyjaciela dodaje jeszcze: – Adi, ja ci się oddam, ale nie zostawiaj mnie tutaj samego..

– O... to ciekawe. Przez cały czas naszego związku nie oddałeś mi się ani razu, a teraz takie deklaracje. Libertyn przewraca oczami i cedzi przez zęby:

– Najwyraźniej nie miałem wystarczająco motywacji.

Adi wybucha śmiechem, klepie przyjaciela po plecach.

– Przyjdę za parę minut, idź do środka. Na pewno kogoś znasz... pogadaj z Gerardem.

Po czym odchodzi szybkim krokiem. Ville zostaje na zewnątrz, oddycha głęboko, przykłada telefon do ucha. Kamera obserwuje jego profil, drżenie warg, nerwowe spojrzenia. Po kilku minutach zjawia się taksówka. Wsiada do środka i natychmiast zamyka za sobą drzwi, jakby uciekał przed czymś więcej niż tylko chłodem.

Obraz gaśnie na moment i ujęcie przenosi się już w znajome miejsce, to gabinet Villego w RRstudio. Libertyn skupia się na swojej pracy, dzień jak każdy inny rozkłada papiery na biurku, notuje coś na jednej z karteczek, potem poprawia apaszkę przed lustrem zawieszonym w rogu. Jest w swoim świecie – liczby, nuty, estetyka. Nagle drzwi skrzypią. Do środka wchodzi Gerard, ten sam elegancki starszy pan w płaszczu i z laską.

– Długo cię szukałem, chłopcze – mówi spokojnym, pewnym tonem. – Chyba mnie nie unikasz? Zastanowiłeś się nad moją propozycją?

Chłopak zastyga, jego oczy rozszerzają się w czystym przerażeniu, palce kurczowo zaciskają się na pierścionku, a gardło jakby odmawia posłuszeństwa. Na co dzień rozgadany, pełen energii nagle milknie – wpatruje się w Gerarda, nie wydobywając z siebie ani jednego słowa. Przez sekundę napięcie wisi w powietrzu jak cienka tafla szkła, gotowa pęknąć od najlżejszego dotyku. I wtedy z gabinetu Emmy dobiega salwa śmiechu – głośna, niepohamowana, znajoma. Ville znowu zastyga. Na jego twarzy, jeszcze przed chwilą przepełnionej strachem, teraz maluje się czysta wściekłość, zrywa się z miejsca i rusza w stronę gabinetu Emmy. Otwiera drzwi gwałtownie. W środku widzi swoją siostrę i resztę zespołu, wszyscy zgromadzeni przed ekranem telewizora, na którym właśnie wyświetlany jest obraz z ukrytej kamery jego gabinetu.

– Nienawidzę was – syczy, a jego głos drży z gniewu.

Odwraca się na pięcie, z rozmachem trzaska drzwiami, schodzi po schodach na dół. Kamera podąża za nim, rejestrując szybki krok i rozedrgane dłonie. Chwilę później Ville wsiada do swojego Ferrari. Silnik ryczy, a on z piskiem opon rusza przed siebie.

– Nie katuj na zimnym – mruczy Robert, co wzbudza salwę śmiechu pozostałych.

Obraz gaśnie, odcinek kończy się.

Ville siedzi w fotelu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Patrzy na wszystkich z mieszaniną politowania i chłodnego dystansu, ale milczy uparcie, jakby każde słowo miało być nagrodą, której nie zamierza im dać. Emma przelamuje ciszę spokojnym, rzeczowym tonem.

– Uważam, że materiał trzeba podzielić. A na koniec drugiego odcinka, zgodnie z sugestią Rose, dorzucimy krótki wywiad z byłymi modelkami i modelami, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji.

Robert kiwa głową z powagą.

– Może wywołamy tym jakąś dyskusję społeczną. W końcu pokazujemy, jak naprawdę bywa.

– Rozmawiałam już z Adim – dodaje Emma. – Umówiliśmy się na przyszły tydzień, wtedy nagramy wywiad.

Późnym wieczorem w Helsinkach, kiedy miasto za oknami już ucichło, a w domu panuje półmrok, Mia i Rami siedzą razem w sypialni, oglądając jeszcze nieopublikowany odcinek o Gerardzie. Mimo, że Libertyn formalnie jest twórcą i twarzą programu jednak każde nagranie musi przejść przez sito rodzinnej akceptacji. Nie chodzi tylko o jego wizerunek – także o reputację całej rodziny Rianów. Zbyt wiele zależy od tego, co zobaczą miliony widzów. Na ekranie kończy się scena w limuzynie. Gerard mówi powoli, spokojnie, a Ville reaguje nerwowymi gestami, niepewnym głosem i słowami, które bardziej zdradzają bezradność niż inteligencję. Kamera wyłapuje każdy szczegół – zaciskające się dłonie, przyspieszony oddech, uciezkę wzroku. Mia siedzi wyprostowana, dłonie ma splecione na kolanach. Jej twarz pozostaje nieruchoma, ale w oczach pojawia się chłodny błysk. Rami zerka na nią ukradkiem i dostrzega w tym spojrzeniu zdenerwowanie, choć całe ciało Mii jest rozluźnione, spokojne, niemal obojętne.

Kiedy obraz gaśnie, na moment zapada cisza. Rami wzdycha przeciągle i odzywa się ostrożnie:

– Nie podobał ci się żart, komentarze czy może...

– Dobrze wiesz, co mi się nie podobało – przerywa mu Mia bez emocji. – Nie chodzi o to, że dał się wkręcić. Zespół zna jego słabości, a Emma wie o nim niemal wszystko. Świetnie to zaplanowali i rozegrali. Punkt dla nich. Ale jego zachowanie... Antero, on pokazał słabość. To jest niedopuszczalne. Rami przysuwa się bliżej i dotyka jej dłoni.

– Wielokrotnie ostrzegałem Villego przed takimi ludźmi. Szybko zorientował się, o co chodzi. Nie gniewaj się na niego. Pierwszy raz znalazł się w sytuacji, nad którą nie miał żadnej kontroli. Zespół dokładnie wiedział, jak to ustawić: zamknięta limuzyna, ruch, brak możliwości ucieczki. Był w pułapce.

– Zbyt skupił się na emocjach, zamiast myśleć – odpowiada Mia, a jej palce zaczynają obracać sygnet męża.

– Co powinien, według ciebie, zrobić?

– A ty co robiłeś, Antero, w takich sytuacjach?

Rami przyryka oczy, jakby na moment wracał do lat dziewięćdziesiątych – do początku swojej kariery, pierwszych tras, pierwszych bankietów i ludzi, którzy zawsze chcieli czegoś więcej, niż mówili wprost. Jako syn znanego przedsiębiorcy nigdy nie musiał martwić się o pieniądze. Propozycje, które dostawał, nie dotyczyły utrzymania – dotyczyły wpływów, kontaktów, kontraktów, wejścia do zamkniętych kręgów.

– No cóż... – mówi w końcu. – Sarkazm albo ironia. Najlepiej oba naraz.

– I nie dać po sobie poznać, że nie panuje nad sytuacją – dopowiada Mia z lekkim skinieniem głowy.

Na moment milknie, a potem dodaje chłodno:

– Będę musiała z nim o tym porozmawiać. To ważna lekcja.

Następnie sięga po telefon i wybiera numer do Emmy. Jej głos pozostaje spokojny, uprzejmy, ale w tonie wyraźnie pobrzmiewa dystans. Pyta o plan premiery materiału, o kontekst odcinka i sposób jego opisanie. Interesuje ją narracja, kolejność scen i akcenty, które mają wybrzmieć najmocniej. Na końcu zadaje jeszcze jedno, pozornie neutralne pytanie: kto montował nagranie. Emma nie waha się ani chwili. Po krótkiej odpowiedzi przekazuje telefon Rose.

Mia nie traci czasu na uprzejmości. Jej głos brzmi miękko, ale zdecydowanie:

– Kochanie, wytnij fragment zbliżenia na zeszkłone oczy Villego. Więcej uwag nie mam.

Rose oddycha głębiej, jakby ulga zsunęła się z jej ramion.

– Dobrze.

– Proszę, zadbaj o to, aby wywiad z modelkami trwał przynajmniej piętnaście minut – dodaje Mia tonem, który nie znosi sprzeciwu. – Niech będzie mocno. Postarajcie się.

– Oczywiście. Zrobimy tak, jak sobie życzysz.

Emma patrzy na Rose z cieniem uśmiechu, a reszta również spogląda na dziewczynę lekko rozbawiona.

– No koleżanko – mruczy Robert – tylko jedna uwaga od doktor Rathore. Brawo. Harry zazwyczaj słucha całej litanii.

– Tak, ale wywiad... – dodaje Rose niezbyt pewnie.

– Spokojnie, damy radę – rzuca wesoło Thomas. – Modelki muszą przyćmić Libertyna w drugiej części. Trochę historii, trochę łez... będzie dobrze.

Ville patrzy na to wszystko z rezygnacją, siadając w rogu kanapy. Doskonale wie, że Mia nie odpuści.

Prędzej czy później czeka go wykład o tym, że pozwolił, by poniosły go emocje.

Rozdział 10

To nie tak miało być.

Nadchodzi ten dzień, kiedy Rose musi wreszcie zerwać z Erykiem. Z jednej strony nie chce robić tego przez telefon, z drugiej – w głowie kłębią się obrazy ostatnich dni: kilka nocy z Libertynem, pocałunki z Thomasem, a nawet trójkąt i to nie raz. Z Erykiem od dawna nic ją nie łączy, a jednak świadomość, że go zdradziła, budzi w niej dyskomfort. Teraz szykuje się do wyjazdu do Bristolu. Chce stanąć z nim twarzą w twarz i skończyć to, co już dawno przestało mieć sens. On wie, że się spotkają, ale nie zna szczegółów

– Może cię jednak odwozę – proponuje Ville, opierając się o drzwi, gdy Rose siedzi już w samochodzie gotowa do drogi.

– Naprawdę dam sobie radę – odpowiada spokojnie, choć żołądek lekko jej się zaciska.

– No dobrze, załatw sprawę raz na zawsze. Ja może skoczę do lekarza, mam już wszystkie wyniki – rzuca jakby od niechcenia.

– Trzymam kciuki.

– Ja za ciebie też – dodaje wesoło po czym pochyla się nad nią i kradnie soczystego całusa.

Rose uśmiecha się tylko, przekręca kluczyk i odpala Camaro. Silnik odpowiada niskim, gardłowym pomrukiem, który rozbrzmiewa w cichym poranku. Ville zamyka jej drzwi z teatralnym gestem i macha na pożegnanie, jakby odprowadzał królową na paradę. Ona rzuca mu jeszcze jedno spojrzenie, a potem rusza przed siebie, znikając za bramą. Przez chwilę jedzie w ciszy, z dłonią na dźwigni, z oczami wbitymi w drogę. Potem naciska jeden przycisk i auto ożywa na nowo – pierwsze nuty Liberty Fade pulsują w głośnikach, bas roztacza się pod skórą. To *Red Sky* z pierwszej płyty. Refren wchodzi jak wybuch. Rose podkręca głośność. Zna tę piosenkę na pamięć, jak każdą. Ale dzisiaj... dzisiaj nie potrafi się powstrzymać. Zniża głos, mruży oczy i z teatralną manierą próbuje udawać Villego – jego przeciągnięcia, jego aksamitne „yeeeah”, jego dramatyczne pauzy.. I wtedy wybucha śmiechem.

– Jesteś idiotką – rzuca do siebie, ocierając oczy. – Dobrze, że on tego nie słyszy.

Na chwilę czuje się lekko. Jakby świat naprawdę był prosty: auto, muzyka, śpiew, droga.

Niecałe trzy godziny później zatrzymuje Camaro pod domem państwa Steven. Przez chwilę siedzi nieruchomo, patrząc na budynek z wyraźną dozą irytacji bo sam widok przywołuje wszystkie powody, dla których powinna tu być tylko raz i nigdy więcej. W końcu wysiada. Jeszcze nie zdążyła zrobić kroku, a drzwi domu otwierają się gwałtownie. W progu staje Eryk, szare dresy, za mała koszulka. Rose przewraca oczami i powoli wypuszcza powietrze próbując wyrzucić z siebie całe napięcie, zanim padnie pierwsze słowo.

– No proszę... – mruczy Eryk. – Nareszcie się zjawiłaś. Trzy tygodnie, Rose. Trzy. A ja mam do ciebie dzwonić jak wariat, żeby dostać dwa zdania?

Przesuwa wzrok po niej, marszczy brwi, a jego ton staje się uszczypliwy.

– Co, praca nagle tak cię pochłonęła, że nie miałaś nawet czasu odebrać telefonu? W sobotę wieczorem też cię „archiwizacja danych” trzymała?

Opiera się o framugę, zakłada ręce na piersi i patrzy na nią wyczekująco, z cieniem kpin w spojrzeniu.

– To może mi w końcu powiesz, o co chodzi?

Rose wchodzi do domu nawet na niego nie patrząc.

– Nie będę zabierać ci czasu – zaczyna sucho – Przyjechałam tylko po to aby powiedzieć ci że to koniec. Zrywam naszą znajomość.

– Co? Znowu? To ma być jakiś żart? – mierzy ją spojrzeniem od góry do dołu. – Trzy tygodnie się nie odzywasz, przyjeżdżasz tutaj, żeby rzucić takim tekstem na wycieraczkę? Chyba zasługuję na coś więcej niż dwa zdania, prawda?

Patrzy na nią przez chwilę w osłupieniu, po czym wybucha krótkim, nerwowym śmiechem. Odsuwa się o krok, pozornie robiąc jej miejsce, ale w tym geście jest więcej protekcyjnej wyższości niż uprzejmości. I dokładnie tak jak poprzednim razem, gdy próbowała z nim zerwać, natychmiast przejmuje głos i zaczyna swój dobrze przećwiczony monolog.

– Posłuchaj, ja studiuje medycynę. Za parę lat będę lekarzem. Moi rodzice już teraz są dumni. Ty chyba zdajesz sobie sprawę, jakie życie możesz mieć u mojego boku. Bezpieczne, pewne, na poziomie.

Uśmiecha się krzywo, jakby sam próbował uwierzyć w sens własnych słów. Nie zwraca uwagi na to, że to, co mówi, jest oderwane od rzeczywistości i kompletnie rozmija się z jej życiem, kompetencjami i możliwościami. Brnie dalej w swoją przemowę, nie cofając się ani o krok, z uporem kogoś, kto musi postawić na swoim, nawet jeśli gada oczywiste bzdury.

– A ty? Archiwizacja danych? Przerwane studia? Rose, bądźmy szczerzy... beze mnie nic wielkiego cię nie czeka.

Zaciska usta, a w jego głosie pojawia się nuta złości, gdy próbuje ratować własne ego.

– Zresztą, wiesz co? Może i dobrze, że to mówisz. Może to ja powinienem to skończyć dawno temu. Ja potrzebuję partnerki, która rozumie, kim jestem i dokąd zmierzam. A nie kogoś, kto wiecznie ucieka i szuka wymówek.

Dziewczyna przewraca oczami, jej irytacja narasta ale tłumi w sobie gniew:

– Skoro już się nagadałeś to spadam – rzuca od niechcenia.

Eryk unosi ręce w geście niedowierzania, jakby chciał zatrzymać Rose na miejscu.

– Serio? To tyle? – jego głos brzmi ostro, podszyty drwiną. – Nawet nie próbujesz ze mną rozmawiać, tylko uciekasz?

Kręci głową, a na twarzy pojawia się krzywy uśmiech, którym próbuje przykryć wściekłość.

– Wiesz co? Jak chcesz. Ale zapamiętaj sobie jedno – to nie ty kończysz ze mną. To ja pozwalam ci odejść. Bo ja i tak będę kimś. A ty... – zatrzymuje się na chwilę, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów – ...ty beze mnie zostaniesz nikim.

Rose patrzy na niego z politowaniem, bez cienia wzburzenia.

– To się jeszcze okaże – rzuca chłodno, jej głos brzmi spokojnie, ale stanowczo.

Nie wdaje się w dalsze słowa. Odwraca się, wychodzi na podjazd i wsiada do samochodu. Silnik Camaro warczy głucho, a ona odjeżdża bez pośpiechu, nie oglądając się za siebie.

W tym samym czasie gdy Rose opuszcza Bristol, Ville czeka na swojego lekarza i dostaje od niej sms, że wszystko poszło zgodnie z planem. Uśmiecha się pod nosem i odpisuje jej tylko emotikoną z buziakiem. W tym samym momencie drzwi się otwierają, lekarz zaprasza do środka:

– Panie Rian, przejrzałem dokładnie wszystkie wyniki. Morfologia – wzorowa, żadnych oznak anemii, żelazo i ferrytyna w normie. Hormony tarczycy – stabilne, bez odchyień. EKG i echo serca również nie

wykazały niczego niepokojącego. Widzę opinię neurologa – tam także brak wskazań do dalszej diagnostyki.

Unosi wzrok znad papierów i mówi uspokajającym tonem:

– Rozumiem, że objawy, które pan opisywał – przyspieszone bicie serca, to „dziwne uczucie” w żołądku, trudności ze skupieniem – mogły brzmieć groźnie. Ale wyniki pokazują, że organizm jest zdrowy. To raczej kwestia stresu, przemęczenia, może stylu życia.... Albo zakochania – dodaje z przekąsem.

Jeszcze raz przesuwając wzrokiem po dokumentacji, po czym odkłada ją na biurko.

– Powiem wprost: fizycznie jest pan w bardzo dobrej kondycji. Teraz trzeba zadbać o odpoczynek i higienę psychiczną.

Ville kiwa głową, dziękuje i żegna się z lekarzem. Wychodząc z gabinetu, mruczy do siebie z rozbawieniem nie wierząc w to, że poddał się tylu badaniom:

– Tyle klucza, tyle stresu, żeby potwierdzić, że się zakochałem. Brawo, Libertynie.

Chichocząc pod nosem, rusza korytarzem i opuszcza szpital, lżejszy niż wtedy, gdy do niego wchodził.

Kilka dni później Ville wraca z domowego studia. Pracował nad nową piosenką – tym razem na trzecią płytę. Ma już napisany tekst i skomponowaną muzykę na fortepian.

– To będzie hit – mamrocze pod nosem.

Gdy przez głowę znowu przemyka mu myśl o zakochaniu, zatrzymuje się na chwilę. Patrzy przez okno, szukając jakiejś odpowiedzi w rozgwieżdżonym niebie. Wzdycha przeciągle. Rusza dalej, mijając pokój kominkowy. Z jednej strony... mógłby spróbować prawdziwego związku. Takiego z emocjami, randkami i tą całą otoczką. A „chęciny” Rose do eksperymentów jeszcze bardziej podgrzewają atmosferę. A z drugiej strony... panicznie się tego boi. W gruncie rzeczy jest mu dobrze tak, jak jest.

– Więc po co to zmieniać? – mruczy do siebie, przystając i rozkładając teatralnie ręce.

– Coś mówiłeś? – dopada go głos Rose, która akurat siedzi w fotelu z laptopem na kolanach.

Ville wchodzi do saloniku i słyszy, jak z głośnika syczy się jakiś glam-rockowy utwór.

– Ja? A nic ważnego. Myślałem o podkładzie Thomasa. Wszystko gra.

Dziewczyna uśmiecha się lekko i dalej patrzy w ekran komputera, ale jej mina rzednie, gdy telefon pika. Na wyświetlaczu pojawia się powiadomienie. To wiadomość od Eryka.

– Kretyn – syczy pod nosem.

– Co znowu pisze? I dlaczego go jeszcze nie zablokowałeś? – pyta spokojnie, ale w jego głosie słychać napięcie.

Dziewczyna przewija ekran i streszcza po kolei wiadomości:

– Głównie, że dużo straciłam, że tylko on mógł mi zapewnić przyszłość i takie tam pierdoły. Jego numer dawno zablokowałam, ale teraz pisze z telefonu matki albo ojca. Oczywiście znajomym też naopowiadał, jaka to jestem zła i że niby to on mnie rzucił. Więc i od nich dostaję wiadomości, ale nie odpowiadam.

– Martwi mnie to – mówi Ville poważnie.

– No cóż, zawsze był zapatrzonym w siebie bucem. Mogłam się tego spodziewać.

– Jesteś przyjaciółką domu. Nie można z tym przejść do porządku dziennego. Naślę na niego detektywa

– zobaczymy, co chłopina kombinuje. I proszę cię, nie wychodź sama bez ochrony.

– Chyba żartujesz?

– Nie, słonko, nie żartuję – odpowiada chłodno. – Mieszkasz w pałacu. Jesteś dla nas ważna. Nie pozwolę, żeby jakiś byle kutas cię skrzywdził.

– Ale... – zaczyna lecz nie kończy.

Ville odwraca się i patrzy na nią tak groźnie, jak jeszcze nigdy wcześniej.

– Nie ma żadnego „ale”. Znasz zasady. Potencjalny atak na ciebie jest atakiem na Rianów, a ja na to nie pozwolę. Więc proszę – uważaj na siebie.

Dziewczyna kiwa głową. Jest lekko przerażona – pierwszy raz widzi Libertyna tak stanowczego i twardego. On podchodzi, zabiera jej laptop, odkłada go na stolik i wyciąga rękę. A gdy wstaje, przyciąga ją do siebie i całuje delikatnie.

Tuż przed świętami, w ostatni wieczór przed rozjazdem, Liberty Fade i przyjaciele szykują się do pożegnalnej imprezy deskorolkowej. Ville wysyła Ami na nocowanekę do koleżanki, więc pałac jest tylko ich. Ostatnia szansa, by rozładować energię przed końcem roku, zanim wszyscy rozejdą się w swoje strony. Libertyn pojawia się pierwszy – jak zwykle absurdalnie gotowy. Klasyczny, elegancki dres z perfekcyjnie układającą się bluzą, nienaganna fryzura i cienka bransoletka na nadgarstku, która absolutnie nie przeszkadza w jeździe, ale oczywiście błyszczą przy każdym ruchu. Rose tym razem też idzie – i nie pozostawia złudzeń. Czerwona, opinająca sukienka z miękkiej, sportowej dzianiny kończy się tuż nad kolanem, kontrastując z białymi trampkami z czerwonymi wstawkami. Włosy związuje w wysoki ciasny kucyk. W międzyczasie zbierają się goście – jak zawsze wystrojone dziewczyny, nienagannie ubrani chłopcy, ciekawe fury podjeżdżające pod pałac jedna po drugiej tłumiąc ciszę silnikami i beatami z głośników.

Ville łapie Rose w kuchni, jeszcze zanim zacznie się hałas.

– Hej, piękna – zarzuca wesoło, jakby wszystko było po staremu. Podchodzi bliżej i całuje ją w szyję. Potem siada na hokerze. Oparty łokciem o blat, spogląda na tyłeczek Rose w opiętej sukience z miną, która jeszcze chwilę temu byłaby żartobliwa. Ale teraz coś w niej drga. Dziewczyna odwraca się ze szklanką soku jabłkowego w dłoni. Patrzy na niego spokojnie, choć czuje już podskórnie, że coś się ślizga w niewłaściwą stronę.

– Musimy pogadać – mówi Ville. Jego głos brzmi cicho, ale niepokojąco stanowczo.

Rose nie odpowiada. Po prostu czeka.

– Dziś impreza – zaczyna z pozornym luzem. – A zazwyczaj na takich imprezach... Libertyn nie jest grzeczny.

– Chcesz wyrwać dwie, może więcej dziewczyn. Rozumiem – mówi beznamiętnym tonem, ale czuje, że do jej oczu napływają łzy. Bo gdyby on chciał też i ją – rozmawiałby inaczej. Z błyskiem, z ekscytacją. A teraz mówi... jakby ją opuszczał.

– Tak i... – zaczyna, ale Rose przerywa.

– Beze mnie.

– Tak. Bez ciebie – potakuje powoli. – No wiesz, ostatnio i tak masz mnie prawie na wyłączność.

Zsuwa się z hokera i wychodzi bez słowa zostawiając ją zupełnie samą

– Czyli znudziłam mu się szybciej, niż przypuszczałam – mruczy pod nosem, odstawiając szklankę. Głos się łamie. Jedna łza spada na policzek. Potem kolejna. Dla niej jest już tego za wiele. Po czymś takim nie potrafi się podnieść. Nie potrafi tam pójść z uniesioną głową i przyglądać się, jak Ville będzie

się obściskiwali z innymi – po czym zaprowadzi je do sypialni, w której i ona tak często śpi. Dopija resztę soku, prostuje się, choć ledwo. Wychodzi z kuchni z miną mówiącą wszystko: *nie pytajcie*. Kieruje się do holu głównego, by wejść na górę i zniknąć pod koldrą w Pokoju Bacha.

Emma i Thomas obserwują ją z daleka. Widzą to, co umyka większości: nerwowy krok, dłonie ocierające łzę, szkliste oczy.

– On ją krzywdzi – rzuca Emma w przestrzeń, choć nikt poza nimi nie słyszy.

Thomas poprawia czapkę i patrzy za Rose z dziwną intensywnością. Jakby właśnie dotarło do niego, że coś w nim pękło.

– No cóż. Libertyn miał swoją szansę. Teraz czas na DJ–a.

– Chyba żartujesz! A nasze ustalenia? Pakt? Oszalałeś? – syczy Emma, robiąc krok w jego stronę.

– Jakie ustalenia? Nie są razem. A to, że spali ze sobą... no i co z tego? Nie ona pierwsza i nie ostatnia. Emma rozkłada ręce w geście: *chyba cię pogrzało*.

– Wiesz, że to może się źle skończyć. Jesteś jego przyjacielem. Jesteśmy zespołem – próbuje jeszcze, ale w głębi duszy już wie, że jej słowa niczego nie zmienią.

– Nie są razem – mówi Thomas stanowczo. – Więc nic już nie ma znaczenia. Zabiorę ją na tę imprezę. Nie pozwolę, żeby przez tego idiotę nasza ślicznotka płakała. Nie zasługuje na takie odstawianie w ką. Emma kiwa głową ciężko, z rezygnacją. Wie, że nie zatrzyma tej decyzji.

– Jest zbyt mądra i zbyt piękna, żeby on ją tak traktował. Proszę, Thomas... nie rób głupstw – dodaje ciszej.

Chłopak podchodzi, całuje ją w policzek i bez słowa rusza szybkim krokiem, by dogonić Rose, zanim zamkną się za nią drzwi pałacowego korytarza.

– Hej – woła, przeskakując dwa schodki naraz. – Nie idziesz na imprezę?

– Nie czuję się najlepiej. Głowa mnie boli – odpowiada odwracając wzrok.

Thomas uśmiecha się zawadiacko. Jednym ruchem przekręca czapkę daszkiem do tyłu i mierzy ją spojrzeniem od góry do dołu – jakby analizował, ile w tym „ból głowy” jest prawdy.

– Weź tabletkę i idziemy.

– Nigdzie nie idę, daj mi spokój – syczy, wyraźnie zirytowana.

Chłopak wybucha cichym, gardłowym śmiechem. Delikatnie dotyka jej policzka, dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej spływała łza.

– Jak się denerwujesz, to też jesteś piękna – mówi miękko i patrzy na nią dłużej, niż powinien.

Rose wbija wzrok w podłogę. Nie wie, co powiedzieć. Serce bije za szybko, myśli kłębią się jak osy. Najchętniej spakowałaby się i zniknęła z pałacu, wróciła do swojego mieszkania, odcięła się od całego tego chaosu.

– Dziś jestem cały twój – mówi unosząc jej podbródek. – Możesz to rozumieć... jak chcesz.

Dziewczyna bierze głęboki wdech. Pamięta urodziny Libertyna, to zażenowanie, które zatuszowała ironią. Pamięta też Thomasa, jego spojrzenie, ciemne i przenikliwe. Przypomina sobie ostatni miesiąc sinusoidy z Libertynem, gdzie tym razem znowu znalazła się na dole i zbyt dobrze pamięta zerwanie z Erykiem, które miało być triumfem. Miało być początkiem czegoś nowego, silnego, świadomego. A teraz? Ville wyraźnie mówi jej, że nie ma dla niej miejsca. Ani w jego łóżku, a tym bardziej w sercu.

Zaciska wargi. Myśli przez moment. Patrzy Thomasowi prosto w oczy, choć nadal nie wie, czego chce – albo czego powinna chcieć.

– Dobrze. Daj mi chwilę. Muszę się ogarnąć – rzuca, jakby od niechcienia, i kieruje się w stronę Pokoju Bacha.

Poprawia makijaż, rozpuszcza włosy spinając je jedynie z tyłu spinką. W kucyku nigdy nie czuje się swobodnie. Przebiera się w krótką jeansową spódnicę i czarny top odsłaniający ramiona. Dziś zakładając sportową sukienkę i trampki chciała spróbować tej całej jazdy na desce, ale nie zrobi tego, wystarczy ośmieszania jak na jeden raz. Schodzi na dół. Thomas czeka na nią oparty o sofę, z rękami w kieszeniach. Gdy ją widzi, prostuje się, uśmiecha bez słowa, chwytą ją za dłonie i prowadzi w stronę oranżerii, gdzie impreza już dawno nabrała tempa; głośna muzyka, zapach dymu i cytrusowych drinków. Ludzie śmieją się, tańczą, ktoś właśnie kręci piruet na desce tuż obok fontanny. Tymczasem Ville stoi z grupą dziewczyn, z typowym dla siebie wdziękiem i nienagannym profilem. Coś mówi, jedna z nich parska śmiechem, druga dotyka jego ramienia.

– To co, kiedy zaczynasz popisy na desce? – pyta Rose z przekąsem.

– Głowa mnie boli – rzuca z szerokim uśmiechem, celując wzrokiem gdzieś za nią. – O, patrz – wskazuje na grupę ludzi siedzących w półokręgu na podłodze. – Grają w butelkę. Jak licealiści.

– Nigdy nie grałam w butelkę... – przyznaje marszcząc nos. – Znaczący, wiem, jak to działa, ale... nigdy tego nie robiłam.

Thomas unosi brew i wybucha śmiechem.

– Laska, błagam. Mieszkałaś w klasztorze czy co?

Ona daje mu lekkiego kuksańca w ramię, udając obrażoną. Thomas łapie ją za dłonie i ciągnie w stronę kręgu. Mijają parę właśnie złączoną w dość namiętnym pocałunku. Sadza ją obok Clary i jakiegoś ciemnowłosego chłopaka, sam siada naprzeciwko, z miną gracza. Butelka wiruje. Śmiechy, okrzyki, pocałunki – chłopak z dziewczyną, dziewczyna z dziewczyną, chłopak z chłopakiem. Nie ma sentymentów. Nie chcesz grać – nie grasz. Zasady są jasne. Clara kręci. Szyjka zatrzymuje się na Rose. Obie wybuchają śmiechem i dają sobie buziaczka. Teraz kolej Rose. Butelka zatrzymuje się na jakimś brunecie – nawet nie zna jego imienia. Wymieniają uprzejme spojrzenie i całują się z lekkim uśmiechem, miło, neutralnie. Thomas obserwuje ją uważnie. Brwi ma uniesione, usta lekko zaciśnięte. Gra toczy się dalej. Rose całuje Clarę po raz drugi, potem inną dziewczynę, potem chłopaka z kolczykiem. Robi się głośniejsze, śmielej, atmosfera gęstnieje. Nikt nie udaje już, że to zabawa bez znaczenia. W końcu Thomas kręci butelką. Gdy szyjka wskazuje Rose, unosi kącik ust, zawadiacko i bardzo powoli. Patrzą sobie w oczy, bez słowa. Oboje się nachylają. Całują się długo – zbyt długo jak na tę grę. Gdy się odsuwają, kilka osób wyraźnie krzywi się z zażenowaniem, ktoś śmieje się nerwowo.

Z tyłu Ville stoi nieruchomo. Ktoś coś do niego mówi, może szturcha go lekko w ramię, ale on nie reaguje. Ma wzrok wbity w Rose i Thomasa. Tylko jego usta poruszają się niemal bezgłośnie, jakby myśl wypłynęła mimochodem, niekontrolowanie.

– No proszę, szybka jest – mruczy.

Zabawa w butelkę dobiega końca. Grupa się rozchodzi, a Thomas bez słowa chwytą dziewczynę za rękę i prowadzi ją na parkiet. Muzyka zmienia tempo – rozbrzmiewa ciężki, erotyczny hip - hop, rytm zbyt zmysłowy jak na niewinny taniec. Poruszają się razem, bez cienia dystansu. Rose jest pewna

siebie, uśmiechnięta, rozgrzana atmosferą i winem, a jej towarzysz wykorzystuje każdy ruch, by zaznaczyć swoją obecność – nie tylko przy niej, ale też wobec Villego. Ten stoi po drugiej stronie oranżerii, otoczony dziewczynami. Ktoś pokazuje mu coś na telefonie, ktoś rzuca żart. Ale on nie słyszy nic. Tylko wbija wzrok w Thomasa. Ten celowo spogląda przez ramię w jego stronę. Libertyn patrzy na niego tak, jakby mógł go zabić jednym skinieniem. A on jedynie się uśmiecha: podstępnie, wyzywająco i nachyla się do Rose. Całuje ją, spokojnie, bez napięcia.

Ville nie drga, nie mruga, ale jego szczęka pozostaje zaciśnięta, a w oczach błyska coś ostrego, czego sam jeszcze nie potrafi nazwać. Z oddali dobiega śmiech, muzyka pulsuje gdzieś w oranżerii, świat wiruje, ale on trwa – nieruchomy, jakby w innym wymiarze. Rose znika właśnie w korytarzu prowadzącym do łazienek, ramię w ramię z Clarą. Thomas zostaje sam, stoi przy jednym z wysokich okien, nonszalancko oparty ramieniem o framugę, rozmawia z kimś z ekipy. Ville podchodzi cicho. Nie zapowiada swojej obecności ani słowem. Po prostu staje tuż obok, tak blisko, że przyjaciel wyczuwa jego cień, zanim go zobaczy, powoli odwraca głowę, uśmiecha się ironicznie, jakby właśnie czekał na ten moment.

– Czego chcesz? – rzuca z lekką pogardą.

Libertyn nie odpowiada od razu. Przez sekundę po prostu na niego patrzy, zimno, surowo, bez najmniejszego grama sympatii.

– To ja się pytam, czego ty chcesz... od niej.

Thomas wzrusza ramionami dając znać, że to co przyjaciel powie, nie ma żadnego znaczenia.

– Nie wiem. Może przyjaźni. Może jeszcze jednego pocałunku. A może czegoś więcej. – Mówi spokojnie, z rozbawieniem.

Ville powtarza te słowa wolno, jakby mu się nie mieściły w ustach.

– Czegoś więcej. – Milczy przez chwilę. – Chcesz ją zbałamucić i zostawić.

– Póki co, to ty jesteś od bałamucenia Rose. I... od jej zostawiania. – Jego głos nasączony jest jadem i wyrachowaną ironią. – Traktujesz ją jak chorągiewkę. A skoro tak... to nie zamierzam siedzieć z boku i patrzeć. Nie jesteście i nie byliście parą. Pakt nie obowiązuje.

Ville przytakuje powoli. Gest niemal niewidoczny, ale znaczący. Thomas nie złamał zasad. A on nie przyznał się do uczuć, nie wspominał też o zamiarach wobec dziewczyny i w sumie... sam uciekł, znowu.

– Masz rację. Zbałamucisz ją i zostawisz. Klasyka.

– Może tak. Może nie. A może... – tu zniża głos, prawie szept. – Mam wobec niej plany. Piękna, zgrabna, błyskotliwa i... chętna na doświadczenia. Mam rację, Libertynie?

– No cóż – odpowiada chłodno. – Skoro masz wobec niej plany, to nie będę ci wchodził w paradę. Ona jest wolna.

Nie czeka na odpowiedź. Patrzy na przyjaciela przez sekundę dłużej, z zaciśniętymi ustami i wzrokiem, który mógłby łamać szkło. Potem odwraca się bez słowa i odchodzi w stronę pałacu, zostawiając za sobą śmiechy, muzykę i rozbawione towarzystwo. Tylko Thomas jeszcze patrzy, a w oczach pojawia się cień czegoś ostrego. Nie rusza się, nie mówi nic. Po prostu obserwuje.

Dziewczyny wracają z łazienki. Clara podchodzi bez słowa, z tym swoim nieznośnie spokojnym wyrazem twarzy. Nagle popycha lekko Rose na ścianę, przysuwa się do niej ostentacyjnie, zmysłowo, i

całuje bez pytania. Krótko, intensywnie, na pokaz. Ona jest zaskoczona tylko przez ułamek sekundy. Nie odsuwa się, nie protestuje. I na pewno nie zamierza udawać, że jej się to nie podoba.

Clara mówi coś szeptem do Rose, po czym bierze za rękę swoją koleżankę Grace – tę samą, z którą Rose całowała się wcześniej podczas gry w butelkę.

Thomas nie czeka długo. Podchodzi do nich nonszalancko.

– Słuchajcie... Może weźmiemy jeszcze jakąś ślicznotkę i przeniesiemy się z imprezą do sypialni?

Dziewczyny spoglądają na siebie i wybuchają śmiechem. Grace robi krok w jego stronę, delikatnie dotyka go po ramieniu.

– To wybierz sobie kogoś dla siebie, bo my we trzy będziemy trochę... zajęte.

Chłopak unosi dłonie w geście kapitulacji, teatralnie grozi Rose palcem i bez oglądania się chwyta zgrabną blondynkę, która właśnie przechodzi obok.

– Idziesz z nami na *after*? – rzuca zawadiacko.

Dziewczyna potakuje, a cała piątka – Thomas, Rose, Clara, Grace i nowa towarzyszką – wychodzą z oranżerii i idą w stronę pałacu. Śmieją się, rozmawiają, rozświetleni lampkami zawieszonymi nad ogrodem jak banda pięknych szaleńców.

W cieniu jednej z kolumn czai się Ville. Nie rusza się i nie oddycha. Słyszy ich głosy, widzi ich sylwetki znikające za drzwiami. A kiedy orientuje się, że Rose idzie z Thomasem i z trzema innymi dziewczynami – że idzie z nimi na górę, do pokoi... Mało co nie mdleje. Oparty o marmurową kolumnę, z jedną ręką dramatycznie przyciśniętą do serca, wygląda jak bohater dziewiętnastowiecznego dramatu, który właśnie stracił ukochaną w akcie trzecim. Oczy ma szeroko otwarte, wargi drżące. Szepcze do siebie z rozdzierającym patosem:

– Stworzyłem potwora.

Nie czeka na bis. Rusza za nimi. Dziewczyny po drodze zgarniają z tacy butelkę szampana i kieliszki. Cała piątka znika w Pokoju Bacha. Libertyn zatrzymuje się kilka kroków dalej. Przysuwa się ostrożnie do drzwi i przez moment nasłuchuje. Śmiechy, piski, brzęk szkła. Głosy przenikają przez starą, ciężką futrynę, jak przez taflę wody. Ville marszczy brwi, a potem, nie bacząc na godność, cofa się i wchodzi do pokoju gościnnego obok. Podchodzi do komody, bierze szklankę z herbacianego zestawu i... przykładą ją do ściany. Pochyla się, nasłuchując z pełną powagą, jakby od tego zależał los świata. Z zaciśniętymi ustami i skupieniem chirurga operującego własne serce, filtruje rozmowy, śmiechy, plotki. Coś o bąbelkach. Ktoś mówi „to mnie łaskocze”. Ktoś inny się śmieje – ten śmiech zna. Przymyka oczy i wzdycha ciężko. Mimo wszystko nie odkleja szklanki od ściany. Nie teraz, jeszcze nie. Godzinę później słyszy jakieś ruchy na korytarzu, urywany śmiech i niski głos Thomasa. Delikatnie uchyla drzwi i widzi, jak jego przyjaciel w towarzystwie blondynki kieruje się w stronę swojego pokoju. Uśmiecha się pod nosem chcąc coś przed sobą skwitować.

– Hmm... czyli ślicznotka została z dwiema dziewczynami... Lepsze to niż z Tomusiem – mruczy półgłosem, zgryźliwie, choć wyraźnie czuje, jak z ramion spada mu ciężar.

Wraca do sypialni i przez chwilę tylko nasłuchuje. Zza ściany dobiegają go urywki rozmów, śmiech i żywa energia – Rose i dziewczyny najwyraźniej świetnie się bawią. Libertyn parska cicho, sam z siebie, nie wierząc, w co się wplątał. Odsuwając dziewczynę chciał odzyskać kontrolę nad własnymi uczuciami i nad życiem, które coraz bardziej wymykało mu się z rąk. A tymczasem ona zagnieździła się w nim zbyt

mocno – w sercu, w łóżku, w myślach i w codzienności. Jego córka, Amidala ją ubóstwia, Mia chwali, Rami traktuje jak swoją, a reszta ekipy... tak, oni również ją pokochali.

Ville opiera łokcie na kolanach, chowa twarz w dłonie i mamrocze półgłosem:

– Przecież było wiadomo, że Rose nie będzie długo sama...

Czuwa do trzeciej nad ranem. Jest niespokojny, jakby pilnował granicy, której nikt nie ma prawa przekroczyć. Nasłuchuje, analizuje każdy szmer za ścianą, a cisza zamiast uspokajać tylko go drażni. Dopiero kiedy szepty i rozmowy w Pokoju Bacha cichną, a żadna z dziewczyn nie opuszcza jej sypialni, pozwala sobie opaść na poduszkę. Nie zasypia jednak od razu. Emocje wciąż buzują, myśli kołoczą się w głowie niczym echo niewypowiedzianych słów. Wkurza się na siebie za to czuwanie, za to, że znów oddał Rose część kontroli nad sobą. Z każdą minutą czuje coraz większe zmęczenie, aż w końcu, gdy dochodzi piąta nad ranem, zasypia. W pokoju gościnnym, sam, ale z poczuciem ulgi, że noc skończyła się bez niespodzianek.

Clara i Grace opuszczają pałac nad ranem, podobnie jak reszta gości z Grupy Cieni, a w jadalni spotykają się Emma, Robert, Thomas i Rose. Villego nie ma.

– A gdzie Libertyn? – pyta Robert, rozglądając się teatralnie po pomieszczeniu, jakby spodziewał się, że brat Emmy zaraz wyskoczy zza zasłony.

– Wczoraj wyszedł wcześniej... sam – dodaje Thomas, z tym swoim podstępny uśmiechem, który Rose już zaczyna rozpoznawać.

Emma bierze kawałek grzanki i smaruje ją grubo masłem. Niby obojętna, ale jednak rzuca przez ramię:

– Potwierdzam. Wyszedł sam i dziwnie się zachowywał.

Thomas wzrusza ramionami, udając, że sprawa go nie dotyczy. Rose śledzi tę wymianę w ciszy, dopóki Robert nie wbija kolejnej szpilki:

– Czy to oznacza, że spał też sam? – dopytuje z cieniem uśmiechu na ustach.

Reszta wymienia zawadiackie spojrzenia, a Rose nagle wybucha śmiechem. Najpierw cicho, potem coraz głośniej, aż musi złapać oddech, żeby się uspokoić.

Emma przygląda się jej podejrzliwie, unosząc brew.

– No wiesz, słoneczko – mówi powoli. – Nie wchodzę mojemu bratu w drogę, ale zaczynam żałować, że zgodziłam się na pewne obostrzenia towarzyskie. Mogłaś powiedzieć wcześniej, że lubisz też dziewczyny. Dogadałybyśmy się.

– Jeden Rian mi wystarczy – odpowiada z powagą. – Czuję przesyt.

Thomas uśmiecha się lekko, w oczach błyska mu rozbawienie. Emma posyła mu karcące spojrzenie, ale on nawet nie próbuje się kryć, sięga po szklankę soku, jakby cała sytuacja była tylko dodatkową rozrywką.

Rose odkłada kanapkę na talerz i mieszając herbatę pyta:

– Słuchajcie, w tym tygodniu każdy z was wyjeżdża w swoje strony. Ja wprawdzie jadę tylko do Bristolu, ale jeśli nie będzie to problemem, chętnie wrócę do siebie, do mieszkania.

Emma mruży oczy i powoli wypuszcza powietrze.

– Błagam cię, tylko nie mów znowu, że uciekasz.

– Nie, nie uciekam – kręci głową. – Chcę po prostu odpocząć, nabrać dystansu i... побыć sama. Szczególnie że styczeń zapowiada się pracowicie.

Na te słowa reszta ekipy reaguje jednoznacznie. Wszyscy wiedzą, że chodzi o Eryka i że Libertyn zlecił detektywowi obserwowanie chłopaka. Rose uspokaja ich, przypominając, że cały czas zachowuje ostrożność, ale na razie nie widzi powodów do niepokoju. Eryk wyjechał i przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie go w kraju. To ich uspokaja.

Emma w końcu potakuje, odkłada nóż na talerz i otrzepuje dłonie z okruszków.

– Masz rację – przyznaje spokojnie. – Ja, Rob, młoda i braciszek jedziemy do Helsinek. Paul i Wendy ruszają do Polski. – Zawiesza wzrok na Thomasie, przechylając głowę. – DJ-u kochany... jedziesz do ojca?

– Tak, wyjeżdżam niedługo. Wracam teoretycznie... po nowym roku. – Zawiesza głos i dodaje, patrząc na Rose: – Ale zobaczymy.

Obydwoje wymieniają spojrzenia, Emma przewraca oczami, a Robert uśmiecha się pod nosem. Każdy z nich czuje, że końcówka roku jeszcze wszystkich zaskoczy.

Zaraz po śniadaniu zespół ma zaplanowaną próbę, ostatnią w tym roku. Zbierają się w sali, ale od rana nikt nie widział Libertyna.

– Gdzie on w zasadzie jest? – pyta Paul, który właśnie dotarł z Wendy do pałacu.

– Dzwoniłem kilka razy i nic – mówi Robert, ponawiając próbę połączenia.

– W pokoju też go nie ma – oznajmia Emma, nerwowo zerkając na zegarek.

– Trzeba sprawdzić oranżerię i ogród, basen, saunę i samochody w garażu – mówi stanowczo Wendy. Wszyscy bez zbędnych dyskusji rozchodzą się po posiadłości w poszukiwaniu Villego.

Thomas od razu kieruje się do strefy gościnnej. Wie, że sypialnia Rose leży między pokojem zajmowanym czasem przez Paula i Wendy, a wolną sypialnią. Przypomina sobie nocny cień Libertyna i domyśla się, gdzie go znajdzie. Otwiera drzwi Pokoju Vivaldiego i zastaje go skulonego pod kocem, śpiącego w dresie. Nie przypomina charyzmatycznego frontmana – wygląda na kogoś, kto przegrał bitwę z własnymi myślami.

– Wstawaj – rzuca sucho Thomas.

Ville budzi się, obraca na bok i otwiera oczy. Przez chwilę patrzy nieprzytomnie, potem siada ciężko, jakby każdy ruch kosztował go wysiłek.

– Nie każdy ma czas na spanie do południa. Mieliliśmy mieć próbę – głos Thomasa podszyty jest nutką irytacji.

Libertyn patrzy na niego spod oka, uśmiecha się krzywo.

– Mam nadzieję, że przygotowałeś miks, jak ci kazałem.

– Kazać to ty możesz sobie służbie. Ruszaj dupę, nie mamy całego dnia.

Odwraca się i wychodzi, zostawiając przyjaciela w konsternacji – i z tym nieprzyjemnym poczuciem, że grunt zaczyna usuwać mu się spod nóg.

Gdy Libertyn wreszcie schodzi na dół, cały zespół już czeka. Instrumenty są nastrojone, rozgrzewka zrobiona. Wchodzi na scenę bez słowa, przesuwa wzrokiem po sali – ale Rose nie ma. Miejsce, które zwykle zajmowała, świeci pustką. Zaciska usta, a w gardle czuje ucisk, który trudno przełknąć. Bierze dwa głębokie wdechy, unosi głowę i rzuca:

– Jestem gotowy.

Zaczynają. Dźwięk płynie, ale coś się nie skleja. Ville nieustannie coś poprawia, przerywa w pół frazy, kręci głową. Z każdym utworem jest bardziej spięty, coraz bardziej poirytowany. Pretensje kieruje głównie do Thomasa – raz o tempo, raz o sample, raz o miks. DJ wydaje się kompletnie niewzruszony. Odbija spojrzenia, nie komentuje. Do czasu.

W końcu, po kolejnym bezsensownym zarzucie, podchodzi do niego z chłodnym spokojem.

– Jeśli masz problem, to załatwmy to jak faceci. Chyba że masz okres.

Ville unosi głowę. Przez ułamek sekundy wydaje się, że coś w nim drgnęło, ale twarz pozostaje bez wyrazu.

– Wpieprzyłbym ci i dobrze o tym wiesz – mówi spokojnie, z lodem w głosie.

– Tak to choć Kurduplu – podchodzi bliżej patrząc mu pogardliwie w oczy.

– Hej, no chyba żartujecie – wtrąca Paul. – Jeśli tak ma wyglądać próba, to lepiej ją zakończmy. To nie ma sensu.

Robert odchodzi kawałek dalej i pochyla się do Emmy, która właśnie odwiesza gitarę na stojak.

– Pamiętasz, jak miał do nas „wąty”, że się spotykamy? Że będą chore akcje? My nigdy nic, a on...

– Niestety – mówi cicho. – Thomas tylko dolewa oliwy, ale nie łamie żadnych zasad. Kurdupel sam się w to wpędził.

Próba kończy się w ciężkiej atmosferze. Nikt się nie śmieje, nikt nie żartuje. Nawet Paul, który zwykle próbuje rozładować napięcie, milczy, chowając bas do futerału. Emma zostaje na chwilę. Podchodzi do Villego, który nadal stoi przy mikrofonie, z pochyloną głową i zaciśniętymi dłońmi. Jej głos jest spokojny, ale bez czułości.

– Rose już wyjechała. Wraca do siebie.

– Nie interesuje mnie to – odpowiada cicho nawet nie podnosząc wzroku.

– Właśnie widzę – rzuca chłodno po czym wychodzi zostawiając go samego na pustej scenie, w świetle, które z każdą chwilą wydaje się coraz bardziej obce.

Wieczorem Rianowie szykują się do wyjazdu. Amidala, z plecakiem na plecach i *Pandą Wandą* w ramionach, już stoi przy drzwiach, gotowa do drogi. Robert znosi z góry ostatnią walizkę, stawiając ją ostrożnie obok innych. Emma chodzi po domu, szukając kluczy, przetrząsając półki, kieszenie płaszcza i torebkę, w której jak zwykle niczego nie może znaleźć. Libertyn siedzi na sofie w holu głównym, z łokciami opartymi na kolanach i posępną miną. Nie odzywa się. Patrzy w podłogę, jakby próbował coś rozgryźć, ale bez większego powodzenia. Kwadrans później cała czwórka wychodzi przed pałac. Limuzyna już czeka, silnik cicho mruczy. Kierowca otwiera drzwi. Ville pomaga Amidali zapiąć pasy, ale nie mówi ani słowa. Sam wsiada jako ostatni. Samochód rusza, jadą na lotnisko, gdzie przesiadą się do prywatnego odrzutowca i polecą do Helsinek na kilka dni odpoczynku i spotkań rodzinnych.

W międzyczasie Paul i Wendy również opuszczają Rathorehouse. Thomas wraca do swojego apartamentu w Londynie. Mimo że wyjazd do ojca ma dopiero za dwa dni, nie zamierza beczynnie siedzieć. Bierze szybki prysznic, parzy sobie kawę i siada przy kuchennej wyspie, z telefonem w ręku. Przez chwilę zawiesza palce nad ekranem, waha się... i w końcu pisze:

T: Cześć, piękna. Może masz ochotę wyskoczyć na miasto?

Rose siedzi u siebie, zawinięta w koc, z pustym pudełkiem lodów czekoladowych obok. Oczy ma jeszcze czerwone, nos zupełnie zatkany. Gdy telefon wibruje, spogląda na ekran bez przekonania – ale widząc wiadomość, kącik ust lekko jej drga.

– Wariat – mruczy, wycierając policzek rękawem. Wzdycha cicho, po czym wystukuje odpowiedź:

R: Przyda mi się spacer.

Thomas spogląda przez okno, śnieg delikatnie prószy, ulice są ciche. Nie bardzo chce mu się wychodzić, ale myśl o Rose przeważa. Ubiera się ciepło, wskakuje do samochodu i po kilkunastu minutach jest pod jej mieszkaniem.

Teraz idą razem przez Richmond, wolnym krokiem, podziwiając rozświetlone alejki i ciche skwery. Dziewczyna trzyma go pod ramię, wtulona w ciepły płaszcz, milcząca.

– To powiesz mi w końcu, jak to z wami jest? – pyta Thomas spokojnie.

– Daj spokój. Nie ma nas. I nie ma o czym mówić.

– A chciałabyś, żebyście *byli*? – dopytuje, próbując złapać kilka płatków śniegu w wyciągniętą dłoń.

Rose zatrzymuje się na moment, bierze głęboki oddech i opiera głowę o jego ramię. Cisza przeciąga się, zanim odezwie się znowu:

– Mam dosyć. Ten cały romans był niepotrzebny. Wiedziałam, że to się źle skończy. Niby trzymałam dystans... ale serce zrobiło swoje.

Thomas wzdycha ciężko próbując złapać jeszcze kolejne płatki śniegu.

– Przykro mi, śliczna. Naprawdę. Ale nie mam jak cię pocieszyć. On... – zawiesza głos na sekundę. –

On nic nie mówił. Ani że coś czuje, ani że się boi. Cały czas zgrywa libertyna i jest z siebie dumny.

Dziewczyna słucha go w milczeniu, a każde słowo wbija się w nią głęboko. W oczach znów pojawiają się łzy, w gardle rośnie gula. Odwraca wzrok, ale Thomas to zauważa.

– Myśleliśmy, że może jesteście razem. Że po prostu to ukrywacie. Wiesz... widać, że do siebie pasujecie. Ale Ville... ja go już nie potrafię rozszyfrować.

– On mi złamał serce – szepcze. – Rozbił coś, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa. I teraz nie wiem, jak mam z nim pracować. Jak mam... go widywać, funkcjonować obok i udawać, że nic się nie stało?

Thomas przytula ją mocno, bez słów chcąc zatrzymać ból, którego nie potrafi nazwać. Rose drży lekko, a jej łzy wsiąkają w materiał jego kurtki.

Chłopak zamyka oczy i zaczyna nucić – miękko, delikatnie i tylko dla niej. Rytm jego głosu układa się w słowa:

Bo gdy zajdzie słońce i rozpadnie się świat,

na miliony cząstek, atomów i lat,

nie będzie już śmiechu, pozostanie ci płacz

ale ja zabiorę cały twój strach.

Rose przymyka powieki, słuchając. Te kilka prostych wersów zapadają w niej głęboko, zostają gdzieś pod skórą. W tej jednej chwili nie ma już chłodu, niepewności, ani nieznośnych myśli. Jest tylko cichy śpiew i ramiona, które nie puszczają. Nie wie jeszcze, że właśnie usłyszała ostatnie wersy jednej z najważniejszych piosenek Liberty Fade, zresztą Thomas też jeszcze o tym nie wie.

Podobnie jak Thomas, który przed chwilą bezwiednie zanucił kilka słów, zanim zdążył je w ogóle nazwać piosenką, Ville w tym samym czasie siedzi już samotnie w swojej sypialni w Helsinkach. Cisza w jego

przestronnym apartamencie zdaje się gęstsza niż zwykle, niemal nieprzyjazna – jakby chłód ścian chciał przypomnieć mu, że został tu sam. Ledwo wszedł do domu, przywitał się z rodzicami i usiadł przy fortepianie. Palce zawisły nad klawiszami, ale nie dotyka ich od razu. Oddycha głęboko. Myśli kłębią się bez ładu, a emocje zbyt długo tłumione wypierają się nawzajem: wściekłość, rozpacz, tęsknota, rozczarowanie. W końcu zaczyna grać, cicho, z wyczuwalnym napięciem. Słowa same wyływają, jedna fraza rodzi kolejną.

Czy to, co widziałem, mam już zapomnieć

Czy to, co dotknąłem, już o tym nie myśleć

Tracąc przed sobą kogoś tuż obok mnie

Wykrzyknąć „nie” i popaść w ciszę

Dziś moją złość wymieszam z sumieniem

Siedząc bezsensu, bez siły i żalu

Sam sobie zadaję kolejne cierpienie

I gubię się w tej beznadziei pomału

I wtedy powstaje refren. Palce same odnajdują właściwe nuty, myśli szukają słów i znajdują je zbyt szybko, jakby czekały na ten moment całe tygodnie.

Ta złość, ta zdrada, ta siła nieludzka

Nie! Krzyczę: nie! To się nie uda.

Nie będzie przyszłości, nie będzie radości,

Została mi złość bez śladu czułości.

A później powstaje jeszcze jedna zwrotka. Ville zapisuje ostatni wers. Brakuje mu tchu, serce wali za szybko, nie może się uspokoić. Odkłada długopis. Zdejmuje buty, powoli, bez siły. Nie przebiera się, nie myśli. Kładzie się do łóżka w ubraniu – obdarty ze wszystkiego, nagi tylko w środku. Psychicznie rozwalony.

Rozdział 11

Rose bierze sprawy w swoje ręce.

Resztę świątecznego czasu Ville spędza, snując się po rezydencji. Robi dobrą minę do złej gry i udaje, że po prostu źle się czuje. Nie jest chory, ale wygląda na zmęczonego, więc nikt nie draży. I choć niemal wszyscy wiedzą, co tak naprawdę go boli, dają mu przestrzeń. Nie pytają, nie oceniają, pozwalają mu pobyc samemu ze sobą bez presji, bez komentarzy, bez moralizowania.

Rose, nie mogąc już dłużej słuchać ojcowskiego monologu o tym, że zerwała z Erykiem. „przyszłym szanowanym lekarzem” postanawia wrócić wcześniej do Londynu. W tym samym czasie Thomas, który miał wyjechać z Niemiec dopiero po Nowym Roku, przebukowuje bilet i również przyspiesza swój powrót i jeszcze tego samego popołudnia spotyka się z Rose, tym razem u niego.

– No DJ–u kochany, powiem ci, twoje mieszkanie to niezły wypas – mówi dziewczyna, przechadzając się po salonie i zaglądając do kolejnych pokoi.

– Nie mieszkanie, tylko apartament – poprawia ją, nalewając dla niej wodę z lodem.

Lokal znajduje się na ósmym piętrze co zapewnia świetny widok na światła Wimbledonu. Ponad sto metrów kwadratowych, nowoczesne meble, designerska kuchnia, automatyczne rolety. Rose zwraca uwagę na niemal idealny porządek – wszystko wydaje się na swoim miejscu, aż za bardzo. Apartament wygląda, jakby nikt tu na co dzień nie mieszkał. I rzeczywiście, Thomas większość czasu spędza w pałacu w Surrey albo w trasie koncertowej z zespołem. To miejsce jest bardziej jego bazą niż domem.

– Praktycznie tu nie bywam – przyznaje niemal czytając jej w myślach. – Ale dobrze mieć gdzie wrócić, szczególnie teraz, kiedy Libertyn chce mnie zadźgać wykałaczką.

Rose zapada się w głęboką, miękką kanapę, podwijając nogi pod siebie. Palcami gładzi brzeg koca, który leży niedbale na podłokietniku, i kątem oka spogląda na chłopaka.

– A tak w zasadzie, czego właściwie ode mnie chcesz?

On nie siada od razu. Przez chwilę krąży po salonie z puszką coli w dłoni, jakby zbierał myśli. W końcu przysiadła na krześle naprzeciwko niej, wygina usta w znajomym półuśmiechu.

– Nie chcę, żebyś była sama. Tylko tyle.

– To miłe, ale mam wrażenie, że nie do końca jesteś szczery – rzuca cicho, lecz z pewnością.

– Po prostu chciałem cię lepiej poznać. Przez Kurdupla nie było okazji. Staram się teraz to nadrobić.

Zawiesza głos, wypuszcza powietrze nosem i mówi ciszej:

– Chcę cię mieć w mojej bazie przyjaciół. Nie takich od imprez czy deski, tylko tych, na których można polegać, kiedy podwinie się noga. Myślę, że się dogadamy. Zresztą kogoś mi przypominasz.

Na twarzy Rose coś drga. Może to cień wzruszenia, może ulga. Kiwając głową, patrzy mu prosto w oczy.

– To miłe, co mówisz. Mi też przyda się ktoś taki – szepcze, a potem prostuje się, jakby chciała lepiej odczytać jego intencje. – Czyli pozostajemy we friendzone?

Thomas bierze głęboki oddech, rozkłada ręce i odrzuca głowę do tyłu z teatralnym westchnieniem.

– Ślicznotko, nie jesteś w moim typie. Znaczący, nie zrozum mnie źle. Po prostu mam słabość do drobnych blondynek.

– Okej, przeżyję – odpowiada weselej. – Choć seksi jesteś.

– Jemu też to mówiłaś?

– Ani byłem, ani... byłem, który nawet nigdy nie był byłem.

Thomas pochyla się lekko do przodu. W jego spojrzeniu pojawia się cień troski.

– Co dalej? Co z trasą?

Rose zaciska wargi, a potem wypuszcza powietrze przez nos. Wzrok wędruje po ścianach, jakby szukała odpowiedzi gdzieś między obrazem z graffiti a oknem.

– Po raz kolejny jestem zagubiona. Frontman Liberty Fade – mówi z ironią – funduje mi co tydzień emocjonalny rollercoaster. Jak wiesz, długo się trzymałam, ale zaczynam wymiękać. W zasadzie... złamał mnie. Po raz pierwszy w życiu jest mi tak źle.

Chłopak nie czeka ani chwili. Wstaje i bez słowa siada obok, przyciągając ją do siebie. Przytula mocno, bezpiecznie. Ona wtula się w jego ramię, a po chwili wyciąga chusteczkę z kieszeni i wyciera nos, próbując się nie rozkleić całkiem.

– Masz bardzo ładny głos – mówi przez łzy. – Szkoda, że tak mało cię słychać na albumach.

– Dzięki. Ale jestem DJ-em, jednego frontmana mamy – wystarczy.

– A ta piosenka, którą mi zanuciłeś... to coś znanego? Twoje?

– Moje. Wymyśliłem na poczekaniu. Nie mam takiego talentu jak Libertyn, ale czasem potrafię coś stworzyć. Przynajmniej kilka wersów.

Rose kiwa głową z uznaniem. Patrzy mu w oczy dłużej niż trzeba. On nie odwraca wzroku.

– Uwielbiam się z tobą całować – mówi nagle, cicho. – Wiesz... ja, podobnie jak tamten w Helsinkach, nie traktuję pocałunków jako czegoś bardzo intymnego. Jeśli i ty tak to odbierasz, i chcesz... możemy... Nie kończy zdania, bo ona całuje go pierwsza. Też to lubi. Lubi robić to właśnie z nim. Po tym, co przeżyła w pałacu, pocałunki również dla niej przestały mieć znaczenie erotyczne czy prowadzące do sypialni. Teraz chodzi tylko o ciepło i bliskość. Potem znów rozmawiają. Śmieją się, przekomarzają, opowiadają głupoty. I znów się całują, bez żadnych zobowiązań, jakby przez chwilę świat istniał tylko tutaj – w tym mieszkaniu, w tym wieczorze. Rose, jeszcze kilka godzin temu rozbita i rozgoryczona, teraz powoli odzyskuje równowagę. A za kilka dni będzie musiała znów stanąć twarzą w twarz z Libertynem... i z pracą, która na nią czeka przy programie.

Uśmiecha się lekko, poprawiając poduszkę pod plecami, ale jej wzrok jest czujny, skupiony na nim.

– Mówiłeś, że jestem do kogoś podobna... Kogo miałeś na myśli?

Thomas milknie, lekko zaciska usta. W jego oczach pojawia się cień zawahania. Przez moment wygląda, jakby walczył sam ze sobą – powiedzieć czy nie. W końcu odwraca wzrok i mówi cicho:

– Miraayę Rathore.

– Chyba żartujesz – rzuca z niedowierzaniem.

– Nie żartuję. Z jednej strony – waleczna, uparta, wyrachowana, a z drugiej – najżyczliwsza osoba, jaką znam. Dała mi przez te cztery lata więcej ciepła i zrozumienia niż mój własny ojciec przez całe życie.

Rose czuje, że jej kark przeszywa dreszcz. W gardle coś się zaciska.

– Nie sięgam jej do pięt – wypowiada szeptem, bardziej do siebie niż do niego.

– Nie mów tak. Jesteś inna, ale w tym właśnie podobna. Masz w sobie ten sam ogień, który może parzyć i leczyć jednocześnie.

Zapada krótka cisza. Rose nie wie, co powiedzieć. Czuje się poruszona do głębi, choć stara się tego nie pokazać. Nie zna Mii prawie wcale, a jednak... coś w niej drgnęło. Może to sposób, w jaki Thomas to powiedział. Może szczerłość. Może fakt, że ta kobieta – dla niej niemal legendarna kiedykolwiek spojrziała na nią z życzliwością.

– Ale zostaw to dla siebie – mówi półgłosem. – To nie jest coś, co powinno krążyć po pałacu.

Rose skinieniem potwierdza, że rozumie. Ale to zdanie zostaje z nią – cicho, głęboko, tam, gdzie odzywają się te najtrudniejsze emocje.

– Słuchaj, piękna... – zaczyna niepewnie próbując zmienić temat. – Może byśmy skoczyli na basen? Albo do sauny?

Dziewczyna zerka na niego z niedowierzaniem, jakby właśnie zaproponował jej wspinaczkę na Mount Everest w samym szlafroku.

– Ty się dobrze czujesz? Są święta. Wszystko pozamykane.

– No wiesz... Rathorehouse jest niemal pusty. Rodzinka w Finlandii, służba ma wolne. Pewnie kręci się jeszcze jakiś ochroniarz i jedna pokojówka.

– To może... – zaczyna nieśmiało, bawiąc się końcem rękawa – pouczysz mnie jakiś trików na desce? On bez słowa podaje jej swoją dłoń i posyła jej ten swój zawadiacki uśmiech. Ten sam, który zawsze zwiastuje kłopoty – albo świetną zabawę.

Nie mija godzina, gdy dojeżdżają do Surrey. Wieczne światło odbija się w karoseriach ich samochodów, gdy jeden po drugim zbliżają się do znanej już bramy. Skany kodów QR przechodzą bez opóźnienia. Drzwi wjazdowe otwierają się z cichym brzękiem elektrozamka, a czerwone światełko nad kamerą miga rytmicznie – jakby ktoś właśnie został obudzony. Każde z nich parkuje osobno, ale wysiadają niemal równocześnie.

– To co najpierw robimy, basen czy oranżeria? – Thomas pyta tonem człowieka, który nie potrzebuje odpowiedzi.

– Oranżeria – odpowiada stanowczo.

Wchodzą do holu głównego. Echo pędzi w ich stronę, podrygując na krótkich łapach, a jej ogon wiruje jak śmigło. Thomas klęka na jedno kolano i łapie ją za kark.

– No siema kundlu, tęskniłaś?

Suczka sapie, liże go po szyi, a potem rzuca się do Rose, merdając ogonem jak opętana.

Chłopak kątem oka dostrzega zielone światełko jednej z kamer *LFL*, podwieszanej przy suficie – aktywna – *Wielki Brat patrzy*. Nie czeka długo. Przyciąga dziewczynę do siebie, odwraca ją tak, by nie dostrzegła, jak kamera rusza i łapie ich w kadr. Sam spogląda prosto w obiektyw i posyła całusa. Potem lekko odsuwa się od niej, łapie ją za talię i całuje w usta.

– To chodź, pora na lekcje – mówi i uśmiecha się podstępnie, dodając: – jazdy na desce... oczywiście. Rose szturcha go w ramię, a jej policzki lekko różowieją. Chwyta go pod rękę, odruchowo, naturalnie i razem, ramię w ramię, ruszają podziemnym korytarzem w stronę skateparku.

Ville siedzi w salonie w Rianhouse, pozornie obecny, ale wzrok ma utkwiony w ekranie telefonu. Przelyka ślinę z trudem, mrużąc do siebie pod nosem, z takim niedowierzaniem, jakby rzeczywistość właśnie go kopnęła.

– To niemożliwe. Nie wierzę.

– Coś mówiłeś, synku? – pyta Mia, która właśnie przechodzi za jego plecami, z filiżanką herbaty w dłoni.

– Wszystko gra – odpowiada automatycznie, nawet nie podnosząc głowy.

Mia zatrzymuje się na chwilę, bierze głęboki oddech. Nie zna szczegółów, ale Emma wystarczająco nakreśliła sytuację – wie, że syn schrzanił. I to tak porządnie. Przysiada się obok niego bez słowa, jej spojrzenie pada na ekran – znajomy obraz holu głównego pałacu mówi sam za siebie.

– Jeśli chcesz wracać do Surrey, to nie mam nic przeciwko. Zajmiemy się z ojcem małą. Przywiozę ci ją za tydzień.

Ville kiwa głową, powoli, jakby każdy ruch ważył tonę. Przez moment patrzy na matkę. W oczach ma coś szklistego, co walczy z resztkami dumy. Mia nie draży. Po prostu obejmuje go i pozwala się przytulić.

– Weź samolot – rzuca tylko cicho, głaszcząc go po włosach z matczyną ciepłością.

Libertyn całuje ją w dłoń, wstaje bez słowa, podchodzi do Amidali, pochyla się nad córką, przytulając ją mocno. Nie żegna się już z nikim więcej, opuszcza rezydencję z ciężarem który zna tylko on.

Gdy czeka już w samolocie na start, Rose i Thomas bawią się w najlepsze. Dziewczyna staje niepewnie na desce, a on łapie ją za rękę, prowadząc powoli po gładkiej nawierzchni. Szepcze jej do ucha krótkie instrukcje, od czasu do czasu poprawiając ustawienie jej stóp lub bioder lekkim dotknięciem. Gdy traci równowagę i wpada prosto na niego, śmieją się oboje – on triumfalnie, ona z niedowierzaniem, że jeszcze nie leży na ziemi.

– Mam dość i jestem głodna – mówi w końcu Rose, schodząc ostrożnie z deski i opierając się na biodrze. Thomas potakuje, zerkając na zegarek z miną człowieka, który właśnie ogłosił godzinę ratunku.

– No czas na wyżerkę, choć... zobaczymy co słychać w lodówce i w spiżarni.

Niedługo później siedzą w jadalni, po przeciwległych stronach ogromnego stołu. Na talerzach – kanapki zrobione w pośpiechu, między nimi kieliszki z szampanem, który znaleźli przypadkiem w chłodziarce. Śmieją się i rozmawiają jak para arystokratów z XIX wieku, z tą różnicą, że Thomas – wyraźnie rozbawiony wciela się w rolę Villego.

Wznosi kieliszek, teatralnie prostuje plecy i mówi z manierycznym zaciągnięciem:

– Jestem księżę idiota, miałem pod nosem prawdziwą księżniczkę, ale wolę chłopki z czworaków. Wypijmy więc za mój debilizm w czystej postaci.

Dziewczyna parska śmiechem i upija łyk szampana, kręcąc głową z niedowierzaniem i rozbawieniem.

– A pamiętasz jak mówił mi te swoje ciekawostki – „a wiesz, że...”

Thomas, nie tracąc rezonu, prostuje się i znów przybiera swoją ulubioną minę à la Ville: poważną, skupioną, jakby właśnie miał wygłosić wykład z filozofii.

– A wiesz, że Święty Kurdupel jest patronem wszystkich krzesłek i schodków dla dzieci?

Śmieją się jeszcze długo, coraz bardziej parodiując Villego i jego teatralne gesty, gdy w końcu Rose się nieco uspokaja i pyta z udawaną powagą:

– DJ–u kochany, czy lubisz układać puzzle?

– Strasznie mnie wkurw... irytuje – poprawia się szybko, choć mina zdradza, że nie żartuje.

– Kupiłam mu prezent. Pięć tysięcy elementów. Bardzo trudne. Może... skoro i tak nie mamy nic ciekawego do roboty, usiądziemy w holu i zaczniemy układać?

Thomas krzywi się lekko, jakby właśnie zaproponowała mu wyrwanie zębów bez znieczulenia. Ale w końcu kiwa głową.

– Pod warunkiem, że pójdziemy do biblioteki, tam jest cieplej. I weźmiemy coś mocniejszego do picia. Dziewczyna nie protestuje. Idzie po pudełko z puzzlami, a Thomas znika w stronę piwniczki i już po chwili wraca z kilkoma butelkami gotowych drinków – kolorowych, lodowatych, z logo znanej marki.

– Ty chyba sobie jaja robisz – rzuca z niedowierzaniem, patrząc na obrazek, który mają ułożyć. Mała żaglówka na tle wody i nieba i wszystkie odcienie niebieskiego.

Rose błyska zębami w triumfalnym uśmiechu.

– Odpalaj mi drinka i jedziemy z tym.

– Ja biorę żaglówkę, ty niebo – rzuca pośpiesznie Thomas, jakby zależało od tego jego życie.

Układają w milczeniu, przerywanym co chwilę westchnięciami, przekleństwami albo śmiechem. Od czasu do czasu sięgają po kieliszek lub po fragment puzzli, który absolutnie nigdzie nie pasuje. Chłopak regularnie zerka na telefon i aplikację radaru lotów. Obserwuje jeden z prywatnych samolotów – wystartował z Helsinek ponad dwie i pół godziny temu i zbliża się do Londynu. Choć dane maszyny są ukryte, trasa lotu i wyłączone od dawna kamery *LFL* sugerują jedno: Ville wraca do Surrey.

Gdy Rose wychodzi do łazienki, Thomas spogląda na zegarek i mruczy sam do siebie:

– Kurdupel będzie tu za jakąś godzinę.

Patrzy jeszcze na aktualny stan korków i dorzuca:

– Może za godzinę i dwadzieścia minut.

I nie myli się wiele – około północy pod pałac podjeżdża samochód. Rose prostuje się nagle.

– Kto to? O tej godzinie?

– Założę się, że to Libertyn – mówi Thomas poważnie.

– Ty chyba żartujesz! Skąd wiesz! Miał wrócić za dwa dni! – niemal krzyczy z irytacją. – A może to nie on... – dodaje ciszej, choć jej głos zdradza brak pewności.

Wybiega na korytarz, chowa się za ciężką zasłoną. Przez okno dostrzega nie coś, lecz kogoś – właśnie tę osobę, której obecności pragnęłaby uniknąć. Serce zaczyna bić jej szybciej, dłonie drżą. Cofając się gwałtownie, wraca do biblioteki cała roztrzęsiona. Thomas przytula ją z boku, kładzie dłonie na jej ramionach.

– Olejemy go. Nie martw się. Jakoś to będzie.

Dziewczyna oddycha ciężko. Jej żołądek zaciska się do granic możliwości, alkohol szumi w głowie.

Tymczasem Ville wchodzi do pałacu z rozwianymi włosami i rozpiętym, czarnym płaszczem.

– Ciekawe, gdzie oni są... – rzuca półgłosem, patrząc na ekran telefonu i przeglądając kolejne obrazy z kamer rozmieszczonych w pałacu. – A jeśli są u niego... albo u niej? – pyta sam siebie cicho, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Ja to chrzanię, ja stąd uciekam – rzuca Rose do Thomasa, a jej dłonie zaczynają się trząść.

– Gdzie uciekasz? – patrzy na nią bez mrugnięcia.

Ona zaczyna krążyć po pokoju, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi.

– Cholera, piłam... Inaczej wyskoczyłabym przez balkon, wsiadła do auta i po prostu odjechała – mówi, nerwowo, jakby miała za chwilę dostać ataku paniki.

– Ślicznotko... – podchodzi bliżej. – Uspokój się. Jestem tu. To jest ten moment, żeby spojrzeć mu w twarz. Żeby się z nim zmierzyć. Przecież za chwilę znowu ruszamy z nagraniami, jedziemy w trasę. I on będzie, zawsze będzie. Nie możesz przed nim wiecznie uciekać.

Rose potakuje, z trudem przelękając ślinę. Wie, że on ma rację. Czas stawić czoła Libertynowi. Czas przestać analizować każde spojrzenie i każde wspomnienie. Znow traktować go jak szefa. Zapomnieć o tym, co było, nie jest sama. Ma wsparcie. A poza tym, jak twierdzi Thomas przypomina Miraayę. A ona by nie uciekła.

Tymczasem Ville rusza schodami na górę, przeskakując co drugi stopień. Kieruje się prosto do strefy dla gości. Najpierw zatrzymuje się przy pokoju przyjaciela. Nasłuchuje. Cisza. Uchyła drzwi – sypialnia jest pusta. Bez słowa rusza dalej. Przystaje przy Pokoju Bacha. Tam też jest cicho i ciemno. Wypuszcza powietrze powoli, niemal bezgłośnie, choć czuje, że ciężar, który dźwiga, wbija się w ramiona coraz mocniej. Schodzi z powrotem na dół, zmierzając do kuchni. I wtedy dostrzega smużkę światła sączącą się spod drzwi biblioteki. Patrzy na to światło jak na dowód, że coś się tu dzieje, tylko nie wiadomo jeszcze co.

– Dlatego ich nie widziałem na kamerach – mówi sam do siebie. – Bo tam nie ma kamer.

Jednak po chwili poważnieje, przekrzywia głowę próbując zajrzeć przez szczelinę. I nagle wygląda zupełnie inaczej – jak chłopiec, który nie wie, czy ma wejść dalej, czy lepiej się wycofać. Bierze głęboki oddech i otwiera drzwi biblioteki. Wewnątrz dostrzega ciepłe światło lampy, porozrzucone puzzle, kawałek złożonej żaglówki, fragment nieba. Na podłodze siedzą Rose i Thomas, a ogień w kominku powoli się dopala. Thomas pierwszy podnosi wzrok i przeciągle pyta:

– A co, jaśnie książę tu robi?

Libertyn prycha pod nosem, wchodzi głębiej i opiera się o regał, jakby właśnie wrócił z podróży na inny kontynent.

– To nie wiem. Wygląda na to, że wróciłem do *swojego* domu?

Chłopak podnosi się z podłogi, Rose również wstaje. Ville rzuca okiem na obrazek z puzzli i krzywi się lekko.

– Musimy pogadać – mówi, patrząc prosto na Thomasa. – Mamy sobie coś do wyjaśnienia, nie?

Zanim chłopak zdąży odpowiedzieć, dziewczyna staje między nimi. Prosto, zdecydowanie. Patrzy Villemu w oczy z taką intensywnością, że przez ułamek sekundy wszystko zamiera.

– Czego niby ta rozmowa ma dotyczyć? – pyta chłodno.

Libertyn unosi brew, uśmiecha się złośliwie i mówi z udawaną uprzejmością:

– To sprawy między nami. Niech cię o to piękna główka nie boli.

Na twarzy Rose pojawia się niedowierzanie. Otwiera lekko usta, jej spojrzenie błyska ogniem. W sekundzie cała jej postawa się zmienia – zamachuje się i z całej siły uderza chłopaka otwartą dłonią w policzek. Głuchy dźwięk uderzenia rozbrzmiewa w ciszy. Ville cofa się o krok, jakby coś go odrzuciło. Thomas zastyga z otwartymi ustami, kompletnie zaskoczony. Biblioteka milknie. Rose krzywi się – prawa dłoń piecze przez dłuższą chwilę. Chłopak łapie się za policzek, marszczy brwi i syczy przez zęby:

– O kurwa, kobieto!

Thomas wybuchając śmiechem. Opiera się o parapet i chichra się w najlepsze, nie mogąc się powstrzymać. Ville, wciąż trzymając się za twarz, patrzy na dziewczynę z mieszaniną zdziwienia i rozbawienia. Ona nie spuszcza z niego wzroku, a w jej oczach pojawia się pogarda.

– Tylko spróbuj mu coś zrobić. Albo powiesz o jedno słowo za dużo... – mówi grożąc mu palcem. – To dostaniesz drugi raz.

Zastyga, patrząc mu prosto w oczy. On tylko potakuje, niezdolny do słowa. Rose unosi palec wskazujący w górę i dodaje ostrzegawczo:

– No!

A potem teatralnie dyga i mówi słodkim tonem:

– Tymczasem ja idę spać. Dobranoc, chłopcy.

I wychodzi, zostawiając ich w ciszy, w której jedynym dźwiękiem jest jeszcze stłumiony chichot Thomasa. Drzwi zamykają się za nią z miękkim kliknięciem.

Ville stoi nieruchomo przez dłuższą chwilę, jakby nie dowierzał. Jego policzek przybiera intensywnie czerwony kolor. W końcu podchodzi wolno do szezlonga i opada na niego ciężko, z głową odchyloną do tyłu. Thomas sięga po drinka i bez słowa podaje go przyjacielowi. Ten odbiera szklankę z lodem, przykładając ją do twarzy, krzywi się lekko i mruży coś pod nosem. Thomas wraca na podłogę, kładzie się na boku wznawia układankę z błękitnych kawałków. Ville milczy, ale po chwili jego usta wykrzywają się w ironicznym uśmiechu. Wydaje z siebie zduszone *pff* i też zaczyna się śmiać – nieco z siebie, nieco z sytuacji, a najbardziej z tego, że to wszystko w ogóle się wydarzyło. Zsuwa się z szezlonga i siada na podłodze naprzeciwko Thomasa. Bierze kilka puzzli i obracając je w dłoniach przelamuje ciszę:

– Ależ ona ma temperament – zaczyna Thomas.

– Aha – odpowiada Libertyn, dopasowując jeden kawałek do drugiego.

– To miał być prezent dla ciebie od Rose. Sorry, że... – dodaje, patrząc mu prosto w oczy – że go napoczęliśmy.

– Inne rzeczy też wspólnie napoczęliśmy?

– A co byś chciał usłyszeć? Hmm?

Chłopak przelika głośno ślinę, patrzy w dół, na rozsypane puzzle szukając jakiejś odpowiedzi.

– Czujesz coś do niej? – pyta w końcu, szeptem, prawie bezgłośnie.

– A co byś chciał usłyszeć? – Thomas powtarza pytanie, tym samym tonem, tylko odrobinę łagodniej.

Ville unosi wzrok. W jego oczach nie ma złości, nie ma zadziorności. Jest coś znacznie bardziej niepokojącego – pusta przestrzeń. Wyczyszczona do zera. Thomas to zauważa i... odpuszcza.

– Całowaliśmy się tylko. Długo i często – jeśli o to ci chodzi. Spędziliśmy mnóstwo czasu razem. Dużo rozmawialiśmy, śmialiśmy się, a od trzech godzin układamy to – wzrokiem pokazuje na obrazek. – Fajna jest. Zresztą sam wiesz. Dobrze mieć ją blisko, ale jako przyjaciółkę.

Ville kiwa głową, ledwo zauważalnie, jakby jego kark stał się zbyt ciężki.

– Wiedziałaś, że przyjadę, prawda?

Thomas parska ironicznym śmiechem patrząc to na niego to na obrazek, ale nie odpowiada. Libertyn siada po turecku, bawi się dwoma puzzlami, które błyszczą pod lampą jak szklane odłamki.

– Kocham ją – mówi w końcu, zagryzając dolną wargę czując że słowa ledwie przeciskają mu się przez gardło.

Thomas łączy kolejne części nieba sycząc jakieś przekleństwo pod nosem ale na te słowa aż podnosi głowę.

– No, nareszcie... Ale wiesz, że zjechałeś?

– Jak bardzo?

– To zależy, co od niej chcesz – odpowiada wolno, ale bez zawahania.

Libertyn wstaje, podchodzi do regałów z książkami i przesuwając palcami po grzbietach. Jeden, drugi, trzeci. Czuje pod opuszkami różne faktury: skórę, płótno, papier. Przystaje przy starym tomie z poślizgniętą etykietką, otwiera go, po czym zamyka i odstawia z powrotem. Podchodzi do okna. Przygląda się sobie widząc tylko swoje odbicie – zaczerwieniony policzek i oczy, które wyglądają obco.

– Ją – mówi w końcu. – Całą. Ze wszystkim, co jest potrzebne do związku.

Thomas podchodzi cicho i poklepuje go dłonią po ramieniu.

– Nie wiem, stary, co będziesz musiał zrobić. Ale spieszyłeś to wzorcowo – mówi patrząc na niego bez cienia litości. – Ale wiesz... jestem z Ciebie dumny. Że wreszcie cokolwiek dotarło do tego twojego pustego łba.

Ville śmieje się cicho, jakby w środku coś pękło i coś wreszcie drgnęło. Odwraca się, patrzy na porzucane puzzle i przysiadając przy obrazku, bierze kolejny kawałek nieba.

– Myślisz, że szybciej ją przekonam do siebie czy szybciej to ułożę?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – mruczy opadając obok niego z westchnieniem.

Przez chwilę słychać tylko szelest puzzli przesuwanych po podłodze i tykanie zegara gdzieś na ścianie.

Zaspany Thomas przeciąga się w łóżku, niechętnie otwierając oczy. Zazwyczaj mógłby leżeć do południa, lecz tym razem burczenie w brzuchu okazuje się silniejsze od chęci dalszego snu. Gdy wychodzi z pokoju, natychmiast dopada go Rose. Po krótkiej wymianie zdań, dziewczyna wymusza na nim, że ma zostać jej tarczą przeciwko Villemu. To oznacza jedno – Thomas będzie jej towarzyszył wszędzie tam, gdzie akurat przebywa Libertyn.

Schodzą więc razem po głównych schodach. W kuchni zastają Villego, który z głową w lodówce przeszukuje półki. Po chwili zamyka drzwi z głuchym hukiem, odwraca się ku nim i teatralnie krzywi.

– Poza mięsem i warzywami w zamrażarce nic nie ma – stwierdza smutno, zerkając ukradkiem na kredens, gdzie niemal codziennie czekały na niego ciepłe rogaliki przygotowywane przez kucharkę. Thomas spogląda zrezygnowany to na dziewczynę, to na przyjaciela, po czym sam podchodzi do lodówki, otwiera ją i natychmiast zatrząskuje. W środku widzi jedynie kilka słoików i butelkę keczupu.

– Trzeba iść na zakupy – rzuca Rose, wodząc wymownym spojrzeniem po obu chłopcach. – Albo zrobić naleśniki – dodaje, wertując przy kuchennej spiżarni, gdzie od razu dostrzega potrzebne składniki.

Cała trójka podchodzi do okna. Za szybą huczy ulewa, która od pół godziny nie ustaje. Szum deszczu miesza się z dalekim trzaskiem petard – na kilka dni przed sylwestrem w okolicznych ogrodach dzieci i młodzież testują fajerwerki. Nikomu jednak nie chce się wychodzić w tę pogodę.

– No to zostają placuchy – stwierdza Thomas, mrużąc oczy i próbując uśmiechnąć się, choć nie brzmi to szczerze. – To kto umie?

Rose przewraca oczami po czym pochyla się do szafki w poszukiwaniu odpowiedniej patelni. Jej sylwetka rysuje się wyraźnie w świetle lampy sufitowej. Libertyn i Thomas wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, a w powietrzu zawisa tłumiony chichot. Jeden z nich unosi palec, zatacza w powietrzu kształt idealnego jabłka, drugi dorysowuje gruszkę, jakby prowadzili niemą rozmowę w języku geometrycznych aluzji. Kąciki ich ust drgają, lecz żaden nie odważy się wypowiedzieć tego głośno.

Rose prostuje się z patelnią w dłoni i odwraca do nich, unosząc brwi podejrzliwie. Chłopcy natychmiast udają, że są zajęci – Ville pochyla się przesadnie nad robotem kuchennym, Thomas obraca silikonową łypatkę w dłoniach, oglądając ją z miną fachowca.

– No dobrze kochani, czas zacząć przygotowania.

Libertyn przegląda menu robota kuchennego, szukając przepisu na naleśniki, Thomas ogląda patelnię, zastanawiając się, czy rączka jest wystarczająco solidna, a dziewczyna rozkłada na blacie wszystkie składniki: mleko, mąka, jajka i sól. Później staje obok Villego, sprawdzając przepis, który wybrał. On patrzy na jej profil maślanymi oczami, lecz ona zdaje się tego nie dostrzegać. Thomas zbliża się z patelnią, wsuwa ją między ich twarze i prycha:

– Jestem głodny. Weźmy się do smażenia.

Robot miesza już gładkie ciasto, palnik syczy, patelnia łapie temperaturę, masło spienia się przy krawędzi. Pierwszy naleśnik rumieni się na rozgrzanym metalu, i po chwili ląduje na talerzu. Rose pracuje równo i szybko. Thomas przerzuca gotowe placki do niskiego piekarnika na podtrzymanie ciepła. Ville z trudem powstrzymuje się, by nie oblizać warg – ociera ślinę rękawem. Kiedy stos naleśników wreszcie trafia na stół, przenoszą się do jadalni. Thomas i Rose siadają obok siebie, Ville naprzeciwko. Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu panuje błoga cisza – tylko trzask ognia w kominku i odległy huk fajerwerków za oknem przerywają ich skupienie na smaku placków z marmoladą i masłem czekoladowym.

– Jakie plany na sylwestra? – pyta Ville, spoglądając raz na Rose, raz na przyjaciela.

– Miałam jechać do Bristolu na imprezę z koleżankami, ale z racji Eryka... – urywa w pół zdania.

– Eryk ci nie zagraża – mówi Libertyn spokojnie. – Poza tym, że opowiada o was głupoty, nic ci nie zrobi. Choć pewnie możesz usłyszeć jakieś zgryźliwości, jeśli go spotkasz. A według detektywa, jest duże prawdopodobieństwo, że będzie na tej imprezie.

Detektyw Rianów rzadko się myli – jego informacje zawsze są precyzyjne i sprawdzone, jakby miał oczy i uszy wszędzie.

– Wasz detektyw jest skuteczny, właśnie dziś dzwoniła Rebeka, moja koleżanka, podobno Eryk się wprosił.

– My z Kurdupłem – wskazuje na przyjaciela – idziemy do klubu – odzywa się Thomas, odkładając widelec. – Poprowadzę tam set przed północą. Jeśli nie jedziesz do Bristolu, to może do nas dołączysz?

– Czemu nie – mówi bez zastanowienia. – To jakie mamy plany na dziś?

– Ja idę się zdrzemnąć – deklaruje Thomas.

– Ja chyba poukładam puzzle – dopowiada Ville, zerkając na Rose z nadzieją, że może dziewczyna do niego dołączy.

– Ja poczytam. Mam do dokończenia *Czary mary*.

– Najlepiej czyta się w bibliotece – mówi z nadzieją. – Dobre światło, książki wokół, ogień w kominku. Dziewczyna spogląda na niego wymownie, kręcąc głową.

– I ty – rzuca kąśliwie – klnący pod nosem, że niebo nie pasuje do ziemi. Nie, dziękuję.

– Masz rację – przyznaje Ville, spuszczać wzrok. – Pewnie tak będzie.

Thomas wstaje, zabiera ich talerze i sztucce, najpierw od przyjaciela, potem od Rose. Na twarzy maluje sztuczny uśmiech, którym próbuje rozładować ciężką atmosferę.

– No dobrze, dzieci – zaczyna w końcu, przerywając ciszę. – To może pogramy w ping-ponga, spalimy trochę kalorii, a potem wspólnie spróbujemy pociągnąć dalej ten obrazek z żaglówką. Co ty na to? – pyta zerkając na dziewczynę.

Ona tylko potakuje, a Libertyn widząc aprobatę, odrobinę się rozchmurza. Wszyscy wstają, odnoszą naczynia do kuchni i rozchodzą się do swoich sypialni, by chwilę odpocząć przed następną rundą wspólnych zajęć.

Mijają kolejne dni w pustym pałacu, w którym ciszę co chwila rozcina stukot kroków na drewnianej podłodze, a po wysokich korytarzach niesie się echo rozmów i śmiechu Villego, Rose i Thomasa – przypominając im nieustannie o ogromie tego miejsca. Trójka działa razem: organizują jedzenie, wychodzą na długie spacery z Echo, rozgrywają zacięte mecze badmintona, wpadają do skateparku, a wieczorami zasiadają na podłodze nad rozłożonymi puzzlami. Ville coraz mniej kryje się z tym, że patrzy na Rose maślanymi oczami; uśmiecha się do niej, wzdycha, zagaduje i, ku rozbawieniu Thomasa, komplementuje ją niemal za wszystko – że najlepiej dopasowuje kolory w układance, że jej serwisy w ping-ponga są nie do odbicia, że potrafi wnieść elegancję nawet w zwykłe zakupy. Dziewczyna słyszy każde słowo i nieraz uśmiecha się pod nosem, choć uparcie nie daje mu satysfakcji, a do tego trzyma się wciąż blisko Thomasa. Kiedy pochylają się po raz kolejny nad rozłożonym na podłodze obrazem, wszyscy troje mają nadzieję, że jeszcze przed sylwestrem uda im się skończyć tę morską układankę. Palce wędrują po kawałkach rozłożonych w równych rzędach, światło lamp odbija się od błękitów i granatów, a ciszę co chwila przerywa mlaskanie Echo która żuje gumową piłeczkę.

Thomas mruży oczy i z udawaną powagą rzuca:

– Ciekawe, dokąd zmierza ta żaglówka? – celowo przeciągając ostatnie słowo i patrząc to na Rose, to na Villego, którzy siedzą obok siebie, pochłonięci dopasowywaniem ostatniego tuzina kawałków łączących niebo z wodą.

Dziewczyna przewraca oczami, a Libertyn teatralnie wzdycha. Nachyla się w stronę przyjaciela i szepcze mu do ucha:

– Jesteś takim moim horyzontem, dzięki tobie wiem, dokąd płynę.

– Pytanie tylko, jak długo jeszcze? Bo zaczyna się ściemniać i horyzont wkrótce zniknie ci z pola widzenia. – Uśmiecha się półgębkiem. – Ale spokojnie, mamy XXI wiek, zawsze można zamontować GPS.

Rose słyszy ten szept i kątem ust parska krótkim, niemal niedostrzegalnym śmiechem, ale nie reaguje. Udaje, że nie wie, o co chodzi, że wcale go nie słyszała. Pochyla się niżej nad układanką i sięga po kolejny fragment nieba, jakby cała jej uwaga skupiała się wyłącznie na odcieniach błękitu i granatu. Palce jednak na moment zatrzymują się w pół ruchu.

W myślach wraca do ostatniej rozmowy z Thomasem w pokoju kominkowym. Do jego spokojnego tonu, do tego, jak mówił o Libertynie bez złośliwości, bez ironii – z czymś, co przypominało troskę. Jak dał jej do zrozumienia, że pod całą tą pozą pewnego siebie libertyna kryje się chłopak, który kompletnie pogubił się w tym, co czuje, i nie potrafi się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Że Ville nie gra z nią cynicznie, tylko ucieka, bo nie umie inaczej.

Thomas nie próbował jej przekonywać wprost. Nie prosił, nie namawiał. Po prostu zasiał w niej wątpliwość – tę jedną, niewygodną myśl, że być może Ville nie jest potworem, za jakiego czasem go uważa, tylko tchórzem, który boi się własnych uczuć. I właśnie ta myśl nie daje jej teraz spokoju. Dopasowuje fragment nieba do linii horyzontu, ale w głowie wciąż brzmią jej słowa Thomasa, jak cichy refren, który wraca uparcie wtedy, gdy próbowała już zamknąć ten rozdział.

Patrzy teraz na Villego kątem oka i po raz pierwszy od dawna nie czuje złości. Raczej coś na kształt ostrożnej ciekawości. I niechcianej nadziei.

Jeszcze tego samego wieczora obrazek zostaje ukończony. Z trudem, ostrożnie, przenoszą go na sztywną podkładkę i osadzają w dębowej ramie. Ville i Thomas nakładają taflę szkła, która z cichym stukiem opada na miejsce. Wspólnie wieszają gotową układankę w bibliotece – pomieszczeniu, gdzie odcienie błękitu i marynistyczne ozdoby tworzą naturalne tło. Puzzle stają się częścią tej przestrzeni, jakby od początku były przeznaczone, by właśnie tam zawisnąć.

Thomas znika wcześniej – jedzie do klubu, sprawdzić sprzęt, porozmawiać z menedżerem, ustalić szczegóły. W pałacu zapada cisza, przerywana odgłosami kolejnych próbnymi wystrzałów sztucznych ogni.

Późnym wieczorem Rose i Ville szykują się do wyjścia na imprezę sylwestrową. On – w granatowych jeansach, ciemnej koszuli, stylizowanej marynarce, z delikatnym makijażem i biżuterią polyskującą na dłoniach – siada przy fortepianie i gra melodię *By The Way*. Ona – w czerwonej, dopasowanej sukience, czarnych kozakach na obcasie, z rozpuszczonymi włosami – schodzi po schodach i podchodzi do niego powoli. Patrzy na skupienie na jego twarzy, na palce sunące po klawiszach, na oczy pozbawione uśmiechu i blasku.

Gdy ostatnie dźwięki wybrzmiewają, Rose przetyka ślinę i bierze głęboki oddech.

– Czy będziesz moim chłopakiem?

Ville zawiesza się na moment. Zamyka klawiaturę i wbija w nią wzrok. W głowie ma chaos, bałagan i miłość, której nie potrafi nazwać. Ona czeka cierpliwie, spoglądając raz na niego, raz na swoje wściekle czerwone paznokcie.

– Tak czy nie? Ruchy, kluchy. Szkoda czasu – ponagla go w końcu.

– Tak – odpowiada krótko, szczerząc się jak idiota.

Ona kiwa głową, wciąż z niedowierzaniem patrząc na jego przyklejony uśmiech. Zawija się na pięcie i kieruje ku schodom.

– Jak już się odwieszisz, to chodź na górę. Mamy jeszcze trochę czasu – rzuca lekko, z nutą wyzwania w głosie.

Ville przez chwilę siedzi w milczeniu, wpatrując się w lustro po drugiej stronie pokoju kominkowego. Przechyla teatralnie głowę, po czym nagle zrywa się na równe nogi. Wybiegając do holu, przeskakuje

po dwa stopnie na schodach, aż dogania Rose w połowie korytarza prowadzącego do jego sypialni. Przyciska ją do ściany i całuje długo, namiętnie, bez pośpiechu.

Rozdział 12

Ville w pierwszych dniach związku.

Thomas znika na dobre, zaszywa się w swoim apartamencie, pewnie z jakąś ładną blondynką poznaną na imprezie sylwestrowej. W pałacu zostają tylko Ville i Rose, czasem przemyka ktoś ze służby. Para, choć rozemocjonowana, ustala jedno: nie chcą jeszcze nikomu mówić o związku. Chcą cieszyć się sobą w ukryciu, zanim spadną na nich pytania, sugestie, zgryźliwości i moralizowanie. Te pierwsze dni mają być ich – pachnące kawą z porannych kubków, miękkie od koców zarzuconych na ramiona, rozgrzane od długich spojrzeń i dotknięć pod stołem. I tak mijają pierwsze dni sielanki. Każdy pocałunek jest jeszcze niczym odkrycie, a każde spojrzenie jest potwierdzeniem, że to naprawdę się dzieje. Aż nagle Libertyn zaczyna odczuwać pewne obawy, które ściskają go gdzieś pod mostkiem. Zgodził się być chłopakiem Rose, ale wciąż nie ustalili, jak naprawdę ma to dalej wyglądać. Obiecali sobie szczerłość, wyznanie emocji i żadnych podchodów czy kłamstw. Rose, czujna na każdy jego gest, szybko domyśla się, że coś jest nie tak. Widzi, że jego spojrzenia uciekają, dłonie bawią się na zmianę długopisem lub gniotkiem zrobionym przez Amidalę na zajęciach plastycznych, a w powietrzu zawisa niewypowiedziane.

– Villuś, chcesz mi coś powiedzieć? – odzywa się w końcu zastając go w domowym studiu nagrań, gdzie od kilku godzin siedzi skulony, z opuszczoną głową próbując wtopić się w fotel.

Wokół panuje półmrok rozproszony jedynie zielonkawym światłem diod na konsoli, a zapach nagrzonej elektroniki i drewnianych paneli miesza się z jego perfumami.

– Nie, wszystko jest dobrze – odpowiada zbyt szybko, zbyt gładko, nie podnosząc na nią oczu.

– Chodzi o muzykę? O natchnienie, wenę, jej brak? A może czegoś żałujesz?

Chłopak bierze słuchawki leżące na konsoli, owija kabel wokół palców, a potem nerwowo go rozplątuje. W końcu odchyła się w fotelu chcąc nabrać nieco dystansu.

– Z weną wszystko jest dobrze. Nie ukrywam, że napisałem kilka hitów, a płyta maluje się w pozytywnych barwach – dodaje z cieniem dumy.

– Czyli jeśli nie o muzykę chodzi, to czego żałujesz? – Rose nie odpuszcza, głos ma spokojny, ale w oczach migocze stanowczość.

Obietnica szczerłości, którą sobie złożyli, staje się teraz ciężarem. Ville odchrząkuje, przymyka powieki szukając odwagi w ciszy studia. W końcu wydobywa z siebie szept:

– Boję się, co dalej z nami.

Dziewczyna przesuwając się bliżej, jej spódnica muska jego kolano. Siada obok i dotyka jego dłoni – tak lekko, jakby próbowała oswoić dzikie zwierzę. Wpatruje się w jego profil, w cień rysujący się na jego twarzy.

– No nieźle – wzdycha z mieszaniną rozbawienia i troski. – Jesteśmy razem od kilku dni, a ty martwisz się już o przyszłość.

On wreszcie odwraca się do niej zbierając w sobie całą odwagę. Zęby przygryzają wargę, a w oczach pojawia się surowa szczerłość.

– Jestem pieprzonym libertynem, nie księciem z bajki. Boję się, że cię skrzywdzę. Kochanie, ja jestem muzykiem: backstage, aftery, mnóstwo pięknych i chętnych dziewczyn... Przecież nie zawsze ze mną będziesz.

Głos drży mu lekko, a ostatnie słowa wypadają z niego jak gorzkie wyznanie, które zbyt długo w sobie tłumił. Ona nie odpowiada od razu. Wygodnie opiera się w fotelu chcąc złagodzić narastające w sobie napięcie. Przechyla głowę, a jej włosy zsuwają się na ramię, łagodząc ostrość spojrzenia. Wpatruje się w jego zielone oczy – tak uważnie, że ma wrażenie, jakby zaglądała do środka. W głowie ma już pewien porządek: dwa miesiące w pałacu wystarczyły, by zobaczyć, że tu otwarte układy są codziennością. Jej samej doświadczenia z Ville smakowały i nie ma zamiaru z nich rezygnować. Ale jedno jest dla niej jasne – nigdy nie pozwoli na relacje bez niej.

– Pamiętam, mówiłeś kiedyś, że twoja dziewczyna powinna być chętna do kątów i że kilka razy w roku by ci wystarczyło. Ale jeśli mówisz o innym układzie, to nie wiem...

Ville prostuje się gwałtownie, bo właśnie usłyszał coś nieprawdopodobnego, czego zupełnie się nie spodziewał. Zmarszczki na czole układają się w pytanie, a oczy rozszerzają się z niedowierzaniem.

– To zgadzasz się na takie kąty? Nie chcesz wierności i wyłączności?

Rose wybuchła krótkim, swobodnym śmiechem, który rozprasza napięcie jak trzask iskry w ciemności.

– Zdaje się, że musimy ustalić zasady, piękny Libertynie. Pewne rzeczy już przemyślałam.

Chłopak, w swoim teatralnym stylu, unosi rękę w eleganckim geście sugerując żeby mówiła dalej.

– Zgadzam się na kąty pod warunkiem, że kiedyś spróbujemy też z chłopakiem i że to ja będę akceptować uczestników. Żadnego kombinowania, Rian!

– To niepotrzebnie się martwiłem. – rzuca z ulgą czując, że właśnie z ramion spadł mu ogromny ciężar.

– Nie jestem idiotką. Nie oczekuję, że nagle z rozpustnika staniesz się wiernym chłopakiem z tanich romansideł – mówi zadziornie, muskając go palcami po kolanie.

Jej dotyk jest lekki, ale wystarczy, by krew szybciej popłynęła w żyłach. On odpowiada spojrzeniem błędzącym po jej obojczyku chcąc zapamiętać każdą linię jej ciała.

– Wygląda na to, że znalazłem swój ideał. Jak ty to robisz? Skąd masz siłę?

– Może po prostu taka jestem, tylko wcześniej o tym nie wiedziałam – odpowiada, nachylając się i chwytając jego usta krótkim pocałunkiem.

Odsuwa się od niej lekko, z ironicznym uśmieszkiem prowokując ją do dalszej gry.

– Chcesz trójkąta z chłopakiem? Jeszcze niedawno mówiłaś, że to za dużo, że się wstydzisz.

– Czemu nie? Zawsze można tylko poleżeć – śmieje się i znowu go całuje, głębiej, dłużej. – A co do całowania z innymi: całuj się z kim chcesz, pod warunkiem, że kiedy powiem „stop”, to masz być grzeczny. I że nie będziesz miał nic przeciwko jeśli i ja też będę to robić.

– Mmm... – mruczy, całkowicie pochłonięty pocałunkiem ale zaraz odsuwa się od niej jakby obudził się z jakiegoś transu. – Z każdym kochanie ale z nikim z zespołu.

– Ale z Thomasem? – pyta zadziornie, unosząc brew.

– Nie.

– Skoro tak, to tobie też nie wolno się z nim całować i przytulać.

Jego twarz zastyga na moment, wreszcie przegryza wargę i zaczyna cicho, może nawet zbyt niepewnie.

– Ale nie rób tego zbyt często. Pamiętaj, że DJ jest moim emocjonalnym partnerem.

Rose potakuje, a jej dłoń powoli muska jego ramię, zostawiając za sobą ciepły ślad.

– I mam jeszcze prośbę – dodaje z szerokim uśmiechem na ustach.

Chłopak rozkłada ręce w przesadnym, dramatycznym geście kapitulacji, jak aktor poddający się na scenie.

– Że będę mogła tu w studiu nagrać się do twojego kawałka *Red sky*. Uwielbiam to wycić w samochodzie. Jego twarz tężeje, mięśnie szczęki napinają, a oczy rozszerzają się niczym spodki.

– Wchodź do kabiny, coś nagramy – mówi piskliwie, niedowierzając w to, co usłyszał.

Podobnie do Ramiego i Amidali, ma słuch absolutny. Pamięta aż za dobrze, jak jego córka zabroniła dziewczynie śpiewać do snu, twierdząc, że czytanka w zupełności wystarczy. Teraz, słysząc pierwsze dźwięki, Ville walczy z grymasem na twarzy, zagryza wargę i mruczy do siebie:

– Kocham tę kobietę. Kocham.

A gdy jego ukochana kończy swoje cztery minuty wycia i rozpaczy, z mikrofonu nagle spadają słowa, które brzmią jak odpowiedź na jego myśli.

– Ja też cię kocham – mówi bez zawahania.

Tymczasem, do Rathorehouse wracają Rianowie z Amidalą na czele. Ciężkie drzwi skrzypią, a echo kroków odbija się po korytarzach. To znak, że pałac znów zacznie tętnić życiem – wypełni się rodziną, zespołem i przyjaciółmi, muzyką, śmiechem, rozmowami, wrzaskami i bieganiną, które wkrótce staną się częścią kolejnych odcinków drugiego sezonu *Liberty Fade Life*.

Rose wciąż nocuje w Pokoju Bacha – tak, jak ustalili, chcąc jeszcze przez jakiś czas zatrzymać swój związek wyłącznie dla siebie. Przy innych poruszają tylko bezpieczne tematy, wymieniają uprzejme uwagi i prowadzą niewinne small talki. A jednak, gdy nikt nie patrzy, dłonie wędrują po plecach i biodrach, obejmują się ciasno, całują ukradkiem, a w ucho padają im szeptem sprośne słowa, które rozpalają mocniej niż jawne wyznania. Ten sekret trwa w cieniu codzienności.

Niedługo po przyjeździe reszty zespołu ruszają próby, a pewnego wieczora Emma, Paul, Robert, Thomas i Wendy stoją przy marmurowej balustradzie na galerii nad holem głównym pochylając się lekko, spoglądają w dół, jakby obserwowali jakieś tajemnicze zjawisko. Na marmurowej posadzce, w blasku lamp zawieszonych przy kolumnach, Rose – ubrana w czarne legginsy i dopasowaną koszulkę – czołga się po podłodze, trzęsąc się ze śmiechu. Obok niej Amidala, w granatowym dresie, ślizga się na brzuchu jak pingwin, raz po raz wybuchając radosnym piskiem.

– Co one robią? – pyta cicho Emma, przekrzywiając głowę i zatrzymując wzrok na zgrabnych pośladkach Rose.

Robert, który akurat widzi ten sam widok, dostrzega spojrzenie swojej ukochanej i z trudem powstrzymuje uśmiech. Sięga do kieszeni, wyciąga telefon i jednym kliknięciem uruchamia podgląd z kamer holu.

– Warto to nagrać, może coś ciekawego się wydarzy. Na przykład zbiją jakiś wazon?

Wszyscy parszczą śmiechem, ale od razu milkną czując się jak dzieci podsłuchujące rozmowę dorosłych.

– Rose jest gorąca, nie dziwię się, że Libertyn łązi za nią z wywieszonym jęzorem – mruczy Paul, opierając się biodrem o barierkę.

Wendy zerka na niego z rozbawieniem i przytula czule, choć właśnie jej ukochany bezczelnie gapi się na zgrabną figurę innej dziewczyny.

– Rose nieźle się całuje – dorzuca Thomas półgłosem uśmiechając się podstępnie.

Wendy szturcha go łokciem, Paul i Emma parszczą śmiechem, a Robert rzuca ironicznie:

– No cóż, w końcu pobierała nauki od samego Libertyna.

Wszyscy potakują z udawaną powagą. Żart żartem, ale coś w tym jest.

– Myślicie, że są razem? Ta ich relacja jest... dziwna. Znowu się lubią... – wtrąca Paul.

Każdy kiwa głową, ale poza Thomasem nikt nie zna odpowiedzi. Reszta raczej zaprzecza, a jednak coś wisi w powietrzu. Czuć to w spojrzeniach, w drobnych gestach, w tej napiętej lekkości między nimi. Ville i Rose nie zachowują się jak para – przynajmniej nie oficjalnie. Żadnych wyznań, żadnych deklaracji, żadnych „nas”. A mimo to ich bliskość iskrzy, choć jeszcze kilka dni temu iskrzyło, ale z zupełnie innego powodu.

– Moim zdaniem – zaczyna Emma – trzeba Kurdupła przycisnąć. Dla mnie to jest dziwne. Najpierw łyż, Thomas... – spogląda wymownie na DJ-a – a teraz znowu wielka przyjaźń. Coś tu nie gra.

Robert, opierający się biodrem o barierkę, patrzy wymownie na resztę.

– Zrobimy interwencję. Niech Kurdupel się tłumaczy. A jeśli będzie trzeba, użyjemy środków przymusu bezpośredniego.

Reszta potakuje, zacierając ręce i szczerząc się do siebie.

Na dole Amidala nagle przewraca oczami, jakby poczuła się osaczona przez własne zasady.

– Rose, teraz to twoja wina. Wracamy pod okno.

Czołganie zaczyna się od nowa – w ciszy, ale z tłumionym chichotem – kiedy nagle do holu wchodzi Ville. Ma na sobie ciemno bordowy kaszmirowy sweter i eleganckie spodnie w kant, które podkreślają jego nienaganny styl, zupełnie niepasujący do aktualnej sytuacji. W dłoni trzyma bidon w kolorowe kwiaty, z którego właśnie popija wodę. Zatrzymuje się na środku i przez chwilę tylko patrzy.

– Przepraszam – mówi z niedowierzaniem, rozglądając się po pomieszczeniu – co wy robicie?

Amidala wstaje, otrzepuje dres z powagą godną oficera specjalnej misji i wskazuje palcem w górę.

– Widzisz tę diodę nad wejściem? – rzuca tonem wyjaśniającym.

Ville kiwa głową z miną człowieka, który nie do końca wie, w co się właśnie wpakował. Bierze jeszcze łyk wody, spogląda na diodę... potem na tyłek Rose... i z powrotem na światło.

Ami kontynuuje z kamienną twarzą:

– Naszym zadaniem jest przeczłogać się przez cały hol i nie uruchomić diody.

– A to w ogóle jest możliwe?

– Dwa razy nam się już udało – mówi dziewczyna, rozmasowując ramię.

– W takim razie ja też chcę – stwierdza bez wahania, odstawia swój bidon na kominek i z eleganckim impetem rzuca się na podłogę.

Po chwili cała trójka – Ville, Rose i Ami – pełznie przez marmurowy hol, jakby walczyli o przetrwanie w programie reality show o czołganiu. Ich śmiech odbija się echem po kolumnach i schodach. Na górze muzycy Liberty Fade spoglądają po sobie wymownie po czym każdy odwraca wzrok.

– Idę się przebrać – mówi Emma z udawanym brakiem zainteresowania. I rusza w stronę sypialni, gdy cztery pary oczu zawisają na jej plecach.

– Idę poćwiczyć – dodaje.

Przez chwilę jeszcze stoją przy balustradzie, a potem cała piątka rozpierzcha się do pokoi jak dzieci, którym ktoś dał pozwolenie na szaleństwo. Niedługo później – już w dresach i wygodnych bluzach –

schodzą po schodach jeden po drugim i... bez słowa dołączają do reszty. I tak, zamiast spokojnego wieczoru, w pałacowym holu zaczyna się wielkie czołganie z misją: nie wzbudzić diody alarmu.

Na galerii przystają Rami i Mia. Oboje opierają się o balustradę, przyglądając się młodzieży z uśmiechem. Ich spojrzenia spotykają się co chwilę, pełne cichego porozumienia – jakby sami mieli ochotę zejść na dół i dołączyć.

– No nie wiem – zaczyna Mia, kręcąc lekko głową – mam już swoje lata, jeszcze mi coś trzaśnie w biodrze.

– Matka, nie wymiękaj – śmieje się Rami i kładzie dłoń na jej plecach. – I nie mów nic o latach, niejedna „trzydziecha” może ci pozazdrościć urody, figury i powabu.

– Dobra, Antero, już mnie tu nie czaruj – odpowiada miękko.

Rami kiwa głową konspiracyjnie, a potem ściska delikatnie jej dłoń. Mia parska krótkim śmiechem, nie odrywając oczu od wyczynów młodych. Słucha ich kłótni o to, kto się poruszył i dlaczego, a jednocześnie czuje ciepło bliskości męża – znajome, niezawodne, takie, które sprawia, że nawet ich własne dorosłe życie wydaje się odrobinę lżejsze.

W tym samym czasie czołgająca się ekipa jest już niemal przy końcu – dosłownie kilka metrów od przeciwległej ściany, gdzie czeka bezpieczna strefa. Nikt się nie odzywa. Każdy skupiony jest na swoich ruchach: kolana ślizgają się po chłodnej posadzce, łokcie suną z delikatnym szuraniem, oddechy przyspieszają. To już. Już prawie. I wtedy... Z marmurowych schodów z impetem zbiega Echo, zostawiając za sobą ślady łap jak plamy chaosu. Pędzi przez hol niczym torpeda, merdając ogonem, ślizgając się na zakrętach i... uruchamia wszystkie diody alarmowe naraz.

– Ten pies psuje nam zabawę! – piszczy Amidala, wbijając wzrok w staffika, który w odpowiedzi podbiega do niej z wywieszonym językiem i radośnie liże ją po twarzy.

Ville leży obok niej, na brzuchu, z brodą opartą o zimną posadzkę. Oddycha ciężko i patrzy w sufit z miną filozofa po porażce.

– Pies to pies, nic tym nie zrobisz – stwierdza z kamienną powagą, nie podnosząc głowy.

Echo tymczasem robi triumfalne kółko wokół grupy i z piskiem pazurów przysiada obok Rose, liżąc ją po uchu, na co dziewczyna otula jej kark ramieniem.

Kilka dni później, Emma, Thomas, Robert i Paul nie próżnują. Najpierw po dobroci – Rob w parze z Paulem postanawiają działać, próbując podstępem zmusić Villego do zwierzeń. Jadą więc do RRstudio. W długich korytarzach słychać przytłumione rozmowy, pojedyncze wybuchy śmiechu, gdzieś niżej dudni bas. Wszystko to miesza się z zapachem kawy unoszącym się spod drzwi biur i studiów nagraniowych – typowa codzienność tego miejsca, pełna szmeru i ruchu. Ville siedzi za biurkiem. Z głośników sęczy się cichy, ambientowy beat – niedokończony, rozedrgany szukający właściwego tonu. Libertyn ziewa, opiera głowę na dłoni, w drugiej trzyma długopis. Przed nim leży plik dokumentów, skrupulatnie przeglądanych. Czoło ma zmarszczone, a oczy wbite w cyfry, które dziś nie chcą się ułożyć. Dźwięk muzyki zdaje się oddychać razem z nim. Kamery w gabinecie są włączone, mikrofon też. Ville nagrywa materiał do nowego sezonu – czasem coś powie, czasem zaśpiewa, czasem zareklamuje coś zupełnie przypadkiem, tak jak w poprzedniej odsłonie programu zachwalał swój kalkulator czy mysz do komputera. Drzwi otwierają się bezszelestnie, a do środka wchodzi chłopcy. Robert zatrzymuje się w

progu i opiera nonszalancko o framugę, jakby chciał zablokować wyjście, a Paul od razu zajmuje fotel naprzeciwko biurka.

– Cześć, piękny – rzuca z uśmiechem, opierając łokieć o poręcz.

Ville nawet nie podnosi głowy znad papierów. Ziewa i mruży:

– Co tam, słodki?

– Wiesz, w zespole mówimy o tobie. Martwimy się – zaczyna Paul, kręcąc się w fotelu.

Libertyn zerka przelotnie na telefon. Rose znowu przysłała mu serduszko, więc odsyła szybką emotkę z buziaczkiem.

– Nie rozumiem – odpowiada bezbarwnie.

Robert rusza z progu, podchodzi bliżej i siada obok Paula.

– Ostatnio dziwnie się zachowujesz – stwierdza, patrząc przyjacielowi prosto w twarz. – Dużo gadasz o pogodzie i...

– ...o jedzeniu i zwierzętach – dorzuca Paul z rozbawieniem.

Ville znowu zerka na telefon. Nowa wiadomość od Rose sprawia, że parska śmiechem, odpisuje kilka zdań w odwecie, blokuje ekran i dopiero wtedy patrzy na chłopaków.

– Ja? – pyta z udawanym zaskoczeniem.

– No właśnie, ty – Robert unosi dłonie w geście bezradności. – Była jedna impreza, druga... nie zarywasz. Co się stało z naszym Libertynem?

Ville teatralnie rozgląda się po gabinecie, jakby sprawdzał, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Kamera łapie każdy szczegół.

– Mam problemy z siusiakiem – mówi szeptem z powagą godną filozofa.

– Co, że... coś cię dopadło? – rzuca z ironią Paul, choć w głosie drży cień niepokoju.

– Krosta. A może dwie – odpowiada kamiennym tonem. – Wiesz, jak to jest. Zresztą obaj znacie ten ból. Na twarzach przyjaciół pojawia się grymas – coś pomiędzy wstydem a niechętną solidarnością.

– No... zeszły rok – wzdycha Paul. – Kilka minut radości, potem tygodnie żalu.

– Pamiętam jak przez mgłę – dodaje Robert, kiwając głową – ale świadomość bólu została ze mną do dziś.

Libertyn najpierw chichocze cicho próbując się jeszcze powstrzymać, ale potem śmiech wyrywa mu się coraz głośniejszy, aż w końcu wybuchają pełną parą. Trzęsie się cały, łapie za brzuch, nie mogąc złapać tchu.

Paul patrzy na niego oszołomiony.

– Co cię tak bawi?

– Właśnie ty i nasz perkusista Robuś przyznaliście się milionom widzów, że złapaliście syfa – wykrztusza Ville przez łyż, uśmiechając się niczym kot, który połknął kanarka.

– Cholera, wkręciłeś mnie! – Paul zrywa się gwałtownie z fotela, aż krzesło uderza o ścianę. – Nienawidzę cię!

Drzwi trzaskają z hukiem, przecinając śmiech jak ostrze. Robert również podnosi się z fotela, podchodzi do biurka i mierzy przyjaciela ostrym spojrzeniem.

– Nie żyjesz, Kurduplu. A jeśli to znajdzie się w odcinku, to nie ręczę za siebie – syczy i wychodzi za Paulem.

W gabinecie zostaje cisza. Ville powoli odwraca głowę w stronę kamery, tej, która od dawna wszystko nagrywa. W jego oczach nie ma już śmiechu.

– Ja mam akurat problemy z sercem. I nie chodzi o moją arytmie – mówi cicho, niemal szeptem.

Mruga do obiektywu, a potem wstaje, przeciąga się szeroko i spogląda na zegarek. Bez pośpiechu rusza korytarzem w stronę pokoju socjalnego mając ochotę na kawę. Przy automacie od razu włącza kamerę ustawioną na statywie oraz drugą, umieszczoną na ścianie. Obiektyw nie raz już łapał go w tym miejscu – podczas parzenia kawy czy rozmów z pracownikami przy dystrybutorze wody. Ville stawia na blacie swój ulubiony kubek i uruchamia ekspres, żeby się nagrzał. Spogląda prosto w kamerę:

– To jest bardzo fajna maszyna do kawy: latte, macchiato, cappuccino. Ekspres jest idiotoodporny, czyli coś dla mnie – wskazuje na siebie z zadowoleniem.

Podnosi kubek i pokazuje go do kamery. Czarny, ze srebrnym napisem „Libertyn” robi wrażenie.

– Robert zaprojektował go specjalnie dla mnie – dodaje z dumą. – To moje wiadro. Tak nazywam kubki o dużej pojemności. Zresztą, z wiadrem wiąże się pewna historia.

W tym momencie zapala się czerwona dioda, a na twarzy Villego pojawia się grymas.

– Cholera, co jest? – mruczy, zerkając na maszynę.

Szybko spostrzega brak wody. Wstawia pojemnik, uzupełnia go i po chwili ekspres syczy, parząc mu ulubione cappuccino.

– No, działa. Mi się sprawdza, polecam – drapie się po głowie. – Znaczy... to nie jest reklama, nikt mi za to nie płaci – dodaje, rozkładając ręce.

W tym samym czasie w drzwiach staje Rami. Przysłuchuje się monologowi syna, unosząc brwi.

– Znowu coś reklamujesz?

Ville parska śmiechem i wlewa do kubka trochę syropu waniliowego, miesza powoli, upija łyk i kiwa głową z aprobatą.

– Też chcesz kawę? – pyta ojca.

– Tak, taką jak twoja, tylko nie w wiadrze. Normalna filiżanka mi wystarczy.

Ville z namaszczeniem włącza ekspres ponownie, a z maszyny wydobywa się syk.

– Skoro już tak zareklamowałeś ten ekspres, to przynajmniej poproś producenta o zapas kawy. Może ci coś wyślą.

Ten tylko teatralnie wzdycha i podaje mu filiżankę. Obaj przysuwają się do stołu, częstując się ciasteczkami, które ktoś zostawił wcześniej. Ustawiają też kamery tak, by obejmowały ich obu.

– Nie znam tej historii z wiadrem – mówi Rami poprawiając ostrość kadru.

– To było w wakacje, na takich rockowych dożynkach na Węgrzech – zaczyna tonem gawędziarza. – Mieliśmy swój kąt, taką skromną przystań za kulisami, gdzie można było odetchnąć przed występem. Siedzimy, a tu podchodzi do mnie dziewczyna z obsługi, białogłowa o spojrzeniu bystrym, i pyta, czy czegoś nie potrzebujemy.

Zatrzymuje się na moment, unosi brew, jakby chciał dać napięciu wybrzmieć.

– A ja, wierny swojej naturze, proszę o latte... w wiadrze. Dziewczę robi wielkie oczy, kiwa głową i odchodzi. Czekam dziesięć minut, dwadzieścia... czas ucieka, występ tuż – tuż, a ja wciąż bez czarnej polewki.

W tej chwili unosi palec, jakby wskazywał niewidzialny punkt na horyzoncie.

– I nagle wraca białogłowa, dzierżąc w ramionach kociołek pełen latte, i z powagą rzecze: „Przepraszam, że w garnku ale nigdzie nie było wiadra”.

– A niech to lichy porwie, diabli nadali – dopowiada Rami poważnym tonem, choć w oczach tańczy mu rozbawienie. – Nazwałeś festiwal rockowy na ćwierć miliona ludzi dożynkami... Zobacysz, będzie to cytowane w memach...

Po czym obydwaj wybuchają śmiechem.

Kolejnego dnia, tuż po próbie ekipa postanawia wreszcie dopiąć swego i dowiedzieć się co łączy Libertyna z Rose. W salonie i holu głównym zbiera się napięcie, jak przed małym widowiskiem. Kamery ustawione są w gotowości czekając na włączenie. Robert, Paul, Thomas i Emma krążą niespokojnie między sofą a balustradą schodów. Wiedzą, że zaraz Libertyn zejdzie na dół – i wtedy nie będzie odwrotu.

– Przyznałeś się przed kamerami, że złapałeś coś wenerycznego, brawo, kochanie – mówi Emma, chichocząc pod nosem i opierając gitarę o sofę.

Robert patrzy na nią spod przymrużonych oczu, kręcąc głową.

– Ty też święta nie jesteś.

– Ale ja przynajmniej nie mówię tego do obiektywu – odpowiada z wyższością, a potem przesuwając palcami po jego policzku próbując go rozbroić.

Robert już otwiera usta, żeby jej znowu coś wytknąć, ale wtedy na schodach słychać kroki. Z góry schodzi Ville: włosy starannie ułożone, koszula niedbale zapięta na kilka guzików, lekki makijaż podkreślający oczy, a do tego ten wieczny, szelmowski uśmiech, który rozbraja i prowokuje zarazem.

– Hej... to jakaś interwencja? – rzuca teatralnie, zatrzymując się na półpiętrze i omiatając spojrzeniem twarze przyjaciół.

Siostra wskazuje mu fotel ustawiony na środku pokoju niczym tron.

– Siadaj – syczy, choć w jej oczach błyska rozbawienie.

Ville unosi brodę i z przesadną gracją opada na fotel, jak księżę z kreskówki, który łaskawie pozwala się sądzić.

– Wygodnie ci? – Robert opiera się o ramię fotela, pochylając się tak blisko, że ich spojrzenia niemal się zderzają.

Libertyn przeciąga się leniwie, aż chrupią mu stawy, i parska śmiechem, patrząc koledze prosto w oczy.

– Teraz już tak.

– Kurduplu... czy chcesz nam coś powiedzieć? – pyta w Paul wskazując palcem na Villego z miną detektywa w tanim serialu kryminalnym.

On rozciąga usta w niewinnym uśmiechu i unosi dłonie w obronnym geście.

– Ja? Zdaje się, że to ty już dużo powiedziałaś, ty i nasz perkusista.

– Zamknij się – syczy Paul, pochylając się tak blisko, że niemal stykają się czołami. – Teraz czas na ciebie – dodaje złowrogo.

– Nie mam sobie nic do zarzucenia.

– Przestań pajacować – wtrąca Robert. – Co się dzieje? Zawieszenie systemu sercowego?

Emma nachyla się nad bratem z ironiczną czułością, jakby chciała go pogłaskać po głowie.

– Czyżby lodowate serduszko Libertyna zaczęło się topić?

– Ta, topić... – Paul krzywi się teatralnie, robiąc minę jakby nagle zobaczył coś obrzydliwego. – Tam już marcowa plucha.

Śmiech przetacza się przez salon niczym fala. Ville próbuje wykorzystać moment i niepostrzeżenie zsunąć się z fotela, ale Paul natychmiast opada obok i przytrzymuje go za ramię.

– O rany, jaki on kościsty – zauważa z rozbawieniem bo właśnie dopiero teraz poczuł, że jego przyjaciel składa się z samych kości i mięśni.

Thomas szczerzy się szeroko i klepie Villego po kolanie.

– Mój chuderlaczek – mówi, puszczając mu oczko.

– Rianie Juniorze... – zaczyna coraz bardziej poirytowany Robert. – Czy ty masz dziewczynę? Nie, przepraszam. – Pochyla się bliżej. – Czy ty jesteś z Rose?

Ville wzdycha z niewinnością anioła, jakby niczego nie rozumiał.

– Ja?

Emma zaciska palce na gryfie gitary stojącej przy kanapie patrząc w płomienie kominka, bierze parę głębokich oddechów i cedzi przez zęby.

– Jeszcze jedno „ja?” i rzucę ci tą gitarą w ten zakuty cymbał. Masz dziewczynę, czy nie?!

– Nie mam sobie nic do zarzucenia – odpowiada i składa dłonie w piramidkę. – Jestem... idealnym kandydatem na... prezydenta.

– Ughh... – jęczą wszyscy chórem, a echo odbija się od ścian.

Paul mruży oczy i przenosi spojrzenie na Thomasa, który do tej pory milczał, ale teraz uśmiecha się znacząco, jakby wiedział coś więcej.

– Ty coś wiesz!

– Ja? – pyta Thomas unosząc ręce w geście poddania i kręcąc głową.

Emma zaciska zęby i czerwienieje ze złości.

– Jak bogów kocham, jeśli jeszcze raz usłyszę „ja”, to wyjdę z siebie! – wykrzykuje, a potem wskazuje na brata ogłaszając wyrok. – Ale ja to załatwię. Patrzcie, tak to się robi!

Chwyta pogrzebacz z kominka i z groźnym błyskiem w oku kieruje się prosto do brata.

– Chłopcy, przytrzymajcie go! – krzyczy. – Zaraz mu przypalę tyłek, to wszystko wyśpiewa!

Ville piszczy cienkim głosem i próbuje wyrwać się z fotela, ale Paul i Robert przygwożdżają go do podłokietników. Szarpie się, nogami trze o dywan próbując się wyślizgnąć.

– Ja nic nie wiem!

– To zaraz się przekonamy – zbliża się z pogrzebaczem, robiąc krok za krokiem, jak kat z wyrokiem.

– Jestem twoim braciszkiem! – krzyczy dramatycznie, dalej próbując wyrwać się z objęć chłopaków. – RATUNKU!!! – wyje, a jego głos niesie się echem po korytarzu.

I wtedy nagle napięcie opada. Pogrzebacz znika z dłoni Emmy – ktoś wyrwa go spokojnym, pewnym ruchem. Emma odwraca się ku wejściu i od razu uśmiecha się zawadiacko.

– A jednak nasza pani informatyk.

Chłopaki puszczają Villego, a ten natychmiast osuwa się na podłogę, jakby stracił przytomność. Po chwili jednak podnosi się, otrzepuje rękawy koszuli i marszczy nos, patrząc na wszystkich z udawaną urazą.

– Nienawidzę was – syczy teatralnie, a potem nie wytrzyma i szeroki uśmiech rozlewa mu się po twarzy na widok swojej ukochanej.

– Dziękuję za uratowanie życia – szepcze obejmując ją mocno.

– Walczyłeś dzielnie, kochany Villusiu – odpowiada ciepłym tonem, gładząc go po włosach.

– Kochani... – zwraca się do stojącej obok kamery. – Rose, pani mojego serca – mówi wesoło, po czym daje jej soczystego buziaka w usta.

Reszta ekipy nie odzywa się ani słowem – tylko wymieniają spojrzenia, robią przesadne miny „słodko” i formują serduszka z palców. Jeszcze przez chwilę udają chór aniołków i jeden po drugim wychodzą, zostawiając ich samych w salonie. Rose nie czeka długo, rzuca się na Libertyna, oplatając ramionami i nie szczędząc mu pocałunków. Chłopak cofa się kawałek, aż wpada w miękkie oparcie fotela, śmiejąc się w jej usta.

Nagle ze schodów wpada Amidala, cała rozpromieniona i zasapana od biegu. Włosy podskakują jej na ramionach, a policzki ma zaróżowione od ekscytacji. Gdy tylko zauważa swojego ojca i Rose przytulonych, przewraca oczami, rozkłada ręce w przesadnym geście i wykrzykuje:

– No nareszcie! Jejku, ile to trwało!

Para odsuwa się od siebie w pośpiechu, jakby właśnie przyłapano ich na gorącym uczynku. Ami macha ręką z miną „dobra, nieważne” i już sekundę później podskakuje niczym sprężyna, wyrzucając z siebie słowa z całą dziecięcą ekscytacją:

– Widzieliście, ile jest śniegu?! Ulepmy bałwana!

– Czas przygotować kamery! – mówi Ville z przesadną powagą, jakby lepienie bałwana było najważniejszym wydarzeniem sezonu, które koniecznie trzeba uwiecznić dla widzów.

Cała trójka spotyka się na zasypnym śniegiem tarasie od strony ogrodu. Okolica wygląda niczym z pocztówki – miękkie białe zasy otulają równo przycięte krzewy, a powietrze jest rześkie i skrzy się w promieniach zimowego słońca.

Rose analizuje strukturę śniegu kiwając głową z aprobatą, a Amidala podskakuje z ekscytacji, nie mogąc doczekać się pierwszego zimowego projektu.

– Idziesz na wybieg? – pyta Rose przyglądając się z niedowierzaniem Villemu w czarnych nausznikach i czerwonym wełnianym płaszczu.

On jedynie teatralnie przewraca oczami, nie odpowiadając ani słowem. Odwraca się na pięcie z przesadną powagą i schyla się, by zacząć pierwszą kulę. Rose zerka na to osobliwe zjawisko, jak jej ukochany wziął się za lepienie człowieka ze śniegu.

Gdy niemal wszystko jest gotowe, z domu wypada Echo, rzuca się na bałwana, wyrwijąc mu gałązki robiące za ręce i drapiąc jego podstawę. Amidala piszczy i tupie nogą, próbując odgonić staffika, ale Echo podskakuje i jednym kłapnięciem szczęki wyciąga marchewkę robiącą za nos. Biegnie ze zdobyczą do pałacu i tam, z miną zwycięzcy, chrupie wesoło swój łup. Ville, Rose i Amidala stoją jeszcze przez chwilę przy zdemolowanym bałwanie – aż nagle, jak na komendę, zaczynają bitwę na śnieżki.

Pokój kominkowy aż tętni życiem. Drewno trzaska w palenisku, rzucając na ściany migotliwe refleksy. Sofy i fotele zajęte są przez Mię, Wendy i resztę zespołu; słychać chichoty, głośnie westchnienia i szepty, które co chwila wybuchają salwami śmiechu. Echo, suczka, krąży niestrudzenie między nogami, domagając się uwagi – ktoś rzuca jej kawałek herbatnika, który znika w sekundę. Ville siedzi w

rogu, ze wzrokiem wbitym w dywan, udając, że nie słyszy kolejnych złośliwości o tym, jak długo uciekał przed uczuciem. Wszyscy podkrecają tempo, prześcigając się w anegdotach, aż pomieszczenie rozbrzmiewa gwarem bardziej niż zwykle. I wtedy, dla kontrastu, w progu pojawia się Rami. Cały zadowolony, ze szklaneczką soku w dłoni, przystaje na moment i unosi brwi. Uśmiech błądzi mu po twarzy, gdy patrzy na tę rozbawioną zbieraninę. Potem oznajmia donośnie:

– Słuchajcie, jutro idę na wernisaż i...

Nie ma jednak szans dokończyć zdania. W sekundę wszyscy, jak na sygnał alarmu, podrywają się z sof i foteli. Kieliszki, filiżanki, telefony i papierki po cukierkach zostają porzucone na stolikach, a oni ścigają się jeden przez drugiego do drzwi. Echo szczeka radośnie, myśląc chyba, że to nowa zabawa.

Rami odwraca się w stronę uciekających po schodach na górę i woła:

– Ale hej! Będą darmowe drinki! Mia!

Żona jednak jest już na ostatnim stopniu i pospiesznie chowa się za najbliższą kolumną, tak jak reszta

– gotowa na dalszą ucieczkę, gdyby tylko Rami spróbował ich ścigać.

– Dlaczego wy tacy jesteście? Dlaczego uciekacie? – woła, choć sam dobrze zna odpowiedź i wie że i tak nikt się nie odezwie.

Wzdycha przeciągle, upija łyk i nagle zauważa Rose idącą w stronę holu. Z górnej galerii ktoś z ekipy od razu też ją dostrzega – diody kamer *LFL* błyskają i ożywają cichym szumem.

– Rose – mówi, mierząc dziewczynę spojrzeniem od góry do dołu. – Mam wrażenie, że nawet ogień w kominku przestał trzaskać, kiedy cię zobaczył.

Ona przystaje przed nim, lekko przechylając głowę. Patrzy na niego z nutką konsternacji, ale że nasłuchiwała się o ojcu Villego, doskonale wie, że z Rianem Seniozem nie ma sensu grać bezbarwnie, zwłaszcza, że jego reputacja największego flirciarza w promieniu stu kilometrów jest już tu legendą.

– Rami... w czym mogę pomóc?

Na górze Mia stoi obok Thomasa i Roberta, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Cholera, dobra jest – stwierdza z rozbawieniem. – Byle się nie spieszyła.

Chłopcy prychną pod nosem, wymieniając spojrzenia pełne niedowierzania, ale też podziwu: trzeba mieć żelazne zaufanie, żeby w takiej sytuacji bawić się zamiast marszczyć brwi.

Na dole Rami odstawia szklaneczkę na stół z takim namaszczeniem, jakby to był rekwizyt w teatrze.

– No wiesz, taka kobieta jak ty zasługuje na miejsca, gdzie podają wino w kryształach, a nie w plastikowych kubkach. Piękno i inteligencja nie powinny marnować się w piwnicach przy dudnieniu basu.

– Co masz na myśli?

Mia na górze ścisza chłopaków za ramiona, pochylając się do ich uszu.

– Ma ją. Wpadła w sidła. Możemy odetchnąć w spokoju.

Thomas i Robert potakują, a zza kolumny Ville i Wendy wymieniają porozumiewawcze uśmiešky. Paul i Emma, ukryci za ogromnym kwiatem doniczkowym, pokazują sobie kciuki i znak „ok”, że właśnie udało się najtrudniejsza misja.

Rami robi pół kroku bliżej, jego cień wydłuża się na posadzce. Obniża głos i uśmiecha się zawadiacko, patrząc na jej usta.

– Wernisaż – rzuca krótko. – Jutro – dodaje, przesuwając się jeszcze bliżej, tak że dziewczyna może poczuć zapach jego perfum. – Wieczorem – szepcze jej niemal do ucha.

Rose przetyka ślinę, starając się utrzymać niewzruszoną minę, choć mięśnie karku napinają się mimowolnie.

Na górze Mia ściska kciuki tak mocno, że aż bieleją jej knykie.

– Tylko nie uciekaj, dziewczyno – mamrocze pod nosem. – Bo jeśli schowasz się do podziemi, przez tydzień nikt cię stamtąd nie wyciągnie.

Rose milczy przez dłuższą chwilę, a Rami natychmiast wykorzystuje tę ciszę.

– Jutro, dziewiętnasta, tutaj, pojedziemy razem. Nie chcę słyszeć choć jednego słowa odmowy – mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A nie pojedziesz z Mią?

– No cóż, moja żona ma coś do roboty. Czwartki nigdy jej nie pasują – odpowiada gładko, nawet nie mrugając, choć to oczywista bzdura.

Na górze Mia zerka prosto w kamerę, unosząc brew.

– Nie chodzę z nim na takie imprezy, bo mnie nudzą. Nie będę udawać, że coś mnie fascynuje skoro tak nie jest. Wolę pojechać na nielegalne wyścigi na „ćwiarę” – mówi swobodnie, po czym urywa i dodaje półgłosem: – To się wytnie.

Na dole Rose kiwa głową, lekko speszona, jakby sama siebie nie poznawała w tej zgodzie.

– Dobrze... w takim razie pójdę z tobą – mamrocze pod nosem, niepewnie, bardziej do siebie niż do niego.

Rami uśmiecha się szelmowsko, mruży oczy i nachyla się jeszcze odrobinę bliżej.

– Poczytaj co nieco o malarstwie współczesnym, żebyś wiedziała, o czym rozmawiać – rzuca tonem protekcyjnego nauczyciela.

– Rozmawiać?

– Tak, Rose. I poudajesz, że cię to interesuje – kwituje i zostawia ją samą w holu.

Echo jego kroków niknie w korytarzu, a cisza po nim dudni w uszach mocniej niż wcześniejsza rozmowa. Wtedy z góry dobiegają śmiechy – cała ekipa zaczyna schodzić po schodach, jakby nic się wcześniej nie stało. Libertyn na czele, tuż za nim Mia, Wendy i reszta zespołu, uśmiechnięci, rozgadani niczym aktorzy wychodzący zza kulis po udanym przedstawieniu. Rose stoi osłupiała próbując poukładać sobie wszystko co wydarzyło się dosłownie chwilę temu. Kiedy Ville przechodzi obok, zatrzymuje go w pół kroku.

– Villuś, co tu się dzieje? Dlaczego wszyscy byliście na górze? – pyta zdezorientowana.

Chłopak przytula ją od razu, mocno, tak żeby nie widziała błysku jego oczu ani złośliwego uśmiechu.

– A wiesz, tak jakoś się spotkaliśmy na pogaduchach – odpowiada tonem pełnym niewinnej pewności.

– Rami zaprosił mnie jutro na wernisaż – mówi cicho, bez przekonania.

– Kochanie, to świetnie! Jeśli ojciec zaprasza kogoś na wernisaż, to znaczy, że ta osoba zdobyła jego uznanie. Podobno studiował historię sztuki – zatrzymuje się na moment i po chwili dodaje niemal szeptem: – Choć nikt nigdy nie widział dyplomu.

– W takim razie... idę poczytać o tym całym malarstwie. – Wzdycha, całuje go w czoło i rusza w stronę schodów.

– Dobrze kochanie, niedługo przyjdę.

Kiedy znika, Ville odwraca się do reszty, siada wesoło na dywanie i rzuca konspiracyjnym tonem:

- Udało się. Nie ma nic gorszego niż te jego wernisaże.
- To fakt – mruczy Thomas pod nosem.
- Jeszcze, żeby przynajmniej faktycznie ta cała sztuka nowoczesna go interesowała...– dodaje Emma szeptem do Mii, która tylko potakuje.

Wieczór wernisażu nadchodzi wielkimi krokami. Rose zakłada granatową sukienkę przed kolano, do tego taliowaną marynarkę i pantofle na wyższym obcasie. Pokojówka sprawnie upina jej włosy w kok i poprawia makijaż. Libertyn obserwuje to z szelmowskim uśmieszkiem, a gdy wszystko jest gotowe, podchodzi do niej z małym pudełkiem w dłoni.

- Mam coś dla ciebie, skarbie – mówi i otwiera je, ukazując kolczyki z białego złota.
- Nie musiałeś.

On ignoruje jej słowa, zakładając najpierw bransoletkę, a potem zdejmując jej dotychczasowe kolczyki. Jego dłonie poruszają się pewnie, ale z niezwykłą delikatnością.

- Kochanie, nie musiałem. Ale chciałem. Wyglądasz... – urywa mając coś na końcu języka coś zbyt poważnego, więc dodaje tylko: – Bosko. Po prostu bosko.

Podaje jej ramię i razem opuszczają sypialnię. Kroki odbijają się echem po korytarzu, aż docierają do holu głównego, gdzie już czeka Rami – gotowy na swój wielki wieczór. Ville z wyraźnym ociąganiem przekazuje ojcu swoją ukochaną, przewracając oczami w przesadnym geście, którego Rose nie dostrzega. Rami posyła synowi krzywy, zwycięski uśmiech i bez wahania bierze dziewczynę pod rękę. Jego pewność siebie aż iskrzy w powietrzu.

- Rose – mówi w końcu, z lekkim ukłonem. – Jesteś uosobieniem elegancji i klasy.
- Ty też wyglądasz...świetnie – odpowiada spokojnie, co powoduje przeciągłe westchnienie Villego.

Na dziedzińcu przed pałacem czeka eleganckie Maserati, lśniące w świetle reflektorów. Rami otwiera drzwi dla Rose z manierą zawodowego uwodziciela, jakby robił to na oczach tłumy kamer. W rzeczywistości tylko ekipa *LFL* łapie każdy detal – a ich obiektywy zdają się dokumentować nawet napięcie unoszące się w powietrzu. Rejestratory w samochodzie Riana seniora nagrywają każdy szczegół – od refleksów światła miasta na szybach po drobne gesty rozmówców.

- Dlaczego mam wrażenie, że zostałam podstępem wkręcona w tę całą imprezę? – pyta Rose z lekką irytacją, poprawiając sukienkę na kolanach.

Rami wybuchła śmiechem, ciepłym, ale niosącym w sobie coś więcej niż tylko rozbawienie.

- To dobre wrażenie. Gratuluję spostrzegawczości.
- Nikt nie chciał ci towarzyszyć?
- To dziwne – zaczyna Rami tonem poważniejszym. – Wydawałoby się, że taka kobieta jak moja żona: dystygowana, światowa, znająca śmietankę towarzyską i najważniejszych polityków, powinna interesować się sztuką. Ale tak nie jest. Nie lubię chodzić tam sam, a kocham... sztukę. Ty pewnie nie?
- Nie, ale lubię fotografię. To mnie naprawdę interesuje.
- Tak, widziałem twoje zdjęcia. Zespół, urodziny naszej wnuczki... Masz oko ślicznotko i wycucie chwili. Nie każdy potrafi złapać taki moment, a to talent cenniejszy niż wszystkie filtry razem wzięte. Dziewczyna spogląda na jego profil, na linię żuchwy, na uśmiech, który na moment przypomina jej inny, młodszy, dobrze znany. Ville jest podobny do ojca – każdy gest, spojrzenie, teatr w ruchu. A jednak...

brakuje mu tego, co bije z Ramiego: ciężaru doświadczenia, dojrzałości, pewności, która nie wymaga potwierdzenia.

– Dzięki – mówi w końcu cicho.

Rozmowa schodzi na fotografię i zanim Rose się obejrzy, parkują już przed galerią sztuki. Budynek wyrasta przed nimi elegancką fasadą z piaskowca, rozświetloną przez reflektory skierowane na wysokie, przeszklone wejście. Przed drzwiami tłoczą się ludzie – kobiety w sukniach koktajlowych, mężczyźni w garniturach, niektórzy w szalach nonszalancko zarzuconych na ramiona. W powietrzu unosi się zapach perfum i dym papierosów, a gdzieś z boku rozbrzmiewa krótki klakson taksówki, która właśnie wysadziła kolejną parę.

Wbrew pozorom Rose nie jest przytłoczona atmosferą – nie raz bywała na oficjalnych wydarzeniach biznesowych ojca. Tu, podobnie jak tam, reguły są proste: pewnie patrzeć przed siebie, nie zdradzać zakłopotania, odpowiadać z klasą. Ale jest jeden szczegół, tym razem nie idzie z własnym ojcem pod rękę, tylko z samym Rianem.

Rami zawsze pojawia się na takich wydarzeniach z kimś – czasem z aktorką, czasem z bizneswoman, czasem z twarzą z branży muzycznej. Nigdy sam. Dziś jednak to Rose idzie u jego boku, i to ona zbiera najwięcej spojrzeń. Wchodzą razem w głąb sali, mężczyzna idzie taką pewnością, jakby znał tu każdy kąt i każdego człowieka. Co kilka kroków zatrzymuje się – raz uścisk dłoni, raz półuśmiech, raz tylko skiniecie głową. Z każdą kolejną osobą, którą mijają, jego aura dominacji rośnie, a Rose wciągana jest w ten spektakl.

– Moja koleżanka z pracy, Rose Mayer – przedstawia ją mimochodem, tonem, który nie pozostawia miejsca na pytania.

I to działa – kilka osób kiwa głową, ktoś rzuca komplement w jej stronę. Dziewczyna nie traci rezonu. Spokojnie odwzajemnia spojrzenia, uśmiecha się wtedy, kiedy trzeba, przyjmuje podawane dłonie. Ma wrażenie, że uczestniczy w dobrze wyreżyserowanej sztuce a Rami odgrywa swoją rolę z perfekcyjną swobodą. Rose patrzy na ten cały spektakl. Dla niej to wygląda tak, jakby wcale nie chodziło o obrazy na ścianach, ale o budowanie sieci kontaktów, przypomnienie o sobie, o prestiż i wizerunek, albo o coś jeszcze innego

– Rami, powiedz mi szczerze... – zaczyna gdy przechodzą do niemal pustej sali. – Ty naprawdę tu przychodzisz dla sztuki?

On unosi brew bo pytanie go rozbawiło, i przez chwilę wpatruje się w najbliższy obraz tylko po to, by zaraz przenieść spojrzenie na nią.

– Sztuka ponad wszystko... – mówi spokojnie, a po chwili dodaje przekornie: – i dobra zabawa. Wiesz, Rose, to nie wystawa, to teatr dominacji. A ja lubię być na scenie.

Przechyliła głowę, przygląda jej się uważnie.

– Zaczynasz mnie przerażać. Przypominasz mi kogoś.

– Kogo? – podchwytuje szeptem.

– Mię – odpowiada bez wahania. – Nie pozą, tylko tym, jak patrzysz prosto w oczy i nie mrugasz pierwsza. Tą bezczelną bystrością i zadziornością.

Rose na moment milknie; gdzieś z tyłu głowy odzywają się słowa Thomasa, który mówił to samo, ale w innym kontekście – o życzliwości do ludzi i o upartym stawianiu czoła przeciwnościom. Tu i tam ta sama nuta, tylko inny akord.

– Rose, pałac nie wybacza pomyłek. Jedno nieopatrzone słowo, jeden gest w złym kierunku... i otwarte drzwi zamykają się z hukiem.

Przez ułamek sekundy jego spojrzenie łagodnieje, ale zaraz wraca ten dobrze znany błysk pewności.

– Masz bystrość, która może cię wynieść wysoko i właśnie dlatego musisz uważać bardziej niż inni.

Dziewczyna przelęka ślinę i powoli kiwa głową. Rozumie – pałac to Mia, a jej lepiej nigdy się nie sprzeciwiać.

– Choć popatrzymy na te bohomazy – rzuca z lekkością w głosie, jakby przed chwilą wcale nie udzielał jej ostrzeżenia.

Wchodzą do pierwszej z sal, gdzie na ścianach wiszą ogromne płótna, pełne ekspresyjnych plam farby i geometrycznych kształtów. Wokół grupki eleganckich gości kiwają głowami z minami znawców, ktoś popija wino, ktoś inny tłumaczy swojej towarzysze znaczenie czerwonej kreski w rogu obrazu. Rose parska śmiechem, a echo jej głosu odbija się od wysokich ścian galerii. Rami rzuca jej krótkie, groźne spojrzenie spod brwi chcąc ją zgasić jednym gestem. Ale zaraz kącik jego ust unosi się w ironii, bo to całe napięcie było tylko częścią gry. Dziewczyna zatrzymuje się przed pierwszym obrazem – wielkie płótno pełne dzikich, plam rozlanych niczym w gniewie. Przechyla lekko głowę, mruży oczy.

– Chyba inspirowany... – zaczyna powoli szukając odpowiedniego słowa, smakując je na języku. – Pollockiem, tylko z mniejszą gracją.

– Ktoś odrobił lekcję – mruczy Rami.

Staje tuż za nią, blisko, za blisko jak na zwykłą uprzejmość. Kładzie dłonie na jej ramionach i szepcze niemal do ucha:

– Spójrz w prawo. To autor tych unikatów – mówi, akcentując ostatnie słowo tak, jakby samo w sobie brzmiało już lekko podejrzanie.

Rose zerka na mężczyznę w średnim wieku, otoczonego grupką ludzi, którzy kiwają głowami z przesadnym zachwytem. Artysta gestykuluje szeroko, opowiada coś żywo, a w jego akcentach słychać gorący południowy temperament.

– Hiszpan – szepcze Rami. – Raczej trudno będzie cię tu wybronić, kochanie.

Dziewczyna unosi brew i odwraca się powoli w stronę mężczyzny. Artysta właśnie kończy barwną anegdotę o tym, jak wiatr na Majorce przewrócił mu sztalugę. Wokół słychać kilka grzecznych chichotów. Rose waha się tylko przez ułamek sekundy, lecz gdy znów słyszy hiszpańskie wtrącenia, decyzja zapada natychmiast. Podchodzi bez wahania, wita się z nim po hiszpańsku, płynnie i pewnie dorzucając uwagę o Pollocku, choć sama wie o nim niewiele.

Wokół zapada cisza, kilka osób zerka po sobie niedowierzając, że ta dziewczyna nie tylko zna język, ale i potrafi mówić nim z lekkością.

Rami nie przerywa im rozmowy. Z westchnieniem znużonego bywalca takich wydarzeń odchodzi do grupki kobiet stojących obok. Kilka półuśmiechów, kilka komplementów i już znów jest w swoim żywiole. Po chwili jednak zamiera. Jego spojrzenie zatrzymuje się na kobiecie w ciemnej garsonce, stojącej przy jednej z kolumn. Twarz zna aż za dobrze. Nie czeka ani sekundy dłużej. Wraca do Rose i artysty.

– Wspaniale wam idzie. Ja nie rozumiałem ani słowa, ale wyglądało to profesjonalnie.

Ściska dłoń malarza, dziękuje za „pasjonującą lekcję”, po czym znów zwraca się do swojej towarzyszki:

– Pięknie odegrałaś swoją rolę, *señorita*. Widać, że potrafisz się odnaleźć na scenie. Wystarczy na dziś, musimy już iść – rzuca z wymuszonym luzem, zerka jednak nerwowo w stronę kobiety w garsonce. – Wracamy do domu.

Rose poprawia marynarkę i prostuje się lekko.

– Faktycznie przychodzi tu śmietanka towarzyska... To chyba ta znana dziennikarka, Alice Martin.

Gdy widzi nieszczerą uśmiech Ramiego, dodaje spokojnie:

– Muszę przypudrować nos.

– Świetnie – kiwa głową z udawaną cierpliwością. – Czekam przy samochodzie.

Rose wychodzi przed galerię, dostrzega, że Rami opiera się nonszalancko o błotnik Maserati, z papierosem w dłoni. Czerwony żar rozświetla jego twarz.

– Ty znowu palisz? – pyta z przesadnym oburzeniem, przypominając sobie, że Mia ostatnio ma do niego o to pretensje.

Mężczyzna wypuszcza wolno dym, kąci ust unoszą mu się w półuśmiechu.

– Nie palę. Ja celebruję.

– Znowu będziesz śmierdział jak popielniczka.

– Bądź miłsza, ślicznotko.

Pochyla się ku niej tak blisko, że czuć zapach jego perfum zmieszany z dymem. Głos obniża do szeptu.

– Nic nie mów Mii. A teraz pakuj swój zgrabny tyłeczek, wracamy do domu. Kiedy wrócicie z trasy, znowu pójdziemy na takie spotkanie. Świetna z ciebie towarzyszka – mówi trzaskając drzwiami samochodu.

– O dziwo, dobrze się bawiłam. A teraz, panie Rian proszę obrać kurs na Surrey. Tęsknię za Villusiem.

– Villuś, Villuś... tylko on ci w głowie – odzywa się w końcu, wyprowadzając auto z miejsca parkingowego.

– No, spotykamy się przecież.

– Mój synek wreszcie zakotwiczył... i to w porcie z najwyższej półki.

– To już jest zboczony – krzywi się odwracając głowę.

Rian senior wybuchą głośnym śmiechem i wciska pedał gazu. Maserati płynnie opuszcza parking galerii.

– Właśnie takie miało być – odpowiada bez cienia skruchy, mrugając do niej porozumiewawczo.

Rose parska śmiechem, a chwilę później wpatruje się w niego uważnie, jakby nagle coś sobie przypomniała.

– Dlaczego uciekłeś przed tą dziennikarką?

Rami kręci głowę z teatralnym westchnieniem przypominając sobie coś, czego wolałby nie wypowiadać na głos. Na moment zaciska usta, spogląda przed siebie i dopiero po tej krótkiej pauzie decyduje się odpowiedzieć.

– Bo jest okropna i całkowicie odporna na moje wdzięki. Zadaje niewygodne pytania, za bardzo ciśnie i pamięta każde słowo. Żeby się odczepiła, jakiś czas temu obiecałem jej wywiad. Wiesz, jak jest...

Nie kończy. Sięga do konsoli, przekręca gałkę i zamiast delikatnych jazzowych nut, których można by się po nim spodziewać, w kabinie rozbrzmiewa ciężki thrash-metalowy riff. Bas dudni w fotelach, a Rami wybija rytm palcami na kierownicy, jakby właśnie to była jego naturalna muzyka do flirtu.

Rozdział 13

Hałaśliwy debiutant

Rose schodzi po schodach powoli, ostrożnie, jakby każdy stopień ważył tonę. Jej dłonie drżą, a zapłakane oczy błyszczą jeszcze od łez. Z salonu dobiega trzask ognia w kominku; na sofie siedzą Mia, Rami i Ville. W oddali słychać beztroski śmiech Amidali i jej koleżanek biegających po pałacu, a Echo szczerka radośnie dopingując dzieci w gonitwie. Kontrast jest bolesny – Rose wygląda tak, jakby jej świat właśnie się zawalił. Niemal bezgłośnie osuwa się obok Villego. Chłopak od razu obejmuje ją ramieniem, instynktownie wyczuwając, że coś w niej pękło.

– Co się dzieje? – głos Mii brzmi ostrzej, niż zamierzała. Jest pełen napięcia i zniecierpliwienia.

Dziewczyna przełyka ślinę, czując, że odwrotu nie ma – musi powiedzieć im wszystko.

– Do moich rodziców doszła plotka – odzywa się cicho. – Mama dzwoniła. Są wściekli. Ojciec domaga się konfrontacji.

– Mów jaśniej, bo nic nie rozumiem – rzuca Mia chłodno, ale już sekundę później jej ton mięknie. Podchodzi, delikatnie kładzie dłoń na jej ramieniu. – Kochanie, po kolei.

Rose wyciąga tablet. Na ekranie pojawia się interfejs prywatnej grupy licealnych znajomych z Bristolu. Podaje urządzenie Mii. Rami i Ville natychmiast się nachylają chcąc przeczytać wszystkie informacje naraz.

– Od kiedy pracuje dla Liberty Fade, zniknęłam z życia towarzyskiego – tłumaczy, walcząc o spokój w głosie. – Bałam się, że coś palnę. Na tej grupie nadal jestem, tylko pod zmienionym nickiem. Nie odzywałam się, więc pewnie uznali, że mnie tam nie ma.

Rianowie niemal wrywają sobie tablet, aż Mia w końcu stanowczo go przejmuje i jednym gestem wyłącza.

– Stop. Nie będziemy tego czytać tutaj. Wszyscy do gabinetu. Już.

Mia chce ciszy i dystansu od służby, od pałacowych ścian, które czasem zdają się mieć uszy. Gdy Rami wchodzi jako ostatni, odruchowo spogląda na pusty korytarz upewniając się, że nikt nie podsłuchuje. Tymczasem Mia siada przy komputerze, zsuwa okulary z włosów i zaczyna czytać na głos:

– Post od użytkowniczki „Nata2000”: Słuchajcie, byłam hostessą na wernisażu w Londynie (takim dla samych bogaczy). Nie uwierzcie, kogo widziałam – *Rose Mayer!* I to nie sama, tylko z jakimś starszym przystojniakiem. Podobno to milioner i ktoś ważny w świecie show-biznesu. Serio, facet ma niby koło pięćdziesiątki, ale wyglądał maks na czterdzieści – elegancki, garnitur szyty na miarę, zegarek pewnie droższy niż moje auto. Rose wyglądała jak królowa. Wszyscy pamiętamy ją ze szkoły – zawsze w czerni, elegancka – ale teraz przeszła samą siebie. Byli razem cały wieczór, on coś jej szeptał, ona się uśmiechała, trzymał ją czule za ramię. Wyglądali jak para z okładki. Nie znam jego nazwiska, ale mam jeden smaczek – on już na nią czekał przy samochodzie, palił papierosa. Rose do niego: „Ty palisz? Znowu będziesz śmierdział jak popielniczka”. A on do niej: „Bądź miłsza, ślicznotko”. Potem wsiedli razem do granatowego Maserati i odjechali. Wrzucam fotkę zrobioną z ukrycia – faceta prawie nie widać (zamazany), ale Rose i ta fura to po prostu pierwsza klasa”.

Rami uśmiecha się nieszczerze, spogląda na Mię, potem na dziewczynę, która siedzi sztywno i unika ich wzroku. Ville prychnie śmiechem, klepiąc ojca po ramieniu.

– Ty nie masz jeszcze pięćdziesięciu lat.

Mia przewraca oczami, marszczy nos i drapie się po brodzie.

– Cholera, niedobrze – mruczy, po czym wbija wzrok w Ramiego. – Czy ty zawsze musisz ze wszystkimi flirtować? I ten papieros... to dlatego tak śmierdziałeś. Antero, ja ci się bacznie przyglądam!

Rami wzdycha ciężko i opada w fotel z miną chłopca przyłapanego na niewinnym psikusie. Dziewczyna patrzy na całą scenę jak zaczarowana – nie wie, czy powinna się roześmiać, czy raczej rozplakać. Ville przyciąga ją mocniej do siebie, obejmując w talii; jest przy tym jednocześnie czuły i czujny.

– To naprawdę nie wygląda najlepiej – mówi z niepokojem. – Aż się boję czytać komentarze.

Po policzku Rose spływa łza. Chłopak natychmiast podaje jej chusteczkę, a ona cicho wciąga powietrze nosem. Tym razem to Rami przesuwają się do komputera, przewijają stronę, marszczy brwi, na moment się zawiesza, zabiera Mii okulary i w końcu zaczyna czytać:

– „ErykS” pisze tak: „No i wszystko jasne. Ona zawsze była taka wyrachowana. Potraktowała mnie jak psa, a teraz patrzcie – milioner i Maserati”.

Zwraca się do Rose z ironią w głosie.

– Rozumiem, że to ten Eryk?

Dziewczyna kiwnięciem głowy potwierdza i pociąga nosem. Rami nachyla się nad ekranem i czyta dalej:

– „Ej, ale nie sądzicie, że to dziwne? Najpierw z nami urwała kontakt, teraz takie fotki. Coś tu grubszego się dzieje.”

Mia, z twarzą zupełnie pozbawioną emocji, podchodzi do barku. W ciszy nalewa cztery szklaneczki szkockiej dając sobie i reszcie chwilę oddechu. Rami nie zatrzymuje się:

– „Haha, zawsze udawała taką niedostępną. A teraz nadziany koleś mówi do niej „ślicznotko”.

Unosi brwi, rzucając krótkie spojrzenie w stronę Rose.

– O, ktoś próbuje cię bronić – dodaje i wraca do czytania. – „Trochę mnie to dziwi... Rose nie jest raczej taka. Może tylko dla niego pracuje?”

Mia wraca i rozdaje każdemu szkocką. Rami bierze łyk, a potem mówi z niesmakiem:

– Wygląda na to, że Eryk podjudza atmosferę. Kolejny jego wpis: „Praca? Jasne. Już widzę to jej „pracowanie” – Maserati, szeptanie sobie do ucha i trzymanie za rączkę.”

Rami krzywi się znacznie, unosi brew i patrzy na dziewczynę:

– Nie trzymałem cię za rękę. To już kłamstwo.

– Ale uśmiechałeś się do niej – Wtrąca Mia z rozbawieniem w głosie – Wystarczyło.

On rozkłada ręce, nachyla się do komputera i znowu czyta.

– Oj, tu nieprzyjemnie się robi: „Ej, no bez przesady. Może po prostu dziewczyna znalazła kogoś, kto płaci za jej drinki, ciuchy i życie. Teraz to się nazywa *partnerstwo strategiczne*, nie sponsoring.”; „Zawsze wiedziałem, że z niej będzie kariera. Tylko nie sądziłem, że w kategorii *VIP escort*.”

Mia macha ręką jak by odganiała muchę.

– Dobra starczy, mam dosyć.

Ville całuje Rose w policzek, upija łyk whisky, a potem podchodzi do komody. Z wnętrza wyjmując eleganckie pudełko z cygarami, rozsuwa wieczko i rozdaje każdemu po jednym, gdy dochodzi do ojca, patrzy na Mię wyczekująco, ta przewraca jedynie oczami co oznacza: *dobra ale tylko raz*.

Rami zaciąga się z lubością, jakby to miało rozproszyć atmosferę. Mia robi to tylko symbolicznie, delikatnie, dla zasady. Rose patrzy niepewnie na cygaro w dłoni – zupełnie nie wie, co z nim zrobić, czuje, że z jednej z strony nie pasuje to do niej, ale z drugiej jest wśród Rianów. Ville wraca do fotela i sadza dziewczynę na kolanach otulając ją ramieniem.

– Nie powinniśmy wysłać mojej ukochanej na ten wernisaż, zanim nie została ujawniona w programie – mówi z namysłem, tonem, w którym czuć więcej wyrzutu sumienia niż krytyki.

– Bez przesady – wtrąca Mia. – To nie nasza wina, że ktoś dorabia do tego ideologię. Wendy też była z Antero. I kilka ze „stałych i na zawsze” dziewczyn Thomasa czy Roberta również. Nikt nie robił afery.

– Bo tam nie było „ErykaS” – burczy Ville, trzymając cygaro w zębach. – Tak czy siak musimy coś zrobić. Plotki trafiły do Mayerów.

Odwraca się do dziewczyny, poważnie, bez cienia uśmiechu.

– Kochanie, co konkretnie wiedzą John i Marina?

Rose waha się chwilę, po czym niepewnie zaciąga się cygarem, jakby chciała zyskać kilka sekund odwagi. Pociąga nosem i odpowiada cicho:

– To, co w plotce. Że... mam sponsora.

Mia wypuszcza powietrze ustami – ciężko i długo pozbywając się gniewu z każdym wydechem. Ville wstaje, podnosząc ukochaną z kolan, podchodzi do biurka i przysiadła na jego krawędzi, logicznie układając fakty zmieniając się w stratega.

– Dobra, czego się boimy? Poza tym, że Rose ma sponsor – klepie ojca po ramieniu i odslania zęby w ironicznym uśmiechu.

– Skandalu medialnego nie będzie. – mówi Mia, delikatnie gładząc dziewczynę po plecach – Gdyby media pisały o każdej ładnej kobiecie kręcącej się przy Antero, nie czytałabym o niczym innym. Poza tym Rose nie jest jeszcze rozpoznawalna, a zdjęcie jest słabej jakości. Więc naprawdę, to nie temat dla brukowców. Ale... – Mia patrzy wymownie na dziewczynę.

– Rodzice – kończy za nią Rose, zaciągając się cygarem i popijając szkocką.

Cała trójka potakuje patrząc na siebie wymownie.

– No cóż – Mia parska z ironią – nikt nie chce słyszeć, że jego córka prowadzi się ze starszym bogaczem.

Rami posyła jej karcące spojrzenie znad monitora, ale nie komentuje. Wypuszcza powoli dym chcąc ukryć się za zasłoną nikotyny.

– No cóż, dzieciaki, musicie się ujawnić Mayerom – stwierdza w końcu z powagą, ale i lekką nutą rozbawienia.

– Jesteśmy razem od niedawna – protestuje Ville krzywiąc się nieco – Kto normalny po takim czasie poznaje chłopaka swojej córki?

– No wybaczyć, my Rose znaleźliśmy wcześniej – mówi Mia z błyskiem w oku.

W głębi duszy cieszy się, że syn po raz pierwszy w życiu będzie musiał stawić czoła rodzicom dziewczyny.

– Zresztą mówiłam ci, żeby Mayerowie dowiedzieli się o was, zanim pójdzie pierwszy odcinek z Rose.

– No dobrze, skarbie, – zwraca się do Rose. – Zadzwoń do szanownego pana tatusia. Tylko nie zdradzaj mnie od razu.

Mia potakuje, spokojna, choć wewnętrznie w pełni świadoma powagi sytuacji. Wie, że jej syn i jego dziewczyna muszą się ujawnić – osobiście, z klasą, bez żadnych pośredników. To nie jest romantyczny gest, to odpowiedzialność. Plotka już krąży, a czas działa przeciwko nim. Ale zdradzić to przez telefon? Nigdy. To byłby błąd. Zbyt łatwo byłoby ich zbyć, przerwać rozmowę, nie dać szansy na wyjaśnienie. Mia nie musi tego mówić na głos. Rose rozumie, że najlepiej wziąć sprawy w swoje ręce – pojechać tam, spojrzeć rodzicom w oczy. Tylko wtedy odzyskają kontrolę nad tą historią.

Rose wstaje powoli, jeszcze bledsza niż na początku rozmowy. Ville unosi głowę i odruchowo podaje jej rękę – jakby to był ich własny rytuał, znak, że zawsze mogą na sobie polegać. Dziewczyna już prawie kieruje się do drzwi, gdy głos Ramiiego zatrzymuje ją w pół kroku.

– Rose, przykro mi, że tak wyszło – mówi spokojnie, poważniej niż dotąd. – Ale wiedz... że doceniamy, iż przyszała z tym nie tylko do naszego syna, ale i do nas. To oznaka zaufania.

Dziewczyna potakuje i uśmiecha się lekko, choć jej oczy wciąż są wilgotne. Wie, że zrobiła to, co było najtrudniejsze – wyciągnęła na światło dzienne pomówienie, które uderzało w nią i w Ramiiego, i bez wahania podzieliła się nim z Rianami. To wymagało odwagi większej niż milczenie ale dzięki temu zyskała uznanie w oczach samej Miraayi Rathore, a to wielkie wyróżnienie.

Mia unosi brew i uśmiecha się lekko, Ville puszcza matce dyskretnie oczko, rozbijając napięcie, a Rami wraca przed monitor, jakby nic się nie stało.

Gdy młodzi znikają za drzwiami, Mia bez słowa siada na kolanach męża.

– Ten Eryk... – zaczyna, kręcąc głową z irytacją.

– To *hałaśliwy debiutant* – odpowiada Rami ze stanowczością w głosie. – Nie martw się, zmierzylśmy dokładnie poziom decybeli, a nasz synek wpisał go na *listę piosenek zakazanych*.

– Dobrze, to się już nie martwię, ty mój przystojny milionerze – mówi z rozbawieniem, gładząc go po włosach. – *Sugar daddy*.

Rami, przesuwając palcem po jej obojczyku, mruczy nisko:

– Chodź, trochę cię posponsoruję.

Ona uśmiecha się zadziornie, oplata go ramionami za szyję i całuje namiętnie.

A co do *hałaśliwego debianta* to w słowniku Rianów oznacza kogoś, kto może zagrozić reputacji rodziny lub przyjaciół. Taką osobę należy prześwietlić i wpisać na *listę piosenek zakazanych*. To czarna lista – kto się na niej znajdzie, nigdy nie wejdzie do ich świata, a każda próba będzie jak waleniem głową w szklany sufit. Groźniejsi są jednak *cisi dyrygenci* – ludzie, którzy nie tylko mogą zaszkodzić reputacji, lecz stanowią realne zagrożenie dla bezpieczeństwa członków rodziny. Ich nie wystarczy odciąć – wobec nich trzeba być zawsze kilka kroków przed nimi. Dotąd w życiu Rianów nie było takiego przypadku. Ale Mia, Rami, Emma i Ville są bardzo na to wyczuleni – zbyt dobrze pamiętają historię morderstwa rodziców Mii, by pozwolić sobie na chwilę nieuwagi. I może właśnie dlatego, dzięki tej czujności i wszystkim *domowym procedurom*, jeszcze żaden wróg nie przekroczył progu ich domu.

Tymczasem Ville i Rose wracają na górę trzymając się za ręce. Gdy wchodzi do swojej sypialni, chłopak siada na podłodze przy ścianie, opiera się o fotel. Splecione dłonie zaciska na kolanach. Obserwuje ukochaną, która stoi nieruchomo pośrodku pokoju, z telefonem w dłoni. Drży – nie z zimna, lecz z napięcia, którego nie potrafi już ukrywać.

– Gotowa? – pyta cicho.

Dziewczyna tylko kiwa głową. Bierze głęboki oddech i stuknięciem uruchamia połączenie. Sygnał. Jeden. Drugi.

– Halo? – głos ojca brzmi sucho i spięcie, jak nigdy wcześniej.

– Cześć, tato – mówi, starając się nie zdrzeć. – Chciałeś rozmawiać.

– Tak – odzywa się w końcu John Mayer. – Właściwie oczekiwaliśmy, że to ty się odezwiesz i wytłumaczysz nam co nie co.

– Wiem, jak to wygląda. Widziałam te plotki. Ale to nie tak...

– Nie tak? Z naszej perspektywy wygląda to tak, że zniknęłaś bez słowa, rzuciłaś chłopaka, który naprawdę cię kochał, a teraz pojawiaasz się na zdjęciu z jakimś podstarzałym typem, który mówi do ciebie „skarbie”.

W słuchawce rozlega się jego westchnienie – ciężkie i pełne zmęczenia.

– Więc proszę, powiedz mi, jak to jest... skoro „to nie tak”.

– To mój kolega z... pracy. Nie wierz wszystkim plotkom.

– Kolega z pracy – powtarza John z gorzką ironią. – Ciekawe, bo jak na kolegę z pracy, to wyglądało to wyjątkowo... zażyle. Kim on jest naprawdę?

– Czasem razem pracujemy – powtarza uparcie. – Tato, ja się z kimś spotykam. Ale to nie jest żaden starszy milioner.

– Czyli przyznajesz, że to ktoś inny – mówi wolno. – Dobrze. Doceniam, że w końcu powiedziałaś chociaż tyle. Ale to nie zmienia faktu, że przez ostatnie dwa miesiące zniknęłaś z naszego życia, a teraz mówisz: „spotykam się z kimś”. Bez słowa więcej. Kim on jest. Z nazwiska.

– To nie jest rozmowa na telefon – odpowiada cicho.

– Oczywiście, że nie. Bo rozmowy, które mają znaczenie, nigdy nie są na telefon, prawda?

– Jesteśmy razem od niedawna. On jest muzykiem – wyszeptuje Rose, jakby bała się reakcji i szybko dodaje by nie było wątpliwości – I jest rok młodszy ode mnie.

– A co to znaczy „muzyk”? – rzuca w końcu z wściekłością. Eryk studiuje medycynę! Kochał cię! Znał go od lat! Był... był dla ciebie bezpieczny! A ty rzucasz go bez słowa i wyskakujesz z jakimś grajkiem znikąd i to jeszcze młodszy?!

I nagle zapada głęboka, niepokojąca cisza. Rose milczy, czując, że łzy wzbierają jej w gardle.

– To ja przyjadę. Jutro. Z nim. Pogadamy... na spokojnie.

John nie odpowiada od razu. Gdy w końcu się odzywa, jego głos jest cichy, ale stalowy.

– Dobrze, chcesz, żebyśmy go poznali? Przywieź go. Ale bądź gotowa wysłuchać, co my mamy do powiedzenia. Do zobaczenia – dodaje jeszcze na koniec, po czym się rozłącza.

Telefon zsuwa się z kolan Rose i ląduje na dywan. Ville podnosi się powoli i siada obok niej, nie pytając o nic. Po prostu jest. A ona siedzi z rozdygotanym oddechem, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, wiedząc, że jutro – cokolwiek się stanie – będzie najtrudniejszym dniem, jaki kiedykolwiek przeżyła.

W domu Mayerów światło w salonie pali się ostro, zbyt jasno. John chodzi tam i z powrotem z kieliszkiem czerwonego wina, którego nie pije, tylko obraca w dłoni niczym rekwizyt. Czoło ma zmarszczone, brwi ściągnięte, a w jego ruchach widać niecierpliwość i głęboko skrywane napięcie. Marina wycofała się zaraz po telefonie, trzymając się za skroń. Migrena. Znów. Cichy jęk, ciepły kompres, zamknięte drzwi sypialni – zniknęła szybko gdy tylko pojawił się ból. Nawet nie zauważyła, że

w tym czasie przez korytarz przeszedł Eryk. Teraz panowie żywo dyskutują o nijakim „grajku”, śmiejąc się bezczelnie, gdy John wpada na genialny plan.

– Posłuchaj, Eryku. Zrobimy tak: kiedy ona przyjedzie z tym chłoptasiem tutaj, zjawisz się ty – w eleganckim garniturze, ogolony, pachnący. Wtedy ona spojrzy na tego swojego grajka bez przyszłości i porówna go z tobą. Może się opamięta.

– Wie pan – mówi chłodno – co mnie boli najbardziej? Nie to, że mnie rzuciła. Tylko że zrobiła to, jakbyśmy byli niczym. A teraz się związała z jakimś błaznem, który pewnie mieszka w przyczepie.

John siada przy stole. W dłoni wciąż trzyma kieliszek z winem, choć ani razu nie wziął łyka. Patrzy na czerwoną ciecz przez chwilę zastanawiając się, po co właściwie ją nalał. Obraca szkło w palcach.

– Ja już takich znam. W dzień pracują w magazynie w dyskoncie, wieczorami grają w zadymionych barach i marzą o koncertach na Wembley.

Eryk krzywi się w uśmiechu. Opiera się o fotel, zerkając w bok na lustro wiszące nad kominkiem. Krzesło Johna skrzypi, gdy pochyła się do przodu. Przez otwarte drzwi słychać ich rozmowę – niski ton, urwane zdania, krótkie śmiechy. Nie muszą mówić wiele – wystarczy, że się rozumieją.

Szofer prowadzi spokojnie, równo, droga do Bristolu o tej godzinie jest niemal pusta. Rose patrzy przez przyciemnione okno limuzyny gdzieś w dal, jakby chciała schować się za horyzontem. Ville siedzi obok z założonymi słuchawkami, skupiony, z lekko zmarszczonymi brwiami.

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby się malować na spotkanie z tatusiem i mamusią – mruczy pod nosem, przeglądając się w lusterku. Delikatny makijaż jedynie podkreśla jego oczy.

– Daj spokój.

Ton ma chłodniejszy, niż zamierzała, ale w środku czuje bolesny ścisk w żołądku – wczorajsza reakcja ojca na słowo „muzyk” powiedziała jej już wszystko.

Ville mimo całej tej dziwnej sytuacji nie wydaje się być spięty, poprawia mankiet swojej idealnie dopasowanej, granatowej marynarki i lekko ziewa. Dziewczyna zerka na niego z przekorą i na moment czuje, że napięcie w niej ustępuje.

– Wyglądasz super. Dobrze, że nie zrezygnowałeś ze swojego imidżu. Nie będziemy udawać, że jesteś grzecznym chłopcem.

– Przecież jestem greczny – odpowiada, całując ją w policzek..

Limuzyna zatrzymuje się przed właściwą posesją, oboje biorą głęboki, prawie zsynchronizowany oddech. Państwo Mayer nie zauważyli, kiedy młodzi podjechali pod dom. Teraz jednak, gdy Ville i Rose zbliżają się od bramy, mogą im się uważniej przyjrzeć. Marina, która dotąd nie przepadała za Erykiem, na widok Villego z daleka zaczyna żałować swojej surowości wobec byłego chłopaka córki. John otwiera usta, chcąc rzucić jakąś zgryźliwą uwagę, ale zamiast tego mruczy coś niewyraźnego.

– On ma czarne paznokcie i kolczyki w uszach.

Marina przelyka głośno ślinę i odwraca się od okna.

– John... nasza córka nigdy nie sprawiała wrażenia starszej, niż jest, ale ten chłopak wygląda jak nastolatek.

– Jeszcze lepiej. Nie dość, że muzyk, to jeszcze wygląda jak dzieciak. – Zaciska usta i odwraca wzrok, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy wściekać.

Libertyn, jeszcze kilka metrów przed wejściem, rzuca okiem na dom Mayerów. To piękna, wiejska posiadłość – typowo angielska, z białym kamieniem, zadbanymi oknami i dyskretnym blaskiem tradycji. Mimo stycznia ogród jest starannie utrzymany: krzewy równo przycięte, trawnik zielony niczym z katalogu, a kamienne ścieżki czyste, jakby ktoś codziennie je zamiętał. Dom nie zaskakuje go – wiedział przecież, że jego ukochana jest z porządnej rodziny, ma własne mieszkanie w Londynie kupione przez ojca, jeździ sportowym samochodem. Ten widok tylko potwierdza, że wyrastała w świecie, gdzie dba się o szczegóły i gdzie luksus jest tak naturalny, że nie trzeba go podkreślać.

– Wejdźcie – mówi szorstko ojciec Rose, uchylając im drzwi.

Ville zanim się przywita, spogląda na niego – szczupłego, eleganckiego mężczyznę o surowych rysach twarzy w których trudno doszukać się ciepła. W jego postawie jest coś wojskowego, że nawet zwykłe zaproszenie ich do środka było gestem kontrolowanym i zdyscyplinowanym.

Libertyn wchodzi za Rose z lekkim uśmiechem, ale podskórnie czuje, że to nie będzie łatwa rozmowa. Dziewczyna na powitanie całuje ojca w policzek, potem matkę, która podchodzi wolniej. Chłopak kłania się z elegancką powściągliwością niczym gość w arystokratycznym domu. W rękach trzyma starannie zapakowane prezenty, które wręcza spokojnym gestem.

– Dobry wieczór – mówi.

Marina przyjmuje swój pakunek i od razu odkłada go na stolik w korytarzu, dotykając lekko ramienia córki. To subtelny gest, bardziej serdeczny niż słowa. John bierze drugi, ale zachowuje milczenie.

– Chodźcie do salonu – dodaje Marina wskazując pokój dzienny.

Ville zerka na kobietę. Widział ją już na zdjęciach – piękna, zadbana; ciemne włosy z pojedynczymi siwymi pasmami opadają jej na ramiona, a lekki makijaż maskuje ślady zmęczenia. Wzrok chłopaka błądzi przez chwilę między swoją ukochaną a jej matką, a w głowie krąży mu myśl: *Rose jest podobna do mamusi. I obie mają świetne nogi.*

Salon, do którego wchodzi, urządzone jest klasycznie: ciężkie zasłony, skórzana sofa i dwa fotele ustawione naprzeciwko, kominek z masywnym lustrem nad nim. John siada w fotelu z kieliszkiem w dłoni. Rose i Ville zajmują miejsce obok siebie, naprzeciw stolika zastawionego przekąskami – serami, oliwkami i małymi kanapeczkami.

– Może herbaty? – Marina pyta cicho, nieco zbyt formalnie.

– Tak, proszę – odzywa się Ville.

Nalewa wszystkim po filiżance. John śledzi to w milczeniu, z niepokojem spogląda na zegarek.

– No więc... jesteś tym muzykiem – nachyla się lekko w stronę chłopaka.

– Tak, jestem muzykiem.

Zanim zdąży cokolwiek dodać, za oknem Rose dostrzega znajomą sylwetkę. Sztywnieje i podrywa się z miejsca, niemal wytrącając filiżankę z dłoni.

– Co ten buc tu robi?! – wybucha, patrząc prosto na rodziców.

– Dlaczego zaprosiłeś Eryka? – pyta chłodno Marina, nie ukrywając irytacji.

– Niech nawet tu nie wchodzi! – syczy Rose stojąc wyprostowana i pewna siebie.

John milczy. Siedzi w fotelu odchylony do tyłu, z dłonią na podłokietniku, czerpiąc przyjemność z całej sceny. Twarz ma kamienną, lecz w oczach błyska satysfakcja. Na to właśnie czekał.

Rose nie ustępuje. Twarz napięta, oczy roziskrzzone gniewem. Ville parska śmiechem. Zna ją już na tyle, by wiedzieć, że nikt jej teraz nie posadzi. Ten temperament – wybuchowy, dumny – nosi w sobie po Marinie, która właśnie zaciska dłoń na łyżeczce. Na zewnątrz wciąż zachowuje pozory spokoju, lecz on widzi, że gotuje się w środku. Kobieta odstawia filiżankę z takim trzaskiem, że porcelana niemal pęka. To znak, że jej cierpliwość się skończyła. Wstaje gwałtownie. Krzesło odsuwa się z ostrym zgrzytem po parkiecie. Jej spojrzenie trafia w Johna z taką siłą, że jego pewność siebie nagle blednie. Chłopak patrzy na ten spektakl z rosnącym zaciekawieniem. Jeszcze przed chwilą uśmiechał się dyskretnie, teraz rozbawienie staje się otwarte. Kąciki jego ust unoszą się szerzej, oczy błyszczą. To jak oglądać wersję Rianów – surową, pozbawioną dystansu i opanowania. Tutaj emocje wrzą na powierzchni, bez żadnych hamulców.

Gdy Eryk dzwoni dzwonkiem, mężczyzna podnosi się leniwie z fotela, podchodzi do drzwi, otwiera i krótkim gestem żegna się z chłopakiem, co nieco uspokaja Marinę i Rose.

– A więc... muzyk – powtarza wolno John, wracając do salonu. – Widzisz chłopcze, Eryk przynajmniej ma przyszłość. Studiuje medycynę, będzie lekarzem. A ty? Grasz na scenie. Zabawiasz tłum. I to ma być powód, żeby moja córka rzuciła człowieka, który mógł jej dać stabilność?

Ville słucha, patrzy przed siebie, spokojny, choć w kąciku ust wciąż czai się cień uśmiechu.

– Tak, panie Mayer. Nie będę lekarzem. To fakt.

– Kiedy słyszę: „jestem muzykiem” – zaczyna John pewnie – to nie robi to na mnie większego wrażenia. Znam takich jak ty. U nas na budowie, zatrudniamy różnych i co piąty gra w zespole. W dzień przenoszą cegły, wieczorami grają w pubach dla pięciu osób i opowiadają, że *sztuka* jest ważniejsza niż rachunki. A potem mają czterdzieści lat, plecy rozwalone od roboty i zero oszczędności.

Opiera się wygodnie, spoglądając na chłopaka swojej córki z góry przyglądając mu się uważnie.

– Człowiek, który planuje przyszłość, nie chodzi z pomalowanymi paznokciami i kolczykami w uszach.

– Jeśli pana to uspokoi, to studiuję matematykę.

– Matematykę? No proszę... A to ciekawe. Bo wiesz, kiedy się patrzy na twój makijaż i te czarne paznokcie, to człowiek raczej nie myśli „nauki ścisłej”. Gdzie niby studiujesz tę matematykę? W jakiejś internetowej *akademii sztuki i wróżenia z fusów*?

Marina znów patrzy na męża groźnie, po czym ten ewidentnie skulił się w fotelu.

Ville uśmiecha się nieco, choć podskórnie czuje, że nazwa jego uczelni nie robi wrażenia na Johnie.

– Prywatnie i zaocznie. Ze względu na pracę nie dałbym rady studiować dziennie.

– Czyli płacisz za papierek, a potem możesz wszystkim mówić, że jesteś *naukowcem*, tak?

Lekko kręci głową i z politowaniem patrzy na córkę.

– Tylko zastanawiam się, skarbie, co ty robisz z kimś, kto nie potrafi się zdecydować, czy chce być artystą, czy inżynierem – dodaje przenosząc wzrok na Villego. – Powiem jedno, u mnie w firmie każdy, kto czegoś chce, ma dwie opcje: albo porządna szkoła i zawód, albo własny biznes i ryzyko. Ale to, co mówisz... to takie „ani tu, ani tam”.

Opiera się z powrotem w fotelu, z miną człowieka, który właśnie wygłosił niepodważalną prawdę. Libertyn rozkłada ręce z pozorną rezygnacją, lecz jego głos pozostaje spokojny, z ledwie wyczuwalnym cieniem ironii:

– Pewnie ma pan rację. Czyli: jestem muzykiem – źle. Studiuję matematykę – też źle. Pracuję w fundacji... ale to zapewne również źle, bo robię to charytatywnie.

Zapada chwila niezręcznej ciszy. Rose odwraca głowę w bok, wbijając wzrok w podłogę. Kąciki ust drgają jej lekko, jakby nie była pewna, czy powinna się śmiać, czy raczej rozplakać. Ville odegrał właśnie swoją kwestię z taką powagą i teatralnym spokojem, że trudno jest zachować neutralność. Wie, że to kontrolowane przedstawienie, w którym każde słowo było starannie dobrane.

Marina patrzy na nią z boku, mrużąc oczy. W tej jednej sekundzie coś w niej drga – przecucie, intuicja, doświadczenie matki. Zbyt dobrze zna swoją córkę, żeby nie zauważyć, że coś tu jest nie tak. I zbyt dobrze zna kobiece emocje, żeby nie dostrzec tej dziwnej mieszaniny napięcia i ukrytej dumy w oczach Rose. Zagryza wargi, powstrzymuje się jednak od komentarza, da jeszcze chwilę Johnowi zanim zabierze głos. Jej sylwetka przestaje być napięta, dłonie spoczywają swobodniej na kolanach. Patrzy na swojego męża z mieszanką irytacji i rozbawienia, a na Villego – z coraz większym zaciekawieniem. W jej głowie nie ma już tylko podejrzliwości – pojawia się coś w rodzaju ostrożnego uznania, jakby zaczynała rozumieć, że ten „grajek” potrafi nie tylko zagrać, ale i wygrać – słowem, tonem, spojrzeniem, a do tego kogoś jej przypomina.

– Williamie, mówisz to tak, jakbyś się wymigiwał – rzuca oschle John. – A ja pytam o coś prostego. Czym się zajmujesz, kiedy trzeba płacić rachunki?

– Proszę wybaczyć – odpowiada spokojnie. – Jestem Finem i mam na imię Ville. A co do rachunków... cóż, mieszkam kątem u rodziców. Na swoje wydatki zarabiam, śpiewając. – Mówi to poważnie, bez cienia uśmiechu.

Marina lekko unosi brwi jakby fińskie pochodzenie nie przeszło jej obojętnie. W tym samym czasie Rose ledwo powstrzymuje się od chichotu, a w myślach słyszy swój głos: *tak, jestem Libertyn i mieszkam kątem u rodziców w wielkim pałacu w Surrey i zarabiam kilka ładnych baniek rocznie.*

Za to, John marszczy czoło niedowierzając temu, co właśnie usłyszał od chłopaka.

– Czyli zero obowiązków, zero stałych opłat, zero odpowiedzialności. Brzmi jak plan. I sądzisz młodzieńcze, że z takim podejściem masz cokolwiek do zaoferowania mojej córce?

John jeszcze coś mówi, ale Ville już go nie słyszy. Skupił się na tym, by nie wybuchnąć śmiechem – czuje, jak coś drapie go w gardle, jak rośnie fala absurdu, której nie da się już powstrzymać żadną logiką.

– No cóż panie Mayer w tej sytuacji mogę tylko zaoferować mojej ukochanej miłość w czystej postaci.

– Miłość – powtarza z wyraźną ironią. – No tak. Oczywiście. Najważniejsze, żeby było romantycznie. Byle się kochali, reszta się nie liczy. Mieszkanie? Praca? Przyszłość? Nieważne, bo przecież... „czysta miłość”. Drogi młodzieńcze, ale z mojego doświadczenia wynika, że na miłości w czystej postaci długo się nie pociągnie.

– No tak – przyznaje Ville poważnym tonem. – Nie mam w sumie nic więcej do zaoferowania.

– Przynajmniej się przyznałeś – rzuca z pozornym uznaniem. – To już coś. Pokora to cenna cecha u ludzi bez planu. – I to wszystko? – pyta po chwili. – To cały twój kapitał? Miłość, śpiewanie i... pokora? Z jego głosu nie bije otwarta wrogość, raczej coś w rodzaju cynicznego zdziwienia, bo naprawdę nie potrafi zrozumieć, że ktoś może się przeciw niego bez CV, planu na przyszłość i portfolio inwestycyjnego, i do tego śmie mówić o uczuciach.

– Mam jeszcze córkę – rzuca klepiąc delikatnie Rose po dłoni.

Ona patrzy na niego z niedowierzaniem, rozkładając ręce: *teraz, serio?* Ville tylko wzrusza ramionami. Ten gest mówi wszystko: *twój tatuś mnie lekceważy więc wyciągnijmy pręty kontrolne z reaktora.*

John przez chwilę milczy. Wreszcie unosi brwi, marszczy czoło, przenosi wzrok z chłopaka na Rose i z powrotem.

– Córkę...? Ile ona ma lat? – pyta w końcu, po chwili ciężkiej ciszy.

– W lipcu skończy pięć.

– Pięć lat?! – powtarza wytrzeszczając oczy. – Czyli miałeś... co? Szesnaście?

Wciąga powietrze przez nos, wolno próbując się opanować, ale jego twarz jest już czerwona. Odwraca się do Mariny, szukając w niej jakiegoś potwierdzenia, ale ta patrzy teraz tylko na Villego – z mieszaną konsternacją i rosnącego... zainteresowania: *kogo on mi przypomina?*

– Czyli mamy tu dwudziestojednoletka ... z dzieckiem, który gra do kotleta, studiuje coś zaocznie i twierdzi, że oferuje mojej córce miłość w czystej postaci. A matka tej córki? Gdzie jest? Czy też oferowałaś jej miłość w czystej postaci?

– Proszę wybaczyć – odpowiada zachowując spokój. – Ale nie będę mówił o mamie córki. Amidala jest ze mną od urodzenia.

Mężczyzna zaciska szczękę, przez chwilę nie odpowiada. Przesuwa dłonią po brodzie, jakby coś rozważał, albo próbował się powstrzymać przed kolejnym pytaniem. Atmosfera w salonie gęstnieje. Rose nawet nie próbuje już ukrywać emocji; jej twarz mówi wszystko. Marina odchyła się lekko do tyłu, a jej wzrok ucieka ku filiżance – nie chce patrzeć mężowi w oczy ale nie rozumie jakim cudem ten chłopak wzbudza w niej sympatię.

John bierze kilka głębokich oddechów, wie, że jego pytanie o matkę Amidali było bardzo nie na miejscu, więc wraca na bezpieczne dla siebie tory, na zarabianie pieniędzy i ambicje.

– Nie chodzi mi o to – zaczyna nieco spokojniej – żebyś od razu miał dom z ogrodem i fundusz inwestycyjny. Ale Rose nie jest dzieckiem, a ja bym chciał, żeby spotykała się z kimś, kto wie do czego dąży.

– Jestem młody, staram się, nie siedzę i nie patrzę w sufit. A co pan robił w moim wieku?

– W twoim wieku? Pracowałem na budowie. Od rana do nocy. O piątej wstawałem, wieczorem padałem ze zmęczenia. Nie miałem czasu na wielkie słowa i artystyczne wizje.

Zaciska dłoń na podłokietniku, ale jego głos nie jest już tak surowy – raczej twardy, stanowczy.

– I dlatego mam prawo pytać, kim jesteś i czego chcesz od mojej córki. Jak zamierzasz ją chronić?

Libertyn prostuje się, czując, że teraz kolej na niego – i że to on będzie rozdawał karty.

– Jestem tu z nią, choć spotykamy się od niedawna. Rose została pomówiona o bycie utrzymanką, a aferę nagrał pana ulubieniec... – pochyla się lekko do przodu i z ironią w głosie dodaje: – podobno przyszły szanowany lekarz.

– Czyli teraz mam wierzyć tobie? Nie podoba mi się, że ktoś taki jak ty próbuje się wkraść do mojej rodziny i oczernia porządnego chłopaka z dobrego domu.

Ville nie kryje politowania; odchyła się lekko do tyłu, przechyla głowę i przygląda się ojcu Rose z uśmiechem, w którym jest więcej lodu niż ciepła.

– A co pan widział? – pyta spokojnie, lecz z wyraźną kpina. – Tylko wpis tej dziewczyny? A może również dalsze komentarze, gdzie pański ulubieniec wypisywał kalumnie o Rose, podjudzając pozostałych?

Rose nie czeka ani chwili dłużej, szybko przewija coś na telefonie, znajduje wiadomości na grupie licealnej i podaje go ojcu. On bierze urządzenie niepewnie, mając nadzieję, że to tylko jakieś nieporozumienie. Przez dłuższą chwilę wpatruje się w ekran. Przegląda wiadomości, uważnie czyta komentarze, a jego twarz coraz bardziej kamienieje. Znika ironiczny uśmiešek, znikają próby zachowania pozorów. Nagle wygląda starzej, na kogoś, kto właśnie zrozumiał, że przez własne uprzedzenia postawił na niewłaściwego człowieka. Odsuwa telefon od oczu, odkłada go na stolik. Dłonią przeciera zrezygnowaną twarz i przez chwilę nie mówi nic. W końcu cicho rzuca:

– Tego mi nie pokazał. Przepraszam – mówi powoli, z wysiłkiem. – Wygląda na to, że... nie miałem pełnego obrazu.

Marina nie spuszcza wzroku z męża. Jej ciało pozostaje przez chwilę całkowicie nieruchome, ale w oczach pojawia się błysk. Odchyła się spokojnie na oparcie kanapy i wypuszcza powietrze przez nos. Nie ze złości, nie z ulgi – z satysfakcją, która nadaje jej słowom nowy ciężar.

– Ville... – zaczyna miękko, spokojnym tonem. – Skoro już wiemy, czym się zajmujesz i co masz w sercu – mówi dalej, patrząc na niego uważnie – to może powiesz mi coś innego. Co takiego zobaczyłeś w mojej córce? Właściwie... dlaczego Rose?

Libertyn uśmiecha się podstępnie, upija łyk herbaty i rozluźnia się tak, jakby właśnie miał wystąpić w programie na żywo – czyli w tym, co lubi najbardziej.

– Oj, długa historia, pani Mayer. Poznaliśmy się przypadkiem, pogadaliśmy chwilę, Rose uznała mnie za geja. A ja... no cóż, Rose jest zgrabna... później przyznała się, że jest fotografem i informatykiem... zapragnąłem jej, i to bardzo.

Dziewczyna wlepia w niego oczy, jej usta powoli się rozchylają, a gest jej ręki zdradza myśl: *serio? Przy rodzicach?*

Marina słucha w skupieniu, nie przerywając ani słowem. Jej twarz nie zdradza wiele, ale delikatne uniesienie kącików ust świadczy, że historia ją rozbawiła.

– Rozumiem... – odpowiada w końcu. – Czyli nie majątek ojca, tylko figura, zdjęcia i licencjat z informatyki.

Spogląda teraz na córkę z czułością, a potem znów na wesołą twarz chłopaka.

– Dziękuję. Cenię szczerłość bardziej niż pusty urok.

– Znaczący... to nie zabrzmiało najlepiej – tłumaczy się półzartem. – Okazała się być nam bardzo potrzebna.

– Potrzebna? – powtarza powoli, smakując każdą głoskę. – Mów dalej, młodzieńcze. Tylko uważaj, co powiesz.

John już ma na ustach jakąś kąśliwą uwagę, ale powstrzymuje się, widząc, że żona nagle przejęła inicjatywę.

– W Pokoju Strachu... znaczy, w serwerowni – podejmuje Ville, rozsiadając się wygodniej. Na jego twarzy igra cień uśmiechu, ale w oczach nadal tli się wspomnienie tamtego chaosu. Próbuje zachować spokój, lecz emocje biorą górę. – Mieliśmy tam taki pierdolnik, że myślałem, że to koniec, że trzeba zamknąć projekt.

John unosi brwi – zaskoczony nie tyle słowem, ile szczerością, z jaką Ville to powiedział. Patrzy na niego z mieszaniną niedowierzania i ukrytego rozbawienia, choć trudno ocenić, które uczucie przeważa.

– Rozumiem, że to jakaś... specyfika branży – mruży ostrożnie, dobierając słowa. – Ale skoro używasz takich określeń przy herbacie, to chyba rzeczywiście było poważnie.

Rose gładzi Libertyna po głowie chcąc go uspokoić. Wie, że sprawy serwerowni zawsze budziły w nim lęk, strach i niepewność. Tym razem to ona przejmuje kontrolę.

– Villuś zaproponował mi pracę – zaczyna spokojnie. – Miałam uporządkować sprawy w serwerowni. Libertyn – znaczy Ville wraz z zespołem intensywnie rozwijają kanał o swojej muzyce, ale też o życiu prywatnym. To poważny projekt, wymaga ciszy i dyskrecji.

John unosi głowę, jego wzrok przesuwają się z Villego na córkę i znów wraca do chłopaka. Widać, że próbuje poskładać w całość to, co właśnie usłyszał, z obrazem, jaki dotąd miał w głowie – i że mu się to nie skleja.

– Kanał? – powtarza powoli. – Projekt o waszym życiu? O muzyce? To... jacy wy? Co to za projekt, że wymaga dyskrecji?

– Tato, taki, który skupia w tej chwili dziesiątki milionów widzów na całym świecie – odpowiada spokojnie.

– A obecnie koncerty Liberty Fade to imprezy stadionowe.

Pan Mayer powoli odstawia filiżankę na spodek. Dźwięk porcelany rozcina ciszę, która zapada w salonie. Nie odzywa się przez dłuższą chwilę. W jego oczach pojawia się konsternacja. Na twarzy przemyka coś, co można by nazwać cieniem niepokoju... albo wstydu. A może po prostu szokiem.

– Liberty Fade? – pyta w końcu, ledwo słyszalnie, prawie do siebie.

– To rock z elementami elektroniki – mówi Rose. – Nie słuchacie z mamą takiej muzyki, ale jestem pewna, że w radiu nie raz słyszeliście na przykład *By The Way*.

Marina przechyliła lekko głowę, jakby faktycznie tytuł tej piosenki nie był jej obcy. Ale w porównaniu z Johnem, który zamilkł na dobre, ona zdaje się dryfować myślami zupełnie gdzie indziej – poza milionami widzów, koncertami i całym tym dziwnym projektem. Nie kojarzy Villego jako wokalisty. Może mignął jej kiedyś w telewizji... ale raczej taką postać by zapamiętała. W jej głowie kłębią się inne, bardziej osobiste myśli.

– Jesteś do kogoś podobny – mówi wreszcie na głos, kierując słowa do chłopaka.

– Pomogę ci, mamu. Ville przypomina ci Antero Ramiego Riana, prawda?

– Oczywiście, że tak! – klaszcze w dłonie, niemal rozpromieniona. – Boże, wszystkie się w nim kochałyśmy!

– Rami Rian – zaczyna cicho Ville – to mój ojciec.

Marina zamiera z filiżanką w dłoni, jej oczy rozszerzają się tak, jakby nagle zobaczyła przed sobą duchy młodości.

– Rami, czyli tata Villego – mówi spokojnie Rose – Zaprosił mnie na wernisaż, po tym wyszła ta cała plotka... Odpowiemy na wszystkie pytania, pod warunkiem...

– ...że zachowacie dyskrecję – kończy za nią Ville.

Mayerowie kiwają głowami niemal równocześnie. Oboje już wiedzą, choć nikt nie wypowiedział tego na głos: Ville Rian nie jest zwykłym chłopakiem ich córki. To nie tylko muzyk – to ktoś, kto wchodzi w ich dom jak burza i zmienia układ sił. Kiedy młodzi krótko opowiadają swoją historię, bez zbędnych

szczegółów, ale z wystarczającą dawką prawdy, by Mayerowie poczuli ciężar sytuacji, w salonie zapada długa cisza. John tkwi w fotelu nieruchomy niczym rzeźba, z kieliszkiem w dłoni, którego nawet nie podnosi. Marina, zwykle pełna życia, również milczy – jej spojrzenie błądzi pomiędzy córką a Ville, jakby szukała w tej układance brakującego elementu.

W końcu Libertyn wstaje. Milczenie nie krępuje go w najmniejszym stopniu. Rozgląda się po salonie.

– Bardzo tu u was przytulnie – mówi przełamując ciszę. – Czuć domową atmosferę. Marino... znaczy, pani Mayer – poprawia się teatralnie – czy mogę zajrzeć w gary?

– Jeśli już chcesz zaglądać do garnków, to mów mi Marina – odpowiada, uśmiechając się pod nosem.

– Dziękuję, Marino. To dla mnie zaszczyt. A teraz zobaczę co tam się gotuje.

John wstaje powoli, patrzy na Villego badawczo. W jego spojrzeniu nie ma już kpiny, raczej ostrożna, uważna kalkulacja.

– Ville... Skoro moja córka mówi po imieniu do twoich rodziców, to nie będziemy sobie tu „panować”.

John – przedstawia się krótko podając mu rękę.

On uśmiecha się szeroko, odwzajemnia uścisk, kiwa głową w uznaniu po czym przechodzi do kuchni i bez skrępowania unosi pokrywkę stojącego na kuchence garnka.

– Hmm... potrawka z kurczaka. Moja ulubiona – dodaje po chwili.

Marina, która jeszcze godzinę temu była ostrożna i wyczekująca, teraz wybucha krótkim, szczerym śmiechem. Zaskoczył ją. Chłopak, którego spodziewała się widzieć w roli podenerwowanego petenta, wchodzi do jej kuchni jak do siebie i w dodatku potrafi to zrobić tak, że zamiast zuchwałości, widzi w tym urok.

– Marina, ja cię strasznie przepraszam, czy ja mogę trochę tej potrawy? – rozlega się głos Libertyna znad pokrywki.

– Ville, kochanie, nie mam ryżu, trzeba ugotować. Jeśli chcesz...

– Nie ma sprawy, pani Mayer... znaczy Marino. Ja sobie poradzę. Znaczy.. z Rose sobie poradzimy.

– Dobrze, ugotujcie więcej. Coś czuję, że ojciec też jest głodny.

Zanim Rose zdąży zareagować, jej matka podchodzi i niespodziewanie ściska Villego mocno. Chłopak przez moment wygląda na zaskoczonego, ale nie próbuje się wyrwać. Wręcz przeciwnie – przyjmuje ten gest z takim spokojem, jakby właśnie o to mu chodziło.

Gdy z kuchni dochodzi stuk garnków i cichy śmiech młodych, w salonie zapada spokojna cisza. Na stoliku wciąż leżą prezenty. Marina sięga po swój i rozchyła papier ostrożnie. W jej dłoniach pojawia się srebrna zakładka do książki – misternie grawerowana, wysadzana drobnymi cyrkoniami, które migoczą w świetle lampy. Kobieta w pierwszej chwili tylko milczy. Widzi od razu, że to nie jest drobiazg kupiony w przypadkowym sklepie, ale mała rzecz od jubilera, kosztująca majątek.

– Zakładka... – szepcze w zamyśleniu, przesuwając palcem po srebrnej powierzchni. – Nie tylko piękna, ale i... osobista.

John tymczasem zrywa papier mniej cierpliwie chcąc już wiedzieć, co dostał. W jego dłoniach pojawia się masywna butelka alkoholu w czarnej, lakierowanej skrzynce. Etykieta zdobiona złotem, numer serii wybity ręcznie.

– Cholera jasna... – mruczy, przekręcając butelkę. – Limitowana edycja. To musi kosztować tyle, co nowy telewizor.

Odstawia skrzynkę na stolik, ale trzyma dłoń jeszcze przez moment na wieku, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, wreszcie kiwa głową, a w jego głosie słychać już tylko uznanie.

– No... trzeba przyznać, młody Rian się postarał. Nie wiem, ile ten związek potrwa, ale czuję podskórnie, że Ville będzie tu częstszym gościem, niż nam się wydaje.

– Ja też mam takie wrażenie – odpowiada cicho. Po chwili dodaje z czymś, co brzmi niczym wzruszenie:

– Ale ten chłopak jest wart milion dolarów.

– A jego rodzina miliard – dorzuca John, jakby puentował logiczny ciąg myśli.

Marina spogląda na niego uważnie. Dla niej „wart milion” znaczy coś zupełnie innego: szczerść, uczucie, ta rozbrajająca radość, którą wniósł do domu. To, jak jej córka przy nim promienieje. John jednak w takich chwilach widzi tylko interesy.

Nagle z zamyślenia Mayerów wyrywa ich głośna muzyka – mocny elektroniczny beat. Marina się wzdryga, John ciężko opada na fotel i chowa się za poduszką. W ich domu nie słucha się głośno muzyki, a już na pewno nie czegoś takiego.

– Ten wasz głośnik do niczego się nie nadaje – rzuca Libertyn wesoło. – Strasznie pierdzi... znaczy, kiepska jakość.

John odpowiada jedynie krótkim „aha”. Chwilę później, przy dźwiękach elektronicznego kawałka z lat dziewięćdziesiątych, młodzi wracają do salonu, niosąc na półmiskach ryż, potrawkę i sałatkę ze świeżych warzyw.

Rozdział 14

Rose poznaje dziwactwa Villego

W gabinecie pali się ciepłe, bursztynowe światło lampy stojącej na rogu biurka. Z zewnątrz dobiega stłumiony szum wiatru, a za ciężkimi zasłonami czai się zimowy wieczór. Na ekranie laptopa miga plansza *scrabble* online – Mia próbuje odpocząć po długim dniu spędzonym na spotkaniach z politykami, którzy nie mają zielonego pojęcia, o czym mówią. Relaks wychodzi jej marnie. Co chwilę mruczy coś pod nosem, a kiedy przeciwnik zbija jej wynik, syczy przekleństwo z irytacją i stuka palcem w touchpad tak, jakby wina leżała po stronie sprzętu. Na biurku panuje idealny porządek: notatki spięte klipsem, kilka dokumentów w skórzanej teczce, pióro, filiżanka z resztką herbaty. Tylko ta plansza z literami psuje obraz poważnego gabinetu.

Mia czeka. Zaprosiła Rose i teraz, kiedy drzwi otwierają się powoli, podnosi na nią wzrok. Jej twarz natychmiast twardnieje przybierając bardziej oficjalny wyraz.

– Siadaj – mówi krótko, wskazując krzesło naprzeciwko biurka.

Dziewczyna przelęka ślinę i zamyka za sobą drzwi, a echo ich kliknięcia rozbrzmiewa w gabinecie dziwnie głośno.

Mia wyłącza laptopa jednym zdecydowanym ruchem, jakby odcinała się od własnej chwili słabości. Odchyła się w fotelu, spleta dłonie na podłokietnikach i przez dłuższą chwilę tylko milczy, badając ją spojrzeniem, które zdaje się przenikać na wyłot.

– Jak to jest być wybranką bożyszczka i ulubieńcą milionów fanek? – pyta w końcu, przechylając głowę lekko w bok. Głos brzmi miękko, ale w pytaniu czai się coś więcej – prowokacja, test.

– Trudno stwierdzić – odpowiada z wahaniem dobierając słowa. – Jesteśmy ze sobą za krótko. Nie wychodzimy nigdzie, Libertyn jest zapracowany.

– Zdaje się, że ty też masz co robić.

Rose kiwa głową, ale wzrok natychmiast ucieka gdzie indziej – na półki wypełnione książkami, na błyszczącą ramkę ze zdjęciem Amidali, nawet na filiżankę odstawioną na spodek. Wszystko wydaje się nagle ciekawsze niż te zielone, przesywające oczy, w których trudno cokolwiek ukryć.

– Cieszę się, że sprawa plotki i Mayerów skończyła się po naszej myśli – mówi Mia. – Niemniej widzę, że jesteś... ostrożna.

Ton brzmi chłodno i dziewczyna momentalnie prostuje plecy. Czy zrobiła coś złe? Może ten flirt z Ramim? Może nie powinna tak otwarcie żartować?

Mia obserwuje jej konsternację, rozluźnia ramiona i uśmiecha się ciepło.

– Droga Rose, jesteś bardzo dyskretna. To ogromna zaleta. Działasz według naszych zasad. Nie każda by potrafiła.

– Staram się – mówi zbyt cicho, patrząc w okno.

– Tak, to piękne. Ale mnie trochę martwi, że odcięłaś się od swojego środowiska. To miłe, że traktujesz Rianów i naszych przyjaciół jak swoich, ale nie powinnaś całkiem przekreślać dotychczasowego życia.

– Bałam się, że powiem coś za dużo. Wolalam zostawić przeszłość.

– Oj, nie bądź dramatyczna, kochana Rose. Po prostu nie pij w towarzystwie i uważaj na słowa. Mów pozytywnie, żadnych żali, żadnych plotek, żadnych szeptów błakających się po pałacu. Wtedy wszystko będzie dobrze.

– Czyli zostaje mi small talk. Nie mogę nawet powiedzieć, kiedy jestem szczęśliwa albo smutna, bo to może się obrócić przeciwko wam. Przeciwko Villemu.

– Masz w swoim gronie kogoś zaufanego? Kogoś, komu możesz się zwierzyć i mieć pewność, że to zostanie w tajemnicy?

– Mam przyjaciółkę... właściwie od dwóch miesięcy nie rozmawiamy, bo się odcięłam. I nie wiem czy mogę jej zaufać.

– No widzisz – mówi Mia, opierając łokcie o biurko. – Po to nasi przyjaciele podpisują NDA, żebyśmy mogli dzielić się z nimi sprawami osobistymi. To dobre rozwiązanie.

Sięga po długopis, obraca go w palcach, a potem wskazuje nim na swoją rozmówczynię.

– Jeśli chcesz, daj mi namiary na tę przyjaciółkę. Jeżeli ma być twoim gościem w pałacu, musimy ją sprawdzić.

– Dzięki za propozycję, zastanowię się – mówi Rose cicho, analizując tył wielkiego monitora, jakby zastanawiała się, czy kabel zasilający na pewno jest prawidłowo podłączony.

Nagle prostuje się, marszczy brwi, kręci lekko na krześle i dopiero wtedy podnosi wzrok na kobietę.

– Moją teczkę też macie?

– Uważaj, Rose. Bezcelność i zادیorność trzeba dawkować. Musisz nauczyć się poskramiać temperament. Emocje są dobre... ale w niektórych sytuacjach – zbędne.

Słowa brzmią jak ostrzeżenie, zbyt symboliczne, by dziewczyna mogła je od razu uchwycić bez wahania. Jest wystarczająco bystra, by zrozumieć sens, a jednak zakłopotanie i nerwy mogą przeszkodzić jej w pełnym odbiorze. Mia nie znosi powtarzać dwa razy – obserwuje jej bladą twarz i wtedy, jakby dając jej oddech, uśmiecha się lekko, łagodząc ton.

– Rose, kochanie musisz nauczyć się panować nad sobą. Bo w naszym świecie emocje są jak broń – jeśli nie wiesz, jak ją trzymać, możesz zranić siebie albo nas.

To co usłyszała Rose nie jest wymierzone bezpośrednio w nią, chodzi o przypomnienie zasad i umowy NDA, którą podpisała. Prawda jest taka, że podobne słowa od Mii słyszeli już wszyscy – Robert, Paul, Thomas, a nawet Wendy. Każdy, kto mieszka w pałacu i chce być blisko Rianów, musi przejść taką rozmowę: żadnych plotek, żadnych szeptów, żadnych emocjonalnych wpadek. To nic niezwykłego – standardowa przestroga. Różnica polega tylko na tym, że Rose, podobnie jak Thomas, słucha inaczej. Gdzie pozostali kiwają głową i od razu przyjmują to jako cenę za luksus, ta dwójka pyta, analizuje i próbuje rozumieć głębiej. Dlatego Mia i Rami mówią do nich ostrzej i raczej jak do partnerów w grze, a nie podopiecznych. Tylko ona w porównaniu do Thomasa jest dziewczyną Villego, a to powoduje, że jest szczególnie narażona na dziwne, podchwytliwe pytania oraz fałszywą przyjaźń.

Gdy Mia dostrzega na jej twarzy powagę i zrozumienie, a w ramionach rozluźnienie, dodaje jeszcze:

– Wieczorem idziemy z Wendy i Emmą do sauny. Popłotkować i poobgadywać facetów. Mam nadzieję, że dołączysz...

Rose wchodzi do sauny. Zapach mięty i eukaliptusa wypełnia pomieszczenie, para unosi się gęstymi obłokami, oblepiając ciała wilgocią. Drewniane ławki są gorące, krople potu spływają po

ramionach i nogach, ręczniki przyklejają się do skóry. Emma już po kilku minutach zaczyna wiercić się niespokojnie. Ociera czoło, wzdycha przeciągle i mruczy:

– Na bogów, jak tu gorąco. – Po chwili zrywa się, by wybiec na korytarz. – Muszę odetchnąć powietrzem o normalnej temperaturze! – woła przez ramię, zanim drzwi zamykają się z trzaskiem.

Mia i Wendy chichoczą, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. Rose rozsiada się wygodniej, otula ręcznikiem i w końcu decyduje się zadać pytanie, które chodzi jej po głowie od dawna.

– Mia, dlaczego na Ramie mówisz Antero?

Kobieta wybuchła głośnym śmiechem, a za nią natychmiast Emma – która właśnie wraca zziębnięta, z ręcznikiem przewieszonym przez szyję.

– Antero – powtarza z rozbawieniem. – Po pierwsze, to bardzo romantyczne imię. Pasuje do niego.

– Ojciec nie cierpi gdy się do niego tak mówi, ale mama ma przyzwolenie – wtrąca Emma, siadając ciężko na ławce i wachlując się dłonią.

Mia szczerzy się krzywo i potakuje, ale w jej oczach błyska nuta powagi.

– Wiesz, Rose... Rami jest dla fanów i przyjaciół. A dla mnie zawsze będzie Antero.

– No tak. Trzeba rozdzielić scenę od życia domowego – stwierdza w końcu Rose. – To bardzo... sprytnie.

– Vivaan – mruczy nagle, bardziej sama do siebie. – Tak Ville przedstawił mi się, gdy się poznaliśmy. Nie wiem, czy byłabym w stanie się w ten sposób do niego zwracać, choć to piękne imię.

Na twarzach dziewczyn maluje się szczere zdziwienie – nie znały tej części historii wielkiej miłości Rose i Villego.

– I pasuje do niego – dodaje wreszcie Wendy. – Vivaan czyli „pełen życia”.

– A co do Vivaana, czyli mojego ukochanego synka... – zaczyna przeciągając słowa. – Powiedz mi, czy wy w ogóle kiedykolwiek byliście na randce?

– Nie – odpowiada kładąc się na gorącej ławce i zakrywając oczy ręką. – Ciągle coś. Ciągle nie ma czasu.

– Bzdury opowiadasz! – wtrąca Emma. – Ja też biorę udział w nagraniach i próbach, pracuję w RRstudio i jakoś z Robem wychodzimy. I na imprezy też zawsze znajdzie się czas.

– Też chodzimy na imprezy – broni się Rose.

– Ale mówimy o randkach – dodaje Wendy z grymasem.

Mia zachowuje spokój i przyglądając się bacznie swoim paznokciom stwierdza sucho.

– Kochanie, mój syneczek to randkowy prawiczek. Zrób coś z tym i nie daj sobie wmówić, że wyjście we dwoje raz na jakiś czas odbiera mu cenne minuty.

Drzwi sauny skrzypią i do środka wchodzi Ville i Rami, owinięci w ręczniki, z minami niewinnych aniołków. Para natychmiast otula ich sylwetki, a na twarzach pojawiają się złośliwe uśmiechy.

– O proszę – rzuca Rami, opierając się nonszalancko o framugę i omiatając dziewczyny spojrzeniem. – Cztery plotkary w komplecie.

Ville przeciąga dłonią włosy do tyłu i patrzy wyzywająco na Rose, która odpowiada mu maślanymi oczami.

– Zaraz pewnie pójdą na wino i będą opowiadać, jak im chłopcy nie pasują – dodaje z przesadną powagą posyłając ukochanej buziaczka w powietrze.

Obaj siadają na ławkach przyglądając się swoim towarzyszką w milczeniu. One wychodzą bez słowa, zostawiając po sobie tylko zapach mięty i gęstej pary.

Rami i Ville przybijają żółwika, po czym wybuchają śmiechem, jakby dopisali puentę do żartu zrozumiałego wyłącznie dla nich. Chwilę później dołącza reszta chłopaków z Liberty Fade i każdy zajmuje swoje ulubione miejsce. Rami opiera się wygodnie, jego idealnie zarysowany biceps napina się przy każdym ruchu. Skóra połyskuje od kropel potu, a linia tatuażu oplatającego bark i ramię rysuje się wyraźnie w świetle. Na piersi ożywa portret młodej Mii, której przenikliwe spojrzenie zdaje się ostrzegać: *on jest mój*.

Panowie siedzą chwilę w milczeniu rozkoszując się klimatem sauny, gdy wreszcie, odzywa się Rami, nieco zaczepnie.

– Syneczku, kiedy zaprosisz swoją ukochaną na randkę?

– Cicho! – odpowiada i macha ręką, odganiając natręctwo. – Dla mnie to słowo nie istnieje. Jeszcze miesiąc się jakoś przekulam, potem trasa, egzaminy, znowu trasa i nagrania. – Rozkłada bezradnie ręce z miną niewiniątka. – Nie mam czasu.

Thomas parska, przeciągając się na ławce; mięśnie brzucha napinają się pod kroplami potu i błyszczą w parze.

– Ty w życiu nie byłeś na randce. Czego się tak boisz?

– Bo nigdy nie miałem dziewczyny i się nie boję, uważam to za zbędne – odbija z przesadną powagą, przesuając dłonią po wilgotnej klatce piersiowej.

– Jeśli myślisz, że cię to ominie, to się mylisz – wtrąca Robert.

– Kończymy temat. Dopóki Rose nie narzeka, jestem bezpieczny.

– No dobra – wzdycha Paul, unosząc butelkę wody w geście toastu. – Zobaczmy, jak długo będzie wyrozumiała.

Rami pochyła się, rozczochruje syna po wilgotnych włosach i mruczy z rozbawieniem:

– Powodzenia, synu marnotrawny.

Śmiech odbija się od drewnianych ścian, a Ville tylko wzdycha ciężko. Krople potu spływają mu po obojczyku, lśnią w świetle i nikną w ręczniku zsuwającym się z bioder.

– Thomas, masz wreszcie jakąś na oku, czy nie? – pyta Rami weselej.

Libertyn omiata spojrzeniem chłopaków i ocenia ich sylwetki; w końcu stwierdza w myślach, że Thomas ma zdecydowanie najlepsze mięśnie – nie za dużo jak u Roberta, nie za mało jak u Paula. Zerkając na własny biceps i płaski brzuch wzdycha przeciągle. U niego to zawsze była bardziej linia i rzeźba niż masa. Same kości, ścięgna i mięśnie, zero „gabarytu”. Wygląda jak sportowiec z podręcznika anatomii, ale przy Thomasie i tak jest po prostu za chudy, żeby się z nim porównywać.

– Teraz nasz DJ jest libertynem. Jedyne wolne w ekipie – dodaje ironicznie, patrząc na przyjaciela.

– Fandom jest mój, cieniasy – podsumowuje zgryźliwie, pokazując środkowy palec.

Paul napina biceps i kiwa głową z uznaniem. Robert widząc to, uśmiecha się ironicznie, co może oznaczać: *kolego, z czym do ludzi?*

– Nie ciesz się tak śliczny DJ-u. Im jesteś starszy, tym gorzej – mówi w końcu Paul, posyłając Robowi spojrzenie pełne uznania.

– Dokładnie – dorzuca Robert. – Później zostanie ci rozwódka z plecakiem, wariatka albo brzydka, której nikt nie chciał.

– Może i brzydka – Ville unosi dłoń teatralnie – byle serce miała dobre.

– No nie wiem – zaczyna Thomas. – Czy lepiej mieszkać w pałacu i patrzeć na kurną chatę, czy w kurnej chacie i patrzeć na pałac.

Chłopaki zerkają na siebie, po czym wszyscy wybuchają śmiechem.

– No, mieszkamy w pałacu – podsumowuje Rami z udawaną powagą.

– To pałac księżniczki. My jesteśmy tylko gośćmi – dodaje Ville, przeciągając sylaby i poprawiając ręcznik zsuwający się z bioder. Krople potu spływają mu po torsie, giną na brzegu materiału, a on z pełną świadomością pozwala, by spojrzenia chłopaków zawisły na jego idealnie wyrzeźbionym, choć zbyt szczupłym brzuchu.

– No tak – wzdycha Rami, zaciągając się parą, jakby palił cygaro. – Dlatego muszę być grzeczny.

– Ale masz gdzie wracać, chawira w Helsinkach jest twoja – przypomina Paul.

– Pałac bardziej pasuje do mojej obecnej, dojrzałszej natury. W kamieniu i mroku jest życie, a echo niesie pamięć. W szkłe i betonie jest tylko cisza, choć jeszcze do niedawna twierdziłem inaczej – mówi spokojnie, głaszcząc dłońmi wilgotne tatuaże, które zdają się poruszać wraz z jego oddechem. – A wracając do randek – ciągnie – ja tam lubię wychodzić z moją żoną.

– W twoim wieku? Randki? – podpuszcza Ville, zerkając na ojca spod długich rzęs.

– Zamknij się, gówniarzu. Sam zobaczysz, że w moim wieku randki smakują najlepiej – odpowiada nie kryjąc oburzenia, a na jego piersi błyszczy tatuaż z wizerunkiem Mii, jakby sam reagował na słowa Villego.

Paul już otwiera usta, ale Rami podnosi palec ostrzegawczo.

– Ty też się zamknij, wszyscy mają zamilknąć, pamiętajcie, że mieszkacie w moim domu.

– Zasadniczo ustaliliśmy, że to pałac Mii – wtrąca Robert z niewinną miną, ocierając kark ręcznikiem.

Rami przekręca głowę w jego stronę, marszczy brwi, a kącik wykrzywia w ironicznym uśmiechu.

– Zasadniczo to cię nie lubię, Robusiu.

Chłopak mruży oczy, a mięśnie ramion naprężają się odruchowo szykując się do obrony.

– Ciągłe masz pretensje, że spotykam się z twoją córką?

– Powinienem cię odstrzelić na samym początku.

– No nie wiem... twoja żona mnie lubi – odpowiada prowokacyjnym tonem.

– Toleruje co najwyżej. A tak w ogóle, jakie masz plany wobec mojej córki?

Ville klaszcze w dłonie i parska, błyskawicznie rozładowując napięcie.

– Ojczy, mnie też to czeka. Za dziesięć lat sam będę musiał odstrzelić typa, co będzie łąził za Ami.

– Dam ci dobrą radę, synu. Majtki cnoty i do lochu. Ewentualnie do klasztoru.

– To drastyczne – mruczy Paul, strzepując krople potu z karku.

– Będziesz miał córkę, to zobaczysz – mruczy Rami pod nosem.

Thomas przeciąga się leniwie, jego mięśnie brzucha lśnią w parze. Patrzy na nich spod przymkniętych oczu.

– Ja nie planuje dzieci, ale z dwojga złego wolę syna.

– Bo jesteś fajniejszy – dorzuca Ville zbyt entuzjastycznie.

– Dupa tam fajniejsi! Syn to jeden problem, a córka to całe osiedle problemów.
 Rami spogląda na Villego z politowaniem i wzdycha ciężko.

– Mam inne doświadczenia, akurat – stwierdza bez emocji w głosie.

Paul, Thomas i Rob patrzą na siebie porozumiewawczo. Ville poprawia rękawiczki i szczerząc się jak by sprawa nastoletniego ojcostwa go nie dotyczyła, natychmiast zmienia temat.

– Ojczy, ja przycisnę Robercika w twoim imieniu. – Zwraca się do przyjaciela: – No, jakie masz plany wobec Emmy?

– No... spotykamy się krótko – próbuje Robert.

– Nawet nie próbuj się wymigać, łazicie za sobą tyle lat – ucina Rami.

– Ale oficjalnie to tylko kilka miesięcy...

Mężczyzna patrzy na niego z politowaniem, a Ville podnosi dłoń teatralnym gestem.

– Ja mam świeże doświadczenie w rozmowach z tatusiem dziewczyny – obniża głos. – Chłopcze, co robisz w życiu, gdy trzeba płacić rachunki, hmm...?

– Jestem perkusistą.

Ville uderza się w pierś, udając przerażenie, a jego mokra skóra lśni w świetle.

– Muzyk, tak?! To ja ci coś powiem, chłopcze. Znam takich jak ty – rano harują na budowie, wieczorami grają do kotleta i marzą o Wembley. – Pochyla się lekko do przodu wbijając słowa w przyjaciela. – A ja pytam: co robisz, gdy przychodzi życie? I nie mów mi o muzyce, to mnie nie interesuje.

– No... mam klub. I maluję motory – odpowiada ostrożnie.

Libertyn wybuchając śmiechem politowania, unosząc ręce w górę błagając bogów o pomoc.

– Czyli artysta! Co za zawód? A ja myślałem, że Emma jest tylko lekkomyślna – wzdycha teatralnie i punktując Roberta dodaje – Z mojego doświadczenia albo masz zawód i fach w ręku, albo własną firmę i ryzyko. Ty nie masz ani jednego, ani drugiego. A klub to nie biznes, zwykła zabawa.

Przyjaciel prostuje się, w jego głosie pojawia się duma.

– Skończyłem studia prawnicze.

– A aplikację zrobiłeś?

– No nie, bo zająłem się muzyką.

Ville pochyla się i kiwa głową z udawanym wręcz przesadnym zrezygnowaniem.

– No właśnie, Robuś. Kim jesteś, żeby wchodzić do mojej sauny? I co możesz zaoferować Emmie? Tylko nie mów, że miłość w czystej postaci – dodaje pospiesznie.

Robert zamyśla się na chwilę, drapie po czole, spogląda na resztę, która również zawiesza się w lekkiej konsternacji i potem pyta badawczo:

– A ty powiedziałeś ojcu Rose, że oferujesz jej miłość w czystej postaci?

– On mnie szczyptał, to mu oddawałem. Myślał, że mnie złamie... takiego wała! – dorzuca z wymownym gestem – Że jestem muzykiem? Od razu zanegował, nawet nie pytał o albumy, koncerty czy gdzie i dla kogo gram. Studia? Nie, bo prywatna uczelnia i zaocznie. Fundacja? Nie, bo wolontariat.

– Mówiłeś, że było ciężko, ale aż tak? – dziwi się Paul.

– Tak wyglądała rozmowa z Johnem Mayerem. Szukał dziury w całym.

– Ja bym się zemścił. Tak... dramatycznie – inteligentnie – mruczy Thomas.

– Jeszcze John Mayer mnie popamięta. Szkoda tylko Mariny, bo to ona zaczęła ze mną rozmawiać normalnie, a na sam koniec przytuliła.

– Nie bądź taki – wtrąca Rami poważnie, spoglądając na syna spod mokrych rzęs. – Sam jesteś ojcem. Zrobisz wszystko, by Ami była bezpieczna i szczęśliwa. John ciężko pracował na swój sukces i choć go nie znam osobiście, to szanuję. No i z Mariną wychowali wspaniałą córkę.

Ville rozpromienia się i kiwa głową.

– Tu się zgodzę. Jednak mu nie odpuszczę.

Reszta przytakuje w milczeniu, para otula ich sylwetki, a w powietrzu unosi się ciężar rozmowy zmieszany ze śmiechem.

– Ale wróćmy do tematu – Rami kieruje spojrzenie na Roberta. – No Robuś, wiemy, że jesteś muzykiem i grasz do kotleta, nie masz aplikacji do wykonywania zawodu prawnika. Więc co możesz zaoferować Emmie?

– Miłość w czystej postaci – stwierdza z powagą. – Zależy mi na niej. I to bardzo.

Rami wbija w niego wzrok i powoli potakuje, wreszcie mówi już bardziej ciepłym tonem.

– Dobra. Masz mój kredyt zaufania.

– Dzięki – odpowiada cicho, lecz stanowczo.

Zimowe światło poranka wpada przez wysokie pałacowe okno, rozcinając się długimi smugami. Odbija się w lustrze, w którym widać sylwetkę Thomasa, jak wali w worek treningowy. Każde uderzenie niesie po przestrzeni stłumione echo. Powietrze pachnie gumą, metalem i pastą do podłóg.

Ville, lekko spocony, rozmawia jeszcze przez chwilę ze swoim trenerem krav magi. Gdy mężczyzna wychodzi, wskakuje na bieżnię i zaczyna spokojnie rozgrzewać ramiona. Rytmiczny szum przesuwałej się taśmy miesza się z głuchymi uderzeniami pięści Thomasa o worek treningowy.

Rozmawiają półgłosem o tym, co za kilka dni czeka ich w Helsinkach. Co chwilę wybuchają krótkim śmiechem, po czym znów nachylają się ku sobie, szepcząc i dopracowując jakiś niecny plan jakby knuli coś zakazanego.

– Mam dziwną piosenkę, z którą nie wiem, co zrobić – zaczyna Ville, zwalniając tempo kroków i patrząc w stronę Thomasa. – Powstała, kiedy straciłem nadzieję, że Rose mi wybaczy. Że kiedykolwiek będziemy razem.

Następnie przesyła mu materiał na telefon. Przyjaciel zakłada słuchawki i przewija tekst na ekranie, a w tle rozbrzmiewa prosty podkład fortepianowy.

– Nie chcesz tego na płycie? – pyta wreszcie, marszcząc brwi. – To fajny kawałek.

Ville zeskakuje z bieżni, staje na macie, rozciąga ramiona i plecy.

– To bolesna sprawa – mówi cicho. Chwyta drążek i podciąga się płynnie. – Z jednej strony chcę o tym zapomnieć. – Zawisa głową w dół, prostuje nogi, a głos odbija mu się echem w pustej sali. – Ale z drugiej to coś, co fajnie byłoby wykorzystać. Po co ma się kurzyć? – Machnięciem nóg robi fikołek, spada miękko i mówi dalej: – Zróbmy z tego totalny chaos. Każdy niech się dogra po swojemu.

– On się wkurzy – rzuca Thomas spod worka, uderzając jeszcze mocniej, jakby testował wytrzymałość skóry.

– I o to chodzi – dodaje, robiąc kilka pompek. – Ta piosenka nigdy nie będzie hitem. – Zatrzymuje się, patrzy w lustro. – Brakuje w niej czegoś, czego nie potrafię nazwać. – Nabiera powietrza, prostuje plecy

i dodaje z pewnością w głosie. – Więc zrobmy z niej huragan. A może kiedyś weźmiemy tekst, podstawowy podkład i nagramy to jeszcze raz, w wersji, która będzie pasować na płytę. Tak czy siak: albo pójdzie na stracenie, albo trafi na krążek. Nie chcę, żeby leżała i gniła. – Zerka na Thomasa i na jego napięte mięśnie uśmiechając się lekko. – Rami Rian ma wystarczająco dużo kurzących się utworów w sejfie. Ja nie zamierzam przechowywać latami czegoś, co nigdy nie wyjdzie.

Thomas odkłada rękawice, ociera kark ręcznikiem i kiwa głową.

– Dobra, jak chcesz. Trzeba zwołać ekipę. Mamy mało czasu.

Jeszcze chwilę ustalają szczegóły, śmiejąc się i coś podśpiewując pod nosem. Lustra łapią ich ruchy, multiplikując sylwetki. Wtedy drzwi skrzypią i na salę wchodzi Rose.

– Libertyn – mówi chłodno – czas na randkę.

Thomas parska śmiechem, odwraca się do worka i zaczyna go okładać z całych sił, żeby ukryć rozbawienie. Ville robi gwiazdę, potem salto i ląduje miękko niedaleko swojej ukochanej.

– Kochanie, teraz mamy dużo pracy... – zaczyna, ale dziewczyna mu przerywa.

– Nie interesuje mnie to. Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli mnie zabierzesz wieczorem na randkę. Bądź gotowy o osiemnastej. Radzę, żeby było miło. – Odwraca się i wychodzi, nawet się nie oglądając.

– Cholerne plotkary – syczy, wracając na drążek. – To one ją tak nastawiły.

Thomas przyciska dłoń do worka, jakby go przeproszał, i mówi półgłosem, konspiracyjnie:

– Może nas podsłuchały, kiedy gadaliśmy o randkach.

– I tak długo się migąłem. Przejdę się do Emmy, może coś wygada, może Rose jej wspominała, gdzie by chciała pójść.

Thomas przeciąga ramiona, zakłada koszulkę przez głowę i rzuca z powagą:

– Ty idź na tę randkę, a my zaczniemy coś działać.

– Moja ślicznotka jeszcze mnie popamięta. Odechce jej się randek ze mną raz na zawsze – celuje palcem w przyjaciela, ale ten tylko macha ręką bez odwracania się i wychodzi z siłowni.

Libertyn korzystając z chwili zamieszania po wyjeździe rodziców chwyta Emmę pod rękę i bez słowa prowadzi ją korytarzem, aż do gabinetu. W jego geście jest coś teatralnego, jakby zamierzał zdradzić jej największą tajemnicę – taką, którą wypowiada się tylko przy zamkniętych drzwiach. Emma nic nie mówi, tylko uśmiecha się pod nosem, domyślając się, że Rose wreszcie postawiła na swoim i nakazała zaprosić się na randkę. Teraz podchodzi do komody krzyżując ramiona i opierając się plecami o zimny mebel. Wygląda spokojnie, ale w spojrzeniu kryje się czujność, wie, że brat zaraz zacznie swoją tyradę w związku z tym niepostrzeżenie włącza kamery.

Ville staje przy wysokim oknie, teatralnie unosząc głowę niczym bohater w scenie dramatu.

– Słuchaj *sis* – zaczyna w końcu – ja wiem, że to pewnie wasz idiotyczny pomysł z tą randką – unosi ręce w geście kapitulacji, a bransolety pobrząkują cicho. – Dobrze, nie oceniam, nie mam żalu. Ale skoro tak, powiedz mi *sis*, czy ty byłaś kiedyś na randce?

– Czy ty jesteś normalny?

Libertyn drapie się po brodzie, krzywiąc się jak uczeń, który właśnie strzelił głupie pytanie.

– Dobra, zakładam, że byłaś.

Emma przygląda mu się niczym dziwnemu eksponatowi w muzeum, potem potakuje lekko.

– O co chodzi ci z randkami? Dlaczego masz z tym taki problem?

Ville uśmiecha się ironicznie, podchodzi do biurka i siada na jego krawędzi, biorąc do ręki długopis. Obraca go w palcach, wystukując nim rytm piosenki o której rano rozmawiał z Thomasem.

– Uważam – zaczyna przeciągle – że są niepotrzebne. I tak mnóstwo czasu spędzamy razem, noce na przykład. Mieszkamy w jednym pokoju. – Podnosi długopis jak wskaźnik. – Chodzimy na imprezy.

– A ty to jednak cep jesteś – syczy Emma, przewracając oczami. – Chodzi o bycie we dwoje, o to, aby wyjść razem, być dla siebie, robić inne rzeczy niż tylko bzykanie i imprezowanie ze znajomymi.

– Robię z nią mnóstwo innych rzeczy. Ćwiczymy razem, słuchamy muzyki, czytamy książki, gramy w karty, zajmujemy się Ami. Kiedy będzie cieplej, będziemy jeździć na rowerach, pozeglujemy.

Emma wzdycha przeciągle i powoli podchodzi bliżej, patrząc mu prosto w oczy. Jej ton jest poważny, ale słychać w nim nutę rezygnacji.

– Nie dyskutuj, po prostu ją zabierz gdzieś i przestań robić z igły widły.

– No dobra – mruczy opierając się plecami o blat – to może pani mądralińska powie mi, gdzie mam ją zabrać. Mam trochę mało czasu, wiesz?

– Zabierz ją na spacer, do kawiarni, do kina.

– W kinie nic nie grają ciekawego, sprawdzałem.

Siostra bierze głęboki oddech, patrzy na niego z politowaniem i kręci głową czując, że w środku ma już tylko pustkę.

– Dobra – mówi Ville, wzdychając teatralnie – spacer i ciacho. Może być. Na drugi raz bardziej się przygotuję.

– Świetnie – kwituje. – Aha, i wiesz, jest taki przesąd, że na pierwszą randkę powinno się pojechać środkiem komunikacji miejskiej.

– No od nas z Virginia Water to chyba tylko autobus lub kolejka, prawda? – upewnia się, unosząc brew z udawanym niedowierzaniem. – Ja nigdy nie jechałem takimi... pojazdami.

– Ja w sumie też nie, ale metro w Londynie mam opanowane – dodaje już całkiem poważnie.

Potem odwraca się na pięcie, a jej krok odbija się echem w gabinecie. Wychodząc, rzuca tylko przez ramię:

– Powodzenia, *bro*.

Libertyn uśmiecha się jak czort, zaciera ręce, a promienie słońca przeciskające się przez wysokie okno gabinetu równomiernie oświetlają jego sylwetkę.

Zapada wieczór, Rose czeka już w holu głównym. Zgodnie z poleceniem Villego ubrała się cieplej – czarny kożuch, rękawiczki, czapka naciągnięta na uszy. Libertyn schodzi po schodach powoli, z tym swoim charakterystycznym gestem niczym aktor wchodzący na scenę. Na nogach ma cięższe buty, na głowie czarne nauszники, a jego elegancka kurtka stylizowana na marynarkę odbija światło żyrandola.

– Tak się cieszę na tę randkę – mówi gdy podchodzi do niego, a on całuje ją w policzek.

– Wybacz, powinienem był już dawno zabrać cię gdzieś. Ciągle tylko dom, praca, próby...

Wychodzą na zewnątrz, a styczniowy chłód natychmiast wciska się pod ubrania, gryzie w policzki i dłonie. Powietrze jest ciężkie, przejrzyste, każdy oddech zamienia się w obłok pary, który rozwiewa się w podmuchu wiatru. Dziewczyna pochyla się ku niemu i całuje go namiętnie, długo, jakby

chciała zatrzymać ciepło tej chwili, zanim zimno zdąży ich osaczyć. Ville pozwala jej na to z lekkim uśmiechem. Po chwili bierze ją pod ramię i prowadzi w stronę bramy, mijając zaparkowaną limuzynę.

– No spóźnimy się... choć.

Rose marszczy brwi – spodziewała się samochodu albo taksówki, ale nic nie mówi. Kilka metrów za nimi, w równym rytmie, idzie Scott – ochroniarz, jego ciężkie kroki rozbrzmiewają w ciszy.

– Po co nam ochroniarz? – pyta z lekkim zniecierpliwieniem.

– Kochanie, przyzwyczaj się. Poza tym chcę być z tobą na randce, a nie z fanami. Dziś niby niepogoda, ale wiesz jak jest... ciemno, zimno. Lepiej mieć Scotta pod ręką.

Ona nic nie odpowiada, tylko kiwa głową. Zna ten głos. Dokładnie tak samo brzmiał, gdy „ucieszył się”, że Rami zaprosił ją na wernisaż.

Za bramą skręcają w prawo. Latarnie rozlewają złote światło na mokry asfalt, wiatr szarpie płaszczem Rose. Libertyn mówi dużo, za dużo – opowiada o sprawach pałacu, anegdotach z prób, rzuca żartami, jakby zagadywał własne napięcie. Dziewczyna słucha, ale coraz mocniej wciska dłonie w rękawiczki, by je ogrzać.

Docierają wreszcie do stacji kolejowej. Powietrze drży od wiatru, wchodzi na peron oświetlony ostrym, zimnym światłem lamp. Ville spogląda na zegarek i uśmiecha się nerwowo.

– No dobra, zaraz wsiądziemy. Trochę się denerwuję – przyznaje, unosząc wzrok na Rose.

– Zabierasz mnie na randkę kolejką podmiejską?

Chłopak przestępuje z nogi na nogę, tupie lekko, żeby się rozgrzać.

– To niesamowite, prawda? Mój pierwszy raz.

– Wieki nie jechałam kolejką. To miła odmiana.

Libertyn naciąga kaptur głębiej, żeby nie zostać rozpoznanym, a następnie wtula się mocniej w Rose. Wokół gromadzi się grupka ludzi, ich oddechy unoszą się w powietrzu jak mgła.

– Masz szczęście, że jesteś anonimowa – mówi cicho. – Choć po emisji pierwszego odcinka już nie będziesz.

– Wiem. Ale nie martwi mnie to... do momentu odcinka, w którym przyznajesz, że już nie jesteś wolny.

– Będzie dobrze, zobaczysz – szepcze ściskając ją mocniej.

Pociąg wjeżdża na peron, metaliczny zgrzyt rozcina ciszę. Wsiadają do ostatniego wagonu, gdzie jest nieco luźniej. Scott zajmuje miejsce kilka metrów dalej, nieruchomy i czujny. Ville i Rose siadają obok siebie, ich dłonie splatają się odruchowo. Ona opiera głowę na jego ramieniu, on przymyka oczy.

– No wiesz – szturcha go lekko – nie spodziewałam się tego, że przewieziesz mnie kolejką. Skąpy jesteś.

Niedługo później wysiadają i kierują się w stronę cichych uliczek. Mokre brukowane alejki błyszczą od deszczu jak szkło. Rose poprawia kołnierz kożucha i tupie z zimna, ale gdy docierają do skweru otoczonego kawiarniami i pubami, jej twarz rozjaśnia uśmiech. Wchodzą do jednej z przytulnych kawiarni. Ciepło uderza ich w policzki, a zaparowane szyby zatrzymują w środku zapach kawy i świeżego ciasta. Siadają naprzeciw siebie, zamawiają sernik i grzane wino. Rozmawiają ciszej, śmieją się, a Ville co chwilę pochyla się przez stolik próbując zaczarować ją samym spojrzeniem.

Godzinę później Libertyn proponuje spacer. Rose, ogrzana i rozleniwiona, marszczy nos.

– Tam jest zimno. Posiedźmy jeszcze, zamówmy taksówkę.

– Wybacz, kochanie. To moja randka. Ja mam plan. Jeśli kiedyś zaprosisz mnie na swoją, wtedy sobie ustalisz zasady.

Ona przewraca oczami, czuje, że coś się kroi. Mimo protestu ubiera się i wychodzi za nim. Wiatr uderza mocniej, deszcz zaczyna siekać po policzkach.

– Cholera – burczy. – Zamawiaj taksówkę.

On staje naprzeciwko niej, oburzony, krople wody błyszczą mu na rzęsach.

– Ty chyba żartujesz. Przyjechaliśmy tu kolejką i odjedziemy kolejką.

– Jaja sobie robisz, Libertyn? Szliśmy kwadrans, teraz będziemy moknąć w drodze powrotnej?

– To moja randka, a ty jesteś rozpieszczona. Zamiast gadać, chodź.

Rose gotuje się w środku, ale przypomina sobie słowa Mii – żeby panować nad emocjami. Wie, że teraz ma prawo do złości, a jednak traktuje tę sytuację jak lekcję poskromienia własnego temperamentu. Milczy, zaciska usta i przyspiesza krok. Deszcz bije coraz mocniej, krople ściekają z rzęs, a włosy kleją się do czoła. Na dworcu chowają się pod zadaszeniem, oboje drżą z zimna. Dziewczyna ociera zmarznięte dłonie o siebie.

– A co jeśli nie miałbym szofera ani pieniędzy na taksówkę? Hmm...? – rzuca prowokacyjnie, strzepując wodę z ramion kurtki.

– Przesadzasz – odpowiada, zniecierpliwiona. – W tej sytuacji przełknęłam bym tak poważny koszt. Może tak zrobimy co?

– Nie ma mowy. Nie psuj mi randki. Wracamy kolejką.

– Dobrze. Niech tak będzie. – odpowiada rozkładając ręce w geście rezygnacji i odwraca się do niego plecami ucinając rozmowę.

W pociągu Rose siedzi z posępną miną, zapatrzona w ciemność za oknem. Ville nachyla się do niej, szepcze coś do ucha, przesuwa dłonią po jej ramieniu, próbuje ją rozbroić półuśmiechami. Ona milczy. Kolejne minuty upływają w gęstej ciszy, napięcie rośnie z każdym kilometrem.

Kiedy wysiadają, zimne powietrze uderza jeszcze mocniej. Deszcz spływa po twarzach i włosach, ubrania lepią się do ciała. Przemoczeni idą szybkim krokiem w stronę pałacu, a ona ani razu nie spogląda na Villego. W holu zrywa z siebie mokry kożuch, zrzuca buty byle gdzie i bez słowa biegnie na górę. Drzwi sypialni trzaskają, a klucz obraca się w zamku.

Nie czeka długo, wchodzi do łazienki, zostawiając za sobą mokre ślady na parkiecie. Drży z zimna, więc odkręca kran i od razu nalewa gorącej wody. Para wypełnia pomieszczenie, osiada na lustrze i kafelkach. Zrzuca przemoknięte ubrania, zanurza się po szyję, czując, że ciepło rozlewa się po ciele.

Tymczasem Libertyn stoi już przed sypialnią, bezskutecznie szarpiąc za klamkę. Kiedy napotyka opór, wzdycha teatralnie, opiera czoło o drzwi i uśmiecha się krzywo.

– No tego nie przewidziałem – mruczy sam do siebie. – Trudno, powścieka się, a ja mam spokój z randkami na jakiś czas.

Machnięciem ręki odpuszcza, kieruje się do jednego z pokoi gościnnych i tam bierze prysznic.

W tym samym czasie Rose leży w wannie, a z głośników sączy się rumba. Próbuje się odprężyć, ale myśli same wracają do wieczoru. Już od początku przeczuwała, że jej chłopak coś kombinuje. Miała tylko nadzieję, że chodzi o miłą niespodziankę.

– No tak... sama jazda kolejką z Ville Rianem była zaskakująca – stwierdza półgłosem, rozkładając ręce pełne piany. – Przynajmniej w jedną stronę.

Napuszcza jeszcze gorętszej wody, zanurza się głębiej.

– W ogóle było fajnie – mruczy, po czym wzdycha. – Do czasu aż zaczęło padać.

Zamyka oczy, a rumba koi zmysły, ale głowa nadal analizuje. Każde jego skrzywienie, gdy słyszy słowo „randka”. Każda wymówka: brak czasu, praca, obowiązki. A przecież na imprezy czy wspólne seanse zawsze czas był. I słowa Mii wracają jak echo: „mój syneček to randkowy prawiczek”.

– To jakaś zasada? – zastanawia się, wodząc palcem po tafli piany. – Jakiś jego rytuał?

Zaczyna w myślach układać listę dziwactw Villego: *ciągle pije wodę z cytryną albo miętą. Musi być w ruchu, nie usiedzi na miejscu. Zamiast notatek w notesie – karteczki z cyframi, które potem wszędzie gubi. Jeździ tylko SUV – ami. Ubiera się wyłącznie w ciemne kolory.*

– Ja też ubieram się na czarno – mruczy, uśmiechając się pod nosem. – To styl, nie dziwactwo. Ale on nawet gacie ma czarne... Zawsze ma przy sobie te miętowo – miodowe cukierki. Kiedy rozmawia przez telefon, chodzi w kółko niczym zwierzak w klatce. Paznokcie zawsze pomalowane, biżuteria jak na pokaz mody.

Sięga po garść piany, zgniata ją między palcami i puszcza bańki na powierzchnię.

– Nigdy nie miał dziewczyny, nigdy nie był na randce – dodaje cicho. – Niechodzenie na randki to jego rytuał.

Wskazuje palcem na sufit rysując sylwetkę Villego.

– Gnojek zrobił to specjalnie, żeby mi obrzydzić randki. No to mam pięćdziesiąt masek Libertyna, a w zasadzie przynajmniej ze sto. Muzyk, artysta, poeta, aktor, biznesmen, matematyk, filozof, sportowiec, arystokrata, ojciec, błazen, dzieciak, flirtiarz, kochanek... – uśmiecha się pod nosem. – I jeszcze dobry człowiek. Przyjaciel. Przyjaciel świata.

Zamyka oczy, a zadowolenie nie schodzi z jej z ust.

– A do tego każda z tych masek ma swoje miny, których nie da się policzyć.

Unosi się lekko z wody chcąc przypieczętować swoje postanowienie.

– Randki zostawiam po mojej stronie. Od dziś to ja planuję i to ja go zapraszam. Sorry, Libertynku, ale się nie wymigasz.

Wychodzi z wody, krople jeszcze spływają po ramionach, więc szybko otula się ręcznikiem. Wkłada piżamę, ale zaraz z niesmakiem spogląda na siebie w lustrze i kręci głową. Zrzuca koszulę nocną, sięga po czarną elegancką bluzkę, zapina guziki i maluje usta w karminowy odcień. Ręką przeczesuje włosy, nadając im trochę artystycznego chaosu – dokładnie takiego, w jakim Ville wychodzi na scenę.

Siada przy biurku. Na blacie ustawia dwie małe kamery na statywach, sprawdza kadr, przesuwa notatnik, żeby wyglądało bardziej profesjonalnie. Jeszcze raz poprawia włosy, pochyla się i wciska przycisk nagrywania.

– Cześć, kochani – przeciąga ostatnią sylabę tak, że głos niemal łamie się na śmiech, podobnie, jak robi to Libertyn. – Dziś opowiem wam o mojej pierwszej randce z Ville Rianem.

Ville kładzie się w sypialni gościnnej, w której jeszcze niedawno mieszkała jego ukochana. Podsuwa kołdrę pod brodę, a przez chwilę na jego twarzy błąka się cień samozadowolenia – plan wykonany, cel osiągnięty: obrzydził jej randki. Ale im dłużej wpatruje się w sufit, tym ciężiej oddycha.

Przed oczami ma moment, gdy Rose stanęła w holu, podekscytowana, z błyskiem w oczach. Pamięta, kiedy śmiała się na peronie, jak w pociągu kładła głowę na jego ramieniu i uśmiechała się do niego bez cienia pretensji. Nie narzekała, nawet kiedy zimny wiatr owiewał ich sylwetki. Do końca wierzyła, że to będzie coś wyjątkowego. A potem przyszła ulewa. Widzi ją teraz – włosy przyklejone do twarzy, ramiona zaciśnięte w geście obrony, milczenie cięższe niż jakiegokolwiek słowa. Wszystko zgasło.

Ville przewraca się na bok, zamyka powieki. Dobry humor którym przed chwilą sam siebie karmił, gaśnie.

– Genialny pomysł, naprawdę – szydzi z siebie. – Znowu nabroilem. Znowu ją zraniłem. Znowu rozczarowałem. Brawo, Libertynie – dopowiada nastawiając budzik na wcześnie rano.

Gdy ledwo świta, Ville podrywa się, ubiera w pośpiechu i po cichu wymyka się korytarzem. Wkrótce odjeżdża samochodem w ciemność zimowego poranka. Kiedy wraca, niesie w ramionach ogromny bukiet polnych kwiatów – dokładnie takich, jakie kiedyś przyniósł, przepraszając za zwolnienie Rose z pracy. Wchodzi po schodach ostrożnie ważąc każdy krok. Staje pod drzwiami ich sypialni, które dalej pozostają zamknięte na klucz, więc puka, raz, drugi, trzeci. Po chwili słychać ciche przesunięcie zamka. Dziewczyna staje w progu i zamiast Villego widzi przed sobą ścianę kwiatów, wielobarwną, pachnącą świeżością poranka. Dopiero zza bukietu wychyla się jego głowa.

– Przepraszam, kochanie – mówi ciepło, wręczając jej bukiet, tak wielki, że niemal znika za nim.

Rose marszczy brwi chcąc zachować powagę, ale jej twarz szybko zdradza zaskoczenie. Kąciki ust drgają, oczy miękną. W końcu nie potrafi powstrzymać uśmiechu – nieśmiało, ale szczerego.

Libertyn wchodzi powoli, jakby nie był pewien, czy naprawdę ma prawo tu być mimo, że to jego pokój. Ona bierze od niego kwiaty, odkłada bukiet na biurko, a płatki rozsypują się lekko na blat. Patrzy na niego z rozbawieniem, kręcąc głową.

– Romantyk, pieprzony romantyk – mruczy pod nosem, ale w oczach ma ciepło, którego nie da się ukryć.

– Coś mówiłaś?

Ona podchodzi do niego powoli, przeczesuje palcami włosy i całuje w usta, miękko, bez pośpiechu.

– Nie, nic. Zupełnie nic.

Ville obejmuje ją mocniej w talii i zaczyna cofać się powoli w stronę łóżka. Rose nie protestuje, dając się prowadzić, wciąż z rozbawieniem w oczach. W końcu oboje opadają na miękką pościel, a śmiech miesza się z ich pocałunkami.

Mija kilka dni od emisji odcinka *Liberty Fade Life* z ekipą techniczną, w którym na końcu pojawiła się Rose razem z Ville i Thomasem. Teraz w holu głównym, po długiej próbie, zespół i Wendy rozsiadają się ciężko w fotelach i na kanapach. Każdy ma w ręku tablet albo smartfon, gotowi do sprawdzenia, czy pani informatyk z ciętym językiem została zapamiętana przez widzów i w jakim kontekście.

Ville pije wodę z miętą z bidonu, stukając w korek palcami. Thomas przeciąga się i ziewa tak szeroko, że Paul rzuca w niego poduszką z kanapy. Rose siedzi wyprostowana, lekko spięta, jej palce bezwiednie muskają kolano.

– Zanim zaczniemy czytać komentarze, chcę tylko powiedzieć, że poza spamem moderacja nie miała wiele do roboty – oznajmia Emma ze stanowczością w głosie.

Na tę wiadomość wszyscy zaczynają wiwatować i klaskać, a Rose powoli wypuszcza powietrze, jakby zrzuciła z ramion niewidzialny ciężar.

– W ciągu doby mamy, uwaga... – Robert rytmicznie stuka dłońmi o stół, przeciągając moment napięcia i szeptem wydusza z siebie coś i milionach wyświetleń.

Ville liczy coś na palcach i kiwa głową z aprobatą potwierdzając w myślach swoje własne równania. Rose zerka na niego z lekkim zakłopotaniem, po czym nagle dociera do niej, ile pieniędzy *LFL* zarobiło na tym jednym odcinku.

Thomas uśmiecha się tajemniczo do Rose, opierając się łokciami o stół.

– Moja kochana przyjaciółko, czas na komentarze, bo jest grubo.

– Tak, zapomnieliśmy wywalić z twojego opisu „status: wolna” – krzywi się Emma, stukając palcem w ekran. – Ogólnie dostałaś dużo propozycji randek.

Libertyn przewraca oczami, zabiera tablet, powiększa ekran i czyta z ironicznym tonem głosu komentarze z największą liczbą polubieni.

– „Rose, zostaw serwerownię, chodź na kolację.” – przeciąga głos na słowie „kolację”, jakby recytował romansidło.

– „Skoro ona jest wolna, to ja już pakuję melisę i lizaki na pierwszą randkę.” – dopowiada Thomas, a Ville kładzie sobie dłoń na sercu i teatralnie udaje omdlenie.

– Mamy też – dorzuca Robert – kilka komentarzy zwracających uwagę na to, że jako jedyna jest odporna na urok Libertyna.

Wszyscy jak na komendę wybuchają gromkim śmiechem. Ville i Rose synchronicznie przewracają oczami i wzdychają ciężko.

– Szukam czegoś o Viktori – przeciąga lekko Emma szukając czegoś konkretnego – Znalazłam tylko żale, że nie ma jej od dwóch odcinków, ale tak to cisza.

– Fandom Viktori będzie musiał pogodzić się ze zmianą – wtrąca wesoło Ville sadzając sobie Rose na kolanach i całując ją w policzek.

– Tak – dziewczyna zaczyna poważnie bawiąc się rękawem sukienki – hieny rzucają się na mnie, jak tylko okaże się, że Libertyn już nie jest wolny i że jego wybranką nie jest Viktoria.

– Nie martw się, piękna – mówi Emma ze spokojem w głosie. – Moderacja jest po to, żeby nie było hejtu. Nikt nie będzie usuwał konstruktywnej krytyki, ale jawny hejt nie ma prawa się tu pojawić. – Patrzy jej prosto w oczy chcąc wbić tę pewność w jej serce. – Przecież sama o tym wiesz.

Dziewczyna potakuje powoli, wciąż trochę spięta, ale na jej twarzy widać ulgę. Zespół wymienia spojrzenia; każdy już myśli o tym, co będzie dalej. Wszystko wygląda na to, że droga jest ugotowana, by wkrótce pokazać widzom kolejny, głośny odcinek – ten, w którym uda im się wreszcie przycisnąć Libertyna do zwierzeń. Do przyznania, że nie jest już wolny, a jego wybranką serca jest pani informatyk – Rose Mayer.

Ville nagle klaszcze w dłonie, jakby właśnie ogłosił start przedstawienia, i z szerokim uśmiechem rzuca:

– No, ekipa! Pakujemy manatki i jutro rano robimy najazd na Helsinki.

– Prze–pra–szam – Rose sylabizuje z niedowierzaniem, a jej głos odbija się echem w holu.

Wszyscy jednocześnie obracają głowy w stronę Villego. Chłopak nerwowo drapie się po karku, unikając spojrzenia swojej dziewczyny.

– Na górze wszystko ci opowiem – odpowiada szybko chcąc odroczyć wyrok.

Thomas wstaje z sofy i nagle zatrzymuje się w pół kroku gdyż przypomniał sobie coś istotnego.

– Ej, a klucze do kwatery kawalerskiej Ramiego?

Emma sięga do kieszeni i wyciąga pęczek kluczy. W świetle lamp połyskuje breloczek z logiem The R. Requiem.

– Załatwione – odpowiada triumfalnie, podrzucając lekko pęk niczym trofeum.

Libertyn od razu przybliżył się do Rose, nachylając się tak blisko, że jego głos brzmi tylko dla niej.

– W Helsinkach zabiorę cię w fajne miejsce. Obiecuję, żadnego deszczu i wiatru... – zatrzymuje się, krzywi i poprawia sam siebie – znaczy, nie mam wpływu na pogodę, ale nie zmokniesz.

Ona patrzy na niego chwilę uważniej, jakby chciała sprawdzić, czy mówi serio. Potem tylko potakuje lekko głową. W jej oczach miga jeszcze cień podejrzliwości, ale usta unoszą się w delikatnym uśmiechu.

Rozdział 15

Liberty Fade urządzają sobie samowolkę.

O świcie zespół, Wendy i Rose zbierają się w holu głównym. Gitary stoją oparte o sofę, czekając niczym cisi towarzysze podróży. Na stoliku połyskuje eleganckie, zamszowe etui z mikrofonem Villego. Thomas pochyla się nad swoim sprzętem, ostrożnie pakuje laptopa do specjalnej torby. Robert jednym ruchem wrzuca do plecaka kilka par pałeczek, jakby to był jego osobisty talizman.

Ville i Rose klękają przy Amidali stojącej w piżamie i tulącej się do niani.

– Tatusz wróci za parę dni – szepcze ciepło i daje jej jeszcze jednego buziaka, trochę dłuższego chcąc zabrać ten obraz ze sobą na cały wyjazd.

Reszta przybija dziewczynce żółwika – Paul dodaje mrugnięcie, Thomas teatralny ukłon, a Emma krótkie przytulenie. Ami śmieje się przez zaspane oczy, bierze opiekunkę za rękę i macha jeszcze im na pożegnanie.

Kilka godzin później samolot kołuje już w Helsinkach. Powietrze drży od silników, a gdy pasażerowie wysiadają, ekipa Liberty Fade wygląda na zmęczoną, ale zadowoloną. Bagaże podręczne trafiają na ramiona i do rąk, reszta jedzie na wózkach. Kilka chwil później taksówki suną już w stronę centrum. Za szybami rozciąga się zimowy pejzaż miasta – szare kamienice, szerokie ulice, światła sklepów odbijające się w wilgotnym asfalcie.

Dla zespołu to codzienność – Ville i Emma dorastali w tym mieście, a reszta zna je jak własną kieszeń koncertowali tu kilka razy, nagrywali w RRstudio drugą płytę, a czasem po prostu spędzali czas w rezydencji Rianhouse w Westend. Ale dla Rose to pierwsze takie zetknięcie z Helsinkami. Siedzi przy oknie, niemal przyklejona do szyby nie chcąc stracić ani chwili.

Ville, oparty niedbale o oparcie, uśmiecha się, gdy mija znajome miejsce.

– Tu ciągle są remonty – rzuca, wskazując ulice rozkopaną tak, jak pamięta od lat.

Emma pochyla się lekko, wskazując kolejne punkty na drodze.

– A tu nigdy nie ma się gdzie zaparkować – mówi z rozbawieniem. – Rami zawsze się wściekał, że Westend to raj, a centrum Helsinek to wieczna walka o miejsce.

Rose śmieje się, chłonąc tę mieszaninę przyziemnych żartów i rodzinnych anegdot. Dla niej to wszystko jest nowe i pełne uroku, dla nich – codzienność, do której wracają jak do dobrze znanego krajobrazu. Po jakimś czasie taksówki zatrzymują się w zielonej dzielnicy Helsinek.

Dom Ramiego wygląda z zewnątrz zupełnie zwyczajnie: cegła w odcieniu czerwieni, spadzisty dach, niski garaż i podjazd posypany solą, żeby nie ślizgało się na mrozie. Typowy miejski dom, taki, który mija się codziennie, nie zwracając na niego szczególnej uwagi.

Rose spodziewa się prostoty, może wręcz nudy. Ale gdy przekracza próg, zatrzymuje się jak wryta. Wnętrze to zupełnie inny świat. Czerni, amarant, srebro i ciemne fiolety mieszają się z butelkową zielenią. Ciężka, rzeźbiona sztukateria oplata futryny, a drewniane drzwi zdobią witrażowe przeszklenia. Pikowane obicia i ornamenty sprawiają wrażenie teatralnej dekoracji, jakby ktoś postanowił ukryć w zwyczajnym domu odrobinę pałacu.

– Zostaniemy tu do jutra, później pojedziemy do Westend, do rodziców – oznajmia Emma, odkładając gitarę na stolik.

Ville w międzyczasie zamawia pizzę, a potem spogląda na Rose z rozbawieniem.

– Mieszkaliśmy tu, kiedy Rianhouse się budował. Około trzech lat, ale nie wiele pamiętam.

– A później to był dom eksperymentalny – dodaje Emma.

– Eksperymentalny? – powtarza Rose z niedowierzaniem.

– Tak. Rodzice chcieli nam pokazać normalność. O ile dom, który w środku wygląda jak z XIX-wiecznego horroru, można nazwać normalnym. Przyjeżdżaliśmy tu z Westend na kilka dni w roku. Bez pokojówek, kucharki i niań.

Ville siada przy stole i kiwa głową.

– Mama i ojciec to słabi kucharze, więc najczęściej kończyło się na zamawianiu jedzenia albo wyjściach do knajpy.

– Tylko wtedy – śmieje się Emma – były tu dwie sypialnie. Jedną zajmowali rodzice, drugą my.

– Tłukliśmy się o wszystko – potwierdza Ville. – Mieszkanie w jednym pokoju ze starszą siostrą... ale ją wkurzałem. Ale fajnie było. Wieczorami graliśmy w planszówki, w karty, czasem próbowaliśmy coś ugotować... z oplakany skutkiem.

Emma potakuje, wodząc wzrokiem po idealnie zaprojektowanej kuchni z frezowanymi frontami, w której rozgrywały się kulinarne katastrofy.

– A kiedy wracaliśmy do Westend, każdy znikał na kilka dni w swoich apartamentach, żeby od siebie odpocząć.

Na chwilę zapada cisza. Ville korzysta z momentu, zaciera ręce i z uśmiechem dzieciaka oznajmia, że on i Rose biorą główną sypialnię. Emma przewraca oczami i bez dyskusji zarządza, żeby reszta udała się do pokoi gościnnych.

Dom wypełnia się krokami, śmiechem i rozmowami, gdy każdy rozchodzi się w swoją stronę. Ville i Rose idą po dębowych schodach na górę, gdzie czekają dwie przestronne sypialnie z łazienkami i niewielki gabinet. Na poddaszu ukryto jeszcze dwa pokoje gościnne z oknami dachowymi, małą salę prób i domowe studio nagrań. Wszystko w tym samym stylu – ciężkim, gotyckim, teatralnym – a jednak podszyte ciepłem. Jakby te mury, mimo mroku, przechowywały echo rodzinnego życia, kłótni Emmy i Villego, a także chwil, w których śmiech łagodził każdy cień.

Silnik mruczy równym tonem, a w środku panuje lekki harmider – ktoś stuka palcami w podłokietnik, ktoś inny wierci się na siedzeniu. Ville odwraca się do kamery zamocowanej na desce rozdzielczej i uśmiecha szeroko witając internautów i mówiąc coś o dzwoneczku, łapce w górę i komentarzach.

Thomas, rozparty swobodnie na fotelu pasażera, macha ręką.

– Jedziemy na casting organizowany przez RRstudio. Dla nieznanych zespołów metalowych i rockowych. Żeby wyłonić kogoś, kto może zagra dla nas support w Helsinkach, a w przyszłości stanie się znany.

Emma, siedząca z tyłu obok Roberta, uśmiecha się pod nosem.

– Tu, w Finlandii, nie jesteśmy aż tak rozpoznawalni, mimo że nasza muzyka leci w stacjach komercyjnych.

– W Helsinkach czuję się świetnie – dopowiada Ville. – Wystarczy, że założę czapkę i okulary i mogę iść do spożywczaka bez presji, że zaraz zostanę otoczony przez fanów. Znaczący... Kocham fanów, ale czasem chcę po prostu kupić bułki.

Thomas parska rozbawiony, łapiąc się za czoło.

– W Anglii nie mam na to szans. Nie ma mowy, żebym kupił pieczywo czy puszkę energetyka w spokoju. Muszę się chować... ale też Kocham swoich fanów.

– Na szczęście jestem basistą i mam trochę luzu – dorzuca Paul, wzruszając ramionami. – Ale coraz częściej zdarza się, że i mnie ktoś złapie.

Emma i Robert wymieniają spojrzenia i przytakują, a tymczasem za oknami zaczynają migać plakaty RRstudio, błyszczące od porannego słońca. Ruch uliczny gęstnieje.

Ville odwraca się do reszty i mówi spokojnie, z lekką ironią:

– Nasza misja to nie jest żadna wygrana. Nie będziemy sami siebie supportować.

Emma, oparta łokciem o drzwi, podaje plan jak coś najprostszego na świecie.

– Nasze pierwsze zadanie to zrobić z siebie idiotów, którzy nie wiedzą, do czego służy mikrofon i gitara. A potem zagramy piosenkę, która jest totalnym chaosem.

– A nasze drugie zadanie? – wtrąca Robert zacierając ręce. – Wyprowadzić z równowagi jednego człowieka. Pan Rami Rian, tajemniczy trzeci juror. Gość uchodzi za bezemocjonalnego, owianego aurą ciemności faceta, który gasi wszystkich i nie uznaje kompromisów. Kiedy nas usłyszy, albo się wścieknie, albo wybuchnie śmiechem.

Emma przewraca oczami, ale jej mina zdradza dumę.

– Jeśli chodzi o muzykę i inwestycje RRstudio... wszystko musi być perfekcyjne, ojciec odkłada emocje na bok.

Thomas uśmiecha się pod nosem.

– Dlatego chcemy pokazać, że Rami Rian to człowiek, nie robot. I albo go rozśmieszymy do łez, albo...

– Doprowadzimy do furii – kończy Paul z błyskiem w oku.

Van zatrzymuje się. Drzwi otwierają się niemal jednocześnie i zespół wychodzi. Widać ich stroje: jeansy, flanelowe koszule, Ville z delikatnym makijażem, ale bez biżuterii.

– Dziś jesteśmy The Flannel Band – oznajmia poprawiając mankiet.

– Dziwne, że wszyscy wyglądacie podobnie do mnie – zauważa Paul.

Robert prostuje się obejmując Emmę za ramię i dodaje z uśmiechem:

– Wystąpimy jako ostatni z dwudziestu. Nie chcemy stresować innych – oni przyszli tu po szansę, a my po to, żeby się zabawić.

Śmiech odbija się od ścian budynków. Casting dopiero przed nimi.

Za kulisami panuje gwar podszyty napięciem. Zespoły tłoczą się w wąskim korytarzu i małej salce technicznej, czekając na swoją kolej. Ktoś zerka na ekran telewizora, gdzie widać scenę i jury. Jedni poprawiają stroje, inni stroją gitary, ktoś jeszcze szepcze coś do kolegi, próbując rozładować nerwy.

Drzwi od strony korytarza otwierają się i do środka wchodzi The Flannel Band. Ich wejście jest spokojne, ale natychmiast przyciąga spojrzenia. Jeansy, flanelowe koszule, czapki z daszkiem – wyglądają jak zwyczajna kapela z małego miasta... tylko na pierwszy rzut oka. Ville trzyma mikrofon w welurowym

etui wyszytym złotym emblematem. Emma ma gitarę w robionym na zamówienie futerale. Robert obraca w palcach parę ciężkich, misternie zdobionych pałeczek perkusyjnych. Thomas niesie laptop z deskorolkowymi naklejkami i mikrofonem w spersonalizowanym etui. Paul ma na plecach elegancki futerał z basem. Sprzęt robi wrażenie. Każdy, kto zna się na muzyce, od razu widzi, że to nie są tanie zabawki.

– Patrz na tę gitarę... *custom*. Kosztują tyle co małe auto – mruczy chłopak z jednej z kapel.

– A ten mikrofon... serio? Kryształki? – prychna dziewczyna z punkowego tria, ale nie odwraca wzroku.

– Może mają sponsora – ktoś dorzuca półgłosem.

– Nie znam ich, ale wyglądają, jakby wiedzieli, co robią – stwierdza gitarzysta w bluzie z kapturem, obserwując Villego, który spokojnie zakłada czapkę.

Kilka osób chce zagadać, ale rezygnuje. The Flannel Band pozostaje milczący i skupiony. Ich anonimowość działa niczym magnes.

Rozmowy nagle cichną, gdy do sali przesłuchań wchodzi pierwszy jurorzy: Markku – organizator największych fińskich festiwali metalowych – oraz Janna, promotorka i menedżer undergroundowych kapel.

Chwilę później pojawia się wysoki, szczupły mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze. Czarne włosy z delikatnym muśnięciem siwizny i zielone oczy błyszczą w świetle reflektorów. Idzie pewnym krokiem, nie oglądając się na boki, a mimo to cała uwaga skupia się właśnie na nim.

– Nie... – ktoś szepcze, niedowierzając.

– To... to jest... Rami Rian?

Gitarzystka w czarnej koszulce przestaje stroić instrument.

– Kurde, ile razy słuchałem The R. Requiem.

– Mam jego winyl z 2008 roku, podpisany... – wzdycha starszy perkusista.

– Ale on jest przystojny – stwierdza dziewczyna z punkowego tria.

Nawet ci, którzy udają, że nic ich nie rusza, nerwowo poprawiają włosy, paski od gitar, bluzy. Atmosfera gęstnieje. Ten człowiek jest legendą. Występ przed nim może być przepustką do wielkiej kariery... albo publiczną kompromitacją. Wtedy The Flannel Band zaczyna swój spektakl paniki.

Ville odchyła głowę, chwytając się za brzuch i jęczy po fińsku półgłosem:

– O kurwa, zaraz się porzygam.

– Ja stąd spadam – mówi Emma cofając się o krok

Paul błędnie teatralnie, opiera się o ścianę niczym bohater dramatu w ostatnim akcie. Robert przymyka oczy, wygląda tak, jakby miał runąć na podłogę. Thomas patrzy w buty próbując się uspokoić.

– Oho, już ich sparaliżowało... – szepcze perkusista z thrashmetalowego kwartetu.

– Jeśli ktoś się boi Ramiego, to niech od razu się pakuje. – dorzuca wokalistka w skórzanej kurtce.

– On tylko ocenia muzykę... i niszczy dusze – ktoś mruczy, wywołując nerwowe chichoty.

Kilku muzyków wymienia spojrzenia. Jedni z satysfakcją, inni ze strachem. Napięcie wisi w powietrzu jak przed burzą.

Emma opiera gitarę na kolanie i patrzy na struny z udawanym przerażeniem.

– Cholera... nie pamiętam, jak się na tym gra.

Ville poprawia czapkę, zerka na mikrofon i szepcze:

– Spokojnie. Jeśli ty coś spieprzysz, nikt nie zauważy. Ale kiedy ja zafalszuję, to mnie zjadą.

– Chyba zjedzą... żywcem – dodaje Emma ponuro.

– Jak Rian spojrzy na mnie tym wzrokiem, to padnę trupem – ktoś mruczy z tyłu.

Śmiechy i szepty mieszają się z rosnącym lękiem. The Flannel Band wygląda tak, jakby za chwilę mieli się rozplakać i uciec – perfekcyjnie odgrywają swoje role.

Na scenę wchodzi pierwsza grupa – czterech chłopaków w skórzanych kurtkach, z fryzurami niczym z glamrockowego klipu z lat osiemdziesiątych. Przy biodrach połyskują łańcuchy, a ich twarze oblepia przerysowany makijaż. Wokalista staje przy mikrofonie i przeciąga sylaby, zapowiadając zespół z przesadną pewnością siebie.

Już po pierwszych sekundach wiadomo, że nic dobrego z tego nie będzie. Gitary są rozstrojone, perkusja gubi tempo, a wokalista przeciąga nuty tak nieszczęśliwie, że bardziej przypomina to fałsz niż styl. Mimo to grają z pełnym zaangażowaniem, wykonując wymyślne kroki, kiwając głowami, jakby właśnie kręcili teledysk.

Jurorzy obserwują ich uważnie. Markku i Janna wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, coś notują, podczas gdy Rami siedzi nieruchomo opierając podbródek na splecionych dłoniach.

Kiedy utwór dobiega końca, w sali zapada cisza. Markku otwiera usta, by zacząć, lecz Rami uprzedza go spokojnym tonem.

– Jeśli chcecie grać glam rocka, najpierw musicie nauczyć się grać. Strojenie nie jest po to, żeby wyglądało ładnie na scenie. Gitara ma brzmieć jak gitara, a nie jak wiadro. Tempo prowadzi perkusja, a nie perkusista, który goni resztę zespołu. Co do wokalu... fałsz może być ozdobą, ale tylko wtedy, gdy jest zamierzony. Nie wtedy, gdy wynika z braku słuchu.

Wokalista próbuje się uśmiechnąć, lecz wychodzi z tego tylko grymas.

– Dzięki... – mruczy, spuszczać wzrok.

Na scenę wchodzi następni, a Rami ocenia wystąpienia z tą samą chłodną precyzją:

– Graliście równo... i równie nudno. Jeśli chcecie wygrać, musicie mnie wyrwać z fotela, a nie ukołysać do snu – mówi do jednego z kwartetów, ani na moment nie odrywając wzroku od sceny. – Macie tendencję do przyspieszania w solówkach. W studiu można to poprawić, na scenie zdradza to brak kontroli nad tempem – dodaje beznamiętnym, znudzonym tonem komentując metalowe trio.

Na scenę wchodzi kolejny zespół. Czterech chłopaków w ciemnych koszulkach z logami swoich ulubionych kapel.

– Northwind Ashes – przedstawia się wokalista, chwytając mikrofon pewnym, zachrypniętym głosem.

Od pierwszych taktów wiadomo, że potrafią grać. Gitarzyści wchodzi w czysty, melodyjny riff, bas trzyma tempo, a perkusja wybija rytm z chirurgiczną precyzją. Wokal jest głęboki, lekko szorstki, a zarazem stabilny. Całość brzmi jak dopracowany numer gotowy na dużą scenę. Markku kiwa głową z aprobatą, Janna notuje coś z uśmiechem. Rami pozostaje nieruchomy. Wyprostowany, dłonie splecione na stole, wzrok wbity w scenę. Marmurowa twarz, zero uśmiechu, zero przytaknięcia.

Kiedy utwór się kończy, Markku chwali ich jako pierwszy.

– Dobre brzmienie. Mocna sekcja rytmiczna, solidny wokal.

– To zespół, który spokojnie widziałabym na scenie festiwalowej – dodaje Janna z entuzjazmem.

Rami odzywa się wreszcie, chłodno i rzeczowo:

– Poprawne. Dobrze zagrane. Ale my nie szukamy „dobrze”. Szukamy czegoś, co wbija w ziemię. Widzę grupę, która umie grać, ale nie mam powodu, by zapamiętać was po tym kawałku. Ale dobra, przechodźcie dalej.

Za kulisami słychać ciche szepty.

– To był szesnasty zespół i najlepszy do tej pory... a on dalej jak z marmuru – mruczy gitarzysta, opierając się o ścianę.

– Jeśli taki numer go nie ruszył, to co my mamy zrobić? – dodaje basistka, zerkając na tablicę wyników, gdzie tylko trzy zespoły mają plusy. – To nie jury. To egzekucja w białych rękawiczkach.

Światła skupiają się na wejściu. Na scenę wchodzi ostatni zespół – The Flannel Band. Pierwszy pojawia się Ville, dzierżąc mikrofon wysadzany kryształkami, który błyszczy w reflektorach jak klejnot. Chwilę później Paul zakłada gitarę basową, jego ręce drżą tak, jakby instrument ważył tonę. Ville, jeszcze zanim zajmie miejsce na środku sceny, odwraca się do publiczności. Głos podnosi do piskliwego tonu, groteskowo dalekiego od swojego zwyczajnego timbre.

– Jesteśmy The Flannel Band!

Robert osiada na stołku za perkusją, obraca pałeczki w dłoniach i patrzy na nie z miną człowieka, który zastanawia się, którą stroną powinien je w ogóle chwycić. Thomas mocuje się z kablami przy laptopie, marszczy brwi i cedzi coś niezrozumiałego pod nosem.

Publiczność porusza się niespokojnie. Kilka osób szepcze, ale większość czeka, niepewna, czy ma do czynienia z farsą, czy prawdziwym upadkiem nerwów.

W pierwszym rzędzie za stołem jurorskim Markku i Janna dobrze wiedzą z kim mają do czynienia i porozumiewawczo patrzą na siebie uśmiechając się i od czasu do czasu zerkając na Ramiego, ten siedzi wyprostowany, z podbródkiem opartym na splecionych dłoniach ale widać, że walczy ze sobą. Na środku sceny Emma szarpie się z paskiem od gitary, który skręcił się i zaczepił w niewłaściwym miejscu.

Wreszcie Rami bierze głęboki oddech przechyla głowę i odzywa się spokojnie, choć w jego głosie pobrzmiewa ironia z ewidentną nutką rozbawienia:

– Córko, pomóc ci?

Emma nieruchomieje, wpatrując się w niego jak w duchy przeszłości. Otwiera szeroko oczy i wyrzuca z siebie piskliwym albo wręcz dramatycznym tonem:

– O cholera... to Rami Rian. Nazwał mnie córką... zaraz zemdleję.

Zarzuca wzrok na gitarę, wraca do walki z paskiem, mamrocząc:

– Ja pierniczę, jak to się zakłada...

Ville, stojący tuż obok, ciężko oddycha w mikrofon mając dość całego przedstawienia, chociaż nic się jeszcze nie wydarzyło. Paul spogląda na bas w swoich rękach jak na narzędzie z innej planety.

Rami odchyła głowę, wbija wzrok w sufit i głośno wypuszcza powietrze, jakby chciał zgasić rozbawienie, które wymyka mu się spod kontroli. I wtedy dzieje się coś nie do pomyślenia. Rami parska śmiechem. Najpierw krótko, nerwowo, a potem odchyła głowę, przykłada dłoń do twarzy, a ramiona zaczynają mu drżeć.

W sali rozlega się szmer niedowierzania. Ktoś z widowni szepcze z osłupieniem:

– Rian... on się śmieje.

Markku i Janna wymieniają szybkie spojrzenia. Usta obojga wykrzywia uśmiech, ale nie wtrącają się, pozwalając, by scena należała do Ramiego. Publiczność jeszcze nie wie, czy wolno im dołączyć, więc trwa w napięciu, słysząc jedne ciche chichoty i komentarze. Rami wstaje, pochyla się nad stołem i zaczyna głęboko oddychać, próbując odzyskać kontrolę.

Janna nie wytrzymuje i rzuca półgłosem, złośliwie, lecz z rozbawieniem:

– Wyglądasz, jakbyś rodził.

Zielone oczy błyskają w jej stronę. Mężczyzna prostuje się i grozi jej palcem niczym surowy nauczyciel uczniowi, po czym jeszcze przez chwilę oddycha głęboko. W końcu siada z powrotem, ociera łzę spod oka, prostuje plecy i przyjmuje dawną, surową maskę.

– Macie pięć sekund, żeby się ogarnąć, zanim każę zejść ze sceny.

Co zaskakujące, z widowni nie dochodzą żadne pomruki ani spekulacje. Zespoły, które wcześniej opuściły scenę, siedzą urzeczone, a ich przyjaciele wpatrują się w The Flannel Band, jakby chłonili każdy ruch. Nikt nie wydaje się kojarzyć Villego ani reszty. Ich niecodzienny wizerunek i przerysowane zachowania pochłonęły publiczność do tego stopnia, że tożsamość muzyków przestała mieć znaczenie. Liczy się tylko show, które właśnie się zaczynało.

Thomas rozpoczyna pierwszy. Przez kilka sekund z głośników wydobywa się dziwny, elektroniczny dźwięk – przeszywający i zarazem delikatny, niczym sygnał z innego świata. W tę przestrzeń ostrożnie wplata się perkusja, gitara i bas, jeszcze nieśmiało, jeszcze powściągliwie. A potem wszystko nagle wybucha ostrzej, mocniej, jakby ktoś zerwał zasłonę. Ville podnosi wzrok z podłogi. Na twarzy maluje się pogarda, w kącikach ust coś między uśmiechem a grymasem. Oddycha głęboko i zaczyna pierwszą zwrotkę.

Czy to, co widziałem, mam już zapomnieć

Czy to, co dotknąłem, już o tym nie myśleć...

Całość śpiewa jednym tchem, gestykulując jakby recytował Szekspira na scenie, przewracając oczami. Jego ciało staje się teatrem, a głos – narzędziem, którym tnie powietrze. Emma uśmiecha się lekko, trzymając gitarę pewnie, Robert uderza w perkusję, nadając utworowi puls – miarowy, zdecydowany, nieubłagany. Thomas, ze słuchawkami na uszach, przymyka oczy zanurzając się w swoim świecie i w tej historii tej piosenki, która niedawno miała miejsce. Paul skupia się na strunach, jego palce szukają akordów z intensywnością, jakby od tego zależało życie. Nadchodzi refren – uderzenie potężne, głębokie, przeszywające. Krzyk Villego wypełnia salę, krzyk o byciu złym, wściekłym, rozdartym do granic.

Ta złość, ta zdrada, ta siła nieludzka

Nie! Krzyczę: nie! To się nie uda.

Nie będzie przyszłości, nie będzie radości,

Została mi złość – bez śladu czułości.

Druga zwrotka staje się jeszcze bardziej teatralna – znów gesty, przewrót oczami, recytacja podszyta gniewem. Potem drugi refren, mocniejszy, głośniejszy, jak błaganie o litość. Thomas dodaje dramatyczny, gotycki podkład – napięcie narasta, aż nagle muzyka się ucina. Zostaje tylko werbel. Ville stoi z pochyloną głową, ciężko dysząc. Wygląda na zmęczonego, sfrustrowanego, niemal złamanego. W ciszy słysząc jedynie jego oddech. I wtedy wchodzi Thomas – delikatnym, czystym głosem, tak

miękkim, że zdaje się nie pasować do tego chaosu. Krokiem pełnym spokoju podchodzi do Villego, obejmuje go ramieniem i śpiewa:

Bo gdy zajdzie słońce i rozpadnie się świat,
na miliony cząstek, atomów i lat,
nie będzie już śmiechu, pozostanie ci płacz
ale ja zabiorę cały twój strach.

Ville odpowiada ciężkim oddechem, jakby próbował na nowo złapać równowagę. Powoli unosi głowę, prostuje sylwetkę i wchodzi w ostatni refren. Teraz jest spokojny, opanowany. Jego głos nie niesie już furii ani desperacji, tylko pewność. Finał zamyka całość niczym katharsis – rozedrgany początek przeobraża się w harmonię, a chaos znajduje swój dom w ciszy.

Publiczność wstrzymuje oddech i nikt nie ma odwagi zaklaskać czy skomentować tego, co się wydarzyło.

Markku odchyła się w fotelu, powoli przeciera twarz dłonią i tylko mruczy pod nosem:

– Cholera... to było... wow.

Janna nie spuszcza wzroku ze sceny. Na jej twarzy pojawia się uśmiech – nie szeroki, raczej taki, który zdradza respekt.

Rami wpatruje się w scenę jeszcze przez chwilę. Twarz ma napiętą, ale w oczach błyszczy ten szczególny rodzaj gniewu, w którym więcej jest dumy niż złości. Wreszcie wypuszcza powietrze przez zaciśnięte zęby i mówi głucho:

– Ja gówniarza zabiję. Przysięgam, gnojek już nie żyje. Razem z tą swoją bandą.

Nie podnosi głosu, a jednak słowa zawisają nad salą jak ciężar, którego nikt nie śmie dotknąć. W jego tonie nie ma chłodnej ironii – jest coś bardziej niebezpiecznego: akceptacja ubrana w gniew. Cisza po występie wciąż wisi nad salą, ciężka i elektryczna. Rami siedzi lekko pochylony nad stołem, wzrok wbity w scenę, jakby chciał przebić Villego spojrzeniem.

Markku odchrząkuje, przeciąga dłonią po kartce, sprawdzając czy jego notatki w ogóle mają jeszcze sens. Głos ma spokojny, wręcz miękki, ale w oczach czai się błysk rozbawienia.

– Rami... ta piosenka to totalny chaos. Ale dobrze wiesz, że to jest genialne. Wydasz im singiel?

Rami powoli odwraca głowę. Patrzy na niego spod zmrużonych powiek, a w spojrzeniu nie ma ani krzty pobłażliwości. Kręci głową, raz, stanowczo.

– Nie.

I wtedy Janna podnosi się z krzesła. Jej ruch jest nagły, energiczny, zupełnie inny niż ciężka powaga Ramiego. Odwraca się do publiczności, rozkłada ramiona i uśmiecha się szeroko:

– Komu się podobało?

Na sali przez moment trwa cisza, a potem wybucha las rąk. Oklaski, gwizdy, pojedyncze okrzyki mieszają się w jeden, potężny hałas. Kilka osób wstaje, klaszcząc nad głowami, inni uderzają dłońmi o uda w rytm, który przed chwilą grali The Flannel Band.

– The Flannel Band, cholera jasna – syczy Rami, po czym pokazuje palcem na Emmę i Villego. – Wydziedziczę. Obydwoje. A reszta niech się nie pokazuje w moim domu.

– Ale tátu... – piszczy Emma, próbując przybrać niewinną minę.

– Ja mam małe dziecko – mówi Ville beznamiętnie, jakby to była najbardziej oczywista linia obrony.

Markku unosi brew i powoli odwraca głowę w stronę Ramiego. Na jego twarzy pojawia się ten charakterystyczny półuśmiech człowieka, który właśnie dostał prezent w postaci nieoczekiwanej sceny.
– Wydziedzicysz ich na oczach całej sali? – pyta z udawaną powagą.

Na widowni przez chwilę panuje konsternacja. Słychać pojedyncze szepty i westchnienia. Kilka osób odruchowo sięga do kieszeni i plecaków, po czym wszyscy uświadamiają sobie, że musieli zostawić telefony i inne urządzenia elektroniczne u ochrony.

Nagle ktoś z trzeciego rzędu mówi na głos:

– Ej... ale przecież to Ville Rian.

– To Liberty Fade! – kilka osób krzyczy w tej samej chwili.

Cisza pęka jak szkło. Publiczność wybuchła: jedni klaszczą i śmieją się głośnie, inni chcą wyciągnąć telefony których nie mają przy sobie, co wzbudza irytację i poczucie bezsilności – wszyscy wiedzą, że są świadkami czegoś, czego nie da się zatrzymać ani udokumentować.

Na scenie Ville rzuca tylko krótko:

– Poznali nas. Spadamy. Ekipa, spadamy!

Reakcja jest natychmiastowa. Emma odpina pasek gitary, Paul chwytą futerał basu, Rob zgarnia pałki i ręcznik, a Thomas jednym ruchem zdejmuje słuchawki i wrzuca je do torby. Cała piątka rusza w stronę kulis w pośpiechu, który przypomina chaotyczny, a jednak dziwnie zgrany taniec odwrotu. Widownia szaleje jeszcze głośnie – ktoś krzyczy „wróćcie!”, ktoś inny próbuje przedostać się wzdłuż barier, żeby ich zatrzymać albo chociaż podejść bliżej.

Rami parska śmiechem, kręci głową i mówi półgłosem:

– I cały mój image poszedł się bujać. The Flannel Band, cholera jasna.

Liberty Fade wracają do samochodu i jadą teraz przez wieczorne centrum Helsinek. Reflektory prześlizgują się po mokrym asfalcie, a w kabinie panuje luźna, powystępowa atmosfera – lekkie zmęczenie miesza się z adrenaliną.

Emma pociąga nosem, wciąż jeszcze rozedrgana po scenie.

– Co teraz z nami będzie? – pyta cicho, jakby mówiła do siebie, ale wszyscy słyszą.

Ville siedzi obok niej wyprostowany, z tym swoim półuśmiechem, który pojawia się zawsze wtedy, gdy sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Oj, nie martw się, coś wymyślimy – rzuca lekko choć w jego głosie nie ma pewności.

Robert pochyla się nad telefonem, stukając w ekran.

– Trzeba wrzucić nagranie ze studia na nasz profil, tylko nie wiem, co na to Rami – mówi, nie odrywając wzroku od wyświetlacza.

Tymczasem Thomas wyłącza kamery, czując, że za chwilę odbędzie się rozmowa, której nie powinno się rejestrować. Ville spogląda na przyjaciela porozumiewawczo i przewraca oczami, jakby chciał mu dać do zrozumienia: *widzisz, odrzuciłem miłość do Rose i powstała świetna piosenka*. Thomas odpowiada lekkim ruchem głowy – z wyraźną dezaprobatą.

Libertyn uśmiecha się jeszcze przez chwilę, patrzy w tyle lusterko i mówi stanowczo.

– Nie zrobimy niczego, czego nie zaakceptuje ojciec, to jego ludzie są od PR-u. My i tak nabałaganiliśmy.

– Skoro ta piosenka zrobiła wrażenie nie tylko na widowni, ale na samym Ramim, to nie możemy popełnić błędu – dodaje sucho Robert.

– To może stać się genialnym wiralem – stwierdza Paul. Trzeba pogadać z panem producentem co dalej i działać szybko.

W samochodzie zapada cisza, słychać tylko dźwięk silnika i rytm wycieraczek przecinających krople na szybie.

Kiedy przyjeżdżają do Rianhouse w Westend, Rami już czeka. Z jednej strony jest wściekły – bo choć daje Villemu i jego bandzie wolną artystyczną rękę, to czuje się pominięty w tym, co zaszło na castingu. Z drugiej odkłada emocje na bok. Jak często powtarza: „biznes jest biznes i nie ma czasu na sentymenty”.

Wszyscy zbierają się w gabinecie, żeby obgadać temat na gorąco.

– Nie ukrywam, że jestem zły – Rami nie przebiera w słowach. – Ale zostawmy emocje. Co dalej?

– W nocy nagraliśmy wersję studyjną z wideo – rzuca Ville z nadzieją.

Thomas odpala tablet, a z głośników w gabinecie płynie już znana melodia, utwór nagrany perfekcyjnie ale i samo video to sztuka sama w sobie: Ville gestykuluje teatralnie, Emma uśmiecha się lekko, Paul gra z absolutnym skupieniem, a Thomas posyła uśmiech mówiący wyraźnie „to jest dobry numer”. Rob zaś z miną udającą obojętność wyczarowuje perfekcyjne uderzenie w talerz, jakby przypadek stał się czymś zaplanowanym.

Kiedy nagranie się kończy, Rami odkłada urządzenie.

– To jest cholernie dobry kawałek. Ale jeśli wrzucimy to w eter, straciecie dobry numer na płytę. Na singiel jest za wcześnie, szczególnie że nie wiemy, kiedy zrobimy premierę trzeciego krążka.

– Mamy sporo materiału, myślę, że na jesień możemy wejść do studia – mówi Ville.

– No właśnie, mógłby być dobry numer. Ale ta piosenka nie będzie hitem. Uważam, że wasz *Calm, Everyone* oraz *Green Light* zrobią świetną robotę. *I Am Angry* mógłby być rockowym białym krukiem, którego stracimy, jeśli wydamy singiel teraz – Rami kalkuluje coś w głowie.

– Ale wiesz, tato – wtrąca Emma – jeśli mimo regulaminu castingu ktoś jednak nagrywał i odważy się wrzucić nasz numer do sieci, stracimy szansę na hype.

Thomas drapie się po karku.

– Słuchajcie, a może zamiast rwać włosy z głowy, zbadajmy rynek.

Wszyscy patrzą na niego zdziwieni, a Rami uśmiecha się pod nosem, jakby właśnie chłopak czytał mu w myślach.

– No tak – kontynuuje. – Wrzucimy nagranie na nasz kanał z podpisem typu „RRstudio nocą” i będziemy milczeć. Zobaczymy komentarze po 24 godzinach i zdecydujemy co dalej. Może singiel, a może numer na trzeci album, jako bonus, a może coś o czym należy zapomnieć.

Rami odchyła się w fotelu.

– Naprawdę nagraliście to w dwa dni?

Wszyscy kiwiają głowami. On wypuszcza powietrze i rozkłada ręce.

– Jestem zły z trzech powodów – zaczyna spokojnie, choć w głosie brzmi napięcie. – Po pierwsze: ta piosenka jest cholernie dobra i schrzaniłiście jej oficjalną premierę. Po drugie: sprowokowaliście mnie na castingu. A po trzecie... jesteście w tym wszystkim tacy autentyczni i świetni, że nie sposób się na was gniewać tak, jak bym chciał.

– Tato, ty się dobrze czujesz? – pyta ostrożnie Ville, bo to pierwszy raz, kiedy słyszy od ojca coś więcej niż oszczędne „może być”.

– Nie czas na sentymenty, synu. Nie będę ciebie ani tej całej twojej hołoty wbijał w ambicje. Ale tak – piosenka jest naprawdę świetna. To nie jest numer, który trafi między pop a pop w stacjach komercyjnych, ale w rockowych? Tam znajdzie swoje miejsce.

– To co, wrzucamy nagranie na kanał i czekamy na reakcje? – pyta Robert, gotowy do ostatniego kliknięcia.

Czas mija szybciej, niż ktokolwiek z nich się spodziewał. Liberty Fade siedzą już z powrotem w gabinecie, a razem z nimi Rami, Rose i Wendy. Dziewczyny wiedzą już mniej więcej, co wydarzyło się na castingu, znają też kulisy żartu – ale atmosfera wciąż iskrzy, jakby wszyscy dopiero zaczynali rozumieć, co się właściwie stało.

Thomas opiera łokcie o stół, przysuwa do siebie laptopa i przerywa ciszę:

– Cholera... tysiące komentarzy. I wszystkie pozytywne. – Skroluje kilka stron i zaczyna czytać te, które podbijają się najwyżej. – „RRstudio nocą? Brzmi jak zakazany owoc. Jeżeli to odpad z albumu, to boję się, co będzie na płycie.” Przerzuca ekran niżej. – „To brzmi za dobrze, żeby być demówką. Ale dlaczego nie ma żadnej informacji? Żadnego postu, żadnego opisu?”

Rose, siedząca bokiem, podnosi telefon, patrzy na Thomasa porozumiewawczo i wtrąca spokojnie:

– Tu piszą o naszym kochanym DJ-u. – Cytuje z uśmiechem: – „THOMAS. HALO. Czy ktoś jeszcze słyszy, że Thomas właśnie dostał zwrotkę i refren? I że brzmi jak anioł, a nie DJ?!”

Przesuwa ekran palcem.

– „Głos Thomasa jest miękki, kojący, zupełnie inny niż Libertyna. To duet, którego potrzebowaliśmy, a nie wiedzieliśmy, że istnieje.”

Ville odwraca się do przyjaciela z rozbrajającym półuśmiechem, a potem puszcza oczko do Rose.

– To prawda, Thomas jeszcze nigdy wcześniej nie dostał tyle wokalu. Mi to się mega podoba.

Rami gładzi się po brodzie, jakby wciąż ważył w myślach słowa, które właśnie mają paść. Przeczesuje włosy palcami i mówi powoli, tonem, który sam jego zdaje się zaskakiwać:

– Pomijając *I Am Angry*... ja widzę głos Thomasa na trzecim krążku więcej niż dotychczas.

Ville unosi brew, a na twarzy pojawia mu się półuśmiech. Spogląda na przyjaciela, który siedzi spięty chcąc zniknąć pod stołem.

– Też o tym myślałem – przyznaje, a jego głos brzmi niemal konspiracyjnie. – Mam nawet w głowie, gdzie bym go słyszał.

W gabinecie zapada chwila ciszy. Wszyscy – Emma, Paul, Robert, a nawet Rose i Wendy – kiwają porozumiewawczo głowami bo właśnie nagle odkryli przed sobą wspólny sekret. Tylko Thomas krzywi się coraz bardziej, z jednej strony z zażenowania, z drugiej z niedowierzania, że naprawdę chcą postawić go w centrum uwagi. A jednak coś w powietrzu podpowiada każdemu z nich: większe zaangażowanie DJ–a w partię wokalne może być nie tylko eksperymentem, ale kluczem do sukcesu, którego jeszcze sami w pełni nie rozumieją.

– Dobra, o tym później, mamy na to czas. Thomas rozchmurz się – Rami odsuwa się w fotelu, wracając do swojej roli gospodarza rozmowy. – Co dalej?

– A może nasza pani informatyk... – Robert wskazuje podbródkiem Rose – ...zmontuje na szybko materiał z castingu. Nadamy temu nagraniu jakiś sens.

Rami podnosi się powoli. Ruch ma w sobie coś z niechętniej zgody, ale też z władzy, której nikt nie śmie podważyć.

– Rose, do roboty – rzuca twardo. – Ale jeśli pokażesz mój śmiech i furję, to nie ręczę za siebie.

Dziewczyna prostuje się natychmiast, stając niczym żołnierz na baczność. Oczy błyszczą jej z rozbawienia.

– Tak jest, panie Rian. – Salutuje żartobliwie i parska śmiechem, a zaraz potem reszta dołącza.

Wszyscy wiedzą, że i tak subtelnie wplecie emocje Ramiego w odcinek. Nie po to, by go ośmieszyć, lecz by pokazać wreszcie człowieka, a nie tylko legendę bez emocji.

Dobę po wypuszczeniu tajemniczego nagrania ze studia wszyscy znów zbierają się w gabinecie Rianhouse. Powietrze wciąż pachnie napięciem – klip z nową piosenką osiąga już astronomiczną liczbę wyświetleń. Rose siedzi na brzegu stołu, w dłoni trzyma niebieski pendrive, obracając go między palcami jak trofeum, gotowa, by odtworzyć film, który zmontowała.

Wreszcie na ekranie rozbłyska znajome logo Liberty Fade, a zaraz pod nim pojawia się tytuł: *The Flannel Band*. Odcinek zaczyna się od lotu nad Helsinkami i komentarza lektora z offu o castingu RRstudio oraz jego zasadach. Potem montaż płynnie przenosi się do wejścia na casting: perfekcyjnie odegrane role zespołu The Flannel Band, kilka kąśliwych komentarzy jurorów, w tym Ramiego, i wreszcie występ Liberty Fade pod przykrywką. Kamera pokazuje każdy detal – teatr ich gestów, śmiech Riana i reszty jury, konsternację na widowni, a potem pełny, perfekcyjny wykon piosenki.

Film kończy się ujęciem twarzy Markku i słynnym „nie” Ramiego, wypowiedzianym na pytanie o wydanie singla. Obraz zamiera w ciszy, zostawiając widza z poczuciem, że właśnie obejrzał coś zakazanego, a jednocześnie nieodwracalnego.

Gdy ekran gaśnie, w pokoju zapada chwila konsternacji. Rami siedzi nieruchomo, patrzy na Rose i lekko kręci głowę. Na jego twarzy pojawia się jednak bezczelny, niemal dumny uśmiech.

– No dobrze, kochani... – mówi spokojnie, odkładając okulary na blat. – Co dalej?

– Jak to co, tatusiu? – Ville szczerzy się bez wstydu. – Do roboty. Wydanie singla czeka.

Wendy parska śmiechem i odgarnia włosy za ucho.

– Siedzę trochę w marketingu i wiem, że pan Rian w głowie ma „nie tak prędko, synku”. – Przekrzywia głowę, patrząc na Ramiego z przekorą. – Czyżby nasz ukochany producent miał jakąś strategię?

Mężczyzna wstaje bez słowa, podchodzi do komody i nalewa sobie szkockiej. Nie proponuje nikomu. Ville krzywi się teatralnie, po chwili sam sięga po karafkę i nalewa trunek reszcie.

Ojciec obserwuje tę scenę z mieszaniną uznania i politowania. Wreszcie odzywa się chłodnym tonem:

– Zajmuję się produkcją muzyki od dwudziestu lat. Wiem, jak to działa. Ale to wy narobiliście bałaganu, więc teraz słucham waszych propozycji.

– Ale tatusiu... – Emma odzywa się cienkim, niemal dziecięcym głosem. – Nie wydasz nam singla?

– Nie wydam. – Dopija trunek do dna, odkłada szklanekę i wychodzi z gabinetu, zostawiając resztę w konsternacji.

Dwie doby po emisji studyjnego klipu *I Am Angry* licznik wyświetleń nie zatrzymuje się. Dynamika wprawdzie nieco wyhamowuje, ale nie sposób przeoczyć, że to nie jest chwilowy viral, lecz

coś, co może wejść do historii jako jedna z najgłośniejszych rockowych premier ostatnich lat – i Rami Rian doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Odcinek z castingu, w którym po raz pierwszy pokazano kulisy The Flannel Band, statystyki odsłon też robią wrażenie. Jednak to nie liczby przykuwają uwagę, lecz komentarze: „Rami Rian mówi nie dla singla” zaczyna żyć własnym życiem. Hasło powtarzane jest jak manifest, raz z ironią, raz z oburzeniem, a czasem z nutą podziwu dla uporu producenta, który jednym słowem potrafi rozpalic publiczność bardziej niż sam występ.

RRstudio zaczyna odczuwać napór, jakiego dawno nie widziało. Poczta elektroniczna i media społecznościowe studia puchną od wiadomości – od wzruszających petycji pisanych w imieniu fanów z całego świata, po natarczywe prośby i otwarte groźby. Każdy z nich sprowadza się do jednego: *I Am Angry* ma trafić do oficjalnej dystrybucji. Dla wielu wrzutka wideo na kanale Liberty Fade to tylko przedsmak, za mało, by ugasić głód. Fani chcą słuchać tej piosenki w samochodach, na słuchawkach, w playlistach, chcą ją słyszeć w radiu i widzieć na rockowych listach przebojów. To już nie tylko prośby – to oczekiwanie, które przeradza się w presję. I właśnie na przekór całej tej gorączce, Rami podejmuje decyzję. Zamiast ugiąć się pod falą próśb i petycji, wydaje chłodny, oficjalny komunikat RRstudio:

„W związku z licznymi wiadomościami i pytaniami od fanów zespołu Liberty Fade, RRstudio wydaje stanowisko dotyczące nowego utworu *I Am Angry*. Informujemy, że nie planujemy wydania tego singla w oficjalnej dystrybucji. Piosenka powstała w szczególnych okolicznościach, w ramach sesji studyjnej, i nie była przewidziana jako część obecnego planu wydawniczego zespołu”.

Komentarze pod tym postem pojawiają się niemal natychmiast. Reakcje są bezlitosne: sarkazm, ironia, złośliwość. Najwięcej oberwało się samemu producentowi – w sieci właśnie rodzi się nowa fala memów i kąśliwych komentarzy, w których Rami Rian zdobywa niechlubny tytuł bohatera dnia – człowieka, który jednym ruchem potrafi rozpalic internet do czerwoności.

Tymczasem ekipa wraz z Ramim na czele zdążyła już opuścić Helsinki i wrócić do Wielkiej Brytanii. Teraz zbierają się w pałacowym gabinecie, zajmując miejsca na stylizowanych sofach i fotelach. W powietrzu wisi gęsta cisza – taka, która zapada tuż przed ogłoszeniem wyroku.

– Tatku, oni cię nienawidzą – rzuca Emma z przekąsem, przeciągając słowa smakując ten bunt.

– Pan Rian wkurzył cały fandom Liberty Fade – dorzuca Wendy, a w jej oku błyska rozbawienie. Dla niej to nie kryzys, lecz widowisko, teatr w najlepszym wydaniu.

Mia nie mówi nic. Podchodzi do męża i kładzie mu dłoń na włosach, przesuając ją powoli, spokojnym, niemal intymnym gestem. Zbyt długo jest jego żoną, by nie znać tych sztuczek – wie, że prowokuje celowo, że sam podsycy tę burzę, aby w odpowiednim momencie móc ją zdławić.

Paul pochyła się nad tabletem. Przewija stronę powoli, w jego oczach błyskają tytuły największych portali muzycznych w Europie, a jego głos, lekko przytłumiony, niesie się po gabinecie.

– „Rami Rian mówi NIE: zakazany utwór Liberty Fade wywołuje lawinę komentarzy.” „Ojciec kontra dzieci: Rami Rian blokuje singiel mimo rekordowych wyświetleń.”

Ville wzdycha przeciągle i przewraca oczami z przesadną teatralnością, jakby właśnie odgrywał rolę w sztuce.

– No i super. Co dalej?

– Nie wiem. Kombinuj – odpowiada sucho.

Rose przesuwa się bliżej, oplata Villego za talię i patrzy prosto na Riana seniora.

– Wygląda na to, że pan producent nie jest jeszcze wystarczająco przekonany do waszego numeru – mówi miękko, z nutą ironii.

Rami uśmiecha się zawadiacko, bierze dłoń Mii i składa na niej krótki pocałunek w ten sposób podkreślając, że to ona – i tylko ona – w pełni rozumie jego grę.

Wendy pochyła się lekko nad stołem, w jej głosie brzmi udawana powaga, choć oczy świecą się rozbawieniem.

– Musimy jakoś przekonać naszego kochanego producenta do wydania singla. Tak, żeby wyglądało naturalnie, ale... nie wiem... eee...

– Dramatycznie – woła Ville z końca stołu, rozbawiony, jakby właśnie znalazł genialne rozwiązanie.

Rami prostuje się, a jego ton staje się surowy, choć w tle pobrzmiewa cień rozbawienia.

– Świetnie. Ale nie róbcie nic za moimi plecami.

Podnosi się i lekkim, chłodnym gestem wskazuje im drzwi.

– A teraz wynocha!

Reszta posłusznie wstaje, opuszczając gabinet w ciężkiej ciszy niczym uczniowie wyrzuceni z klasy.

Przez kolejne dni pałac w Surrey bardziej niż dom rodzinny przypomina królewski dwór. Cała ekipa Liberty Fade usługuje Ramiemu niczym monarsze, a Ville włącza do gry nawet swoją córkę – małą Amidalę, która z dziecięcą szczerością powtarza dziadkowi, że „piosenka jest ładna i tatuś jest zdolny”.

Skrzynka pocztowa RRstudio pęka w szwach, a komentarze pod nieszczęsnym postem nie pozostawiają wątpliwości: fani żądają oficjalnego wydania utworu i są gotowi walczyć o niego do końca. Telefon Ramiemu nie milknie – dzwonią przyjaciele, muzycy, a także dziennikarze. Wreszcie odzywa się największy portal muzyczny w Wielkiej Brytanii, *Backstage Journal*. I to dla nich Rami Rian zgadza się wystąpić na żywo w wywiadzie, który właśnie odbywa się w monumentalnym holu głównym pałacu w Surrey.

Dziennikarz wita się z widzami, podaje rękę Ramiemu i bez żadnych wstępów przechodzi do sedna.

– Rami... cztery doby. Fandom wrze. A ty – jednym „nie” na castingu i później w oficjalnym komunikacie RRstudio – zatrzymałeś lawinę, której nikt już nie potrafi powstrzymać. Siedzisz tu, w swoim pałacu, a na zewnątrz fani krzyczą twoje nazwisko. Jak się w tym czujesz?

Rami opiera się o podłokietnik fotela i bez cienia emocji odpowiada:

– Jak się czuję? Wściekły. Bo Liberty Fade postanowili zrobić coś za moimi plecami. Dla mnie to stracony potencjał.

Dziennikarz przechyla się lekko do przodu, w oczach błyska prowokacja, kamera chwyta ruch jego dłoni na notatniku.

– Jednak ludzie na zewnątrz mówią inaczej, Rami. Oni widzą w tym nie bunt przeciwko tobie, ale... autentyczność. W komentarzach przewija się jedno słowo: „prawdziwe”. Czy to nie jest właśnie ten potencjał, o którym mówisz?

– Potencjał jest wtedy, gdy wydaje się album albo oficjalny singiel. A to? To niby co ma być?

– To, co dla ciebie jest błędem, dla milionów ludzi stało się hymnem. Rami, przecież takiego wyniku nie miało żadne wasze oficjalne wydawnictwo w tak krótkim czasie. Czy naprawdę uważasz, że to nie jest moment, żeby pójść za ciosem?

W międzyczasie w komentarzach live wrze. Strumień wiadomości przesuwa się na wielkim ekranie nad kominkiem, ale Rami nawet na niego nie patrzy. Fanów nie interesuje strategia – chcą singla tu i teraz, mają nadzieję, że bezlitosny producent wreszcie ulegnie.

– Tu nie ma za czym iść – odpowiada spokojnie. – To chwilowy viral i tyle. To świetny utwór, ale nie widzę sensu wydawania go jako singla. Macie to w formie wideo na profilu Liberty Fade.

– Ale właśnie to sprawia, że fani szaleją! Dla nich *I Am Angry* nie jest „chwilowym viralem”, tylko manifestem. Piszą: „Zakazany owoc rocka”, „Utwór, którego potrzebowaliśmy, a nie wiedzieliśmy, że istnieje”. A ty to odcinasz jednym komunikatem. Nie boisz się, że zamiast legendy producenta stajesz się czarnym charakterem tej historii?

Rami patrzy chwilę na przewijające się komentarze live, przewraca oczami i skupia wzrok na rozmówcy.

– Mam już swoje lata, niech bierzcie mnie pod włos. Liberty Fade schrzaniło promocję i tyle. Mogli przyjść, pogadać.

Komentarze na ekranie zapalają się na czerwono, moderacja nie nadąża. W tej chwili Rami Rian jest najbardziej nienawidzonym człowiekiem w sieci.

Dziennikarz odkłada długopis na kolano, patrzy Ramiemu prosto w oczy. Głos staje się niższy, bardziej intymny.

– Zostawmy to. Powiedz wprost – czy jesteś dumny z Liberty Fade.

W tej chwili Ville dyskretnie popycha Amidalę do działania. To idealny moment. Dziewczynka w podskokach podbiega do dziadka, wspina się na jego kolana i patrzy mu prosto w twarz.

– Dziadku... to znaczy, Rami – poprawia się szybko – nie wiem jak ty, ale ja jestem dumna z Liberty Fade, a *I Am Angry* to bardzo dobra piosenka.

Zanim ktokolwiek zdąży zareagować, składa dziadkowi buziaka na policzku i szeroko uśmiecha się do kamery. Obiektów obraca się w stronę Villego – ten szczyrzy się od ucha do ucha, unosi oba kciuki w górę i znika teatralnie za marmurową kolumną. Rami przez chwilę patrzy groźnym wzrokiem na dziennikarza, potem na Amidalę, która zastygła w uśmiechu niczym mała aktorka na scenie. Przymyka oczy, bierze głęboki oddech.

– Dłużej tego nie zniosę – cedzi powoli. – Ci z Liberty Fade snują się po kątach i płaczą, moja własna wnuczka chodzi za mną i powtarza: „dziadku, to ładna piosenka”, a fani chcą organizować protest pod RRstudio.

Zapada krótka pauza. Rami spogląda na Amidalę, na dziennikarza i w górę, gdzie przy balustradzie tłoczy się zespół, Mia, Wendy, Rose i reszta ekipy technicznej oraz przyjaciół. Jego głos jest suchy, bez emocji:

– Dobrze, już dobrze. Wydam im ten singiel. Dajcie mi tylko spokój.

Głos dziennikarza podnosi się niemal automatycznie, kamera łapie szeroki plan: Rami z Amidalą na kolanach, Ville znikający za kolumną, a na górze wiwatujący tłum przy barierkach.

– To się właśnie wydarzyło – mówi z uniesieniem – na naszych oczach, tutaj w Surrey. Po czterech dobach burzy, Rami Rian oficjalnie ogłasza: singiel zostanie wydany!

Rian senior podnosi się powoli, bierze wnuczkę za rękę i rusza w głąb holu. Na odchodne rzuca groźnie:
– Wydam im ten singiel, ale klucze do studia zabiorę.

Kamera podąża za jego sylwetką ginącą w cieniu marmurowego korytarza. Echo kroków odbija się chłodnym rytmem, Amidala macha jeszcze do obiektywu, a z góry spada fala oklasków i śmiechu.

Komentarze fanów nie pozostawiają złudzeń:

– „Zakazany owoc rocka idzie do oficjalnej dystrybucji, o to chodziło!!!”; „Protest pod RRstudio odwołany”.

Gdy emocje opadają, a dziennikarze opuszczają pałac, w domu znów robi się cicho. Amidala już śpi, kamery są wyłączone – to czas tylko dla nich. Zespół i rodzina zbierają się przy długim stole, przy którym wciąż unoszą się resztki napięcia, ale teraz miesza się ono ze zmęczeniem i ulgą. Mia staje za mężem, kładzie mu dłonie na karku i zaczyna delikatnie masować. Uśmiecha się przy tym z wyraźną figlarnością, spoglądając na Villego i resztę.

– No cóż... bezlitosny producent umie podgrzać atmosferę.

Na jej słowa Rami zerka na nią kątem oka i parska śmiechem, a zaraz potem cała reszta wybucha – bo wszyscy doskonale wiedzą, jak dwuznacznie to zabrzmiało. Mia prostuje się gwałtownie, gładzi dłonią brodę i, gdy uświadamia sobie własną gafę, przewraca oczami, wzdycha ciężko i opada na krzesło chcąc uciąć temat.

– No dobrze, kochani – Rami przejmuje głos, wciąż rozbawiony, ale już bardziej rzeczowy. – Singiel ukaże się maksymalnie za tydzień. Wszystko jest gotowe, nie ma sensu czekać, aż atmosfera ostygnie. W tym momencie zatrzymuje spojrzenie na Mii i posyła jej zawadiacki uśmiech. Kilka osób nie wytrzymuje i znowu parska śmiechem. Ville klaszcze teatralnie, Wendy chichocze pod nosem, a Paul kiwa głową z ulgą. Tylko Thomas zasłania twarz dłonią, mrużąc coś w rodzaju: *nie wierzę, że tak to wygląda od kuchni*.

Wtedy Wendy, choć wciąż rozbawiona, prostuje się i przez chwilę mówi poważnie:

– Tyle lat robię w marketingu, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

Rami odpowiada od razu, cynicznie się uśmiechając:

– Bo laska, musisz się jeszcze dużo nauczyć.

Śmiech znów rozbrzmiewa przy stole, niosąc się echem po wysokim suficie, a Rianowie po raz kolejny pokazali, że potrafią zamienić każdy kryzys w spektakl.

Ruch Ramiego Riana okazuje się strzałem w dziesiątkę. Fandom dostaje dokładnie to, czego pragnął – ale dopiero po emocjonalnym rollercoasterze, który nadał całości wyjątkowej dramaturgii. Gdyby singiel trafił do dystrybucji od razu, bez całej otoczki tajemnicy i zamieszania, prawdopodobnie pozostałby jedynie kolejnym mocnym numerem w playlistach wiernych fanów. Tymczasem, dzięki zakazowi i medialnej burzy, *I Am Angry* ma szansę urosnąć do rangi utworu kultowego – niekomercyjnego w brzmieniu, a jednak obdarzonego aurą świętego Graala. W zasadzie już po tygodniu zyskuje status symboliczny, niemal manifestacyjny, a co najciekawsze – przebija się nie tylko do rockowych i metalowych rozgłośni, lecz także do anten stacji komercyjnych, zwłaszcza w audycjach tematycznych. To sytuacja rzadka: utwór z etykietą *niewygodnego* staje się punktem odniesienia w dyskusji o współczesnym rocku.

Sam Rami Rian, doskonale znający zarówno warsztat swojego syna, jak i materiał przygotowywany na trzeci album *Liberty Fade*, jest przekonany, że zespół znajduje się na prostej drodze do absolutnego szczytu popularności. Jednocześnie jednak deklaruje sam sobie, że od tej chwili będzie trzymał emocje na wodzy i nie pozwoli Villemu ani reszcie grupy na jakąkolwiek samowolkę. Jeśli nowy singiel już po tygodniu staje się symbolem buntu, to paradoksalnie – największym zwycięzcą tego zamieszania jest sam producent, który z chaosu zbudował mit. Rami Rian, mimo całej afery związanego z singlem, dał się też poznać widzom z nieco innej strony. Zawsze przedstawiany jako chłodny, producent i muzyk, tym razem pokazał emocje – takie, które w ciągu kilku minut potrafiły przejść od furii po śmiech, podsycane jeszcze przez własne dzieci i wnuczkę. Ten kontrast sprawił, że publiczność nie tylko zyskała nowy obraz legendy, ale zaczęła się wręcz domagać większej obecności bezlitosnego producenta w kolejnych odcinkach *Liberty Fade Life*.

Niespełna dwa tygodnie po wydaniu singla Rianowie i cały zespół zbierają się w holu głównym, by uczcić sukces. Na ławie stoją kieliszki i butelki wina, a w powietrzu unosi się radosne napięcie. Paul trzyma tabletkę, przewija stronę i nagle zatrzymuje się, jakby właśnie odnalazł najważniejszą wiadomość wieczoru.

– Panie i panowie – zaczyna z przesadną powagą. – Jesteśmy oficjalnie w TOP10 rockowych list przebojów. I co więcej... – robi dramatyczną pauzę – weszło też do Hot100 – Europa i USA.

W salonie wybucha wrzawa, Emma klaszcze w dłonie, Wendy gwizdże, Robert unosi kieliszek, jedynie Thomas, na którego anielski wokal ostrzą sobie apetyt Ville i Rami, tkwi w kącie w ciszy, a milczenie zdradza więcej niż słowa.

Wreszcie Ville podchodzi do ojca i patrząc mu w oczy spokojnie mówi:

– Wiesz tato, jesteś kozak i bardzo cię kocham.

Rami zaciska usta, kiwa głową i przyciąga syna do siebie w krótkim, mocnym uścisku.

– Też cię kocham, synu.

Zapada chwila ciszy. Wszyscy wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. Mia patrzy spokojnie, z tą swoją arystokratyczną powagą – jakby właśnie potwierdzono coś, co ona zawsze wiedziała. Rose milczy, skupiona, a jej twarz mówi jedno: uznanie. Amidała bije brawo z dziecięcą radością, co wywołuje krótki śmiech, ale napięcie pozostaje. Bo wszyscy wiedzą, że Ville właśnie publicznie nazwał ojca swoim autorytetem – a u Rianów takie słowa ważą więcej niż złoto.

Robert unosi kieliszek wysoko, a na jego twarzy pojawia się szelmowski uśmiech.

– Za naszego bezlitosnego producenta.

Rami wdycha dramatycznie, obejmuje Villego i czochocha mu włosy z udawaną irytacją.

– Jestem Rami, wasz kumpel, błagam – rzuca, po czym rozgląda się po zespole i dodaje z lekkim zniecierpliwieniem: – przynajmniej dopóki nie wejdziecie do studia.

Rozdział 16

Ostatnie chwile przed trasą koncertową.

Niespodziewanie pod dom Mayerów podejżdża czerwone Ferrari. Gdy brama otwiera się powoli, samochód z miękkim pomrukiem silnika wsuwa się na podjazd. Ville, zamiast od razu zgasić motor, spogląda na Rose z błyskiem w oku.

– Patrz, kochanie. Zaznaczymy swoją obecność... – rzuca, po czym wciska gaz. V12 ryczy głośnym WRRUUUMMM! rozcinając ciszę przed domem.

Dziewczyna wybucha śmiechem, widząc, jak Marina wypada na ganek z miną mówiącą wszystko: „co tu, do cholery, się dzieje?!”. Tuż za nią staje John, w jego oczach widać przerażenie.

Para wysiada z auta, zamykają drzwi jednym, lekkim ruchem i ruszają w stronę wejścia. Libertyn unosi rękę w powitaniu, jakby to on był gospodarzem.

– Dzień dobry, Marino, dzień dobry, Johne.

Ojciec Rose podaje mu rękę na powitanie, z wymuszonym półuśmiechem, a Marina całuje go w policzek.

– Sąsiedzi na pewno już was słyszeli – rzuca John z westchnieniem, bardziej z rezygnacją niż z wyrzutem.

– O, John, nie bądź taki skromny. Bycie obecnym to podstawa w show – biznesie – Ville klepie go po ramieniu potakując.

Zamiast jak zwykle zachować kamienną twarz, pan Mayer wybucha śmiechem, co wywołuje u Mariny autentyczne zdziwienie, ale i ona chichocze pod nosem.

– Chodźcie do środka – i gestem zaprasza ich do domu..

– Wybaczcie, że tak znienacka – mówi Rose, a w jej tonie pobrzmiwa lekki wyrzut. – Ostatnio narzekaliście, że rzadko bywam w domu... Rozkłada teatralnie ręce – To jestem.

– Niedługo jedziemy w trasę, więc pomyśleliśmy, że was odwiedzimy – dorzuca Ville i wręcza Marinie elegancko zapakowaną paczuszkę i mruga porozumiewawczo. – Sushi. Żeby nie było, że jestem cham. Po czym zaciera ręce, zaczynając pewną zaplanowaną akcję, i bez cienia skrępowania rusza w stronę kuchni.

– Marina, gdzie masz gary?! – rozbrzmiewa głos Villego, donośny jakby wzywał całą obsługę pałacu, a nie szukał zwykłego garnka.

– Gary są puste, więc dobrze, że przywieźliście własną... – robi palcami cudzysłów – „wyżerkę”. Bo chyba tak się u was w pałacu mówi na posiłek.

– Marina, ah, Marina... – Libertyn nuci z udawaną czułością, posyłając jej zawadiackie spojrzenie.

John patrzy na tę scenę z otwartymi ustami, po chwili tylko macha ręką w geście rezygnacji. Obejrzał wszystkie odcinki *LFL* i dobrze wie, że od początku był na przegranej pozycji. Burczy jedynie pod nosem:

– Dobrze, że kilka miesięcy w roku jest w trasie.

– Coś mówiłeś, tato? – pyta Rose.

– Ja? – John odchrząkuje i poprawia figurkę na stoliku. – Nie... cieszę się, że przyjechałaś.

Nagle Libertyn jak rażony piorunem zrywa się z miejsca. Bez słowa wypada na zewnątrz, a chwilę później wraca, niosąc pod pachą coś dużego i prostokątnego, starannie owiniętego. Z triumfem podaje pakunek ojcu swojej dziewczyny.

– Teraz będziecie mogli słuchać muzyki w najwyższej jakości – oznajmia z powagą.

John patrzy na niego, jakby w rękach trzymał ładunek wybuchowy.

– To... głośnik – parska śmiechem Rose, widząc minę ojca. – Bardzo porządny, bezprzewodowy. Będziecie zadowoleni.

Marina zakrywa usta dłonią, żeby ukryć śmiech, a jej ramiona drżą od rozbawienia. John tymczasem wzdycha ciężko, jak człowiek, który wciąż próbuje zdecydować, czy przyjąć prezent, czy wyrzucić go za drzwi razem z Ville. Jego spojrzenie błądzi po głośniku.

– Dziękuję – mówi w końcu cicho, niemal wbrew sobie.

Wszyscy wygodnie rozsiadają się przy stole i zjadają sushi. Ville pochyla się lekko w stronę Johna, jakby nagle przypomniał sobie coś istotnego. W jego spojrzeniu nie ma ani krzty kpiny – przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– John – zaczyna poważnie, tonem przypominającym rozmowę o sprawach rodzinnego biznesu. – Powiedz mi... umiesz majsterkować?

Pan Mayer unosi brew, zawiesza pałeczki nad talerzem. Patrzy na niego, próbując zrozumieć, czy to pytanie padło naprawdę.

– Majsterkować? – powtarza powoli, tonem człowieka, który próbuje upewnić się, czy dobrze usłyszał.

– W sensie... w domu? Naprawić kran, przykręcić półkę?

Patrzy uważnie na zadowolonego z siebie chłopaka, z lekkim zwątpieniem, jakby podejrzewał podstęp.

– Radzę sobie – dodaje ostrożnie. – A czemu pytasz?

– Mój ojciec jest artystą, więc u nas się nie majsterkuje. Zresztą ja też mam dwie lewe ręce. Ale wiesz, John... ja bym chciał kiedyś komuś potowarzyszyć przy naprawie. Tak po prostu, potrzymać latarkę, a w zamian usłyszeć to złowrogie: „świecisz mi, czy sobie?”. Biorąc pod uwagę, że jesteś ojcem Rose, to mogło być niesamowite przeżycie.

– Ty... – zaczyna, potrząsając głową. – Ty naprawdę nie masz żadnych hamulców.

Bierze łyk herbaty, a potem cedzi półgłosem, bardziej do siebie niż do nich:

– No pięknie. Wychodzi na to, że w końcu ktoś się zgłosił na mojego *podawacza latarki*. Dobrze – mówi powoli. – Jeśli będę miał coś do naprawy w domu, dam ci znać.

Ville natychmiast rozpromienia się, jak gdyby właśnie otrzymał zaproszenie do najbardziej ekskluzywnego klubu na świecie.

– Czekam z niecierpliwością – odpowiada, podchodząc do nowego głośnika i włączając klasyczny rockowy kawałek, głośno, może nawet zbyt głośno.

W ten sposób Libertyn zaznacza swoją obecność w domu Mayerów. Ci, przygotowani z całą moralizatorską gadką, nagle nie mają już ani czasu, ani siły, by wspomnieć o jego wybrykach z pierwszego sezonu *Liberty Fade Life*, gdzie sypiał z kim popadnie i budował emocjonalną więź z Thomasem, a plotkarskie portale i fandom zamiast potępienia obsypywały go zachwytaami, czyniąc z jeszcze z niedawnych skandali element jego legendy.

John za to nie szczędzi pochwał Rose – elokwentnej i ciętej, tak jak pokazano ją w programie. Na nic tłumaczenia, że wtedy jej relacja z Libertynem była chłodna, a kolejne odcinki pokażą miłszą Rose – ojciec ewidentnie jest z córki dumny i mówi o tym od ładnych kilku minut.

Po wysłuchaniu monologu pana Mayera, Ville nachyla się do dziewczyny i szepcze z przekąsem:

– Szanowny tatuś nie będzie już taki dumny, kiedy zobaczy odcinek o pieczeniu ciasta.

Ona parska śmiechem i całuje go w policzek. Kierują się na górę by nieco odpocząć, gdy są już w pokoju Rose, drzwi domu Mayerów otwierają się niespodziewanie i w progu staje Eryk, ten sam, który nie tak dawno podjudzał znajomych dziewczyny do złośliwych komentarzy o sponsorze. Choć Mayerowie byli bardzo powściągliwi w opowiadaniu o pierwszej wizycie Villego w ich domu, emisja odcinka, w którym Rose pojawiła się w ekipie technicznej programu, wywołała prawdziwą sensację. Teraz każdy już wie, że pracuje dla Liberty Fade, ale nikt jeszcze nie zna szczegółów jej relacji z Libertynem – odcinek ujawniający ich związek dopiero czeka na premierę. Eryk zdążył w międzyczasie przeprosić Mayerów za swoje wcześniejsze zachowanie, tłumacząc się zazdrością. John, ze względu na jego ojca – doktora Stevena – przeprosiny przyjął, Marina mniej chętnie.

I oto dziś Eryk przychodzi pod pretekstem zaproszenia ich na urodziny swojego ojca. W rzeczywistości ciekawi go czerwone Ferrari, które rozpoznaje z odcinków *Liberty Fade Life*. Wita się z Mayerami, kłaniając się nisko.

Libertyn schodzi po chwili, zupełnie go ignoruje i od razu zwraca się do pani Mayer stojącej przy schodach:

– Marino, jest w domu coś słodkiego?

– W komodzie, w salonie, poczekaj przyniosę.

– Marino, nie trudź się, poradzę sobie.

Kobieta macha tylko ręką i wskazuje mebel podbródkiem. Ville podchodzi do komody, wyciąga dwie czekolady i woła w stronę schodów:

– Roossee! Biała czy z orzechami?!

John przyryka oczy, Marina zaciska usta, a Eryk stoi w korytarzu oniemiały, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Z góry dobiega głośna odpowiedź:

– Z orzechami!

Ville odkłada jedną tabliczkę, zamyka szufladę. Marina znika w kuchni, John ucieka do jadalni i otwiera laptopa – byle dalej od wrzasków młodych. Libertyn kieruje się ku schodom i niemal ociera ramieniem o Eryka. Ich spojrzenia spotykają się. Zatrzymuje się pół kroku dalej, pozwalając ciszy zawisnąć w powietrzu. Eryk patrzy na niego z niedowierzaniem. Ville przed chwilą bezceremonialnie grzebał w szufladach Mayerów, krzyczał do Rose przez cały dom, zwracał się do jej rodziców jak do starych znajomych. To wszystko klóci się z obrazem „grzecznego chłopaka”, jakim sam próbował być przez lata. Zazdrość i gniew biorą górę.

– Nie wiedziałem, że Mayerowie zaczęli prowadzić hotel – rzuca w końcu z kpinią.

Na ustach Libertyna pojawia się rozbawiony uśmiech.

– Pięć gwiazdek. Czysto, schludnie, świetne jedzenie, wspaniali gospodarze... i ich piękna córka – odpowiada spokojnie.

– Tylko goście trochę zbyt pewnie się tu czują – syczy Eryk. – Zapominają, że nie mieszkają na stałe. Gościnność to nie przywilej.

– No wybacz, ale ciebie to już nie dotyczy.

– Śmieszne – mruczy Eryk, a czerwień wylewa mu się na twarz. – Ja przynajmniej wiem, jak to jest być tutaj kimś więcej niż tylko atrakcją dnia.

Ville wchodzi na jeden stopień, przechyla głowę lustrując go spojrzeniem.

– A kim dla nich jesteś? Może tym, który podjudzał znajomych do obgadywania Rose? Widziałem twoje wpisy. Przez twoje pomówienia honor damy został splamiony.

– To była głupia gadka – mruczy Eryk, udając skruchę, choć słowa o honorze damy nieco go zaskoczyły.

– Zdjęcie poszło w obieg, każdy komentował, ja też. Ale przyznaj, że na tej fotce wyglądała na dziewczynę z bogatym sponsorem.

– Czyli twoje przeprosiny skierowane do Mayerów nie były szczere?

– Były jakie były! – odpowiada zbyt szybko. – Powiedziałem, co trzeba, a Mayerowie przyjęli. Ale nie w mówisz mi, że ona nie wiedziała, jak to wyglądało.

– Dla mnie wyglądało to tak: Rose stała przy eleganckim samochodzie, a w tle ledwie widoczny jakiś mężczyzna.

– I wystarczyło. Piękna dziewczyna, starszy facet, drogie auto. Ludzie sami dopisali resztę.

– Czyli bawi cię to, że plotka się rozniosła?

– Plotki zawsze się rozchodzą – odpowiada z kąpiącym półuśmiechem. – Ja tylko dorzuciłem swoje trzy grosze, a Rose na to zasłużyła.

Ville uśmiecha się ironicznie, odchyła lekko kamizelkę i pokazuje mikrofon.

– Czasem go włączam. Nieraz powiem coś mądrego, co można wykorzystać w programie. Nasza rozmowa została nagrana. Może Mayerowie usłyszą, jak szczere były twoje przeprosiny – patrzy mu prosto w oczy. – Ups...

– Ty... żartujesz – wydusza, a jego twarz momentalnie blednie.

– O – wskazuje na niego palcem. – A propos żartu, ostatnio poznałem twojego rektora. Ma ogromne poczucie humoru. Do tego bardzo ciekawy i wartościowy człowiek. Nic dziwnego, że prowadzi projekty w Indivarze.

– No i co z tego? – odpowiada z wymuszonym uśmiechem. – To jeszcze o niczym nie świadczy...

Ville dostrzega drżący kącik ust i nerwowe ruchy dłoni. To wystarcza. Rianowie od dziecka ćwiczą odczytywanie emocji – trener powtarza, że ciało zdradza człowieka szybciej niż słowa. Eryk właśnie zdradza wszystko, co próbuje ukryć. Libertyn odczekuje jeszcze chwilę, pozwalając mu odzyskać pozory pewności siebie. Ale nie doczekuje się żadnej riposty.

– Zrobimy tak – mówi w końcu bez cienia emocji w głosie. – Kupisz teraz najładniejsze kwiaty w Bristolu, przyjdiesz tutaj i na kolanach przeprosisz Rose. Potem, na grupowym czacie, opublikujesz przeprosiny. Tekst ci podeślę. I nigdy więcej nie będziesz puszczał śmierdzących bąków w stronę Mayerów ani ich córki.

– Ty... oszalałeś – syczy, ale jego głos jest pusty. – Kwiaty? Na kolanach?

W tej chwili z góry rozlega się głos Rose, lekko podniesiony:

– Libertyn, cholera, łuskasz orzechy do tej czekolady?!

– Już idę, kochanie – odkrzykuje, po czym wraca wzrokiem do Eryka. – No, to co? Bo moja dama ma ochotę skosztować czekolady... i pewnie Libertyna.

– Dobrze – cedzi w końcu, z goryczą w głosie. – Zrobię to.

– To biegnij. Kwaciarnie zaraz zamykają.

Eryk rzuca mu ostatnie, wściekłe spojrzenie i opuszcza dom niemal biegiem. Na podjeździe słysząc jego ciężkie kroki i trzask furtki – desperacki gest człowieka próbującego odzyskać choć odrobinę godności.

Nie mija nawet godzina, gdy wraca. Na dole zdążyli już zebrać się wszyscy. Marina szykuje kolację, a Ville pomaga jej, krojąc ogromne pajdy chleba. Rose udaje, że jest czymś zajęta, choć w rzeczywistości co chwilę zerka kątem oka na Libertyna, mimowolnie wracając myślami do ich ostatniej nocy. Wystarczy jedno spojrzenie, by na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec. John siedzi przed telewizorem i ogląda tenis — właściwie cokolwiek, byle tylko Libertyn znowu nie włączył muzyki.

Wtedy w progu staje Eryk z bukietem kwiatów.

– Dobry wieczór – rzuca krótko. Klęka na jedno kolano i wręcza bukiet Rose. – Przepraszam za pomówienie. Skasowałem wpisy, pod postem dodałem przeprosiny.

Dziewczyna wzdycha, spoglądając kątem oka na swojego chłopaka pastwiącego się właśnie nad kromką chleba.

– Mam nadzieję, że są szczerze. Dziękuję – mówi przyjmując bukiet róż.

On kłania się i wychodzi pośpiesznie, pozostawiając Mayerów w konsternacji.

Rose opiera się o framugę drzwi kuchni i patrzy na swojego chłopaka z podziwem, ale jej głos ma raczej ironiczny ton.

– To twoja sprawka?

Ville uśmiecha się tylko i pokazuje jej idealnie odkrojoną pajdę.

– Lepiej nie wkurzać Rianów – mruczy Rose pod nosem, ale John i Marina dobrze to słyszą.

Pan Mayer odwraca wzrok od telewizora i przez moment milczy, jakby ważył słowa córki. W końcu tylko wzdycha i poprawia mankiet koszuli, bez komentarza. Marina natomiast uśmiecha się, a jej spojrzenie na Rose i Villego zdradza więcej, niż chciałyby przyznać na głos.

Cisza nie trwa długo, bo z głośnika w kuchni rozlega się głęboki, dudniący bas.

– Po co ja wyłączałem telewizor... – syczy John pod nosem i rusza do jadalni, gdzie na stole pojawiła się już kolacja i wielkie pajdy chleba, które chłopak rąbał z zapalem.

Gdy młodzi wreszcie opuszczają dom Mayerów, mówiąc coś o tym, że wpadną na grilla w przerwie trasy koncertowej, Marina ciężko opada na fotel.

– Co to było? – wyrzuca z siebie, splatając dłonie. – Ten chłopak to diabeł wcielony... Panienko Najświętsza, daj mi siłę.

John szybko ścisza głośnik, siada obok niej i przez chwilę oddycha głęboko, jakby musiał uspokoić tętno po burzy. Wreszcie stwierdza poważnie, z typową dla siebie suchością:

– Przyjechał. Narobił hałasu swoim Ferrari. Przywiózł głośnik, który buczał przez pół dnia. Wrzeszczał z Rose przez korytarz. Grzebał w szufladzie ze słodyczami. Zmusił Eryka do przeprosin na kolanach. Narąbał pajd chleba. I odjechał znowu rycząc silnikiem.

Bierze głęboki oddech, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wszystko to zmieściło się w jedno popołudnie. Patrzy na żonę z ciężką rezygnacją.

– Kochanie, od dziś zakazuję wypowiedziania jego imienia. Mówiąc o nim będziemy nazywać go V.

– Chyba V12... albo VIP. W końcu zachowuje się, jakby cały dom należał do niego.

Potem oboje milną bo wiedzą że to najlepsze, co mogą zrobić – schować się w ciszy po tym jak żywioł przetoczył się przez ich dom.

Tuż po powrocie z Bristolu *Liberty Fade Life* emituje odcinek, w którym Paul i Robert – wrobieni przez Villego przyznają się do przebytej choroby wenerycznej, a później, po legendarnej już interwencji Emmy z pogrzebaczem, Libertyn ujawnia swój związek z Rose.

W pokoju kominkowym panuje półmrok. Na niskim stoliku stoją kubki z herbatą, miska z przekąskami i kilka niedojedzonych kawałków brownie. Echo krąży niespokojnie wokół stolika, co chwilę zatrzymując się przy którymś z domowników i zerkając mu w oczy, jakby szukała potwierdzenia, że wszystko w porządku. Ville siedzi w fotelu z tabletem na kolanach. Obok niego Rose – spokojna, wyprostowana, skupiona. Thomas rozciągnięty na kanapie dłubie w podłokietniku, Paul przegląda komentarze z kamienną twarzą, a Robert co chwilę pociąga łyk wody. Emma siedzi po turecku na dywanie, trzyma laptopa przed sobą, a Wendy opiera się o sofę, zerkając raz po raz na Villego, który coraz częściej przeczesuje dłonią włosy, wzdychając ciężko.

– No dobra – zaczyna Emma tonem rzeczowym, ale z błyskiem w oku. – Mamy piątą dobę po premierze słynnego odcinka. Wygląda na to, że ogrom komentarzy ma pozytywny albo ironiczny wydźwięk. Najwięcej wpisów pochodzi od płaczących fanek, które nie mogą pogodzić się z tym, że Ville jest w związku – podnosi wzrok na brata z wymownym uśmiechem. – No i sporo wspierających wypowiedzi dla Rose. Nasza ślicznotka zaskarbiła sobie sympatię po odcinku o ekipie technicznej.

Po pokoju przechodzi cichy pomruk. Ktoś chrząka, ktoś przewraca oczami, Echo trąca łapą nogę Rose przypominając o swojej obecności.

– Duża część komentarzy jest neutralnych – mówi dalej Emma, przewijając ekran. – Ludzie piszą, że odcinek był zabawny, świetnie zmontowany, cytują nasze kwestie, czasem z lekkim sarkazmem.

Rose patrzy na nią z niepewnym uśmiechem. Już wie, co padnie dalej.

– Tak, ślicznotko – potwierdza Emma. – Chodzi o Viktorię. Niestety ta dziewczyna ma ogromny fandom. Nie wiem czemu, jest pusta i mało lotna, ale jednak.

Thomas, który najbardziej cieszył się, gdy Ville zakończył z nią współpracę, natychmiast reaguje:

– Mamy różne komentarze fanek Viktori. Część jest neutralna, ale są też takie, w których porównują was obie. I fandom Viktori jest w tym bezlitosny.

Libertyn prostuje się gwałtownie, odkłada tablet i przesuwa dłonią po twarzy.

– Jestem wkurwiony! Mam wrażenie, że ludzie nie rozumieją, że to moje życie, moje uczucia, a nie jakiś pieprzony, wyreżyserowany reality show! Co to, do cholery, ma być?!

Echo drga uszami i chowa się pod stolikiem. Rose od razu przysuwa się bliżej, obejmuje chłopaka za ramiona, przyciąga do siebie i szepcze coś cicho, uspokajająco.

Wendy kręci głową, a w jej oczach błyska rozbawienie.

– Ale słuchajcie – mówi łagodnie – mamy dobę po emisji odcinka bonusowego z waszym ciastem. Fandom Viktori zaczyna tracić na sile. W końcu ona pojawiła się tylko w pierwszym odcinku nowej serii, od prawie miesiąca jej nie ma.

Robert przewija dane i kiwa głową.

– Tak, fandom Viktori zaczyna się wycofywać, ale niektóre komentarze to przegięcie. Z jednej strony są nie po naszej myśli, ale z drugiej to nie hejt, więc moderacja ich nie usuwa.

Ville przez chwilę milczy. Wpatruje się w ekran, marszczy brwi, a jego dłoń zaciska się w pięść.

– Tak, ale przyznałem się do swoich uczuć. Wiecie, przez co przeszliśmy. Ile było łez i nieporozumień – rozkłada ręce, pokazując tablet. – A potem czytasz coś takiego: „Wszyscy mówią o dystansie Villego, ale dla mnie to po prostu brak emocji. Jak można tak szybko zakochać się po miesiącu?” – cytuje, rozkładając ręce z bezradnością. – Przecież ja w życiu nie byłem z nią w związku!

Paul wzdycha, pochyla się w jego stronę i patrzy mu prosto w oczy.

– Libertyn, ty to wiesz. My to wiemy. Ale one nie. To dziewczyny, które wciąż obserwują profil Viktori, choć ona wrzuca tylko selfiki. Nie denerwuj się o to.

– Bo to moje życie, Paul! – Ville podnosi głos. Echo znowu podskakuje i nerwowo merda ogonem.

– Villuś, spokojnie – odzywa się Rose łagodnie, przesuwając dłonią po jego karku. – Naprawdę, ja się tego spodziewałam. Ludzie nie lubią, kiedy coś im się zabiera. To normalne.

Robert wtula się w Emmę, unosi telefon i przewija kolejne wpisy.

– Posłuchajcie tego: „Ville wygląda przy Rose jak ktoś, kto gra w spektaklu, a nie jak zakochany. Z Viki miał błysk w oczach, z Rose ma... kalkulator.” – kręci głową. – Sorry, ale to już przegięcie. I zobaczcie, ile ma lajków.

Libertyn zaciska usta. Milczy chwilę, po czym bierze kilka głębszych oddechów.

– Może napiszę post – mówi w końcu cicho. – Że ja i ta laska nigdy nie byliśmy razem, że nasza współpraca się skończyła, że to moje życie, nie scenariusz.

Paul wzrusza ramionami.

– Albo zrób Q&A i poczytaj te bzdury na głos. Może się otrzeźwią.

Zapada krótka cisza. Emma chrupie paluszka i patrzy przez okno, jakby próbowała znaleźć tam sens całej tej sytuacji.

– Powinniśmy spytać speców z RRstudio – mówi w końcu. – Moim zdaniem tłumaczenie się nic nie da. Nie zrobiłeś nic złego, a odcinek z czytaniem komentarzy to też słaby kierunek.

– Masz rację – przytakuje Paul. – Nie lubimy tej dziewczyny, ale nie powinniśmy jej ośmieszać.

Ville przyciąga Rose bliżej. Jej dłoń spoczywa na jego kolanie, a jego ramiona w końcu się rozluźniają, a oddech staje się spokojniejszy.

– To co, milczymy? – pyta po chwili.

Wszyscy kiwają głowami. Emma wstaje, bierze telefon i zaczyna chodzić po pokoju w kółko, obok fortepianu, rozmawiając po fińsku. Po chwili wraca, siada na dywan i oznajmia:

– Powiedział tylko jedno: „Zostawcie ten temat w spokoju. Nie wracajcie do przeszłości.”

Nikt już nic nie dodaje. Ville gładzi Rose po dłoni, Thomas patrzy w sufit, a Echo przeciąga się i zasypia. W pokoju zostaje tylko cisza, przerywana jedynie miarowym tykaniem zegara.

Kilka dni przed wyjazdem w trasę koncertową, Rose kończy powoli pakowanie całego niezbędnego sprzętu czyli kilkanaście kamerek, mikrofonów, trzy laptopy, torbę różnych nośników pamięci oraz kolejną walizę kabli. Następnie postanawia dołączyć do reszty, która siedzi w jadalni dyskutując nad przebiegiem trasy. Na stole leżą papiery, tabele, szkice i mapy.

Jest o czym rozmawiać, bo choć wszystko było planowane od dawna, a harmonogram został ustalony na wiele miesięcy wcześniej to jednak każdy chce się jeszcze zapoznać z detalami.

Liberty Fade zazwyczaj gra około czterdziestu koncertów będąc tym samym prawie pięć miesięcy w trasie, ten rok jest inny bo już we wrześniu mają zaplanowane nagrania nowej, trzeciej płyty, dlatego też trasa koncertowa jest nieco krótsza. Zazwyczaj trasę dzielą na dwa lub trzy etapy – logistycznie są spójne i dopracowane w każdym calu. Ze względu na maszynę przygotowań i wszelkich działań Liberty Fade przeciętnie grają dwa koncerty w tygodniu i choć wydawać by się mogło, że tempo nie jest duże i można by było bardziej spać to w czasie to wcale nie jest to takie proste. Po pierwsze to zespół globalny, a nie taki grający po barach i małych klubach, to kapela która gra koncerty halowe i stadionowe dla prawie miliona ludzi rocznie co generuje ogrom sprzętu jaki muszą ze sobą wozić, to nie jest van z perkusją i gitarami, to są trzy czasem cztery ciężarówki nagłośnienia, oświetlenia, ekranów, elementów scenografii, kabli, zapasowych instrumentów, konsol i mnóstwa drobnych zajmującej ogromną przestrzeń. Przewiezienie tego wszystkiego na miejsce, rozstawienie i zwinięcie zajmuje czas. Druga sprawa to głos Villego, on nie śpiewa popu ani ballad, większość jego piosenek ma elementy krzyku, distortion, growlu co mocno obciąża struny głosowe o które Libertyn jak i większość świadomych wokalistów bardzo dba bo śpiew to praca. Po trzecie koncerty muszą być dopracowane w każdym calu, nie ma mowy o tym by perkusja zgubiła rytm, a Emma pomyliła akordy, Ville goni wszystkich do prób, wszędzie, gdzie tylko się da i gdzie można podłączyć się do prądu: płyta opuszczonego lotniska, parkingi, a nawet – ulubione miejsce Libertyna – szczerze pole gdzieś po drodze między europejskimi miastami. Wystarczy podpiąć generator i, ku kompletnemu zdziwieniu przejeżdżających traktorzystów, można odbyć pełnoprawną próbę.

Rose mija wielki karton z kawą przysłany przez producenta ekspresu, który Libertyn przez przypadek zareklamował jako łatwy w obsłudze i idiotoodporny. Następnie przysiadła obok Villego, ślęczącego nad tabelami kosztów. Nachyla się, zagląda mu przez ramię i, wskazując palcem na pomarańczową rubrykę, wydusza z siebie jedno słowo, niemal je literując:

– Ile?

Libertyn odsuwa jej rękę i zaczyna się śmiać.

– To? – pyta z uśmiechem – organizacja czyli transport, logistyka, hotele, wyżywienie i pensje dla techników – wylicza na palcach.

Dziewczyna unosi brwi i jeszcze raz wskazuje na tabelę.

– Po co wam aż tylu techników? Myślałam, że ten koszt leży po stronie organizatora.

– Mamy stałą kadrę techniczną, ludzi od dźwięku, instrumentów, świateł, monitorów i kabli – tłumaczy Paul z rozbawieniem. – Każdy wie, co robi, każdy ma swoje zadanie i nikt nie wchodzi sobie w drogę. To nasi ludzie, więc i nasz koszt. Organizator zapewnia tylko swoją ekipę od stadionu, sceny, ochrony i całej reszty. Ale nikt poza nami nie dotyka naszych instrumentów ani konsol – i to jest święta zasada.

– Tak – dodaje Ville. – Koszty organizacji to znaczny procent całej sprzedaży biletów.

Robert odchyła się na krzesło, splata ręce za głową i z półuśmiechem rzuca w stronę Rose:

– Ale po to są sponsorzy aby nieco uszczuplić tą kwotę.

Paul i Thomas od razu kiwają głowami, a Emma mruczy coś pod nosem, jakby słyszeli to setki razy i wciąż mieli rację.

Sponsorzy to ciekawa sprawa. Ville, podobnie jak reszta zespołu, jest przeciwnikiem reklamowania czegokolwiek. Owszem, widzowie *Liberty Fade Life* zdążyli zauważyć, że ich ulubieniec potrafi mimochodem zachwalać różne drobiazgi, ale czym innym jest żart w programie, a czym innym wielka kampania reklamowa, bycie ambasadorem marki czy twarzą billboardów. Ville Rian jako rozpoznawalna, charakterystyczna postać otrzymywał dziesiątki propozycji współpracy od luksusowych marek – od samochodów przez biżuterię po perfumy. Zawsze odpowiadał jednak to samo: „Nie chcę być celebrytą, który wyskakuje ludziom z lodówki.” Sponsorzy trasy koncertowej to zupełnie inna kategoria. To nie wstyd, lecz dowód potęgi i popularności zespołu. Dzięki wsparciu producentów sprzętu muzycznego Liberty Fade może korzystać z najlepszych instrumentów i systemów nagłośnienia za darmo lub w preferencyjnych cenach. Dzięki sieciom hoteli czy liniom lotniczym oszczędzają na zakwaterowaniu i przelotach, a przychylność firm logistycznych sprawia, że transport – największy koszmar każdej trasy – staje się nagle kwestią wręcz pomijalną.

Ville i Robert tłumaczą to wszystko Rose – o współpracy ze sponsorami gdy ona nagle dostrzega kolejną pozycję w tabeli.

Dziewczyna marszczy brwi i stukając palcem w rubrykę, mówi z niedowierzaniem:

– Taka wysoka stawka dla menadżerów? Aż tyle? Po co wam tylu menadżerów?

– Kochanie, bez przesady, to standard – odpowiada chłopak, prostując się na krzesło. – Generalny menedżer, tour manager, do tego prawnicy i księgowi. Każdy bierze swój kawałek tortu, razem wychodzi właśnie tyle.

Robert dopija herbatę i dodaje półzartem:

– Inaczej dawno utknęlibyśmy na lotnisku bez bębnow i gitar. Ale trzeba uczciwie powiedzieć, że nasz skład menedżerów jest mocno okrojony. Nie mamy ludzi od wizerunku ani PR-u. Ci to dopiero by wzięli swoje.

– Tak, to też mocno obniża koszty. Ale najbardziej bolą mnie podatki – wtrąca Paul. – Zgodnie z zasadą: tam, gdzie grasz, tam płacisz podatek od sprzedanych biletów. Ten koszt dzielimy mniej więcej po połowie z organizatorem albo – w zależności od kontraktu – według naszego wynagrodzenia.

– Boli ale nie ma jak od tego uciec – kwituje Thomas.

Rose całuje Libertyna w policzek, głaszcze go po głowie i uśmiecha się podstępnie.

– No nieźle, a do tego podatek dochodowy w kraju.

Ville czule gładzi ukochaną po ramieniu i uśmiecha się z tą swoją charakterystyczną manierą.

– Tak, kochanie... podatki – oblizuje górną wargę i dodaje z przesadnym akcentem – dochodowe.

Na tym zawiesza głos, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale milknie. Zespół wybucha śmiechem, Emma ociera łzę spod oka, Thomas kręci głową, Paul chichocze pod nosem, a Robert wtula twarz w rękaw Emmy, żeby ukryć rozbawienie. Rose przez moment zupełnie nie rozumie ich dobrego humoru, ale już po chwili zaczyna się domyślać, że musi chodzić o jakieś podatkowe sztuczki, o których nikt nie chce jej jeszcze powiedzieć. Po chwili wszyscy jak na sygnał zaczynają zbierać papiery, chowając je

do segregatorów i aktówek. Ku zadowoleniu Thomasa zbliża się pora „wyżerki”. Pokojówka wnosi półmiski z obiadem, a na stole zostaje już tylko rozłożona mapa z tegoroczną trasą koncertową. Rozmowa toczy się dalej, tym razem nie o podatkach i kosztach, lecz o samych występach. Najpierw Kanada – Toronto, potem Stany, zaczynają od północy – Chicago, dalej na zachód – Seattle, Los Angeles, Las Vegas. Następnie zwrot na wschód: Nowy Jork, Atlanta i Orlando. Po tej części trasy zrobią sobie kilka dni przerwy w Miami, żeby złapać oddech i przygotować się na nowy rozdział. Po raz pierwszy pojedą do Ameryki Południowej, gdzie zagrają w Meksyku, Chile i Brazylii. Dla Liberty Fade to rynek czekający by go odkryć. W Stanach jeszcze nie zapełniają stadionów, ale ich popularność rośnie z miesiąca na miesiąc. Południe to jednak inna historia. Publiczność tam żyje koncertem inaczej – głośniej, intensywniej, bardziej namiętnie. Dla zespołu to nie tylko trzy występy, lecz pierwszy krok do ogromnego rynku, który w przyszłości może okazać się nieograniczony. I choć mogłoby się wydawać szaleństwem wożenie całego sprzętu z Meksyku do Chile czy Brazylii, tym razem wygląda to inaczej – Liberty Fade zagrają na największych rockowych festiwalach, co oznacza zarówno dotarcie do szerszej publiczności, jak i ogromne oszczędności w logistyce, bo sprzęt zapewniają organizatorzy.

– No... – odzywa się Emma, wycierając usta chusteczką. – Później chwila przerwy i zaczynamy od Wembley, następnie wsiadamy do naszego nightlinera i dalej na Europę.

– Mam kilka egzaminów, na których muszę stawić się osobiście, więc w czerwcu mamy trochę przerwy – mruczy Ville pod nosem, jakby mówił bardziej do siebie niż do reszty.

Zaraz po występie w Stambule – symbolicznej bramie do Azji – trasa ruszy znowu na Europę. Najpierw Węgry, potem Czechy, Polska i Litwa, Szwecja, Norwegia i na koniec Finlandia. Helsińskim koncertem, zaplanowanym na początek sierpnia, Liberty Fade zamkną całą europejską część trasy. Tam też zatrzymają się na dłużej, by rozpocząć pracę nad trzecim albumem.

Konwój rusza o świcie. Trzy czarne vany z zespołem zapakowane sprzętem prowadzą kolumnę w stronę lotniska. Za nimi kilka mikrobusów i ciężarówka z częścią bagaży, które muszą polecieć razem z zespołem – reszta dawno wysłana transportem cargo. W autach słychać mieszankę śmiechu, muzyki i stukotu klawiatur laptopów; każdy zajmuje się czymś innym, a jednak wszyscy czują to samo napięcie. Atmosfera jest jak przed startem maratonu – zmęczenie pakowaniem i ostatnimi przygotowaniami miesza się z euforią, że wreszcie ruszają. Ville, mimo że udaje dystyngowany spokój, co chwila zerka w lusterko i śmieje się pod nosem z Thomasa, który puszcza mu przez słuchawki kolejne fragmenty nowego setu. Emma, Wendy i Rob w drugim aucie żartują z Paula, że znowu będzie spał w samolocie od startu do lądowania. Kolumna samochodów zatrzymuje się przed jednym z wejść do Heathrow. Kierowcy pomagają z bagażami, a technicy przepychają wózki z cięższymi skrzyniami. W tym wszystkim zespół stara się wyglądać normalnie – bluzy z kapturem, czapki z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne. To nie ukrywanie się przed fanami, raczej chęć wtopienia się w tłum. Atmosfera jest trochę nerwowa. Ville idzie obok Rose, z teczką pod pachą, co chwilę spogląda na zegarek – nienawidzi się spóźnić. Thomas snuje się obok, żując gumę i żartując, że pewnie znowu im zgubią walizki. Emma i Rob trzymają się razem, rozmawiają o pierwszym koncercie, a Paul wciąż sprawdza w telefonie listę instrumentów, jakby obawiał się, że coś zostało w Surrey. W terminalu giną w tłumie podróżnych. Kilka osób rozpoznaje Libertyna – ktoś szepcze, ktoś zerka dwa razy, ktoś inny wyciąga telefon, ale nikt nie

podbiega. Heathrow jest za duże, zbyt anonimowe, żeby wybuchła sensacja. A oni właśnie tego potrzebują – wejść spokojnie, przejść odprawę, usiąść w hali odlotów jak zwykli pasażerowie.

Samolot dopiero co oderwał się od pasa, silniki huczą jednostajnym pomrukiem. Rose odwraca się do Villego, opierając głowę o zagłówek.

– Villuś – mówi półgłosem, nachylając się bliżej. – Pogadajmy jeszcze raz o zdjęciach. Jak to ma wyglądać?

– To proste, kochanie. Masz być wszędzie i nigdzie. Masz łapać momenty – mówi spokojnie, a wolną ręką wykonuje gest naciskania spustu migawki. – Nie tylko mnie z mikrofonem, ale Emmę, kiedy zgina się nad gitarą, Roba, gdy wali w bębny, Paula w skupieniu. Chodzi o energię, żeby zdjęcia wyglądały tak, jakby się w nich słyszało muzykę, zresztą podobnie robiłaś na naszych próbach.

Rose kiwa głową, w oczach ma mieszankę ekscytacji i tremy. Jeszcze nigdy nie fotografowała tak wielkiej sceny – a teraz ma być częścią widowiska.

Thomas, siedzący obok, parska śmiechem i nachyla się do dziewczyny.

– Masz być jak ninja. – Ruchem rąk udaje gotowość bojową, jakby właśnie miał wskoczyć w ciemny zaułek.

– Już jutro mamy próbę na scenie, tam poćwiczysz – dodaje Thomas już bardziej serio, ale z tym swoim szerokim uśmiechem.

Ville tylko potakuje, bierze dłoń Rose i składa na niej lekki pocałunek, nie spuszczać z niej wzroku. To niby drobiazg, gest tak dyskretny, że każdy mógłby go zrozumieć jako zwykłą czułość w podróży, ale dla niej to sygnał – że jest częścią tego, co się właśnie dzieje.

Kilka czarnych vanów toczy się przez opustoszałe ulice Toronto. Za szybami nocne światła migoczą lekko przytłumione, a w samochodach panuje cisza – tylko Paul podśpiewuje pod nosem, reszta jest znużona kilkunastogodzinną podróżą. Ville, skulony w kapturze trzyma Rose za rękę opierając głowę o szybę patrzy na rozlane po asfalcie refleksy neonów. Pod hotel podjeżdżają bez rozgłosu, bocznym wejściem od zaplecza. Kierowcy pomagają z walizkami, technicy ziewają, ktoś mruczy pod nosem o piwie z minibaru. Zespół przemyka przez lobby niemal w milczeniu, kilka osób z obsługi udaje, że nie widzi, kim są. Karty do pokoi przygotowane wcześniej czekają już w kopertach. Emma rzuca krótkie „dobranoc” i znika z Robertem w windzie. Wendy ciągnie swoją podręczną walizkę, a Paul z dumą niesie futerał z basem. Thomas przeciąga się teatralnie i puszcza do Villego oczko mówiąc pod nosem: „wreszcie koniec tej męczarni”. Libertyn i Rose zostają na chwilę w lobby, czekając na techników z ich bagażami. Chłopak wygląda na zmęczonego, ale w jego oczach widać ten znajomy błysk – zaczęło się. Trasa właśnie wystartowała.

Rozdział 17

Wzloty i upadki Rose

Już kolejnego dnia zespół ma pierwszą próbę, na scenie światła jeszcze nie są ustawione na pełną moc – technicy testują reflektory, a w głośnikach raz po raz słychać pojedyncze uderzenia stopy perkusji. Ville stoi na środku, sprawdza mikrofon, a reszta zespołu stroi instrumenty. Rose, z aparatem na szyi, nieśmiało kręci się po bokach sceny.

Paul zerka na nią znad basu i rzuca krótko:

– Spokojnie, ślicznotko, rób swoje.

Emma, poprawiając pasek gitary, uśmiecha się zachęcająco, jakby chciała powiedzieć: *nie martw się, jesteś z nami*.

Thomas unosi brew, przejeżdżając dłonią po talerzu gramofonu.

– Nie udawaj, że nie lubisz tej presji – mówi do mikrofonu.

Robert, zasiadając za bębnami, po prostu kiwa głową, wystukując lekką rytmikę. A Ville robi swoje – raz szeroko się uśmiecha, raz teatralnie unosi rękę, a kiedy Rose przemyka z boku, przyciąga ją lekko, muskając ustami jej włosy, chcąc zdjąć z niej ciężar tej pierwszej tremy jednym gestem.

Obiektyw klika coraz pewniej. Dziewczyna zaczyna krążyć wokół sceny z większą swobodą, chwytając detale: cień Emmy na podłodze, skupioną twarz Paula, Thomasa w półbrocie. Czuje, że zdjęcia wychodzą tak, jak powinny – prawdziwe, pełne ruchu i napięcia. A zespół, choć zajęty próbą, raz po raz rzuca jej te krótkie sygnały wsparcia, które znaczą więcej niż jakiegokolwiek instrukcje.

Backstage tuż przed koncertem to osobny świat – mieszanina napięcia, skupienia i drobnych rytuałów. Za sceną panuje półmrok, tylko rzędy żarówek przy lustrzanych stołach dają ciepłe światło. Pachnie lakierem do włosów, kawą i metalem. W tle słychać dudnienie basów – technicy sprawdzają ostatni raz nagłośnienie, a przez ściany przedziera się coraz głośniejszy szum publiczności. Thomas, w swojej luźnej koszulce z graffiti czapce z daszkiem, siedzi przy stoliku bawiąc się miniaturką deskorolki. Skupiony, pochylony, zdaje się kompletnie nie słyszeć, jak zza sceny narasta huk publiczności. Dla niego to najlepszy sposób, by rozładować napięcie – zamiast siedzieć w ciszy czy nerwowo sprawdzać telefon, ucieka w ten miniaturowy świat. Emma, cała w połyskującym zielonym kombinezonie, siedzi spokojnie na krześle. Kucyk związany wysoko błyszczący od lakieru. Poprawia pasek gitary i co jakiś czas zerka w lustro – nie po to, żeby podziwiać siebie, ale sprawdzić, czy wszystko trzyma się na miejscu. Jej obecność wnosi do przestrzeni rodzaj pewności i opanowania. Paul, w koszuli flanelowej w kratę, stoi oparty o ścianę i bawi się jojo. Sznurek świszczący w powietrzu, a zabawka raz po raz ląduje w jego dłoni albo zatrzymuje się w połowie, kiedy coś pójdzie nie tak. Od czasu do czasu rzuca krótkie uwagi technikom – o kablach, o nagłośnieniu – ale zaraz wraca do swojej zabawy. Kiedy sznurek kolejny raz płącze się bezlitośnie, cedzi pod nosem soczyste przekleństwo. Robert ze słuchawkami na uszach siedzi przy stoliku, bawiąc się pałeczkami perkusyjnymi. Jego czarna bluza z motywem motocyklowym wygląda jak druga skóra – trochę mroczna, trochę codzienna. Podnosi głowę dopiero, gdy ktoś rzuci żart, wtedy uśmiecha się cicho i znów skupia na własnym rytmie stukania o kolano. A Ville... on wchodzi do pomieszczenia tak, jakby to już była scena. W pełnym makijażu, z błyszczącą czarną koszulą rozpiętą na trzy guziki, czarnymi paznokciami i włosami utrwalonymi żelem wygląda na kogoś, kto już

stoi przed tysiącami ludzi. Przechadza się powoli, poprawia pierścionki, czasem rzuca spojrzenie w lustro – ale bardziej teatralne niż próżne. Każdy jego gest jest pełen świadomości, że zaraz zacznie się spektakl.

Rose siedzi na krześle, a Wendy pochyla się nad nią, mocując jeszcze jedną frotkę na ciasno związanym warkoczku. Włosy są spięte mocno, by ani jeden kosmyk nie przeszkadzał w pracy. Potem Wendy sięga po błyszczak, szybkim ruchem muska usta dziewczyny i kończy delikatny makijaż, który pod światłami nie będzie się świecił ani rozmazywał. Rose czuje ucisk w żołądku, jakby miała w sobie ciężki kamień. Ręce są lekko spocone, a każde szarpnięcie gumki we włosach wydaje jej się głośniejsze niż dudnienie basów, które już przechodzi przez ściany i podłogę.

– Skarbie – mówi Ville, tonem bardziej żartobliwym niż poważnym – wszystko masz przećwiczone. Będzie dobrze, byle się nie potknąć o kable. Ja zawsze się modle żeby nie spierniczyć się ze sceny – dodaje weselej co nieco uspokaja atmosferę.

Rose uśmiecha się szeroko, jest prawie gotowa: czarne bojówki z kieszeniami pełnymi zapasowych kart pamięci, czarna dopasowana koszulka, wygodne buty i pas z dodatkowymi obiektami. Z pozoru wygląda pewnie – jak ktoś przygotowany na każdą sytuację. Tylko ona wie, że pod tym spokojem serce wali w piersi. Wtedy kurtyna lekko się odchyła, do środka zagląda technik z listą w dłoni. Widać kawałek sceny i morze świateł, a zza materiału dobiega narastający ryk publiczności.

Rose zastyga sparaliżowana. Patrzy w stronę tej szczeliny i wydusza z siebie jedno, surowe słowo:

– O kurwa...

Przez sekundę jest cisza, a potem cała ekipa wybucha śmiechem. Thomas aż odstawia mini deskorolkę, Paul prawie gubi jojo, Robert tłumi parsknięcie w rękaw bluzy, Emma przewraca oczami z rozbawieniem. Ville śmieje się najgłośniej, jakby właśnie to zdanie było najlepszym otwarciem trasy koncertowej. Gdy technik podnosi dwa palce w górę, dając znak, że już czas, Rose i dwóch kamerzystów podnoszą sprzęt. Pas aparatu wbija jej się w ramię, dłonie są chłodne od potu. Libertyn podchodzi w ostatniej chwili, obejmuje ją ramieniem i przyciąga tak, że ich czoła stykają się ze sobą.

– Kocham cię – szepcze miękko, wbrew całemu hałasowi wokół.

– Też cię kocham – odpowiada szybko, łapiąc ostatni głęboki oddech, który ma jej wystarczyć na całą noc.

Jeszcze minuta, krótki uścisk, a potem znika za kurtyną razem z operatorami. Sala pogrąża się w półmroku. Przez sekundę słychać tylko niski pomruk basu, a potem rozbłyskają pierwsze reflektory – szerokie snopy światła omiatają trybuny, a publiczność wybucha wrzaskiem. Rose już stoi na swoim miejscu – tuż pod sceną, między barierkami a rampą z aparatem mocno przyciśniętym do dłoni. Czuje na sobie falę tego dźwięku, tak potężnego, że aż wbija ją w ziemię. Za plecami ma kamerzystów, obok ochroniarza, a przed sobą ocean twarzy, transparentów i rąk uniesionych w górę. Gdy Liberty Fade wchodzi na scenę, publiczność eksploduje – krzyki, piski, oklaski mieszają się w jeden, ogłuszający dźwięk. Rose przyciska aparat do twarzy i klika pierwszy raz. Migawka zatrzymuje moment, w którym Ville teatralnie rozpościera ramiona, a światła eksplodują za jego plecami. Dziewczyna przemyka między kablami i kolumnami, skulona, lekko pochylona, żeby nie wejść w kadr kamer skierowanych na scenę. Co chwilę musi przeskoczyć jakiś przewód albo prześlizgnąć się bokiem obok wielkiej skrzyni na kółkach. To nie jest taniec, do którego była przyzwyczajona na turniejach – tu każdy krok grozi

potknięciem albo zdjęciem, które nie dojdzie do skutku. Mięśnie ma spięte niczym struna, oddech płytki, a mimo to jej ciało w naturalny sposób poddaje się rytmowi. Po kilku minutach nerwowy krok zmienia się w płynny ruch – jakby scena znów stała się jej parkietem. Trema zaczyna się rozplýwać. Aparat w dłoni jest przedłużeniem jej spojrzenia, a przeszkody wokół zamieniają się w elementy układu choreograficznego. Zaczyna zachowywać się jak zawodowiec, łapiąc najlepsze ujęcia między światłem a cieniem, między gitarą Emmy a perkusją Roberta.

Kilka razy Ville posyła jej szybki uśmiech – krótki, teatralny, tak dyskretny, że tylko najbardziej uważni widzowie mogliby go wychwycić. Ale część publiczności już wie, kim jest dziewczyna z aparatem. Pojawiają się okrzyki: „Rose! Rose!”, a nawet błyski aparatów skierowane nie na scenę, lecz właśnie ku niej. Dla jednych to tylko ciekawostka, dla innych powód do ekscytacji – bo przecież ukochana ich ulubionego frontmana stoi tuż obok nich. Widzowie *Liberty Fade Life* zaakceptowali Rose, a wielu zdążyło ją nawet polubić. Nie jest przypadkową osobą ani żadną celebrytką z parciem na szkło. To ta sama dziewczyna, którą pokochali za cięty język i absurdalne teksty w programie. Ta, która w serwerowni przekomarzała się z Ville i Thomasem, i która – w zabawny, a jednocześnie subtelny sposób – została przedstawiona w programie jako ukochana Libertyna.

Teraz hala drży od basów, a reflektory rozcinają ciemność niczym ostrza. Kiedy nadchodzi refren, piętnaście tysięcy gardeł wybucha jednym głosem – potężnym, czystym chórem, który niesie się ponad instrumentami i przykrywa nawet krzyk frontmana. Zespół gra w transie, a ten wspólny śpiew zamienia koncert w coś więcej niż występ – w rytuał jedności. Po kolejnym utworze dźwięk powoli wygasa, a hala oddycha razem z zespołem. Emma ociera czoło, Paul odstawia bas na bok, Robert pochyla się nad bębnami, łapiąc kilka łyków powietrza. Ville podnosi butelkę do ust, kiedy Rose – skulona, niemal niewidoczna – próbuje przemknąć tuż pod konsolą Thomasa, by złapać nowe ujęcie.

DJ unosi mikrofon i z przekąsem, w swoim stylu, rzuca kilka słów, które rozchodzą się po hali jak iskra: – O, nasza ninja.

Śmiech wybucha falą, a tłum w jednej chwili podchwytuje przydomek, krzycząc rytmicznie: „Nin-ja! Nin-ja!” Ville właśnie wtedy przełyka wodę. Krztusi się, parska, ociera twarz dłonią, po czym z krzywym uśmiechem wypluwa słowa prosto w mikrofon:

– Dzięki, mój kochany DJ–u.

Publiczność reaguje jak na komendę – ryczy z zachwytem, a echo miesza się z okrzykami. Zespół parska głośno, jakby na chwilę zapomnieli o scenariuszu koncertu. A Rose, czerwona na policzkach, staje przy Thomasie, kieruje obiektyw na widownię i wciska spust migawki. Na ten gest publiczność reaguje natychmiast – niektórzy zaczynają machać, inni pokazują dłonią serca albo po prostu się uśmiechają wiedząc, że właśnie teraz mogą znaleźć się w jej kadrze.

Ostatni dźwięk gitar i perkusji wybrzmiewa w hali niczym huk zamykanych drzwi, a światła gasną, zostawiając publiczność w oszołomionym aplauzie. *Liberty Fade* schodzą powoli, wciąż ciężko oddychając, z twarzami rozświetlonymi adrenaliną i potem, jakby każdy z nich niósł jeszcze echo tego wieczoru. Za kulisami Ville, wciąż rozpalony występem, zatrzymuje Rose na sekundę, chwytając jej dłoń i muska wierzch palców ustami.

– Moja ninja, dobra robota – szepcze, przyciągając ją mocno do siebie.

Ona wypuszcza powietrze z ulgą, i całuje go w policzek, czując, że wreszcie może odetchnąć.

Kolejny cel to Chicago. Choć na mapie odległość nie wydaje się ogromna, to kilka godzin w autokarze mogłoby wyczerpać nawet najbardziej zahartowanych muzyków. Dlatego przy takich przeskokach zespół wybiera samolot rejsowy – szybki, wygodny i pozwalający oszczędzić siły na to, co najważniejsze: koncert. W ten sposób przenoszą się z jednego miasta do drugiego, zostawiając ciężarówkę ze sprzętem, by toczyły się własnym tempem po drogach. Dla Villego i reszty liczy się to, że nie tracą energii na podróż, tylko zachowują ją na moment, w którym znów wyjdą na scenę. Z jednej strony w trasie nie ma zbyt wiele czasu wolnego na dłuższe zwiedzanie czy zatrzymywanie się gdzieś po drodze. Kapela skupia się na próbach, krótkim odpoczynku i zbieraniu energii na występy, zamiast tracić ją na wielogodzinne wyprawy po mieście. Hotel, sala prób i arena koncertowa – taki rytm staje się codziennością, w której wszystko podporządkowane jest jednemu celowi: perfekcyjnemu show. Ale z drugiej strony, to właśnie najpierw dzięki *Liberty Fade Notes*, a teraz pełnometrażowym odcinkom *Liberty Fade Life*, zespół zyskał ogromną sympatię widzów. Pokazują się w różnych ciekawych lub charakterystycznych miejscach na trasie – czasem to zwykły spacer po starówce, plaży czy słynnej alei, innym razem szybki wypad do muzeum, galerii sztuki albo na taras widokowy. W poprzednim sezonie między innymi jeździli rowerami po Kopenhadze i zwiedzali Milan, teraz w Toronto Robert z Emmą odwiedzają muzeum sztuki współczesnej, a Thomas narzeka na zimno, otulony szalikiem po sam nos. W Chicago Paul i Wendy biorą kamerę i ruszają na spacer między surowymi budynkami downtown, dzieląc się swoimi przemyśleniami o architekturze i starych filmach gangsterskich. W Nowym Jorku Ville i Rose idą na mecz baseballowy. W Las Vegas kamera rejestruje wieczorny spacer całego zespołu w świetle neonów i przypadkowe spotkanie z fanami pod hotelem. Takie przebitki – z humorem, komentarzami, spontanicznymi reakcjami – nie tylko budują więź z fanami, ale też znacząco poszerzają zasięgi. Dla widzów to coś więcej niż kulisy koncertu – to zaproszenie do świata Liberty Fade, które przyciąga nowych odbiorców, buduje lojalny fandom i nierzadko zamienia przypadkowych widzów w przyszłych uczestników koncertów.

Zdarza się, że po występach wybierają się na after party – klubowe, głośnie, pełne migających świateł i tłumu obcych ludzi. Tam przez chwilę mogą zdjąć z siebie ciężar trasy, wtopić się w anonimowość imprezy. Trochę tańczą, trochę piją i dużo flirtują. Rytm trasy nadają również spotkania z fanami i wywiady w lokalnych mediach, raz w garderobie, raz w radiu, czasem przy kawie o dziewiątej rano. Ville, jak zawsze, wybiera tylko te rozmowy, które mają sens – o muzyce, emocjach, ludziach. Za to Thomas i Paul potrafią zaskoczyć dziennikarzy zarówno powagą, jak i totalnie absurdalnymi żartami. A jednak tempo trasy – co kilka dni inne miasto, nowe lotnisko, inne światła, ta sama presja – zaczyna wykańczać nie tylko zespół ale również Rose. Wszystko, co miało być dla niej przygodą i świetną okazją do zarobku, z dnia na dzień staje się ciężarem. Z jednej strony jest członkiem z ekipy technicznej, zajmuje się zabezpieczaniem i selekcją materiałów, z drugiej – przyjaciółką zespołu, która nie chce ich zawieść. Dlatego, gdy zostaje poproszona o dokumentowanie koncertów – po tym jak ekipa zachwyliła się jej zdjęciami z Toronto – zgadza się bez wahania. W ten sposób staje się nadwornym fotografem, choć przed trasą ustalono, że ma dokumentować wyłącznie życie prywatne kapeli. A teraz: im więcej zdjęć trafia do archiwum, tym więcej czasu poświęca na ich obróbkę. Niedługo później, zespół – napędzany potrzebą budowania fandomu i zarobku z wyświetleń – prosi ją, by regularnie wrzucała rolki na profil społecznościowy. Chwali ją, że świetnie dobiera ujęcia, a Ville tłumaczy z uśmiechem, że skoro

ma dostęp do materiałów, to przecież „dwie minuty zajawki dziennie” nie zajmą jej wiele czasu. Rose się zgadza. Wie, że każda wrzutka zwiększa zasięgi, a każdy odsłoniony film to więcej widzów i więcej pieniędzy. Ale dodatkowe zadania, które spadły na nią po drodze, nie są jeszcze tak wyniszczające, jak sam fakt, że nie jest już tylko częścią ekipy i przyjaciółką zespołu – jest również dziewczyną Libertyna. A to znaczy: nienaganny wygląd, uśmiech, obecność, wsparcie, wspólne imprezy. Nie może zniknąć sprzed kamer, nie może wymigać się od afterów, nie może wyglądać źle. Stała się nie tylko częścią zespołu, ale też częścią wizerunku jego frontmana. Ma własny fandom, który powstał przypadkiem – po emisji kilku odcinków *Liberty Fade Life*, gdzie widzowie zobaczyli ją obok Villego. Teraz wszyscy oczekują, że będzie błyszczeć razem z nim. Rose wie, że jest przemęczona, ale widzi też, że zespół daje z siebie wszystko – próby, papierologia trasy, hektolitry potu na scenie. Nie dostrzega jednak, że kiedy oni śpią, ona siedzi przed ekranem, selekcionując zdjęcia i nagrania z poprzednich dni. Po miesiącu ma dość. Zасыpia wszędzie – w samolocie, na podłodze garderoby, w hotelowym lobby, z aparatem na kolanach. Ville żartuje z tego z Thomasem, że jego dziewczyna potrafi spać nawet w środku huraganu. Na początku Thomas śmieje się razem z nim, ale z czasem jego uśmiech gaśnie. Widzi, że Rose po prostu się rozpada, że stała się cieniem samej siebie. Próbuje nawet rozmawiać z Libertynem, ale ten tylko wzrusza ramionami.

– DJ-u, kochany, to trasa. Wszyscy jesteśmy wykończeni. A moja ślicznotka? Jest najlepsza. Świetne zdjęcia, wycucie. Do tego jest blisko nas i jest dyskretna, wie, co można publikować, a czego nie. Wiesz, że prywatnych materiałów bym nikomu innemu nie powierzył.

Thomas tylko kiwa głową, patrząc z coraz większą irytacją na to, jak dziewczyna po raz kolejny siedzi półprzutomna w samolocie z komputerem na kolanach. Początkowy entuzjazm Libertyna wobec jej pracy zaczyna topnieć. Bo gdy po raz kolejny zasypia, gdy on z wypiekami na twarzy opowiada o spotkaniu z fanami, coś w nim pęka. I ta rysa ledwie widoczna, ale głęboka wkrótce przerodzi się w eksplozję.

Pokój tonie w półmroku, za oknami widać światła Atlanty, na biurku migają diody dysków, słychać ciche buczenie klimatyzacji i rytmiczne stukanie w klawiaturę. Rose siedzi pochylona nad laptopem, z oczami przymkniętymi ze zmęczenia, włosy opadają jej na twarz. Ville stoi w drzwiach balkonowych, już przebrany i wciąż naładowany energią z koncertu – ten blask sceny jeszcze z niego nie zszedł, jakby adrenalina wciąż pulsowała mu w żyłach. Patrzy na nią dłuższą chwilę, w milczeniu, z uśmiechem, który nie wiadomo czy jest czuły, czy zniecierpliwiony.

– Libertyn jest spragniony swojej ślicznotki.

– Nie mam siły – odpowiada, nie odrywając wzroku od ekranu. – Jeszcze pięć minut i idę spać.

– No chyba żartujesz? Znowu? Rozumiem, że jesteś zmęczona, ale ja też nie próżnuję, to trasa, wiesz? Też jestem ciągle w podróży, mam próby, spotkania, wywiady, koncerty. Kiedy ja się pocę na scenie, ty masz luz, cykasz sobie tylko te zdjęcia.

– Czyli moje cykanie zdjęć nie jest pracą?

– Dobra, jest – przyznaje Ville, ale w jego oczach widać złość. – Ale, kochanie, ja nie jestem cyborgiem. Mam potrzeby.

Rose odsuwa laptop. W końcu na niego patrzy. W jej oczach błyska – nie flirt, nie czułość, tylko czyste zmęczenie.

– To sobie poradź sam! Daj mi spokój!

Libertyn krzyżuje ręce, jego sylwetka odcina się na tle światła z korytarza.

– Nie rozumiem... Jeszcze niedawno byłaś wszystkim, ogniem, oddechem, życiem. A teraz? Znudziło ci się, a może nigdy tego nie lubiłaś, co?

– O czym ty mówisz? – cedzi przez zęby.

– O tym, że mam potrzeby! – gestykuluje nerwowo. – Nie taka była umowa, wiesz, jaki jestem! Widzisz, ile się ślicznotek kręci na backstagu!

Rose wstaje powoli. Zdejmuje słuchawki z szyi i odkłada je na biurko. Staże naprzeciwko niego, spojrzenie ma twarde jak szkło.

– To idź i je pieprz – syczy chłodno. – A ja może wreszcie się wyśpię.

Zapada cisza, przerywana tylko jednostajnym szumem klimatyzacji. Ville stoi przez chwilę nieruchomo, jakby nie dowierzał, że to usłyszał. Rose wraca do biurka, zgarnia kable, odłącza dyski i nawet na niego nie patrzy.

– I tak, nie taka była umowa – dodaje już ciszej, składa słuchawki i kieruje się do łazienki.

Libertyn wychodzi, korytarz odbija jego kroki, a echo ciągnie się za nim jak złość, której nie potrafi już stłumić. Winda jedzie powoli, gdy drzwi wreszcie się otwierają, uderza go chłód nocnego powietrza i rozedrgane światła miasta. Taras widokowy na ostatnim piętrze hotelu tętni muzyką, w tle słychać szum rozmów, szkło brzęczy o szkło. Ville siada przy barze, zamawia bezalkoholowe mohito i przez chwilę patrzy w ciemność, a jego palce bębnią o blat, rytmicznie. Nim zdąży dopić pierwszy łyk, obok przysiadają się dwie dziewczyny – młode, głośne, w sukienkach błyszczących od brokatu. Pachną słodko, tanio i niebezpiecznie. Uśmiechają się do niego, a on, z czystej przekory, odwzajemnia uśmiech.

– Dwa mohito dla ładnych pań – rzuca do barmana z tym samym tonem, którego używał na scenie, kiedy chciał, by tłum go pokochał.

Dziewczyny chichoczą, rozmowa zaczyna się od niczego – od koncertów, od pogody, od tego, że wygląda znajomo. Jedna z nich mówi, że widziała go w telewizji, druga dodaje, że wygląda lepiej na żywo. Ville bawi się kostką lodu w szklance, a ich głosy stają się coraz cichsze, spojrzenia coraz śmielsze. Wie, że to tylko gra – pusta, banalna, ale znajoma. Gra, w której od lat jest mistrzem.

I przez chwilę daje się w nią wciągnąć, pozwala, żeby ego znowu poczuło się ważne. Jedna z dziewczyn nachyla się z uśmiechem, jej perfumy pachną cukrem i alkoholem. Całuje go w policzek, palce ślizgają się po jego udzie.

W tym momencie Ville odsuwa się lekko próbując ze sobą walczyć, w końcu mówi, jego głos jest spokojny, nawet miękki.

– Przepraszam, ale muszę wracać. Mamy jeszcze nocną niasiadówkę z zespołem.

Kłamie gładko, jakby to była kolejna linijka z jego scenicznego monologu. Ani cień emocji, ani drgnięcie powieki.

Zwraca się do barmana i rzuca półgłosem wyciągając pieniądze z portfela i kładąc je na ladzie:

– Jeszcze raz mohito dla ładnych pań. Na mój koszt.

Dziewczyny śmieją się, a on odchodzi bez pośpiechu, czując, że chłód nocnego powietrza powoli wypłukuje z niego resztki adrenaliny.

Kiedy wraca do pokoju, Rose już śpi zwinęta pod cienkim kocem, z głową wtuloną w poduszkę, z laptopem zgaszonym obok. Stoi chwilę w progu, patrzy na nią w ciszy chcąc coś jeszcze powiedzieć, ale nie znajduje słów. Potem tylko gasi światło i kładzie się obok.

Rose wstaje przed czwartą rano, tak jak ostatnio się jej to zdarza niemal codziennie. Nie patrzy na smacznie śpiącego chłopaka, nawet nie poprawia zmiętej pościeli. Cicho, niemal bezszelestnie, otwiera laptop, zakłada słuchawki, żeby go nie obudzić, i zanurza się w świecie plików, miniatur, surowych kadrów. Segreguje zdjęcia z ostatniego koncertu, potem przechodzi do nagrań z wypadu Paula i Wendy na miasto. Czas płynie jak przez mgłę, klawisze stukają miarowo, ekran pulsuje. Gdy kończy, jest już prawie ósma.

W łazience światło jest zbyt ostre. Strumień prysznicza spływa po ramionach, zmywając sen i resztki napięcia, ale nie zmęczenie. Spogląda w lustro, na twarzy widać nieprzespane noce, cienie pod oczami coraz ciemniejsze, spojrzenie puste, nieruchome. Nakłada odrobinę korektora, trochę błyszczyka. Wygląda jak zawsze, perfekcyjnie neutralnie. Tylko jej twarz już niczego nie gra. Kiedy wychodzi z łazienki, powietrze w pokoju wciąż pachnie parą i mydłem. Ville właśnie się przeciąga, z włosami potarganymi po nocy i tym beztroskim wyrazem twarzy, który kiedyś tak lubiła.

– No chyba się wyspałaś, księżniczko – rzuca z uśmiechem, nieświadomy tego, że dziewczyna sypia ostatnio po cztery godziny na dobę.

Rose nie odpowiada. Zamykając laptop, delikatnie przesuwając palcem po obudowie, jakby chciała zamknąć w nim całą noc. Potem wkłada go do torby, pakuje resztę sprzętu – dyski, kable, notatki. Każdy ruch ma w sobie coś mechanicznego, chłodnego, pozbawionego emocji. Ville jeszcze przez chwilę obserwuje ją spod przymrużonych powiek próbując coś odczytać z jej gestów. Ona jednak nie podnosi wzroku. Wkłada ostatni kabel, dopina suwak, poprawia ramiączko od torby i bez słowa wychodzi z pokoju. Już niedługo ruszą dalej – ostatni koncert w USA. Potem kilka dni przerwy. Dla zespołu ale nie dla niej.

Schodzi na śniadanie, choć każdy krok wydaje się cięższy niż zwykle. W restauracji słychać gwar rozmów i brzęk filiżanek. Zespół już siedzi przy długim stole – wyspani, rozluźnieni, w świetnych humorach. Paul żartuje z Robertem, Emma coś notuje na serwetce, Thomas włącza telefon i puszcza fragment nowego podkładu, który właśnie zmontował. Ville siada obok niej, jakby nic się nie stało. Rozmawiają o tym, co przed nimi – Meksyk, Chile, Brazylia. Kto co chce zobaczyć, co nakręcić, jakie miejsca wykorzystać do *Liberty Fade Life*. Padają nazwy miast, dzielnic, plaż, murali, parków narodowych. Z każdym kolejnym pomysłem rośnie ich entuzjazm, a lista miejsc rozrasta się w imponujące tournée pełne planów, nagrań i spontanicznych przebitek. Rose słucha tego w milczeniu, z uśmiechem przyklejonym niczym maska. Każdy nowy pomysł to dla niej kolejna godzina pracy, kolejna noc spędzona na zgrywaniu materiału, selekcji ujęć i robieniu backupów. Wie, że przez najbliższe trzy tygodnie nie będzie miała ani sekundy dla siebie. Ani chwili ciszy, ani oddechu. Gdy podchodzi kelnerka, zabierając pusty talerz sprzed nosa Villego, ten od razu prostuje się na krześle, posyła jej szeroki, pewny siebie uśmiech i puszcza oczko. Dziewczyna rumieni się po uszy, spuszcza wzrok, a mimo to zerka ukradkiem w stronę Rose. Ta jednak nie reaguje. Może nie widziała. A może widziała, tylko już naprawdę nie ma siły, by cokolwiek poczuć.

Gdy wracają do pokoju, ona zrzuca torbę na fotel, planując chociaż na chwilę się położyć. Libertyn stoi przy łóżku, wciąż z tą swoją pewnością siebie, jakby poprzedniej nocy w ogóle nie było.

– Kochanie, rozumiem, wczoraj byłaś zmęczona, ale skoro dziś jesteś wyspana, to proponuję małe co nieco – mówi tonem, który bardziej przypomina wyzwanie niż czułość.

– Nie mam ochoty.

Ville przymyka oczy, otwiera usta, ale zamiast słów słychać tylko jego krótkie, nerwowe westchnienie. Kręci głową, z irytacją i niedowierzaniem, a może nawet z nutką dezorientacji.

– Ty chyba żartujesz?

Ona siada przy biurku, pakuje plecak podręczny, udając, że go nie słyszy. Wtedy on traci cierpliwość.

– Wiesz co? To chyba nie ma sensu. W takim razie poszukam sobie kogoś, kto będzie bardziej wylewny.

– Tak, jesteś wolny – mówi Rose, nie podnosząc wzroku. – Idź, bzykaj wszystko, co się rusza, i zejdź mi z oczu.

Na lotnisku obydwoje milczą, wymieniają jedynie chłodne spojrzenia. W samolocie po raz pierwszy nie siedzą obok siebie – między nimi kilka rzędów pustki, cięższej niż jakiegokolwiek słowo. Reszta zespołu szybko to zauważa. Nikt jednak nic nie mówi – znają ich, wiedzą, że ich relacja nigdy nie była zwyczajna. Był ogień, kłótnie, namiętność i cisza po wszystkim. Ville musi nauczyć się, że nie jest już sam, a Rose... że nie zawsze można być silną. Dziewczyna siedzi przy oknie, obok Roberta, który nawija coś do Paula o sprzęcie, o nowym samplu, o czymkolwiek. Ona nie słucha. Patrzy w chmury, aż kontury świata zlewają się w białą mgłę. Kiedy samolot osiąga pułap, odpina pas, podciąga nogi pod brodę, opiera głowę o zagłówek i zaczyna płakać – cicho, prawie bezgłośnie. Po raz pierwszy w tej trasie.

Robert zauważa to po chwili. Odwraca się, delikatnie dotyka jej ramienia i podaje chusteczkę.

– To przez niego? – pyta spokojnie.

Rose kręci głową, głośno wydmuchując nos. Paul, siedzący przy korytarzu, spogląda na nią dłużej, po czym pochyla się lekko.

– Ślicznotko – mówi cicho. – Jeżeli ten idiota coś ci zrobił to może z nim pogadam.

– Posłuchaj – dodaje Robert podając jej kolejną chusteczkę. – Jeśli możemy ci jakoś pomóc...

Dziewczyna ociera oczy, a jej głos, gdy w końcu się odzywa, brzmi lodowato:

– Mam go w poważaniu. Ja chcę tylko spać.

Patrzą na nią w milczeniu, bez pytań, bez komentarzy. Samolot leci dalej, a ona w końcu przymyka oczy. Po policzku spływa jej jeszcze jedna łza – ostatnia, zanim wreszcie zasypia.

Robert i Paul siedzą w milczeniu. Nie rozumieją, ale czują, że coś jest nie tak. Silniki wyją jednostajnie, plastikowe osłony nad głowami drżą od wibracji.

– Ona nie śpi w nocy? – Paul nachyla się do Roberta próbując zachować konspiracyjny ton głosu. – To co ona robi?

Robert spogląda na Rose – skuloną pod kocem, z laptopem na stoliku przed sobą, na którym leżą karty pamięci w przezroczystym etui. Płomień porannego słońca wpada przez okno, rozlewając się po jej policzku.

– Nie wiem. Ale kiedy mieszkaliśmy w Houston, widziałem ją w salonie o drugiej w nocy. Przeglądała zdjęcia z koncertu.

– Może nie mogła spać – mówi Paul, drapiąc się po karku. – Ale z drugiej strony... od jakiegoś czasu jest taka nieobecna. Działa jak automat.

– Poczekaj – przerywa mu Robert, pochylając się bliżej. – Ona jest z nami na scenie, obrabia zdjęcia, ogarnia całą archiwizację, selekcjonuje materiały do rolek... Może ona po prostu cały czas pracuje? Samolot lekko drży, Paul odchyła głowę, spogląda na znak przekreślonego papierosa nad sobą, jakby tam miał znaleźć odpowiedź.

– Ja ostatnio widziałem ją o piątej rano w lobby z komputerem – mówi. – Odwoziłem Wendy na lotnisko w Las Vegas.

– A do tego ciągniemy ją na imprezy, nasz celebryta też dokłada swoje. Choć pogadamy z resztą – rzuca, odpinając pas.

Rusza wąskim przejściem, potrącając czyjeś ramię. Paul idzie za nim, chwytając się foteli, żeby utrzymać równowagę. Emma kończy słodką przekąskę, Thomas śpi z głową opartą o szybę, a Ville siedzi między nimi, z książką o przygodach czarodzieja, nogę przerzucił przez drugą i udaje, że czyta.

– Kto widział Rose pracującą po nocach? – pyta Robert, zatrzymując się między rzędami.

Emma ścisza muzykę, wyciąga jedną słuchawkę z ucha.

– Zdarzało mi się – mówi po chwili. – Czasem wstaję w nocy do łazienki, widywałam ją z laptopem.

– I nie zdziwiło cię to, że pracuje do późna? – dopytuje Paul, pochylając się nad siedzeniem.

– Widać taki ma tryb pracy... – zawiesza głos, prostując się po czym dodaje z lekką ironią – choć... w dzień też siedzi nad plikami.

Ville odwraca wzrok od książki. Nie mówi nic, tylko zamyka ją bezgłośnie, jakby coś w nim zamarło. W głowie dźwięczą mu słowa z ich ostatniej kłótni. Dopiero teraz wszystko zaczyna układać się w logiczną całość – jej zmęczenie, milczenie, te wszystkie „pięć minut”, które nigdy się nie kończyły.

– Ona jest wykończona – odzywa się Thomas do Villego zaspanym głosem. – Mówiłem ci, Kurduplu, że ma za dużo roboty. A ty twierdziłeś, że to jest w porządku bo wszyscy ciężko pracujemy.

Chłopak podnosi wzrok wbijając go w zagłówek przed sobą.

– Ale nic nie mówiła, że jest zmęczona – tłumaczy się, lecz głos ma już słabszy. – Cholera... a jednak mówiła.

– Mamy dwóch kamerzystów – wtrąca Emma, patrząc wymownie na brata – którzy poza nagrywaniem nic więcej nie robią, bo całą resztę zrzuciłeś na Rose. Laska pracuje więcej, niż ma w umowie, i do tego jest twoją dziewczyną, braciszku. Miała być częścią twojego świata, nie twoim zapleczem.

Ville chowa twarz w dłoniach. Metalowy zamek fotela zgrzyta, gdy pochyla się niżej.

– Ja pierdolę... jak ja mogłem tego nie zauważyć...

Thomas zsuwa czapkę na oczy uśmiechając się ironicznie.

– Że nasza ślicznotka, nasza ninja ledwo trzyma się na rzęsach? To ja ci powiem dlaczego. Bo jesteś idiotą, który nie widzi dalej niż czubek własnego ego. – I jakby nigdy nic wraca do drzemki.

Emma poprawia się w fotelu, spuszcza wzrok na ekran swojego telefonu.

– Ja też tego nie zauważyłam – przyznaje cicho. – Pochłonęła mnie trasa, próby, własne sprawy... a ona mogła po prostu powiedzieć. Poza tym – wtrąca patrząc ze złością na coraz bardziej kulącego się w sobie Villego – ma chłopaka!

– To Rose – odzywa się Robert, opierając się o fotel. – Ambitna, pracowita, uparta. Ale powiem wam jedno – jeśli powiedziała, że ma w poważaniu naszego frontmana i marzy, żeby się wyspać... to znaczy, że naprawdę doszła do ściany.

Ville wypuszcza powietrze czując, że coś w nim pęka. Silniki ryczą głośniejsze, samolot zaczyna zniżać lot. Paul klepie go w ramię, Emma zaciska wargi, a Robert uśmiecha się ironicznie.

– Gratulacje, Libertynie – mówi półzartem. – Wykończyła swoją własną równowagę.

Gdy samolot ląduje, metaliczny zgrzyt kół i nagły szarpnięcie wyrwywają niektórych pasażerów z półsnu. Robert delikatnie potrząsa Rose za ramię, a ona budzi się powoli, zdezorientowana. Reszta już się podnosi, zrzucając słuchawki, prostując nogi, szukając plecaków w schowkach nad głowami.

Wychodzą z terminala w milczeniu. Na zewnątrz uderza ich gorące, wilgotne powietrze Florydy i oślepiające światło. Czekają już czarny van z przyciemnianymi szybami. Wsiadają po kolei, każdy ze swoimi myślami. Rose siada przy oknie, odwraca głowę i opiera czoło o szybę. Ville przysiadła się obok, ale przez całą drogę nie ma odwagi się odezwać. Miasto miga za oknem – palmy, billboardy, ruchliwe skrzyżowania. W środku tylko ciche buczenie klimatyzacji i ciężkie milczenie. W hotelu, gdy odbierają klucze, Ville bierze dwa i jeden z nich podaje Rose bez słowa. Kiedy wchodzi do pokoju, ona zatrzymuje się w progu. Wzrok pada na duże małżeńskie łóżko w centrum pokoju. Cofając się o krok, przyciska torbę z aparatami do piersi, jakby to miała być tarcza.

– Nie martw się, będę spał na podłodze jeśli chcesz – mówi cicho, odstawiając walizkę. – Ale teraz uważam, że powinnaś porządnie odpocząć.

Widząc, że dziewczyna patrzy na niego z niedowierzaniem, podchodzi do niej powoli i mówi dalej, pewnym, spokojnym tonem:

– Emma rozmawiała z kamerzystami. To oni będą odpowiedzialni za selekcje materiałów dla Harrego. Proszę jedynie, abyś miała na nich oko, coś doradziła i zajęła się naszymi prywatnymi nagraniami, tymi które nie powinny wyjść poza Liberty Fade.

Rose stoi nieruchomo, w dłoni nadal ściska pasek torby zupełnie nie wiedząc co ma zrobić.

– Nie chcemy pełnej dokumentacji z koncertów – mówi poważnie. Pierwsze kilka minut wystarczy.

Słowa spadają między nimi jak kamień do wody. Rose siada ciężko na krześle, opuszcza torbę na podłogę i dopiero wtedy pozwala łzom spłynąć po policzkach. Ville klęka przy niej, ujmuje jej dłoń i ściska ją delikatnie.

– Przepraszam, kochanie – mówi miękko, z tą szczerością, której dawno w nim nie było. – Jestem idiotą. Muszę się jeszcze dużo nauczyć. Nie przekreślaj mnie. Kocham cię.

– Ja też cię kocham – szepcze ocierając łzy grzbietem dłoni.

– Teraz odpocznij – prosi cicho – Nie chcę cię widzieć przy komputerze. Zagramy jeszcze jeden koncert, potem przerwa w Miami. Poleżymy na plaży, popływamy w basenie. Hmm...?

Rose kiwa głową, uśmiecha się blado i ziewa, zbyt zmęczona, by odpowiedzieć. Ville wstaje i delikatnie prowadzi ją do łazienki. Pomaga jej umyć ręce, tak jak robi to z córką. Potem odprowadza ją do łóżka, zdejmuje jej buty, podaje szklankę wody i czeka cierpliwie, aż wypije kilka łyków. Poprawia poduszkę, przykrywa ją kocem, zasłania zasłony i całuje w czoło. Chwilę stoi jeszcze w półmroku, patrząc, aż jej oddech się uspokaja. Potem zdejmuje bluzę, kładzie się obok i zamyka oczy.

Kiedy Rose się budzi w pokoju panuje półmrok, za oknem migoczą światła miasta. Libertyna nie ma – miejsce obok jest puste, pościel chłodna. Spogląda na telefon leżący przy poduszce. Na ekranie widnieje wiadomość sprzed kilkunastu minut: „Jesteśmy na kolacji, buziaczek.” Uśmiecha się pod nosem, przeciąga się leniwie czując burczenie w brzuchu, zrzuca koc, idzie pod prysznic. Woda spływa po karku, chłodzi ciało, które wreszcie nie czuje presji. Po kilku minutach jest już gotowa – związane włosy, luźna sukienka, pantofle. Zjeżdża windą do restauracji. Już od progu słyszy śmiech – znajomy, głośny, rozbiegany, ale gdy zespół ją dostrzeże – milknie na moment. Emma kręci głową bez emocji, Robert i Paul wlepiają w nią wzrok, Thomas unosi brew, a Ville, kiedy ją zauważa, wstaje i odsuwa dla niej krzesło z miną skruszonego błazna.

– Przynieść ci pizzę? Jest przepyszna – pyta z rozbrajającym entuzjazmem.

Rose tylko kiwa głową. On od razu rusza do bufetu, a reszta spogląda na nią porozumiewawczo. Nie muszą nic mówić – i tak wszystko widać w ich oczach.

Ville wraca z pizzą, reszta postanawia dać im chwilę oddechu i prywatności, wstają – ktoś idzie po drinki, ktoś na spacer, ktoś do pokoju.

– Teraz mam ochotę na deser – mówi cicho Rose, a w jej głosie po raz pierwszy od dawna brzmi lekki flirt.

– Moja ninja – szepcze, całuje ją w czoło i splata z nią palce.

Wstają jednocześnie, a gdy wychodzą z restauracji, rozmowy i muzyka zostają za nimi.

Po ostatnim koncercie w Orlando, kiedy kurz jeszcze nie opadł, a w uszach wciąż dźwięczy krzyk tłumu, Liberty Fade wreszcie mogą odetchnąć. Kilka dni przerwy – pierwszy prawdziwy odpoczynek od tygodni. Wynajmują dom w Miami, niedaleko plaży – jasny, przestronny, z tarasem wychodzącym prosto na ocean. W powietrzu czuć sól, ciepło i coś, co przypomina normalność. To czas na spanie do południa, długie śniadania, wieczorne rozmowy przy basenie i proste przyjemności, które na chwilę odciągają ich od zgiełku aren i napięć trasy. Zgodnie z obietnicą Villego, zespół zdjął z Rose najbardziej czasochłonny obowiązek – selekcję materiałów dla montażysty. Teraz tylko nadzoruje pracę dwóch techników – kamerzystów którym powierzono to zadanie, czasem coś doradza, czasem poprawia drobiazgi. Dzięki temu po raz pierwszy od dawna ma więcej chwil dla siebie. I dla Libertyna.

Jakiś czas po przyjeździe do Miami, ekipa decyduje się na wycieczkę do Everglades – zakładają czapki z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne i z niedowierzaniem patrzą na bagna, które bardziej przypominają plan filmu przygodowego niż rzeczywistość. Gdy przewodnik pokazuje aligatora leniwie dryfującego między trzcinami, Ville robi przerażoną minę i teatralnie przyciska się do Rose obawiając się ataku, zaś ona robi kilka zdjęć gdy Thomas wskazuje żółwia z taką powagą, jakby właśnie odkrył nowy gatunek.

Kolejnego dnia po południu w części wynajmowanego domu odbywa się pewne zgromadzenie. Paul siedzi przy stole, chrupiąc chipsy. Thomas leży rozwalony w fotelu z jedną nogą przerzuconą przez poręcz. Robert ukradkiem uruchamia kamery. Emma stoi oparta o drzwi balkonowe z rękami skrzyżowanymi na piersi. Ville i Rose zajmują skórzaną sofę, całując się bez skrępowania.

Reszta obserwuje parę stojącą na środku przestronnego salonu. Na skinienie chłopaka Paul włącza muzykę i już po chwili z głośników sączy się rumba. Wysoki brunet o azjatyckiej urodzie niepewnie podaje dłoń swojej partnerce, której mina zdradza coś pomiędzy determinacją a niepewnością.

Udają, że na siebie patrzą. Uśmiechają się bez przekonania, ich wzrok błądzi po ścianach, a oddechy wyraźnie przyspieszają. W końcu zaczynają tańczyć.

Już po kilku krokach widać jednak, że nie idzie najlepiej. Ruchy są nieskoordynowane, dziewczyna nadeptuje obcasem na stopę partnera, ten krzywi się wymownie, a po niespełna minucie taniec dobiega końca.

W salonie zapada niezręczna cisza.

– Co o tym myślicie? – pyta dziewczyna wesoło, odgarniając kosmyk włosów za ucho.

Ktoś odchrząkuje, ktoś patrzy w sufit, ktoś stara się napić łyka wody uważając by nie parsknąć śmiechem. Niektórzy kiwiają głowami z uznaniem.

– Sorry, Ted, co to było? – pyta Libertyn szeroko otwierając oczy.

– Nasz taniec, na wesele, bierzemy przecież lekcje.

– Dopiero się uczymy, mamy jeszcze czas – dodaje dziewczyna.

Ville parska śmiechem patrząc wymownie na Rose, która odwraca głowę i skupia wzrok na drzemiącym w fotelu Thomasie.

– Freja – zaczyna Ville – wybaczone ale to nie była rumba to była... katastrofa. Twój oblubieniec rusza się jak by połknął kij od szczotki, nie wiem jakim cudem jest naszym menadżerem skoro nie słyszy rytmu, a ty depczesz mu po nogach, próbujesz prowadzić, choć w tańcu to facet powinien to robić.

Reszta próbuje zachować powagę, Rose skupia się na czapce Thomasa która właśnie przekrzywiła się i pewnie zaraz mu spadnie, Emma patrzy w okno spodziewając się, że zaraz nadleci meteoryt, a Robert postanawia nalać wszystkim coli do szklanek.

– Taki jesteś mądry? – Freja nie ukrywa zdenerwowania – No cóż, widać, że Ville Rian musiał zjeść wszystkie rozumy!

– Libertyn! – zaczyna Rose. – Rumba to nie jest podskakiwanie w rytm techno ani mintolenie się przy sensorycznym housie. Rumba to trudny i zmysłowy taniec. Uważam, że mają dobry początek i chęci, a to jest najważniejsze.

Freja kłania się nisko patrząc wyzywająco na Libertyna, a Ted wzdycha ciężko bo wie, że to nie koniec batalii.

– Kochanie, wydaje mi się, że widzieliśmy dwa różne tańce, tu nie było ani początku ani chęci. Do tego totalny brak synchronizacji ruchów, obydwójce gonili rytm.

Emma zagryza wargi i zamyka oczy aby tylko nie parsknąć śmiechem. Robert sobie przypomina, że smak coli można podbić cytryną, więc teraz misternie kroi plastry.

– Villuś, proszę, już nie dyskutuj, żyj i daj życie innym – mówi w końcu Rose próbując uspokoić myśli.

Chłopak otwiera usta patrząc na nią jak zahipnotyzowany, rozkłada ręce w geście „hallo, ty to widziałaś”.

Freja łapie się za biodra, opiera ciężar ciała na jednej nodze, przechyla głowę i podobnie jak Rose patrzy na Villego z politowaniem.

– Villuś- mówi w końcu – skoro jesteś taki mądry to może pokarzesz nas swoje umiejętności taneczne i płasanie do techniwki się nie liczy – zastrzega od razu.

Libertyn wstaje, otrzepuje się z niewidzialnego pyłu, poprawia mankiet swojej granatowej koszuli i zwraca się do Emmy:

– *Sis*, pamiętasz?

Ona przewraca oczami ale uśmiecha się zawadiacko.

– Pamiętam, wszystko pamiętam.

– Paul, poprosimy gorącą sambę – rzuca wesoło prowadząc siostrę na środek salonu..

Muzyka już płynie i zaczyna się prawdziwy pokaz umiejętności tanecznych rodzeństwa Rian, obydwójce stają na środku pokoju i bez zbędnych ceregieli łapią się za ręce. Od razu widać, że nie robią tego pierwszy raz. Ruchy są pewne, precyzyjne, rytmiczne. On prowadzi spokojnie, bez napięcia, ale z pełną kontrolą. Emma porusza się lekko, biodra pracują idealnie w rytmie, a kroki są szybkie i dokładne. Nie ma chaosu – każde przejście jest przemyślane. Wchodzą w obroty, Ville odchyła siostrę, potem przyciąga z powrotem, płynnie przechodząc do kolejnej figury. Nie przyspieszają bez potrzeby, nie robią show – po prostu tańczą dobrze, czysto, na wysokim poziomie. Kilka zwrotów, obrót Emmy wokół własnej osi, a potem on staje w miejscu, ona jeszcze raz wiruje, robi krok do przodu i kłania się nisko. Ville dodaje obrót i pochyla się z teatralnym ukłonem.

W salonie zapada cisza. Dopiero po chwili Paul zaczyna klaskać. Potem reszta dołącza. Ted kiwa głową z uznaniem, Emma uśmiecha się, jakby właśnie wygrała zakład. Libertyn odprowadza siostrę do Roberta, który stoi przy blacie kuchennym z niezadowolonym wyrazem twarzy bo dobrze wie, że czeka go tyrada, że nie chce chodzić na lekcje tańca. Ville zaś wraca na sofę do Rose, która podobnie jak Freja patrzy na niego nie ruszając się i nic nie mówiąc. Reszta zespołu kiwa do siebie porozumiewawczo głowami. W jednej chwili wyraz twarzy Rose ze zdziwionego przybiera złowrogi grymas, dziewczyna podnosi się stając nad swoim ukochanym, który szczerzy się jak dziecko które ukradło batonika z kuchennej szafki.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – pyta krzyżując ręce na piersiach.

– O czym kochanie nie wiesz?

– Nie mówiłeś, że tańczysz, że się tak ruszasz. Tak ruszasz! – akcentuje to jeszcze raz.

On również wstaje, podchodzi do okna mając nadzieję, że może jednak ten wyczekiwany przez Emmę meteoryt spadnie, ale po chwili czując na sobie złowrogie spojrzenie swojej dziewczyny postanawia coś powiedzieć.

– Przecież chodziliśmy na imprezy, wiesz, że dobrze mi idzie – mówi próbując się tłumaczyć.

– Tak, świetnie ci idzie, ale nigdy nie tańczyliśmy do rytmów latino, a co ja teraz widzę?

– Nie powiedziałem ci, bo pewnie zaraz byś kazała mi chodzić ze sobą na jakieś lekcje tańca.

– No pewnie tak by było – odpowiada dziewczyna rozkładając ręce z politowaniem.

Emma odchrząkuje i wymownie patrząc na Roberta kręci lekko głową.

– W dzieciństwie, jak chodziliśmy na tańce, brat był moim partnerem.

– Śmiesznie to wyglądało, bo teraz jestem od niej niższy, a jako dzieciak różnica była jeszcze większa

– dodaje Ville szczerząc się w nadziei, że uda mu się udobruchać swoją ukochaną.

Emma podchodzi do brata, opiera się o jego ramię i czochra mu włosy. Mówi spokojnie:

– Od początku dobrze mu szło. A mimo naszej wzajemnej niechęci i różnicy wieku w tańcu dogadywaliśmy się świetnie.

– Ale ja nie cierpię wyuczonych choreografii. Jestem mistrzem parkietu, wirtuozem. – Przez chwilę drapie się po brodzie, jakby nad czymś poważnie rozmyślał. – Chyba że ktoś by mi za to płacił. Na scenie na przykład... Czasem wyobrażam sobie, że zamiast zespołu mam boys band.

– Aha – parska Rose bez emocji w głosie.

Pozostali wymieniają między sobą rozbawione spojrzenia i niemal równocześnie przecząco kręcą głowami. Thomas na moment przerywa drzemkę, uchyla jedno oko i uśmiecha się leniwie, po czym z powrotem opada w fotel.

Freja siada ciężko na krześle podpierając głowę jakby miała już tego wszystkiego dosyć.

– Nigdy nawet w połowie nie uda nam się tak zatańczyć – mówi wreszcie patrząc na Teda.

Ville podchodzi do nich obejmując obydwójce na raz.

– Na własnym weselu? Improvizujcie. Dajcie się ponieść muzyce. Kroki są dla zawodowców, a nie dla ludzi, którzy chcą się po prostu dobrze bawić.

Po tygodniach w trasie po Ameryce Północnej, ekipa Liberty Fade po raz pierwszy udaje się na Południe, gdzie między próbą a koncertem poświęcają więcej czasu na zwiedzanie, kontakt z fanami i poznawanie lokalnej kuchni. W Meksyku wszyscy ruszają razem – bez scenariusza, za to z kamerą i otwartymi głowami. Chłoną wszystko: gwar ulicznych targów, zapachy przypraw, hałas skuterów i śmiech dzieci bawiących się na placach. To Rose, jako jedyna mówiąca po hiszpańsku, zamawia jedzenie i z wdziękiem odgrywa rolę tymczasowej tłumaczki. Zwiedzają historyczne centrum miasta, spacerując między kolonialnymi fasadami, placami i barwnymi murami, aż w końcu trafiają na uliczny pokaz folklorystycznego tańca, który na kilka minut zatrzymuje ich wszystkich.

W Chile w Valparaíso zespół wspólnie spaceruje po kolorowych uliczkach i odwiedza lokalny targ z rękodziełem. Później siadają razem w małej restauracji z widokiem na zatokę, gdzie próbują owoców morza i lokalnego wina. Wieczorem Emma i Robert wymykają się na spacer po nadmorskiej promenadzie, rozmawiając szeptem wśród świateł portu i muzyki dobiegającej z ulicznych barów.

W Rio de Janeiro gorące powietrze zdaje się tańczyć razem z nimi. Ville i Rose – oboje urodzeni do sceny i ruchu – zostają porwani przez rytm samby na jednym z lokalnych placów. Najpierw nieśmiało, potem całkowicie swobodnie tańczą, przyciągając uwagę przechodniów. Thomas jeździ na desce wzdłuż murali zdobiących dzielnicę Santa Teresa, a jego kamera rejestruje lokalnych skaterów, którzy dołączają do niego. Emma wciąga Roberta i Paula do galerii sztuki współczesnej, gdzie prowadzi ich między neonami i płótnami, jakby znała każde z dzieł. Krótkie przebitki z tych miejsc – ulice, murale, rytmy, jedzenie, spojrzenia – stają się ważnym elementem *Liberty Fade Life*, a widzowie, szczególnie z tamtych regionów, zaczynają czuć się częścią czegoś większego. To już nie tylko zespół z Europy – to znajomi, którzy właśnie byli pod ich domem.

Zarówno w Brazylii, jak i w Chile Liberty Fade grają na dużych festiwalach. Mają już doświadczenie z takimi imprezami, a od pewnego czasu regularnie pojawiają się na listach headlinerów. Tym razem też tak jest – występują tuż przed legendarnym zespołem z tamtego regionu.

Backstage południowoamerykańskich festiwali nie przypomina komfortowych kulis, do jakich przywykli w Europie. Zamiast osobnych garderób – prowizoryczny namiot z rzędem wydzielonych boksów i stołów, kilkoma kanapami z logo wydarzenia i zapachem potu, kabli oraz rozgrzanego metalu. Wszędzie kręcą się technicy, menedżerowie i ludzie z obsługi, którzy się przekrzykują, próbując ogarnąć chaos.

Artyści mijają się w pośpiechu – ktoś stroi gitarę, ktoś inny poprawia kabel, a obok stoją plastikowe skrzynki z napojami i przekąskami. Ville siedzi z Paulem na case'ie z kablami, Rose poprawia obiektyw aparatu, a Thomas nerwowo bawi się zapalniczką. Czują, że to nie ich teren – ale też wiedzą, że za chwilę wyjdą i spróbują zawładnąć publicznością, która jeszcze nie zna ich imienia.

Rose przechodzi na bok sceny, oślepiona światłami zachodzącego słońca, które odbijają się od falującego tłumu. Przed nią rozciąga się morze ludzi, którzy nie znają jeszcze Liberty Fade, ale już dają się porwać rytmowi. Nie ma tu transparentów ani znajomych okrzyków, tylko ciekawość, która z każdą minutą zamienia się w energię.

Rozdział 18

Wreszcie trochę normalności

Po tygodniach na kontynencie amerykańskim powrót do pałacu w Surrey brzmi jak luksus. Cisza, zwykłe powietrze, znajome ściany. Dla Villego – przede wszystkim Amidala. Już pierwszego wieczora po przylocie dziewczynka wpada mu w ramiona przewracając go na podłogę. Rose stoi z boku, z torbą jeszcze na ramieniu, patrzy na to z ciepłym uśmiechem – jakby oglądała coś, czego nie chce przerywać. Od tej chwili wieczory w domu mają nowy rytm. Ville i Ami spędzają ze sobą każdą chwilę – a Rose naturalnie wplata się w ten duet. Grają razem na fortepianie, innym razem czytają książeczki. Chłopak teatralnie zmienia głosy, Amidala chichocze, a Rose dorzuca własne dialogi, tak absurdalne, że oboje płaczą ze śmiechu. Ich ulubiona zabawa to „szkoła”. Ami jest panią nauczycielką w okularach bez szkielek i groźnie wymachuje linijką. Ville udaje, że nie umie dodać dwa plus dwa, a Rose celowo przekręca litery. Dziewczynka poprawia ich z pełną powagą, wpisując czerwonym długopisem w zeszyte wielkie dwóje. W weekendy wychodzą we troje. Teatry dla dzieci, kino, wystawy – wszystko, co sprawia, że Ami świecą się oczy.

Za dnia życie wraca do rytmu. Libertyn spędza godziny w RRstudio, planując z zespołem materiał na trzeci album i dopinając próby przed europejską trasą. Rose zajmuje się swoimi zadaniami w Pokoju strachu. Kiedy wracają wieczorem do domu, wszystko znów staje się zwykłe: kolacja, śmiech, rozmowy o niczym. Miłość między nimi dojrzewa spokojnie – bez fajerwerków, bez pośpiechu. To nie ten rodzaj uczucia, który krzyczy. Raczej taki, który rozlewa się po cichu, jak światło lampy w półmroku salonu, gdy Ami zasypia, a oni siedzą obok siebie, planując przyszłość, która już niedługo znowu przyspieszy.

Pewnego wieczoru, gdy za oknami pałacu w Surrey zapada spokojny zmierzch, Ami siedzi na dywanie z książką w rękach, a Ville i Rose kończą kolację przy stole. Dziewczynka nagle odkłada książkę, marszczy brwi z powagą godną wykładowcy i mówi tonem pełnym dumy:

– Mówię po angielsku i fińsku, a moja niania uczy mnie francuskiego. Chciałabym nauczyć się hiszpańskiego. Rose? Co ty na to?

– No dobrze. Czemu nie?

Libertyn natychmiast to podchwytuje, i już po kilku minutach w jadalni rozbrzmiewają pierwsze melodyjne słowa po hiszpańsku. Rose wskazuje kolejno meble i kolory wokół nich, a Ami z Ville powtarzają za nią: *la mesa, la silla, la lámpara, el plato blanco, la pared gris*. Po chwili każde nowe słowo kończy się salwą śmiechu i próbą wymyślenia zdania, które brzmi niczym zaklęcie.

Co ciekawe – obydwójgu idzie świetnie. Ich słuch absolutny sprawia, że bez trudu wychwytyują akcent i melodię języka. Ami powtarza wszystko z niezwykłą precyzją, zaś Ville, dodaje dramatyzmu nawet przy zwykłym *la ventana*, wypowiadając je śpiewająco. Rose tylko kiwa głową z rozbawieniem, patrząc, jak jej ukochany i jego córka śmieją się, kłócąc o poprawną wymowę *amarillo* i biją brawo, gdy uda im się

trafić w akcent. Ten wieczór, i kolejne po nim, zamieniają się w małe koncerty rodzinnej harmonii – bez sceny, bez świateł, ale z sercem.

– Dobrze, będziemy uczyć się regularnie – mówi Rose spokojnie, a po chwili powtarza to samo po hiszpańsku, starannie akcentując każde słowo. – Ale pod warunkiem, że wy podszkolicie mnie z fińskiego.

Ville i Ami wybuchają śmiechem jednocześnie – szczerym, głębokim, takim, który od razu rozlewa się po całym pokoju. Dziewczynka aż pochyła się nad stołem, a Ville musi oprzeć łokcie o blat, żeby złapać oddech.

– Że to takie trudne, to słyszałam – dodaje z udawanym wyrzutem, krzyżując ręce i unosząc brwi.

– Kochanie, nie bierz tego do siebie, ale... moja mama, kobieta o umyśle komputera kwantowego, od dwudziestu pięciu lat mieszkająca w Helsinkach z mężem Finem, do dziś duka i robi takie błędy, że aż uszy bołą.

Ami znowu chichocze, chowając twarz w dłoniach, a Rose tylko przewraca oczami, udając urażoną.

– Ale dobrze – dodaje Ville po chwili – podszkolę cię przed wyjazdem do Helsinek. Żebyś mogła iść do sklepu i kupić bułki albo coś słodkiego.

Od powrotu z pierwszej trasy koncertowej w głowie Rose coraz częściej kołaczą się niepokojące myśli. Dziewczyna ma wrażenie, że żyje w świecie zbudowanym z cudzych historii, cudzych emocji i cudzych rozmów. Jej własne gdzieś się rozplynęły, jakby rozproszyły się w świetle reflektorów, w szumie kamer i gęstniejącym powietrzu Pokoju Strachu. Wszyscy wokół są blisko – Ville, Emma, Wendy, Thomas, Paul – a mimo to czuje, że między nią a resztą istnieje cienka, niewidzialna tafla szkła. Przez nią widzi wszystko, słyszy wszystko, ale nie potrafi już przebić się na drugą stronę. Czasem myśli, że mogłaby zwierzyć się Emmie – cieplej, empatycznej, zawsze gotowej wysłuchać. Ale Emma to Rian, siostra Libertyna. Cokolwiek by powiedziała, natychmiast nabrałoby innej wagi i trafiłoby dalej, tam, gdzie nie powinno. Nie dlatego, że Emma byłaby nielojalna – przeciwnie, właśnie dlatego, że jest zbyt lojalna. Zbyt blisko Villego, zbyt zanurzona w jego świecie i historii.

Z Wendy jest inaczej, a zarazem podobnie. Wendy, dziewczyna Paula, jest pogodna, prostolinijna, z sercem na dłoni. Potrafi rozśmieszyć i rozładować napięcie jednym spojrzeniem. Ale przyjaźni się z Emmą; spędzają ze sobą każdą wolną chwilę, mają swoje żarty i rytuały. Cokolwiek Rose by jej powiedziała, wcześniej czy później i tak trafiłoby do Emmy. A od Emmy – niechcący, nieświadomie – do Villego. I właśnie w tym tkwi paradoks jej życia: jest w samym centrum wszystkiego, a zarazem nie ma nikogo, komu mogłaby powiedzieć, że czasem po prostu się boi, że się gubi, że potrzebuje rady. Kogoś, kto zatrzymałby ją w tamtym trudnym momencie, gdy w trasie po USA ledwo trzymała się na nogach, a Ville miał do niej pretensje, że nie ma dla niego czasu. Może gdyby miała kogoś swojego, kto powiedziałby: „hej, zwolnij, nie zbawisz świata”, nie zaszłaby aż tak daleko w tym zmęczeniu. Z radością też jest trudno. Nie ma komu opowiedzieć, jak bije jej serce, gdy stoi za kulisami i słyszy pierwszy akord koncertu. Kiedy Libertyn na nią patrzy i sprawia, że świat się zatrzymuje. Nie ma komu powiedzieć, że to wszystko jest piękne – ale że piękno potrafi męczyć, jeśli nie ma się z kim go dzielić. Rose zerwała kontakty z dawnymi koleżankami, odkąd zaczęła pracę dla programu. Bała się, że powie jedno zdanie za dużo, że ktoś wykorzysta informacje przeciwko Rianom. Wycofanie się było prostsze i bezpieczniejsze. Dobrze pamięta rozmowę z Mią – tę, w której mama Villego dość dosadnie

przypomniała jej o zasadzie: *dyskrecja i lojalność*. Ale wtedy dodała coś, co ona do dziś pamięta: „Miło, że traktujesz Rianów i naszych przyjaciół jak swoich, ale nie powinnaś całkiem przekreślać dotychczasowego życia.” Rose wie, że jeśli kiedykolwiek miałyby wprowadzić kogoś swojego do pałacu, do świata Rianów, ta osoba musiałaby być lojalna, dyskretna i gotowa przyjąć panujące zasady. Sama mieszka już od kilku lat z dala od dawnych znajomych z Bristolu – nie tęskni za nimi, ale tęskni za Rebeką, swoją przyjaciółką z grupy tanecznej. Były ze sobą bardzo blisko, dopóki Rose nie podpisała NDA i nie zaczęła się stopniowo wycofywać z kontaktu, aż w końcu całkowicie zniknęła. Jednak dziewczyna wie, że Rebeka niedawno przeprowadziła się do Londynu. I jak na ironię losu, spotyka ją przypadkiem pewnego ranka – w niemal pustej galerii handlowej, gdy sama wybiera nowy kostium kąpielowy. Od kiedy występuje w *Liberty Fade Life* i każdy wie, że jest dziewczyną samego Libertyna, tylko o świcie może zrobić zakupy w spokoju, bez presji i bez kółeczka fanek krążących wokół niej. Rose stoi przy stojaku z kostiumami, trzyma w dłoni granatowy, z delikatnymi metalicznymi przeszyciami. W tym samym czasie ktoś obok odkłada wieszak z turkusowym bikini i powoli się odwraca.

– Nie wierzę – odzywa się lekki, rozbawiony głos Rebeki. – Rose Mayer, naprawdę?

– Miło cię widzieć – odpowiada Rose chłodniej, niż by chciała.

– Nie spodziewałam się, że wpadnę na ciebie akurat tutaj. – Zerka na kostium w jej dłoni. – Wyjeżdżasz gdzieś?

– Druga trasa. Jedziemy na południe Europy.

– To wspaniale – oczy Rebeki rozszerzają się lekko. – Brzmi jak inny świat. – Uśmiecha się delikatnie.

– Pierwsza część trasy za nami, było... – zawiesza głos, układając w myślach każde słowo. – Było ciekawie – mówi w końcu z ulgą, że nic nie wypaplała ponad to, co i tak można znaleźć w internecie.

– Widziałam wasze nagrania, to wszystko to szaleństwo. – Przechyla głowę lekko na bok. – I jak ty się z tym czujesz?

– Wybacz, to nie jest miejsce ani czas na takie rozmowy.

– Jasne, rozumiem. Nie chcę cię stawiać w niezręcznej sytuacji. Może kiedyś znajdzie się czas.

– Chciałabyś? Po tym, kiedy zerwałam kontakt z dnia na dzień?

– Chciałabym – odpowiada Rebeka bez wahania. – Wkurzyłam się wtedy, nie będę udawać, że nie. Ale... chyba po prostu za tobą tęskniłam.

– Odezwę się, obiecuję. A teraz muszę lecieć. Pewna osoba na mnie czeka – mówi z ulgą w głosie.

– Dobrze – szepcze przyjaciółka, kiwając głową. – Tylko nie znikaj znowu, dobrze? Trzymam za ciebie kciuki.

Kiedy Rose wychodzi z galerii, świat wydaje się dziwnie cichy. W dłoni ścisną torbę z kostiumem, choć nawet nie pamięta, który w końcu wybrała. Spotkanie z Rebeką wciąż krąży jej po głowie niczym echo – nieprzewidziane, krótkie, ale dziwnie potrzebne. Poczuli coś, czego od dawna jej brakowało – spokój. Ciepło, które nie miało nic wspólnego z kamerami, trasami, próbami ani sceną. Idąc w stronę Ferrari, gdzie czeka na nią Ville, czuje, że jej myśli wreszcie się porządkują. Wie, co ma zrobić. Wszystko jest w niej – jasne, pewne, spokojne, bez żadnych wątpliwości.

Kilka dni później Rose i Rebeka spotykają się w zupełnie innych okolicznościach. Gabinet w londyńskim RRstudio jest cichy, uporządkowany, pachnie jego perfumami i cynamonem. Za oknem

słońce przebija się przez żaluzje, rysując na biurku smugi światła. Rose siedzi po jednej stronie stołu, naprzeciwko Rebeki. Obok niej — Ville, spokojny i skupiony. Przy drzwiach stoi prawnik z teczką w dłoni. Rebeka wie, że będzie musiała podpisać umowę o poufności. Przyjaciółka wspominała o tym wcześniej przez telefon. Dziewczyna uważnie czyta dokument, a gdy coś okazuje się niejasne, prosi prawnika o wyjaśnienia. Kiedy uznaje, że wszystko rozumie, bierze długopis i składa podpis.

– Dziękuję, pani Rebeko. To wszystko z mojej strony – mówi prawnik, po czym wychodzi.

Ville wstaje, podchodzi bliżej, wyciąga do dziewczyny dłoń i przedstawia się. W powietrzu czuć mieszkankę formalności i ulgi – jakby coś oficjalnego właśnie się zakończyło, a coś osobistego dopiero miało się zacząć.

Rose parska śmiechem, patrząc na lekko zdezorientowaną przyjaciółkę.

– Może herbaty? Kawy ci nie zrobię, bo pewna osoba rozwaliła ekspres.

Ville unosi brew, ale zachowuje spokój, spoglądając na nią wymownie. Rebeka uśmiecha się z zakłopotaniem.

– Herbata będzie w sam raz – odpowiada.

Rose nie wytrzymuje, wstaje i wskazuje palcem na swojego chłopaka.

– To on rozwalił ekspres. Drugi raz w tym miesiącu! – mówi oskarżycielskim tonem, po czym siada ciężko w fotelu.

– Ja? – Ville unosi brwi. – Kochanie, po to kazałaś koleżance podpisać cyrograf, żeby powiedzieć jej, że to ja popsulem ekspres? Choć, nawiasem mówiąc, to wcale nie była moja wina.

– Nawet nie wiesz, jak mi to ciążyło! – Rose wznosi ręce. – I była to twoja wina, twoja!

– Dobrze. Ale dziś buziaczków nie będzie – rzuca przez ramię i wychodzi z godnością.

Rose patrzy za nim przez chwilę, po czym opada w fotelu, zakrywa twarz dłońmi i zaczyna się śmiać.

Rebeka również nie wytrzymuje.

– To było... intensywne – mówi z rozbawieniem.

Śmieją się obie, a w powietrzu zostaje lekkość, której brakowało przez całą rozmowę.

Czarny, lśniący autokar wtacza się miękko na podjazd pałacu Rathorehouse. Żadnych krzykliwych grafik, napisów czy logo zespołu – pełne incognito. Silnik cichnie, a z głębi wnętrza zaczyna sączyć się mroczny, fioletowo-granatowy blask, pulsujący w rytm tętna nocnego miasta. Ville wchodzi z szerokim uśmiechem i pierwsze, co uderza wszystkich po wejściu, to zapach nowości i dźwięk miękkiego, przytłumionego szumu klimatyzacji. Środek wygląda jak połączenie luksusowego apartamentu i statku kosmicznego, wszystko dopracowane w najmniejszym detalu.

Z przodu znajduje się część wspólna, przestrzeń z półokrągłą kanapą z grafitowej skóry, stolikiem i ścianami wyłożonymi czarnym, błyszczącym panelem. Nad nimi – linia ledowych świateł, które płynnie zmieniają barwy między fioletem, granatem a delikatnym turkusem. Po lewej stronie mała kuchnia: lodówka, ekspres, niewielki piekarnik, a nawet kompaktowy barek z chromowanymi uchwytami i neonowym podświetleniem półek. Za częścią wspólną – korytarz prowadzący do sypialni. Po obu stronach równo rozmieszczone przedziały z dziesięcioma łóżkami ułożonymi na dwóch poziomach. Każda leżanka przypomina luksusową kapsułę – z wygodnym materacem, czarnymi zasłonami z logo zespołu, własnym oświetleniem i dotykowym ekranem. Tył autokaru zajmuje kabina robocza: dwa biurka oraz zabezpieczone półki na dokumenty. W rogu zamontowano potężne, wbudowane na stałe lustro

otoczone wizażowymi lampkami. To stanowisko do stylizacji, które Ville, Rose i Wendy od razu zaczynają z ekscytacją testować. Przestrzeń jest bezbłędna – przemyślana tak, by pędzący autokar nie zmienił luksusowego wnętrza w chaos.

W powietrzu migoczą delikatne drobinki światła odbijające się od chromowanych powierzchni.

Libertyn odwraca się do reszty, opiera dłonie na biodrach i mówi z dumą:

– Dom na kółkach, moi drodzy.

Następnie bierze Rose za rękę, prowadzi ją kilka kroków w głąb autokaru i z teatralnym gestem odsłania jedną z górnych kabin.

– To będzie nasze gniazdko miłości – oznajmia, uśmiechając się zawadiacko.

Dziewczyna patrzy na niego z uniesionymi brwiami, potem na zasłonkę i na rozbawione twarze reszty.

– Że niby... za tą zasłonką? – pyta z niedowierzaniem.

Thomas zdejmując słuchawki z szyi i z powagą komentuje:

– Albo robisz to, co inni... albo słuchasz muzyki. Inaczej się nie da.

Wszyscy potakują z powagą, wlepiając wzrok w Rose, która stoi teraz zupełnie oszołomiona.

– To był żart kochanie – mówi w końcu Ville posyłając jej oczko – poradzimy sobie, nie martw się.

Ona tylko kiwa głową, a z jej ust wydobywa się tylko krótkie „aha”,

Każdy w końcu rozchodzi się do swojej kabiny. Ville jeszcze coś poprawia w oświetleniu, Robert testuje, jak mocno trzyma się zasłonka, Thomas bada z entuzjazmem system dźwięku, a Paul włącza ekspres i triumfalnie ogłasza, że „działa jak marzenie”. Gdzieś tam słychać śmiechy, okrzyki zaskoczenia, szelest pościeli.

Z czasem gwar cichnie. Każdy kładzie się w swojej kabine, pozwalając, by chłód nowego sprzętu i delikatne wibracje silnika wypełniły przestrzeń. Ktoś jeszcze przestawia światło na ciepły odcień, ktoś inny przewraca się na bok, ktoś wzdycha z zadowoleniem. Nowy dom na kółkach – ich baza, ich azyl, ich scena w drodze – stoi nieruchomo na podjeździe w Surrey. Jeszcze nigdzie nie jadą, ale w ich głowach już rozbrzmiewa pierwszy akord koncertu na Wembley.

Wembley drży niczym żywy organizm. Siedemdziesiąt tysięcy gardeł śpiewa jednym głosem, powietrze pulsuje światłem i basem. Fale dźwięku przetaczają się przez stadion, mieszając z wrzaskami i płaczem rozemocjonowanych fanek. Wśród tłumu migają dziesiątki transparentów, telefonów i flag. Bransoletki na nadgarstkach publiczności rozświetlają się w rytm muzyki – błękit, fiolet, biel. Z lotu ptaka stadion wygląda jak pulsujące serce, którego rytm dyktuje Ville. Rose stoi w bocznej strefie, tuż przy barierce, z aparatem gotowym do strzału. Ubrana na czarno, z włosami spiętymi w ciasny warkocz, wygląda jak cień, który obserwuje chaos światła. Na jej twarzy nie widać emocji, ale w oczach odbijają się błyski reflektorów i płomień sceny. Każdy jej ruch jest pewny – klika migawką, przesuwając obiektyw, zmienia kąt. Na scenie Ville błyszczy niczym iskra w środku burzy. Ma na sobie granatową, pokrytą brokatem koszulę, która mieni się w świetle reflektorów. Jego głos rozcina przestrzeń – czysty, pewny, hipnotyzujący. Ruchy są precyzyjne, teatralne, a każdy gest wywołuje falę wrzasków. Kiedy schodzi z podestu i pochyla się w stronę tłumu, pierwsze rzędy dosłownie eksplodują – dziewczyny płaczą, krzyczą, niektóre mdleją, wyciągając dłonie, jakby mogły go dotknąć choć przez sekundę.

Kiedy rozbrzmiewa ostatni refren, a Libertyn rozkłada ręce w stronę tłumu, stadion zamienia się w ocean błękitnych światła. Rose przestaje robić zdjęcia. Po prostu patrzy. Tysiące rąk w górze i głos Villego

unoszący się nad wszystkim. I wtedy dociera do niej coś prostego i niepodważalnego – oni naprawdę należą do tego miejsca. To nie tylko koncert. To ich świat. Gdy gasną ostatnie światła Wembley, a echo tłumy jeszcze przez chwilę unosi się nad stadionem, Liberty Fade wiedzą, że to dopiero początek.

W drodze do Berlina zespół siedzi w części wspólnej nightlinera. Wnętrze pulsuje ciepłym światłem LED-ów, a za oknami przesuwa się rozmyta ciemność niemieckiej autostrady. Rozmowa toczy się spokojnym rytmem, przerywana śmiechem i szelestem przekładanych kartek z planem trasy, a kamery są włączone rejestrując to co najważniejsze. Ville, pochylony nad laptopem i wydrukowanym harmonogramem, bębni paznokciem w zieloną rubrykę kalendarza. W jego oczach pojawia się znajomy błysk teatralnego zapału, gdy podnosi głowę.

– No moja oblubienico – zwraca się do Rose, przed festiwalem w Stambule zapraszam cię na kilka dni na Zanzibar. Małe wakacje – oznajmia tonem tak poważnym, jakby ogłaszał nową doktrynę muzyki rockowej.

– Na Zanzibar? – powtarza powoli, upewniając się, że dobrze usłyszała.

– Tak. Wypasiony hotel, spaceru brzegiem morza o zachodzie słońca, zamki z piasku... będzie romantycznie.

– Czyli kolejny prezent? Villuś, nie traktuj mnie jak swojej utrzymanki – protestuje stanowczo.

– Rose, zabieram cię na randkę na Zanzibar – mówi wyraźnie i głośno, tak by nikt z obecnych nie miał wątpliwości, co właśnie ogłosił.

Emma prychnie śmiechem, przykrywając usta dłonią. Wendy podnosi wzrok znad telefonu a Paul wymienia z Robem krótkie, rozbawione spojrzenie.

– A musisz to ogłaszać jak jakiś herold? – rzuca Rose z ironią, kręcąc głową.

Thomas, który właśnie niemal zasnął w fotelu, podrywa się lekko, unosząc puszkę z resztką napoju.

– Herold? – powtarza, ziewając i krzywiąc się znacząco.

– Tak, DJ-u kochany, herold – Ville przeciąga słowo smakując je na języku. – Dla ciebie... hmm..., takie starodawne radio.

– Takie z antenką? – pyta zdezorientowany rozciągając mięśnie karku po czym ziewa szeroko.

Libertyn spogląda na przyjaciela z politowaniem, drapie się teatralnie po głowie i z westchnieniem siada przy swojej dziewczynie.

– Raczej taki z trąbką – stwierdza, kiwając głową.

– Czyli gramofon! – wybuch Thomas z przesadnym entuzjazmem, jakby właśnie odkrył tajemnicę wszechświata.

– Sam jesteś gramofon – parska Ville i macha ręką w geście „mam dość”.

Thomas jeszcze raz przeciąga się, dopija resztkę energetyka i sadowi się wygodniej w fotelu, zamykając oczy z westchnieniem. W salonie na chwilę zapada półcisza, przerywana tylko chichotami Emmy i chrupaniem lodu w szklance Roberta.

Rose opiera głowę na ramieniu Villego. W jej oczach widać miłość i coś jeszcze – cień niepokoju. Ostatnio Libertyn coraz częściej przynosi jej drogie prezenty: kolczyki z topazami, delikatne łańcuszki, sukienki z butików, które nawet Emma nazywa „zbyt ekskluzywnymi”. Z początku ją to bawiło, teraz zaczyna ją uwierać. Nie chodzi o same rzeczy, lecz o to, jak bardzo jego gesty przypominają coś w rodzaju opieki, a nie partnerstwa.

– Villuś, ciągle mi coś kupujesz – mówi w końcu miękko, lecz stanowczym tonem. – Czuję się jak twoja utrzymanka, a nie dziewczyna.

– Posłuchaj mnie uważnie, kochanie – zaczyna spokojnie, miękko, który kontrastuje z powagą słów. – To jest randka. Spędzimy tam pięć pełnych dób, czyli sto dwadzieścia godzin. Jeśli odejmiemy od tego czas na spanie – powiedzmy jakieś czterdzieści godzin – zostanie nam osiemdziesiąt godzin dla siebie. Jeśli jedno wyjście na randkę trwa, dajmy na to... pięć godzin, to mamy załatwione szesnaście randek. A ponieważ powinniśmy wychodzić dwa razy w miesiącu, to w ten sposób mamy osiem miesięcy randek z głowy. Spoko, nie? – kończy z przesadnym entuzjazmem.

Przez chwilę wszyscy wstrzymują oddech, patrząc na Villego w kompletnej ciszy – po czym cała ekipa wybucha śmiechem tak głośnym, że nightliner aż drży od echa ich głosów. Rose macha ręką z rezygnacją, zupełnie jakby poddała się na polu, na którym i tak nie ma szans wygrać.

Ville rozsiada się wygodnie, szczerzy zęby w triumfalnym uśmiechu.

– Załatwione – mruczy do siebie z satysfakcją w głosie.

– Dobrze Villuś – mówi w końcu – ale proszę żadnych więcej prezentów powyżej kilku funtów i żadnych podarków bez konkretnej okazji.

Libertyn kiwa przesadnie głową potwierdzając, że zrozumiał, choć w głębi duszy wie, że jeszcze nie raz przemyci Rose jakąś błyskotkę.

Tymczasem Thomas chrząka we śnie, półprzytomnie mamrocząc coś o gramofonach, a reszta ekipy wybucha nową falą śmiechu.

Pierwsza część trasy po Europie kończy się w pierwszej połowie czerwca zespół wraca na jakiś czas do Surrey – do spokoju, przestrzeni i znajomego rytmu dnia, który po koncertowym chaosie wydaje się niemal nierzeczywisty. Reszta ekipy w końcu odpoczywa po maratonie: Thomas znika ze swoją deską w okolicznych parkach, Emma śpi do południa, a Paul i Robert przesiadują w ogrodzie z gitarami. Tylko Ville nie może pozwolić sobie na chwilę nic nie robienia. Zamiast leniuchować, szykuje się do egzaminów. Uczył się już od tygodni – w trasie, między koncertami, na backstagach i w hotelowych pokojach, z laptopem na kolanach i kubkiem kawy przy boku. Pomagała mu jego korepetytorka Anna, dziewczyna o anielskiej cierpliwości, która właściwie robi za niego wszystko: opracowuje projekty, przygotowuje prezentacje, uczestniczy w zajęciach online z wyłączoną kamerką, a Ville jedynie zdaje egzaminy. Po ostatnim z nich – z algebry, ledwie zdany, ale jednak – opuszcza budynek uczelni z uczuciem ulgi tak intensywnym, że aż śmieje się sam do siebie. Z trudem, ale kończy pierwszy rok akademicki i to bez „pleców”, tylko siłą własnej determinacji, szczęścia i ogromu pracy własnej korepetytorki. Po drodze do domu zatrzymuje się u jubilera. Przygląda się gablocie, jego wzrok od razu przyciąga ciężka bransoletka – białe złoto przeplecione granatowym sznurem i pojedynczymi diamentkami. Nie pyta o cenę i wzrusza jedynie ramionami, gdy sprzedawca wypowiada kwotę. Kilka minut później wychodzi z butików z małym, czarnym pudełkiem w dłoni, a na jego twarzy błąka się ten charakterystyczny, zadowolony uśmiech kogoś, kto właśnie zrobił coś zupełnie niepraktycznego, ale absolutnie słusznego.

Pałac w Surrey tonie w złotym popołudniowym świetle, powietrze pachnie lawendą i świeżo skoszoną trawą. Ville wchodzi do środka lekkim, niemal tanecznym krokiem, jakby wracał z koncertu, a

nie z egzaminu. Gdy widzi swoją dziewczynę schodzącą do holu głównego, podbiega do niej i z zadowoleniem wyciąga w jej stronę pudełeczko.

– Villuś... – Rose od razu marszczy czoło kręcąc przy tym głową. – Mówiłam ci, że nie chcę prezentów.

– To nie prezent – odpowiada niewinnie, unosząc brodę. – To... upominek z okazji Święta Ziemi.

– Święta czego? – unosi brew z powątpiewaniem, a Emma, siedząca z książką na jednej z sof w stylu empire, parska cichym śmiechem. Doskonale wie, że właśnie zaczyna się przedstawienie – kamery *LFL* są włączone, a to oznacza, że z tej sceny może wyjść znakomity materiał, zwłaszcza że Rose tak kategorycznie zabroniła jej bratu kupowania jakichkolwiek prezentów.

– Święto Ziemi – bardzo ważna okazja – Ville kiwa głową z kamienną twarzą, choć w oczach tańczy rozbawienie. – Poza tym to stalowa bransoletka, zero luksusu. Była w promocji na stoisku z handmade, pięćdziesiąt funtów, a pani dorzuciła mi jeszcze breloczek do kluczy.

– Ty kłamiesz jak z nut – mruczy w końcu, ostrożnie otwierając pudełko.

Metal połyskuje chłodno, ciężki, elegancki. Czuje od razu, że to nie żadna „promocja”. Światło odbija się od powierzchni, a błysk przesuwają się po jej dłoni.

– I dobrze wiesz, że nie chodzi o prezenty, tylko o zasadę.

Ville pochyla się teatralnie, przykładając dłoń do serca.

– A zasadą jest, że upominki muszą być tanie. No i proszę bardzo, taniej się nie da.

Dziewczyna przewraca oczami, ale jej palce zatrzymują się na chłodnym metalu. Zakłada bransoletkę, a on natychmiast łapie jej nadgarstek, pieczętując tym gestem coś więcej niż zwykły prezent.

– Widzisz? – szepcze z uśmiechem. – Wygląda, jakby zawsze tam była.

– Villuś, ile ona kosztowała? – pyta po chwili przyglądając się błyskotce w milczeniu.

– Jedno zero więcej – odpowiada z niewinną miną.

– To droga rzecz. Nie mogę jej przyjąć.

– Proszę, ostatni raz w tym roku. Nie rób mi tego.

– Dobrze... ale będę mieć na specjalne okazje – odpowiada wzdychając przesadnie.

Libertyn skrada Rose buziaka, patrzy jeszcze na nią przez chwilę i znika w korytarzu prowadzącym do kuchni.

Tymczasem Emma wychyla się zza oparcia sofy, jej oczy błyszczą jak u kota, który właśnie zobaczył zabawkę.

– Dziś nie ma Święta Ziemi – oznajmia podchodząc bliżej i przyglądając się bransoletce z uwagą.

– O co chodzi – pyta zaskoczona widząc przesadny entuzjazm Emmy.

– Ja nic nie wiem. Zarobiona jestem. O, czas na mnie – ucina i wychodzi, zostawiając ją z niepokojem, który narasta z każdą sekundą.

Rose spogląda na bransoletkę. Milczy, po czym sięga po telefon. Robi zdjęcie biżuterii i łąduje je do wyszukiwarki obrazów. Po kilku sekundach na ekranie pojawia się cena. Z trudem łapie oddech. Siada ciężko na fotelu, patrzy na połyskujący metal i czuje, że w środku wszystko się w niej napina.

– Ja go zabiję – mruczy do siebie, jednak na tyle głośno, że Ville, który właśnie wraca z kuchni z bananem w ręku, widzi ją siedzącą z telefonem w dłoni, spoglądającą raz na ekran, raz na bransoletkę. Od razu się domyśla, że został przejrany. Dziewczyna dostrzega go. On bierze ostatniego gryza banana, rzuca skórkę na najbliższy stolik i ucieka w popłochu. Rose zrywa się z fotela, jej włosy

podskakują przy każdym kroku. Kamery *Liberty Fade Life* łapią sprint Villego przez marmurowe korytarze, przyczajenia za kolumnami, błysk spojrzenia zza kotary.

Tymczasem Rose biega po pałacu niczym huragan, jej głos niesie echo po salach:

– Libertyn! Wyłaż! Już nie żyjesz!

Trwa to prawie godzinę – trzask drzwi, jej coraz głośniejsze okrzyki i jego chichot, który rozbrzmiewa jak prowokacja. W pewnym momencie Rose zupełnie nie wie, gdzie jest Ville. Zniknął gdzieś w podziemiach, z których można wyjść na trzy sposoby, nie licząc okien. W końcu dziewczyna zatrzymuje się w półmroku jednego z korytarzy. Opiera się o chłodną ścianę, zasłania twarz dłońmi, a po chwili wybucha śmiechem.

– Przecież ja go nigdy nie znajdę w tym pałacu... – mruczy do siebie, a echo niesie jej słowa daleko w głąb piwnicznego korytarza.

Jednak zdeterminowana nie daje za wygraną, tym razem skrada się, otwierając cicho niemal wszystkie drzwi, zagląda w każdy kąt i wreszcie go znajduje. Siedzi za kolumną z telefonem w ręku, zupełnie jej nie zauważając, kiedy zbliża się do niego na palcach.

– Villuś... chyba musimy pogadać – mówi spokojnie, choć w głębi duszy chce go zabić.

– Ale skarbie... – zaczyna, próbując złagodzić ton, ale ona nie daje się już rozbroić.

Patrzy na niego z ciepłem, ale też z ciężarem w głosie.

– Jestem z tobą, nie z twoim portfelem. Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć?

– Próbuję zrozumieć... – mówi cicho, zrezygnowany.

– Nie mogę tego przyjąć, jest piękna, ale nie mogę. – Oddaje mu bransoletkę i odwraca się, kierując w stronę ciemnego korytarza.

Tym razem to Ville nie daje za wygraną. Choć w środku czuje lekkie ukłucie smutku – to znajome, nieprzyjemne uczucie, gdy jego spontaniczny gest został źle odebrany – nie pozwala, by trwało długo. Zna Rose zbyt dobrze, by się zniechęcić. Wie, że za jej uporem kryje się nie chłód, lecz zasada; ta sama, która sprawia, że ją podziwia. Wchodzi do swojej sypialni, zatrzymuje się na środku i przez chwilę w milczeniu wpatruje w przestrzeń. Zaczyna powoli chodzić po pokoju, myśląc intensywnie, aż wreszcie jego twarz rozjaśnia się znajomym błyskiem – tym, który zwykle poprzedza coś szalonego. Rozgląda się po wnętrzu: garderoba, toaletka, wieszaki, półki pełne ubrań na co dzień, tych z tras koncertowych i kostiumów z teledysków. Na jego ustach pojawia się uśmiech – powoli, leniwie, diabelnie. Przeciąga palcami po brodzie, potem klaszcze w dłonie, jakby wpadł na genialne rozwiązanie największego problemu świata.

Niedługo później zaprasza Rose do garderoby. Ona ma zamknięte oczy i wkurzoną minę, bo podskórnie czuje, że Libertyn znowu coś wymyślił. Ville zdejmuje jej satynową opaskę i pokazuje fragment szafy – puste półki, szuflady oraz wieszak.

– To jest szafka pożyczajka – mówi w końcu gestem, pokazując na regał.

– Szafka pożyczajka – powtarza otwierając usta w niedowierzaniu.

– Kochanie, uwielbiam kupować ci ładne rzeczy, ale uszanuję to, że nie chcesz prezentów. Dlatego będę kupował to, co uznam za stosowne, i te rzeczy będą w szafce pożyczajce. Jeśli będziesz chciała, w każdej chwili będziesz mogła coś wsiąść, a kiedy ci się znudzi, to oddasz.

Otwiera pierwszą szufladę z teatralnym namaszczeniem. Wnętrze wypełnia zapach nowej tkaniny i lekkich perfum. Ville delikatnie wyciąga z niej apaszkę z czarnego jedwabiu, której brzegi zdobi subtelny haft w kolorze srebra. Materiał miękko spływa mu z dłoni, lśniąc w świetle.

– Popatrz, mam tu dla ciebie taką ładną apaszkę jedwabną – mówi z dumą.

Otwiera kolejną szufladę i wyciąga małe pudełeczko.

– Oraz, o, tu masz takie kolczyki, które będą pasowały do bransoletki.

Rose opiera się o ścianę, otwiera szeroko oczy i wzdycha, następnie kuca zasłaniając twarz dłonią.

– Villuś, czy jesteś kosmitą? Z jakiej planety tu przybyłeś, co? – dopytuje gdy dostrzega jego szeroki uśmiech.

– Z planety „Przechytryłem cię” – patrzy na nią z błyskiem w oku. – A teraz chodź, zabiorę cię do gwiazd.

Niedługo później Ville, zgodnie ze swoją obietnicą, zabiera Rose na kilka dni na Zanzibar – wreszcie bez pośpiechu, bez kamer, bez telefonów. To kilka dni, które pachną solą, kokosem i ciszą. Wstają późno, boso chodzą po rozgrzanym piasku, zasypiają w hamakach w cieniu palm. Ville zrzuca z siebie napięcie ostatnich miesięcy, a Rose wreszcie nie musi niczego tłumaczyć, kontrolować, nagrywać. Są tylko oni, słońce i morze. Kilka krótkich dni wystarcza, by odetchnęli, zanim znowu wpadną w wir muzycznego świata.

Nie wracają do Wielkiej Brytanii, a od razu kierują się do Turcji. Kamery tym razem nie towarzyszą im z bliska. Ekipie brakuje czasu na nagrania – każdy dzień to próby, logistyka i krótkie chwile snu między miastami. Po koncercie w Stambule, rozświetlonym tysiącem błękitnych świateł, pakują sprzęt i lecą na Węgry. Tam czeka na nich nightliner – ogromny, lśniący pojazd, który znowu staje się ich drugim domem. Ruszają w trasę po Europie Środkowej, gdzie dołączają do nich Rami, Mia i Amidala – rodzinna część ekipy, wnosząca odrobinę spokoju i śmiechu dziecka, które potrafi rozbroić nawet największe napięcie. I wreszcie – Helsinki, ostatni koncert. Stadion wypełniony po brzegi, pięćdziesiąt tysięcy ludzi i zimne światło lata odbijające się w metalicznych dekoracjach sceny. W powietrzu czuć mieszaninę potu, emocji i spełnienia. Ville stoi w centrum, patrzy na tłum i uśmiecha się – to koniec trasy, ale też początek czegoś nowego. Już wie, że kolejny etap to studio.

Rozdział 19

Powrót do przeszłości.

Dym po ostatniej piosence na stadionie w Helsinkach dopiero co opadł, a echo tysięcy głosów wciąż unosi się gdzieś nad trybunami niczym wspomnienie snu. Powietrze pachnie wilgocią, światłem i emocjami, które jeszcze przed chwilą rozrywały nocne niebo. Ostatni koncert w tym roku dobiegł końca – finałowy, domowy występ Liberty Fade w ich rodzinnym mieście. To nie tylko koniec trasy, ale też symboliczny moment przejścia: już niedługo wejdą do helsińskiego RRstudio, by rozpocząć nagrania trzeciego albumu. Zespół na chwilę rozprasza się po świecie. Thomas i Paul, w towarzystwie Wendy, wyjeżdżają do UK, korzystając z krótkiego oddechu przed kolejnym rozdziałem.

Tymczasem w rezydencji Rianhouse w Westend, tam, gdzie dorastali Emma i Ville, życie nie zwalnia. Wysokie okna odbijają światło z zatoki, w salonie leżą porozrzucone kartki z notatkami, a w tle słychać ciche dźwięki fortepianu. To tu rodzeństwo Rian razem z Rose, Robertem i małą Amidalą planują kolejne odcinki programu. Postanawiają, że teraz kamery skupią się na Helsinkach – mieście Villego i Emmy. Chcą uchwycić miejsca, które znają tylko oni: uliczki, po których biegali, jeziora, w których pływali latem, i dźwięki, które stały się częścią ich tożsamości.

Pewnego wieczoru, gdy wszyscy zbierają się w salonie, Ville wpada na pomysł, który od razu wywołuje poruszenie. Proponuje, by posadzić przed kamerami Mię i Ramiego, rodziców i zadać im kilka osobistych pytań. W komentarzach pod odcinkami *Liberty Fade Life* z ich udziałem widzowie od dawna proszą o odpowiedzi na nurtujące ich pytania: jak Rianowie się poznali, dlaczego Mia – indyjska księżniczka – trafiła do Finlandii, i wreszcie, jak Rami poradził sobie z uzależnieniem.

Wieczór zapowiada się spokojnie. W miękkim świetle lamp i w tańczących refleksach ognia z nowoczesnego kominka salon rezydencji wypełnia się ciepłem i obecnością bliskich. W powietrzu unosi się ledwo wyczuwalny zapach cytrusów, który miesza się z aromatem drewna; pod skórą drga cicha, niecierpliwa energia. Cała rodzina gromadzi się na miękkich, wygodnych kanapach. Amidała już śpi, bo historia, którą przedstawią Mia i Rami, nie jest dla jej wrażliwych, dziecięcych uszu. Ville siedzi z typowym, lekko zadziornym uśmiechem; obok niego Rose, Emma i Robert, naprzeciwko – rodzice. Na niskim stoliku stoją trzy kamery, gotowe do nagrania kolejnego odcinka ich domowego programu.

Ville podchodzi do jednej z kamer, pochyla się lekko i patrzy w obiektyw swoim pewnym, rozbłyskującym spojrzeniem.

– Witajcie, kochani. Dziś odcinek, o który prosiliście nie raz. Ja i Emma znamy tę historię... ale kto wie, może dowiemy się czegoś, czego nikt jeszcze nie powiedział na głos. Będę zadawać pytania Mii i Ramiemu o ich burzliwą, momentami szaloną historię miłosną. Ale powinniśmy zacząć od początku.

Ville odwraca się do matki z lekkim, zachęcającym uśmiechem.

– Mamo, wiemy, że zostałeś zaręczona jako dziecko. Opowiedz, dlaczego tak się stało?

Mia unosi lekko kąciki ust, posyłając kamerze ten swój charakterystyczny, ciepły, lecz zawsze odrobinę czujny uśmiech. Przez moment milczy zastanawiając się, od czego zacząć, a w pokoju słychać tylko ciche, nerwowe przesunięcie filiżanki po porcelanowym spodeczku. Rose poprawia się na kanapie, Emma splata dłonie na kolanach, a Robert odchrząkuje, próbując stłumić zniecierpliwienie.

– No dobrze – zaczyna w końcu Mia. – W skrócie, bo sama historia jest skomplikowana i długa. Pochodzę z dynastii Rathore, z Radżastanu, z rodu książęcego. Moi rodzice zostali zamordowani w

wyniku pewnych politycznych napięć. Byłam wychowywana przez dziadka Maharadżę Veer Pratapa i babcię Isobel.

W salonie zapada cisza, jakby dźwięk tej historii wciąż miał w sobie coś niebezpiecznego.

– Zostałam jedyną dziedziczką fortuny – kontynuuje. – Dzieckiem bez ojca, bez brata, pod opieką starzejącego się dziadka. W patriarchalnych Indiach byłam łatwym celem dla tych, którzy chcieli dobrać się do majątku rodziny.

Zawiesza na moment głos i delikatnie przesuwając palcem po krawędzi szklanki z wodą.

– Aby mnie chronić, dziadek zrobił jedyną rzecz, jaką w tamtym czasie mógł uczynić. Zostałam zaręczona. W tamtym świecie nikt nie tknie zaręczonej wnuczki maharadży. To było jak pieczęć bezpieczeństwa. I tak zapewnił mi spokój... przynajmniej na pewien czas.

Ogień trzaska, dając krótkie rozluźnienie napięcia. Ville kiwa głową, jak ktoś, kto zna tę historię, ale mimo to nie przestaje jej słuchać.

– No dobrze – odzywa się łagodnie, przechylając się do przodu. – Wyjechałaś z Indii, mówiono nawet, że uciekłaś. Jakim cudem znalazłaś się w Finlandii? To zupełnie niespodziewany kierunek, szczególnie że zaczęłaś życie w Wielkiej Brytanii.

Mia poprawia się na fotelu, odgarnia kosmyk włosów z twarzy i spuszcza wzrok wracając myślami do tamtego czasu.

– Miałam trzynaście lat. Trafiłam do Liverpoolu, do szkoły o profilu wojskowym. Zresztą tej samej, do której później posłaliśmy też ciebie.

Uśmiecha się nieco smutno, zerkając na syna ukradkiem i widząc przed oczami drobnego chłopca w mundurze który niepewnie przekracza próg szkolnej auli.

– Zanim osiągnęłam pełnoletniość, rozpoczęłam studia fizyczne na Cambridge. Jako młoda, zaręczona księżniczka żyłam pod ścisłą obserwacją. Nie tylko ze strony indyjskiej diaspory, ale też mediów, które zerowały na sensacjach. Moje życie nigdy nie było naprawdę prywatne. Każdy krok oceniano przez pryzmat pochodzenia i przeszłości. Marzyłam o choćby namiastce wolności – mówi, a jej spojrzenie błądzi gdzieś w stronę ognia. – O chwilach, w których nikt nie patrzy, nie ocenia, nie decyduje za mnie. Z jednej strony próbowałam chronić swoje życie osobiste, z drugiej... jak to bywa u nas w rodzinie, robiłam wszystko, by jednak nie zniknąć z pola widzenia. Zaczęłam się ścigać – kontynuuje. – Rallycross. Najpierw amatorsko, dla zabawy, a później już bardziej profesjonalnie. Oczywiście, nie przeszło to bez echa w Radżastanie. Moje wyścigi określano mianem skandalu, ale dziadek robił dobrą minę do złej gry. Powtarzał, że muszę się wyszaleć, zanim spadną na mnie obowiązki i odpowiedzialność.

Zatrzymuje się na chwilę, unosząc wzrok ku sufitowi próbując odnaleźć w nim pozostałość tamtych emocji.

– Motorsport był moją pasją. Ale też ucieczką. Od napięć, od oczekiwań, od historii, którą musiałam dźwigać, choć nie ja ją napisałam. Tam, na torze, adrenalina była czysta i radosna. Zupełnie inna niż ta, którą wywoływał we mnie strach przed przyszłością. I przed aranżowanym małżeństwem.

W pomieszczeniu zapada cisza – nie wymuszona, ale naturalna, gęsta. Słowa Mii niosą nową siłę; być może przez ton głosu, może przez to, że wszystko dzieje się na oczach kamer, a jednak nikt nie myśli o tym, że to nagranie.

– Z czasem wszystko zaczęło układać się w logiczną całość – podejmuje znów. – Finlandia. Kraj spokojny, z rozwiniętą energetyką jądrową, dobrą edukacją i społeczeństwem, które mniej się przygląda, mniej ocenia. A do tego rajdy, wyścigi, wspaniali trenerzy i mistrzowie, których podziwiałam. Prawdziwa kolebka tego sportu.

Na jej twarzy pojawia się lekki uśmiech, łagodny, pełen wspomnień.

– Nie zastanawiałam się długo. Gdy tylko pojawiła się okazja, przeprowadziłam się do Helsinek. Chciałam nacieszyć się ostatnimi latami wolności. Zanim świat przypomni mi, jakie miał wobec mnie plany.

Ville lekko się odchyła, opiera łokieć na kolanie i patrzy na matkę ze skupieniem zapominając o kamerach. W jego spojrzeniu nie ma już prowadzącego programu, tylko syn, który słucha, chłonąc każde słowo.

– Kontynuowałaś studia, trenowałaś, startowałaś w zawodach... – odzywa się w końcu spokojnie. – Ale jak właściwie poznaliście się z ojcem?

Na te słowa Rami uśmiecha się i odwraca w jej stronę. Spojrzenie ma miękkie, a w kącikach ust drga cień rozbawienia pomieszanego z nostalgią.

– Poznaliśmy się latem – zaczyna. – Podczas koncertu w Helsinkach, niedługo po tym, jak z zespołem wydaliśmy nasz trzeci album.

– To była impreza zamknięta – wspomina Mia z ciepłem w głosie. – The R. Requiem już wtedy rzadko grali w takich kameralnych przestrzeniach, ale czasem się zdarzało. Tym razem występowali na wydarzeniu związanym z branżą energetyczną. Dużo studentów, wykładowców, prezesów firm... ogólnie raczej sztywna atmosfera.

Mruga powoli uśmiecha się ironicznie dziwiąc się do dziś sama sobie, że w ogóle tam poszła.

– Kojarzyłam jego muzykę – dodaje. – W zasadzie cała Finlandia ją znała, zresztą Europa też. Piosenki Ramiego leciały w radiu, były wszędzie. Wiedziałam, kim jest.

Na jej ustach pojawia się delikatny uśmiech, tym razem bardziej osobisty, jakby próbowała coś ukryć, a jednak nie potrafiła.

– Był piękny – mówi w końcu, zupełnie bez zawahania. – Naprawdę piękny. Jego spojrzenie... i ten styl – wiecie, ten metroseksualny look, który dopiero wchodził. Fanki piszczwały, bilety wyprzedawały się szybko, cały kraj za nim szalał. Moja koleżanka była z natury nudną studentką fizyki, ale grała na gitarze i znała całą helsińską bohemę. To ona zabrała mnie za kulisy. Poszłam tam tylko po to, żeby z bliska zobaczyć słynnego Riana. Chłopaka totalnie nie dla mnie.

– Nawet jej na początku nie zauważyłem – mówi Rami z rozbawieniem. – Dziewczyna jak każda inna. Akseli, nasz perkusista, wtedy nalewał trunki. Gdy podziękowała za procenty, spojrzałem na nią. Coś we mnie drgnęło – nie wiem co, ale chciałem ją poznać. Podeszedłem do niej. Była śliczna, zielonooka brunetka. Spytałem, co robi w Helsinkach i dlaczego nie chce poimprezować. Odpowiedziała, że studiuje fizykę. Pomyślałem wtedy, że jest straszną nudziarą.

Śmiech przechodzi przez pokój niczym lekka fala. Ville zerka na Rose z rozbawieniem, a ona tylko unosi brew i posyła mu buziaka w powietrze.

– Ale zaraz dodała – ciągnie Rami – że musi być trzeźwa na trening. Wtedy dowiedziałem się, że ściga się na torze. Fizyczka i kierowca wyścigowy. No nieźle. Rozmowa potoczyła się naturalnie, a że znałem parę osób z fińskiego motosportu, to mogłem błysnąć, że nie jestem kompletnie zielony.

Mia słucha tego z rozbawieniem, ale jej twarz poważnieje, gdy dodaje:

– Zaczęliśmy rozmawiać. Okazał się błyskotliwy, czytany, dowcipny – zupełnie inny niż wizerunek, który kreowały media. Tańczył też tak, że zapomniałam, że jestem z innego świata.

– Podrywałem ją – wtrąca Rami z rozbijającym tonem. – A ona była nieugięta. Zero reakcji. Halo, to ja, Rian! – rozkłada teatralnie ręce.

– Bo nie szukałam wtedy romansu – przerywa klepiąc go po kolanie. – Dopiero co przyjechałam do Helsinek. Chciałam się zasymilować, po prostu ułożyć życie od nowa. Ale zostaliśmy w kontakcie.

– Ona nie widziała we mnie kandydata na chłopaka. Trzymała dystans, była chłodna. Ale z czasem opowiedziała mi więcej. O swojej rodzinie, o narzeczeństwie, o tym, czego się boi. I wtedy... przerażiłem się. Mia była inna niż wszystkie. Księżniczka z tragiczną historią.

Głos mu łagodnieje i patrzy na żonę ze spokojem w oczach.

– Niedługo potem napisałem piosenkę *Freedom*. Mia mnie inspirowała i onieśmiała jednocześnie. Chciałem mieć ją blisko, ale nie dotykać tego, co w niej kruche. Zaprosiłem ją do naszej ekipy. Już wtedy była dla mnie kimś ważnym, choć nie wiedziałem jeszcze, że stanie się powietrzem, bez którego nie potrafię oddychać.

– Pojechałam z nimi w trasę – podejmuje Mia. – Miałam wakacje, więc skorzystałam z zaproszenia. Spędziłam z zespołem trochę czasu. I wtedy zobaczyłam, że Antero raczej stroni od alkoholu... ale nie od narkotyków.

Jej głos jest miękki, ale bezlitosny w szczerości. Patrzy na męża z boku – nie z wyrzutem, lecz jak ktoś, kto zna każdy cień i każde światło w tej samej twarzy.

– Kiedy był na haju, miałam ochotę po prostu uciec.

– Mam słabą głowę – przyznaje Rami. – Upijam się błyskawicznie, a potem przez dwa dni leżę nieprzytomny. Ville to chyba po mnie odziedziczył.

W pokoju wybucha krótki śmiech, przerywając ciężar wyznań. Ville macha ręką z udawaną urazą, ale uśmiecha się szeroko.

– Dlatego nie piłem. Ale wtedy... eksperymentowałem, amfetamina, kokaina – zdarzało się. To jeszcze nie był nałóg. Raczej intensywne poszukiwania. Dużo pracowałem, dużo tworzyłem. Ale pamiętam jedno spojrzenie – mówi ciszej. – Jak podeszła i po prostu... zabrała mi działkę. Nie kazała się ogarnąć, nie moralizowała. Przetńczyliśmy i przegadaliśmy całą noc.

Mia spogląda na niego uważnie, a na jej twarzy pojawia się coś między rozbawieniem a wspomnieniem.

– Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Mia stawała się częścią mojego życia. Ona bawiła się na moich koncertach, ja kibicowałem jej na torze. To był naprawdę dobry czas.

W salonie słychać tylko ciche trzaski drewna i oddechy tych, którzy słuchają. Wszyscy wiedzą, że ten „dobry czas” nie trwał długo.

Ville nie wytrzymuje ciszy, która zapada po słowach rodziców. Przechyla głowę, splata dłonie i z tą swoją półironiczną, ale nieco drżącą powagą pyta:

– Czy ta historia zmierza do odwyku?

Rami rzuca mu krótkie, niemal rozbawione spojrzenie. Obejmuje Mię czule, jakby czerpał z niej siłę, jaką wciąż w nim budzi.

– Tak – potwierdza cicho. – Zmierzała prosto w to miejsce. Na samo dno. A potem z powrotem – dzięki niej.

W jego głosie brzmi coś więcej niż wspomnienie, to wciąż rana, która nie do końca się zabiłiżniła. Patrzy w ogień, przez chwilę milczy.

– Na początku roku zmarła moja mama. Szybko, na raka. Zdażyłem się pożegnać. Pogrzeb był ogromny – muzycy, rodzina, cały zespół... i Mia.

– Czułam, że się stoczy – odzywa się w końcu. – Znałam go już na tyle, żeby wiedzieć, że naprawdę to przeżywa. Ale na tym się nie skończyło. Niedługo po pogrzebie dowiedział się, że jego była partnerka jest z nim w ciąży.

Nie mówi tego z wyrzutem, raczej z chłodnym spokojem kogoś, kto nauczył się patrzeć w przeszłość bez ucieczki.

– Antero zapewniał mnie, że wszystko w porządku. Pojechał w trasę, ja nie mogłam mu towarzyszyć. Miałam uczelnię, zawody, swoje życie. Nie zamierzałam niańczyć dorosłego faceta. Ale dochodziły mnie słuchy, że ćpa. A gdy wrócił, dowiedziałam się, że zamknął się w domu. Nie wpuszczał nikogo. Z nikim nie chciał rozmawiać.

Jej palce zaciskają się na kolanie. Cień tamtego gniewu przebija się przez spokój głosu.

– I wiecie co? Nie czułam bezsilności. Czułam wściekłość. Miałam ochotę walnąć go patelnią w łeb i wrzasnąć: „obudź się!”. Więc pojechałam do niego.

– Nie otwierałem – przyznaje Rami. – Kazałem jej iść. Może ze wstydu, może ze strachu. Ale ta wariatka tłuwała w drzwi chyba z godzinę.

– Miałam przy sobie jego klucz. Dał mi go żeby kiedy był w trasie mogła podlewać jednego kaktusa w salonie – Mia i Rami wymieniają uśmiechy ale zaraz poważniej – No ale wtedy nie otwierał to weszłam sama. Wiedziałam, że mogę go zastać naćpanego. Może agresywnego. Ale co mi tam. Całe życie żyłam w strachu. Jak mogłabym bać się własnego przyjaciela? – mówi pytającym tonem wbijając spojrzenie w męża. – Myślałam, że go zabiję – dodaje w końcu tak cicho, że Robert przestaje bawić się kocem, a Rose podnosi wzrok znad dłoni. – Serio. Chciałam go kopnąć w tyłek. Półprzytomny, spocony, brudny. Totalny rozpad.

Rami opuszcza wzrok, a jego głos, gdy wreszcie się odzywa, brzmi niemal pokornie.

– Podeszła do mnie. Przytuliła. I powiedziała tylko: „Nie jest dobrze Antero.”

– Kazałam mu oddać wszystko, co miał – dopowiada Mia. – Każdą działkę, każdą fiolkę, a później wrzuciłam do zlewu. Pocieszałam się, że to może dwa tygodnie ciągu, może trochę więcej. Potem długo rozmawialiśmy. Pomogłam mu się wykapać. Położyłam spać. Zostałam z nim całą noc. Koło północy drgawki minęły. Zasnął. A ja... czuwałam.

– Rano wstałem – dopowiada Rami. – Dalej słaby, ale przytomny. A na stole czekało śniadanie – pierwsze od wielu dni. Podziękowałem jej, a ona tylko pokręciła głową. Mia nie odpuszcza. Kazała mi iść na odwyk. Do ośrodka zamkniętego. I na terapię. A ja, jak to artysta, oczywiście uznałem, że nie ma takiej potrzeby.

Mia mruży oczy, lekko przechylając głowę.

– Wtedy stanęłam nad nim i powiedziałam: „Nie wkurzaj mnie, pieprzony artysto.”

– Zgodziłem się bez wahania – przyznaje. – A ona... mnie tam zawiozła. Ale kazała dać coś w zamian.

– Przed wyjazdem zażądałam czegoś, co było dla niego najcenniejsze – mówi spokojnie. – Wiedziałam, co to jest. Ale chciałam, żeby sam to przyznał.

– Platynowa płyta za drugi album – potwierdza Rami. – Zabrała ją. A potem oznajmiła, że jeśli się znów stoczę, odda ją pierwszej szalonej fance, jaką spotka na ulicy.

Śmieje się cicho, a w jego głosie słychać wdzięczność.

– Sam odwyk nie był ciężki – mówi po chwili. – Nie miałem silnych objawów. Ale psychoterapia... to ona zrobiła robotę.

Mia przez chwilę milczy. Jej spojrzenie staje się szare, zamyślane. Kiedy wreszcie się odzywa, głos ma stwardniały, jakby każda sylaba wymagała wysiłku.

– Kiedy go tam zostawiłam... emocje puściły. Zatrzymałam się w lesie, jeszcze zanim wróciłam do miasta. Płakałam, długo bo już nie bałam się o siebie, o własną przyszłość. Ale bałam się o niego. I wtedy zrozumiałam, że się zakochałam.

– Siedząc tam, w ośrodku, próbowałem wszystko poukładać w głowie. Już wiedziałem, że ją Kocham. Ale Mia... ona była czymś więcej. Świętością, nietykalną muzą i tak miało zostać. Tak chciałem.

Mia mówi teraz ciszej, ostrożniej, jakby każde wspomnienie było porcelaną. Jej dłonie, ułożone na kolanach, poruszają się lekko.

– Gdy wrócił do domu, znowu był tym wesołym, szalonym chłopakiem, którego zdążyłam na początku poznać. W porozumieniu z lekarzem ustaliliśmy, że przez jakiś czas się nim zajmę. Miałam go obserwować. Mieszkać z nim. Formalnie jako przyjaciółka. Choć serce... serce mi pękało każdego dnia.

– Mi też nie było łatwo – mówi Rami, uśmiechając się z nutą czułości. – Ona była obok, a ja nie mogłem jej mieć. Ale dzięki temu, że pozostaliśmy tylko przyjaciółmi, mogliśmy naprawdę dobrze się poznać. Ja wróciłem do prób z zespołem, Mia studiowała. Wieczorami siadaliśmy razem przy kolacji.

Mia unosi wzrok, a w jej oczach pojawia się twardy błysk. Prostuje się lekko chcąc dodać swoim słowom ciężaru i ostateczności.

– To nie jest tak, że jestem jakimś mocarzem, kimś wyjątkowym. Po prostu znalazłam się w odpowiednim miejscu i czasie. Antero nie był uzależniony. Jeszcze dało się go uratować. Po prostu się załamał i nie radził sobie z presją sławy. Wszystko się nawarstwiło.

– Czuję się tym wszystkim przytłoczony – potwierdza Rami, przesuając dłonią po kolanie, jakby odganiał wspomnienie. – Zespół był zawsze po mojej stronie, ale kiedy jest się szefem, kompozytorem, od którego zależy, czy kolejny album będzie hitem, okazuje się, że jest się samotnym. Oczywiście z perspektywy czasu widzę, że ta samotność była tylko w mojej głowie, ale wtedy uważałem, że moje problemy nie powinny krążyć po zespole. Bycie na haju przynosiło ulgę. Krótką, ale wystarczającą.

Zapada cisza – gęsta. Wszyscy siedzą bez ruchu nie chcąc jej przerwać. Tylko płomień kominka odbija się w oczach Emmy i w szklance z wodą, którą Ville przesuwa w palcach.

– To, co mówicie, jest bardzo ciekawe. Myślę, że możemy zakończyć ten fragment naszego wywiadu. Ja bym tu chętnie zobaczył kogoś z zewnątrz. Specjalistę, terapeutę, który wypowie się fachowo.

W pokoju nikt nie musi nic dodawać – porozumienie jest oczywiste.

– Krótkie słowo od eksperta, może kilka przykładów. W końcu nasz program nie tylko bawi, ale też uczy – mówi Emma rzeczowo, jak zawsze. – Ale teraz wróćmy do nagrania. Bo wasza historia przecież się na tym nie kończy.

Ville przeciąga się, odkłada szklankę i upija ostatni łyk wody z cytryną. Na jego ustach pojawia się psotny uśmiech, a oczy błyszczą.

– Dobra – mówi z udawaną powagą – wszystko się zaczęło prostować, ale nie byliście jeszcze razem. To kiedy właściwie zaczął się wasz romans?

Mia śmieje się cicho, przeciągle, a jej spojrzenie nagle łagodnieje. Na chwilę w rysach twarzy wraca dziewczęca radość.

– Antero wyjechał w trasę – zaczyna. – Dołączyłam do nich na jakiś czas, ale musiałam wcześniej wrócić bo zaczynały się zajęcia na uczelni. Zostaliśmy w stałym kontakcie, codzienne telefony, wiadomości. Byłam spokojna. Miałam przecież w zanadrzu jego platynę.

Spogląda na męża z tą mieszkanką czułości i błysku, którą wszyscy w rodzinie znają aż za dobrze.

– Może opowiemy im, kiedy naprawdę zaczął się nasz romans?

– Chcesz opowiedzieć o swoim wielkim wyjściu? O tym wieczorze? – pyta nie ukrywając zdziwienia.

Ville, Rose, Emma i Robert pochylają się do przodu niemal równocześnie, otwierają szerzej oczy i nerwowo kiwają głowami.

– To coś, czego nie wiemy?! – piszczy Emma, nie kryjąc ekscytacji.

– Wielu rzeczy nie wiecie – odpowiada Mia z powagą. – I nie wszystko jest dla waszych uszu. Ale... niech będzie. Kiedy Rami był jeszcze w trasie, dotarły do mnie plotki, że znowu kontaktuje się ze swoją byłą. I tu pojawiły się dwa problemy. Po pierwsze – moja zazdrość. A po drugie – ta dziewczyna miała słabość do kieliszka...

– Ale... nic jej nie zrobiłaś, prawda? – pyta Ville otwierając usta jak karp.

– Nie.

– Aha – szepcze tylko.

– Antero wrócił – ciągnie dalej Mia. – Minęło kilka dni, okazało się, że planuje jakieś spotkanie towarzyskie ze znajomymi. A wśród gości... miała być też ta dziewczyna.

– Spotkanie było naprawdę miłe – mówi Rami, mrużąc oczy w uśmiechu. – Pamiętam, że przytuliłem się wtedy do Nory.

– Całowałaś się z nią! – wtrąca z udawaną urazą.

– No wiesz! – Ville robi wielkie oczy. – Mama cię kochała, a ty całowałaś się z inną?!

Śmiech rozlewa się po pokoju. Emma chowa twarz w dłoniach, Rose odwraca głowę, żeby nie parsknąć, a Rami tylko unosi rękę w geście kapitulacji.

– Ale wszystko zaczęło się od fortepianu – mówi w końcu, tonując głos. – Żeby to miało sens, trzeba opowiedzieć jeszcze coś.

Mia nabiera powietrza, a jej spojrzenie gdzieś odpływa.

– W dzieciństwie miałam nauczycielkę fortepianu – prawdziwą profesjonalistkę. Ubóstwiała Chopina, traktowała go jak świętość, a przy tym rozpaczliwie pragnęła przypodobać się mojej babci, Isobel, sławnej pianistce swojego pokolenia. Jej gorliwość zamieniła się w okrucieństwo: domagała się niemożliwej perfekcji, a kiedy się myliłam, smagała mnie linijką po dłoniach. Miałam siedem, może osiem

lat; byłam tą małą, zaplanowaną księżniczką, córką linii książęcej która ma być silna i niewzruszona. Nie mogłam pójść do babci ze skargą. Isobel, choć surowa, nie była jednak ślepa. Sama w końcu zobaczyła prawdę, wyrzuciła nauczycielkę z hukiem.

Jej głos łagodnieje, niemal ślizga się po wspomnieniach.

– Później miałam już innych nauczycieli – łagodnych, cierpliwych, dalekich od tamtej surowości. Ale wstręt do Chopina pozostał. Fortepian nigdy nie stał się moją pasją, był raczej obowiązkiem, cichym holdem składanym babci. Grałam tylko dla niej. Nie mam słuchu muzycznego – wszystko, co potrafię, opiera się na pamięci ruchów, na znajomości układu nut.

– Wiedziałem to – wtrąca Rami – I choć nie raz prosiłem, by zagrała coś, co lubi – zawsze odmawiała. Aż tamtego wieczoru, bez słowa, podeszła do fortepianu... i zaczęła grać. Z pamięci. Chopin. Preludium e-moll. Bez nut, bez zapowiedzi.

W salonie zapada cisza, głęboka jak oddech po biegu. Płomień drga, kamera mruga diodą, ale nikt nie zwraca na to uwagi.

– Wszyscy zaniemówili – mówi Rami. – A potem... dopiła swoją whisky, powiedziała „miłego wieczoru” i po prostu wyszła. Wybiegłem za nią. Zapytałem, dokąd jedzie. Powiedziała: „Do Londynu”. – Wyobrażacie to sobie? – dodaje, śmiejąc się półgębkiem. – Laska gra Chopina, po czym zawija się na pięcie i jedzie do Londynu! Wtedy zrozumiałem, o co chodzi. I następnego dnia pojechałem za nią. A raczej... do Surrey. Tak się to zaczęło.

Mia śmieje się szczerze, z tą swobodą, która zawsze ją odmładza.

– To nie był plan. To była potrzeba. Po jego cholernej odwykowej epopei – „bo pan artysta ma bałagan w głowie” – straciłam sezon w Mistrzostwach Finlandii. Byłam wściekła, urażona, dumna i uparta. Musiałam coś zrobić. Coś, nad czym miałam pełną kontrolę. Coś, co było moje.

– Przyjechałem do tego przeklętego Londynu – mówi Rami, wzdychając teatralnie. – A ona... nie chciała ze mną rozmawiać.

– Z jednej strony się ucieszyłam – przyznaje Mia. – A z drugiej... ech, nie chce mi się teraz tego rozgrzebywać.

– Musiałem się kajać – kończy z uśmiechem. – Ale za to skutecznie.

W salonie zapada cisza, którą po chwili rozcina chichot Emmy. Rose przysuwa się bliżej Villego patrzącego w obiektyw z rozbawionym błyskiem i lekko rozmazanym eyelinerem.

– Nie wiem, jak wy, ale ja to wszystko widzę w filmowej wersji. Z muzyką, deszczem i sceną przy fortepianie. I to Preludium, no błagam – mówi, rozkładając dramatycznie ręce.

A potem zapada krótkie, naturalne milczenie. Ville spogląda na matkę z lekkim zmarszczeniem brwi ważąc każde słowo.

– Byliście już razem. Oficjalnie. I co? Znowu zaczęły się schody. Kochałaś ojca, ojciec ciebie, a mimo to miałaś zostać żoną kogoś zupełnie innego.

Mia spogląda gdzieś za okno. Światło kominka odbija się w jej oczach jak w tafli szkła.

– Dziadek i babcia wiedzieli już wtedy, z kim się spotykałam i zaakceptowali Ramiego. Zresztą sytuacja w Indiach bardzo się zmieniła. Okazało się, że pewne sprawy dało się poskładać inaczej, że pewne układy polityczne straciły znaczenie. Po prostu było trzeba swoje odczekać, wykazać się cierpliwością i... wyczuciem sytuacji.

– Wzięliśmy cichy ślub bez rozgłosu. Byliśmy młodzi – wtrąca Rami.

– Tak – dodaje Mia, a w jej głosie pobrzmiewa łagodność, w której czuje się miłość mimo upływu lat – Młodzi, ale bardzo doświadczeni przez los. No i tak sobie żyjemy... razem.

Sięga po szklaneczkę whisky. W bursztynowym płynie drgają refleksy ognia, jakby przeszłość odbijała się w jej dłoni. Ville podnosi się z sofy i jednym płynnym ruchem wyłącza kamery. Nagranie się kończy. Emma przeciąga się leniwie, z cichym westchnieniem. Robert obejmuje ją ramieniem, muska w skroń krótkim pocałunkiem. W pokoju wciąż słychać rozmowy, śmiechy, drobne przekomarzania – ta zwykła, ciepła codzienność, która wraca po każdej filmowej scenie. Ale Mii już tam nie ma. Siedzi w tym samym miejscu, a jednak daleko. Jej twarz jest nieruchoma, bez uśmiechu, bez gestu, bez słowa. Tylko oczy mają w sobie głębię, w której przeszłość i teraźniejszość zlewają się w jedno. Rami patrzy na nią uważnie. Zna ten wyraz. Wie, że jego żona właśnie tam wraca – do tamtej dziewczynki, do tamtej lekcji, do tamtego dnia.

Kiedy w końcu się odzywa, jej głos jest cichy, spokojny, pozbawiony drżenia. Każde słowo przecina powietrze jak cienkie, chłodne ostrze.

– To był ładny dzień – mówi. – Ona kazała mi grać Chopina. Kiedy pomyliłam nuty, zamachnęła się linijką. Uchyliłam się. Spojrzałam jej prosto w oczy i powiedziałam, że nigdy więcej mnie nie dotknie. Podeszła bliżej. Znowu chciała uderzyć.

Mia urywa, a cisza, która zapada, ma w sobie coś niebezpiecznego.

– Wtedy wbiłam jej sztylet w udo.

Powietrze gęstnieje. Robi się ciężkie, duszne, wszyscy patrzą na Mię – z niedowierzaniem, z przerażeniem, z czymś na kształt fascynacji.

Kobieta powoli wstaje. W jej dłoni połyskuje szklaneczka, bursztynowy płyn porusza się leniwie w świetle lamp. Na ustach pojawia się chłodny, niemal bezczelny uśmiech.

– Za Chopina.

Unosi szkło i pije. A potem – po raz pierwszy tego wieczoru – naprawdę się uśmiecha. Szczerze, głęboko, jak ktoś, kto właśnie wygrał życie.

– To jakie mamy plany na jutro? – dodaje ze spokojem w głosie.

Nikt nie odpowiada od razu. Robert przez chwilę patrzy na nią bez słowa. Emma zastygła z lekko otwartymi ustami. Rose odruchowo przeczesuje włosy dłonią. Ville powoli wypuszcza powietrze z płuc, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o oddychaniu. Rami, który zna tę historię, jedynie milczy.

Dopiero wtedy wszyscy wymieniają porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechają się nieśmiało, postanawiając zakończyć ten wieczór bez dalszych komentarzy.

Młodzi powoli zaczynają się zbierać. Składają statywy, chowają kamery, zwijają kable. Salon stopniowo pustoszeje. Ville rzuca ostatnie spojrzenie na matkę i ojca, po czym znika za drzwiami.

Rami przyciąga Mię do siebie i obejmuje ją mocno.

– Pamiętasz? – pyta spokojnie, z czułością.

Ona tylko kiwa głową. Wlepia wzrok w miejsce gdzie przed chwilą stał jeszcze jej syn, zaciska usta i przymyka oczy – wracając jeszcze raz do przeszłości. Tym razem tej, którą budowała już z ukochanym mężczyzną.

Pałac w Surrey tonął w półmroku późnego popołudnia. Tego dnia gościł kogoś wyjątkowego – prosto z Udaipuru przyjechali Maharadża Veer Pratap i jego żona, Maharanii Isobel. Za zamkniętymi drzwiami gabinetu toczyła się rozmowa. Atmosfera była napięta, powietrze gęste od strachu, niepewności i czegoś, co przypominało aurę nieodwracalności gdyż decyzja, która miała zapaść, zmieniała bieg historii.

Maharadża odchylił się w fotelu, przyglądając się im uważnie.

– A więc to wasza ostateczna decyzja? Jesteście tego pewni? – zapytał, patrząc wymownie na wnuczkę i Ramiego.

– Tak, dziadku. Jesteśmy pewni. Antero zna ryzyko.

Maharadża spojrział na młodego muzyka i lekko pokręcił głową.

– Zdajesz sobie sprawę, w co się pakujesz? Że to sprawa życia... i cena wolności dla Miraayi.

Rami poprawił apaszkę która nieco zbyt mocno go ścisnęła za gardło, przełknął głośno ślinę.

– Tak, wiem. Wiem, na co się piszę. Sekretny ślub. Ani słowa nikomu. I... syn – dodał po chwili.

– To musi być syn. Musi! – walnął pięścią w stół, aż porcelanowa filiżanka podskoczyła.

Mia odetchnęła ciężko, niemal szeptem.

– A jeśli nie? Przecież to nie od nas zależy.

– Tu nie ma miejsca ani czasu na zdawanie się na naturę – odparła Maharanii stanowczo, choć łagodnym tonem. – Pojedziecie do Szwajcarii. Przejdiesz zabieg.

– Selekcja płci? – spytała patrząc na babkę, ta tylko pokiwała głową. – Ale to nieetyczne, to łamanie prawa... – szepnęła jedynie.

Maharanii podeszła bliżej, położyła dłoń na ramieniu wnuczki i mówiła cicho, lecz zdecydowanie:

– Na granicy prawa, moja droga. Mamy tam zaufanych lekarzy i sposoby, by wszystko odbyło się dyskretnie, pod osłoną badań. Twoje bezpieczeństwo jest dla nas najważniejsze. Cena nie gra roli.

– Zrobimy to – powiedział cicho Rami obejmując Mię w pasie.

– Zrobimy – potwierdziła, unosząc głowę nieco wyżej.

Maharadża Veer Pratap wstał powoli, oparł dłonie na lasce i spojrział na Ramiego z lodowatym spokojem.

– Kochasz ją?

– Kocham – odpowiedział bez wahania.

– Weźcie ślub jak najszybciej. Zaufani świadkowie, żadnych zdjęć, żadnych gości. My oficjalnie nic o tym nie wiemy – jego głos był suchy, pozbawiony emocji. – Kiedy zajdziesz w ciążę i upewnimy się, że chłopiec jest zdrowy, wtedy puścimy w eter plotkę o upadłej księżnej Miraayi, co wyszła za rockmana, narkomana i skandalistę, i – co gorsza – jest z nim w ciąży.

Maharanii dodała łagodnie:

– Wtedy zerwiemy więzi, a wy zamieszkacie tu, w Surrey. Miraaya będzie pod ochroną aż do porodu. Urodzi syna, a potem zrzeknie się dla niego tytułu. Dynastia dostanie dziedzica tylko po to, by ją zamknąć.

– A co z Sharmami? – spytała Mia z drżeniem w głosie. – Z moim narzeczoną, Arjunem? Oni...

Veer Pratap zaśmiał się krótko, gorzko.

– To już moja sprawa. Ty, Miraayo, masz urodzić mi prawnuka. A ty, Rami, masz być przy niej i milczeć.
– Zawiesił głos i dodał chłodno: – I pamiętajcie... to my mamy ostatnie słowo. To my tworzymy narrację. Zrobił kilka kroków, spoglądając na młodych. Potem uderzył laską o podłogę – suchy, ostateczny dźwięk zabrzmiał jak pieczęć. Audiencja dobiegła końca.

Rami objął Mię mocniej, a w tym uścisku nie było tylko czułości – była w nim także stal. Znał jej historię nie z opowieści, lecz z faktów: morderstwo rodziców, zmanipulowane zaręczyny, lata cichego planowania, podczas których Maharadża zbierał zwolenników, przenosił fortuny Rathore poza granice Indii i cierpliwie czekał, aż konserwatywne środowiska wymrą lub utracą znaczenie.

Dla młodego, niespełna dwudziestopięcioletniego Ramiego – romantyka, artysty, chłopaka o łagodnym sercu – związek z Mią nie był ani kaprysem, ani przelotną fascynacją. To była decyzja o wejściu w sam środek mechanizmu, który mógł ją zgnieść lub ocalić. Nie wahał się, bo już wtedy wiedział, że jego miejsce jest przy niej – nawet jeśli lojalność miała kosztować więcej niż życie, które dopiero mieli razem rozpocząć.

Maharaniei popatrzyła na nich z czułością – bo w tej młodości widziała uczucie prawdziwe, zrodzone z przyjaźni i z niedawno wygranej walki Ramiego z uzależnieniem. Wiedziała jednak, że teraz czeka ich kolejna nie walka, a wojna: o życie Mii, które stanie się zagrożone, gdy tylko wieści o sekretnym ślubie i przyszłej ciąży dotrą do Indii. Arjun Sharma, narzeczony jej wnuczki, pochodził z szanowanej, lecz surowo konserwatywnej rodziny z Radżastanu. Choć nie dało się ostatecznie potwierdzić, że to właśnie ten ród stał za morderstwem jej jedyne go syna i synowej, nie można było też tego całkowicie wykluczyć. Ci ludzie mogli stać się niebezpieczni, gdy plotka o „upadłej księżnej” wyjdzie na jaw. Ale jej mąż, Maharadża Veer Pratap, przewidział to. Arjun Sharma nie był przypadkowym wyborem – jego rodzina, choć wciąż nosiła szlacheckie nazwisko, od lat traciła wpływy i majątek. Pałac, w którym mieszkali, mimo że wyglądał okazale, to czas zdążył odcisnąć na nim swoje piętno. To oznaczało, że ich pozycja społeczna i finansowa była krucha. Dlatego narracja, którą oboje opracowali jeszcze przed decyzją o zaręczynach wnuczki, była możliwa do wykonania – niemal doskonała w swej kalkulacji.

Zgodnie z przewidywaniami maharadży, niecały rok później odezwała się rodzina narzeczonego Miraayi. Państwo Sharma zaproponowali spotkanie, by młodzi mogli wreszcie się poznać. W tym czasie Mia była już w siódmym miesiącu ciąży, a płeć dziecka została potwierdzona przez kilku lekarzy. Wówczas Rathoreowie podjęli decyzję o konfrontacji – bez narzeczonych, bez rodziny i bez świadków.

Pałac w Udaipurze błyszczał w porannym słońcu jak zatopiony w świetle klejnot – marmurowe kolumny lśniły, a przez otwarte arkady wpadał zapach jaśminu i kurzu z ogrodowych ścieżek. W salonie audiencyjnym powietrze pachniało sandałowcem i politurą starych mebli; ciężkie zasłony z jedwabiu tłumiły dźwięki z zewnątrz, tworząc atmosferę ciszy i napięcia. Maharadża Veer Pratap siedział w rzeźbionym fotelu z ciemnego drewna, otoczony światłem wpadającym przez witraże. Miał przyprószoną siwizną brodę, starannie przystrzyżoną; jego dłonie spoczywały na lasce z główką w kształcie tygrysa. Obok niego siedziała Maharaniei Isobel – kobieta o kasztanowych włosach upiętych w niskim kok i przenikliwych, zielonych oczach, które zdawały się widzieć więcej, niż mówiły słowa. Co raz poprawiała sari ciemnozielonego jedwabiu, zdobione złotą nicią.

Po kurtuazyjnym przywitaniu państwa Sharma i wymianie kilku uprzejmości Maharadża przerwał rozmowę. Uniósł wolną rękę, palcami gładząc rzeźbione oparcie, jakby upuszczał na słowa ciężar decyzji.

– Nie dojdzie do ślubu naszej wnuczki z waszym synem – powiedział spokojnie, z chłodną pewnością w głosie.

Pan Sharma zamarł z dłonią uniesioną nad filiżanką herbaty.

– Jak to... nie dojdzie? – zapytał, a jego ton, początkowo grzeczny, przeszedł w sztywny szept.

– Moja wnuczka sprzeciwiła się tradycji i wyszła za mąż wbrew mojej woli – rzucił krótko, nie odrywając wzroku od rozmówców.

Pan Sharma aż wstał z miejsca, a słowa Maharadży wyrwały go z rzeczywistości.

– Za... kogo?! – jego głos zdrzął, między oburzeniem a niedowierzaniem. – Jak to możliwe, Wasza Wysokość? Przecież wszystko było ustalone. Zaręczyny ogłoszone, błogosławieństwo udzielone przez starszyznę. Ślub ma się odbyć w obecności całego Radżastanu!

Pani Sharma uniosła dłoń do ust próbując powstrzymać ich drżenie.

– Kto się odważył z nią ożenić bez Pańskiej zgody? – spytała z cieniem paniki. – Przecież cała prowincja wie, z kim miała się związać Miraaya Rathore.

Maharadża pochylił się lekko, jego palce ścisnęły laskę.

– To znany muzyk, skandalista – zawiesił głos, po czym dodał ciszej, z twardą kreską w tonie – i narkoman.

Pan Sharma nachylił się lekko ku Maharadży próbując doszukać się w jego twarzy cienia żartu.

– Jeśli to prawda, ślub trzeba anulować. To przecież nielegalne, bez błogosławieństwa, bez obecności rodziny. To hańba dla obu rodów!

– Nie da się tego unieważnić – powiedział spokojnie Veer Pratap. – To ślub cywilny, zawarty w Europie, w pełni legalny. A moja wnuczka ma brytyjskie obywatelstwo po babce. Prawo jest po jej stronie. Bez jej zgody nikt niczego nie cofnie.

Pan Sharma uderzył dłonią w ramię fotela, nie kryjąc już gniewu.

– To zdrada! – warknął. – Zdrada wobec rodu, wobec nas wszystkich! Jakim prawem jakaś zagraniczna umowa ma zniszczyć układ, który trwał pokolenia? – pochylił się ku Maharadży, z twarzą napiętą niczym maska. – Czy zdaje Pan sobie sprawę, co to oznacza dla naszej rodziny? Dla opinii w całym Radżastanie?!

Przysiadł w końcu w fotelu i szukał tonu rozsądku, choć głos drżał od wściekłości.

– Wasza Wysokość, przecież można to jeszcze naprawić. Wystarczy ją sprowadzić, przemówić do rozsądku. Wszyscy wiemy, jak to wygląda na Zachodzie – tamte małżeństwa trwają rok, może dwa... potem rozwód i wszystko wraca do normy.

Pani Sharma skinęła szybko głową, łapiąc wątek.

– Tak, dokładnie. Trzeba ją po prostu zmusić, przekonać, żeby to zakończyła. To dziewczyna, emocjonalna, młoda, podatna na wpływy – tu jej ton zszedł ostrzej. – Zrobiła to z miłości, z kaprysu... ale jeśli Pan nakaże, posłucha.

Maharadża powoli uniósł palec, przerywając jej – gestem zarządził ciszę; jego spojrzenie przesunęło się po twarzach Sharmów niczym ostrze. Głos miał teraz miękki, lecz nieugięty.

– Nic z tym nie zrobię – powiedział wolno. – Nie mam ani mocy prawnej ani narzędzi. A do tego – dodał, unosząc głowę z ciężarem – Miraaya jest w zaawansowanej ciąży.

Pani Sharma zamarła w pół ruchu po tym jak słowa Maharadży uderzyły ją fizycznie. Palce, którymi trzymała torebkę, rozluźniły się i skórzany pasek wysunął się z jej dłoni, upadając z cichym stukiem na podłogę.

– W... ciąży? – wydusiła ledwie słyszalnie, a jej twarz spłynęła bladością marmuru. – Pańska wnuczka... w zaawansowanej ciąży?

– Skandal, hańba, wstyd dla obu rodów – mówił pan Sharma niemal krzyżąc. – W Radżastanie nie będzie o niczym innym mowy.

Veer Pratap położył laskę poziomo na kolanach, przytrzymał ją obiema rękami i objął wzrokiem rozmówców. Jego głos był spokojny, lecz w środku brzmiała twarda decyzja.

– Całą winę i hańbę biorę na siebie. Wy jesteście autorytetem konserwatywnego środowiska. Niepodważalnym autorytetem – powtórzył z pewnością w głosie – I to ja źle wychowałem wnuczkę, dałem jej za dużo wolności. To moja wina. Dlatego też wynagrodzę to waszemu synowi, wypłacę stosowne odszkodowanie. Wiem, że to nie zatuszuje mojej winy ani waszego żalu, ale nic nie mogę zrobić. Mam związane ręce.

Pan Sharma skinął głową z ciężkim westchnieniem.

– Niech więc będzie tak, jak Pan mówi, Wasza Wysokość. Przyjmujemy odszkodowanie, nie dla siebie, ale dla syna. On też poniesie wstyd. Nie dlatego, że został porzucony – lecz dlatego, że ożenić się z Rathore było jego przeznaczeniem, a teraz każdy w Radżastanie będzie o tym mówił.

Maharadża przez chwilę milczał, jego dłonie zacisnęły się na kolanie. Potem powoli uniół wzrok – oczy jak ostrza, zimne i nieubłagane.

– Lata temu zamordowano mojego syna i synową – powiedział spokojnie, aż w pokoju zrobiło się ciszej niż przedtem. – I niech będę przeklęty, ale jeśli jeszcze raz ktoś podniesie rękę na moją rodzinę... – tu przerwał, wstając z fotela – spalę Radżastan. Razem z wami.

Pan i pani Sharma cofnęli się o krok; w ich oczach chwilę zabłysła niepewność. W powietrzu uniół się zapach jaśminu i politycznego lodu – wiadomość była jasna niczym wyrok. Maharadża zrobił kilka kroków spoglądając na gości po czym uderzył laską o podłogę – suchy, ostateczny dźwięk zabrzmiał jak pieczęć; audyencja dobiegła końca.

Tymczasem w oranżerii pałacu Rathorehouse w Surrey panował miękki półmrok. Ciepło późnego popołudnia sączyło się przez matowe szyby, rozlewając po liściach egzotycznych roślin złote smugi. Niespełna dwudziestotrzyletnia Mia siedziała w wiklinowym fotelu, z materiałami ze studiów rozłożonymi na stoliku przed sobą – tymi samymi, które musiała porzucić, gdy wszystko zaczęło się komplikować. Nieopodal niej siedział Rami, z notatnikiem i piórem w dłoni. Pisał tekst nowej piosenki – powoli, bez pośpiechu, z tą swobodą, która przychodzi tylko wtedy, gdy człowiek jest spokojny. Przez chwilę przyglądał się Mii, jakby chciał nasycić się ciszą tego miejsca, po czym wstał, podszedł do niej i przyklęknął. Ona, nie odrywając wzroku od kartek, położyła dłoń na jego włosach i pogłaskała go powoli – z gestem czułości chcąc ugasić jego niepokój, którego nie trzeba było nazywać.

– Kochanie – powiedział cicho. – Ja się strasznie boję. Nasz syn się niedługo urodzi.

Ona uniosła rękę, uciszając go gestem, po czym pogładziła się po brzuchu, wyraźnie zaokrąglonym. Ujęła jego dłoń i położyła na swoim ciele.

– Ja się nie boję – odparła spokojnie, bez emocji, lecz z łagodnością, która niosła pewność. Spojrzała na niego czule. – Czujesz?

– Tak. Czuję. Trzeba mu nadać jakieś imię – szepnął po chwili wtulając się w nią mocno.

– Sam wybierz – odpowiedziała łagodnie. – Ma być fińskie i ma pasować do drugiego imienia. Vivaan – „pełen życia”.

Rami odsunął się nieco, jakby chciał zobaczyć jej twarz w miękkim świetle zachodu. Na jego ustach pojawił się teatralny grymas, charakterystyczny dla jego natury.

– Myślałem o Ville, ale chyba nie pasuje do Vivaana.

– Pasuje bardzo dobrze. To piękne imię, normalne. Wystarczy, że nazwisko będzie szalone: Rathore Rian.

– Ville Rian – powiedział namysłem, smakując słowa, jakby już wtedy słyszał je z ust tłumu – idealne personalia dla kogoś na scenie. Albo Vivaan Rathore – szanowany naukowiec i biznesmen.

Mia przewróciła oczami, odłożyła notatki i pochyliła się ku niemu. Ich usta spotkały się w długim, namiętym pocałunku.

Kiedy Rami wyszedł, oranżeria pogrążyła się w ciszy, Mia chwilę patrzyła w kierunku, w którym zniknął jej mąż, a potem odchyliła się w fotelu i pogładziła dłonią brzuch.

– Żadnych scen i światel fleszy, młody – mruknęła półgłosem, z uśmiechem. – Książki i laboratorium, to będzie twoje przeznaczenie...

Gdy poczuła mocne kopnięcie, zamilkła na moment, uśmiechnęła się ironicznie po czym westchnęła cicho.

– No czuję, że będziesz robił wokół siebie dużo zamieszania.

Kolejne kopnięcie, tym razem po drugiej stronie, sprawiło, że parsknęła śmiechem.

– Dobra... ale nie sprawiaj mi za dużo problemów – dodała z lekkim westchnieniem.

Światło dnia gasło powoli, rozlewając się po szkle oranżerii jak ostatni wers niedokończonego wiersza.

Mia odchyliła głowę i uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że od tej chwili każda jej decyzja, nawet ta najmniejsza będzie odbijać się w jego oczach.

Rozdział 20

Upadły anioł

Tuż przed rozpoczęciem nagrań w RRstudio, Ville korzysta jeszcze z chwili wolności. Razem z Rose i Amidalą spędzają resztę lata w rodzinnej rezydencji w Westendzie – dzielnicy Helsinek – z dala od zgiełku tras koncertowych i studyjnych harmonogramów. To ten rzadki moment, kiedy mogą po prostu być razem: kąpać się w wodzie, śmiać się bez scenariusza, mówić o niczym i wszystkim naraz. Za zgodą Mii i Ramiego, Ville i Emma decydują się oprowadzić widzów *Liberty Fade Life* po miejscu, które od lat owiane jest legendą – po słynnym Rianhouse, domu zbudowanym ze szkła, stali i betonu. To tutaj zaczyna się kolejny odcinek który najprawdopodobniej trafi do nowej przyszłorocznej serii.

Rezydencja w Westendzie, choć ogromna i niemal monumentalna, nie ma w sobie nic z pokazowego blichtru. Została zaprojektowana do życia, do pracy, odpoczynku, rodzinnych spotkań i twórczości. Każdy kąt ma tu swoje przeznaczenie, a luksus jest cichy, niemal intymny. To zupełnie inny świat niż ich posiadłość w Surrey w Wielkiej Brytani – pałac w stylu georgiańskim, pełen klasycznych detali i splendoru, ale również pozbawiony kiczowatego przepychu. Dla tej rodziny dom nigdy nie jest dekoracją, ma mieć duszę, funkcję i charakter.

Ville, Emma i Amidała, filmowani przez Rose i Roberta, kończą oprowadzanie po wnętrzach i schodzą niżej, do podziemi gdzie znajduje się przestronny garaż – zaprojektowany tak, by pomieścić nie tylko samochody domowników, ale i przyjezdnych gości. Choć Mia, niekwestionowana gwiazda motorsportu i pasjonatka motoryzacji, ma słabość do wyjątkowych marek, nigdy nie kolekcjonuje aut na pokaz. Jak sama powtarza: „Zbieranie blachy mnie nie interesuje.” W garażu stoją więc tylko te pojazdy, które rzeczywiście mają znaczenie – sportowe modele, rodzinne SUV-y i stary samochód rallycrossowy Mii, pamiętający jej ostatnie wyścigi z 2016 roku. Robert obraca się jeszcze raz wokół własnej osi z kamerą przed sobą i zatrzymuje obraz na idealnie czystej białej feldze wyścigówki. Następnie ekipa filmowa z Ville na czele przemieszcza się na zewnątrz, słońce chowa się powoli za linią drzew. Rose idzie przodem, trzymając kamerę w skupieniu; Robert zostaje nieco z tyłu, próbując uchwycić rozwiane włosy Amidali, które błyszczą w złotym świetle popołudnia. Przestronny teren wokół rezydencji łączy ogrodową elegancję z naturalną dzikością. Z jednej strony tarasu stoi altana, a dalej znajduje się miejsce na wieczorne ogniska; z drugiej – długi basen i podgrzewane jacuzzi, które zlewają się z krajobrazem niczym tafla szkła. Wśród starych sosen i klonów, nieco na uboczu, stoi drewniany domek na drzewie, otoczony huśtawkami i linowymi drabinkami. Dawniej bawiło się tam rodzeństwo Rian, dziś to królestwo Amidali. Ogród schodzi łagodnie ku zatoce, gdzie przy prywatnym pomoście nie cumuje luksusowy jacht jak u sąsiadów lecz świadomie dobrana flota. Wyczynowa łódź regatowa, szybka motorówka i skuter wodny mówią więcej o stylu życia rodziny Rathore Rian niż jakikolwiek symbol bogactwa.

Rami właśnie cumuje katamaran. Rose robi zbliżenie na poler cumowniczy i idealnie zbuchtowaną linię. Mężczyzna przeciąga się, rzuca okiem w stronę kamery i przewraca oczami z przesadnym westchnieniem jakby już samo filmowanie było dla niego lekką torturą. Przez chwilę waha się, spogląda na dom, potem w obiektyw, a na końcu na Rose. Ona czuje podskórną, że zaraz z jego ust padnie coś ciekawego.

– Mamy nagrania z budowy tego domu – mówi w końcu, z lekko ironicznym tonem. – Możemy je obejrzeć.

Rose od razu spogląda na Villego i Emmę, którzy wybuchają śmiechem – bo wiedzą, że te filmy to właśnie to, na co czekali.

Późnym wieczorem w salonie Rianhouse, wszyscy z niecierpliwieniem czekają na obiecany seans filmowy z budowy sprzed niemal dwudziestu lat. Materiał trwa ponad dwie godziny, jest nieco chaotyczny – kręcony przez Gabriela, kuzyna, który wtedy uczęszczał do szkoły artystycznej i złapał bakcyła na filmowanie. Uchwycenie słynnego Ramiego Riana, znanego muzyka kochanego przez miliony fanów na całym świecie „w akcji” było dla niego świetną zabawą.

– No cóż – zaczyna Rami. – Na tych nagraniach zobaczycie już tych, których z nami nie ma.

Mia podchodzi do Emmy i Villego, obejmuje ich krótko.

– Tak, ale to miłe wspomnienia. Babcia Isobel i dziadek Veer Pratap będą zawsze w naszych sercach. Na ekranie miga pierwsze ujęcie – lekko rozmazane, z delikatnym szumem cyfrowej kamery. Dźwięk jest minimalnie przesunięty, więc Rami i Mia komentują obraz na bieżąco, dopowiadają wspomnienia i prostują szczegóły, jakby wracali do tamtych dni razem z nagraniem.

Wiatr huczał między rusztowaniami, unosząc drobiny piasku i zapach świeżego betonu. Plac budowy w Westend, ekskluzywnej dzielnicy Helsinek żył własnym rytmem – ciężkie maszyny jęczały przy cofaniu, gdzieś zgrzytnęła metalowa płyta, a w oddali robotnik krzyknął coś do drugiego, ale nikt go nie usłyszał przez huk. Przez szarą ziemię pełną kolein i błota przejechała ciężarówka, rozpryskując kałużę tuż przy świeżo postawionej tablicy informacyjnej. Był chłodny poranek, z tych, które noszą w sobie obietnicę nadchodzącego słońca, ale jeszcze nie oddają ciepła. Brudna ziemia parowała leniwie, a resztki marcowego zimna wciąż wisiały w powietrzu. Pośrodku tego bałaganu stał Maharadża Veer Pratap. Czapka z daszkiem, polar, kurtka robocza w kolorach ziemi, porządne, brudne już buty – wyglądał jak człowiek, który wie, co to fundament, zna każdy typ mieszanki i rozpoznaje źle rozlaną wylewkę z odległości dziesięciu metrów. Zmrużył oczy i spojrzał na zegarek. Ten na kogo czekał, miał być punktualnie. Nagle zza kontenera dobiegł chłupot i mokre kłapanięcie. Rami szedł pewnie, ze sceniczną gracją, że nie sposób było nie jej zauważyć – długi wełniany płaszcz falował z każdym krokiem, jakby w tle leciała dramatyczna muzyka z opery. Szal omotany wokół szyi, pod spodem marynarka, spodnie zaprasowane w kant i – o zgrozo – mokasyny. Każdy jego ruch krzyczał: „to nie moje środowisko”, a jednak brnął przez budowę z miną człowieka, który został wezwany przez los. W końcu dotarł do punktu, gdzie czekał Maharadża. Zatrzymał się, poprawił kołnierz, otrzepał płaszcz z błota i rzucił krótko:

– Dzień dobry.

Veer Pratap nie odpowiedział od razu. Spojrzał na zegarek.

– Spóźniłeś się dwie minuty.

– Kwadrans akademicki się nie liczy?

– Powiedz to prętom kontrolnym w reaktorze – odparł sucho Veer Pratap, nawet nie próbując wyjaśnić, co ma na myśli.

Młody Rian przewrócił oczami, odwrócił się teatralnie, jakby grał trzeci akt jakiegoś dramatu. Wysunął usteczką w dziubek, brew uniósł w geście aktora, który zaraz ma wygłosić monolog o kondycji człowieka.

– Ile razy byłeś na tej budowie? – padło pytanie z ust Maharadży, tonem bardziej przypominającym nauczyciela znającego już odpowiedź, niż człowieka oczekującego szczerości.

– Ja?

– Tak, ty. Nikogo obok mnie tu nie ma – odpowiedział chłodno rozglądając się wokół siebie – poza betonem i tym błotem, które chyba wie więcej niż ty o konstrukcji nośnej.

– No to... pierwszy raz – odpowiedział wsuwając dłonie do kieszeni płaszcza i patrząc w przestrzeń z miną filozofa.

– Wiesz przynajmniej, co to za beton? – spytał wskazując na wylewkę pod ich nogami.

– Szary?

– Upadły aniele... – zareagował mieszkanką irytacji i śmiechu – Ty naprawdę nie masz pojęcia, gdzie jesteś. Ale przynajmniej nie udajesz, że cię to obchodzi.

– Bo mnie nie obchodzi. Ale kazałeś mi tu być, więc jestem. I mi zimno.

– Doceniam młodzieńcze, że jesteś szczerzy.

Przyglądał się teraz świeżej wylewce. Kiwał głową z aprobatą i myślą: *przynajmniej beton mnie dziś nie zawiodł.*

Rami zbliżył się ostrożnie, stanął obok niego, uniósł kołnierz płaszcza i mruknął z obrzydzeniem:

– Zimno, nie?

– Nie – odpowiedział krótko Maharadża, nie odrywając wzroku od betonu.

I tak właśnie wyglądali: upadły anioł i władca konstrukcji, stojący nad parującym fundamentem, pośród błota, hałasu i chłodu – dwie skrajności połączone jednym projektem. I jedną kobietą, której imienia nawet nie trzeba było wypowiadać. Obaj jeszcze chwilę trwali w milczeniu, wsłuchani w świst wiatru i głucho dudnienie w tle.

Nagle na podjazd, wolno i bezszelestnie, wjechało czarne Volvo z przyciemnionymi szybami, które lśniły w bladym świetle poranka jak tafła lodu. Drzwi otworzyły się z lekkim kliknięciem. Wysiadł ojciec Ramiego – Lauri, a tuż za nim wyskoczyła Mia, z włosami spiętymi w ciasny kok, opatulona w puchową kurtkę z niedużym plecakiem przewieszonym przez ramię.

– Wybaczcie, ale mały Ville nie chciał zasnąć – powiedziała z uśmiechem, w którym tliło się zmęczenie młodej matki, ale też duma i siła.

Maharadża wyciągnął rękę i objął wnuczkę ramieniem z czułością topiącą każdy lód.

– To nic, kochanie – odpowiedział, a potem przeniósł wzrok na zbrojenie i świeżą wylewkę. – Spójrz na to, ja nie mam uwag.

– Byłam tu, kiedy wylewali beton. Było widać, że znają się na robocie.

Rami uniósł brew, skrzyżował ręce na piersi i wtrącił z teatralną powagą.

– To musiało być bardzo fascynujące przeżycie.

– I było! – rzuciła z lekkim rozbawieniem.

Veer Pratap odsunął się od krawędzi fundamentu, zdjął rękawiczkę i starannie strzepnął z niej pył. Spojrzał na swojego zięcia z tym charakterystycznym błyskiem w oku co miało zwiastować pytanie bez litości.

– Na kiedy zaplanowaliście szalunki, upadły aniele?

– Nie wziąłem kalendarza – wydusił z siebie z godnością tonącego arystokraty.

Mia nie powstrzymała uśmiechu. Oparła ręce na biodrach, skinęła głową w stronę dziadka i odpowiedziała rzeczowo:

– Ekipa wejdzie pod koniec kwietnia.

Lauri przysłuchiwał się tej wymianie zdań i przez sekundę wpatrywał się w swojego syna tak, jakby oceniał trwałość jego struktury nośnej.

– Dobrze, że chociaż twoja żona wie co się dzieje – mruknął.

– Nie pcham się gdzie mnie nie chcą – rzucił z przekąsem poprawiając szal i przestępując z nogi na nogę jak kot, który wszedł w śnieg. – A moje miejsce jest na scenie, a nie tu. Wiatr dmie, błoto chlupie, a wy tu od pół godziny rozprawiacie o tej szarej brei.

Maharadża wciągnął powietrze przez nos, odwrócił się w jego stronę z miną cierpliwego nauczyciela i oznajmił:

– Ja ci tylko przypominam, że to twój dom będzie betonowo – stalowo – szklany. Może więc łaskawie zainteresuj się tematem bo tu beton jest najważniejszy!

Mia odwróciła wzrok, siłać się na powagę, ale ramiona zaczęły jej lekko drżeć od powstrzymanego śmiechu. Oddychała ciężko walcząc z własnym rozsądkiem.

– Veer Pratap – wtrącił się Lauri z pobłażliwym uśmiechem – mój syn to artysta. Dwie lewe ręce do roboty. Daj mu młotek, to najpierw zepsuje, a potem zgubi. Nie oczekuj cudów.

Maharadża parsknął śmiechem ocierając łzę rozbawienia, Mia tylko pokiwała głową doskonale rozumiejąc, że jej mąż to nietuzinkowy człowiek.

Rami spojrzał na nich oburzonym wzrokiem, rozłożył ramiona dramatycznie.

– Jestem stworzony do muzyki, a nie jakiegoś młotkowania betonu!

– Upadły aniele... – westchnął Veer Pratap przewracając oczami. – I pomyśleć, że to właśnie ty jesteś głową tej rodziny.

– Głową? – powtórzył z przyklejonym uśmiechem do twarzy. – Proszę bardzo. Ale niech ta głowa będzie owinięta szalem i z dala od błota. Poza tym – dodał z teatralnym uśmiechem – mam szyję – mówiąc to spojrzał wymownie na swoją żonę.

– Zimno ci, kochanie? – spytała Mia, podchodząc do niego i muskając policzek.

– Zimno, wiesz... – odpowiedział wsadzając dłonie głębiej w kieszenie.

– To idź do samochodu. My chwilę podyskutujemy, a ty się ogrzej. Mój ty upadły aniele.

Rami uśmiechnął się, pocałował ją czule, ale za nim odszedł, zapytał:

– Kochanie, a co się stanie jak pręty kontrolne w reaktorze się spóźnią?

– Łubudu! – odparła bez emocji.

Otworzył szeroko oczy, pokiwał głową, jeszcze raz ją pocałował i, zgodnie z jej radą, poszedł schować się do ciepłego wnętrza Volvo.

Rozmowa o betonie i zbrojeniach trwała tak długo, że zdążył nie tylko rozgrzać dłonie, ale i zapisać w notesie kilka wersów. W ciszy samochodu słowa same zaczęły układać się w rytm – spokojny, z tą charakterystyczną nutą melancholii, która zawsze wracała, kiedy miał za dużo czasu na myślenie. Tak powstał załączek *Fallen Angel* – kolejny świetny hit The R. Requiem. Piosenka błyskawicznie podbiła listy przebojów i do dziś potrafi zabrznieć w radiu. A wszystko zaczęło się w błocie i pięciu stopniach powyżej zera.

Nagranie kończy się ujęciem samolotu przelatującego nad Zatoką Helsińską. Wszyscy oglądający – w dobrych humorach, z rozbawieniem poruszają się mimowolnie na swoich miejscach; ktoś dopija herbatę, ktoś sięga po telefon, ktoś ziewa.

– Mamo – zaczyna Ville – chcesz mi powiedzieć, że na katastrofę w elektrowni w Czarnobylu mówisz „łubudu”?

Ona tylko potakuje, rozkładając ręce, a na jej twarzy pojawia się ironiczny uśmiech.

– Katastrofa w Czarnobylu miała długi łańcuch przyczyn i skutków, a jej konsekwencje Europa odczuwała przez dziesięciolecia. Ale tam, na budowie, to nie był moment na wykład o fizyce jądrowej – mówi spokojnie. – Miałam wtedy do czynienia ze zmarzniętym artystą, który, gdyby się nie ogrzał w samochodzie, pewnie zaraz byłby chory. Widziałeś ten płaszcz i mokasyny?

Wszyscy przytakują z poważnymi minami, zerkając na Ramiego kręcącego głową i udającego oburzenie.

– To też było ciekawe – mówi po chwili. – Że do Maharadży, czyli pradziadka w Radżastanie, zwracano się „Wasza Wysokość”, a tu tatuś się z nim przekomarza na budowie i do tego mówi, że beton go nie obchodzi.

– Dziadek bardzo lubił twojego ojca – odzywa się Mia ciepło. – Szanował go za talent, szczerość... i miłość do mnie i do was.

– Tak, lubiliśmy się – dodaje Rami wesoło i na znak Mii włącza kolejny film z listy.

Jeszcze tego samego dnia cała czwórka wróciła do domu Lauriego, gdzie czekały na nich Maharanii Isobel i Kirsti, przyjaciółka Lauriego. Obie opiekowały się Ville i Emmą gdy reszta była na budowie.

Teraz w przytulnym salonie, pełnym drewna, tkanin i klasycznych mebli, pachniało ciepłem i spokojem. Ogień trzaskał w kominku, a na stole rozłożono ogromne arkusze z projektami Rianhouse. Wszyscy siedzieli pochylni nad planami, każdy w innej pozie – Lauri z dłońmi opartymi na kolanach, Maharadża podpierający głowę, Isobel z filiżanką herbaty, którą co chwila unosiła do ust, by ukryć rozbawienie. Tym razem nie chodziło już o fundamenty ani instalacje, lecz o wnętrze. O to, jak ten dom miał wyglądać, pachnieć, brzmieć, żyć. Koncepcja budynku opierała się na nowoczesnym, wręcz futurystycznym designie.

Choć budowę rozpoczęto w 2005 roku, projekt wyprzedzał epokę – surowy beton, stal i szkło tworzyły kompozycję, jaką w architekturze zaczęto doceniać dopiero dekadę później.

Rianhouse był monumentalny. Sercem budynku była ogromna, otwarta przestrzeń łącząca kuchnię, jadalnię i salon. Oprócz niej znajdowały się tam rodzinne apartamenty, kilka pokoi gościnnych, gabinety

oraz prywatne studio nagrań. Projekt przewidywał również strefę sportową i spa, a w podziemiach – wielostanowiskowy garaż.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że budowa tak imponującej rezydencji dla dwudziestoosmioletniego Ramiego Riana to ekstrawaganckie szaleństwo finansowe. Ale nic bardziej mylnego. Po prawie dekadzie na scenie i czterech albumach zespołu The R. Requiem, Rami zarabiał ogromne pieniądze – na wyprzedanych trasach koncertowych, sprzedaży płyt i lukratywnych tantiemach. Do tego dochodziły prywatne inwestycje, którymi z niezwykłą precyzją zarządzał jego ojciec, Lauri Mannerheim – szanowany fiński przedsiębiorca i ekspert od przemysłu drzewnego. To właśnie on trzymał pieczę nad finansami syna, pozwalając Ramiemu pozostać tym, kim naprawdę był – artystą, nie księgowym. Dzięki temu Rami już w połowie pierwszej dekady XXI wieku znalazł się na liście najbogatszych Finów. Jego małżeństwo z Miraayą Rathore – kobietą o błyskotliwym umyśle i potężnym zapleczu korporacyjnym Indivar Group sprawiło, że w kolejnych latach nie tylko umacniał swoją pozycję w świecie muzyki, ale krok po kroku budował też własne imperium medialne – RRstudio. Rami miał wszystko, czego artysta może potrzebować, by tworzyć: merytoryczne zaplecze, wsparcie PR-owe, doradztwo inwestycyjne i emocjonalną przystań w domu. Nigdy nie musiał martwić się o pieniądze, wizerunek czy kontrakty. Mógł po prostu tworzyć – i to robił z rozmachem. To właśnie dzięki niemu The R. Requiem stało się nie tylko zespołem, lecz marką samą w sobie. Byli jednymi z pierwszych, którzy dostrzegli potencjał rodzącego się internetu. Zaczęli publikować materiały zza kulis: zdjęcia z tras, fragmenty prób, codzienne urywki z życia zespołu. Nie robili tego z kalkulacji, lecz z potrzeby bliskości – chcieli, by fani mogli być częścią ich świata. I choć te nagrania nie były nawet w połowie tak dopracowane jak obecnie program jego syna – *Liberty Fade Life*, miały w sobie coś bezcennego: prawdziwość, świeżość i ducha nowej epoki. Wszystko, czego dotknął Rami, miało w sobie tę samą cechę – ponadczasowość. Tak było z jego muzyką, występami, projektami indywidualnymi... i tak miało też być z jego domem. Rianhouse zbudowany z betonu, stali i szkła, z widokiem na Zatokę Helsińską był czymś więcej niż rezydencją. Był manifestem epoki, symbolem momentu, w którym sztuka i inżynieria zasiadły przy jednym stole.

Maharadża Veer Pratap, Maharanii Isobel, Lauri i Kristi pochylali się nad projektem, krzywiąc się przy tym i zerkając na siebie wymownie. Kartki szurały po stole, gdy Veer Pratap obracał arkusze w poszukiwaniu właściwego rzutu. Mia siedziała po drugiej stronie z Emmą na kolanach, a Rami trzymał małego Villego, przytulając go mocniej pozwalając by dziecko było tarczą przed nadciągającą lawiną komentarzy.

Kristi nieśmiało przechyliła się nad arkuszem, przyglądając się uważnie planowi salonu.

– Ten dom to istna forteca – powiedziała wesoło, a w jej głosie słychać było autentyczne rozbawienie.

– To nie forteca – poprawiła ją z błyskiem w oku Maharanii. – To bunkier. Oni szykują się na wojnę. – Rzuciła to takim tonem, że Rami i Mia w tym samym momencie zrobili identyczny gest: schowali głowy w ramiona dzieci, jakby próbowali się za nimi ukryć.

Veer Pratap rozłożył przed sobą duży rzut parteru i uniósł go do światła.

– A widzicie ten układ przestrzeni na dole? – powiedział, stukając palcem w plan. – To wygląda jak komora reaktora jądrowego: stal, beton i minimalizm.

Rozległa się salwa śmiechu, długa i głośna. Isobel aż otarła oczy z łez, Lauri oparł się o oparcie fotela. Emma zaczęła bić brawo, zadowolona z zamieszania, a Ville tylko ziewnął szeroko.

Kristi, która w końcu odzyskała oddech, wskazała na wizualizację salonu.

– Ja się tylko zastanawiam, kto im to wszystko będzie sprzątał – mruknęła. – Biała, błyszcząca podłoga, szklane tafle od ziemi po sufit, lustra i polerowane meble. Dzieci będą miały używanie. – Uniosła brew w stronę Mii, a ta, choć próbowała zachować marmurową twarz, nie zdołała ukryć uśmiechu.

Lauri, człowiek od drewna, nachylił się z powagą nad projektem i rzucił tonem, który miał zabrzmieć neutralnie, ale zabrzmiał jak wyrok:

– Przydałoby się to wewnątrz trochę ocieplić. Drewniane podłogi załatwiłyby sprawę.

Rami przesunął Villego na drugie kolano i spojrzał na ojca spod półprzymkniętych powiek.

– Biała podłoga oddaje stan mojej pustej duszy – powiedział sucho, po czym westchnął i przewrócił oczami z przesadnym dramatyzmem.

Ville parsknął śmiechem, choć nikt nie wiedział, czy rozumiał, o co chodzi. Starszyzna pokręciła głowami z pobażaniem, a Veer Pratap rozłożył kolejny arkusz.

– A tu proszę – kuchnia. – Zerknął na Isobel, a potem na Mię. – Jedna na pokaz – biała, błyszcząca, jak laboratorium. A tu, robocza – czarna jak grób. Upadły aniele to twój genialny pomysł? – dodał patrząc na zięcia, który tylko się skrzywił i nie odezwał się słowem.

– Już widzę – dodała Kristi, chichocząc – jak kucharka szuka czarnej patelni na czarnym blacie między czarnymi szafkami.

Lauri chichocząc pod nosem wspomniał coś o ukrytych drzwiach, a następnie sięgnął po kolejny arkusz, ten z planem sypialni gościnnej, przeznaczonej dla niego i Kristi.

– Isobel – zwrócił się z udawaną powagą – wy też w sypialni nie macie mebli?

Maharanii uniosła podbródek, wzruszyła ramionami i odpowiedziała z godnością:

– W zasadzie można tak powiedzieć, choć zaprojektowali nam lewitujące łóżko i stoliki nocne ze stali.

Veer Pratap dopowiedział z uśmiechem pod nosem:

– Oraz wielkie okno. – Wymówił to takim tonem, że Mia aż zamarła, po czym spojrzała na dziadka lodowato.

– Tu macie biurko – wskazała palcem w projekt. – To też mebel.

– A tak! – zawołała Isobel, klaszcząc w dłonie. – Szklane biurko na stalowych nogach. Czyli coś, czego praktycznie nie widać.

– Antero – zaczęła Mia zachowując niewinny ton – może poproszę architekta, żeby zrobił wizualizację z drewnianymi podłogami?

Rami odchylił się jeszcze bardziej, wzdychając przeciągle, po czym spojrzał na nią dramatycznie.

– Kochanie, rysuj sobie, co chcesz. Ale pamiętaj, nigdy, przenigdy nie zgodzę się na drewniane podłogi. To moje ostatnie słowo.

Nikt nie odpowiedział – wszyscy próbowali opanować rozbawienie. Nawet mały Ville wyszczerzył się, jakby przeczuwał, że jego ojciec właśnie przegrał bitwę o wymarzone białe kafle na podłodze.

Obraz drży i zatrzymuje się w pół ruchu na próbkach białych płytek i czarnych blatów. Ekran ciemnieje.

Wszyscy zgromadzeni w salonie patrzą na elegancką drewnianą podłogę, a później na siebie i jak na zawołanie wybuchają gromkim śmiechem.

– No to przeforsowałeś swoje jasne kafle – rzuca Robert wesoło, klepiąc Ramiego po plecach.

– Cicho. Zmieniła mi się wizja artystyczna – dodaje marszcząc brwi.

Nikt już więcej nie mówi, bo każdy wie, kto ostatecznie zdecydował o wyglądzie podłogi i wielu innych rzeczy w Rianhouse. Rami z niewyraźną miną i wspomnieniami z tamtych czasów wyszukuje w pamięci dysku kolejny materiał nagrywany przez jego kuzyna. Tym razem włącza przebitki z budowy ścian, dachu, tynkowania i wyboru mebli. Obraz raz po raz drży, kadr czasem zbyt długo zatrzymuje się na pustym fragmencie, innym razem zsuwa się z głównego planu. Widać, że kuzyn dopiero uczył się kamery, jeszcze nie wiedział, co chce pokazać, ale właśnie w tej nieporadności tkwiło coś autentycznego – szczerść pierwszych ujęć rodzinnej historii.

– Wprowadziliśmy się jakieś trzy lata później – zaczyna Mia, patrząc na męża, i obydwójce parszczą śmiechem, bo już wiedzą, co obejrzą w następnym materiale.

Rose i Robert zacierają ręce z ciekawości, rozsiadają się wygodniej czując, że najlepsze dopiero przed nimi, a Emma i Ville znając te archiwalne nagrania zachowują kamienną twarz.

Wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy Rianowie z dziećmi wprowadzili się do Rianhouse. Dom wreszcie był gotowy – ogromny, surowy i nowoczesny, pachnący jeszcze świeżym betonem i farbą. Brakowało paru drobiazków, które wkrótce miały zostać dostarczone: lamp, zasłon i kilku elementów wyposażenia, ale przestrzeń już oddychała własnym rytmem. Za oknami trwała jeszcze budowa prywatnego pomostu i betonowej altany nad zatoką.

Ciekawa i wścibska starszyzna zjawiała się w Westend szybciej, niż młodzi się tego spodziewali. Dzieci – Emma i Ville – ucieszyły się z tej wizyty bardziej niż ktokolwiek. Prowadziły Maharadżę, Maharani, dziadka Lauriego i Kristi po przestronnych korytarzach, pokazując im wszystko z entuzjazmem rozświetlającym wnętrza lepiej niż reflektory. Starsi kiwali głowami w ironicznym uznaniu dla minimalistycznych wnętrz, oszczędzając swoje komentarze – przynajmniej na razie. Wiedzieli, że właściwy moment na półśmiechy i lekkie docinki dopiero nadejdzie, gdy usiądą w salonie.

A salon, zalany mlecznym światłem, wyglądał jak fragment futurystycznego snu: białe sofy, połyskujące powierzchnie kuchennych mebli, tafle okien i lustra odbijające każdy gest. Nawet ogień w kominku wydawał się tu zbyt żywy, zbyt emocjonalny jak na tę przestrzeń. Rami siedział na podłodze z dziećmi, układając z nimi budowlę z klocków. Jego dłonie poruszały się powoli, z tą teatralną gracją, której nie potrafił się pozbyć nawet w domowym chaosie. Emma chichotała, Ville skupiał się z całą powagą czterolatka.

Lauri, obserwując to z boku, odchrząknął cicho.

– Dobrze, że zdecydowaliście się na drewnianą podłogę. Na białych kafkach to byś sobie posiedział.

Rami zacisnął zęby, czując, że to dopiero początek długiego popołudnia ze starszymi. Uśmiechnął się do ojca krzywo, z tą wymuszoną pogodą i wrócił do klockowej wieży, która w tej chwili wydawała się znacznie bezpieczniejsza niż jakakolwiek rozmowa.

Mia stała za wyspą kuchenną swojej „kuchni na pokaz”, wciąż pachnącej nowością i czystością. Układała szklanki na półkach, z uśmiechem i dumą gospodyni, która wiedziała, że wszystko dopięła na

ostatni guzik. W tej ciszy gdzie słycać było jedynie trzask szkła o szkło, rozległ się nagle tupot małych stóp. Ville podbiegł do niej i przytulił się do jej nogi, a jego paluszki zostawiły ślady na lśniących, idealnych frontach szafek.

– Ville, szafki, nie dotykaj szafek – powiedziała ciepłym głosem, choć jej ciało napięło się niczym struna. Uśmiechnęła się, ale w oczach widać było to delikatne drgnięcie perfekcjonizmu, który właśnie dostał mały cios od dziecka sięgającego po swój soczek i uśmiechającego się jak czort.

– Ville – zwrócił mu uwagę Rami, unosząc brew kiedy zobaczył swojego syna wspinającego się na biały fotel z sokiem w ręku – jak pijesz, to nie chlap.

Starszyzna wymieniła porozumiewawcze spojrzenia gdzie błyszczało rozbawienie, ale nikt nic nie powiedział. Wszyscy wiedzieli, że życie w szklanym pałacu ma swoje prawa – i swoje ofiary.

Emma zbierała klocki z podłogi, jej sukienka szurała lekko po drewnianej powierzchni. Odwracając się do okna, nagle przystanąła, a jej oczy zrobiły się wielkie z zachwytu.

– Statek! – piszczała, opierając drobne dłonie o szybę.

Rami niemal zamarł w pół ruchu. Gitarę trzymał już na kolanach, gotów do grania, ale teraz wyglądał, jakby ktoś zabrał mu struny spod palców.

– Emma, okno, odsuń się od okna – wycedził z nerwowym spokojem, z typową dla siebie teatralną powagą. Przeczesał włosy do tyłu próbując odzyskać kontrolę nad rzeczywistością.

– Oj, przepraszam – rzuciła wesoło dziewczynka i posłusznie cofnęła się o krok.

Chwilę później Ville dostrzegł ten sam statek. Zostawił sok na fotelu, podbiegł do drugiego skrzydła okiennego i przykleił się do niego całym ciałem jak glonojad do szyby.

– Synu, okno! – Rami niemal krzyknął, zrywając się z miejsca. Kiedy zauważył pomarańczowe kropelki soku spływające po białym obiciu fotela, jego twarz przybrała wyraz rezygnacji, który mówił więcej niż tysiąc słów.

Ville jeszcze przez chwilę trwał przy szybie, zostawiając mnóstwo odcisków rąbek i własnego czoła. Mia wzięła ściereczkę, drugą podała mężowi. On przecierał fotel, a ona próbowała zetrzeć ślady z szyb, jednak z każdym ruchem robiła jeszcze większe smugi.

– No nic, zaraz poproszę gosposię, żeby to ogardnęła – powiedziała w końcu, szczerząc się z tym swoim spokojnym humorem, którym potrafiła rozbroić każdą sytuację.

– Dobrze, że zestaw wypoczynkowy jest z łatwo piorącego się materiału – skwitował Rami, patrząc na chichrającą się starszyznę.

Rozmowy toczyły się dalej, w tle brzdękały dźwięki jego gitary, a kominek przyjemnie trzaskał. Emma wreszcie usiadła ojcu na kolanach, a on ustawiał jej drobne palce na strunach, pokazując akordy z cierpliwością i dumą, że córka tak dobrze sobie radzi.

– Wiecie, jak dorosnę, będę listonoszem – oznajmiła dziewczynka z pewnością siebie, patrząc z powagą na dziadka Lauriego i pradziadka Veer Pratapa. Starsi uśmiechnęli się z czułością, opowiadając coś o listach, które muszą przebyć długą drogę, by trafić do adresata.

Rami uniósł głowę znad gitary z charakterystycznym błyskiem ironii w oczach.

– Listonoszem... – powtórzył pod nosem. – To już zacznij sobie szukać bogatego męża.

– Antero! – zwróciła mu uwagę Mia, wciąż trzymając w dłoniach wypolerowane widelce, które właśnie układała do szufflady.

– No co?

Mia przewróciła oczami, zamknęła szufladę i kucnęła przy córce próbującej zagrać jakiś akord.

– A jak myślisz, kim będzie twój brat? – spytała łagodnie, kierując spojrzenie na Villego patrzącego niepewnie na gitarę.

– Pewnie kurierem – wymamrotał Rami pod nosem, wiedząc, że jego córka od tygodnia była zafascynowana książeczką o listach i paczkach.

– Antero! – powiedziała stanowczo Mia, nie odrywając wzroku od dzieci.

– Nie kurierem. Będzie pracownikiem poczty.

Wszyscy uśmiechnęli się ciepło, a Ville przytaknął z zapalem, rozlewając przy tym trochę soku na podłogę. Rami spojrzał na plamę z rezygnacją i ledwo zauważalnym grymasem, jakby właśnie pogodził się z losem człowieka już wiedzącego, że utrzymanie idealnego porządku w tym domu będzie niemożliwe.

Niedługo później, po krótkiej debacie na temat przesyłek kurierskich, logistyki i innych ciekawostek, które Emma znalazła w swojej książeczce, dziadek Lauri wstał i ruszył w stronę korytarza.

– Rami! – krzyknął po chwili. – Gdzie jest łazienka?

– Po prawej! – odkrzyknął syn z salonu.

– Upadły aniele, toż wiem, że po prawej, ale nie widzę drzwi! – padła odpowiedź, w której brzmiało już lekkie zdesperowanie.

Rami uniósł brew, westchnął teatralnie i powoli wstał z fotela. Poprawił jedwabną apaszkę, jakby miał właśnie wejść na scenę, po czym skierował się w stronę szaro – stalowego korytarza. Betonowe ściany połyskiwały chłodno, a każda z nich wyglądała identycznie, niczym element scenografii z futurystycznego filmu.

– Są... eee... – zawahał się przez chwilę, mrużąc oczy. – O, tu! – wykrzyknął z triumfalnym tonem, dostrzegając wreszcie ledwie widoczną, szarą kławkę zlicowaną z betonową ścianą.

Lauri spojrzał na niego wymownie, z tym spokojnym politowaniem, które tylko ojcowie potrafią okazać swoim dorosłym synom. W tym samym czasie Mia zebrała zamówienie na kawę, a że w kuchni na pokaz wciąż brakowało ekspresu, musiała przenieść się do kuchni roboczej. Za nią, jak po nitce do kłębka, ruszyła cała rodzina – ciekawska, rozbawiona i gotowa na kolejną odsłonę domowej farsy. Po fali zasmużonych okien, brudnego białego fotela i niewidzialnych drzwi, nadszedł czas na czarny akt dramatu designerskich wnętrz.

– Kochanie – zaczął Rami, drapiąc się po karku i rozglądając z lekkim niepokojem – widziałas gdzieś trzecią filiżankę? Stała tu, obok ekspresu.

Mia wzruszyła ramionami, zmarszczyła czoło i wpatrzyła się w czarny blat, próbując wypatrzeć przezroczystą filiżankę, która jakimś cudem zniknęła na tle ściany w tym samym odcieniu czerni. Przez chwilę oboje stali tak, w ciszy, z minami ludzi biorących udział w eksperymencie optycznym, a starszyzna obserwowała ich z rosnącym rozbawieniem, wymieniając spojrzenia pełne niemej ironii.

– O, mam – powiedziała wreszcie Mia, z triumfem podnosząc pustą filiżankę z blatu. Podała ją mężowi, po drodze potracając niechcący drugą. Kawa rozlała się na blat w cienkiej, lśniącej smudze, której czarny kolor niemal wtopił się w tło.

Rami uśmiechnął się do żony z pobażaniem, sięgnął po ściereczkę i powoli startł krople.

Nikt nie musiał nic mówić – wszyscy doskonale wiedzieli, że właśnie tak wyobrażali sobie życie młodych w nowoczesnej rezydencji: z niewidzialnymi drzwiami, przezroczystymi filiżankami i dziecięcymi odciskami dłoni na szybach.

Maharanii poprawiła swoją złotą bransoletkę i z uśmiechem westchnęła:

– Cóż... przynajmniej nie można powiedzieć, że się tu nudzą.

W czarnej kuchni rozległ się śmiech, a echo odbiło się od szkła i stali – zupełnie jakby dom sam śmiał się z własnej nowoczesności.

Kamera lekko drży, zatrzymując kadr na błyszczącym, czarnym blacie, na którym stoją trzy ledwo dostrzegalne filiżanki z kawą. Refleksy światła przesuwają się po powierzchni, a w obiektywie widać jeszcze rozmazane odbicie sylwetki Mii. Po chwili obraz zastyga, a ekran stopniowo ciemnieje.

Atmosfera w salonie jest swobodna – słychać szelest ubrań, ciche stuknięcie filiżanki o spodek, kilka cichych śmiechów w tle.

– To kiedy zmieniliście blaty w czarnej kuchni, bo teraz są drewniane – pyta Rose patrząc wymownie na Mię.

Ona wzdycha przeciągle, popijając herbatę niespiesznie. Czuje na sobie kilka par oczu, które z zaciekawieniem czekają na jej odpowiedź.

– No, niedługo po wyjeździe naszych gości, kiedy kucharka płakała, że nie może znaleźć naczyń i nie widzi, co kroi.

– A kiedy zawiesiliście te artystyczne plakietki z oznaczeniem pomieszczeń na drzwiach?

– Jakoś po pierwszej imprezie, były pewne problemy ze znalezieniem ukrytych drzwi – dodaje Rami, z tą charakterystyczną nutą suchości w głosie, która sprawia, że wszyscy znów się uśmiechają.

Rose zaciera ręce, spogląda na Villego wymownie; jej spojrzenie aż iskrzy od pomysłu rodzącego się w jej głowie. Ville tylko się uśmiecha, doskonale wiedząc, co knuje jego ukochana.

– Mamo – zwraca się do Mii – a może Rose by zrobiła porządek z tymi materiałami i byśmy użyli coś do odcinka?

W salonie natychmiast robi się żywiej – doskonale wiedzą, że widzowie będą mieli niezły ubaw, oglądając młodego Riana przekomarzającego się z samym Maharadżą i zmagającego się z własnymi dwoma lewymi rękami do majsterkowania. A historia powstania *Fallen Angel* to przecież prawdziwy rarytas dla fanów The R. Requiem – nikt nie przegapi takiego materiału. Mia kiwa głową na znak, że bardzo chętnie zobaczy poskładany odcinek, szczególnie że jej mąż nie wygląda na zadowolonego z tego pomysłu.

Rozdział 21

Liberty Fade nagrywają trzeci album

Po tygodniach spędzonych w Helsinkach, wypełnionych morderczą pracą w studiu i na planie pierwszego singla, członkowie Liberty Fade siadają wreszcie do stołu z Ramim. Spotkanie ma podsumować dotychczasowe efekty nagrań. Atmosfera od początku jest gęsta – każdy przeczuwa, co zaraz usłyszy od producenta i które utwory wypadną z listy jako niepasujące do albumu.

Na stole w piętrzą się notatki, szkice tekstów i rozrzucone kable od słuchawek, które co chwilę ktoś niechcący strąca. Powietrze jest gęste od zapachu kawy i zmęczenia. Rami opiera się o biurko, stukając palcami w blat, i spogląda na wszystkich z chłodnym spokojem. Przeczesuje dłonią włosy do tyłu, jakby chciał zebrać myśli, po czym prostuje się.

– Mamy problem. Pięć singli to za dużo, powinny być trzy, maksymalnie cztery. Przecież nie muszę wam tego tłumaczyć.

Sięga po kartkę z listą numerów, podnosi ją i macha nią lekko w powietrzu, jakby chciał wszystkich obudzić.

– *Green Light* i *Face Of Glass* są zbyt elektroniczne. Ten krążek miał być rockowy. Jasne, mamy tu kawał mocnego materiału, ale jak wywalimy te dwa tracki, to zostaje nam za chudy set, za mało na pełnoprawny album.

Ville, przeciągając się ostentacyjnie, opiera się wygodnie w fotelu i splata dłonie za głową.

– To wywalmy singiel, ale zostawmy *Face Of Glass* – rzuca z lekkim uśmiechem, jakby specjalnie prowokował. – Od zawsze mieszamy elektronikę z rockiem, to żaden kosmos.

– Nie do końca tak jest, synu. Po pierwsze – to za dużo elektroniki. A Thomas w porównaniu z poprzednimi dwoma krążkami ma teraz pełne zwrotki i refreny. Jak ty to widzisz na koncertach? Masz DJ-a, który jest jednocześnie drugim wokalem, hype-manem i jeszcze ma ogarniać laptopa?

Ville wzdycha teatralnie, odchylając głowę do tyłu.

– Co racja, to racja. Nasz wodzirej nie ma czterech rąk.

W pomieszczeniu rozlega się kilka krótkich śmiechów, a reszta kiwa głowami. Thomas jednak nie śmieje się – tylko opuszcza ramiona, jakby nagle spadło z nich ciężkie obciążenie. Do tej pory siedział spięty, z dłonią nerwowo błędzącą po kolanie, stukając palcami w materiał spodni. Teraz wydycha powietrze tak głośno, że brzmi to niemal jak westchnienie ulgi. Czuje, że napięcie trochę puszcza – bo choć wokal nie jest dla niego nowością, to świadomość, że dostał całe zwrotki i refreny, ciążyła mu jak dodatkowy sprzęt do obsłużenia. Palce jeszcze przez chwilę drżą na udzie, jakby chciały sprawdzić, czy naprawdę jest już lżej.

Rami marszczy brwi, długopis stuka nerwowo o kartkę w rytmie jak metronom.

– *Green Light* to singiel, a mamy się jednego singla pozbyć. Takie perełki należy schować i wyciągnąć, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, a *Face Of Glass* do tego jest radosne, totalnie nie pasuje do koncepcji.

Wszyscy przytakują, patrząc na producenta z podziwem – widać, że doskonale wie, co robi. Rami od lat siedzi w branży, ma ucho do hitów i instynkt, który rzadko go zawodzi. Potrafi wyczuć moment, w którym piosenka stanie się przebojem, i bezlitośnie odrzucić numer, który nie trzyma poziomu. Jego chłodna pewność siebie i spokój starych muzycznych wyjadaczy sprawiają, że nawet najbardziej uparte

pomysły członków zespołu błędą przy jego argumentach. W jego decyzjach nie ma chaosu ani emocjonalnych wahań – tylko doświadczenie, praktyka i twarde zasady rynku.

Ville uśmiecha się lekko, niemal prowokacyjnie.

– Napisałem to dla Rose. Ona daje mi radość.

Na te słowa Robert i Paul wymieniają szybkie spojrzenie, a potem jednocześnie unoszą dłonie i formują z palców serduszka, parodiując romantyczne uniesienia. Emma i Robert chichoczą, a atmosfera na moment łagodnieje. Rami przewraca oczami, a jego westchnienie niemal ginie w szumie klimatyzatora. Doskonale wie, że jego syn zakochał się w Rose po uszy. Mimo to odpowiada stanowczo:

– Czwarty krążek zrobicie sobie radosny i zgodnie z waszymi marzeniami dodacie tyle beatu, ile będziecie chcieli. Wtedy zaangażujecie DJ–a z zewnątrz. Nie będę oponował. Ale teraz pracujemy nad trzecim. Przypominam tylko, że ma być rockowo.

Ville zerka porozumiewawczo na Thomasa; obaj wymieniają szybkie spojrzenie, które mówi więcej niż słowa – widać, że już układają sobie w głowach pomysły na przyszłość. W tym samym czasie reszta zespołu zaczyna przytakiwać, a dyskusja powoli gaśnie. Decyzja zapada niemal bez głosu sprzeciwu: Rami ma rację – za dużo elektroniki, zbyt wielkie obciążenie dla Thomasa, niespójny tekst. Dwie wskazane piosenki zostają ostatecznie skreślone z listy.

– Zostało nam dziewięć utworów. Mało – stwierdza Rami, odkładając kartkę na stół z głośnym trzaskiem papieru. – Zaakceptuję dziesięć. Potrzebujemy jeszcze jednej przeciętnej piosenki. Takiej, która da krążkowi oddech. Synu?

Ville rozkłada ręce szeroko, poddając się losowi i mając nadzieję, że ten przyniesie mu wenę.

– No super, tylko ty chcesz przeciętną. Wiesz, ojcze, że ja nie mam w szufladzie katalogu z wyborem: dobre, złe, przeciętne.

Rami wzdycha ciężko, przesuwając dłonią po twarzy, ale w jego tonie słychać nutę wyrozumiałości.

– Postaraj się. Thomas ci pomoże.

W sali konferencyjnej zapada krótka cisza, po chwili krzesła zaczynają zgrzytać o podłogę, a ktoś strąca puste kubki po kawie, które z brzękiem toczą się pod stół. Zespół powoli podnosi się, ziewając i przeciągając sztywne plecy. Ville jeszcze chwilę siedzi, jakby rozważał słowa ojca, po czym również wstaje. Zmęczona ekipa wreszcie kieruje się w stronę wyjścia – czas wrócić do Rianhouse i odespać ostatnie dni.

Kolejnego popołudnia Libertyn siada do fortepianu i... zaczyna się jego katorga. Rose po raz pierwszy doświadcza artystycznego doła swojego chłopaka. Przez kolejne trzy dni nie wychodzi z pokoju, śpi na podłodze, prawie nie je i nie pije. W kółko próbuje coś napisać, coś zagrać, ale nic nie przychodzi mu do głowy. Kartki z notatkami piętrzą się wokół fortepianu, a Rose cierpliwie zajmuje się nim na zmianę z Mią. Dbają o to, by choć trochę zjadł, napił się i przespał kilka godzin w ciągu doby. Nocą bywa jeszcze gorzej. Chłopak, wyczerpany i rozdarty, budzi się co chwilę z twarzą ukrytą w ramionach, a ciche dźwięki fortepianu ustępują miejsca jego łzom. Czasem płacze w milczeniu, tak że serce dziewczyny się ściska. Zsuwa się wtedy obok niego na podłogę, obejmuje go ramionami i zostaje tam, dopóki nie zaśnie z twarzą wtuloną w jej koszulkę. Śpią razem na twardych deskach, wśród rozsypanych kartek i kabli, jakby cały świat ograniczał się do tego jednego pokoju i jego bólu twórczego.

Rose na początku tego nie rozumiała. Przecież gdyby się uprzeć, jeden z odrzuconych przez Ramiiego numerów mógłby spokojnie wejść na płytę. Dopiero Emma, na spokojnie, wytłumaczyła jej, jak działa ten świat. To ironia losu w branży muzycznej: słaby album jest po prostu słaby, ale zbyt mocny też bywa problemem. Krążek nie może składać się z samych hitów – bo one zaczynają się nawzajem zagłuszać, single zabierają sobie zasięgi, a presja na kolejną płytę rośnie do granic absurdu. Dlatego Rami Rian walczy do końca. Szczególnie, że mają jeszcze czas.

Rose wreszcie to pojmuje. Gdyby chodziło o inną wytwórnę, o kogoś z zewnątrz, liczyłoby się tylko tu i teraz. Ale Rami doskonale wie, jak trudno jest stworzyć singiel i jak bardzo trzeba o niego dbać.

Presję jednak czuje nie tylko Ville. Każdy próbuje swoich sił. Emma i Paul siadają z gitarami, Robert wali w bębny tak, że dudni w całym domu, a Thomas miksuje wszystko, co się da. Mimo to wszyscy wiedzą, że to Libertyn jest kompozytorem i to na nim spoczywa odpowiedzialność za utwory i ich brzmienie. To jest cena, jaką płaci za sławę, rozpoznawalność i miliony, które co roku spływają na jego konto.

Niedługo później Rose poznaje kolejną stronę życia z prawdziwym artystą. Popelnia błąd, nieświadomie, bo brak doświadczenia bywa bezlitosny. Lekcję, którą dostanie, zapamięta na zawsze: kiedy Ville komponuje, ona ma milczeć, bo jedno słowo za dużo może wywołać w nim strach, utratę poczucia bezpieczeństwa albo panikę. Chłopak siedzi nad fortepianem, pochylony, jakby cały jego ciężar opierał się na klawiszach. Palce bezwiednie uderzają w kolejne dźwięki, które składają się w chaotyczne, urywane akordy. Powietrze w pokoju jest ciężkie od napięcia i dźwięków, które zamiast muzyki przypominają szarpaninę z samym sobą. Kartki z notatkami walają się po podłodze, część z nich zmięta, inne zapisane w pośpiechu i porzucone. Ville w dresie, z zaczesanymi do tyłu włosami i opaską, by grzywka nie wchodziła mu w oczy, wygląda jak ktoś od tygodni odcięty od świata. Rose wchodzi po cichu do sypialni, krok po kroku, starając się, by podłoga nie zaskrzypiała. Zamyka drzwi niemal bezgłośnie, ale i tak zawiasy wydają z siebie dźwięk, który w tej ciszy zdaje się złowroźny.

– Villuś, chcę pogadać – mówi w końcu.

Chłopak odrywa wzrok od nut, bierze głęboki oddech i podnosi na nią zmęczone, zrezygnowane oczy. Skinieniem głowy pokazuje, by mówiła.

– Wiesz, ostatnio dostałam ciekawą propozycję miesięcznego stażu w Japonii, to duża szansa. W styczniu, albo...

– W styczniu – wykrzykuje zrywając się na równe nogi, jakby to jedno słowo miało w sobie cały dramat.

– Kiedy ja wydaję najważniejszy w życiu album. Kiedy będę sam. W najgorszych pierwszych tygodniach. Rose przełyka ślinę, próbuje coś odpowiedzieć, ale on podnosi głos, z nutą goryczy:

– I mówisz mi to teraz? Kiedy ojciec czeka na utwór zamykający krążek, a ja siedzę tu, kurwa, tydzień i nic?

Opiera się ciężiej o fortepian, jakby brakowało mu powietrza.

– Mam miesiąc na stworzenie czegoś z niczego. A ja nie jestem robotem. – Jego głos drży, choć nie podnosi się ponad szept. – Nie jestem robotem.

Dziewczyna próbuje zebrać myśli, ułożyć sobie słowa, które mogłaby powiedzieć, aby go uspokoić. Zanim jednak dobiera odpowiednie, chłopak prostuje plecy i obraca się w jej stronę. Jego twarz jest blada, oczy błyszczą od gniewu i bólu.

– W tej sytuacji, Rose... – mówi powoli, głos mu drży. – Po co mi jesteś, skoro chcesz mnie zostawić w styczniu?

Ona otwiera usta, ale żadne słowo nie przechodzi jej przez gardło.

– Gdyby to było, nie wiem, w połowie roku... – przełyka ślinę, szukając w sobie resztek cierpliwości. – Powiedziałbym: „rozumiesz, bierz tę szansę”. Ale teraz? – jego głos się łamie, lecz zaraz znów twardnieje. – Teraz, w styczniu?

Powietrze między nimi staje się ciężkie jak ołów. Fortepian milczy, a w szaro-niebieskim pokoju zostaje tylko echo słów, które nagle wydają się nieodwołalne.

– Nie jesteś mi już do niczego potrzebna – mówi twardo, każde słowo tnie jak nóż.

Rose robi krok w tył, oczy jej błyszczą, ale głos pozostaje spokojny, choć stłumiony.

– To koniec?

Ville nawet nie mruga.

– Tak. Daj mi spokój. Mam teraz inne priorytety niż przejmowanie się jakimś twoim stażem.

Dziewczyna robi krok w jego stronę, ale on cofa się, jakby każdy jej ruch tylko pogłębiał przepaść. Ville odwraca się i wychodzi, trzaskając drzwiami. Ona stoi jak wryta jeszcze przez chwilę, zaciska pięści i usta, oddycha nerwowo.

Ville zerwał z Rose. Jednak ona nie może tak po prostu opuścić Rianhouse. Po pierwsze – jest daleko od domu, w obcym kraju. Po drugie – pracuje dla Liberty Fade i RRstudio, a umowa, którą podpisała, trzyma ją tu mocniej, niżby chciała. Dziewczyna doskonale o tym wie. Dlatego zabiera swoje rzeczy: trochę ubrań, laptopa, kosmetyki i przenosi się do ostatniej wolnej sypialni w rezydencji.

Ma co robić i choć mogłoby się to wydawać istnym szaleństwem, problemy w związku traktuje jako przejściowe. Pamięta, co mówiła jej Mia o swoim życiu z Ramim, kiedy nie raz plotkowały jeszcze w Surrey. I choć Rose najchętniej schowałaby się pod kołdrą i przepłakała całą noc, to tego nie robi. Skupia się na pracy, bo tylko to daje jej wytchnienie. Wierzy, że sprawy prędzej czy później ułożą się same.

– Libertyn mi jeszcze za to zapłaci – mamrocze do siebie, segregując materiały dla montażysty.

W międzyczasie Rianhouse powoli pustoszeje. Mia znika gdzieś z Ramim, Paul i Wendy wyskakują na randkę, a Emma z Robertem wywożą Amidalę do dziadka Lauriego — z dala od najbardziej burzliwego etapu nagrań. Tam dziewczynka będzie się uczyć pod okiem guwernantki i wróci do szkoły za kilka tygodni. To była wspólna decyzja Villego i Mii, którzy nie chcieli, by Ami przez niemal dwa miesiące mieszkała sama w pałacu w Surrey pod opieką niani i służby.

Cisza w domu staje się niemal nienaturalna. Ville, wciąż roztrzęsiony po kłótni z Rose, zaszywa się w domowym studiu na kilka godzin. Gdy wraca do sypialni, dostrzega rozwalonego na kanapie Thomasa, który właśnie ucina sobie drzemkę. DJ leży z podwiniętą koszulką i z jednym butem jeszcze na nodze, a drugim rzuconym gdzieś obok. Libertyn podchodzi i staje nad nim, krzywiąc się jakby sam widok go irytował.

Thomas leniwie otwiera jedno oko, mruży je od światła lampy.

– Daj mi wódki – warczy Ville, głos ma chropowaty, oczy podkrążone. – Dziś się nawale jak szpadel. Mam dość!

– Z twoją głową to będzie szybka akcja – odpowiada DJ przeciągając się powoli, ziewa szeroko i przykłada rękę do czoła.

– Zamknij się – odbija ostro, z desperacją w głosie. – Pijemy.

– Dla mnie spoko – wzrusza ramionami i siada ciężko, przecierając twarz dłońmi.

Nie mija kwadrans, gdy chłopcy siedzą już w salonie, a na stoliku kawowym stoi butelka z wódką i kilka puszek piwa. Szkło brzęczy o blat, zapalniczka turla się na podłogę, a w powietrzu unosi się ciężka mieszanka alkoholu i emocji, które dopiero mają wybuchnąć.

Ville nalewa sobie kieliszek, wypija jednym haustem, potem drugi. Nie gadają wiele – cisza przerywana jest tylko stukiem szkła o blat i ciężkimi oddechami.

– Nie jestem już z Rose – mówi wreszcie.

Thomas, bez słowa, nalewa sobie wódki do kieliszka, wychyla go od razu, potem kolejny i jeszcze jeden. Dopiero wtedy wzdycha przeciągle, jakby sam alkohol miał dać mu odpowiedź. Rozmawiają o zajściu z dziewczyną, a Ville dopowiada swoją historię tak, by brzmiała jeszcze bardziej dramatycznie, niemal teatralnie.

Zabawa szybko nabiera tempa. W pewnym momencie obaj zaczynają śpiewać fragmenty piosenek z trzeciej płyty, fałszując i przekręcając teksty. Parodiują Ramiego, udając jego marsowe miny i poważny ton, wyśmiewają jego surowe decyzje. Śmiech przeplata się z kolejnymi haustami alkoholu, kieliszki stukają o stół coraz głośniejsze, a podłoga aż drży od ich tupania w rytm własnych, pokracznie odśpiewywanych refrenów.

Na górze Rose słyszy hałas, przeciągłe wrzaski i chichot. Wychyla się na korytarz przez barierkę. Wzdycha ciężko, widząc swojego byłego chłopaka, jak kiwa się nad butelką, a DJ wtóruje mu z rozbawioną miną. Dziewczyna bez słowa podchodzi do schodów, wyciąga rękę i włącza kamery oraz zestaw mikrofonów skierowanych na salon.

– To będzie ciekawe – mówi cicho, ironicznie do kamery znajdującej się przy balustradzie. – Człowiek, któremu wesoło po jednym piwie... jutro będzie umierał. Ale nie martw się, Libertynie – twoi fani chętnie zobaczą, jak rzygasz w doniczki.

Ville unosi puszkę i krzyczy bełkotliwie:

– Na pohybel babom!

Thomas wtóruje mu z rozbawieniem.

– Baby, po co nam one?

– Bo one muszą się rozwijać, uczyć, mieć szansę! – dodaje Ville z triumfem, jakby właśnie odkrył największą prawdę świata.

– Baby do garów! – wrzuca Thomas, a jego głos tonie w śmiechu.

Rose, stojąc na schodach, parska cicho, po czym mówi w stronę obiektywu:

– Oj, wasze fanki będą szczęśliwe. Piękny odcinek z tego powstanie.

Ville bełkocze dalej, osuwając się na bok, a jego głos zaczyna się łamać:

– I ona do mnie... że w styczniu, rozumiesz... że ona musi...

Dziewczyna patrzy prosto w kamerę, mówi cicho, bardziej do siebie, choć mikrofon i tak to łapie:

– Nie powiedziałam, że muszę. Nie dał mi dokończyć... choć... no zazwyczaj daje. Znaczy, dawał. –

Wzdycha i macha ręką. – Znaczy... to się wytnie.

Libertyn nagle ryczy, uderzając pięścią w stół tak, że kieliszki podskakują.

– Thomas! Kurwa, ja nie dam rady! Ten zasrany dziesiąty kawalek! Nie mam magicznego drzewka z utworami! Albo wena jest, albo jej nie ma! – bełkocze i rozkłada ramiona szeroko.

– Może coś teraz stworzymy?

Ville kiwa głową, chwiejnie, ale nagle błednie.

– Thomas... idę rzygać.

Wstaje, zataczając się jak pijany szpadel po deszczu, i pochyla nad wielką donicą z kwiatami. Sekundę później rozlega się obrzydliwy chlupot.

– Mia się wkurzy – komentuje Thomas z kamienną twarzą.

Przyjaciół ociera usta rękawem i bełkocze z dumą:

– Jestem artystą. Mam na to wywalone!

Zdejmuje brudny, przepocony sweter i rzuca go w kąt, po czym nagle osuwa się na podłogę.

– Tak się kurwa czuję – mówi, zaczynając pełzać po dywanie – jak pieprzony wąż.

– Kobra – poprawia go Thomas, parskając śmiechem.

– Tam kobra! – wykrzywia twarz i wali dłonią w dywan. – Ty wiesz, co ja czuję... raczej jak jakieś gówienko, które kobra może zeżreć w całości.

Rose stoi na górze, patrząc na tę scenę z politowaniem.

– To jest wasz ulubieniec, wasze bożyszcze – mówi do kamery, a jej głos ma w sobie i gorycz, i ironię.

Ville czołga się dalej, ręce rozłożone szeroko, twarz przyklejona do podłogi. Nagle podnosi głowę i wykrzykuje bełkotliwie, ale z siłą:

– Wiję się po granicy własnych chorych myśli!

Melodia rodzi się w pijackim krzyku. Nim mija kilka minut, refren ma już kształt – wibruje w powietrzu, przerywany śmiechem, kaszlem i upadkami na dywan. Rose nie komentuje, tylko zerka na migające czerwone światełko kamery.

Thomas pada obok przyjaciela i zaczyna czołgać się tak samo. Obaj ryczą refren, aż ściany drżą od ich wrzasków.

– To jest zajebiste! – wrzeszczy DJ, tłukąc dłonią w podłogę. – To jest piosenka dla Ramiego!

Libertyn chwytą się stołu, podnosi z trudem, pot zalewa mu czoło.

– Tytuł: Zżarty przez kobrę! – śmieje się, zataczając się w stronę fortepianu.

Dosiada klawiszy, uderza w nie bez ładu, ale melodia refrenu natychmiast się układa. Głos drży, ale słowa płyną jakby same.

– To jest dobre – Thomas kiwa głową, przekrzykując hałas. – Dawaj zwrotkę!

– Kurwa, Thomas, nie mam pamiętnika ze zwrotkami! – bełkocze w odpowiedzi. – Chodź, czołgamy się dalej!

Rzucają się znów na dywan, rycząc refren jeszcze głośniejszy, jakby próbowali wyprzeć wszystko, co w nich siedzi.

– Mam zwrotkę! – Ville sapie i rzuca pierwsze wersy. Potem drugi, trzeci.

DJ dokłada swoje rymy, śmiejąc się z własnej improwizacji.

– Ty, mamy to! – wykrzykuje, po czym drapie się w głowę. – Tylko nie pamiętam początku...

Libertyn siada z powrotem przy fortepianie, próbuje odtworzyć pierwsze wersy, ale zamiast tego wychodzą mu jakieś bezsensowne sylaby. Thomas natychmiast dokleja rym, rozwijając absurd. I tak

powstaje druga zwrotka – przypadkiem, z chaosu, z pijackiej improwizacji. Śpiewają jeszcze długo, coraz głośniejsze, coraz bardziej chaotycznie. Ville wali w klawisze, aż brzęczą sprężyny w fortepianie, Thomas ryczy do lampy udając że to mikrofon, a ich głosy mieszają się w dziką, pełną emocji kakofonię. A Rose – spokojna, zimna – siedzi na schodach z laptopem. Archiwizuje wszystko, zabezpiecza pliki, porządkuje materiał. Zdaje sobie sprawę, że być może właśnie tu rodzi się coś wielkiego, więc ten zapis nie może przepaść.

– Kurwa... – syczy Ville, ocierając usta dłonią. – Lać mi się chce. – Rusza w stronę łazienki, zataczając się na boki.

Na schodach, na galerii, stoi Rose. Opiera się o barierkę, ręce skrzyżowane na piersi, spojrzenie wbija w dół – zimne, ironiczne. On dostrzega ją w półcieniu i nagle rozpromienia się pijackim uśmiechem.

– Ooo! – bełkocze, wskazując na nią palcem. – Moja była!

– Na pohybel babom! – wrzeszczy Thomas, unosząc butelkę w górę.

– Na pohybel! – wtóruje Libertyn. – Dbiałem, kochałem, a ona co?!

– Niewdzięczna – dorzucą DJ, jakby recytował prawdę objawioną.

Ville opiera się o ścianę, ociera twarz rękawem.

– Idę sikać. A jak się wysikam, to... – zamiera na moment, patrzy w podłogę, po czym macha ręką.

Chwiejnym krokiem wraca do salonu. Oczy zamykają mu się same, kolana uginają, ciało niemal odmawia posłuszeństwa. Pada tuż przed Thomasem, a jego twarz kieruje się ku galerii, gdzie Rose stoi niewzruszona.

– Patrz na to, kobieto! – krzyczy.

Dziewczyna spogląda w obiektyw kamery, uśmiecha się krzywo.

– O, chyba się będzie oświadczał – rzuca półgłosem, pełnym sarkazmu.

I nie myli się.

Ville, z dramatyzmem godnym aktora w teatrze, łapie Thomasa za rękę.

– Przyjacielu... Kocham cię. – Jego głos brzmi patetycznie, choć język ledwie nadąża. – Już dawno nasz związek powinien wejść w inny etap.

Zdejmuje z palca jeden ze swoich pierścionków – srebrny, z czarnym kamieniem – i z namaszczeniem unosi dłoń Thomasa.

– Będziesz moim mężem?

Thomas też osuwa się na kolana, łzy śmiechu błyszczą mu w oczach.

– Kurwa, Libertyn... twoim zawsze. Razem podbijemy świat!

Pozwalają, by pierścionek znalazł się na palcu DJ-a, a zaraz potem obaj chwytają za butelki z piwem. Piją łąpczywie, bełkocząc coś o braterstwie, miłości i wielkich planach. Ville nie zdąża odpowiedzieć na pytanie o wakacje, gdy nagle osuwa się na fotel i zasypia z głową przechyloną w bok.

Thomas jeszcze przez jakiś czas siedzi, pije w samotności, mruczy coś pod nosem, próbuje śpiewać, aż w końcu i on pada, rozciągnięty na dywanie.

– Ulala... – mówi jedynie Mia, gdy wchodzi do domu i od progu czuje woń alkoholu, potu i tego, co znajduje się w jednej z doniczek.

Rose krząta się w salonie – zbiera puste butelki, prostuje porzucane poduszki, a chłopcy śpią rozwaleni jak po bitwie.

Rami bierze głęboki oddech, zaciska usta.

– Trzeba ich zabrać do sypialni, nie mogą tu spać.

– Szkoda kręgosłupa – odpowiada Mia, marszcząc brwi. – Nasz syn waży pięć gramów, ale wciągnięcie DJ-a po schodach nie będzie proste. Niech tu zostaną. Jednak trzeba nad nimi czuwać – dodaje, układając już plan w głowie.

– Ja z nimi posiedzę. Dziś i tak nie zasnę – zgłasza się Rose.

Salon zostaje wywietrzony, ogarnięty. Rami wynosi doniczkę z kwiatkiem na zewnątrz, krzywiąc się przy tym wymownie. Mia przykrywa chłopców kocami, a dziewczyna przynosi wiaderka i miski z wodą.

– No dobrze, jak coś, to dzwoń – mówi Mia, odchodząc na górę pod rękę z mężem.

Rose kiwa głową i siada do stołu z laptopem. Noc ciągnie się niekończącym się montażem. Jej palce uderzają w klawisze, plik po pliku: tnie nagrania, zaznacza fragmenty – pijackie bełkoty, czołganie się po dywanie, krzykliwe refreny, nawet moment „oświadczyn”. Obrabia wszystko starannie, folder po folderze, jakby z chaosu układała mozaikę. Za jej plecami rozbrzmiewają odgłosy życia – raczej jego końcówki. Ville raz po raz wierci się w fotelu, aż w pewnym momencie zrywa się i pochyla nad wiadrem. Odgłos wymiotów rozcina ciszę, echo odbija się od ścian. Rose nawet nie podnosi głowy – tylko wycisza muzykę w jednej słuchawce nasłuchując dziwnych dźwięków. Thomas śpi jak kamień, oddycha ciężko i równo, zupełnie nieporuszony tym, co dzieje się obok. Ville jeszcze o świcie znów pochyla się nad drugim wiadrem. Pot spływa mu po skroniach, włosy kleją się do czoła, ale chwilę później zapada w niespokojny sen. Dziewczyna obrabia materiał dalej, uparcie, metodycznie. Co jakiś czas zerka na chłopaków – jej spojrzenie na moment mięknie, ale zaraz wraca do pracy. W słuchawkach znów wybrzmiewa refren: „Wiję się po granicy własnych chorych myśli!”. Rose zatrzymuje odtwarzanie, cofa o kilka sekund. Słucha jeszcze raz. I jeszcze. Jej palce zapisują plik pod osobną nazwą. Oznacza go gwiazdką. Wie, że tego fragmentu nie wolno zgubić. Do rana laptop pęka od nowo nazwanych folderów, a Rose – choć zmęczona – ma w oczach błysk świadomości. Tej nocy wydarzyło się coś więcej niż pijacki dramat.

Okolo siódmej nad ranem drzwi główne uchylają się cicho. Do środka wchodzi pielęgniarka z walizeczką medyczną w ręce. Sprawnym ruchem sprawdza puls Villego, potem Thomasa, nawet nie próbując ich budzić. W kilka minut podłącza obu do kroplówek – cienkie rurki zwisają z ich ramion, a plastikowe butelki kołyszą się lekko przy fotelach.

W progu stoi Rami, dłonie ma oparte o stół. Patrzy na tę scenę z mieszkanką politowania i rezygnacji.

– Nie mamy czasu na jego trzydniowego kaca – mówi sucho, wskazując brodą na syna. – Niech staje na nogi, bo projekt nie poczeka.

Ville budzi się powoli. Twarz wykrzywia mu ból, oczy są podpuchnięte, czoło zroszone potem. Kiedy uświadamia sobie, że leży podpięty do kroplówki, zaczyna płakać cicho, bezsilnie, jak dziecko.

– Głowa... – jęczy, chowając twarz w dłoniach. – Nie dam rady...

Każdy oddech staje się ciężarem, żołądek podchodzi do gardła. Łzy spływają mu po policzkach, mieszając się ze sławym smakiem potu.

Thomas nawet się nie porusza – śpi głęboko, oddycha ciężko, całkowicie odcięty od tego, co dzieje się wokół.

Rami patrzy jeszcze chwilę, potem wzdycha i odwraca się do wyjścia.

– Artysta – mruczy z goryczą. – Kurwa, wielki artysta.

Niedługo później budzi się Thomas. Przeciąga się leniwie, uśmiecha szeroko.

– O, zjadłbym coś – mówi i zerka na zegarek, gdy coś połyskującego na palcu rzuca mu się w oczy. Zdziwiony zdejmuje pierścionek, odkłada go na stolik, po czym teatralnie wacha jedną pachę i drugą.

Rose, Wendy i Mia przyglądają się temu osobliwemu spektaklowi z niedowierzaniem.

– Najpierw się umyję – postanawia Thomas wesoło. Wstaje, łapie się za głowę. – O, nawet głowa mnie nie boli. – Machnięciem ręki kieruje się w stronę schodów.

– Kochanie, idź się położyć – zwraca się Mia do Rose. – Ja i Wendy zajmiemy się naszym artystą.

Dziewczyna kiwa głową, jest wykończona. Bez słowa znika w sypialni dla gości.

Wieczorem Ville leży w łóżku narzekając na swój los i płacząc po cichu. Thomas, który siedzi obok niego przegląda coś w telefonie z wyraźnie wesołą miną, gdy do sypialni wchodzi Rose.

– Pamiętacie cokolwiek? – pyta stając naprzeciw nich z założonymi rękami.

Libertyn podnosi ciężko powieki, odwraca się w stronę dziewczyny i z trudem podpira głowę na dłoni.

– Że mnie zostawiłaś dla Japonii – rzuca oschle, głos ma suchy i chropowaty. – Tak, to pamiętam. Reszty nie muszę. Aha... i już nie musisz robić za moją niańkę. Poradzę sobie.

Rose przewraca oczami, opiera się biodrem o komodę i splata ramiona na piersi.

– Tak, już widziałam, jak sobie radzisz. Kobraaaa!

Libertyn mruży oczy, marszczy brwi, podnosi się odrobinę na łokciu, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Jaka kobra? Ten wąż czy helikopter? – dopytuje Thomas z ironią, nie odrywając wzroku od telefonu.

Ona unosi brew i przechyla lekko głowę. Teraz już wie, że pamięć chłopaków jest dziurawa jak sito, ale daje im jeszcze jedną szansę.

– Czołganie się? – podpowiada, powoli cedząc każde słowo.

Thomas prycha, odrzuca telefon na poduszkę i przeciąga się teatralnie.

– Czołgaliśmy się? – parska śmiechem, zerkając na przyjaciela. – No wiesz, po procentach robi się różne rzeczy, niewdzięczna kobieto.

Ville próbuje się roześmiać, ale ból głowy sprawia, że tylko syczy przez zęby i opada z powrotem w poduszki, chowając twarz pod koc.

Dziewczyna nie traci cierpliwości. Podchodzi do biurka, podłącza pendrive do projektora. Krótkie kliknięcie, ściana rozbłyśka światłem, a zaraz cała prawda wraca – obraz Villego i Thomasa czołgających się po podłodze, wrzeszczących refren „Wiję się po granicy własnych chorych myśli!”. Ich głosy fałszują, mieszają się w pijackim chaosie, ale w tym bełkocie i improwizacji drzemie coś, co brzmi jak początek czegoś większego.

Rose ani słowem tego nie komentuje. Spogląda tylko na nich chłodno, po czym wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Filmik z „oświadczyn” odkłada na inną okazję. W pokoju zostają tylko chłopcy i pulsujące na ścianie nagranie. Oglądają je raz, drugi, trzeci. Thomas przeciąga dłonią po karku, podnosi się do siadu.

– Na moje wycucie to nie jest przeciętna piosenka – stwierdza w końcu, mrużąc oczy. – Może nie singiel, ale... no wiesz.

Ville przewraca się na bok, ledwo żyje, głos ma zduszony.

– Tak. Ale pasuje do reszty materiału. Rami powinien być zadowolony. Pokaż to innym. Ja muszę się położyć. Jutro spróbuję wejść do studia.

Thomas kiwa głową, przez chwilę jeszcze wpatruje się w ekran, jakby nie chciał odpuścić tej melodii.

– A Rose? – pyta półgłosem.

On zamyka oczy, krzywi się, wciska twarz głębiej w poduszkę.

– Nie wiem. Nie mam ani ochoty, ani siły o tym gadać.

– Spoko – odpowiada Thomas. Podnosi się z materaca, zgarnia telefon z pościeli. – To idę.

Zostawia przyjaciela samego w pokoju. Echo pijackiego refrenu wciąż rozbrzmiewa z projektora, mieszając się z ciężkim, przerywanym oddechem Libertyna.

Villemu faktycznie udaje się wejść do studia kolejnego dnia, ale jego gra brzmi ospale, piosenka rozpada się po kilku taktach, a wokalista jest płaski i zmęczony. Zespół próbuje go wspierać – Thomas dokłada sample, Emma z Paulem szarpia gitarę mocniej niż trzeba, Robert wali w bębny, by nadać całości energii – ale to wszystko wygląda jak wymuszona imitacja. Pod koniec próby Ville opada na krzesło, ociera czoło i tylko macha ręką, jakby chciał powiedzieć: „nie dzisiaj”.

Dwa dni później atmosfera jest zupełnie inna. Energia, która unosi się w studiu, jest cięższa, bardziej skupiona i gęsta. Wszyscy milkną, kiedy Ville staje przy mikrofonie – nie ma w nim śladu słabości, tylko napięcie, które aż iskrzy w powietrzu. Kiedy zaczynają grać *Serpent*, dźwięk rozsadza przestrzeń. Ville wykrzykuje słowa z taką mocą, jakby pękało w nim wszystko naraz – gniew, rozpacz, resztki nadziei. Jego głos chrapie, załamuje się, ale właśnie w tym jest siła. Reszta wtóruje mu z całą intensywnością – Thomas wplata ciężkie sample, które uderzają jak ciemne echo, Emma i Paul grają niemal w transie, a Robert wali w bębny z takim impetem, że powietrze drży. Studio staje się jednym organizmem – krzykiem, który wylewa się z każdego instrumentu i z każdej struny głosu. Kiedy utwór dobiega końca, nikt się nie odzywa. Przez chwilę słychać tylko własny oddech, ciężki, rwany. A potem Ville, cały zlany potem, odchyła głowę i uśmiecha się krzywo – to nie jest ulga, to raczej poczucie, że właśnie dotknął czegoś prawdziwego.

Rami po raz pierwszy odsłuchuje nagranie. Z głośników uderza przeraźliwe, brudne buczenie – elektroniczny podkład rodem z filmów o opuszczonych fabrykach i elektrowniach, gdzie grasują zombi. Po chwili dołącza ciężki riff gitarowy, a zaraz potem refren – wrzask Villego, niezapowiedziany, brutalny: „Wiję się po granicy własnych chorych myśli!”.

Rami zamyka oczy. Jego szczęka napina się coraz mocniej z każdym wersem, palce zaciskają się na oparciu fotela, a powieki drgają w rytm kolejnych wejść. Zwrotka, refren, następna zwrotka, znów refren – napięcie rośnie, aż piosenka kończy się tak samo złowrogo, jak się zaczęła.

– Kurwa mać! – wybucha Rami, wstając z fotela i przechadzając się po pokoju. – To miała być przeciętna piosenka! Miało być jakieś neutralne gówno, a wy mi dajecie *Serpent*! Kolejny singiel? Ile tych singli chcecie?! Co wy, pierdolony katalog hitów otworzyliście?!

Ville siedzi spokojnie, dłonie złożone na kolanach, plecy wyprostowane. Patrzy ojcu prosto w oczy, ani przez moment nie uciekając wzrokiem.

– *Serpent* wchodzi na album.

Rami zatrzymuje się, wpatruje w syna. Na twarzy maluje się gniew, ale też cień bezsilności wobec tej determinacji.

– Świetnie – cedzi przez zęby. – To wywal zaakceptowany singiel.

Syn nawet nie mruga. Głos ma twardy jak stal.

– *Black Crane* wypada. Tekst jest neutralny. Podkręci się elektronikę i wejdzie na czwarty album.

Rami teatralnie rozkłada ręce, jakby chciał wyrzucić całą frustrację w powietrze.

– Bravo! A teraz, geniuszu, napisz mi przeciętną piosenkę i daj mi ją tu i teraz! Może tym razem na trzeźwo dasz radę! Czas leci!

Ville wzdycha, opiera łokcie na kolanach i zaciska dłonie w pięści.

– Nie mam weny.

Ojciec wstaje gwałtownie, uderza dłonią w blat i pokazuje ręką drzwi.

– Do gabinetu. Wszyscy. Już.

Zespół podnosi się niechętnie. Krzesła zgrzytają o podłogę, atmosfera robi się gęsta jak dym. W biurze Rami podchodzi do sejfu, przekręca pokrętkę z wprawą, jakby otwierał go setny raz, i po chwili wyciąga żółkniętą kartkę.

– To tekst przeciętnej piosenki – mówi z wyraźnym sarkazmem, machając kartką w powietrzu. – *Stay Alone*. Od piętnastu lat tu leży. Nigdy nie pasował na żaden album The R. Requiem. Oddaję wam go. Takie pitu–pitu.

Siada przy pianinie, kładzie dłonie na klawiszach i zaczyna grać prostą, lekko melancholijną melodię. Totalnie nic ciekawego – akordy brzmią jak szkic, jak nieudana próba ballady.

Paul kiwa głową, krzywi się lekko, bębni palcami o gryf gitary układając w głowie kolejne akordy.

– Proste, nudne, oklepane – mruczy, ale w jego tonie słychać, że nie ma zamiaru się sprzeciwiać.

Robert wzrusza ramionami, przeciąga się szeroko, a potem uderza pałeczkami o uda próbując wybić właściwy rytm. Uśmiecha się krótko, zmęczony, ale pogodny.

– Spoko, damy radę – rzuca od niechcienia.

W gabinecie atmosfera wciąż ciężka, ale pojawia się też nuta ulgi bo wygląda na to, że znaleźli właśnie brakujący element układanki. Nawet jeśli nie jest taki, jakiego szukali, przynajmniej daje im czas i spokój na dalszą pracę.

Kilka godzin później, Ville zbiera się w sobie i prosi Rose do pokoju na rozmowę. Dziewczyna podnosi brew – ciekawość miesza się w niej z chłodem, bo od kilku dni niemal się nie widzieli, odkąd Libertyn i reszta zespołu wręcz zamieszkali w RRstudio, dogrywając *Serpent*.

– Piękna – zaczyna, głos ma niski, spokojny, jakby chciał oswoić jej milczenie. – Wprawdzie to nie rozwiązało naszego problemu, ale mamy kolejny singiel. Dzięki tobie.

Rose stoi przy framudze drzwi, ręce ma skrzyżowane na piersi. Tylko kiwa głową, nie mówi nic.

– Przepraszam – dodaje, wstaje powoli, podchodzi bliżej. – Ja cię potrzebuję, kochanie. Nawet jak musisz jechać do tej Japonii.

– Dzięki za szczerość – odpowiada cicho. – Nigdzie nie jadę.

– Dlaczego?

– Chciałam tylko z tobą o tym porozmawiać – mówi, patrząc mu w oczy. – Miałam jechać w październiku, ale nie podjęłam decyzji na czas i miejsc już nie ma.

Ville marszczy czoło, w głosie słychać rosnący bunt.

– Mówiłaś o styczniu, nie o październiku.

– Nie dałeś mi skończyć – ucina ostro. – Wyjechałeś z monologiem jak karabin maszynowy i ze mną zerwałeś.

– Kochanie... – chłopak wyciąga rękę, ale Rose cofa się o krok, oczy jej błyszczą zimnym światłem.

– Nie jestem już twoim kochaniem – odpowiada twardo.

– Przepraszam – powtarza Ville, głos mu drży. Staje jeszcze bliżej, wyciąga dłonie w jej stronę. – Piękna, ja jestem artystą, mam różne odpały. Nie rób mi tego. Potrzebuję cię. Błagam. Kocham cię.

Rose przez chwilę milczy, bada go spojrzeniem, potem wzdycha ostentacyjnie.

– Ale to cię będzie kosztowało.

– Co tylko chcesz – mówi błagalnie, niemal drżącymi ustami.

Dziewczyna przechadza się po sypialni i delikatnie muskając welurowe obicie wezgłowia mówi:

– Chcę tu Thomasa. Poleżymy w łóżku.

Ville zamiera. Twarz mu tężeje, ręce opadają bezwładnie.

– Kochanie, chyba oszalałaś. Każdego, ale nie Thomasa. To wbrew zasadom, to nie przejdzie. Thomas to mój przyjaciel, więc tym bardziej.

– No to sobie idę – mruczy kierując się w stronę drzwi.

Libertyn podąża za nią, głos mu niemal grzęźnie:

– Kochanie, ty zawsze wybierałaś i ustalałaś, z kim. Ale Thomas... to co innego. Poza tym on się nie zgodzi.

Dziewczyna wzrusza ramionami i siada w niebieskim fotelu, zakłada nogę na nogę.

– No nie wiem, moje były kochanie. Łączy was coś szczególnego. Zawołaj swojego DJ-a, dobrze? – mówi chłodno. – Albo trójką, albo nie mamy o czym rozmawiać.

Chłopak unosi głowę, wzrok mu ciemnieje, ale ramiona opadają w bezradności.

– On się na to nie zgodzi.

– To go przekonaj – ucina Rose. – Zawołaj go już, inaczej nie będziemy gadać.

– Ok, ale na nic nie licz.

– Świetnie – uśmiecha się kpiąco. – Idę założyć jakieś seksi fatałaszkę.

Kilka minut później dziewczyna leży już na łóżku w czerwonym gorsecie i satynowym szlafrocisku, spojrzenie ma zimne, wyzywające. Gdy wchodzi chłopcy – Ville z miną skazańca, Thomas z krzywym uśmiechem.

– Thomas. Czekałam – rzuca tonem, który nie zostawia pola do żartu.

DJ robi wielkie oczy, niemal się potyka, cofając krok w tył.

– O, kurwa... – wymyka mu się pod nosem. Ale przyjaciel kładzie mu rękę na plecy i popycha do przodu. Thomas przetyka ślinę, odwraca się gwałtownie do Villego.

– Na mnie nie licz. Nie ma mowy.

Ville przewraca oczami.

– Zrób, co masz zrobić, i wracamy do starego układu.

– Ty chyba ocipiałeś – syczy Thomas. – Nie będę spał z twoją dziewczyną.

– Na razie to moja była – Ville cedzi, udając spokój. – A ty jesteś spięty jak struna, wyluzuj.

Rose przekręca się na bok wspierając głowę na dłoni.

– No chłopcy, zapraszam.

– To ja może zgaszę światło – piszczy DJ, bardziej zestresowany niż kiedykolwiek.

– Świetny pomysł – odpowiada Rose z ironicznym uśmiechem. – Gaś i chodź tu.

Światło gaśnie, zostaje tylko mdły blask z ogrodu wpadający przez żaluzje. Na polecenie dziewczyny obaj się rozbierają, Libertyn w bokserkach, Thomas podobnie. Siadają po dwóch stronach łóżka, ona pomiędzy nimi, niczym reżyserka własnego spektaklu.

– To co robimy? – Ville pyta, głos ma dziwnie płaski, jakby sam czuł groteskę sytuacji.

Dziewczyna patrzy na niego z politowaniem, przewraca oczami.

– To może coś obejrzymy. Żeby się rozluźnić.

– Świetny pomysł – odzywa się DJ z ulgą. – Proponuję jakieś Bollywood.

– Nie mamy trzech godzin – ucina Rose. – Szkoda czasu. Wystarczy piętnaście minut.

Thomas wypuszcza powietrze powoli, jakby zbierał się na skok do zimnej wody. Dziewczyna przesuwa spojrzenie z jednego na drugiego.

– To co, gotowi?

Chłopcy potakują niechętnie, a Rose wciska *play*. Projektor rzuca obraz na ścianę. Na ekranie pojawia się ich własna twarz – pijacka, rozmazana, groteskowa. Najpierw chóralne: „Na pohybel babom! Baby do garów!”. Potem Libertyn, wijący się nad doniczką, gdy zwraca tam wewnętrznosci. A na koniec... dramatyczne „oświadczyń” z pierścionkiem. Filmik się kończy, ekran gaśnie. Zostaje cisza, gęsta jak beton.

Ville odwraca głowę w stronę okna, szczękę ma zaciśniętą. Thomas siedzi sztywno, wzrok wbity w grafikę na ścianie, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Drapie się po głowie nerwowo.

– Eee... to dlatego miałem twój pierścionek – mamrocze, patrząc gdzieś przed siebie.

– Drugi raz się oświadczyłem chłopakowi. I to po pijaku... – mówi z goryczą opadając ciężko na poduszkę..

Rose poprawia ramiączko gorsetu, spojrzenie ma zimne, pełne ironii. Wzrusza ramionami.

– No, chłopcy... to chyba nie jestem wam potrzebna.

Wstaje, otula się szlafrokiem i wychodzi, zostawiając ich w ciemności.

– Słuchaj – zaczyna Thomas, po chwili ciszy. – No, piękny... podbijemy świat, ale może... te zaręczyny... – nie kończy.

– Jasne – potakuje beznamyślnie. – Wracamy do starego układu. Ty, ja, emocje. Tak podbijemy świat. A tymczasem idę zająć się czerwonym gorsecikiem – dodaje, zacierając ręce teatralnie, próbując rozładować napięcie.

Thomas patrzy na niego i pokazuje dwa kciuki w górę. Po chwili opada na poduszki, sadowi się wygodnie w łóżku Villego i zasypia.

Pięć dni później Rami zasiada w studiu do odsłuchu. Na biurku, wśród kabli i pustych kubków po kawie, leży notatnik z dopiskiem pogrubionym czarnym markerem: „*Stay alone* – wersja ostateczna”. Przesuwa po nim dłonią, jakby chciał wyczuć ciężar tych słów. Zakłada słuchawki, poprawia je powoli, aż zakleszczą się na uszach i wciska przycisk na konsoli. Świat wokół cichnie, a muzyka zalewa przestrzeń gęstą falą dźwięku. Na początku słyszy lekkie, rockowe wejście – gitary łagodnie rozprawdzają melodię, spokojna zwrotka płynie, a bas Paula pulsuje głębiej, mocniej niż powinien. Producent marszczy brwi.

– Kurwa, miało być prosto, bez kombinowania, ale przynajmniej nie ma elektroniki – burczy pod nosem. Zwrotka mija, a tam, gdzie miał być banalny refren, pojawia się solówka Emmy. Gitara wyje i tnie przestrzeń, jakby próbowała wyrwać się z ram ograniczeń. Potem wraca Ville, śpiewając kolejną zwrotkę. Gdy wchodzi refren – dwugłos – Ville i Thomas, Rami ma ochotę rzucić słuchawkami. Głosy chłopaków rozrywają ciszę na strzępy w pełnej synchronizacji. Do tego Libertyn dopisał drugą część refrenu, a Robert wali w bębny z całą siłą, zamieniając utwór w coś ciężkiego, gęstego, zapamiętywalnego.

Rami zrywa słuchawki i wali pięścią w stół.

– Ja pierdolę! – ryczy. – Co to, kurwa, ma być?! Miało być lekko, miało być przeciętnie! Miało być *nic specjalnego*, a wy mi zrobiliście z tego kolejne jebane arcydzieło! – jego głos odbija się od ścian, twarz ma czerwoną ze złości. – Do zamknięcia albumu zostało dwadzieścia dni, kurwa jego mać, a ta piosenka – W tej formie NIE MOŻE wejść na płytę! Rozumiecie?!

W pokoju zapada krótka cisza, napięcie unosi się w powietrzu jak kurz w świetle lampy.

– KURWA! – wrzeszczy dalej, przechadzając się po studiu. – Ja potrzebuję jednej przeciętnej piosenki, jednej, kurwa, do jasnej cholery! Album miał być mocny, ale nie PRZESADNIE mocny!

Thomas odchrząkuje i mówi spokojniej rozglądając się po zmęczonych twarzach zespołu:

– Dajmy coś instrumentalnego. Mam takie tiru–turu w samplach. Wy dorzucicie bas, gitarę i perkusję. Prosty kawałek bez tekstu. Ville miałby wolne.

Rami wpatruje się w niego, jeszcze ciężko oddychając. Potem kiwa głową i cedzi przez zęby:

– Macie pięć dni.

Obietnica pada i od tego momentu zaczyna się maraton.

Thomas zamyka się w studiu, dłubie przy samplach, układa rytm, szuka brzmień. Reszta dołącza, każdy po kolei dorzuca cegiełkę, aż w końcu mają gotowy szkic utworu. Kiedy wszystko jest dopięte, Rami siada przy konsolce. Wsuwa słuchawki na uszy i uruchamia nagranie. Już po dziesięciu sekundach jego mina ciemnieje – od pierwszego dźwięku słychać dominującą elektronikę. Machnięciem ręki daje znak, że ma to w dupie. Najchętniej wpuściłby to byle jak, byle nie było za dobre, byle wreszcie zamknąć album. Ale wtedy dołącza Paul ze swoim basem. Producent prostuje się gwałtownie. Potem Emma wbija gitarę – czysta, wyrazista, przyjemna. Na koniec Robert dorzuca werbel, mocny, pewny, tak że kawałek zaczyna oddychać pełnią życia.

Rami podskakuje na krześle, zdziera z głowy słuchawki i wrzeszczy:

– KURWA MAĆ! Czy wy się, kurwa, ze mną pieprzycie?! Miało być przeciętnie, miało być nijakie, a wy mi znów odpalacie takie gówno, które rozwala system! Ile razy mam powtarzać?! To NIE MOŻE wejść na trzeci album! Nie teraz, do chuja pana!

Thomas, siedzący na krześle, niemal obojętną twarzą, wypuszcza powietrze z piersi w długim westchnieniu.

– To chyba mamy kolejny numer na czwarty krążek – mówi bez emocji, jakby sam siebie chciał przekonać, że warto było.

Ville przeciąga się teatralnie, rozciągając ramiona nad głową i ziewając zbyt głośno

– Przynajmniej się ostatnio wyspałem – rzuca, opadając na oparcie krzesła z przesadnym zadowoleniem.

Robert, siedzący naprzeciwko, opiera łokcie ciężko na stole. Jego oczy są przekrwione, powieki ledwie się trzymają.

– Ja nie śpię od tygodnia – mówi sucho, a głos zdradza jego bezsilność i potworne zmęczenie.

– Ja tak samo – dorzuca Paul, jego ton brzmi jak echo rezygnacji. Wzrusza ramionami i wsuwa dłonie w kieszenie bluzy, jakby już nie miał siły niczego komentować.

Emma, leżąca na sofie, wzdycha i mocno zaciska dłonie na swoich kolanach.

– A ja do tego mam okres. Mam dosyć – mówi twardo, a jej głos łamie napięcie, wprowadzając brutalną szczerłość, której nikt nie kwestionuje.

W studiu zapada cisza, gęsta. Tylko Rami chodzi w kółko, przeklinając pod nosem, a w powietrzu unosi się gorzka świadomość, że zamiast przeciętniaka znów stworzyli coś, co wybija się ponad miarę. Producent traci panowanie nad sobą. Twarz ma purpurową, żyły na szyi wybrzmiewają przy każdym słowie. Podchodzi do Villego i wali pięścią w stół tak mocno, że długopisy i kartki podskakują.

– Masz pięć dni! – ryczy. – Pięć, kurwa, dni, żeby przynieść mi takie gówno, jakie jesteś w stanie stworzyć! Już nie chcę przeciętnej piosenki, synu. Ja chcę, kurwa, chujowe, rozumiesz?! CH-UJ-OWE! Takie, że się tego nie da słuchać, żeby wreszcie było coś, co nie spierdoli mi koncepcji albumu!

Ville, zamiast się cofnąć, podnosi głowę i uśmiecha się wyzywająco. W jego oczach błyszczy coś między sarkazmem a wyzwaniem.

– Tak! – mówi głośno, niemal triumfalnie. – Dobrze! Dostaniesz ode mnie takie dziadostwo, z jakim jeszcze nigdy w życiu nie miałeś do czynienia. I to jest moja ostatnia próba!

Zapada cisza, długa i gęsta, cięższa niż powietrze przed burzą. W tym napięciu nagle słychać cichy szloch – Emma, leżąca bez sił na skórzanej sofie, zaczyna płakać. Jej ramiona unoszą się w krótkich, spazmatycznych oddechach, a łzy spływają po policzkach bezgłośnie. Rami natychmiast łagodnieje. Podchodzi do córki, klęka obok, a jego dłoń przesuwają się po jej czole z delikatnością, jakby chciał zetrzeć z niej cały ciężar.

– Chodź kochanie, pojedziemy do domu, odpoczniesz trochę – mówi już spokojnie, miękkim tonem, zupełnie innym niż przed chwilą.

Emma kiwa głową, podnosi się powoli i ociera twarz rękawem. Bez słowa chwyta ojca pod ramię i razem kierują się do drzwi. Te zamykają się za nimi lekkim trzaskiem.

Ville przygląda się tej scenie z irytacją w oczach. Wtedy podchodzi do niego Thomas i nachyla się lekko.

– Zazdrosny jesteś? To dziewczyna – mówi spokojnie, ale stanowczo.

– Na mnie się drze, wymaga cudów.

– Piękny, ty masz Rose która jest wsparciem i skacze wokół ciebie. Emma nie ma takiego komfortu. Popatrz na jej chłopaka – wskazuje podbródkiem na Roberta który przytulony do Paula śpi jak dziecko. Libertyn marszczy brwi, ale po chwili kiwa głową, jakby dopiero teraz przyznał w myślach, że przyjaciel ma rację. W końcu wie, że w domu czeka na niego Rose – pewnie zjedzą coś razem, wskoczą do wanny, pośmieją się i choć na chwilę zapomną o ciężarze nagrań.

DJ opiera się o stół i zerka na niego uważnie.

– Ty masz coś? Jakiś dziadowski kawałek? – pyta półgłosem, by nie przerwać dusznej ciszy w pomieszczeniu.

– Mam. Napisałem to w święta, zajęło mi... nie wiem, może ze trzy godziny. Takie tara–rira – odpowiada, kręcąc nadgarstkiem w rytm melodii, której nikt poza nim nie słyszy.

Thomas marszczy brwi, kręci głową.

– Myślałem, że wtedy telepatycznie napisaliśmy *I Am Angry* – mówi z niedowierzaniem, podnosząc brew.

Ville uśmiecha się krzywo, ale w jego oczach coś przygasa.

Rami znów siada w studiu. Światło lamp odbija się w połyskującej powierzchni konsoli, a powietrze jest ciężkie od zapachu kawy i kabli nagranych od prądu. Zakłada słuchawki, dociska je dłońmi i wciska przycisk. Rozbrzmiewa *Frozen*. Początek – gówniany, dokładnie taki, jakiego oczekiwał: tara–rira na pianinie, suche i nijakie dźwięki. Miałko, płasko, bez polotu. Rami prawie już czuje ulgę – wreszcie dostał od syna to, czego chciał. Przeciętność. Neutralność. Ale wtedy przychodzi zwrotka. Melodia niepostrzeżenie zmienia tor, miękko wpada w ucho, łapie słuchacza od pierwszej nuty. Jest zbyt płynna, zbyt chwytna. A gdy refren eksploduje nagle, jakby wyrwał się z głębi Villego, Rami aż wzdryga się w fotelu.

– KURWA MAC! – ryczy, przechadzając się nerwowo po studiu. – To jest złota piosenka! HIT radiowy, tak jak *By The Way* i *Scar*! Czy ciebie już, synu, do końca pojebało?! Dajesz mi hit radiowy, coś, co ludzie będą nucić na ulicach! – wali pięścią w blat. – Czy ty jesteś normalny?!

Jego głos niesie się po całym pomieszczeniu, a echo odbija się od ścian.

Ville siedzi wyprostowany, ręce splecione, twarz spokojna, choć oczy błyszczą wyzwaniem.

– *Frozen* wchodzi na płytę.

Rami odwraca się gwałtownie, niemal kipiąc ze złości.

– Tak?! To wywal inny singiel!

Emma, która do tej pory milczała, zaciska pięści.

– Wywalamy *Everyone*. Tam są dzwoneczki, trochę się gryzą z *Frozen* i *Serpent*.

– Dzwoneczki podkreślają utwór! – odpowiada DJ ostro. – *Everyone* jest zajebiste i to miało być hitem radiowym.

– Ale przez twoje dzwoneczki nie pasuje! – Emma unosi głos, twarz jej płonie.

Thomas robi krok w jej stronę.

– To wywal solówkę z *Stay Alone*, to wreszcie będziemy mieli ten zasrane przeciętny kawałek do zamknięcia płyty!

– Pieprz się, Thomas! – Emma aż drży.

– WYPIERDZIELAĆ MI STĄD! – wrzeszczy Rami, tracąc resztki cierpliwości. – Już! Wszyscy!

Drzwi zamykają się z hukiem, a w powietrzu zostaje echo krzyków i ciężar kolejnego, nierozwiązanego konfliktu.

Rami wraca do Rianhouse razem z zespołem. Drzwi walą o futrynę z takim hukiem, że cały dom drży, a on wpada do salonu jak burza. Kroki dudnią po parkiecie, twarz ma czerwoną, oczy błyszczą wściekłością. Bez słowa nalewa sobie szkockiej – całą szklankę, nie porcję – i wychyla jednym haustem. Potem wali szkłem o blat tak mocno, że bursztynowe krople rozbryzgują się na stół.

– *Everyone* wypada! – ryczy, aż szyby w oknach zadrżały. – Te zasrane dzwoneczki! Kurwa! Nie będę się kłócił! To, kurwa, wylatuje! – Chodzi w kółko, wymachuje rękami, włosy spadają mu na czoło. – I co

mamy dalej, co?! Cztery single, pięć dobrych kawałków i ANI JEDNEGO przeciętniaka, który spina album! Ani jednego, kurwa! Ten krążek wygląda jak jebany konkurs na największe hity dekady, a nie płyta rockowego zespołu!

Na kanapach młodzi leżą niczym po bitwie – zaspani, zmęczeni, oczy podkrążone, nikt nie ma siły się odezwać. Tylko Ville prostuje się powoli, chłodne spojrzenie wbija w ojca.

– Ja to pierdolę – mówi lodowatym tonem. – Mamy dziewięć mocnych piosenek. Zamykamy tym album. Słowa odbijają się od ścian jak strzał. Rami zamiera na sekundę, a potem eksploduje.

– ZAMKNAĆ ALBUM?! – wrzeszczy, wskazując na syna palcem, jakby chciał nim przebić powietrze. – Dziewięć piosenek?! Czy ty jesteś, kurwa, normalny?! Dziewięć numerów to nie jest album, synu! To jest DEMO! To jest, kurwa, EP-ka, a nie pełnoprawny krążek!

Podbiega krok bliżej, a jego głos dudni i odbija się od ścian salonu.

– Ty wiesz, jak nas zjedzą?! Jak krytycy się do nas przyperdolą?! To hańba! Hańba w katalogu!

Napięcie w salonie jest tak gęste, że aż dławi. Nikt się nie odzywa. Thomas spuszcza głowę, Paul wbija wzrok w podłogę, Emma zaciska palce na kolanie. Wszyscy wiedzą: wystarczy jedno słowo, a cała beczka prochu pójdzie w powietrze.

Obcasy Mii stukają głośno o drewnianą podłogę, niosąc się echem po salonie. Wchodzi powoli, elegancka, chłodna, z oczami wbijającymi się prosto w Ramiego.

– Antero! Czego się tak drzesz? – pyta spokojnie, a w jej głosie pobrzmiewa lodowata stanowczość.

Mąż odwraca się gwałtownie, wciąż roztrzęsiony. Twarz ma purpurową, oddech szarpany, jakby każde słowo musiało wyrwać się z gardła z siłą eksplozji.

– Czego się drę?! – ryczy. – Drę się, bo zamiast normalnego albumu mam dziewięć kawałków, które brzmią jak jebane złoto, a nie jak materiał na trzeci krążek! Drę się, bo mój własny syn mówi, że to wystarczy! Że dziewięć numerów to niby album!

Jego głos narasta, aż przechodzi w ryk.

– Drę się, bo wszyscy, kurwa, śpią, płaczą, narzekają, a nikt nie rozumie, że mamy tydzień do zamknięcia płyty i wciąż nie mamy tej pieprzonej dziesiątej piosenki!

Zatrzymuje się, zaciska szczękę, a potem wali pięścią w stół, od którego podskakują notatki i pusty kubek.

– Gdyby to był ktoś z zewnątrz, miałbym wyjebane na słowa krytyków o długości! Ale w ich przypadku?!

– wskazuje palcem w stronę kanap, gdzie młodzi zalegają półprzutomni. – Nie pozwolę na choćby jedno słowo krytyki!

Oddech dudni w jego piersi, knykcie ma białe od zacisku, a w oczach płonie desperacja ojca i producenta w jednym.

Mia stoi przy schodach, kiedy furia Ramiego przetacza się przez salon jak burza. Patrzy, jak chodzi w tę i w w tę, jak jego ramiona napinają się przy każdym geście, jak jego głos rozdziera ciszę ostrymi słowami. Zwykle jej mąż zostawia emocje w pracy, a dom chroni przed napięciem. Ale dziś jest inny. Bezlitosny producent. Ojciec gotów rzucić się w ogień, by obronić swoje dzieci. I właśnie w tej pasji, w tym gniewie, Mia widzi coś, czego nie знаła. Czuje, jak serce przyspiesza, jak ciepło rozlewa się po jej ciele. Rami jest niesamowicie przystojny – włosy w lekkim nieładzie, szczęka napięta, spojrzenie ciemne i pełne ognia. Zna każdy rys jego twarzy, a jednak teraz odkrywa go na nowo. Ten mężczyzna, z którym

przeżyła tyle lat, jest nagle kimś jeszcze – dzikim, nieokiełznanym, groźnym, a przez to piekielnie pociągającym. Podchodzi do niego miękko, lekko niczym kotka, której kroki są ciche, ale pełne pewności.

– Taki wściekły jesteś cholernie seksowny – mówi miękko, z tym niebezpiecznym błyskiem w oku, który zna tylko on.

Jego twarz, jeszcze przed chwilą napięta ze złości, mięknie nagle. W oczach pojawia się to, co zawsze, gdy Mia go tak zaczepiała – mieszanina pożądania i miłości, coś, co gasi gniew szybciej niż cokolwiek innego.

– Mia... – wydobywa się z niego, już nie rykiem, a głosem ochrypłym, pełnym uczucia. Patrzy na nią intensywnie, zapominając, że jeszcze chwilę temu dał się na cały dom.

Robi krok w jej stronę, dłońmi chwyta ją za talię i przyciąga do siebie wtapiając się w jej obecność. W oczach nadal ma cień furii, ale to już nie wściekłość – to ogień, który Mia potrafiła skierować tam, gdzie chciała. Reszta zespołu siedzi w milczeniu, skręcając się wewnętrznie, świadomi, że teraz to już tylko ich dwoje, a salon nagle stał się zbyt ciasny na tyle emocji.

Rami daje się przycisnąć do ściany, zaskoczony, ale absolutnie bez oporu. Ona opiera dłonie na jego torsie, wplata palce w jego włosy i zaczyna go całować z pasją, jakby chciała spalić resztki furii, która jeszcze przed chwilą nim targała. Cały salon rozbrzmiewa ich oddechami, a niepokorne kosmyki włosów Ramiego przesuwają się między palcami Mii, gdy przyciąga go mocniej. Za nimi młodzi krzywią się synchronicznie – Emma chowa twarz w dłoniach, Thomas prycha rozbawiony, Paul przewraca oczami, a Robert szepcze do Villego:

– Co tu się właśnie odstawia?

Ten jednak tylko wzdycha teatralnie po czym odwraca głowę do Rose:

– Kochanie, włącz kamery.

– Już od jakiegoś czasu są włączone – odpowiada dziewczyna i łapie go za rękę.

Ville uśmiecha się podstępnie i klepie ją po dłoni.

Mia odrywa usta od Ramiego tylko na chwilę, jej spojrzenie błyszczy figlarnie, a głos jest cichy, chropawy od pożądania.

– Chodź na górę – szepcze mu do ucha. – Tam mnie ochrzaniś.

Rami zamiera na moment, jakby znów walczył ze sobą – wściekły producent kontra mąż, który bez pamięci kocha tę kobietę. Ale wystarczy jedno spojrzenie w jej oczy, jeden dotyk jej dłoni we włosach, by cała jego furia runęła.

– Mia... – syczy pod nosem, a potem obejmuje ją mocno – Dobra. Ale nie będzie litości.

Obydwoje kierują się ku schodom, ściskając się za ręce i nie odrywając się od siebie ani na sekundę. Ich pocałunki są gwałtowne, łapczywe, przerywane tylko po to, by zaczerpnąć oddechu i znów wpaść w siebie nawzajem. Mia wpija się w jego usta, a jednocześnie jednym zdecydowanym ruchem zsuwa mu marynarkę. Materiał ześlizguje się bezgłośnie, spada na poręcz i zjeżdża w dół jak flaga poddania. Rami nawet się nie zatrzymuje, obejmuje ją w pasie, prowadzi wyżej, w stronę sypialni. Na kolejnym stopniu Mia traci równowagę, a z jej stóp spada pantofel, tocząc się w dół schodów. Drugi podąża zaraz za nim, ale ona się tym nie przejmuje – tylko śmieje się krótko, zadziornie, i jeszcze mocniej przyciąga

męża do siebie. Ich śmiech i urywany oddech niosą się echem po całym domu, aż w końcu słyhać tylko miękkie kliknięcie zamykanych drzwi sypialni.

W salonie młodzi wymieniają spojrzenia, przewracają oczami i wzdychają, jakby właśnie spadła na nich najcięższa kara – konieczność bycia świadkami tej sceny.

Paul drapie się po głowie, rozkłada ramiona.

– W ich wieku? – rzuca półgłosem.

– Myślałem, że w tym wieku odkłada się już takie sprawy na haczyk – dodaje Robert wykonując ruch odwieszania kurtki po czym zerka wymownie na Emmę, która siedzi nieruchomo chcąc zniknąć w poduszkach.

– Czy możemy przestać mówić o moich rodzicach? – krzywi się Ville, unosząc brwi z niesmakiem.

Thomas prychnie pod nosem.

– To nie są teraz twoi rodzice, tylko pan bezlitosny producent i jego... zafascynowana nim żona.

Ville przewraca oczami, uśmiecha się krzywo i uklepuje uda Rose jak poduszkę i kładzie na nich głowę.

– Ja wykorzystam chwilę ciszy i się zdrzemnę – mruczy, zamykając oczy.

Reszta kiwa głowami w pełnym zrozumienia porozumieniu, i po chwili w salonie zapada cisza, przerywana jedynie lekkimi chrapnięciami. Noc powoli pochłania cały dom, a jedyne dźwięki w salonie to ciche oddechy zmęczonej młodzieży.

Na piętrze, za zamkniętymi drzwiami sypialni, panuje już inna cisza – nie ta pełna zmęczenia, lecz czułości. Rami leży przy Mii, ich oddechy wreszcie się uspokoiły, a jego dłonie błądzą po jej włosach.

Ona podnosi głowę z jego piersi, patrzy mu prosto w oczy, spokojna i czuła.

– Antero, kochanie... czy te dziewięć piosenek to naprawdę za mało? – pyta łagodnym głosem, jakby chciała dotknąć samego sedna jego niepokoju.

– Nie dla mnie, Mia. Dla świata – odpowiada uśmiechając się smutno. – Dla radia, dla wytwórni, dla kolekcjonerów którzy patrzą na albumy jak na liczby. Dziewięć to zawsze będzie wyglądało na niedokończone. – Jego kciuk przesuwają się po jej skroni delikatnie. – A ja chcę, żeby Liberty Fade byli niepodważalni. Żeby nikt nie śmiał powiedzieć, że coś odpuścili. Ale gdyby to zależało tylko ode mnie?

– szepcze. – Dziewięć byłoby wszystkim. Bo każde z tych dziewięciu to kawałek prawdy.

Mia przesuwa dłońią po jego torsie, atmosfera jest miękka, ciepła, prawie senna.

– Coś wymyślimy – mówi z uśmiechem. – Nie bądź już na nich taki zły.

– Zły, zły... – mruczy Rami leżąc na wznak i nagle prostuje się jak oparzony.

Sięga po telefon ze stolika nocnego, zaczyna coś gorączkowo liczyć na palcach, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Oczy ma szeroko otwarte, spogląda nerwowo na ekran, przewija listy, sprawdza pocztę.

– Kurwa, Mia! – wybucha, aż ona drży. – Przecież *I Am Angry*, singiel z lutego, miał wejść na tę płytę jako bonus. Czyli mamy dziesięć piosenek!

– No wiem, że miał wejść. A nie wszedł?

– Nie ma go na liście! – wyrzuca telefon na pościel, jakby parzył go w dłoń. – Mam dziewięć kawałków na trzeci album, bez tego singla.

– To niemożliwe, pokaż to – mówi i szybkim ruchem zgarnia telefon. Siada prosto, palcem przesuwa po ekranie, liczy raz, drugi, trzeci. Jej brwi ściągają się coraz mocniej. – Faktycznie... nie ma *I Am Angry*. Rami nagle podrywa się z miejsca, chwyta poduszkę i zasłania się nią jak tarczą.

– Mamy dziesięć kawałków! Projekt jest skończony od miesiąca! – jego głos brzmi jak desperacka obrona.

Mia bez wysiłku wytrąca mu poduszkę z rąk i odkłada ją na bok. Patrzy mu prosto w oczy, nie spuszczać wzroku ani na moment.

– Jakim cudem singiel nie został wpisany na listę?

On wzdycha ciężko i odwraca spojrzenie, jakby zawstydzony przyłapaniem na czymś elementarnym.

– Zapomniałem – przyznaje ciszej. – Był w mojej pamięci... Tak się zafiksowałem na tej przeciętnej piosence, że mi to wyleciało.

Przeczesuje dłonią włosy próbując rozproszyć własne zakłopotanie, a potem zerka na nią bezbrinnie.

– Wiesz, że narracja tego singla i sposób jego wydania były moim projektem. Prowadziłem to od początku do końca. Singiel wyszedł tylko w formie cyfrowej właśnie po to, żeby umieścić go jako bonus dla kolekcjonerów krążków i winyli.

Mia przekrzywia głowę, kącik jej ust unosi się w zadziornym uśmiechu.

– Albo się starzejesz, albo masz problemy z dodawaniem.

– Cicho! – warczy, ale w jego głosie nie ma już gniewu – tylko bezradne rozbawienie.

– Dali mi jedenaście kawałków – zaczyna, jakby robił spowiedź. – Dwa zgodnie odrzuciliśmy jako zbyt elektroniczne, zostało dziewięć. Mieli mi dać jedną przeciętną piosenkę. – Podnosi wzrok na Mię, w jego oczach miesza się zmęczenie z niedowierzaniem. – A co zrobili? *Serpent*. Później z mojego pitu-pitu skleili rockowego potwora. Potem z elektronicznego tiru-tiru Thomasa wyszedł świetny instrumental. A na koniec... ten gnojek napisał *Frozen*.

Mia przekrzywia głowę, a w jej spojrzeniu miesza się ironia z czułością.

– Czyli przez twoje problemy z pamięcią w ciągu miesiąca stworzyli kawał dobrego materiału, który teraz nie wejdzie.

– Widać, że umieją pracować pod presją... – wzdycha, przeczesując włosy dłonią. – No i mają świetną bazę na czwarty album.

– Antero – mówi Mia miękko, ale stanowczo – oni mają już połowę kolejnego albumu.

Mężczyzna zamyka oczy, jakby ciężar tych słów dociskał go do poduszek.

– No tak... – przyznaje cicho. – I do tego są potwornie zmęczeni.

Leżą jeszcze przez chwilę wtuleni w siebie. Jego dłoń leniwie bawi się jej włosami, przesuwając kosmyki między palcami. Głos ma przyciszony, pełen znużenia i troski.

– Co ja im teraz powiem? – pyta bardziej do siebie niż do niej.

Mia uśmiecha się delikatnie, nie odwracając głowy.

– Chciałeś ich chronić. Dla Villego i Emmy zrobiłbyś wszystko. I nie martw się – nie pozwolimy nadszarpnąć twojego autorytetu. Ani jako ojca, ani jako producenta.

Kładzie dłoń na jego policzku i przyciąga go bliżej.

– Stworzymy narrację. Wspólne stanowisko. Że *I Am Angry* od początku traktowałeś jako bonus i idziesz z duchem czasu. A krytyka zginie wśród łapek w górę. A poza tym... niech piszą, byle pisali. – Ożywia się nieco. – Ville wspominał, że Thomas chce dać więcej... – marszczy brwi. – czegoś tam do tego kawałka. Może to nada powiewu świeżości.

On parska cicho. Opuszką palca dotyka jej warg, jakby chciał je uciszyć.

– Czegoś tam... – mruczy między pocałunkami. – Masz rację – im więcej będą pisać, tym więcej będzie streamów.

– No to ustalone – odpowiada Mia z błyskiem w oczach, muskając jego usta jeszcze raz, krócej, żartobliwie.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też, Antero – odpowiada, wtulając się mocniej próbując zatrzymać tę chwilę na dłużej.

Niedługo potem schodzą powoli po schodach, ich kroki cicho dudnią po drewnianych stopniach. W salonie atmosfera przypomina obóz po bitwie – zespół rozciągnięty na kanapach, półprzytomny, zmęczony tygodniami pracy i nerwów. Paul zerka na zegarek i uśmiecha się ironicznie, jakby chciał powiedzieć: „ulala... trochę to trwało”. Robert łapie to spojrzenie i odwzajemnia wymownym uniesieniem brwi. Ville właśnie cicho chrząknął, a Rose siedząca obok delikatnie gładzi go po czole, żeby się nie wybudził. Emma wtula się w Roberta, a Thomas leży rozwalony na kolanach Wendy, która machinalnie bawi się jego włosami.

Na środku schodów zatrzymuje się Mia – wyprostowana, dystygowana, choć w oczach błyszczy coś więcej niż zwykła powaga. Jej głos rozbrzmiewa spokojnie, ale z takim ciężarem, że od razu wszystkich prostuje.

– Pan bezlitosny producent zgadza się na krótszy album.

Rami staje obok niej, poprawia koszulę, a potem rzuca krótko, bezceremonialnie:

– Liczę na ostatnie szlify i macie wolne.

Przez chwilę cisza, jakby nikt nie uwierzył w te słowa. A potem wybucha fala wiwatów, śmiechu i oklasków. Paul podnosi ręce w geście zwycięstwa, Robert klaszcze tak głośno, że Emma aż się śmieje, Ville przez sen mamrocze coś triumfalnego i znów odpływa, a Thomas wyciąga w górę pięść, leżąc dalej na kolanach Wendy. Euforia miesza się ze zmęczeniem – wszyscy wiedzą, że to koniec morderczej przeprawy, że album jest gotowy.

– No cóż... – mruczy Paul z udawanym namysłem – coś tam musiało zajść, skoro bezlitosny producent zmienił zdanie.

– Ooo tak – dorzuca Robert, znacząco kiwając głową. – Coś zdecydowanie musiało zajść.

Nikt nie pyta o powód zmiany zdania bo nikt nie ma na to siły i nikt nie potrzebuje odpowiedzi. Ważne, że koniec stał się faktem. A w powietrzu, obok ulgi, wisi niewypowiedziana nuta: że w tle tej decyzji kryje się coś więcej niż tylko muzyka.

Zostało zaledwie kilka dni do finalnego zamknięcia sesji. W studiu panuje cisza pełna skupienia – ostatnie poprawki, korekty, decyzje. Ville i Thomas, po spokojnym namyśle, wracają do jednego numeru: szkicu od Ramiego, zwykłego pitu-pitu, które w ich rękach urosło do mocnego, rockowego kawałka. Początkowo chcieli go odłożyć – znów „za dobry”, zbyt osobny – ale ostatecznie decydują: ten utwór musi wejść na album. Wypada za to inny track, ten, w którym Ville planuje podkreślić elektronikę. W *I Am Angry* Thomas, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, dodaje między zwrotkami więcej winylowego scratchu. Brzmienie od razu zyskuje świeżość – ku zadowoleniu nie tylko zespołu, ale i samego, bezlitosnego producenta.

Kiedy album w końcu idzie do tłoczenia, wszyscy czują, jak z barków spada im kilkumiesięczny ciężar. Ulga miesza się z euforią – jakby wreszcie mogli odetchnąć po długim zanurzeniu.

Jeszcze przed wyjazdem do Surrey, Ville schodzi do piwnicznych korytarzy Rianhouse, gdzie ukryte jest domowe studio. Drzwi uchylone, zza nich sączy się cichy pogłos. W środku Rami, skupiony, z maszynowymi słuchawkami na uszach, słucha czegoś kamienną twarzą. Gdy dostrzega syna, unosi rękę w powitalnym geście, nie odrywa jednak wzroku od konsoly. Dopiero po chwili, jednym ruchem zatrzymuje odtwarzanie i powoli obraca się w stronę Villego, który przysiada się obok, nonszalancko opierając łokieć o oparcie krzesła.

– Nie masz dosyć studia, po takim czasie? – pyta Rami ironicznie, unosząc brew.

– Denerwuje się pierwszą dołą po wypuszczeniu singla.

– Kawalek i clip jest dobry, nie musisz się stresować, zresztą za parę minut się wszystkiego dowiemy. Ville wypuszcza powoli powietrze próbując się uspokoić, sięga po drugie słuchawki, zakłada je zdecydowanym ruchem.

– Czego tak słuchasz?

Rami tylko się uśmiecha i włącza odtwarzanie. To piosenka *Another Heart*, której syn nigdy wcześniej nie słyszał. Chłopak zamyka oczy, jego twarz mięknie – daje się porwać niskiemu wokalowi ojca, przebijanemu falsetem. To ballada, ale w rockowym klimacie, bardzo melancholijna, dojrziała, wciągająca na tyle, że słuchacz od razu chce więcej.

– Nie znałem tego. To jedna z tych zakurzonych piosenek z twojego sejfu?

– Nagrałem to, kiedy otworzyłem studio. Mając profesjonalny sprzęt, można było się pobawić.

Ville patrzy na niego z pewnym niedowierzaniem. To pierwszy raz, gdy słyszy nie tylko tę piosenkę, ale też pełny wokal ojca w roli prowadzącego. W *The R. Requiem* Rami był gitarzystą i głosem wspierającym, podkreślającym brzmienie utworów. Jego wokal nie był więc niczym nowym – ale Rami solo to zupełnie inna jakość, więc Ville nie ukrywa zdziwienia.

– A masz tego więcej? – pyta z przymrużeniem oka.

– Mam – odpowiada, bujając się lekko w fotelu. Włącza kolejny kawałek – mocniejszy, bardziej rockowy, a jednak znów podszyty dekadencją i melancholią.

Libertyn słucha z rozchylonymi ustami, bez ruchu. Kiedy utwór się kończy, odwraca się gwałtownie do ojca.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że obie mogłyby być hitami radiowymi? Dlaczego nie wydałeś tego jako singla albo jako bonus do którejś płyty *The R. Requiem*?

Ojciec odkłada słuchawki na konsolę z ciężkim stukiem, bierze głęboki, przeciągły oddech, jakby przez chwilę ważył, czy w ogóle powinien to mówić. W jego oczach pojawia się cień dawnych wspomnień.

– To miał być mój prywatny projekt. Na czarną godzinę.

Ville prostuje się, aż krzesło skrzypi pod jego ciężarem. Otwiera szeroko oczy, wstrzymuje oddech.

– Jak to? Mielicie kryzys?

Rami kręci głową, a jego spojrzenie mętnieje, jakby nagle cofnął się w czasie. Zaciąga się powietrzem, powoli je wypuszcza, po czym mówi spokojnie, ale z ciężarem:

– Nie do końca. Ale wiesz, jak jest z wytwórniami. Ty i zespół macie swoją koncepcję, a wytwórnia swoją. Zabieraliśmy się do piątego albumu i znowu pojawiły się problemy. Kiedy musisz walczyć o każdy akord i udowadniać swoje racje, w końcu masz tego dość. I zostaje wybór: albo walczysz do końca, albo się poddasz i wytwórnia ma ostatnie słowo.

– Przy kolejnym albumie też? Byliście już przecież na szczycie, nie byliście nowi na rynku.

– Też – odpowiada Rami bez wahania. – I dlatego bałem się, że coś się rozsypie. Zacząłem pisać teksty dla siebie – trochę z przekory, trochę z nudów, trochę po to, żeby mieć coś w zanadru.

Na chwilę milknie, kącki ust drgają mu lekko w ironicznym grymasie.

– A wtedy – uśmiecha się pod nosem – twój pradziadek, Maharadża, powiedział: „Czego ty się tak szarpiesz z tymi wytwórniami, otwórz coś swojego i rób to, co uważasz za słuszne.” Mia podchwyciła pomysł – parska krótkim śmiechem, ale w oczach błyska mu cień dumy – do sprawy wszedł dziadek Lauri. Potraktował to jako projekt życia. Dorzucił się do biznesu i stwierdził: „Najwyżej stracę, ale wierzę, że ci się uda.”

Ville wybucha głośnym śmiechem, aż musi odchylić się na krześle, Rami również chichocze pod nosem.

– Pamiętaj, synu, że kiedy Rathore i Mannerheim biorą się do roboty, to nigdy nie kończy się na małym projekcie. Ja skupiłem się na zespole i albumie, a cały biznes prowadzili ludzie od Mii i dziadka Lauriego. To byli zawodowcy, specjaliści. A ja później, krok po kroku, uczyłem się wszystkiego od strony kulis.

– Nie znałem tej historii. Wiedziałem, że dziadek dał ci na start, ale nie sądziłem, że brał to aż tak serio.

– zawiesza się na moment. – No dobra. A co z albumem? Masz nagrane coś jeszcze?

– Mam – mówi, po czym odpala kolejną piosenkę, a zaraz potem następną.

Libertyn siedzi nieruchomo, słuchawki ściskają mu uszy, oczy ma wbite w podłogę. Przesłuchuje w ciszy i skupieniu, a na jego twarzy maluje się coraz większe niedowierzanie. Wreszcie podnosi głowę, wstrząśnięty tym, co usłyszał.

– To pełen krążek, ojczu. Masz mocne trzy single, może nawet więcej.

– Było, minęło – odpowiada bez emocji, odkładając ręce na poręcz fotela.

Ville aż unosi się na krześle, energicznie gestykułując. W jego głosie buzują emocje.

– Ty chyba jaja sobie robisz! Masz gotowy materiał, pełen tracklist, z wyprodukowanymi aranżami i wokalem, który niesie. Wystarczy wejść jeszcze raz do studia, nagrać to na świeżym sprzęcie, zrobić porządny miks i mastering w jakości radiowej. To jest gotowy album, ojczu!

Rami bierze głęboki oddech, palcami przeczesuje włosy i mówi chłodno:

– Synu, nie po to przeszedłem na emeryturę, żeby teraz bawić się w jakieś albumy. Wy, Liberty Fade, jesteście moim aktualnym projektem. Skupiam się na was. Na tobie. Nic innego się nie liczy.

– Może i tak – zaczyna, unosząc rękę w geście poddania – nie będę ci punktował priorytetów, ale uważam, że mógłbyś spokojnie wydać album. To nie powinno leżeć w szafie. Ciekawe, czy mama to słyszała...

Rami potakuje, a Ville od razu odczytuje ten ruch: Mia myśli tak samo. Piosenki powinny wreszcie zobaczyć światło dzienne, tym bardziej że większość była napisana dla niej.

– Po pierwsze, nie wiem, czy ludziom spodoba się Rian w takim wydaniu. Może gdybym był z dziesięć lat młodszy, ale teraz... Wiesz co... nie chce mi się. Jak pomyślę o studiu, nagraniach, tym wszystkim...

– odchyła się w fotelu, wzdychając ciężko.

– Ale przynajmniej to przemyśl. Masz własną wytwórnię, czas, żadne terminy cię nie gonią.

– Dobrze, przemyślę – mówi w końcu od niechcienia, przeciągając sylaby.

Ville wstaje energicznie z fotela, krzesło skrzypi pod jego ciężarem. Rusza w stronę drzwi, ale tuż przed wyjściem zatrzymuje się, obraca powoli i rzuca ojcu ironiczny uśmiech.

– Albo nie. Jesteś za stary, masz zmarszczki i struny głosowe ci zwiotczały. Emerycie.

Po czym bezceremonialnie wychodzi, zostawiając ciężką ciszę.

Rami zastyga, patrzy w przestrzeń, szczęka mu lekko drga. Przez chwilę nic nie mówi, aż w końcu cedzi przez zęby:

– No gnojek wlaź mi na ambicję. „Emerycie”... cholera jasna.

Jakiś czas później wszyscy zbierają się w salonie. Ville próbuje uspokoić nerwy przy fortepianie, Emma co chwilę zaciska dłonie w pięści, Thomas ziewa przeciągle, Rose trzyma na kolanach podeksycytowaną Amidalę, a Mia z rosnącym zdziwieniem obserwuje spokój Ramiego.

Gdy Robert i Paul biorą do rąk tablety, atmosfera gęstnieje jak przed eksplozją — wiedzą, że doba po premierze singla jest kluczowa. Na stole migają powiadomienia, telefony drżą i wibrują jeden po drugim, choć wszystkie są wyciszone. Cały świat dobiega się do nich, ale nikt nie podnosi słuchawki. Teraz chcą być tylko tu, razem.

– No dobra – zaczyna Robert, powiększa ekran ze statystykami i unosi tablet to góry. – Czy to dużo odsłuchań? – pyta a głos mu lekko drży.

– Ile?! – niemal wszyscy wykrzykują jednocześnie, podskakując na kanapie.

Tylko Rami siedzi spokojnie, z nogą założoną na nogę, jakby widział to już sto razy.

– Komentarze, lajki, ludziom się podoba... – sapie Paul i przewija nerwowo kilka stron dalej, nie dowierzając własnym oczom.

W tej samej chwili kolejne telefony zaczynają dzwonić – menedżerowie, dziennikarze, znajomi, wszyscy chcą się dobić. Aparaty aż się gotują, wibrują na stole, ale nikt ich nie rusza. To chwila, która należy tylko do nich.

Rami obserwuje całe zamieszanie z lekkim politowaniem, ale w kąciku jego ust pojawia się uśmiech. Wie, że pierwsza doba pokazuje ogólny trend i ciężko mówić o pewnym sukcesie, ale *Sand* jest inny. Widział już niejedną premierę, zna algorytmy i fale popularności, a jednak czuje, że to nie chwilowy szal, tylko materiał, który wgryza się w słuchacza i zostanie na lata. Już teraz wie, że ten album zaczyna swoją drogę do historii rocka.

Ville obejmuje Rose, przyciąga ją do siebie tak mocno, jakby chciał odciąć ich od całego świata.

– Kocham cię, wiesz? – szepcze, a w jego głosie słychać czystą, dziecięcą radość.

Ona całuje go w usta i przytula chcąc zatrzymać tę chwilę na zawsze.

– Też cię kocham, Vivaan.

Chłopak odsuwa się lekko, patrzy jej prosto w oczy.

– Vivaan? Dlaczego?

– Bo jesteś pełen życia. Niech świat ma Villego, a ja chcę mojego Vivaana.

Ville na moment milknie, jakby zabrakło mu słów. W końcu śmieje się cicho i kiwa głową.

– Nie będę protestować. Dla ciebie zawsze będę Vivaanem. – Patrzy jej w oczy i dodaje z błyskiem ironii: – Kto by pomyślał, że piosenka o układaniu puzzli tak porwie świat?

Obejmuje ją jeszcze mocniej, kołysząc lekko w ramionach, i półżartem, półczule nuci jej do ucha słowa, które teraz brzmią jak proroctwo:

– „Między błękitem nieba a taflą wody bez celu dryfuję, biały żagiel na tle horyzontu wyznacza właściwy kierunek”.

W salonie zapada cisza, przerywana tylko wibracją powiadomień z telefonów. Cała rodzina i zespół chłoną tę chwilę, nikt się nie odzywa, jakby bali się, że głośniejsze słowo mogłoby spłoszyć magię.

EPILOG

Końcówka 2029 roku w Rianhouse upływa w radosnej, niemal rodzinnej atmosferze. Święta trwają w najlepsze, a dom od wielu godzin wypełniają rozmowy, śmiech i wspomnienia. Minione lata nabierają nowych barw. Każdy pamięta coś innego, każdy dopowiada fragment historii, który dla pozostałych zdążył już zatrzeć się w pamięci.

Robert po raz kolejny wraca do zaręczyn Villego i Thomasa, wywołując salwy śmiechu, a Rami z ze spokojem w głosie wspomina swój pierwszy wernisaż z Rose. Opowieści płynnie przeplatają się z fragmentami nagrań – tych oficjalnych, przygotowanych dla widzów Liberty Fade Life, oraz tych archiwalnych, które nigdy nie ujrzą światła dziennego. Co chwilę ktoś zatrzymuje obraz, komentuje sytuację albo przypomina szczegół, który umknął pozostałym.

Nie wszystkie historie wybrzmiewają jednak przy wspólnym stole. Niektóre pozostają wyłącznie w pamięci tych, którzy je przeżyli. Jedne są zbyt intymne, by wypowiadać je na głos, inne zbyt wstydlive, a jeszcze inne z biegiem czasu rozmyły się na tyle, że pozostały po nich jedynie urywki wspomnień.

– Kolejny rok też był ciekawy – mówi Ville, szeroko gestykulując.

– Nawarstwiło się wiele rzeczy – dodaje Mia, celując po kolei w gości widelcem. – Ale ostatecznie wyszliśmy z tego obronną ręką.

Rami uśmiecha się szczerze.

– To bardzo wzmocniło nas jako ludzi i jako rodzinę.

Ville opiera się wygodniej o oparcie krzesła i przez chwilę wodzi wzrokiem po twarzach zebranych. Jakby jeszcze raz układał w głowie wszystkie wydarzenia, które doprowadziły ich do tego miejsca.

– A było to tak... – dopowiada tonem gawędziarza.

KONIEC